

John Steinbeck

Na wschód od Edenu

Przełożył Bronisław Zieliński

PASCALOWI COVICI

Drogi Pat,

Zastaleś mnie przy rzeźbieniu jakiejś figurki z drewna i powiedziales: "Moze bys co zrobil i dla mnie?"

Spytalem, co bys chcial, a ty odrzekles: "Pudelko".

"Na co?"

"Zeby w nie wlozyc rozne rzeczy".

"Jakie rzeczy?"

"A to, co masz" – powiedziales.

Oto twoje pudelko. Zawiera ono prawie wszystko, co mam, a jednak nie jest pelne. Znajdziesz, w nim bol i wzruszenie, przyjemne i nieprzyjemne uczucia, zle mysli i dobre mysli – zadowolenie z, rodzacego sie pomyslu, troche rozpaczy i nieopisaną radość tworzenia.

A ponad tym wszystkim jest cala wdzieczność i przy wiązanie, jakie mam dla ciebie.

Mimo to jednak pudelko nie jest pelne.

JOHN

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

1

Dolina rzeki Salinas znajduje się w północnej Kalifornii. Jest ona długim, wąskim zagłębieniem pomiędzy dwoma łańcuchami gór, a rzeka wiję się jej środkiem i wreszcie wpada do rzeki Monterey.

Pamiętam nazwy, jakie w dzieciństwie nadawałem różnym trawom i tajemniczym kwiatom. Pamiętam miejsca, gdzie się trafiały ropuchy, i godzinę przebudzenia ptaków w lecie, zapach drzew i pór roku, i to, jak wyglądali, chodzili, a nawet pachnieli ludzie. Wspomnienia zapachów są bardzo bogate.

Pamiętam, że góry Gabilany, na wschód od doliny, były jasne, wesołe, pełne słońca i uroku, i jakieś pociągające, tak że miałeś ochotę wspiąć się na ich rozgrzane stoki niemal tak samo, jak pragniesz wdrapać się na kolana ukochanej matki. Te góry przyzywały cię, obiecując pieszczotę brunatnych traw. Łańcuch Santa Lucia piętrzył się na tle nieba po stronie zachodniej i odgradzał dolinę od pełnego morza – i ten był ciemny i posepny, nieprzyjazny i groźny. Zawsze znajdowałem w sobie lęk przed zachodem i miłość wschodu. Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło, chyba stąd, że poranek nadchodził zza szczytów Gabilanów, a noc spływała ze stoków Santa Lucia. Możliwe, że narodziny i śmierć dnia miały jakiś związek z moim stosunkiem uczuciowym do tych dwóch łańcuchów górskich.

Z obu stron doliny wymykały się żlebami małe strumyki wpadające do łożyska rzeki Salinas. Zimą wilgotnego roku były silne i wezbrane i wzdymały rzekę tak, że niekiedy szalała i kipiała, przepelniona po brzegi, i wtedy stawała się niszczycielką. Obrywała krawędzie uprawnych gruntów i zmywała całe akry ziemi, obalała i pochłaniała stodoły i domy, które potem przewalały się w wodzie, unoszone prądem. Porywała krowy, świnie i owce, topiła je w swych zmętniałych, brunatnych nurtach i unosiła je do morza. Gdy przyszła późna wiosna, rzeka kurczyła się w sobie i ukazywały się jej piaszczyste brzegi. A w lecie w ogóle nie płynęła po powierzchni ziemi. Gdzieniegdzie w głębokich wirowiskach pod wysokim brzegiem pozostawały wysokie

sadzawki wody. Odrastały sitowia i trawy, a wierzby rozprostowywały się unosząc na koronach szczątki pozostałe z powodzi. Salinas była rzeką sezonową. Letnie słońce wpędzało ją pod ziemię. Nie była wcale piękna, ale nie mieliśmy innej, więc chępliśmy się nią – tym, jaka jest niebezpieczna podczas wilgotnej zimy, a jaka wyschnięta w letnią suszę. Chępić się można każdą rzeczą, jeżeli jest ona wszystkim, co mamy. Możliwe, że im mniej mamy, tym więcej musimy się chępić.

Dolina Salinas ciągnąca się między pasmami gór i poniżej ich stoków stanowiła niegdyś dno stumilowego morskiego zalewu. Ujście rzeki pod Moss Landing było przed wiekami wylotem tej długiej połąci wód śródlądowych. Kiedyś mój ojciec wiercił studnię o pięćdziesiąt mil dalej w dolinie. Świder wybrał najpierw wierzchnią glebę, potem żwir, wreszcie biały piasek morski pomieszany z muszelnkami, a nawet kawałkami fiszbinu. Było tam dwadzieścia stóp piasku, potem znów czarna ziemia, a nawet kawałek sekwoi, tego niezniszczalnego drzewa, które nigdy nie próchnieje. Zanim utworzyło się tutaj śródlądowe morze, dolina musiała być porośnięta lasem. A to wszystko stało się tam, wprost pod naszymi stopami. I niekiedy nocą zdawało mi się, że wyczuwam pod sobą zarówno morze, jak las sekwoi, który rósł tutaj przedtem.

Na rozległych, płaskich terenach doliny gleba tworzyła głęboką i żyzną warstwę. Wystarczyła jedna zima obfita w deszcze, by wytrysnęła trawą i kwiatami. W wilgotne lata kwiaty wiosenne były wręcz niewiarygodne. Całe dno doliny, a także stoki wzgórz, okrywał dywan łubinu i maków. Kiedyś pewna kobieta powiedziała mi, że barwy kwiatów wydają się żywsze, jeżeli dorzucić trochę białych, które podkreślają ich kolor. Otóż każdy płatek niebieskiego łubinu ma białą obwódkę, toteż cały łąn jest niewiarygodnie błękitny. A łubin był tam jeszcze nakrapiany plamami kalifornijskich maków. Te znowu mają barwę płomienną – nie pomarańczową, nie złotą, ale taką, że gdyby czyste złoto było płynne i mogła zbierać się na nim piana, ta złocista piana miałaby może kolor owych maków. Kiedy mijała pora ich kwitnienia, zjawiała się żółta gorczyca wyrastająca do znacznej wysokości. Gdy dziadek mój przybył do doliny, gorczyca wybujała tak wysoko, że człowiekowi na koniu wystawała tylko głowa ponad jej żółte kwiaty. Na wyżynach trawa usiana była jaskrami, stokrociami, żółtymi bratkami o czarnych środkach. Nieco później pojawiały się czerwone i żółte kępy indiańskiego jastrzębca. Te wszystkie kwiaty rosły na otwartych miejscach, wystawionych na słońce.

Pod wirginijskimi dębami, w cieniu i mroku, kwitł wonny złotowłos, a z okrytych mchem brzegów strumieni zwisały całe kiście pięciopalczastych i złocistych

paproci. Poza tym rosły tam kampanule, maleńkie latarenki, kremowobiałej nieomal zdrożne w swojej piękności, te zaś były tak rzadkie i czarodziejskie, że dziecko, które je znalazło, czuło się wyróżnione i uprzywilejowane przez cały dzień.

Gdy nadszedł czerwiec, trawy wysiewały się i żółkły, a wzgórza okrywały się rdzawością, która nie była rdzawa, ale złota, szafranowa i czerwona – nieopisanej barwy. I odtąd aż do następnych deszczów ziemia wysychała, a strumyki przestawały płynąć. Na płaskim gruncie pojawiały się pęknięcia. Rzeka Salinas wsiąkła w piasek. Doliną dął wiatr, unosząc kurz i żdźbła słomy, a nabierał siły i ostrości, w miarę jak gnał coraz dalej na południe. Wiezorami ucichał. Był to wiatr drażniący, nerwowy, a drobiny kurzu wgryzały się człowiekowi w ciało i piekły w oczy. Mężczyźni, którzy pracowali na polu, nosili ochronne okulary i obwiązywali sobie nosy chustkami dla ochrony od pyłu.

Gleba w dolinie zalegała grubą, żyzną warstwą, natomiast stoki wzgórz pokrywała tylko cienkim naskórkiem nie sięgającym głębiej niż korzenie traw, a im wyżej wchodziło się na zbocza, tym była płytsza, usiana sterczącymi krzemieniami, by wreszcie na granicy roślinności przemienić się w rodzaj suchego, krzemienego żwiru, który oślepiająco błyszczał w upalnym słońcu.

Mówiłem dotąd o bogatych latach, w których deszcze były obfite. Zdarzały się jednak i lata suche, i te szerzyły postrach w dolinie. Woda pojawiała się w cyklach trzydziestoletnich. Najpierw pięć czy sześć lat wilgotnych, wspaniałych, kiedy to poziom opadów wynosił od dziewiętnastu do dwudziestu pięciu cali, a ziemia buchała trawą. Potem następowało sześć lub siedem niezłych lat z opadami od dwunastu do szesnastu cali. Wreszcie nadchodziły lata suche i wtedy bywało czasem najwyżej siedem czy osiem cali deszczu. Ziemia zsychała się, trawy wyrastały nędznie do kilkunastu centymetrów wysokości, a w dolinie pojawiały się wielkie, parchate łysiny. Dęby nabierały niezdrowego wyglądu, a bożydrzew szarzał. Ziemia pokrywała się pęknięciami, studnie wysychały, bydło osowiale szczypało suche badyle. Wtedy farmerów i ranczerów napełniała odraza do doliny Salinas. Krowy chudły, a czasem padały z głodu. Wodę do picia trzeba było zwozić w beczkach na farmy.

Niektóre rodziny wyprzedawały się niemal za bezcen i wynosiły z okolicy. A ludzie niezmiennie zapominali o latach żyznych podczas lat suszy, podczas zaś lat wilgotnych ztracali wszelkie wspomnienie o latach suchych. Tak działo się zawsze.

2

Taka była ta długa dolina Salinas. Jej dzieje nie różniły się od historii reszty tego stanu. Najpierw zamieszkiwali ją Indianie, pośledni szczep pozbawiony energii, pomysłowości i kultury, lud, który żywił się czerwiemi, świerszczami i ślimakami, zbyt gnuśny, aby polować lub łowić ryby. Jedli to, co im się trafiło, i nie sadzili nic. Mełli na mąkę gorzkie żołądziejce. Nawet ich wojowanie było jakąś ospałą pantomimą.

Potem przyszli twardzi, oschli Hiszpanie, którzy przemierzali kraj zachłanni i trzeźwi, a ich zachłanność szukała złota lub Boga. Zbierali dusze tak, jak zbierali klejnoty, zagarniali góry i doliny, rzeki i całe połacie ziemi aż po widnokrąg, podobnie jak teraz człowiek zdobywa tytuł własności do działki budowlanej. Ci twardzi, nieczuli ludzie przebiegali bez wytchnienia tam i z powrotem całe wybrzeże. Wielu osiadało na lennachs rozległych jak księstwa, nadanych im przez królów hiszpańskich, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, jak wygląda owa darowizna. Ci pierwsi właściciele mieszkali w ubogich feudalnych osadach, a było ich żyło i rozmnażało się na swobodzie. Od czasu do czasu zabijali je dla skór i łoju, mięso zaś pozostawiali sępom i kojotom.

Kiedy Hiszpanie przyszli, musieli nadać nazwy wszystkiemu, co tylko zobaczyli. Jest to pierwszy obowiązek każdego eksploratora – obowiązek i zarazem przywilej. Trzeba nazwać jakąś rzecz, zanim się ją oznaczy na ręcznie rysowanej mapie. Byli to oczywiście ludzie religijni, tymi zaś, co umieli czytać i pisać, co prowadzili kroniki i rysowali mapy – byli twardzi, niezmordowani księża, którzy zjawiali się wraz z żołnierzami. Toteż pierwszymi nazwami miejscowości stały się imiona świętych lub nazwy świąt religijnych obchodzonych w miejscach postoju. Świętych jest wielu, ale ich liczba nie jest niewyczerpana, toteż znajdujemy powtórzenia pierwotnych nazwań. Mamy więc San Miguel, St. Michael, San Ardo, San Bernardo, San Benito, San Lorenzo, San Carlos, San Francisquito. A dalej święta: Natividad – Boże Narodzenie; Nacimiento – Narodzenie Matki Boskiej; Soledad – Samotność. Ale miejscowości bywały też nazywane od tego, jak w danej chwili czuła się ekspedycja: Buena Esperanza – Dobra Nadzieja; Buena Vista, bo widok był piękny, i Chualar, bo było tam ładnie. Potem przyszły nazwy opisowe: Paso de los Robles ze względu na dęby;

Los Laureles od laurów; Tularcitos od trzciny na mokradłach i Salinas od ługowca, który był biały jak sól.

Następnie różne miejsca otrzymywały nazwy od napotkanych tam zwierząt i ptaków: Gabilanes od jastrzębi, które latały w tutejszych górach; Topo od kreta, Los Gatos od żbików. Pomysł nasuwała niekiedy sama natura: Tassajara – filiżanka ze spodkiem; Laguna Seca – wyschłe jezioro; Corral de Tierra, czyli wał ziemny; Paraiso, bo było tam jak w niebie.

Później pojawili się Amerykanie – jeszcze bardziej zachłanni, bo liczniejsi. Objęli te ziemie w posiadanie i przerobili prawa, by nadawać ważność swoim tytułom własności. W całym kraju mnożyły się osady rolne, najpierw w dolinach, potem na stokach wzgórz – niewielkie drewniane domki kryte gontami z sekwoi i zagrody z nie ociosanych pali. Gdzie tylko wyciekał z ziemi strumyczek wody, tam wyrastał dom i jakaś rodzina zaczynała rozwijać się i mnożyć. W ogródkach przed domami sadzono krzewy czerwonych pelargonii i krzaki róż. Ślady kół bryczek zjawiały się w miejsce wydeptanych ścieżek, a łany żyta, pszenicy i owsa rozpościerały tam, gdzie przedtem rosła żółta gorczyca. Co dziesięć mil wzdłuż uczęszczanych szlaków natrafiało się na sklep i kuźnię, i one właśnie stały się załączkami małych miasteczek, takich jak Bradley, King City czy Greenfield.

Amerykanie mieli większą od Hiszpanów skłonność do nadawania nazw pochodzących od ludzi. Kiedy już zasiedlono doliny, nazwy zaczęły się odnosić raczej do rzeczy, które się tam zdarzyły, i te właśnie są dla mnie najbardziej pociągające ze wszystkich, gdyż każda ma związek z jakąś zapomnianą historią. Myślę o Bolsa Nueva – nowej sakiewce; Morocojo – chromym Maurze (kimże mógł być i skąd się tam wziął?); o Kanionie Dzikiego Konia, o Wzgórzu Mustanga i Kanionie Strzępu Koszuli. Nazwy miejsc noszą piętno ludzi, którzy im je nadali – są pełne szacunku albo lekceważenia, opisowe, poetyckie lub uwłaczające. Każdą miejscowość można ochrzcić San Lorenzo, ale Kanion Strzępu Koszuli czy Chromy Maur to coś zupełnie innego.

Wieczorem nad osadami świszczał wiatr, więc farmerzy zaczęli sadzić milowe pasy ochronne eukaliptusów, ażeby nie dopuścić do zwiania zoranej gleby. I tak mniej więcej wyglądała dolina Salinas, kiedy mój dziadek przywiózł żonę i osiedlił się na stoku wzgórza, na wschód od King City.

ROZDZIAŁ II

1

Chcąc opowiedzieć wam o Hamiltonach muszę się oprzeć na gawędach, starych fotografiach, zasłyszanych historiach i na wspomnieniach, które są mgliste i pomieszane z różnymi bajaniami. Nie byli to ludzie wybitni, więc też zachowało się niewiele danych na ich temat, poza owymi zwykłymi dokumentami, które dotyczą urodzeń, ślubów, własności ziemi i zgonów.

Młody Samuel Hamilton przybył z północnej Irlandii, podobnie jak jego żona. Był potomkiem drobnych rolników, ani bogatych, ani ubogich, którzy żyli na tym samym kawałku ziemi i w tym samym kamiennym domu od wielu setek lat. Hamiltonowie potrafili zdobyć nieprzeciętne wykształcenie i byli bardzo odcytani, i jak to się często zdarzało w owym zielonym kraju, łączyły ich powiązania i pokrewieństwo z bardzo wysoko postawionymi i bardzo skromnymi ludźmi, tak że jeden ich kuzyn mógł być baronetem, a inny żebrakiem. No i oczywiście wywodzili się od starodawnych królów Irlandii, jak każdy Irlandczyk.

Dlaczego Samuel porzucił dom i zielone poletka swoich przodków, tego mi nie wiadomo. Nigdy nie zajmował się polityką, więc nie jest prawdopodobne, aby go wygnał z kraju zarzut buntu, a był też nieskazitelnie uczciwy, co wyłącza policję jako motor działania. W naszej rodzinie chodziły słuchy – nawet nie plotki, a raczej nie wypowiedane głośno domysły – że wygnała go miłość, i to miłość nie do tej kobiety, z którą się ożenił. Nie wiem natomiast, czy uczucie to było nazbyt szczęśliwe, czy też odjechał zboląły wskutek miłosnego zawodu. Zawsze woleliśmy przypuszczać, że raczej to pierwsze. Samuel odznaczał się urodą, wdziękiem i wesołością. Trudno więc sobie wyobrazić, żeby go odpałiła którakolwiek wiejska dziewczyna irlandzka.

Przybył do doliny Salinas u szczytu sił, rześki, pełen pomysłów i energii. Oczy miał bardzo niebieskie, a w chwilach zmęczenia jedno z nich uciekało lekko w bok. Był mężczyzną masywnym, ale w pewnym sensie delikatnym. Przy znoej pracy na ranczo zawsze wyglądał niepokalanie czysto. Miał zmyślną rękę; był dobrym kowalem, stolarzem i snycerzem i potrafił zaimprovizować, co kto chciał, z kawałków drewna czy metalu. Bezustannie wymyślał nowe sposoby wykonywania starej rzeczy, sporządzania jej lepiej i szybciej, ale nigdy przez całe swoje życie nie miał zdolności do

robienia pieniędzy. Inni ludzie, którzy tę zdolność mieli, podkradali Samuelowi pomysły, sprzedawali je i bogacili się, natomiast Samuel do śmierci ledwie mógł związać koniec z końcem.

Nie wiem, co skierowało jego kroki do doliny Salinas. Nie było to odpowiednie miejsce dla człowieka z zielonego kraju, a jednak przyjechał tam na jakieś trzydzieści lat przed schyłkiem stulecia i przywiózł swą drobną żonę Irlandkę, zamkniętą w sobie, twardą kobiecinę, pozbawioną humoru jak kura.

Miała surową, prezbiteriańską mentalność oraz kodeks moralny, który przygwałdził i miażdżył nieledwie wszystko, co przyjemne. Nie wiem, gdzie Samuel ją poznał, jak się do niej zalecał i wreszcie poślubił. Myślę, że gdzieś w głębi serca miał wyciśnięty obraz innej dziewczyny, był bowiem człowiekiem spragnionym miłości, a jego żona nie należała do kobiet, które ujawniają swoje uczucia. Mimo to jednak przez wszystkie lata od jego młodości aż do śmierci w dolinie Salinas nic nie wskazywało, aby Samuel interesował się jakąś inną kobietą.

Kiedy Samuel i Liza przyjechali do doliny Salinas, wszystkie równinne grunty były już zajęte – urodzajne dno doliny, małe żyzne fałdy na wzgórzach, nawet lasy – ale pozostawało jeszcze do zasiedlenia trochę ziemi na skrajach, i tam, pośród jałowych pagórków, na wschód od obecnego King City, osiedlił się Samuel Hamilton.

Postąpił wedle utartego zwyczaju. Wziął ćwierć działki dla siebie i ćwierć dla żony, a ponieważ ta była ciężarna, dobrał jeszcze ćwiartkę na dziecko. Z biegiem lat urodziło mu się dziewięcioro dzieci – czterech chłopców i pięć dziewczynek – a że przy każdych narodzinach rancho powiększało się o następną ćwiartkę, więc całość wyniosła jedenaście ćwiartek, czyli tysiąc siedemset sześćdziesiąt akrów.

Gdyby ta ziemia miała jakąkolwiek wartość, Hamiltonowie staliby się bogaci. Ale pola były grudowate i suche, bez źródeł wody, a warstwa gleby tak cienka, że sterczały przez nią jej krzemienne kości. Nawet bożydrzew utrzymywał się tam z trudem, a dęby skarłowaciały z braku wilgoci. W nie najgorszych latach też było tak mało paszy, że bydło chudło uganiając się za pokarmem. Spoglądając ze swoich jałowych wzgórz ku zachodowi, Hamiltonowie widzieli bogactwo dna doliny i zieloność wokół rzeki Salinas.

Samuel wybudował dom własnymi rękami, postawił też stajnię i kuźnię. Wprędce przekonał się, że gdyby nawet miał dziesięć tysięcy akrów tego pagórkowatego terenu, nie mógłby się utrzymać bez wody na tak kościstej ziemi. Jego zmyślnie ręce sporządziły sprzęt do wiercenia studzien i odtąd wiercił je na gruntach

szczęśliwszych ludzi. Wymyślił i skonstruował młockarnię i w porze żniw jeździł po farmach położonych w dolinie, młóćąc zboże, którego nie chciała wydać jego własna ziemia. W swoim warsztacie ostrzył pługi, reperował brony, spawał pęknięte osie i podkuwał konie. Ludzie z całej okolicy znosili mu narzędzia do naprawy i ulepszenia. Prócz tego uwielbiali słuchać, jak Samuel opowiadał o świecie i jego dziwach, o poezji i filozofii, które istniały gdzieś poza doliną Salinas. Miał dźwięczny, niski głos, przyjemny zarówno w śpiewie, jak mowie, a chociaż nie zatrącał dialektem irlandzkim, przecież w jego sposobie mówienia była jakaś melodyjność, śpiewność i kadencja, które sprawiały, że głos Samuela brzmiał słodko w uszach milkliwych farmerów z dna doliny. Przynosili też whisky i z dala od okna kuchennego i karcącego wzroku pani Hamilton pociągali ciepławe łyki z butelki i pogryzali dziki zielony anyżek, aby zabić zapach alkoholu w oddechu. Zły to był dzień, jeżeli przynajmniej trzech albo czterech mężczyzn nie stało przed kuźnią słuchając brzęku młotka Samuela i jego opowiadań. Nazywali go geniuszem dowcipu, pieczołowicie zanosili jego opowieści do domu i dziwili się, jakim cudem wietrzeją po drodze, bo nigdy nie wypadają tak samo, kiedy je powtarzali w swych własnych kuchniach.

Samuel powinien wzbogacić się na swoim świdrze do wiercenia studzien, na młockarni i kuźni, ale nie miał daru do interesów. Jego klienci, stale cierpiący na brak pieniędzy, obiecywali zapłatę po żniwach, potem po Bożym Narodzeniu i znowu jeszcze później – aż w końcu wylatywało im to z głowy. Samuel nie potrafił się dopominać. I tak Hamiltonowie pozostawali ubodzy.

Dzieci przybywały regularnie jak lata. Nieliczni przepracowani lekarze z tego okręgu nieczęsto zdążali na ranczo, aby być przy porodzie, chyba że radość przemieniała się w koszmar i trwała kilka dni. Hamilton sam odbierał wszystkie swoje dzieci, zręcznie podwiązywał pępowiny, dawał klapsa w pośladki i usuwał pozostałości. Kiedy najmłodsze narodziło się z jakimś lekkim niedomaganiem i zaczęło sinieć, Samuel przytknął usta do warg noworodka i zaczął wdmuchiwać mu do płuc powietrze i wciągać je z powrotem, dopóki dziecko nie zdołało odetchnąć samodzielnie. Ręce Samuela były tak dobre i delikatne, że sąsiedzi mieszkający o dwadzieścia mil wzywali go do pomocy przy porodzie. A równie był biegły z kłaczą, krową, jak z kobietą.

Samuel miał pod ręką na półce wielką czarną księgę ze złotymi literami na okładce: *Medycyna domowa systemu doktora Gunna*. Niektóre stronicie były pozaginane i wymięte od częstego czytania, inne natomiast nigdy nie oglądały światła

dziennego. Wystarczy przejrzeć książkę doktora Gunna, by poznać medyczne dzieje Hamiltonów. Sfatygowane rozdziały to złamania kości, skaleczenia, potłuczenia, świnka, odra, bóle krzyża, szkarlatyna, dyfteryt, reumatyzm, dolegliwości kobiece, przepuklina i oczywiście wszystko, co dotyczy ciąży i porodu. Hamiltonowie albo musieli mieć szczęście, albo prowadzili się moralnie, bo rozdziały omawiające rzeżączkę i syfilis nigdy nie były otwierane.

Samuel nie miał sobie równego, jeżeli idzie o uśmierzenie hysterii czy uspokajanie przestraszonego dziecka. Sprawiała to słodycz jego mowy i czułość serca. I podobnie jak ciało Samuela odznaczało się czystością, tak czystość była w jego myślach. Mężczyźni, którzy zachodzili do kuźni, aby pogadać i posłuchać, przestawali na ten czas kląć, nie z żadnego przymusu, ale automatycznie, jak gdyby miejsce nie było odpowiednie po temu.

Samuel na zawsze zachował pewną cudzoziemskość. Możliwe, że tkwiła ona w kadencji jego mowy; w każdym razie skutek był ten, że mężczyźni i kobiety opowiadali mu rzeczy, z których nie zwierzyliby się krewnym ani bliskim przyjaciołom. Ta lekka obcość wyodrębniła go niejako i czyniła zeń bezpiecznego powiernika.

Liza Hamilton przedstawiała zgoła odmienny typ irlandzki. Głowę miała drobną i krągłą, a w niej drobne, krągłe przekonania. Nos jej był jak kartofelek, broda mała, mocno zarysowana i cofnięta, a usta zacięte, uparcie głoszące swoje poglądy, chociażby przeciwko nim występowali sami aniołowie boży.

Liza dobrze gotowała proste potrawy, a jej dom – bo to zawsze był jej dom – był wymieciony, wypucowany i wyszorowany. Rodzenie dzieci nie unieruchamiało jej na czas dłuższy – musiała uważać na siebie co najwyżej przez dwa tygodnie. Widocznie miała kość miednicową z fiszbinu, bo rodziła jedno po drugim duże dzieci.

Liza miała ogromnie rozbudowane pojęcie grzechu. Lenistwo było grzechem, podobnie jak gra w karty, która stanowiła dla niej pewną odmianę lenistwa. Odnosiła się podejrzliwie do wszelkiej zabawy, bez względu na to, czy chodziło o tańce, śpiewy czy choćby śmiech. Uważała, że ludzie, którzy się bawią, stoją szeroko otworem dla szatana. Niestety, Samuel miał skłonność do śmiechu, toteż wydaje mi się, że, zdaniem Lizy, również stał otworem dla szatana. Żona chroniła go, jak mogła.

Włosy nosiła zawsze ściągnięte do tyłu i upięte w twardy węzeł. Ponieważ zaś nie mogę sobie przypomnieć, jak się ubierała, więc zapewne musiała nosić suknie, które dokładnie do niej pasowały. Nie miała ani iskierki humoru, a tylko czasem błyskała ostrzem ciętego dowcipu. Wnuki napawała lękiem, ponieważ nie było w niej

żadnej słabości. Przez całe życie znosiła dzielnie i bez skarg wszelkie cierpienia, w przekonaniu, że Bóg chce, by każdy żył właśnie w ten sposób. Jej zdaniem, nagroda za to przychodziła dopiero później.

2

Kiedy nowi ludzie przybyli na Zachód, zwłaszcza z podzielonych między właścicieli i wyrywanych sobie wzajemnie gospodarstewek Europy, i zobaczyli tak wielkie obszary, które można było osiąść przez zwykłe podpisanie papierka i zbudowanie fundamentów, ogarnęła ich świerzbująca żądza ziemi. Chcieli jej coraz więcej i więcej – dobrej ziemi, jeśli to możliwe, ale w każdym razie ziemi. Możliwe, że tkwiły w nich jakieś włókienka wspomnień o feudalnej Europie, gdzie wielkie rody stawały się i pozostawały wielkimi dlatego, że coś posiadały. Pierwsi osadnicy brali ziemię, której nie potrzebowali i nie mogli uprawić; brali nawet bezwartościową, byleby ją mieć na własność. Wszelkie proporcje uległy odmianie. Człowiek, który mógł być zamożny siedząc w Europie na dziesięciu akrach, był biedny jak mysz kościelna na dwóch tysiącach w Kalifornii.

Niebawem wszystkie grunty na jałowych wzgórzach w pobliżu King City i San Ardo zostały rozebrane i nędzarskie rodziny rozproszyły się po pagórkach, usiłując w miarę możliwości wydrapać środki utrzymania z chudej, krzemienistej gleby. Wraz z kojotami wiodły zapobiegliwe, beznadziejne bytowanie poniżej minimum egzystencji. Osiadły tu bez pieniędzy, bez sprzętu, narzędzi i kredytu, a zwłaszcza bez żadnej znajomości nowego kraju i metod użytkowania go. Nie mam pojęcia, czy pozwalała im na to iście boska głupota, czy wielka wiara. Niewątpliwie podobne przedsięwzięcia już prawie znikły z tego świata. A tamte rodziny jakoś przeżyły i rozwijały się. Posiadały pewne narzędzia czy broń, która już nieomal zanikła, a może tylko jest chwilowo uśpiona. Niektórzy twierdzą, że ponieważ ci ludzie głęboko wierzyli w sprawiedliwego, moralnego Boga, więc mogli pokładać w Nim całą wiarę, a pomniejsze zabezpieczenia zdawali na los szczęścia. Ja jednak myślę, że ponieważ ufali sami sobie i mieli dla siebie szacunek jako dla jednostek, ponieważ wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że są wartościowi i potencjalnie moralni – mogli ofiarowywać Bogu własną dzielność i godność, by później otrzymać je z powrotem. Podobne rzeczy zanikły może dlatego, że

ludzie już sobie nie ufają, a kiedy tak jest, nie pozostaje nic innego jak tylko znaleźć silnego, pewnego człowieka, chociażby nawet błędzącego, i ucześcić się jego poły.

Podczas gdy wielu przybywało do doliny Salinas bez centa, byli też tacy, którzy wyprzedawali się gdzie indziej, zjeżdżali z pieniędzmi, aby rozpocząć nowe życie. Ci zazwyczaj kupowali ziemię, ale ziemię dobrą, budowali sobie domy z heblowanych desek, mieli dywany i szlifowane szybki z kolorowego szkła w oknach. Tych rodzin było sporo i one dostawały najlepszą ziemię w dolinie, i po wyplenieniu żółtej gorczycy obsiewały pola pszenicą.

Takim człowiekiem był Adam Trask.

ROZDZIAŁ III

1

Adam Trask urodził się na farmie położonej na peryferiach małego miasteczka, które znajdowało się niedaleko dużego miasta w Connecticut. Był jedynakiem, a przyszedł na świat w sześć miesięcy po powołaniu ojca do służby wojskowej w pułku stanu Connecticut, w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim. Matka Adama prowadziła farmę, urodziła Adama i jeszcze miała czas poświęcać się prymitywnej teozofii. Uważała, że mąż niezawodnie zginie z rąk dzikich i barbarzyńskich rebeliantów, i przygotowywała się do nawiązania z nim łączności na tak zwanym przez nią "tamnym świecie". Mąż wrócił do domu w sześć tygodni po urodzeniu się Adama. Prawą nogę miał uciętą w kolanie. Wkuśtykał na prymitywnej drewnianej nodze, którą sam sobie wyciosał z buczyny. A już zaczynała pękać. Miał w kieszeni i położył na stole w bawialni ołowianą kulę, którą dali mu do gryzienia, kiedy amputowali jego poszarpaną nogę.

Cyrus, ojciec Adama, był prawdziwym szatanem – zawsze odznaczał się zawadiactwem – powoził zbyt szybko dwukółką i potrafił sprawić, że jego drewniana noga wydawała się jakaś wesoła i powabna. Kariera wojskowa – o tyle, o ile jej zaznał – była dla niego przyjemnością. Ponieważ naturę miał bujną, więc podobał mu się krótki okres szkolenia oraz towarzyszące mu pijaństwo, karciarstwo i rozpusta. Następnie pomaszerował na Południe z grupą uzupełnień i tym też się ubawił – obejrzał kawał kraju, kradł kury i zapędzał na stogi dziewczyny rebeliantów. Ominął go szary, beznadziejny trud przewlekłych manewrów i potyczek. Nieprzyjaciela ujrzał po raz pierwszy o godzinie ósmej pewnego wiosennego poranka, a o ósmej trzydziści został trafiony w prawą nogę ciężkim pociskiem, który zmiażdżył i potrzaskał kości w sposób niemożliwy do złożenia. Nawet wtedy miał szczęście, gdyż rebelianci cofnęli się i felczerzy polowi natychmiast podeszli naprzód. Cyrus Trask przeżył swoje pięć minut okropności, kiedy mu obcinano strzępy ciała, odpilowywano kość i przypalano otwartą ranę. Dowodziły tego ślady zębów na ołowianej kuli. Zaznał też niemałych cierpień, gdy rana goiła się w niezwykle septycznych warunkach, które panowały w ówczesnych szpitalach. Ale Cyrus odznaczał się żywotnością i fantazją. Podczas gdy

strugał sobie nogę z buczyny i kuśtykał o kulach, został obdarzony szczególnie zjadliwą dawką trypra przez pewną murzyńską dziewczynę, która zagwizdała na niego spod sągu drewna i policzyła sobie dziesięć centów.

Kiedy już miał nową nogę i boleśnie przekonał się o swym stanie, kuśtykał po całych dniach, szukając owej dziewczyny. Kolegom z pryczy opowiadał, co robi, kiedy ją znajdzie. Miał zamiar obciąć jej scyzorykiem uszy i nos i odebrać swoje pieniądze. Strugając drewnianą nogę, pokazywał przyjaciółom, jak pochlasta Murzynkę. "Kiedy skończę z tą dziwką, będzie śmiesznie wyglądała – mawiał. Zrobię ją tak, że nawet pijany Indianin na nią nie poleci". Dama jego serca musiała snadź wyczuć owe zamiary, bo Cyrus nigdy jej nie odnalazł. Kiedy go wreszcie zwolniono ze szpitala i z wojska, rzeźniczka już przyschła. Gdy wrócił do domu, do Connecticut, zostało z niej akurat tyle, że starczyło dla jego żony. Pani Trask była bladą, zamkniętą w sobie kobietą. Ciepło słońca nigdy nie zaróżowiło jej policzków, szeroki uśmiech nigdy nie uniósł kącików jej ust. Religii używała jako terapii na dolegliwości tego świata i własne, a zmieniała religię tak, by ją dopasować do każdego schorzenia. Kiedy się przekonała, że teozofia stworzona przez nią dla komunikowania się z nieżyjącym mężem nie jest potrzebna, zaczęła się rozglądać za jakimś nowym nieszczęściem. Poszukiwania jej zostały wprędce uwieńczone infekcją, którą Cyrus przyniósł do domu z wojny. Toteż gdy tylko uświadomiła sobie, że istnieją warunki po temu, obmyśliła nową teologię. Jej bóg łączności stał się bogiem zemsty – dla niej najbardziej zadowalającym bóstwem, jakie dotąd wymyśliła, i jak się okazało, ostatnim. Bardzo łatwo jej było przypisać swój stan pewnym snom, które ją nawiedzały podczas nieobecności męża. Jednakże choroba nie mogła być dostateczną karą za owe nocne flirty. Nowy bóg był wytrawny w karaniu. Domagał się od niej ofiary. Szukała w myśli jakiegoś należytego egotystycznego upokorzenia i nieledwie z uczuciem szczęścia znalazła ofiarę – samą siebie. Dwa tygodnie zajęło jej napisanie ostatniego listu wraz z poprawkami i skorygowaniem ortografii. Wyjawiała w nim zbrodnie, których żadną miarą nie mogła popełnić, i przyznała się do błędów znacznie przekraczających jej możliwości. A potem, ubrana w potajemnie sporządzony całun, wyszła pewnej księżycowej nocy i utopiła się w sadzawce tak płytkiej, że musiała uklęknąć w błocie i trzymać głowę pod wodą. To wymagało ogromnej woli. Gdy wreszcie zaczęło ją ogarniać ciepłe zamroczenie, pomyślała nie bez irytacji, że jej biały batystowy całun będzie zabłocony z przodu, kiedy ją rano wyciągną. I tak też było.

Cyrus Trask opłakał żonę przy baryłce whisky, wraz z trzema starymi kompanami z wojska, którzy zajechali do niego w powrotnej drodze do rodzinnego Maine. Mały Adam nakrzyczał się potężnie na początku stypy, gdyż żałobnicy, nie umiejąc obchodzić się z niemowlętami, zapomnieli go nakarmić. Cyrus wprędce rozwiązał ten problem. Zanurzył szmatkę w whisky i dał ją dzieciakowi do ssania, a po paru takich zabiegach mały Adam usnął. Kilkakrotnie podczas owej żałobnej biesiady budził się i narzekał, po czym znowu dostawał namoczoną szmatkę i zapadał w sen. Dziecko było pijane przez dwa i pół dnia. Bez względu na to, co mogło zajść w rozwijającym się mózgu Adama, rzecz okazała się zbawienna dla jego przemiany materii; z tych dwu i pół dni wyniósł żelazne zdrowie. A kiedy po trzech dniach ojciec nareszcie wyszedł i zakupił kozę, Adam począł żarłocznie żłopać mleko, zwymiotował, wypił jeszcze i znowu go zemdlilo. Ojca bynajmniej nie zaniepokoiła owa reakcja, ponieważ z nim działo się to samo.

W ciągu miesiąca wybór Cyrusa Traska padł na siedemnastoletnią córkę farmera z sąsiedztwa. Konkury były krótkie i rzeczowe. Nikt nie miał żadnych wątpliwości co do jego zamiarów. Były one uczciwe i rozsądne. Ojciec dziewczyny popierał te zaloty. Miał dwie młodsze córki, a Alicja, najstarsza, liczyła sobie lat siedemnaście. Po raz pierwszy ktoś oświadczył się o jej rękę.

Cyrus chciał mieć kobietę, która zaopiekowałaby się Adamem. Potrzebował kogoś do prowadzenia domu i do gotowania, a służącej trzeba by płacić. Był krzepkim mężczyzną i potrzebował ciała kobiety, a to także kosztuje – chyba że się do niego przyżenić. W ciągu dwóch tygodni Cyrus zdobył, poślubił, posiadał i zapłodnił dziewczynę. Sąsiedzi nie uznali jego poczynań za zbyt pospieszne. W owych czasach uważano za rzecz zupełnie naturalną, że mężczyzna w toku przeciętnie długiego życia zużywał trzy, cztery żony.

Alicja Trask miała wiele wspaniałych zalet. Umiała porządnie szorować i omiatała każdy zakamarek w domu. Nie była zbyt ładna, więc nie wymagała pilnowania. Oczy miała wyblakłe, cerę żółtawą, a zęby krzywe, ale odznaczała się końskim zdrowiem i ani razu nie narzekała podczas ciąży. Nikt nie wiedział, czy lubiła dzieci, czy nie. Nie pytano jej o to, a ona z zasady nie odzywała się nie pytana. Z punktu widzenia Cyrusa była to może najważniejsza jej zaleta. Nigdy nie wygłaszała swoich twierdzeń ani opinii, a kiedy przy niej mówił jakiś mężczyzna, stwarzała niejasne wrażenie, że go słucha, zajmując się jednocześnie gospodarstwem.

Młodość, niedoświadczenie i małomówność Alicji Trask okazały się korzystne dla Cyrusa. Zarządzając nadal swą farmą tak, jak się zarządzało podobnymi farmami w okolicy, rozpoczął nową karierę – karierę starego wiarusa. I oto ta energia, która czyniła go zawadiaką, teraz pobudziła w nim wyobraźnię. Nikt poza ministerstwem wojny nie znał przebiegu ani czasu trwania jego służby wojskowej. Drewniana noga była zarazem świadectwem jego wojaczki i gwarancją, że już nigdy nie będzie musiał nią się zajmować. Zaczął nieśmiało opowiadać Alicji o swoich bojach, ale w miarę jak wzbogacała się jego pomysłowość, pomnażały się i stoczone bitwy. Na samym początku wiedział, że kłamie, ale niebawem nabrał nie mniejszego przeświadczenia, iż każda z jego opowieści jest prawdziwa. Zanim wstąpił do służby, nie interesował się zbytnio sprawami wojennymi; teraz kupował wszystkie książki o wojnie, czytał każde sprawozdanie, abonował nowojorskie gazety, studiował mapy. Jego znajomość geografii była dawniej wątła, a wiadomości o walkach żadne; teraz stał się w tej dziedzinie autorytetem. Znał nie tylko wszystkie bitwy, ruchy wojsk i kampanie, ale także biorące w nich udział jednostki, aż po pułki, ich dowódców i miejsca, w których je sformowano. A opowiadając o tym nabrał przekonania, że sam tam był obecny.

Wszystko to rozwijało się stopniowo, a odbywało w czasie, gdy Adam wyrastał na chłopaka, za nim zaś jego młodszy brat przyrodni. Adam i mały Karolek siadywali w milczeniu, pełni respektu, podczas gdy ojciec wyjaśniał, co myślał i planował każdy poszczególny generał, w czym popełnił błędy i co powinien był uczynić. Wówczas – już wtedy bowiem to wiedział – wskazywał Graniowi i McClellanowi, na czym polegała ich omyłka, i prosił, aby przyjęli jego analizę położenia. Niezmiennie odrzucali te rady i dopiero później okazywało się, że miał rację.

Jednej rzeczy Cyrus nie zrobił i prawdopodobnie było to mądre z jego strony. Ani razu nie awansował sam siebie do stopnia podoficera. Zaczął jako szeregowiec Trask i szeregowcem Traskiem pozostał. W ogólnym rachunku uczyniło go to zarazem najbardziej ruchliwym i wszędobylskim szeregowcem w dziejach wojen. Sprawilo, że musiał przebywać w co najmniej czterech miejscach na raz. Ale, zapewne wiedziony instynktem, nie opowiadał owych historii jednej po drugiej. Alicja i chłopcy mieli pełny jego obraz: prosty szeregowiec, dumny, że nim jest, któremu nie tylko zdarzyło się być wszędzie tam, gdzie rozgrywała się jakaś efektowna i doniosła akcja, ale który swobodnie wkraczał na zebrania sztabowe i popierał lub zwalczał decyzje generałów.

Śmierć Lincolna uderzyła Cyrusa jak obuchem. Na zawsze zapamiętał, co czuł, kiedy po raz pierwszy usłyszał tę wiadomość. Nie był w stanie wspomnieć czy słuchać

o tym bez łez napływających do oczu. I chociaż nigdy nie powiedział tego wyraźnie, miało się nieodparte wrażenie, że szeregowiec Cyrus Trask był jednym z najbliższych, najserdeczniejszych i najbardziej zaufanych przyjaciół Lincolna. Jeżeli Lincoln chciał dowiedzieć się czegoś o armii, o armii prawdziwej, a nie tych wykrygowanych kukłach o złotych szamerunkach, zwracał się do szeregowca Traska. Sposób, w jaki Cyrus zdołał dać to do zrozumienia, nie mówiąc nic wyraźnie, był istnym majstersztykiem insynuacji. Nikt nie nazwałby go kłamcą. A to w głównej mierze dlatego, że kłamstwo tkwiło w jego głowie, każda zaś prawda wychodząca z ust nosiła barwę kłamstwa.

Bardzo wcześnie zaczął pisywać listy, następnie artykuły o prowadzeniu wojny, a jego wnioski były inteligentne i przekonujące. Cyrus stał się zaiste wybitnym umysłem wojskowym. Jego krytyka zarówno sposobu prowadzenia wojny, jak istniejącej nadal organizacji armii, była nieodparta i wnikliwa. Artykuły w rozmaitych czasopismach zwracały na siebie uwagę. Listy do ministerstwa wojny, drukowane jednocześnie w gazetach, zaczęły wywierać istotny wpływ na decyzje dotyczące wojska. Może gdyby Wielka Armia Republiki nie przejęła władzy i kierownictwa politycznego, głos Cyrusa nie byłby tak wyraźnie słyszany w Waszyngtonie, ale rzecznika bloku liczącego bez mała milion ludzi nie sposób było zlekceważyć. I Cyrus Trask stał się takim właśnie głosem w zagadnieniach wojskowych. Doszło do tego, że konsultowano się z nim w sprawach organizacji armii, stosunków między oficerami, kadr i wyposażenia. Jego znawstwo było widoczne dla każdego, kto go słyszał. Miał talent do wojskowości. Nie dość na tym; był jednym z ludzi, którym zawdzięczano zorganizowanie Wielkiej Armii Republiki jako zwartej i potężnej siły w życiu kraju. Po kilku honorowych funkcjach w owej organizacji przyjął płatny urząd sekretarza, na którym utrzymał się do końca życia. Podróżował z jednego krańca Stanów na drugi, uczestniczył w zjazdach, zebraniach i obozach. Tyle o jego życiu publicznym.

W życie prywatne Cyrusa również przenikał jego nowy zawód. Był człowiekiem gorliwym. Dom i farmę zorganizował na zasadach wojskowych. Kazał sobie przedstawiać i otrzymywał raporty o prowadzeniu swojej prywatnej gospodarki. Prawdopodobne jest, że Alicji było to na rękę. Nie miała daru wymowy. Zwięzłe sprawozdanie uważała za rzecz najłatwiejszą dla siebie. Miała dużo roboty z dorastającymi chłopcami, utrzymywaniem w czystości domu i praniem bielizny. Prócz tego musiała oszczędzać siły, choć nie wspomniała o tym w żadnym ze swych raportów. Czasem energia opuszczała ją niespodziewanie i wtedy Alicja musiała usiąść i czekać, aż znowu powróci. Nocami oblewała się potem. Wiedziała doskonale,

że ma to, co ludzie nazywają suchotami, wiedziałyby nawet wówczas, gdyby nie przypominał jej o tym suchy, wyczerpujący kaszel. Nie wiedziała natomiast, jak długo jeszcze pożyje. Niektórzy ludzie wegetowali tak przez dobre kilka lat. Nie było co do tego żadnej reguły. Możliwe, że nie śmiała napomknąć o tym mężowi. Obmyślił bowiem metodę zwalczania chorób, która przypominała karę. Na ból żołądka stosował przeczyszczenie tak gwałtowne, iż cudem było, że ktokolwiek mógł je przetrzymać. Gdyby wspomniała o swym stanie, Cyrus mógłby rozpocząć kurację, która zabiłaby ją wcześniej, niżby to zdołały uczynić suchoty. Prócz tego, w miarę jak Cyrus coraz bardziej się militaryzował, jego żona przyswajała sobie jedyną metodę, dzięki której żołnierz może przetrwać. Nigdy nie rzucała się w oczy, nie odzywała się, jeżeli do niej nie przemówiono, wykonywała to, czego wymagano, i nic więcej, i nie ubiegała się o awanse. Stała się prostym żołnierzem z drugiego szeregu. Tak było o wiele łatwiej. Alicja wycofała się na dalszy plan i w końcu była niemal niewidoczna.

Naprawdę skupiło się wszystko na obu chłopcach. Cyrus zdecydował, że chociaż armia nie jest doskonała, pozostaje przecież jedynym honorowym zawodem dla mężczyzny. Ubolewał nad faktem, że nie mógł przejść do służby stałej z uwagi na swą drewnianą nogę, ale dla synów nie umiał sobie wyobrazić innej kariery jak wojskowa. Uważał, że człowiek winien się uczyć żołnierki od szeregowca, tak jak on sam. Wtedy dopiero pozna, o co idzie, z doświadczenia, nie z tablic i podręczników. Nauczył synów obchodzenia się z bronią, gdy ledwie zaczynali chodzić. Kiedy oddani zostali do szkoły powszechnej, wojskowy dryl był dla nich czymś równie naturalnym jak oddychanie i nienawistnym jak piekło. Ojciec zaprawiał ich ćwiczeniami, wybijając takt kijem o swą drewnianą nogę. Zmuszał ich do wielomilowych marszów z plecakami pełnymi kamieni, aby im wzmocnić barki. Nieustannie pracował nad doskonaleniem ich w strzelectwie, w zagajniku za domem.

Kiedy dziecko po raz pierwszy przejrzy dorosłych na wskroś – kiedy po raz pierwszy zaświta w jego małej, poważnej główce, że dorośli nie mają boskiego rozumu, że ich sądy nie zawsze są mądre, myśli słuszne, a wyroki sprawiedliwe – wówczas świat jego pogrąży się w przerażenie i rozpacz. Bogowie są obaleni, wszelkie bezpieczeństwo zniweczone. A jedno jest pewne co do upadku bogów: nie chylą się oni po trosze, ale walą się i roztrzaskują albo zapadają głęboko w zielone bagno. Żmudne bywa ich przywracanie; już nigdy nie odzyskują pełnego blasku. A świat dziecka nie da się potem odbudować. Bolesny to rodzaj dorastania.

Adam przejrzał ojca. Nie dlatego, żeby ojciec się zmienił, ale że w Adamie zrodziło się coś nowego. Zawsze nienawidził dyscypliny, jak każde normalne stworzenie, ale mimo to była ona sprawiedliwa, rzetelna i nieunikniona jak odra; nie mógł jej się przeciwstawić ani przeklinać, mógł jej tylko nienawidzić. A potem – stało się to bardzo raptownie, nieomal jakby coś zaskoczyło mu w mózgu – Adam pojął, że przynajmniej z jego punktu widzenia metody ojca nie mają na względzie niczego w świecie oprócz samego ojca. Cały jego system i wychowanie nie były wcale przeznaczone dla chłopców, miały tylko uczynić z Cyrusa wielkiego człowieka. I w tejże samej chwili, gdy coś tak zaskoczyło mu w mózgu, Adam zrozumiał, że ojciec bynajmniej nie jest wielkim człowiekiem, że to, przeciwnie, bardzo zacięty i skupiony mały człowieczek noszący olbrzymią bermycę. Któż wie, co to powoduje – wyraz oczu, wykryte kłamstwo, moment wahania? – dość, że wtedy bóg wali się z trzaskiem w umyśle dziecka.

Mały Adam był zawsze posłusznym chłopcem. Coś w nim wzdrygało się przed gwałtownością, swarami, owym milczącym krzykiem napięcia, które może targać życiem domowym. Przyczyniał się do upragnionego spokoju tym, że unikał gwałtów i kłótni, i w tym celu musiał wycofać się w skrytości, jako że w każdym tkwi odrobina gwałtowności. Okrył się zasłoną niedomówień, a tymczasem gdzieś w głębi, za jego spokojnymi oczami, rozwijało się bogate, pełne życie. To nie chroniło go od napaści, ale dawało mu odporność.

Jego przyrodni brat, Karol, młodszy zaledwie o trochę więcej niż rok, dorastał w zgodzie z nakazami ojca. Był urodzonym sportowcem posiadającym instynktowną zdolność wyliczania czasu i koordynowania swych działań oraz właściwą zawodnikowi wolę zwycięstwa nad innymi, która jest podstawą powodzenia w świecie.

Mały Karol wygrywał wszelkie zawody z Adamem, bez względu na to, czy wymagały zręczności, siły, czy bystrości umysłu, a wygrywał je tak łatwo, że bardzo prędko przestało go to bawić i musiał sobie szukać partnerów wśród innych dzieci. To sprawiło, że między obydwoma chłopcami zrodziła się pewna czułość, która jednakże bardziej przypominała związek brata z siostrą niż dwóch braci. Karol rzucał się na każdego chłopaka, który napadał albo obraził Adama, i zazwyczaj zwyciężał. Przed szorstkością ojca ochraniał brata kłamstwami, a nawet braniem winy na siebie. Karol żywił dla Adama to uczucie, które się ma dla stworzeń bezbronych, dla ślepych szczeniąt czy noworodków.

Adam spoglądał na ludzi swego świata z głębi zamkniętego przed otoczeniem mózgu, przez długie tunele swych oczu. Ojciec – z początku jednonoga siła przyrody, ustanowiona sprawiedliwie po to, by mali chłopcy czuli się jeszcze mniejsi, a głupi chłopcy uświadomili sobie własną głupotę – nagle, po runięciu boga, ukazał mu się jako policjant narzucony przez urodzenie, jako funkcjonariusz, którego można wywieść w pole czy oszukać, ale nigdy zwalczać. A przyrodniego brata, Karola, ujrzał Adam przez owe tunele jako wspaniałą istotę odmiennego gatunku, obdarzoną mięśniami i kośćmi, śmigłością i czujnością – istotę, która żyła na zupełnie innej płaszczyźnie i którą można było podziwiać, tak jak się podziwia gładką, leniwą drapieżność czarnego lamparta, ale której w żadnym razie nie należało porównywać z samym sobą. Nie bardziej przyszyłoby Adamowi do głowy zwierzać się bratu – mówić mu o swym głodzie, o szarych marzeniach, o projektach i cichych radościach, które kryły się poza tunelami oczu – niż dzielić swoje myśli z pięknym drzewem czy ulatującym na skrzydłach bażantem. Adam cieszył się Karolem, podobnie jak kobieta cieszy się dużym brylantem, i pokładał w bracie taką samą ufność, jaką owa kobieta pokłada w blasku klejnotu i zabezpieczeniu, które tkwi w jego wartości – ale miłość, czułość, zrozumienie były nie do pomyślenia.

W stosunku do Alicji Trask Adam taił w sobie uczucie pokrewne palącemu wstydomi. Nie była jego matką – to wiedział, gdyż wspomiano mu o tym po wielekroć. Nie z jakichś wypowiedzi, ale z tonu, którym mówiono zupełnie inne rzeczy, wywnioskował, że niegdyś miał matkę i że ta matka popełniła coś haniebnego, takiego jak zaniedbanie kurcząt czy nietrafienie do celu na strzelnicy w zagajniku. Na skutek owego przewinienia nie było jej teraz tutaj. Adam niekiedy myślał, że gdyby tylko zdołał wykrzyć, jaki grzech popełniła, zgrzeszyłby tak samo – i też by nie był tutaj.

Alicja traktowała chłopców jednakowo, myśla ich i żywiła, a wszystko poza tym zostawiała ich ojcu, który wyraźnie i ostatecznie obwieścił, że fizyczne i umysłowe wychowanie synów jest jego wyłączną domeną. Nie zlecał nikomu nawet pochwał czy upomnień. Alicja nigdy nie narzekała, nie klóciła się, nie śmiała i nie płakała. Usta jej ułożyły się w linię, która niczego nie skrywała, niczego też nie ujawniając. Ale raz, gdy Adam był jeszcze całkiem mały, wszedł cicho do kuchni. Alicja go nie widziała. Cerowała skarpetki i uśmiechała się. Adam wycofał się ukradkiem, wybiegł na dwór i poszedł do zagajnika, do dobrze sobie znanej kryjówki za pewnym pnem. Wcisnął się głęboko pomiędzy opiekuńcze korzenie. Był tak wstrząśnięty, jak gdyby zobaczył Alicję nago. Oddychał w podnieceniu, chrapliwie. Albowiem Alicja istotnie była naga

– uśmiechała się. Zdumiało go, że miała odwagę pozwolić sobie na taką rozpustę. Pociągnęła go do niej boleśnie tęsknota namiętna i gorąca. Nie wiedział, co to jest, ale całe długotrwałe pozbawienie uścisków, kołysań i pieszczot, głód piersi i sutki, miękkości objęć, ciepłego tonu miłości i współczucia w głosie, słodkiego niepokoju – wszystko to odezwało się w jego namiętnej tęsknocie, a nie wiedział o tym, bo nie miał pojęcia, że takie rzeczy istnieją, więc jakże mógł odczuwać ich brak?

Przyszło mu oczywiście do głowy, że może się mylił, że może jakiś niefortunny cień padł mu na oczy i wypaczył widzenie. Wrócił więc myślą do ostro zarysowanego w mózgu obrazu i wiedział już, że jej oczy uśmiechały się także. Kaprys światła mógł spowodować jedno lub drugie, ale nie obie rzeczy na raz.

Zaczął więc podchodzić Alicję niczym zwierzynek, tak jak podchodził świstaki na pagórku, kiedy to dzień w dzień leżał nieruchomo niczym kamień i śledził stare, ostrożne zwierzęta, które wyprowadzały swe młode na słońce. Szpiegował ją z ukrycia, niepostrzeżenie zerkając kątem oka – i okazało się to prawdą. Czasem, gdy była sama i wiedziała, że jest sama, pozwalała swym myślom poigrać w ogrodzie i uśmiechała się. I wspaniale było obserwować, jak szybko potrafiła zapędzić uśmiech pod ziemię, na podobieństwo świstaków zaganiających do jamy swe dzieci.

Adam skrył ten skarb głęboko w swych tunelach, ale był skłonny zapłacić czymś za doznaną radość. Alicja zaczęła znajdować podarki w koszyku do robótek, w wytartej portmonetce, pod poduszką – dwa cynamonowe goździki polne, piórko z ogona kraski, kawałek zielonego laku, skradzioną gdzieś chusteczkę. Z początku się zdumiewała, ale potem jej i to przeszło i kiedy znajdowała jakiś niespodziewany prezent, ów ogrodowy uśmiech błyskał i znikał niby pstrąg przemykający przez smugę słońca w sadzawce. Nie zadawała pytań i nie wypowiadała żadnych uwag na ten temat.

Nocami jej kaszel stawał się bardzo ostry, tak głośny i uciążliwy, że Cyrus musiał w końcu przenieść ją do drugiego pokoju, gdyż inaczej nie mógłby zmrużyć oka. Ale odwiedzał ją bardzo często – podskakując na swej jedynej nodze i przytrzymując się ręką ściany. Chłopcy słyszeli i wyczuwali rumor, jaki czyniło jego ciało, kiedy kuśtykał do łóżka Alicji i z powrotem.

W miarę jak Adam dorastał, zaczynał się lękać jednej rzeczy bardziej niż wszystkiego innego. Bał się dnia, kiedy go zabiorą i zwerbują do wojska. Ojciec nigdy nie pozwalał mu zapomnieć, że taki dzień przyjdzie. Mówił o tym często. To właśnie Adamowi potrzebne było wojsko, ażeby zeń uczynić mężczyznę. Karol był już

właściwie mężczyzną. Był mężczyzną, i to niebezpiecznym mężczyzną, już w wieku lat piętnastu, kiedy Adam skończył szesnaście.

3

Wzajemne przywiązanie łączące obu chłopców wzrastało z biegiem lat. Możliwe, że jakąś częstką uczuć Karola była pogarda, ale pogarda opiekuńcza. Zdarzyło się pewnego wieczora, że chłopcy grali przed domem w pee-wee, nową dla nich grę. Na ziemi kładło się niewielki zaostriżony kijek, po czym uderzało go drążkiem w pobliżu końca. Mały kijek podskakiwał w górę, a wtedy drugim uderzeniem wybijało się go jak najdalej.

Adam nie miał zdolności do gier. Ale przez jakiś kaprys oka i wyliczenia czasu pobił brata w pee-wee. Cztery razy wyrzucił kijek dalej niż Karol. Było to dla niego nowe przeżycie, ogarnęło go szalone uniesienie, toteż nie obserwował i nie wyczuwał tak jak zazwyczaj nastroju brata. Kiedy po raz piąty wybił kijek, poleciał on brzęcząc jak osa daleko na pole. Adam uradowany obrócił się do brata i nagle poczuł jakby mróz w głębi piersi. Przeraziła go nienawiść malująca się na twarzy Karola.

– To chyba był przypadek – powiedział nieporadnie. – Na pewno nie potrafiłbym tak drugi raz.

Karol położył kijek i uderzył, a kiedy ten podskoczył w górę, zamachnął się i nie trafił. Karol podsunął się z wolna do Adama, oczy miał zimne i bezwzględne. Adam cofnął się w przerażeniu. Nie śmiał odwrócić się i uciekać, bo brat i tak by go dopędził. Cofał się powoli, z lękiem w oczach, z wyschniętym gardłem. Karol zbliżył się i trzasnął go drążkiem w twarz. Adam zasłonił rękami krwawiący nos, a Karol zamachnął się i uderzył go w żebra, wybił zeń oddech, rąbnął go w głowę i Adam stracił przytomność. A kiedy leżał zemdłony na ziemi, Karol kopnął go silnie w brzuch i odszedł.

Po jakimś czasie Adam odzyskał świadomość. Oddychał płytko, bo piersi go bolały. Popróbował usiąść, ale przewrócił się na wznak, gdyż targnął nim ból w rozbitych mięśniach brzucha. Ujrzał wyglądającą z domu Alicję i w jej twarzy dostrzegł coś, czego nigdy dotąd nie widział. Nie miał pojęcia, co to takiego, ale nie było to łagodne ani słabe i mogło być nienawiścią. Zauważyła, że patrzy na nią, opuściła firankę i znikła. Kiedy Adam wreszcie podniósł się z ziemi i zgięty we dwoje

wszedł do kuchni, zastał przygotowaną miednicę gorącej wody, a obok czysty ręcznik. Słyszał macochę kaszlącą w swoim pokoju.

Karol miał jedną wielką zaletę. Nigdy nie żałował tego, co zrobił. Ani razu nie wspomniał o tym pobiciu, najwyraźniej więcej o nim nie pomyślał. Natomiast Adam zapamiętał sobie, żeby już nigdy w nic nie wygrywać. Zawsze wyczuwał w bracie groźbę, ale teraz zrozumiał, że nie wolno mu być górą, jeżeli nie jest gotów zabić Karola. Karol nie żałował swego postępu. Po prostu wymierzył sobie satysfakcję.

Karol nie powiedział ojcu, co zrobił, nie powiedział też i Adam, a już z całą pewnością i nie Alicja – a przecież ojciec zdawał się wiedzieć. W następnych miesiącach odnosił się do Adama z łagodnością. Przemawiał do niego bardziej miękko. Przestał go karać. Niemal co wieczór dawał mu różne pouczenia, ale nie w sposób gwałtowny. A Adam lękał się bardziej tej łagodności niż przedtem ostrego traktowania, bo wydawało mu się, że przygotowują go na ofiarę, że niejako traktują go łagodnie przed śmiercią, podobnie jak hołubiono i pieszczono ofiary przeznaczone bogom, ażeby radośnie poszły na kamień i nie obraziły bogów żalnością.

Cyrus łagodnie wyjaśniał Adamowi, na czym polega istota służby żołnierskiej. I chociaż jego wiedza pochodziła raczej z dociekań niż z doświadczenia, wiedział przecież wszystko dokładnie. Mówił synowi o smutnej godności, jaka może cechować żołnierza, o tym, jak bardzo jest potrzebna w świetle wszystkich ludzkich niepowodzeń – skutków naszych słabości. Możliwe, że Cyrus odkrywał te rzeczy w sobie, w miarę jak o nich mówił. Bardzo to było odmienne od tamtej wymachującej sztandarem, krzykliwej wojowniczości z jego młodych lat. Żołnierza zasypuje się upokorzeniami – mówił Cyrus – po to, ażeby, gdy przyjdzie czas, nie brał zbyt do serca tego ostatecznego upokorzenia: bezsensownej i nędznej śmierci. I o tym wszystkim rozmawiał Cyrus z Adamem sam na sam, nie pozwalając przysłuchiwać się Karolowi.

Któregoś dnia przed wieczorem zabrał Adama na spacer i oto czarna konkluzja tych wszystkich pouczeń i rozumowań wyszła na jaw i oblała jego syna jakby stężonym przerażeniem. Powiedział:

– Trzeba ci wiedzieć, że żołnierz jest najbardziej uświęconym z ludzi, bo najciężej doświadczanym, najciężej ze wszystkich. Spróbuję ci to wytłumaczyć. Posłuchaj: od początku dziejów uczono ludzi, że zabicie człowieka jest złem, z którym nie wolno się pogodzić. Każdy, kto zabija, musi być zniszczony, bo to wielki grzech, może najgorszy, jaki znamy. I potem bierzemy żołnierza, dajemy mu do rąk broń i

mówimy: "Użyj jej dobrze, użyj mądrze". Nie nakładamy mu żadnych hamulców. "Idź i zabij tylu swych braci pewnej kategorii czy gatunku, ilu zdołasz. A my cię za to nagrodzimy, bo to jest pogwałceniem twojego pierwotnego wychowania".

Adam zwilżył wyschnięte wargi, spróbował zadać pytanie, nie zdołał i próbował raz jeszcze.

– Dlaczego trzeba to zrobić? – zapytał. – Czemu tak jest?

Cyrus był głęboko wzruszony i zaczął mówić tak, jak nigdy dotąd nie mówił.

– Nie wiem – powiedział. – Badałem to i może dowiedziałem się, jak rzeczy stoją, ale nawet nie zbliżyłem się do zrozumienia, dlaczego tak się dzieje. A ty nie powinieneś się spodziewać, iż stwierdzisz, że ludzie rozumieją, co czynią. Tyle rzeczy robi się instynktownie, podobnie jak pszczoła robi miód albo lis zanurza łapy w strumieniu, ażeby zwieść psy. Lis nie potrafi wyjaśnić, czemu tak postępuje, a któraż pszczoła pamięta o zimie czy spodziewa się jej powrotu? Kiedym już wiedział, że pójdiesz do wojska, pomyślałem, że zostawię ci przyszłość otwartą, tak żebyś mógł sam wygrzebywać sobie swoje znaleziska, ale potem wydało mi się, że lepiej będzie, jeżeli zdołam ochronić cię tą odrobiną wiadomości, jaką mam. Teraz już się niedługo zaciągniesz, doszedłeś do odpowiedniego wieku.

– Ja nie chcę – odparł szybko Adam.

– Zaciągniesz się niedługo – mówił ojciec, jakby nie słysząc. – Więc chcę ci to powiedzieć, żebyś nie miał niespodzianek. Najpierw zedrą z ciebie ubranie, ale posuną się jeszcze dalej. Oblupią cię z każdej drobiną godności, jaką masz – utracisz to, co ci się wydaje twoim dobrym prawem do życia, do życia w spokoju. Każą ci mieszkać, spać i srać razem z innymi ludźmi. A kiedy cię na powrót odzieją, nie potrafisz odróżnić siebie od pozostałych. Nie będzie ci wolno nosić żadnego świstka czy przypiąć sobie na piersiach kartki, na której byłoby napisane: "To jestem ja – odrębny od innych".

– Nie chcę tego – powiedział Adam.

– Po jakimś czasie – ciągnął Cyrus – nie potrafisz mieć żadnej myśli, której nie mają inni. Nie będziesz znał ani jednego słowa, którego inni nie umieją powiedzieć. I będziesz robił różne rzeczy dlatego, że robią je wszyscy. Zaczнеш wyczuwać niebezpieczeństwo w każdej odmienności, niebezpieczeństwo dla całej tej rzeszy jednakowo myślących, jednakowo postępujących ludzi.

– A jeżeli ze mną tak nie będzie? – zapytał Adam.

– Owszem – odrzekł Cyrus. – To się niekiedy zdarza. Od czasu do czasu trafia się człowiek, który nie chce robić tego, czego od niego żądają, i wtedy wiesz, co się dzieje? Cała machina nastawia się w sposób bezwzględny na zniszczenie jego inności. Póty będą ci chłostać żelazną różgą duszę i nerwy, ciało i umysł, póki ta niebezpieczna inność nie wylezie z ciebie. A jeśli w końcu nie potrafisz ulec, wyrzyciąją cię i zmalretowanego zostawią poza nawiasem – ni to ich cząstkę, ni to człowieka wolnego. Lepiej już przystosować się do nich. Oni to wszystko robią tylko dla własnej ochrony. Coś tak tryumfalnie nielogicznego, tak cudownie bezsensownego jak wojsko, nie może pozwolić, by osłabiła je jakakolwiek wątpliwość. Jeżeli nie będziesz go porównywał z czymś innym, by je wystawić na pośmiewisko, niewątpliwie doszukasz się w nim powoli pewnego rozsądku i logiki, i jakiegoś strasznie pięknego. Ten, kto potrafi się z tym pogodzić, nie zawsze jest gorszym, a czasem bywa nawet znacznie lepszym człowiekiem. Uważaj dobrze, co mówię, bo długo o tym myślałem. Są tacy, którzy pograżają się w posępne grzechawisko żołnierki, poddają się i tracą twarz. Ale ci od początku nie mieli zbyt wyraźnej twarzy. Możliwe, że ty jesteś taki. Jednakże są też inni, którzy zanurzają się głęboko, zatapiają w powszechnym bagnisku, a potem wypływają, będąc bardziej sobą niż przedtem, dlatego, że... że utracili małostkową próżność, a zyskali całe to złoto, jakim jest życie w kompanii czy pułku. Jeżeli potrafisz zejść tak nisko, zdołasz wypłynąć wyżej, niż sobie wyobrażasz, i poznasz świętą radość, koleżeństwo nieomal podobne do niebiańskiej przyjaźni aniołów. Wtedy potrafisz ocenić ludzi, nawet jeżeli milczą. Ale dopóki nie zejdziesz tak głęboko, nie będziesz mógł nigdy tego zaznać.

Kiedy wracali ku domowi, Cyrus skręcił w lewo i wszedł między drzewa zagajnika, gdzie ogarnął ich mrok. Nagle Adam powiedział:

– Widzisz tamten pień, ojczu? Zawsze chowałem się między korzeniami z drugiej strony. Kiedy mnie ukarałeś, chowałem się za nim, a czasem szedłem tam po prostu dlatego, że mi było źle.

– Chodźmy obejrzyć to miejsce – powiedział ojciec. Adam poprowadził go, a Cyrus przyjrzał się przypominającemu gniazdo zagłębieniu między korzeniami. – Wiedziałem o tym od dawna – rzekł. – Raz, gdy cię długo nie było, pomyślałem, że musisz mieć taką kryjówkę, i znalazłem ją, bo wyczuwałem, czego ci potrzeba. Widzisz, jak tu ziemia jest wygnieciona, a trawa powyrywana? Siedząc tu, łamałeś na drzazgi kawałki kory. Kiedy tutaj trafiłem, od razu wiedziałem, że to jest właśnie to miejsce.

Adam ze zdumieniem wpatrywał się w ojca.

– A nigdy mnie tu nie szukałeś – powiedział.

– Nie – odparł Cyrus. – Tego bym nie zrobił. Człowieka można popchnąć za daleko. Nie zrobiłbym tego. Zawsze trzeba zostawić każdemu jakąś ucieczkę przed śmiercią. Pamiętaj o tym! Myślę, że wiedziałem, jak silnie cię naciskam. Nie chciałem cię wypchnąć przez krawędź.

Podnieceni stali między drzewami. Cyrus rzekł:

– Tyle rzeczy chciałbym ci powiedzieć. A większość z nich zapomnę. Chcę ci powiedzieć, że żołnierz daje z siebie tak wiele po to, aby coś w zamian uzyskać. Od chwili przyjścia na świat wszystkie okoliczności, wszystkie ustawy, reguły i prawa uczą dziecko chronienia własnego życia. Od początku ma ono w sobie ten wielki instynkt, a każda rzecz go potwierdza. A potem zostaje żołnierzem i musi uczyć się gwałcić to wszystko – musi na zimno uczyć się wystawiania własnego życia na szwank bez popadnięcia w obłęd. I jeżeli potrafisz to osiągnąć, a pamiętaj, że niektórzy nie potrafią, wtedy będziesz miał największy ze wszystkich darów. Posłuchaj, synu – mówił Cyrus poważnie. – Prawie każdy człowiek się boi, i nawet nie wie, co powoduje jego lęk – jakieś cienie, troski, niebezpieczeństwa nie mające nazw ani cyfr, bojaźń przed nieokreśloną śmiercią. Jeżeli jednak potrafisz zdobyć się na to, by stanąć twarzą w twarz nie z cieniem, ale z prawdziwą śmiercią, dającą się opisać i rozpoznać, śmiercią od kuli czy szabli, strzały czy lancy, wtedy nie będziesz już musiał się bać, a przynajmniej nie w taki sposób jak przedtem. Wtedy będziesz człowiekiem wyodrębnionym spośród innych ludzi, bezpiecznym tam, gdzie inni krzyczą z przerażenia. To jest ta wielka nagroda. Możliwe, że jedyna. Może to jest najwyższa czystość, zewsząd otoczona brudem. Już się prawie ściemniło. Chciałbym jeszcze pogadać z tobą jutro wieczorem, kiedy obaj zastanowimy się nad tym, co ci powiedziałem.

Ale Adam zapytał:

– Dlaczego nie porozmawiasz z moim bratem? Przecież Karol pójdzie do wojska. Nada się do tego dobrze, o wiele lepiej niż ja.

– Karol nie pójdzie – odrzekł Cyrus. – To nie miałoby sensu.

– Ale on byłby lepszym żołnierzem.

– Tylko z wierzchu – odparł Cyrus. – Nie w środku. Karol nie jest strachliwy, więc nie nauczyłby się niczego, jeżeli idzie o odwagę. Nie wie nic o tym, co dzieje się poza nim, więc nigdy nie przyswoiłby sobie tych rzeczy, które starałem się ci wyjaśnić.

Oddać go do wojska znaczyłoby wyzwolić w nim to, co w Karolu powinno być na uwięzi, a nie wyzwolone. Nie miałbym odwagi posłać go do armii.

– Nigdy go nie karałeś, pozwalałeś mu żyć własnym życiem, chwaliłeś go, nie zameczałeś pracą, a teraz nie chcesz, żeby szedł do wojska – poskarżył się Adam i zamilkł wystraszony własnymi słowami, w obawie przed pasją, pogardą czy gwałtownością, jakie mogły rozkiełznać.

Ojciec nic nie odpowiedział. Wyszedł z zagajnika, głowę miał zwieszoną tak nisko, że broda opierała się na piersiach, a ruch jego biodra, które podnosiło się i opadało, kiedy drewniana noga dotykała ziemi, był monotony. Noga zakreślała półkole, by stąpać w przód, kiedy nadeszła jej kolej.

Było już zupełnie ciemno, a złote światło lamp błyszczało w otwartych drzwiach kuchni. Alicja stanęła w progu i wyjrzała na dwór, wypatrując ich; potem usłyszała zbliżające się nierówne kroki i zawróciła do kuchni.

Cyrus przystanął i podniósł głowę, dopiero gdy doszedł do kuchennego ganku.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Tu... zaraz za tobą... o, tutaj.

– Zadałeś mi pytanie. Zdaje się, że powinienem ci odpowiedzieć. Może zrobię dobrze, a może źle. Nie jesteś sprytny. Nie wiesz, czego chcesz. Nie masz w sobie dostatecznej zajadłości. Pozwalasz przeganiać się innym. Czasem myślę, że jesteś cherlakiem, który nigdy nie będzie wart nawet tyle, co psie łajno. Czy to jest odpowiedzią na twoje pytanie? Ciebie kocham bardziej. Zawsze tak było. Może i źle, że ci to mówię, ale to prawda. Ciebie kocham bardziej. Gdyby tak nie było, dlaczego zadawałbym sobie trud ranienia cię? A teraz nie mów nic i idź na kolację. Porozmawiam z tobą jutro wieczorem. Noga mnie boli.

4

Podczas kolacji nie było rozmów. Ciszę przerywało jedynie siorbanie zupy i odgłos przeżuwania, a ojciec odganiał ćmy od klosza lampy naftowej. Adamowi zdawało się, że brat ukradkiem go obserwuje. A kiedy nagle podniósł wzrok, pochwycił błysk spojrzenia Alicji. Skończywszy jeść odsunął krzesło.

– Chyba się trochę przejdę – powiedział.

Karol wstał.

– Pójdę z tobą.

Alicja i Cyrus popatrzyli za wychodzącymi chłopcami, po czym ona zadała jedno ze swoich tak rzadkich pytań.

– Coś ty zrobił? – spytała nerwowo.

– Nic – odparł.

– Oddasz go do wojska?

– Tak.

– I on już wie?

Cyrus zapatrzył się tępo w ciemność za otwartymi drzwiami.

– Tak, wie.

– Nie będzie mu to w smak. To nie dla niego.

– Nie szkodzi – odparł Cyrus i powtórzył głośno: – Nie szkodzi. – A jego ton zdawał się mówić: “Zamknij się. Nie twoja rzecz”. Milczeli przez chwilę, po czym rzekł, jakby się usprawiedliwiając: – Przecież to nie twoje dziecko.

Alicja nic nie odpowiedziała.

Chłopcy szli w ciemnościach wyboistą drogą. Przed sobą widzieli kilka wątych światełek tam, gdzie była wioska.

– Miałbyś chęć pójść zobaczyć, co się dzieje w karczmie? – zapytał Karol.

– Nie myślałem o tym – odrzekł Adam.

– To po cholere wychodzisz w nocy?

– Przecież ty nie musiałeś iść – powiedział Adam.

Karol przysunął się do niego.

– Co on ci mówił dziś po południu? Widziałem, żeście razem chodzili. Co powiedział?

– A, tylko mówił o wojsku... jak zwykle.

– Coś mi się nie widzi – rzekł podejrzliwie Karol. – Zauważyłem, że przysuwał się do ciebie i rozmawiał tak, jak rozmawia z mężczyznami... nie mówił, a rozmawiał.

– Owszem, mówił – odparł cierpliwie Adam i zaraz musiał zapanować nad oddechem, bo odrobina lęku zaczęła mu ścisnąć żołądek. Nabrał tchu, jak mógł najgłębiej, i zatrzymał go w piersiach, żeby odepchnąć strach.

– Co ci mówił? – zapytał znowu Karol.

– A o wojsku i o tym, jak to jest, kiedy się zostanie żołnierzem.

– Nie wierzę ci – odparł Karol. – Moim zdaniem, jesteś parszywy, zapluty łgarz. Co ty chcesz tu kręcić?

– Nic – odpowiedział Adam.

Karol rzekł ostro:

– Twoja zwariowana matka utopiła się. Pewnie jak ci się przyjrzała. To musiał być powód.

Adam delikatnie wypuścił oddech, tłumiąc przeraźliwy strach. Milczał. Karol krzyknął:

– Chcesz go sobie zabrać! Nie wiem, jakie tam masz sposoby. Co ci się zdaje?

– Nic – odpowiedział Adam.

Karol jednym skokiem zagroził mu drogę, tak że Adam musiał przystanąć, nieomal dotykając piersią piersi brata. Cofnął się, ale ostrożnie, tak jak człowiek cofa się przed wężem.

– Przypomnij sobie jego urodziny! – krzyknął Karol.

– Uskładałem siedemdziesiąt pięć centów i kupiłem mu niemiecki scyzoryk: trzy ostrza i korkociąg, rączka, okładana masą perłową. I gdzie ten scyzoryk? Widziałeś kiedy, żeby go używał? Może tobie go podarował? Nigdy nie zauważyłem, żeby go ostrzył. Masz ten scyzoryk w kieszeni? Co on z nim zrobił? “Dziękuję” – powiedział, ot tak. I tyłem słyszał o niemieckim scyzoryku z masy perłowej, który kosztował siedemdziesiąt pięć centów.

W głosie jego brzmiała wściekłość i Adam czuł strach pełną po ciele, ale wiedział też, że ma jeszcze chwilę czasu. Zbyt często widywał tę niszczącą maszynę, która miażdżyła wszystko, co stało na jej drodze. Najpierw przychodziła wściekłość, a potem chłód, opanowanie, nieczułe oczy i zadowolony uśmiezek, i już nie głośne słowa, tylko szept. Kiedy to się działo, mord wisiał w powietrzu, ale mord chłodny, wprawny, ręce pracujące precyzyjnie, delikatnie. Adam przełknął ślinę, by zwilżyć wyschniętą krtań. Nie wiedział, co powiedzieć, żeby to doszło do świadomości brata, bo kiedy Karol wpadł w furję, nie chciał słuchać, nawet nie mógł usłyszeć. Przed Adamem czerniała już masywna sylwetka, niższa, bardziej rozłożysta i krzepka, ale jeszcze nie skulona do skoku. W świetle gwiazd lśniły wilgocią jego wargi, ale uśmiezkowi dotąd nie było, a głos nadal szalał wściekłością.

– A co ty zrobiłeś na jego urodziny? Myślisz, że nie widziałem? Wydałeś siedemdziesiąt pięć czy choćby pięćdziesiąt centów? Przyniosłeś mu jakiegoś kundla, którego znalazłeś w zagajniku. Śmiałeś się jak głupi i mówiłeś, że z niego będzie dobry pies myśliwski. Ten pies sypia w jego pokoju. Ojciec bawi się z nim, kiedy czyta. I już go całkiem wytresował. A scyzoryk gdzie? “Dziękuję” – powiedział; tylko “dziękuję”.

Karol mówił teraz szeptem, opuszczając ramiona.

Adam jednym rozpaczliwym susem odskoczył w tył i rękami zasłonił twarz. Brat szedł ku niemu odmierzonymi krokami, mocno stawiając nogi. Jedna pięść, wyrzucona delikatnie, zmacała odległość, a potem zaczęła się straszna, zimna młocka: twardy cios w żołądek – i ręce Adama opadły – następnie cztery uderzenia w twarz. Adam poczuł, jak chrupnęła mu kość i chrząstka nosowa. Znowu poderwał ręce do twarzy i wtedy Karol rąbnął go w serce. A przez cały ten czas Adam patrzył na brata tak, jak bezradny i otumaniony skazaniec na oprawcę.

Nagle, ku swemu własnemu zdumieniu, Adam zadał mu na odlew szalony, nieszkodliwy cios, który nie miał ani siły, ani kierunku. Karol uchylił się i bezwładna ręka oplotła mu szyję. Adam pochwycił oburącz brata i przywarł do niego łkając. Czuł twarde pięści wtlukujące mu mdłości w żołądek, ale nie puszczał. Czas niejako zwolnił dla niego. Wyczuwał całym sobą, że brat przesuwają się nieco w bok, ażeby rozewrzeć mu nogi. Poczul też kolano sunące coraz wyżej, mijające jego kolana, wciskające się między uda – aż wreszcie grzmotnęło go w jądra i wtedy biały blask bólu rozdarł i przeniknął echem jego ciało. Ręce Adama opadły. Pochylił się i zwymiotował, podczas gdy nadal trwała zimna, mordercza młocka.

Adam czuł uderzenia na skroniach, policzkach, oczach. Czuł, że warga mu pęka i zwisa strzępem na zęby, ale skóra zdawała się zgrubiała i niewrażliwa, jak gdyby cały tkwił w powłoce z grubej gumy. Otepiałe zastanowił się, dlaczego nogi mu się nie uginają, dlaczego nie pada, nie traci przytomności. Bicie trwało bez końca. Słyszał brata dyszącego szybko, urywanie, jak człowiek, który macha ciężkim młotem, a w mdłym świetle gwiazd widział go wśród mroku poprzez rozcieńczoną łzami krew spływającą mu z oczu. Widział niewinne, obojętne oczy, uśmiezek na wilgotnych wargach. I kiedy na to patrzył – nagły błysk i ciemność.

Karol stał nad nim, chwytając ustami powietrze jak zziąjany pies. A potem odwrócił się i ruszył szybko ku domowi, rozcierając po drodze obtłuczone knykie.

Przytomność powróciła Adamowi nagle i przerażająco. Jego umysł kotłował się w bolesnym tumanie. Ciało było ciężkie i nasiąknięte bólem. Ale niemal natychmiast zapomniał o swoich obrażeniach. Dosłyszał szybkie kroki na drodze. Zbudził się w nim instynktowny lęk i czujność szczura. Dźwignął się na kolana i zwłókł z drogi do osuszającego ją rowu. W rowie stała woda na stopę głęboko, a po obu stronach rosła wysoka trawa. Adam schołał się cicho do wody, uważając, żeby uniknąć plusku.

Kroki przybliżyły się, zwolniły, posunęły się nieco dalej, zawróciły. Ze swej kryjówki Adam widział jedynie coś ciemniejszego wśród mroku. Potem błysnęła siarkowa zapalka i rozżarzyła się niebieskim ognikiem, dopóki nie zapłonęło drewnienko oświetlające groteskowo od dołu twarz jego brata. Karol podniósł wyżej zapalkę i rozejrzał się wokoło, a Adam dostrzegł w jego ręce toporek.

Kiedy zapalka zgasła, noc wydała się jeszcze czarniejsza niż przedtem. Karol poszedł z wolna dalej, potarł następną zapalkę, znów postąpił naprzód i zapalił jeszcze jedną. Szukał śladów na drodze. Wreszcie dał za wygraną. Jego prawa ręka podniosła się i odrzuciła toporek daleko na pole. Szybkim krokiem oddalił się w stronę wątych światełek wsi.

Adam długo leżał w chłodnej wodzie. Zastanawiał się, co czuje brat, czy teraz, kiedy jego pasja stygnie, doświadczy trwogi, żalu, wyrzutów sumienia – czy też po prostu niczego. To wszystko czuł za Karola. Sumienie Adama było więzią między nim a bratem, cierpiało za niego, podobnie jak nieraz Adam wykonywał za Karola domową robotę.

Wyczołgał się z wody i wstał. Okaleczenia drętwiały, a krew mu krzepła w skorupę na twarzy. Pomyślał, że pozostanie tutaj, w ciemnościach, dopóki ojciec i Alicja nie położą się spać. Czuł, że nie zdoła odpowiadać na żadne pytania, bo nie wiedział, co mówić, a szukanie odpowiedzi było zbyt żmudne dla jego skołatanego umysłu. Błyskające błękitnawymi ognikami zamroczenie osiadało mu na czole i wiedział, że niedługo zemdleje.

Powłókł się wolno drogą, na szeroko rozkraczonych nogach. Przed gankiem przystanął i zajrzał do wnętrza. Lampa wisząca na łańcuszku u powały rzucała żółty krąg i oświetlała Alicję oraz stojący przed nią na stole koszyk do szycia. Naprzeciw ojciec pogryzał drewnianą obsadkę pióra, które zanurzał w buteleczce atramentu, zapisując coś w swej czarnej książce rachunkowej.

Alicja podniósłszy wzrok ujrzała zakrwawioną twarz Adama. Dłoń jej poderwała się do ust, a palce zacisnęły na dolnych zębach.

Adam powłócząc nogami postąpił jeden krok, potem drugi i oparł się o framugę drzwi.

Wtedy Cyrus podniósł głowę. Popatrzył z jakimś dalekim zaciekawieniem. Powoli uświadomił sobie tożsamość tej zniekształconej twarzy. Wstał zaskoczony, zdumiony. Wetknął drewnianą obsadkę w buteleczkę i otarł palce o spodnie.

– Dlaczego on to zrobił? – zapytał z cicha.

Adam chciał odpowiedzieć, ale usta miał zdrętwiałe i suche. Przesunął językiem po wargach, co sprawiło, że znowu zaczęły krwawić.

– Nie wiem – odrzekł.

Cyrus pokuśtykał do niego i chwycił go za ramię tak zaciekle, że Adam skrzywił się i próbował odsunąć.

– Nie kłam mi! Dlaczego to zrobił? Pokłóciliście się?

– Nie.

Cyrus szarpnął go.

– Mów! Chcę wiedzieć. Mów! Będziesz mi musiał powiedzieć. Ja cię zmuszę! Psiakrew, ty zawsze go zasłaniasz! Myślisz, że o tym nie wiem? Zdawało ci się, że mnie oszukasz? No, gadaj, bo jak mi Bóg miły, przetrzymam cię tak całą noc!

Adam szukał odpowiedzi.

– On uważa, że ojciec go nie kocha.

Cyrus puścił jego rękę, utykając wrócił do krzesła i usiadł. Potrząsnął piórem w buteleczce i wpatrzył się nie widzącymi oczyma w książkę rachunkową.

– Alicjo – powiedział. – Odprowadź Adama do łóżka. Pewnie będziesz musiała rozciąć mu koszulę. Pomóż mu iść.

Wstał znowu, poszedł w kąt pokoju, gdzie na gwoździach wisiały płaszcze, i sięgnąwszy pod nie wyciągnął strzelbę, złamał ją, żeby sprawdzić, czy jest naładowana, i wyszedł ociężale.

Alicja podniosła rękę, jak gdyby chciała go przytrzymać niewidzialnym sznurem. Ale ten sznur pękł, a jej twarz zaraz utaiła wszelkie myśli.

– Idź do swojego pokoju – rzekła. – Przyniosę ci wody w miednicy.

Adam leżał na łóżku, przykryty do pasa prześcieradłem, a Alicja obmywała mu okaleczenia szmatką namoczoną w ciepłej wodzie. Długo milczała, a potem dokończyła słów Adama tak, jakby nie było po nich żadnej przerwy:

– Uważa, że ojciec go nie kocha. Ale ty go kochasz... i zawsze kochałeś.

Adam nic nie odpowiedział.

Mówiła dalej spokojnie:

– To dziwny chłopak. Trzeba go znać... cały jest jakby w szorstkiej skorupie, cały ze złości, dopóki się go nie pozna. – Przerwała, żeby odkaslnąć, pochyliła się i rozkaszała, a kiedy jej to przeszło, miała wypieki na policzkach i widać było, że jest wyczerpana. – Trzeba go znać – powtórzyła. – Od dłuższego czasu daje mi drobne prezenty, różne ładniutki drobiazgi, których na pozór nawet nie potrafiłby zauważyć.

Ale nie daje mi ich wprost. Podrzuca je tam, gdzie wie, że muszę je znaleźć. I można mu się przyglądać godzinami, a najdrobniejszym znakiem nie zdradzi, że to on zrobił. Trzeba go znać.

Uśmiechnęła się do Adama, a on przymknął oczy.

ROZDZIAŁ IV

1

Karol stał przed szynkwasem w karczmie i śmiał się wesoło z dykteryjek opowiadanych przez wędrownych przekupniów, którzy tu ściągali pod wieczór. Wydobył kapciuch do tytoniu zawierający skąpy zapasik brzęczącego srebra i postawił im kolację, żeby gadali dalej. Stał, szczerząc zęby i rozcierał obtłuczone knykie. A kiedy jego towarzysze przyjmując poczęstunek wznieśli szklanki i zawołali: "Wasze zdrowie!" – Karol był zachwycony. Zamówił jeszcze po kieliszku dla swoich nowych przyjaciół, a potem przeniósł się z nimi gdzie indziej na dalszą hulanke.

Kiedy Cyrus wyszedł w noc, przepełnił go rozpaczliwy gniew na Karola. Rozejrzał się po drodze, szukając syna, a potem poszedł po niego do karczmy, ale Karola już tam nie było. Prawdopodobnie gdyby go znalazł tej nocy, byłby go zabił albo spróbował go zabić. Obrót, jaki przyjmują wielkie wydarzenia, może odmienić bieg dziejów, ale przypuszczalnie każde wydarzenie ma w jakimś stopniu podobny skutek, aż po czyjeś potknięcie się o kamień na ścieżce czy oddech zatrzymany w piersiach na widok ładnej dziewczyny, czy choćby paznokieć złamany przy pracy w ogrodzie.

Naturalnie Karol dowiedział się niebawem, że ojciec go szuka ze strzelbą. Ukrywał się przez dwa tygodnie, a kiedy w końcu wrócił, żądza mordy stopniała już do zwykłego gniewu i zapłacił za swój postępek pracą nad siły i fałszywą, teatralną pokorą.

Adam przeleżał cztery dni w łóżku, tak drętwy i obolały, że nie mógł poruszyć się bez jęku. Trzeciego dnia ojciec dał świadectwo swych wpływów w kołach wojskowych. Uczynił z tego balsam dla własnej dumy, a także coś w rodzaju nagrody dla Adama. Do domu, do sypialni Adama, wkroczył rotmistrz kawalerii i dwóch wachmistrzów w granatowych mundurach. Dwaj luzacy trzymali ich konie przed domem. Leżąc w łóżku Adam został zwerbowany do armii jako szeregowiec kawalerii. Podpisał Artykuły Wojenne i złożył przysięgę, czemu przyglądali się ojciec i Alicja. A oczy ojca błyszczały od łez.

Kiedy wojskowi odjechali, ojciec przesiedział przy nim długą chwilę.

– Oddałem cię do kawalerii nie bez powodu – powiedział. – Życie w koszarach nie jest dobre na dłuższą metę. Natomiast kawaleria ma teraz coś do zrobienia. O tym się upewniłem. Spodoba ci się wyprawa do kraju Indian. Szykuje się akcja. Nie mogę ci powiedzieć, skąd to wiem. Ale niedługo będzie walka.

– Tak jest – powiedział Adam.

2

Zawsze wydawało mi się dziwne, że właśnie najczęściej ludzie pokroju Adama muszą się trudnić żołnierką. Trzeba zacząć od tego, że nie miał zamiłowania do walki i nie tylko jej nie lubił, jak to się zdarzało niektórym, ale wręcz czuł rosnącą odrazę do gwałtu. Parokrotnie przełożeni oficerowie obserwowali go bacznie, chcąc zbadać, czy nie jest symulantem, ale nie wysunięto przeciw niemu żadnych oskarżeń. W ciągu tych pięciu lat służby Adam wykonał więcej codziennej pracy niż ktokolwiek inny w szwadronie, ale jeżeli zabił jakiegoś nieprzyjaciela, było to wynikiem przypadkowego rykoszetu. Ponieważ był dobrym, a nawet wyborowym strzelcem, więc miał specjalną łatwość nietrafiania w cel. Tymczasem walki z Indianami zaczęły przypominać niebezpieczny spęd bydła; plemiona przywodzone do buntu, wypierano i dziesiątkowano, a smętne, zgnębione resztki osiedlały się na głodowej ziemi. Nie była to piękna robota, ale z uwagi na kierunek rozwoju kraju musiano ją wykonywać.

Adamowi, który był jedynie narzędziem i nie widział przyszłych gospodarstw rolnych, tylko poszarpane brzuchy wspaniałych istot ludzkich, wydawało się to oburzające i niepotrzebne. Kiedy strzelał z karabinu tak, żeby nie trafić, popełniał zdradę wobec własnego oddziału i było mu to obojętne. Kształtowała się w nim zasada niezadawania gwałtu, aż wreszcie stała się takim samym przesądem jak każdy inny ogłupiający przesąd. Wyrządzenie komukolwiek krzywdy w jakimkolwiek celu stało mu się nienawistne. Ten stan uczuciowy – bo nim to niewątpliwie było – przemienił się w obsesję, aż wreszcie wyrugował ze swego zasięgu wszelkie inne myśli. Mimo to w aktach wojskowych Adama nie znalazłbyś żadnej wzmianki o tchórzostwie. Ba, nawet otrzymał trzykrotnie pochwałę, a potem został odznaczony za dzielność.

W miarę jak coraz bardziej i bardziej buntował się przeciw gwałtowi, jego skłonności przybierały przeciwny kierunek. Kilkakrotnie ryzykował życiem, ażeby przydzwigać rannych żołnierzy. Zgłaszał się ochotniczo do pracy w szpitalach

polowych nawet wtedy, gdy był wyczerpany po pełnieniu codziennych obowiązków. Koledzy odnosili się do niego z nieco wzgardliwą serdecznością i tą nie wypowiedaną głośno obawą, jaką ludzie czują przed impulsami, których nie mogą zrozumieć.

Karol regularnie pisywał do brata – o farmie i wiosce, o chorych krowach i kłaczy, która się oźrebiła, o dokupionych pastwiskach i stodole trafionej piorunem, o śmierci Alicji, którą zadławiły suchoty, i o objęciu przez ojca stałej, płatnej posady przy dowództwie Wielkiej Armii w Waszyngtonie. Podobnie jak wiele osób, Karol, który nie potrafił mówić, umiał się wypisać. Opowiadał o swojej samotności i kłopotach, wylewał na papier rzeczy, których sam o sobie nie wiedział.

Przez czas swej nieobecności w domu Adam poznał brata lepiej niż kiedykolwiek przedtem czy potem. Wymiana listów wytworzyła między nimi taką bliskość, jakiej żaden nie mógłby sobie wyobrazić.

Adam zachował jeden list od brata, nie dlatego żeby go w pełni rozumiał, ale że zdawał się mieć jakieś ukryte znaczenie, którego Adam nie potrafił rozgryźć. *Drogi bracie Adamie!* – brzmiał list. – *Biorę do ręki pióro w nadziei, że cieszysz się dobrym zdrowiem. – Zawsze zaczynam w ten sposób, ażeby stopniowo wciągnąć się w trud pisania. – Nie dostałem odpowiedzi na swój ostatni list, ale przypuszczam, że masz co innego do roboty (cha, cha!). Deszcze przyszły nie w porę i zmarnowały kwiat na jabłoniach. Nie będzie wiele jabłek do jedzenia tej zimy, ale odłożę, ile mi się uda. Dziś wieczorem wyszorowałem cały dom i wszędzie pachnie mydłem, i jest mokro, ale chyba nic nie czyściej. Jak myślisz,, co Matka robiła, żeby utrzymać taki porządek? Teraz, dom nie wygląda jak dawniej. Coś na nim osiada. Nie wiem co, ale nie chce się doszorować. W każdym razie rozproszylem cały brud równiej. Cha, cha!*

Czy Ojciec pisał ci o swojej podróży? Pojechał prosto do San Francisco w Kalifornii na jakiś obóz, Wielkiej Armii. Ma tam być Sekretarz Wojny i Ojciec go zaprezentuje. Ale dla Ojca to nie żadna nowina. Widział już, kilka razy Prezydenta i nawet był na kolacji w Białym Domu. Chciałbym zobaczyć Biały Dom. Może się wybierzemy we dwójkę, jak przyjedziesz. Ojciec mógłby nas ugościć przez kilka dni, a zresztą chciałby zobaczyć się z tobą.

Myślę, że powinienem rozejrzeć się za żoną. Nasza farma jest dobra, a chociaż, ze mnie nie żaden rarytas, przecież, niejedna dziewczyna zgodziłaby się na coś gorszego niż ta farma. Jak myślisz? Nie pisałeś, czy po wyjściu z wojska zamieszkaż w naszym domu. Mam nadzieję, że tak. Brak mi ciebie.

Tu urywało się pismo. Na stronicy widniał gryzmoł z kleksem, a potem dalszy ciąg zaczynał się ołówkiem, ale charakter pisma był inny.

Ołówkiem napisane było: *Trochę później. No, akuratnie wykończyło mi się pióro. Złamała mi się stalówka. Będę musiał kupić we wsi nową; tę zżarła rdza.*

Słowa zaczynały płynąć gładziej: *Pewnie powinienem był poczekać na nową stalówkę i nie pisać ołówkiem. Tylko że tak tu siedziałem w kuchni przy zapalanej lampie i zdaje się, że zacząłem rozmyślać, aż się zrobiło późno – już chyba po północy, ale nie patrzyłem. Stary Czarny Joe zaczął już piąć w kurniku. A potem ten bujający fotel Matki zaskrzypiał kubek w kubek tak, jak by w nim siedziała. Wiesz, że się tym nie przejmuję, ale wtedy zaczynam myśleć o dawnych czasach, no wiesz, jak to bywa. Prawdopodobnie podrę ten list, bo na co wypisywać takie rzeczy.*

Teraz słowa zaczynały gnać, jak gdyby nie mogły nadążyć. *Jeżeli już mam to z siebie wyrzucić, to najlepiej wszystko napisać – brzmiał list. – To jest tak, jak by cały dom ożył i miał wszędzie oczy i jak by za drzwiami ktoś stał, gotów wejść, jak tylko spojrzysz w inną stronę. Aż mi ciarki chodzą po skórcie. Chcę powiedzieć... chcę powiedzieć... to znaczy, nigdy nie zrozumiałem... no, dlaczego ojciec tak zrobił. To znaczy, dlaczego nie podobał mu się ten scyzoryk, co to mu kupiłem na urodziny. Dlaczego? To był porządny scyzoryk, a on potrzebował porządnego scyzoryka. Gdyby go używał czy chociaż ostrzył albo czasem wyjął z kieszeni i obejrzał – to by mi wystarczyło. Gdyby go był lubił, nie napadłbym wtedy na ciebie. A tak – musiałem. Wydaje mi się, że fotel Matki kołysze się trochę. To tylko światło. Nie przejmuję się tym. Takie mam wrażenie, jakby coś było nie dokończone. Jak wtedy, gdy przerwiesz pracę w połowie i potem nawet nie pamiętasz, co to było. Czegoś się nie zrobiło. Ja nie powinienem tu być. Powinienem wędrować po świecie zamiast tu siedzieć na dobrej farmie i rozglądać się za żoną. Coś jest nie w porządku, jakby nie dokończone, jak by się stało za wcześnie i przez to coś pominęło. To ja powinienem być tam, gdzie ty, a ty tutaj. Dawniej nigdy tak nie myślałem. Może to dlatego, że jest późno – później niżby się zdawało. Właśnie wyjrzałem i już świta. Chyba nie zdrzemnąłem się ani na chwilę. Jakże ta noc mogła tak szybko przelecieć? Nie mogę teraz położyć się do łóżka. I tak bym nie zasnął.*

List nie był podpisany. Możliwe, że Karol zapomniał, że zamierzał go zniszczyć, i wysłał go. Ale Adam zachował ten list przez pewien czas i ilekroć go odczytywał, czuł dreszcz nie wiedząc dlaczego.

ROZDZIAŁ V

1

Na ranczo zaczęli dorastać mali Hamiltonowie, a co rok przybywał nowy. Jerzy był wysokim, przystojnym, pełnym łagodności i słodczy chłopakiem, który od małego odznaczał się pewną ogładą. Już jako dziecko był grzeczny i, jak to się mówi, "łatwy". Po ojcu odziedziczył schludność odzienia, ciała i włosów i nigdy nie wydawał się nieporządnie ubrany, nawet jeżeli tak było. Jerzy, chłopiec bezgrzeszny, wyrósł na bezgrzesznego mężczyznę. Nigdy nie przypisano mu występku popełnionego z rozmysłu, a jego występki wynikające z zaniedbania były ledwie wykroczeniami. Kiedy osiągnął wiek średni, mniej więcej w czasie, gdy takie rzeczy stały się znane, wykryto, że ma złośliwą anemię. Możliwe, że jego cnotliwość żywiła się brakiem energii.

Następnym z kolei był Will, przysadzisty i flegmatyczny. Will miał mało wyobraźni, ale za to ogromną energię. Od dzieciństwa potrafił ciężko pracować, jeżeli ktoś mu powiedział, co ma robić, a kiedy mu już raz powiedziano, bywał niezmordowany. Był także konserwatystą, nie tylko w polityce, ale we wszystkim. Wszelkie nowinki uważał za rewolucyjne i unikał ich z podejrzliwością i niesmakiem. Will lubił żyć tak, żeby nikt nie mógł mu nic zarzucić, aby zaś to osiągnąć, musiał żyć możliwie najpodobniej do innych ludzi.

Możliwe, że ojciec Willa miał coś wspólnego z jego niechęcią do wszelkich zmian czy urozmaiceń. Kiedy Will zaczął dorastać, ojciec przebywał w dolinie Salinas od zbyt niedawna, aby go tam uznawano za "starego kumpla". Był w istocie obcokrajowcem i Irlandczykiem. W owym czasie Irlandczyków bardzo nie lubiano w Ameryce. Odnoszono się do nich z pogardą, zwłaszcza na Wschodnim Wybrzeżu, ale coś z tego musiało przesiąknąć i na Zachód. A Samuel miał nie tylko skłonność do urozmaiceń, ale był człowiekiem nowych pomysłów i innowacji. W małych, odciętych od świata społecznościach zawsze traktują takiego podejrzliwie, dopóki nie dowiedzie, że nie jest niebezpieczny dla innych. Człowiek tak błyskotliwy jak Samuel mógł i może sprawić wiele kłopotu. Może na przykład okazać się zbyt pociągający dla żon mężczyzn, którzy wiedzą, że sami są nieciekawi. Poza tym było jeszcze jego wykształcenie i odczytanie, książki, które kupował i wypożyczał, wiedza o rzeczach nie przeznaczonych ani do jedzenia, ani do noszenia, ani do mieszkania, zainteresowanie poezją i szacunek dla dobrego pisarstwa. Gdyby Samuel był bogaty, tak jak

Thorne'owie czy Delmarowie, którzy posiadali wielkie domy i rozległe grunty, miałyby na pewno dużą bibliotekę.

Delmarowie mieli bibliotekę, a w niej nie tylko książki – i całą wykładaną dębiną. Samuel, wypożyczając je, przeczytał znacznie więcej książek Delmarów niż oni sami. W owych czasach bogaty człowiek z wykształceniem był do przyjęcia. Mógł posyłać synów do college'u bez narażania się na czyjeś uwagi, mógł nosić kamizelkę, białą koszulę i krawat w dni powszednie, mógł chodzić w rękawiczkach i utrzymywać paznokcie w czystości. A jako że życie i praktyki ludzi bogatych były otoczone tajemnicą, więc ktoś wiedział, czego tacy mogli używać czy nie używać? Natomiast człowiek ubogi – na co mu poezja, malarstwo czy muzyka nie nadająca się do śpiewu lub tańca? Takie rzeczy nie pomagały mu przy zbieraniu plonów lub dbaniu o to, by dzieci miały co włożyć na grzbiet. A jeśli mimo to trwał przy swoim, to bardzo możliwe, że miał jakieś powody, które nie ostałyby się w świetle dokładniejszych badań.

Weźmy na przykład Samuela. Sporządzał on rysunki rzeczy, które zamierzał wykonać z żelaza czy drewna. To było słuszne i zrozumiałe, nawet godne pozazdroszczenia. Ale na marginesach tych planów rysował inne rzeczy: czasami drzewa, to znowu twarze albo zwierzęta bądź robaki, czasem po prostu różne figury, których ani rusz nie można było wyrozumieć. Na ich widok ludzie śmiali się niepewnie, z zakłopotaniem. Poza tym nigdy nie wiedziało się z góry, co Samuel pomyśli, powie czy zrobi – można było spodziewać się wszystkiego.

Przez pierwsze kilka lat po przybyciu Samuela do doliny Salinas otaczała go nieuchwytna nieufność. I kto wie, czy Will, jako mały chłopiec, nie słyszał pewnych rozmów w składzie w San Lucas. Mali chłopcy nie chcą, by ich ojcowie różnili się od innych ludzi. Will mógł właśnie wtedy nabrać konserwatywnych poglądów. Później, kiedy przybywały i dorastały następne dzieci, Samuel należał już do doliny, która była z niego dumna, tak jak dumny jest człowiek posiadający pawia. Już go się nie obawiali, bo nie uwodził im żon ani ich nie wywabiał ze słodkiej przeciętności. Dolina Salinas przywiązała się do Samuela, lecz w tym czasie Will był już całkowicie uformowany.

Niektóre jednostki, bynajmniej nie zawsze na to zasługując, są prawdziwymi ulubieńcami bogów. Wszystko im pcha się w ręce bez żadnych wysiłków czy planów z ich strony. Do takich należał Will Hamilton. A dary, jakie otrzymywał, były tymi właśnie, które potrafił ocenić. Już jako dorastający chłopiec Will miał szczęście. O ile

jego ojciec nie potrafił robić pieniędzy, to Will musiał je robić, czy chciał, czy nie chciał. Kiedy hodował drób, a jego kury zaczęły się nieść, podniosła się cena jajek. Gdy był młodym człowiekiem, dwaj jego przyjaciele, prowadzący niewielki sklep, doszli do skrajnie sromotnego bankructwa, wobec czego poprosili Willa, żeby im pożyczył trochę pieniędzy na zapłacenie kwartalnych rachunków, i zaoferowali mu na pociechę jedną trzecią udziałów. Nie okazał się sknerą. Dał im, o co prosili. Sklep stanął na nogi w ciągu roku, rozwinął się po dwóch latach, po trzech zaczął otwierać filie, obecnie zaś spadkobiercy tej firmy, tworząc ogromną sieć handlową, opanowali znaczną część tamtych obszarów.

Will przejął także za długi warsztat naprawy rowerów. Potem kilku bogatych ludzi z doliny kupiło samochody i jego mechanik zaczął przy nich pracować. Willowi dodał bodźca pewien zdeterminowany poeta, którego marzenia wyrażały się w mosiądzu, żeliwie i gumie. Nazwisko tego człowieka brzmiało Henryk Ford, a jego projekty były wręcz śmieszne, jeżeli nie karygodne. Will niechętnie uznał południową połowę doliny za jego wyłączny teren i w ciągu piętnastu lat dolina została zarzucona Fordami, a Will stał się bogatym człowiekiem prowadzącym własnego Marmona.

Tom, trzeci syn, był najbardziej podobny do ojca. Urodził się w pasji, a żył w błyskawicach. Tom rzucił się w życie na łeb, na szyję. Był gigantem radości i entuzjazmu. Nie odkrywał świata i ludzi; sam ich tworzył. Kiedy czytał książki ojca, zdawało mu się, że jest pierwszym, który je otwiera. Żył w świecie tak lśniącym świeżością i tak niezbadanym jak Eden dnia szóstego. Umysł jego hasał niby żreback po radosnym pastwisku, a kiedy później świat zaczął wznosić dokoła bariery, on rzucił się na druty, gdy zaś otoczyła go zewsząd ostateczna palisada, przebił się przez nią na wylot. I podobnie jak był zdolny do gigantycznej radości, potrafił też ulegać olbrzymiemu smutkowi, tak że gdy zdechł mu pies, świat cały się zawalił.

Tom był również pomysłowy jak ojciec, ale śmielszy. Próbował różnych rzeczy, na które ojciec by się nie ważył. Prócz tego dawały mu ostrogę potężne żądze, których Samuel nie znał. Możliwe, że to właśnie ów natarczywy popęd płciowy zmusił go do pozostania kawalerem. Urodził się w wysoce moralnej rodzinie. Kto wie, czy jego marzenia i tęsknoty, a także – skoro już o tym mowa – i ujścia, jakie im dawał, nie budziły w nim poczucia, że jest niegodny, nie wypędzały czasem jęczącego w góry. Tom był zabawną mieszaniną dzikości i łagodności. Pracował nieludzko, byleby tylko przez wysiłek pozbyć się owych dręczących pożądań.

Irlandczycy odznaczają się jakąś rozpaczliwą wesołością, ale krąży też pośród nich surowy i posepny duch, który im siada na ramionach i zagłęda w myśli. Niech tylko zaśmieją się zbyt głośno, a już wtyka im długi palec w krtań. Potępiają sami siebie, zanim ich ktokolwiek oskarży, i to sprawia, że stale są w defensywie.

Kiedy Tom liczył sobie lat dziewięć, zamartwiał się, gdyż jego śliczna siostrzyczka Mollie miała wadę wymowy. Pewnego razu kazał jej szeroko otworzyć usta i wypatrył, że przyczyną zła jest błona pod językiem. "Ja to załatwię" – powiedział. Zaprowadził siostrę do pewnej kryjówki daleko od domu, wyostrzył scyzoryk na kamieniu i przeciął to przykre kielzno mowy. A potem odbiegł na stronę i zwymiotował.

Dom Hamiltonów rozrastał się w miarę wzrostu rodziny. Zaprojektowano go tak, żeby nigdy nie był wykończony, toteż można było dodawać przybudówki wedle potrzeby. Pierwotna izba z kuchnią wkrótce zniknęła w wikłaniu tych przybudówek.

Tymczasem Samuel bynajmniej się nie bogacił. Wyrobił się w nim przykry nawyk patentowania wynalazków – dolegliwość, na którą cierpi bardzo wielu. Wymyślił pewną część młockarni, lepszą, tańszą i sprawniejszą niż wszystkie dotychczas znane. Urząd patentowy zjadł jego skromny całoroczny zarobek. Samuel przesłał modele fabrykantowi, który czym prędzej odrzucił plany, natomiast posłużył się metodą. Nastąpiło kilka lat chudych na skutek wodzenia się po sądach, a ciągle wydatki ustały dopiero wówczas, gdy Samuel przegrał sprawę. Było to dla niego pierwsze bolesne zetknięcie się z regułą, że bez pieniędzy nie można zwalczać pieniędzy. Jednakże dostał już gorączki patentowania i rok po roku pieniądze zarobione na młóceniu czy kowalstwie odpływały na patenty. Dzieci Hamiltonów chodziły boso, w połatanych drelichach, a jedzenia niekiedy brakowało – wszystko dlatego, że trzeba było płacić za wiotkie kalki kreślarskie z rysunkami spojeń, przekrojów płaskich i rzutów pionowych.

Są ludzie, którzy myślą na wielką skalę, i tacy, co myślą na małą. Samuel i jego synowie Tom i Joe myśleli na wielką skalę, natomiast Jerzy i Will – na małą. Joe był to czwarty syn – coś w rodzaju marzyciela, chłopiec bardzo kochany i otaczany opieką przez całą rodzinę. Wcześniej odkrył, że uśmiechnięta bezradność jest dla niego najlepszą obroną przed pracą. Wszyscy jego bracia pracowali twardo i pilnie. Natomiast łatwiej było wykonać robotę za Joe'ego niż go do niej przymusić. Ojciec i matka uważali go za poetę, ponieważ nie nadawał się do niczego innego. I wmówili mu to tak dalece, iż pisywał gładkie wierszyki, aby udowodnić, że mają rację. Joe był

fizycznie leniwy, a prawdopodobnie także leniwy umysłowo. Prześnił na jawie całe swoje życie, a matka kochała go bardziej niż innych swoich synów, gdyż uważała, że jest niezaradny. W gruncie rzeczy zaś był najmniej niezaradnym ze wszystkich, bo przy minimum wysiłku osiągał dokładnie to, o co mu chodziło. Joe był pieściszkiem rodziny.

Za czasów feudalnych niezdatność do miecza i włóczni predestynowała młodzieńca do stanu duchownego; w rodzinie Hamiltonów niezdatność Joe'ego do należytego pracowania na farmie i w kuźni predestynowała go do wyższej edukacji. Nie był chorowity ani słaby, ale nie miał dostatecznej tężyzny; kiepsko jeździł wierzchem i nie cierpiał koni. Cała rodzina śmiała się czule, kiedy wspomiano, jak to Joe usiłował nauczyć się orać; jego pierwsza, kręta bruzda wiła się niczym strumyk na równinie, a druga zetknęła się z pierwszą raz tylko, aby ją przeciąć i odwędrować.

Stopniowo Joe wykręcił się od wszystkich gospodarskich obowiązków. Matka tłumaczyła, że buja myślami w obłokach, tak jak by to była jakaś szczególna zaleta.

Kiedy się okazało, że Joe'emu nic nie wychodzi, doprowadzony do depresji ojciec zapędził go do pasania sześćdziesięciu owiec. Była to praca najłatwiejsza ze wszystkich i już klasycznie nie wymagająca żadnych umiejętności. Joe miał tylko jedno do roboty: być przy owcach. I Joe je pogubił – zgubił sześćdziesiąt owiec i nie mógł ich odnaleźć w cieniu wyschłego parowu, gdzie się stłoczyły. Według rodzinnych opowieści Samuel wezwał wtedy całą rodzinę, dziewczęta i chłopców, i kazał im przyrzec, że po jego śmierci zaopiekują się Joe'em, gdyż inaczej ten z całą pewnością zginie z głodu.

Na przemian z chłopcami urodziło się Hamiltonom pięć dziewczynek: Una, najstarsza, myśląca, chętna do nauki, ciemnowłosa dziewczyna, następnie Lizzie – zdaje się, że to jednak Lizzie była najstarsza, bo dali jej imię po matce; zresztą niewiele wiem o Lizzie. Wcześniej zaczęła wstydzic się swojej rodziny. Młodo wyszła za mąż, wyjechała i odtąd widywano ją tylko na pogrzebach. Lizzie miała niebywałą w rodzinie Hamiltonów skłonność do nienawiści i zacierzewienia. Urodziła syna, a kiedy dorósł i poślubił dziewczynę, która nie podobała się Lizzie, matka nie odzywała się do niego przez szereg lat.

Potem była Dessie, zawsze roześmiana, tak że każdy, kto z nią obcował, cieszył się z tego, bo milej spędzało się czas z Dessie niż z kimkolwiek innym.

Następną siostrą była Oliwia, moja matka. Ostatnią zaś Mollie, mała piękność o ślicznych blond włosach i fiołkowych oczach.

Tak przedstawiali się Hamiltonowie i było nieomal cudem, że Liza, ta chuda, drobna kurka, mogła rok w rok wydawać ich na świat, piec im chleb, szyc ubrania, a także uzbierać w dobre maniery i żelazne zasady moralne.

Zdumiewająca rzecz, jak Liza kształtowała swoje dzieci. Nie miała najmniejszego doświadczenia życiowego, była nieoczytana i wyjąwszy jedyną, długą podróż z Irlandii, nie-otrząskana w świecie. Nie miała żadnych przeżyć z mężczyznami poza własnym mężem, co zresztą uważała za nużący, a czasem przykry obowiązek. Sporą część życia zajęły jej ciążę i wychowanie potomstwa. Jedyną jej pożywką intelektualną była Biblia, poza tym, co mówił Samuel i dzieci, których jednakże nie słuchała. W tej jednej księdze zawarła się dla niej cała historia, poezja, wiedza o ludziach i rzeczach, etyka, moralność i zbawienie. Nigdy nie studiowała ani nie analizowała Biblii; po prostu ją czytała. Liczne miejsca, w których ta najwyraźniej przeczy sama sobie, bynajmniej nie dezorientowały Lizy. I wreszcie doszła do tego, iż poznała Biblię tak dobrze, że dalej czytała ją, już nie słuchając.

Liza cieszyła się powszechnym szacunkiem, bo była zacną kobietą i wychowała zacie potomstwo. Każdemu mogła spojrzeć w oczy. Szanował ją mąż, szanowały dzieci i wnuki. Miała w sobie jakąś niespożytą siłę, brak wszelkiej kompromisowości i prawość w obliczu każdego napotkanego zła, wskutek czego ludzie czuli przed nią należny respekt, ale bez serdeczności.

Liza z żelazną determinacją nienawidziła napojów alkoholowych. Picie alkoholu pod wszelką postacią uważała za zbrodnię przeciw jakiemuś znieważonemu bóstwu. Nie tylko sama go nie tykała, ale sprzeciwiała się używaniu go przez każdego. Wynikiem był naturalnie fakt, że jej mąż, Samuel, i wszystkie dzieci miały serdeczny, tęgi pociąg do wypitki. Raz, gdy Samuel był ciężko chory, zapytał:

– Lizo, nie dałabyś mi szklaneczki whisky, żeby mi ulżyło?

Wysunęła swą drobną, twardo zarysowaną brodę.

– Chciałbyś stanąć przed tronem bożym ziejąc gorzałką? Na pewno nie! – odparła.

Samuel przewrócił się na drugi bok i dalej chorował nie zaznawszy ulgi.

Kiedy Liza zbliżała się do siedemdziesiątki, zaczęła jej szwankować przemiana materii i doktor zalecił, by brała jako lekarstwo łyżkę stołową portweju. Pierwszą łyżkę wmusiła w siebie, krzywiąc się mocno, ale nie było to takie złe. I od tej chwili oddech jej nie był już nigdy całkowicie wolny od alkoholu. Zawsze brała wino łyżką

stołową, zawsze to było lekarstwo, ale po pewnym czasie doszła do ćwiartki dziennie i stała się o wiele spokojniejsza i bardziej zadowolona z życia.

Wszystkie dzieci Samuela i Lizy wychowały się i dobrze zbliżyły do dojrzałości przed schyłkiem dziewiętnastego stulecia. Na ranczo położonym na wschód od King City dorastało całe stadko Hamiltonów. A były to już amerykańskie dzieci, młodzieńcy i panny. Samuel nigdy nie wrócił do Irlandii i stopniowo zapomniał o niej całkowicie. Był bardzo zajęty. Nie miał czasu na nostalgię. Świat to była dolina Salinas. Podróż do Salinas, położonego o sześćdziesiąt mil na północ, u wejścia do doliny, stanowiła wydarzenie, które wystarczało na cały rok, a nieustanna praca na ranczo, opieka nad liczną rodziną, jej wyżywienie i odzianie zajmowały mu większość czasu – ale nie wszystek. Samuel odznaczał się ogromną energią.

Jego córka Una okazała się pilną uczennicą, pełną wewnętrznego napięcia i powagi. Dumny był z jej bujnego, badawczego umysłu. Oliwia po odbyciu studiów w szkole średniej w Salinas przygotowywała się do egzaminów przed komisją okręgową. Miała zostać nauczycielką, co uważano za podobny zaszczyt jak w Irlandii posiadanie księdza w rodzinie. Joe'ego zamierzano posłać do college'u, ponieważ poza tym nie nadawał się absolutnie do niczego. Will znajdował się na prostej drodze do nieoczekiwanej fortuny. Tom sparzył się na życiu i teraz lizał swoje rany. Dessie uczyła się kroju, a Mollie, śliczna Mollie, najwyraźniej gotowała się do wyjścia za mąż za jakiegoś zamożnego człowieka.

Sprawa dziedziczenia nie istniała. Aczkolwiek ranczo na wzgórzu było spore, było także przepastnie ubogie. Samuel wiercił studnię za studnią, lecz ani rusz nie mógł znaleźć wody na swoim gruncie. To by wszystko odmieniło. Woda uczyniłaby go stosunkowo bogatym. Jedna nędzna rura, którą pompowano ją z głębi ziemi w pobliżu domu, była jedynym jej źródłem; niekiedy woda opadała niebezpiecznie, a dwa razy wyschła zupełnie. Bydło musiało przychodzić do pojenia z dalekiego skraju ranczo, a potem znowu wracać na pastwisko.

Wszystko razem wzięwszy, była to dobra rodzina, zasiedziała, ustalona i pomyślnie wrośnięta w dolinę Salinas, ani uboższa, ani bogatsza od wielu innych. Rodzina dobrze zrównoważona, obejmująca tak konserwatystów, jak radykałów, marzycieli, jak i realistów. Samuel był zadowolony z owoców swoich lędźwi.

ROZDZIAŁ VI

1

Kiedy Adam wstąpił do wojska, a Cyrus przeniósł się do Waszyngtonu, Karol pozostał sam na farmie. Przechwalał się, że weźmie sobie żonę, ale nie zabrał się do tego zwykłą metodą poznawania dziewcząt, zapraszania ich na tańce, wypróbowywania ich zalet czy wprost przeciwnie, i wreszcie osuwania się siłą bezwładu w małżeństwo. Prawda wyglądała tak, że Karol był bezdennie nieśmiały z dziewczynami. I podobnie jak większość nieśmiałych mężczyzn, zaspokajał swoje naturalne popędy w anonimowości prostytutki. Nieśmiały mężczyzna znajduje poczucie wielkiego bezpieczeństwa w obcowaniu z kurwą. Ponieważ bierze ona zapłatę, i to z góry, więc staje się towarem, i człowiek nieśmiały może zachowywać się wobec niej wesoło, a nawet brutalnie. Poza tym nie czuje owego lęku przed ewentualną odmową, który skręca trzewia bojaźliwym.

Sprawa była prosta i utrzymywana w rozsądnej tajemnicy. Właściciel zajazdu miał na najwyższym piętrze trzy pokoje dla przejezdnych gości, które wynajmował dziewczynom na okresy dwutygodniowe. Po upływie dwóch tygodni przychodził na ich miejsce nowy zespół dziewczyn. Właściciel, pan Hallam, nie brał w tym żadnego udziału. Mógł powiedzieć nieomal zgodnie z prawdą, że nic mu na ten temat nie wiadomo. Po prostu pobierał za owe trzy pokoje czynsz pięciokrotnie wyższy od normalnego. Dziewczyny werbował, dostawiał, przewoził, utrzymywał w dyscyplinie i okradał pewien rajfur nazwiskiem Edwards, który mieszkał w Bostonie. Jego pupilki powoli objeżdżały małe miasteczka, nigdzie nie zatrzymując się dłużej niż dwa tygodnie. Był to niezmiernie praktyczny system. Żadna nie przebywała w danej miejscowości dość długo, żeby spowodować komentarze ze strony obywateli czy szeryfa. Dużo przesiadywały w pokojach i unikały miejsc publicznych. Pod karą chłosty nie wolno im było pić, robić zamieszania czy zakochać się w kimkolwiek. Posiłki podawano im w pokojach, a klientów przesiewano starannie. Nie dopuszczano na górę, do dziewczyn, nikogo pijanego. Co pół roku każda dostawała miesiąc urlopu, żeby się mogła spić i wyszaleć. Natomiast jeżeli któraś okazała podczas służby nieposłuszeństwo przepisom, pan Edwards osobiście zdierał z niej suknię, knebłował

i batożył tak, że ledwie dychała. Jeżeli zrobiła to powtórnie, trafiała do aresztu, oskarżona o włóczęgostwo i publiczne uprawianie nierządu.

Te dwutygodniowe turnusy miały jeszcze dodatkową zaletę. Niejedna dziewczyna była zarażona i w ten sposób niemal zawsze znikąca, nim jej podarek wylągl się w kliencie. Nie było na kogo się wściekać. Pan Hallam nic o tym nie wiedział, a pan Edwards nigdy nie pokazywał się publicznie w oficjalnym charakterze. Ów system objazdowy był dla niego bardzo dogodny.

Wszystkie dziewczyny były dosyć podobne do siebie – tęgie, zdrowe, leniwe i tępe. Klient prawie nie zauważał zmiany. Karol Trask nabrał zwyczaju odwiedzać zajazd przynajmniej co dwa tygodnie, wdrapywać się na najwyższe piętro, szybko załatwiać swoją sprawę i wracać do baru, aby tam lekko się spać.

Dom Trasków nigdy nie był wesoły, ale odkąd pozostał w nim tylko Karol, przybrał posępny wygląd ruiny. Koronkowe firanki zszarzały, podłogi, choć zamiatane, były lepkie i wilgotnawe. Całą kuchnię – ściany, okna i sufit – pokrywał niby lakierem tłuszcz ze smażenia. Dawniej ustawiczne szorowanie przez obie żony, które tutaj mieszkały, i przeprowadzane dwa razy do roku gruntowne porządki nie dopuszczały brudu. Karol natomiast rzadko robił cokolwiek poza zamiataniem. Zrezygnował z pościeli i sypiał pod kocem. Na co sprzątać dom, jeżeli nie ma kto go oglądać? Tylko w owe wieczory, gdy szedł do zajazdu, mył się i wkładał czyste ubranie.

Zrodził się w nim jakiś niepokój, który wypędzał go na dwór o świcie. Karol pracował ciężko na farmie, ponieważ był samotny. Wróciwszy z pola opychał się smażonym jedzeniem, kładł do łóżka i zasypiał, syty i ociężały.

Jego smagłą twarz cechowała owa powaga i apatyczność właściwa człowiekowi, który prawie stale jest sam. Brata brakowało mu bardziej niż matki i ojca. Czasy poprzedzające odjazd Adama wspominał niejasno jako szczęśliwy okres i pragnął, by powróciły znowu.

Przez te lata ani razu nie chorował, oczywiście poza chroniczną niestrawnością, która była i jest powszechna wśród mężczyzn, co mieszkają w pojedynkę, sami sobie gotują i jedzą w samotności. Brał na to mocny środek przeczyszczający, który nosił nazwę "Eliksir Życia Ojca Jerzego".

Raz jeden, w trzecim roku swego osamotnienia, miał wypadek. Wykopywał głązy i zwoził je pod kamienny mur. Jeden spory głaz nie dawał się poruszyć. Karol podważał go długim żelaznym łomem, ale kamień obsuwał się wciąż i staczał z powrotem na swoje miejsce. Nagle Karol stracił panowanie nad sobą. Na twarzy

pojawił mu się ów charakterystyczny uśmieszek; zaczął walczyć z kamieniem jakby z człowiekiem, w milczącej furii. Wbił łom głęboko pod niego i nacisnął całym swoim ciężarem. Łom wysliznął mu się i górnym końcem trzasnął go w czoło. Przez długą chwilę Karol leżał nieprzytomny na polu, po czym przekręcił się na brzuch i powłókł, na wpół oślepiiony, do domu. Na czole miał długą, poszarpaną pręgę, która biegła od włosów aż między brwi. Przez kilka tygodni nosił na głowie bandażę przykrywającą ropną infekcję, ale tym się nie martwił. W owych czasach uważano ropę za coś dobrego, za dowód, że rana goi się należycie. Kiedy się rzeczywiście zgoiła, została po niej długa, pomarszczona blizna, a chociaż na ogół tkanka blizn bywa jaśniejsza od otaczającej ją skóry, u Karola przybrała kolor ciemnobrązowy. Możliwe, że łom wbił pod skórę rdzę żelaza i pozostawił coś w rodzaju tatuażu.

Raną Karol się nie martwił, natomiast blizną tak. Wyglądała jak podłużny ślad palca na czole. Często przyglądał jej się w małym lusterku wiszącym obok pieca. Zaczesał włosy na czoło, aby ją w miarę możliwości ukryć. Zaczął się wstydzić swej szramy; nienawidził jej. Kręcił się niespokojnie, kiedy ktoś na nią patrzył, a wzbierała w nim furia, jeżeli go na ten temat pytano. W liście do brata dał wyraz swoim uczuciom w tej mierze.

Wygląda to tak – pisał – jak by mnie ktoś naznaczył niczym krowę. To draństwo robi się coraz ciemniejsze. Pewnie całkiem szernieje, zanim wrócisz do domu. Jeszcze mi tylko potrzeba drugiej na poprzek, a wyglądałbym jak papista w środę popielcową. Nie mam pojęcia, dlaczego ona mi tak przeszkadza. Mam całą masę innych blizn. Po prostu wygląda jak bym był naznaczony. A kiedy pojedę do miasta, na przykład do zajazdu, to ludzie wciąż, jej się przyglądają. Słyszę, jak o niej mówią, kiedy im się zdaje, że nie mogą usłyszeć. Nie wiem, dlaczego ich tak cholernie ciekawi. Dochodzi do tego, że w ogóle nie mam ochoty jeździć do miasta.

2

Adam został zwolniony z wojska w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku i ruszył w drogę do domu. Zewnętrznie niewiele się zmienił. Nie trzymał się po wojskowemu. Kawaleria nie oddziaływała w ten sposób; niektóre pułki szczyciły się nawet niedbałą postawą.

Adam chodził jak we śnie. Niełatwo jest porzucić gruntownie unormowane życie, nawet jeżeli się go nienawidzi. Rano budził się w ułamek sekundy i leżał czekając na pobudkę. Łydkom brakowało ucisku cholew, a gardło czuło się nagie bez ciasno zapiętego kołnierza. Przyjechał do Chicago, tam nie wiadomo dlaczego wynajął na tydzień umeblowany pokój, przemieszkał w nim dwa dni, pojechał do Buffalo, rozmyślił się i przeniósł do Niagary. Nie chciał wracać do domu i odkładał to, jak mógł najdłużej. Dom nie był miłym miejscem w jego myślach. Uczucia, jakich tam zaznał, już teraz były martwe i z niechęcią przywracałyby je do życia. Godzinami przypatrywał się wodospadom. Huk wody otumaniał go i hipnotyzował.

Pewnego wieczoru poczuł paraliżującą tęsknotę za bliskością kolegów z koszar i spod namiotów. Odruchowo zapragnął wmieszać się w tłum, byle jaki tłum, żeby w nim znaleźć ciepło. Pierwszym tłocznym miejscem publicznym, jakie mu się nawinęło, był mały, zadymiony i przepelniony barek. Odetchnął z rozkoszą, nieomal wtulił się w masę ludzką, tak jak kot wtula się w stosik drew na podpałkę. Zamówił whisky, wypił, zrobiło mu się ciepło i dobrze. Nie patrzył ani nie słuchał. Po prostu wchłaniał w siebie kontakt z ludźmi.

Kiedy już było późno i goście zaczęli odpływać, uczuł lęk przed chwilą powrotu do siebie. Niebawem pozostał sam na sam z barmanem, który wycierał i wycierał mahoniowy blat, usiłując wzrokiem i sposobem bycia nakłonić Adama do wyjścia.

– Poproszę jeszcze jednego – powiedział Adam.

Barman wyjął butelkę. Adam przyjrzał mu się po raz pierwszy. Miał na czole czerwone znamię.

– Ja jestem przejazdem w tych stronach – rzekł Adam.

– U nas przy wodospadach najczęściej trafiają się tacy – odparł barman.

– Byłem w wojsku. W kawalerii.

– Aha – powiedział barman.

Adam poczuł nagle, że musi zaimponować temu człowiekowi, że musi się jakoś dostać do niego.

– Biłem się z Indianami – rzekł. – Czasem nieźle bywało.

Tamten nic mu nie odpowiedział.

– Mój brat też ma znak na czole.

Barman dotknął palcami znamienia.

– Mam to od urodzenia – odrzekł. – Z każdym rokiem robi się większe. Pański brat też ma takie?

– Nie, jego jest po skaleczeniu. Pisał mi o tym.

– Zauważył pan, że to moje wygląda jak kot?

– Ano chyba.

– Tak mnie przezywają. Kot. Całe życie to miałem. Powiadają, że moja matka musiała się zląknąć kota, kiedy mnie nosiła.

– Ja teraz jestem w drodze do domu. Dawno tam nie byłem. Napije się pan?

– Dziękuję. Gdzie pan się zatrzymał?

– W pensjonacie pani May.

– Znam ją. Mówią, że leje w człowieka zupełnie, żeby nie mógł zjeść za dużo mięsa.

– Ano, w każdym zawodzie są sposoby.

– Chyba to prawda. W moim na pewno jest sporo.

– Z pewnością – powiedział Adam.

– Ale tego jednego, którego mi trzeba, to nie znam. A chciałbym znać.

– Jakiego?

– Co, u cholery zrobić, żeby pan poszedł do domu i dał mi zamknąć lokal.

Adam wpatrzył się w niego, wpatrzył się nic nie mówiąc.

– To żart – powiedział niepewnie barman.

– Zdaje się, że rano wrócę do domu – rzekł Adam. – To znaczy do mojego prawdziwego domu.

– Wszystkiego dobrego – powiedział barman.

Adam szedł przez pogrążone w ciemnościach miasto, przyspieszając kroku, jak gdyby jego samotność sunęła wężąc trop w trop za nim. Zmurszałe schody frontowe pensjonatu zaskrzypiały ostrzegawczo, gdy na nie wchodził. W półmroku sieni widział punkcik żółtego światła lampki naftowej, przykręconej tak, że migotała dogasając.

Gospodyni stała w otwartych drzwiach swego pokoju, a cień nosa padał jej aż na brodę. Zimne oczy prowadziły Adama na podobieństwo oczu malowanego en face portretu, a nos starał się wytropić whisky, którą Adam miał w sobie.

– Dobranoc – rzekł Adam.

Nic mu nie odpowiedziała.

Na pierwszym zakręcie schodów obejrzał się. Stała z zadartą głową i teraz broda rzucała cień na szyję, a oczy nie miały źrenic.

Pokój Adama pachniał wielokrotnie zwilżanym i osuszonym kurzem. Adam wyjął zapałkę i potarł ją o bok pudełka. Zapalił ogarek świecy tkwiący w lakierowanym

lichtarzu i popatrzył na łóżko obwisłe jak hamak, przykryte brudną kołdrą uszytą z kawałków materiału, z której bokami wylaziła wata.

Schodki od ganku znów jękły i Adam domyślił się, że kobieta i teraz stanie w progu, gotowa obryzgać nowego przybysza swą niegościnnością.

Adam usiadł na krześle, łokcie oparł na kolanach, a brodę na dłoniach. Jakiś lokator w głębi korytarza zaniósł się wpośród cichej nocy cierpliwym, nie kończącym się kaszlem.

I oto Adam wiedział już, że nie może jechać do domu. Słyszał od starych żołnierzy, że robili to, co on zamierzał zrobić teraz.

“Po prostu nie mogłem tego wytrzymać. Nie miałem gdzie iść. Nikogom nie znał. Wałęsałem się i bardzo prędko obleciał mnie strach jak smarkacza; anim się obejrzał, jak prosiłem wachmistrza, żeby mnie wziął z powrotem – zupełnie jakby mi robił łaskę”.

Wróciwszy Chicago Adam zaciągnął się na powrót i poprosił, żeby go przydzielono do jego dawnego pułku. Kiedy jechał pociągiem na Zachód, żołnierze ze szwadronu wydali mu się kochani i mili.

Czekając w Kansas City na przesiadkę, usłyszał, że ktoś wywołuje jego nazwisko, po czym wetknięto mu w rękę papier – rozkaz zameldowania się w Waszyngtonie w kancelarii Sekretarza Wojny. W ciągu pięciu lat służby Adam nie tyle nauczył się, co przyswoił sobie zasadę niedziwienia się nigdy rozkazom. Dla prostego żołnierza wielcy, dalecy bogowie z Waszyngtonu byli kupą wariatów i jeśli chciał pozostać przy zdrowych zmysłach, jak najmniej myślał o generałach.

We właściwym momencie Adam podał swoje nazwisko urzędnikowi i zasiadł w poczekalni. Tam odnalazł go ojciec. Minęła chwila, zanim Adam poznał Cyrusa, a znacznie więcej czasu, nim do niego przywykł. Cyrus stał się wielkim panem. Ubrany był po wielkopańsku – w czarny sajetyowy surdut i spodnie, czarny kapelusz z szerokim rondem i narzutkę z aksamitnym kołnierzem, a w rękę trzymał hebanową łaskę, którą nosił jak pałasz. I zachowywał się również jak wielki pan. Przemawiał powoli, miękko, miarowo i bez podniecenia, gestykulował szeroko, a nowo wstawione zęby nadawały mu jakiś wilczy uśmiech nie pozostający w żadnej proporcji do odczuwanych wzruszeń.

Kiedy Adam uświadomił już sobie, że ma przed sobą ojca, nadal nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Wtem spojrzał w dół – drewnianej nogi nie było. Ojciec miał nogę prostą, zginającą się w kolanie, a stopę obutą w sztyblet z lakierowanej

koźlej skóry. Chodząc utykał trochę, ale nie było to dawne ciężkie utykanie na drewnianej nodze.

Cyrus dostrzegł spojrzenie syna.

– To jest mechanizm – powiedział. – Chodzi na zawiasie. Ma sprężynę. W ogóle nie kuleję, jeżeli trochę uważam. Pokażę ci, jak zdejmę. Chodź teraz ze mną.

Adam odparł:

– Jestem tu wezwany służbowo, proszę ojca. Mam się zameldować u pułkownika Wellsa.

– Wiem o tym. To ja poleciłem Wellsowi wysłać ten rozkaz. Chodź.

Adam odrzekł stropiony:

– Jeżeli ojciec nie ma nic przeciwko temu, to myślę, że lepiej, żebym się zameldował u pułkownika Wellsa.

Ojciec zmienił ton.

– To była próba – powiedział z godnością. – Chciałem się przekonać, czy wojsko zna dyscyplinę w dzisiejszych czasach. Porządny chłopak z ciebie. Wiedziałem, że ci to dobrze zrobi. Jesteś mężczyzną i żołnierzem, mój chłopcze.

– Jestem wezwany służbowo – powtórzył Adam.

Ten człowiek był mu obcy. Adama zaczął ogarniać lekki niesmak. Czuł tu coś fałszywego. A pośpiech, z jakim otwarły się drzwi wiodące prosto do pułkownika, uniżony szacunek tego oficera, słowa "Pan Sekretarz Stanu natychmiast pana przyjmie" – nie zatarły tego wrażenia.

– To jest mój syn, panie sekretarzu, prosty żołnierz, taki sam, jakim ja byłem... prosty żołnierz armii Stanów Zjednoczonych.

– Zostałem zwolniony w stopniu kaprała – powiedział Adam. Wymiany uprzejmości słuchał jednym uchem. Rozmyślał: "To jest Sekretarz Wojny. Czyż on nie widzi, że mój ojciec wcale nie jest taki? Przecież w tej chwili odgrywa jakąś rolę. Co mu się stało? Zabawne, że sekretarz tego nie dostrzega".

Poszli do niewielkiego hotelu, gdzie mieszkał Cyrus, i po drodze ojciec, z wymownością prelegenta, pokazywał Adamowi różne widoki, budynki, historyczne miejsca.

– Mieszkam w hotelu – mówił. – Myślałem już o tym, żeby sobie wynająć dom, ale tak dużo jestem w ruchu, że to by się nie opłacało. Większość czasu spędzam na rozjazdach po całym kraju.

Portier hotelowy też nic nie widział. Ukłonił się nisko Cyrusowi, nazywał go "panem senatorem" i dał do zrozumienia, że znajdzie dla Adama pokój, choćby miał kogoś wyrzucić.

– Proszę mi przysłać do numeru butelkę whisky.

– Jeżeli pan sobie życzy, mógłbym też przysłać trochę tłuczonego lodu.

– Lodu! – odparł Cyrus. – Mój syn jest żołnierzem. – Postukał laską o nogę, która wydała głuchy odgłos. – Ja także byłem żołnierzem... prostym żołnierzem. – Na co komu lód?

Adama zdumiało pomieszczenie zajmowane przez Cyrusa. Miał nie tylko sypialnię, ale obok niej i salonik, a toaleta była w alkowie przy pokoju sypialnym.

Cyrus zasiadł w głębokim fotelu i westchnął. Podciągnął nogawkę i Adam ujrzał mechanizm sporządzony z żelaza, skóry i twardego drewna. Cyrus rozsznurował skórzany uchwyt, za pomocą którego trzymało się to na kikucie nogi, i oparł o krzesło ową parodię żywego ciała.

– Czasem mnie to zaczyna paskudnie uwierać – powiedział.

Bez nogi ojciec znów stał się sobą, tym sobą, którego syn miał w pamięci. Adam odczuwał już początki wzdry, ale teraz lęk, respekt i niechęć z czasów dzieciństwa powróciły na nowo, tak że wydał się małym chłopcem, który bada chwilowy nastrój ojca, żeby uniknąć przykrości.

Cyrus poczynił wszystkie przygotowania, napił się whisky i rozluźnił kołnierzyk. Obrócił się do Adama.

– No i co?

– Słucham?

– Dlaczegoś się na powrót zaciągnął?

– Nie... nie wiem, proszę ojca. Po prostu miałem ochotę.

– Przecież ty nie lubisz wojska, Adamie.

– Nie, proszę ojca.

– To dlaczego wróciłeś?

– Nie chciałem jechać do domu.

Cyrus westchnął i potarł czubkami palców poręczę fotela.

– I masz zamiar zostać w wojsku? – zapytał.

– Nie wiem, proszę ojca.

– Mogę cię umieścić w West Point. Mam stosunki. Mogę cię kazać zwolnić, żebyś mógł pójść do West Point.

– Ja nie chcę tam iść.

– Stawiasz mi się? – zapytał spokojnie Cyrus.

Adam długo nie odpowiadał i szukał w myśli jakiejś ucieczki, zanim rzekł:

– Tak, ojcie.

– Nalej mi trochę whisky, synu – powiedział Cyrus, a potem ciągnął: – Ciekaw jestem, czy ty wiesz, jakie ja naprawdę mam wpływy. Mogę rzucić Wielką Armię na każdego kandydata niczym skarpetkę. Nawet prezydent lubi wiedzieć, co myślę o sprawach publicznych. Mogę utrać senatora i przebierać w posadach jak w jabłkach. Mogę zrobić człowieka i zniszczyć człowieka. Wiesz o tym?

Adam wiedział coś więcej. Wiedział, że Cyrus broni się groźbami.

– Tak, proszę ojca. Słyszałem.

– Mógłbym kazać przydzielić cię do Waszyngtonu... ba, nawet do mnie... nauczyć cię, jak dojść do czegoś.

– Wolalbym wrócić do pułku, ojcie.

Dostrzegł cię przegranej omraczający twarz ojca.

– Możliwe, że się omyliłem. Nauczyłeś się niemego oporu żołnierza. – Westchnął. – Każę cię odkomenderować do pułku. Będziesz gnił w koszarach.

– Dziękuję ojcu. – Po chwili Adam zapytał: – Dlaczego ojciec nie sprowadzi tu Karola?

– Bo ja... nie, lepiej, żeby Karol był tam, gdzie jest... tam, gdzie jest.

Adam zapamiętał ton i minę ojca. A miał pod dostatkiem czasu, żeby je wspominać, bo istotnie gnił w koszarach. Pamiętał, że Cyrus był opuszczony i samotny – i że wiedział o tym dobrze.

3

Karol cieszył się na powrót Adama po pięciu latach. Odmalował dom i stodołę, a kiedy data przyjazdu się zbliżała, sprowadził kobietę do wysprzątania domu, wysprzątania go do gruntu.

Była to schludna, uboga starsza niewiasta. Popatrzała na zszarzałe od kurzu, rozpadające się firanki, wyrzuciła je i uszyła nowe. Wyskrobała z pieca kuchennego tłuszcz, który oblepiał go od śmierci matki Karola. Zmyła ługiem ze ścian brunatne, błyszczące paskudztwo, osiadłe na nich od tłuszczów jadalnych i lamp naftowych.

Wytrawiała ługiem podłogi, wymoczyła koce w sodzie krystalicznej, burcząc przez cały czas pod nosem: "Te chłopcy to niechlujne zwierzaki. Nawet wieprz jest czysty w porównaniu z nimi. Gniją we własnym sosie. Nie rozumiem, jak kobieta może za nich wyjść za mąż. Śmierdzą jak zaraza. Choćby i ten piec – uświniony tak od czasów Matuzalema".

Karol przeniósł się do szopy, gdzie jego nozdrzy nie drażniły niepokalane, lecz przykre wyziewy ługu i sody, amoniaku i szarego mydła. Mimo to jednak miał wrażenie, że kobieta nie pochwała jego gospodarki. Gdy w końcu mrużąc wyniosła się ze lśniącego czystością domu, Karol pozostał w szopie. Chciał zachować dom czysty dla Adama. W szopie, gdzie sypiał, złożone były narzędzia gospodarskie i przybory do ich naprawy i konserwacji. Karol przekonał się, że może szybciej i sprawniej przyrządzać sobie smażone i gotowane posiłki na palenisku w kuźni niż na piecu kuchennym. Miechy szybko wydobywały z koksu płomienny żar. Nie trzeba było czekać, aż blacha się rozgrzeje. Nie pojmował, dlaczego wcześniej nie wpadł na ten pomysł.

Karol czekał na Adama, a Adam nie przyjeżdżał. Być może, wstydził się pisać. To Cyrus zawiadomił Karola gniewnym listem o ponownym zaciągnięciu się Adama wbrew jego życzeniu. Dawał także do zrozumienia, że kiedyś w przyszłości Karol mógłby odwiedzić go w Waszyngtonie, ale więcej go nigdy nie zaprosił.

Karol przeniósł się z powrotem do domu i żył tam w jakimś dzikim brudzie, czerpiąc satysfakcję z niweczenia pracy owej mrukliwej kobiety.

Minął rok z górą, zanim Adam napisał do Karola list pełen zakłopotania i nowin, którymi podbudował sobie odwagę wyjawienia, że *nie wiem, dlaczego znowu się zaciągnąłem. Zupełnie jak by to zrobił ktoś inny. Napisz niedługo, co u Ciebie słychać.*

Karol nie odpowiadał, dopóki nie otrzymał czterech niespokojnych listów, a wtedy odpisał chłodno: *Właściwie nie bardzo się Ciebie spodziewałem*, po czym wdał się w szczegółową relację o farmie i bydło.

Czas zaczął robić swoje. Z kolei Karol napisał zaraz po Nowym Roku i otrzymał list od Adama, wysłany zaraz po Nowym Roku. Tak bardzo oddalili się od siebie, że mało tam było wzajemnych wiadomości, a żadnych pytań.

Karol trzymał teraz w domu jedną niechlujną kobietę po drugiej. Kiedy zaczynały mu działać na nerwy, wyrzucał je tak samo, jak by sprzedał wieprzka. Nie lubił ich i nic go nie obchodziło, czy one go lubią, czy nie. Odseparował się od

miasteczka. Utrzymywał kontakt jedynie z zajazdem i z listonoszem. Miejscowi ludzie mogli potępiać jego sposób życia, ale przynajmniej jedna rzecz równoważyła nawet w ich oczach te szpetne obyczaje. Nikt dotąd nie prowadził farmy tak dobrze. Karol wykarczował ziemię, zbudował ogrodzenia, poprawił nawodnienie i powiększył farmę o sto akrów. Co więcej, sadził tytoń, a za domem wznosiła się imponująca, nowa, długa suszarnia. Dzięki temu zachował szacunek sąsiadów. Farmer nie może za bardzo źle sądzić dobrego farmera. Większość swoich pieniędzy i całą energię Karol poświęcał gospodarstwu.

ROZDZIAŁ VII

1

Następne pięć lat spędził Adam na zajęciach, do których ucieka się wojsko, ażeby żołnierz nie dostał obłędu, a więc na nie kończącym się polerowaniu metalu i skóry, na paradach, musztrach i konwojach, na ceremoniach z trąbką i sztandarem – całym owym balecie czynności przeznaczonych dla ludzi, którzy nie mają nic do roboty. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku wybuchł w Chicago wielki strajk przewoźców i pułk Adama już załadowano do pociągu, ale strajk się zakończył, nim wojsko okazało się potrzebne. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku Indianie z plemienia Seminolów, którzy nigdy nie podpisali układu pokojowego, zaczęli się ruszać i kawalerię powtórnie załadowano do wagonów; jednakże Seminole wycofali się na swoje bagna i przycichli, a wojsko znowu pogrążyło się w sennych, powszednich zajęciach.

Upływanie czasu jest dziwną i wewnętrznie sprzeczną sprawą dla ludzkiego umysłu. Byłoby rzeczą rozsądną mniemać, że czas unormowany czy nie wypełniony wydarzeniami musi się ciągnąć bez końca. Tak być powinno, ale tak nie jest. Właśnie nudne, puste okresy nie mają żadnej rozciągłości. Natomiast czas przetykany ciekawymi zdarzeniami, kaleczony tragedią, rozszczepiany radością – wydaje się długi we wspomnieniu. I słusznie, jeżeli się nad tym zastanowić. Bezzdarzeniowość nie posiada słupów, na których by można rozpiąć trwanie. Między niczym a niczym nie ma odstępu czasu.

Drugie pięć lat minęło Adamowi, zanim się spostrzegł. Pod koniec roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego zwolniono go z Presidio, w San Francisco, z naszywkami wachmistrza. Listy między Karolem i Adamem stały się wielką rzadkością, ale tuż przed zwolnieniem z wojska Adam napisał do Karola: *Tym razem przyjeżdżam do domu* – i tyle słyszał o nim brat przez następne trzy lata z górą.

Adam przeczekał zimę, wędrując wzdłuż rzeki do Sacramento i przemierzając dolinę San Joaquin, a kiedy przyszła wiosna, znalazł się bez pieniędzy. Zrolował więc koc i ruszył na wschód, to pieszo, to znów uczepiony z grupkami innych ludzi u drążków hamulcowych pod wlokącymi się ślamazarnie wagonami towarowymi. Nocą

biwakował z włóczęgami w obozowiskach na skrajach miast. Nauczył się żebrać, nie o pieniądze, ale o jedzenie. I ani się obejrzał, jak sam został trampem.

Dziś tacy ludzie trafiają się rzadko, ale w latach dziewięćdziesiątych było ich wielu – włóczęgów, samotników, którzy tak właśnie chcieli żyć. Jedni uciekali od obowiązków, innych wygnała ze społeczeństwa niesprawiedliwość. Pracowali trochę, ale nie za długo. Kradli trochę, ale tylko żywność i od czasu do czasu niezbędne części odzienia, które ściągali ze sznura do bielizny. Byli to najróżniejsi ludzie – ocytani i analfabeci, czyści i brudni – ale wszyscy mieli jedną rzecz wspólną: niespokojnego ducha. Szukali ciepła, a unikali upału i mrozu. W miarę jak robiła się wiosna, kierowali swe kroki ku wschodowi, a pierwszy przymrozek spędzał ich na zachód i południe. Byli braćmi kojota, który, choć dziki, żyje blisko człowieka i jego kurników; przebywali w pobliżu miast, ale nie w nich. Ich związki z innymi ludźmi trwały tydzień lub dzień, po czym drogi obu stron się rozchodziły.

Wokół małych ognisk, na których bulgotała pospólna strawa, gwarzono o wszystkim z wyłączeniem jedynie spraw osobistych. Adam dowiedział się o rozwoju I.W.W.¹ i jego gniewnych aniołach. Przysłuchiwał się filozoficznym dyskusjom, rozmowom o metafizyce, estetyce, o cudzych doświadczeniach. Towarzystwem, z którym spędzał noc, mógł być morderca, ksiądz pozbawiony sutanny lub taki, co sam zrzucił sutannę, profesor wygnany z ciepłego gniazda przez tępy fakultet, samotny, zagoniony człowiek, który uciekał od wspomnień, upadły archanioł i czeladnik diabelski – a każdy z nich dorzucał do ognia okruchy myśli, podobnie jak dorzucał marchew, ziemniaki, cebulę czy mięso do duszonej stawy. Adam przyswoił sobie umiejętność golenia się kawałkiem stłuczonego szkła i oceniania domu przed zapukaniem do drzwi z prośbą o datek. Nauczył się omijać albo zjednywać sobie wrogich policjantów oraz szacować kobiety zależnie od jej gorącego serca.

Adam znajdował przyjemność w tym nowym życiu. Gdy jesień dotknęła drzew, doszedł do Omaha i bez namysłu, pytań czy roztrząsań pospieszył na zachód i południe, prze-mknął przez góry i z ulgą dotarł do południowej Kalifornii. Od granicy powędrował brzegiem morza na północ, aż do San Luis Obispo, i nauczył się wybierać z kałuż pozostałych po odpływie małże, węgorze, mięczaki i okunie, wygrzebywać ślimaki z ławic piaskowych, chwycić na wydmach króliki w sidła sporządzone z pętli

¹ I.W.W. – Industrial Workers of the World (Robotniczy Przemysł Świata) – związek anarchosyndykalistów amerykańskich (przyp. tłum.).

zaciąganej na żyłce od wędki. I często leżał na rozgrzanym od słońca piasku, licząc fale.

Wiosna popchnęła go znów na wschód, ale już wolniej niż przedtem. Lato w górach było chłodne, a górscy ludzie dobrotliwi, tak jak dobrotliwi są samotnicy. Adam zgodził się do pracy na gospodarstwie pewnej wdowy, nie opodal Denver, i pokornie dzielił z nią stół oraz łożę, dopóki mróz nie wygnał go znów na południe. Poszedł wzdłuż Rio Grande, mijając Albuquerque i El Paso, poprzez Wielki Zakręt i Laredo, aż do Brownsville. Nauczył się słów hiszpańskich określających pożywienie i przyjemności, a także tego, że kiedy ktoś jest bardzo ubogi, zawsze ma jeszcze coś do oddania i odruch, aby to dać. Zrodziła się w nim miłość do ludzi biednych, której nie umiałby sobie wyobrazić, gdyby sam nie był biedakiem. Stał się już teraz wytrawnym włóczęgą stosującym pokorę jako metodę roboczą. Wychudł i ogorzał od słońca, i umiał tak dalece przytłumić swą osobowość, że nie odczuwał nawet drgnienia gniewu czy zazdrości. Głos jego przybrał ton miękkiej, w mowę wtopiło się tyle akcentów i gwar, że nigdzie nie wydawała się obca. To było wielkie zabezpieczenie trampa, jego ochronna zasłona. Pociągami jeździł bardzo rzadko, ponieważ narastała złość na trampów, wywołana gniewną gwałtownością I.W.W., a zaogniona ostrymi represjami przeciwko tej organizacji. Raz zatrzymano Adama za włóczęgostwo. Dojmująca brutalność policji i więźniów przeraziła go i odpędziła od zbiorowisk trampów. Potem wędrował już sam i pamiętał, żeby zawsze być czystym i ogolonym.

Gdy przysła wiosna, ruszył znowu na północ. Wyczuwał, że okres odprężenia i spokoju dobiegł końca. Kierował się ku północy, ku Karolowi i blaknącym wspomnieniom dzieciństwa.

Szybko przemierzył nieogarniony Teksas wschodni, potem Luizjanę, skrawki Alabamy i Missisipi i wkroczył z flanki na Florydę. Czuł, że musi się spieszyć. Murzyni byli dość ubodzy, aby mieć dobre serce, ale nie mogli ufać żadnemu białemu, choćby najuboższemu, a znów ubodzy biali lękali się obcych.

Pod Tallahassee został zatrzymany przez ludzi szeryfa, osądzony za włóczęgostwo i skazany na przymusowe roboty przy drogach. W ten sposób budowano trakty. Wyrok opiewał na sześć miesięcy. Po zwolnieniu natychmiast zatrzymano Adama znowu i skazano na drugie sześć miesięcy. Teraz nauczył się, że ludzie mogą uważać innych ludzi za bydło oraz że najłatwiejszym sposobem dawania sobie z nimi rady jest być bydlęciem. Szczera twarz, otwarta twarz, oczy patrzące prosto w oczy – to zwracało uwagę, a zwrócona uwaga pociągała za sobą karę. Adam

rozmyślał o tym, jak to człowiek, który robi rzecz szpetną lub brutalną, wyrządza sobie krzywdę i musi za nią ukarać innego. Pilnowanie przy pracy przez strażników uzbrojonych w strzelby, przykuwanie na noc za nogę do ogólnego łańcucha – to były proste środki ostrożności, natomiast dzikie batożenia za najmniejszy odruch woli, za najdrobniejszy strzępek godności czy oporu zdawały się wskazywać, że strażnicy lękają się więźniów, a Adam po latach spędzonych w wojsku wiedział, że człowiek przestraszony jest niebezpiecznym zwierzęciem. Podobnie jak każdy na świecie, Adam bał się tego, co chłosta może wyrządzić jego ciału i duchowi. Otoczył się jakby zasłoną. Usunął wszelki wyraz z twarzy, a blask z oczu, przyciszył swoją mowę. Później dziwił się nie tyle temu, że spotkało go coś podobnego, ile że potrafił to znieść z minimalną przykrością. Wszystkie te rzeczy były o wiele potworniejsze później, niż kiedy się działy. Jest prawdziwym tryumfem panowania nad sobą patrzeć, jak kogoś ćwiczą batogami, aż mięśnie pleców wyzierają poprzez rozciętą skórę, białe i połyskliwe – i niczym nie pokazać po sobie litości, gniewu czy zaciekawienia. A Adam się tego nauczył.

Po pierwszych kilku chwilach raczej wyczuwa się, niż widzi człowieka. Podczas odbywania drugiego wyroku na drogach Florydy Adam zredukował do zera swoją indywidualność. Nie wywoływał żadnego ruchu koło siebie, nie rozchodziła się odeń żadna wibracja, stał się tak niewidoczny, jak to było możliwe. A ponieważ strażnicy nie mogli go wyczuć, więc go się nie obawiali. Przydzielali go do sprząwania obozu, rozdawania zupy więźniom, przynoszenia wody w wiadrach.

Adam wyczekał do chwili poprzedzającej o trzy dni jego zwolnienie. Tego dnia, zaraz po południu, napełnił wiadra i poszedł do rzeczki po dalszy zapas wody. Narzucał kamieni do wiader i zatopił je, potem opuścił się w wodę, przepłynął spory kawał w dół rzeki, odpoczął i popłynął dalej. Ciągłe posuwał się naprzód w wodzie, aż o zmierzchu znalazł osłonięte krzakami miejsce pod brzegiem, nadające się na kryjówkę. Nie wyszedł jednak z wody.

Późną nocą usłyszał przebiegające po obu brzegach psy gończe. Jeszcze przedtem natarł sobie mocno włosy zielonymi liśćmi, ażeby przytłumić zapach człowieka. Usiadł w wodzie, wystawiając tylko nos i oczy. Nad ranem psy wracały, już zubożniałe, a ludzie byli zbyt zmęczeni, by należycie przeszukiwać brzegi. Gdy przeszli, Adam wyciągnął z kieszeni kawałek nasiąkniętego wodą smażonego piklinga i zjadł go.

Już od jakiegoś czasu uczył się unikać pośpiechu. Większość ludzi chwytało, gdy gnali przed siebie w ucieczce. Przebycie krótkiej odległości do Georgii zabrało Adamowi pięć dni. Nie ryzykował; swą niecierpliwość hamował żelazną wolą. Zdumiewała go własna umiejętność.

Na skraju miasta Valdosta, w Georgii, przeleżał w ukryciu do późnej nocy, wszedł w ulice jak cień, zakradł się na tyły taniego sklepu, powoli wyważył okno, tak że śruby zamka wylazły ze zwiertzałego od słońca drewna. Potem założył zamek na powrót, lecz okno pozostawił otwarte. Musiał pracować przy świetle księżyca, wpadającym przez brudne szyby. Ukradł tanie spodnie, białą koszulę, czarne trzewiki, czarny kapelusz i ceratowy płaszcz nieprzemakalny, przymierzając kolejno każdą sztukę. Zanim wylazł przez okno, zmusił się do sprawdzenia, czy nie zostawił po sobie nieporządku. Nie wziął żadnej rzeczy, której nie byłoby w sklepie pod dostatkiem. Nawet nie zajrzał do szuflady kasy. Ostrożnie opuścił okno i przemknął od cienia do cienia w świetle księżyca.

Za dnia leżał w ukryciu, a nocą szedł na poszukiwanie pożywienia – rzepy, paru kolb kukurydzy ze żłobu, kilku jabłek, które wiatr strącił z drzewa – nigdy rzeczy, których brak by zauważono. Trzewiki natarł piaskiem, aby straciły świeżość, i wygniótł płaszcz, żeby wyglądał na podniszczony. Trzy dni minęły, zanim doczekał się deszczu, którego potrzebował czy też w swojej najwyższej ostrożności uważał za potrzebny.

Deszcz zaczął padać późnym popołudniem. Adam kulił się pod swym ceratowym płaszczem, czekając na zapadnięcie ciemności, a kiedy wreszcie nadeszły, udał się poprzez ulewną noc do miasta Valdosta. Czarny kapelusz naciągnął na oczy, a żółty płaszcz zapiął ciasno pod szyją. Dotarł do stacji i zajrzał przez zamazane deszczem okno. Zawiadowca stacji, w zielonym daszku celuloidowym na czole i w czarnych alpagowych zarekawkach roboczych, rozmawiał z jakimś znajomym wychylony przez okienko biletowe. Dwadzieścia minut upłynęło, nim ów znajomy odszedł. Adam obserwował go wychodzącego z peronu. Nabrał głęboko tchu, żeby się uspokoić, i wszedł do środka.

Karol otrzymywał bardzo niewiele listów. Czasem całymi tygodniami nie dowiadywał się na pocztce. Kiedy w lutym tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku przyszedł gruby list z biura adwokackiego w Waszyngtonie, poczmistrz uznał, że może to być coś ważnego. Wybrał się więc na farmę Trasków, zastał Karola rąbiącego drzewo i wręczył mu list. A ponieważ zadał już sobie tyle trudu, czekał, żeby usłyszeć, co list zawiera.

Karol pozwolił mu czekać. Bardzo powoli przeczytał wszystkie pięć stron, zaczął od początku i odczytał je na nowo, formując wargami słowa. Następnie złożył list i zawrócił do domu.

– Coś niedobrego, panie Trask? – zawołał za nim poczmistrz.

– Mój ojciec umarł – odparł Karol i wszedł do domu zamykając za sobą drzwi.

“Ciężko to przeżył – opowiadał później poczmistrz w miasteczku. – Naprawdę ciężko. To cichy człowiek. Nie gada dużo”.

Wszedłszy do domu Karol zapalił lampę, choć jeszcze się nie ściemniło. Położył list na stole i umył ręce, nim zasiadł do ponownego czytania.

Nie było nikogo, kto by mu przysłał telegram. Adwokaci odnaleźli jego adres w papierach ojca. Bardzo ubolewali – składali mu kondolencje. A także byli bardzo przejęci. Kiedy sporządzali testament Traska, myśleli, że pozostawi on synom najwyżej kilkaset dolarów. Na tyle można go było szacować. Jednakże gdy przejrzeni jego konta bankowe, okazało się, że miał ponad dziewięćdziesiąt trzy tysiące dolarów w banku i dziesięć tysięcy w dobrych papierach wartościowych. Wówczas pan Trask ukazał się im w zupełnie innym świetle. Ludzie posiadający tyle pieniędzy są bogaci. Nie muszą o nic się troszczyć. Taka suma wystarcza na założenie dynastii. Prawnicy gratulowali Karolowi i jego bratu, Adamowi. Donosili, że w myśl testamentu spadek ma być między nich podzielony w równych częściach. Po pieniądzach podawali spis osobistych ruchomości pozostałych po nieboszczyku: pięć paradnych szabel, ofiarowanych Cyrusowi podczas różnych zjazdów Wielkiej Armii, młotek z drzewa oliwnego ze złotą plakietką, masonski brelok do zegarka z diamentem osadzonym w środku cyrkla, złote korony do zębów, które Cyrus kazał usunąć, kiedy wstawiał sobie protezę, zegarek (srebrny), laska ze złotą gałką i tak dalej.

Karol odczytał list jeszcze dwa razy i oparł czoło na dłoniach. Rozmyślał, co też się dzieje z Adamem. Chciał, żeby Adam już był w domu.

Był zaskoczony i otumaniony. Rozpalił ogień, postawił na blasze patelnię i skrajał na nią grube płyty solonej wieprzowiny. A potem zawrócił popatrzeć na list.

Nagle chwycił go i schował do szuflady kuchennego stołu. Postanowił przez jakiś czas w ogóle nie myśleć o tej sprawie.

Ma się rozumieć, nie myślał prawie o niczym innym, ale było to tępe myślenie w kółko, wciąż od nowa nawracające do punktu wyjścia: "Skąd on to wziął?"

Jeśli dwa wydarzenia mają ze sobą coś wspólnego, czy to w swojej istocie, czy w czasie lub miejscu, skwapliwie i z zadowoleniem wyciągamy stąd wniosek, że istnieje między nimi jakiś związek, z czego tworzymy legendę i zachowujemy ją w pamięci do późniejszego opowiadania. Karolowi jeszcze nigdy nie doręczono listu na farmie. W kilka tygodni potem przybiegł do niego chłopak z telegramem. Karol odtąd zawsze, łączył ów telegram z listem, podobnie jak czasem zestawiamy dwa zgony i spodziewamy się trzeciego. Pospieszył na stację kolejową trzymając telegram w ręku.

– Posłuchajcie no tylko – powiedział do telegrafisty.

– Jużem to czytał.

– Czytaliście?

– Przecież to przychodzi po drucie – wyjaśnił telegrafista. – Sam to pisałem.

– Ano tak, oczywiście! "pilna potrzeba przekaż telegraficznie sto dolarów wracam do domu adam"

– Przyszło za pobraniem – rzekł telegrafista. – Jesteście mi winni sześćdziesiąt centów.

– Valdosta w Georgii... Nigdy o niej nie słyszałem.

– Ani ja, ale widocznie tam jest.

– Słuchajcie, Carlton, jak się przekazuje telegraficznie pieniądze?

– Ano, przyniesiecie mi sto dwa dolary sześćdziesiąt centów, a ja zadeszuję do telegrafisty z Valdosty, żeby wypłacił sto dolarów Adamowi. Aleście mi winni jeszcze sześćdziesiąt centów.

– Zapłacę... słuchajcie, a skąd ja mogę wiedzieć, że to jest od Adama? Co się robi, żeby kto inny nie podjął pieniędzy?

Telegrafista pozwolił sobie na uśmiech światowości.

– My to tak robimy, że podajecie mi jakieś pytanie, na które nikt inny nie potrafi odpowiedzieć. Wtedy ja nadaję i pytanie, i odpowiedź. Telegrafista pyta tamtego gościa i jeżeli mu nie odpowie, nie dostaje pieniędzy.

– Słuchajcie, a to sprytne! Muszę wymyślić coś dobrego.

– Lepiej idźcie po te sto dolarów, dopóki kasa w banku jest czynna. Karol był zachwycony tą zabawą. Wrócił niosąc pieniądze.

- Już mam pytanie – powiedział.
- Mam nadzieję, że to nie będzie drugie imię waszej matki. Masa ludzi tego nie pamięta.
- Nie, nic podobnego. Będzie tak: “Co dałeś ojcu na urodziny przed samym pójściem do wojska?”
- Dobrze pytanie, ale cholernie długie. Nie moglibyście go skrócić do paru słów?
- A kto za to płaci? Odpowiedź jest: Szczeniaka.
- Nikt by nie zgadł – rzekł Carlton. – Ano, wy płacicie, nie ja.
- Śmiesznie by było, jak by nie pamiętał – powiedział Karol. – Ani rusz nie mógłby wrócić do domu.

3

Adam szedł do miasteczka piechotą. Koszulę miał brudną, a skradzione ubranie wymięte i uwalane od spania w nim przez cały tydzień. Między stodołą a domem przystanął nadstawiając ucha, czy nie usłyszy gdzieś brata, i rzeczywiście po chwili dobiegł go stukot młotka w dużej, nowej suszarni tytoniu.

– Karolu! – zawołał Adam.

Stukanie umilkło i zaległa cisza. Adam doznał wrażenia, że brat przypatruje mu się przez szpary między deskami szopy. A potem Karol wyszedł szybko, podbiegł do Adama i uścisnął mu dłoń.

– Jak się masz?

– Dobrze – odparł Adam.

– Boże drogi, aleś ty schudł!

– Zdaje się, że tak. No i postarzałem się o te parę lat.

Karol obejrzał go od stóp do głowy.

– Nie wyglądasz na zamożnego.

– Bo nie jestem.

– Gdzie twoja walizka?

- Nie mam żadnej.
- Jezus kochany! Gdzieżeś się podziewał?
- Głównie wędrowałem po kraju.
- Jak tramp?
- Jak tramp.

Chociaż przez tyle lat życie pofałdowało zmarszczkami skórę Karola, a jego ciemne oczy nabiegły czerwienią, Adam znał go tak dobrze, iż wyczuł, że brata zaprzętają w tej chwili dwie rzeczy: pytania, które zadawał, ale i jeszcze coś innego.

- Dlaczego nie wróciłeś do domu?
- Ano, po prostu wciągnąłem się w to wędrowanie. Nie mogłem przestać. Wchodzi człowiekowi w krew. Widzę, że masz naprawdę paskudną bliznę.
- To ta, o której ci wspomniałem w liście. Wygląda coraz gorzej. Dlaczegoś nie pisywał? Nie jesteś głodny?

Ręce Karola wcisnęły się nerwowo w kieszenie, potem wysunęły, dotknęły brody i poskrobały po głowie.

– Może ci zejdzie. Widziałem raz jednego barmana, miał taką, co wyglądała zupełnie jak kot. To było znamię. Przewali go "Kot".

- Nie jesteś głodny?
- I owszem.
- Masz zamiar teraz posiedzieć w domu?
- Ano, chyba tak. Chcesz tam teraz pójść?
- Ano... chyba – powtórzył Karol jak echo. – Ojciec nie żyje.
- Wiem.
- A ty skąd to wiesz, u licha?
- Mówił mi zawiadowca stacji. Dawno umarł?
- Z miesiąc temu.
- Na co?
- Zapalenie płuc.
- Tu jest pochowany?
- Nie. W Waszyngtonie. Dostałem list i gazety. Powieźli go na kwiecie przykrytej sztandarem. Na pogrzebie był wiceprezydent, a sam prezydent przesłał wieniec. Wszystko opisali w gazetach. Zdjęcia też są; pokażę ci. Mam tu wszystko.

Adam wpatrzył się w twarz brata, aż Karol odwrócił wzrok.

- Czy ciebie coś w tym złości? – zapytał Adam.

- Co mnie ma złościć?
- Tak mi się zdawało...
- Nie mam na co się złościć. Chodź, dam ci coś do zjedzenia.
- Dobra. Długo chorował?
- Nie. To było galopujące zapalenie płuc. Szybko skończył.

Karol coś ukrywał. Chciał to powiedzieć, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Wciąż krył się za słowa. Adam zamilkł. Mogło być dobrze pomilczeć trochę i pozwolić Karolowi, aby powęszył i pokołował, i w końcu wyrzucił to z siebie.

– Nie bardzo wierzę w wiadomości z tamtego świata – mówił Karol. – Chociaż co to można wiedzieć? Niektórzy twierdzą, że je mieli, na przykład ta stara Sara Whitburn. Przysięgała. Nie wiadomo, czego się trzymać. Tyś nie miał żadnych takich wieści, co? Słuchaj no, do cholery, co ci odgryzło język?

– Tak sobie myślę – odrzekł Adam. A myślał ze zdumieniem: “Przecież ja już się nie boję mojego brata! Kiedyś bałem się go śmiertelnie, a teraz już nie. Ciekawe dlaczego? Czyżby to sprawiło wojsko? Albo te roboty przymusowe? A może śmierć ojca? Niewykluczone, ale jakoś tego nie rozumiem”. Wiedział, że nie czując strachu będzie mógł mówić, co chce, podczas gdy przedtem dobierał słowa, żeby się nie narażać. Było to przyjemne uczucie, nieomal jak gdyby on sam umarł i zmartwychwstał.

Weszli do kuchni, którą pamiętał i zapomniał zarazem. Wydała mu się jakaś mniejsza i brudniejsza. Powiedział nieomal wesoło:

– Karolu, ja ciebie uważnie słuchałem. Chcesz mi coś powiedzieć, a krążysz dokoła tego jak foksterier naokoło krzaka. Lepiej powiedz, zanim cię to ugryzie.

Oczy Karola zabłysły gniewem. Podniósł głowę. Nie miał już dawnej siły. Pomyślał z rozpaczą: “Nie mogę go już złać. Nie mogę”.

Adam zachichotał.

– Może to i nieładnie być w takim dobrym humorze, kiedy ojciec dopiero co umarł, ale wiesz, Karolu, nigdy w życiu nie czułem się lepiej. Nigdy w życiu. No, wyrzuc to z siebie. Niech cię nie draży.

- Czyś ty kochał ojca? – zapytał Karol.
- Nie odpowiem, dopóki nie będę wiedział, o co ci idzie.
- Ale kochałeś go czy nie?
- A co to ma wspólnego z tobą?
- Odpowiedz mi.

Twórcza, swobodna śmiałość przeniknęła umysł i ciało Adama.

– Dobrze. Powiem ci. Nie. Nie kochałem. Czasami czułem przed nim strach. Czasem... tak, czasem podziwiałem go, ale najczęściej nienawidziłem. A teraz powiedz mi, dlaczego chcesz to wiedzieć.

Karol spoglądał na swoje dłonie.

– Nie rozumiem – powiedział. – Po prostu nie mieści mi się w głowie. Przecież on ciebie kochał nad wszystko w świecie.

– Nie wierzę w to.

– Nie musisz wierzyć. Cieszył się każdą rzeczą, jaką mu przyniosłeś. Mnie nie lubił. Nie podobało mu się nic, co mu podarowałem. Pamiętasz ten prezent, który ode mnie dostał, ten scyzoryk? Narąbałem i sprzedałem całą furę drewna, żeby go kupić. A ojciec nawet nie wziął go ze sobą do Waszyngtonu. Do tej pory jest w jego biurku. A ty mu dałeś szczeniaka. Nic cię nie kosztował. Chcesz, to ci pokażę zdjęcie tego psa. Był na pogrzebie ojca. Trzymał go jeden pułkownik, pies już oślepl, nie mógł łązić. Po pogrzebie go zastrzelili.

Adam był zaskoczony zaciekłością w głosie brata.

– Nie rozumiem – odrzekł. – Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Ja go kochałem – powiedział Karol. I po raz pierwszy, odkąd Adam mógł sięgnąć pamięcią, Karol rozplakał się. Złożył głowę na rękach i rozplakał się.

Adam już miał podejść do niego, gdy wtem uczuł lekki nawrót dawnego strachu. “Nie – pomyślał. – Jeżeli go dotknę, może mnie zabić”. Podeszedł do otwartych drzwi i stanawszy w progu wyjrzał na dwór. Za sobą słyszał, jak brat pociąga nosem.

Obejście przy domu nie przedstawiało się ładnie i nigdy ładne nie było. Zaśmieczone, niechlujne, zapuszczone, miało w sobie coś bezplanowego; nie rosły tam żadne kwiaty, a na ziemi wały się strzępy papieru i kawałki drewna. Dom także nie był ładny – po prostu solidnie zbudowana chałupa, w której można znaleźć schronienie i ugotować strawę. Ponure otoczenie i ponury dom, nie kochany i nie kochający. Nie był to właściwie dom, miejsce, do którego się tęskni i chętnie powraca. Nagle przyszła Adamowi na myśl macocha – równie nie kochana jak ta farma, akuratna, na swój sposób czysta, ale nie bardziej żona, niż ta farma była domem rodzinnym.

Brat przestał szlochać. Adam obrócił się. Karol patrzył tępo przed siebie. Adam rzekł:

- Opowiedz mi o matce.
- Umarła. Pisałem ci.
- Powiedz mi coś o niej.
- Już ci mówiłem. Umarła. Dawno temu. Zresztą to nie była twoja matka.

We wspomnieniu Adama zabłysnął nagle ów uśmiech, który niegdyś przychwycił na jej twarzy. Ujrzał ją teraz wyraźnie przed sobą.

Głos Karola przeniknął poprzez ten obraz i rozsadził go.

– Czy możesz mi powiedzieć jedną rzecz... tylko się nie spiesz... zastanów się, zanim odpowiesz, a może nie odpowiadaj wcale, jeżeli to nie ma być prawdą. – Karol poruszył wargami, formując z góry pytanie. – Czy myślisz, że nasz ojciec mógł być... nieuczciwy?

– Jak to?

– Czy to nie dość jasne? Przecież wyraziłem się jasno. Słowo “nieuczciwy” ma tylko jedno znaczenie.

– Nie wiem – odparł Adam. – Nie wiem. Nikt tego nigdy nie mówił. Pomyśl, do czego doszedł. Nocował w Białym Domu. Wiceprezydent był na pogrzebie. Czy tak się postępuje z człowiekiem nieuczciwym? Słuchaj, Karolu – poprosił. – Powiedzże mi to, coś chciał powiedzieć od chwili, kiedy się tutaj zjawiłem.

Karol zwilżył sobie wargi. Rzekłbyś, krew z niego odpłynęła, a wraz z nią cała energia i drapieżność. Głos jego brzmiał monotennie.

– Ojciec spisał testament. Zostawił wszystko w równych częściach mnie i tobie.

Adam roześmiał się.

– No, zawsze możemy jakoś wyżyć na farmie. Chyba nie umrzemy z głodu.

– Tego jest z górą sto tysięcy dolarów – ciągnął bezbarwny głos.

– Oszalałeś? Chyba sto dolarów. Skąd on by tyle wziął?

– To nie pomyłka. Pensja, którą pobierał od wojska, wynosiła sto trzydzieści pięć dolarów miesięcznie. Sam płacił za mieszkanie i wyżywienie. Kiedy był w podróży, dostawał pięć centów od przejechanej mili i zwrot kosztów hotelu.

– Może miał te pieniądze przez cały czas, a myśmy nic nie wiedzieli?

– Nie, nie miał ich przez cały czas.

– To dlaczego nie napiszesz do dowództwa armii i nie zapytasz? Może tam coś wiedzą.

– Nie miałbym odwagi.

– Słuchaj! Nie bądź naiwniakiem. Istnieje taka rzecz jak spekulacja. Masę ludzi się na tym wzbogaciło. Ojciec znał różne grube ryby. Możliwe, że trafił na coś dobrego. Pomyśl, ilu ludzi pojechało do Kalifornii, jak przyszła gorączka złota, i wróciło bogaczami.

Na twarzy Karola malowało się przygnębienie. Głos jego przycichł tak, że Adam musiał przysunąć się blisko, żeby go dosłyszeć. Brzmiał sucho, jak gdyby wypowiadał sprawozdanie.

– Nasz ojciec wstąpił do armii w czerwcu tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku. Przeszedł trzymiesięczne przeszkolenie tu, w tym stanie. To już wypada wrzesień. Pomaszerował na Południe. Dwunastego października został ranny w nogę i odesłany do szpitala. Do domu wrócił w styczniu.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

Słowa Karola były wątle i blade.

– Nie był pod Chancellorsville. Nie był pod Gettysburgiem ani w Wilderness, ani pod Richmondem czy Appomatox.

– Skąd wiesz?

– Z jego zwolnienia. Przyszło razem z innymi papierami.

Adam odetchnął głęboko. W piersiach czuł przypływ radości silny jak uderzenie pięści. Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Karol mówił:

– Jakim sposobem tak mu się udało? Jak, u diabła, mogło mu się udać? Nikt go nigdy o to nie pytał. Ty pytałeś? Albo ja? Albo matka? Nikt. Nawet w Waszyngtonie.

Adam wstał.

– Jest w domu coś do zjedzenia? Może by coś podgrzać?

– Wczoraj wieczorem zarząłem kurczaka. Upiekę go, jeżeli możesz się chwilę wstrzymać.

– A masz coś, co by można zjeść na poczekaniu?

– Trochę solonej wieprzowiny i całą kupę jajek.

– Chętnie to zjem – rzekł Adam.

Pozostawili sprawę w zawieszeniu, obchodzili ją myślowo naokoło, przeskakiwali przez nią. Ich słowa jej nie tykały, lecz myśli nie oddalały się od niej ani na chwilę. Chcieli o tym mówić – i nie mogli. Karol przysmażył trochę solonej wieprzowiny, podgrzał rynkę fasoli, zrobił jajecznicę.

– Zaorałem pastwisko – powiedział. – Zasiałem tam żyto.

– I jak weszło?

– Doskonale, jakem już pousuwał kamienie. – Dotknął czoła. – To draństwo mi się zrobiło, kiedy próbowałem podważyć kamień.

– Pisałeś mi o tym – odrzekł Adam. – Nie wiem, czy ci mówiłem, ile dla mnie znaczyły twoje listy.

– Sam nigdy za dużo nie pisałeś, co porabiasz – powiedział Karol.

– Bo chyba nie chciało mi się o tym myśleć. Na ogół było dosyć nieprzyjemnie.

– Czytałem w gazetach o tych kampaniach. Brałeś w nich udział?

– Owszem. Nie chciało mi się o nich myśleć. I dalej mi się nie chce.

– Zabiłeś jakichś Indian?

– Tak, zabijaliśmy Indian.

– Zdaje się, że oni są naprawdę uciążliwi.

– Chyba tak.

– Nie musisz o tym mówić, jeżeli nie masz ochoty.

– Nie wiem.

Jedli kolację w świetle lampy naftowej.

– Byłoby nam widniej, gdybym mógł się zdobyć na umycie tego szkła.

– Ja to zrobię – rzekł Adam. – Trudno pamiętać o wszystkim.

– Fajnie teraz będzie, kiedy już jesteś z powrotem. Nie chciałbyś pójść do zajazdu po kolacji?

– Ano, zobaczymy. Może będę wolał trochę tu posiedzieć.

– Nie pisałem ci o tym w listach, ale tutaj, w zajezdzie, mają dziewczyny. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wybrać się tam razem. Zmieniają je co dwa tygodnie. Myślałem, że może będziesz chciał je sobie obejrzeć.

– Dziewczyny?

– Aha. Są na piętrze. To bardzo poręczne. Właśnie myślałem sobie, że ponieważ wróciłeś do domu...

– Nie dzisiaj. Może później. Ile tam się płaci?

– Dolara. Na ogół dosyć ładne dziewczyny.

– Może później – powtórzył Adam. – Dziwię się, że pozwalają im tu przyjeżdżać.

– Ja też się z początku dziwiłem. Ale wykombinowały na to sposób.

– Często tam chodzisz?

– Co jakieś dwa, trzy tygodnie. Pusto tu człowiekowi, jak siedzi sam jeden.

- Kiedyś mi pisałeś, że myślisz o ożenku.
- Ano, tak było. Ale nie znalazłem odpowiedniej dziewczyny.

Bracia kluczyli wokół głównego tematu. Od czasu do czasu już niemal go napoczynali, ale zaraz wycofywali się w rozmowę o zbiorach, miejscowych plotkach, polityce albo zdrowiu. Wiedzieli, że prędzej czy później wrócą do tej sprawy. Karol bardziej niż Adam pragnął się w nią zagłębić, ale też Karol miał czas ją przemyśleć, dla Adama zaś była nową dziedziną myśli i uczuć. Wolaliby rzecz odłożyć na inny dzień, a jednocześnie wiedział, że brat mu na to nie pozwoli.

W pewnej chwili powiedział otwarcie:

- Prześpijmy się nad tamtą historią.
- Jasne, jeżeli tak wolisz – odrzekł Karol.

Stopniowo wyczerpały im się wymijające tematy. Omówili już sprawy wszystkich znajomych i wszystkie lokalne wydarzenia. Rozmowa rwała się, a czas mijał.

- Nie chciałbyś się położyć? – spytał Adam.
- Za chwilę.

Milczeli, a noc krążyła niespokojnie po domu, nagabując ich, przynagłając.

- Chciałbym być widzieć ten pogrzeb – odezwał się Karol.
- Musiał być mocno frymuśny.
- Nie przejrzałbyś wycinków z gazet? Mam wszystkie u siebie w pokoju.
- Nie. Nie dzisiaj.

Karol przesunął krzesło i oparł się łokciami o stół.

– Musimy się zastanowić – powiedział nerwowo. – Możemy to odkładać, ile chcemy, ale, psiakrew, i tak trzeba będzie obmyślić, co zrobimy.

– Wiem o tym – odparł Adam. – Po prostu chciałem mieć trochę czasu do namysłu.

– Czy to coś da? Ja miałem czas, masę czasu, a tylko krążyłem w kółko. Próbowałem o tym nie myśleć i dalej krążyłem w kółko. Zdaje ci się, że czas coś pomoże?

– Pewnie nic. Pewnie nic. O czym chcesz najprzód pogadać? Chyba możemy zacząć od razu. Obaj nie myślimy o niczym innym.

- Są te pieniądze – powiedział Karol. – Z górą sto tysięcy dolarów. Majątek.
- No i co z tymi pieniędzmi?
- Skąd one się wzięły?

– A czy ja wiem? Mówiłem ci, że mógł spekulować. Może ktoś w Waszyngtonie naraził mu dobry interes.

– Tak przypuszczasz?

– Nic nie przypuszczam – odrzekł Adam. – Nie wiem nic, to co mogę przypuszczać?

– To masa pieniędzy – powiedział Karol. – Fortuna, którą on nam zostawił. Możemy z tego żyć aż do śmierci albo kupić do cholery ziemi i mieć z niej dochód. Możesz o tym nie pomyślał, ale jesteśmy bogaci. Najbogatsi w tych stronach.

Adam roześmiał się.

– Mówisz tak, jak by chodziło o wyrok skazujący.

– Skąd się wzięły te pieniądze?

– A co cię to obchodzi? – zapytał Adam. – Powinniśmy po prostu siedzieć sobie spokojnie i korzystać z nich.

– Nie był pod Gettysburgiem. Nie był, psiakrew, w żadnej bitwie przez całą wojnę. Oberwał podczas potyczki. Wszystko, co mówił, to były kłamstwa.

– Do czego prowadzisz? – zapytał Adam.

– Moim zdaniem, on te pieniądze ukradł – odrzekł Karol żałośnie. – Pytasz mnie, więc ci mówię, co myślę.

– A wiesz, gdzie je ukradł?

– Nie.

– To dlaczego tak myślisz?

– Opowiadał kłamstwa o wojnie.

– Co?

– No, jeżeli kłamał co do wojny, to... to mógł i kraść.

– Jak?

– Miał różne funkcje przy Wielkiej Armii, ważne funkcje. Możliwe, że się wkręcił do intendentury, zmajstrował księgi.

Adam westchnął.

– Ano, jeżeli tak myślisz, to dlaczego nie napiszesz do nich? Niech przejrzą księgi. Jeżeli to prawda, moglibyśmy zwrócić pieniądze.

Twarz Karola była wykrzywiona, a blizna na czole pociemniała.

– Wiceprezydent był na jego pogrzebie. Prezydent przysłał wieniec. Zebrał się sznur powozów na pół mili długi i setki ludzi pieszo. A wiesz, kto niósł trumnę?

– O co ci idzie?

– Przypuśćmy, że się dowiemy, że był złodziejem. Wtedy wyjdzie na jaw, że nigdy się nie bił pod Gettysburgiem ani nigdzie. Wówczas wszyscy będą wiedzieli, że kłamał i że całe jego życie było jednym parszywym kłamstwem. I jeżeli nawet czasem mówił prawdę, nikt już nie uwierzy, że to była prawda.

Adam siedział bez ruchu. Oczy miał niewzruszone, ale czujne.

– Myślałem, żeś go kochał – powiedział spokojnie. Czuł się swobodny i wyzwolony.

– Kochałem. I kocham. Dlatego nie mogę tego znieść... Całe jego życie przekreślone... całe życie. A jego grób... mogliby nawet rozkopać i wyrzucić go stamtąd. – Słowa rwały mu się ze wzruszenia. – Czyś ty go wcale nie kochał?! – krzyknął.

– Nie byłem pewien do tej pory – rzekł Adam. – Wszystko mi się plątało z tym, co powinienem był czuć. Nie. Nie kochałem go.

– Więc nic cię to nie obchodzi, że jego życie będzie przekreślone, a jego ciało wygrzebane... O Boże wszechmogący!

Myśli Adama gnały, usiłując znaleźć słowa na wyrażenie uczuć.

– Nie musi mnie to obchodzić.

– Nie, nie musi – powiedział gorzko Karol. – Nie musi, jeżeli go nie kochałeś. Możesz nawet przyczynić się do tego, żeby napluli mu w twarz.

Adam wiedział teraz, że brat nie jest już niebezpieczny. Nie było zazdrości, która by nim kierowała. Dźwigał na sobie ciężar ojca, ale był to jego ojciec, którego nikt mu nie mógł odebrać.

– Jak będziesz się czuł, chodząc po mieście, kiedy się wszyscy dowiedzą? – pytał Karol. – Jak spojrzysz ludziom w oczy?

– Powiedziałem ci, że mnie to nie obchodzi. Nie musi mnie obchodzić, bo w to nie wierzę.

– W co nie wierzysz?

– Nie wierzę, żeby kradł jakieś pieniądze. Wierzę, że na wojnie robił dokładnie to, co opowiadał, i był dokładnie tam, gdzie mówił.

– Ale dowody... Co powiesz na ten dokument zwolnienia?

– Nie masz żadnych dowodów, że kradł. Sam to sobie wymyśliłeś, ponieważ nie wiesz, skąd wzięły się pieniądze.

– A jego akta wojskowe...

– Mogą w nich być omyłki – odparł Adam. – I myślę, że są. Wierzę w mojego ojca.

– Nie rozumiem, jak możesz.

100

– Posłuchaj – rzekł Adam. – Dowody na to, że Boga nie ma, są bardzo mocne, a jednak dla wielu ludzi nie tak mocne jak poczucie, że Bóg istnieje.

– Ale przecież mówisz, że nie kochałeś ojca. Jak możesz w niego wierzyć, jeżeliś go nie kochał?

– Może to właśnie jest przyczyną – odparł Adam powoli, ważąc słowa. – Może gdybym go kochał, byłbym o niego zazdrosny. Tyś był. Może... może miłość czyni człowieka nieufnym i podejrzliwym. Prawda, że jak kochasz kobietę, nigdy nie masz pewności... nigdy nie jesteś jej pewny, bo nie jesteś pewny siebie? Ja to widzę zupełnie jasno. Widzę, jak bardzo go kochałeś i co to z tobą zrobiło. Ja go nie kochałem. Możliwe, że on mnie kochał. Wystawiał mnie na próby, ranił mnie i karał, a w końcu wysłał z domu jakby na ofiarę, kto wie, czy nie po to, żeby za coś zadośćuczynić. Ale ciebie nie kochał, więc w ciebie wierzył. Może... no cóż, może to jest ta odwrotna strona medalu.

Karol wpatrzył się w niego.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Ja próbuję zrozumieć – mówił Adam. – To dla mnie nowa myśl. Teraz jest mi dobrze. Chyba lepiej niż kiedykolwiek w całym moim życiu. Uwolniłem się od czegoś. Możliwe, że kiedyś będę czuł to co ty, ale teraz jeszcze tego nie czuję.

– Nie rozumiem – powtórzył Karol.

– Nie możesz zrozumieć, że ja nie uważam naszego ojca za złodzieja? Nie wierzę też, żeby był kłamcą.

– Ale te dokumenty...

– W ogóle do nich nie zajrzę. Dokumenty nie są żadną przeciwwagą mojej wiary w ojca.

Karol oddychał ciężko.

– Więc ty byś wziął te pieniądze?

– Oczywiście.

– Nawet jeżeli je ukradł?

– On ich nie ukradł. Nie mógł ich ukraść.

– Nie rozumiem – rzekł Karol.

– Nie? No więc możliwe, że w tym właśnie tkwi cała tajemnica. Słuchaj, ja ci nigdy o tym nie wspominałem... Pamiętasz, jakieś mnie pobił przed samym moim odjazdem?

– Tak.

– A pamiętasz, co było potem? Wróciłeś z toporkiem, żeby mnie zabić.

– Nie przypominam sobie dokładnie. Musiałem być szalony.

– Nie wiedziałem tego wtedy, ale wiem teraz. Walczyłeś o swoją miłość.

– Miłość?

– Tak – odrzekł Adam. – Dobrze zużytkujemy te pieniądze. Może zostaniemy tutaj. Może wyjedziemy... na przykład do Kalifornii. Jeszcze się zobaczy, co zrobimy. No i oczywiście musimy postawić ojcu nagrobek, i to duży.

– Ja nie mógłbym stąd odjechać – powiedział Karol. – Ano, zobaczymy, jak to pójdzie. Nie ma gwałtu. Rozejrzemy się w sytuacji.

ROZDZIAŁ VIII

1

Wierzę, iż są na świecie potwory zrodzone z ludzkich istot. Niektóre widuje się czasem, pokraczne, przerażające, o ogromnych głowach lub drobnych ciałkach; jedne rodzą się bez rąk, bez nóg, inne z trzema rękami, jeszcze inne z ogonem albo ustami w najdziwniejszych miejscach. Są to przypadki i nie wynikają z niczyjej winy, jak niegdyś mniemano. Za dawnych czasów ludzie dopatrywali się w tym wiadomej kary za ukryte grzechy.

Ale podobnie jak istnieją potwory fizyczne, czy nie mogą narodzić się potwory umysłowe albo psychiczne? Twarz i ciało mogą być doskonałe, lecz jeśli wykoślawiony gen lub zdeformowane jajeczko może wytworzyć fizycznego potwora, to czyż ten sam proces nie może wytworzyć zdeformowanej duszy?

Potwory są mniejszymi lub większymi odchyleniami od przyjętej normy. Podobnie jak dziecko może narodzić się bez ręki, tak ktoś może narodzić się bez dobroci czy potencjalnego sumienia. Człowiek, który traci rękę w wypadku, musi się dobrze namozolić, ażeby przystosować się do tej ułomności, natomiast ten, kto przychodzi na świat bez ręki, cierpi jedynie przez to, że ludzie uważają go za dziwoląga. Ponieważ nigdy nie miał rąk, nie może odczuwać ich braku. Czasem w dzieciństwie wyobrażamy sobie, jak by to było, gdyby

ieli skrzydła, ale nie ma powodu przypuszczać,

odczuwają ptaki. Nie, potworowi normalność musi wydawać się właśnie czymś potwornym, gdyż każdy uważa sam siebie za normalnego. Dla wewnętrznego potwora jest jeszcze bardziej niepojęta, ponieważ nie ma on nic widomego, co mógłby porównać z innymi. Człowiekowi, który przyszedł na świat bez sumienia, ten, kto cierpi duchowe rozterki, musi wydawać się śmieszny. Dla przestępcy uczciwość jest głupotą. Nie trzeba zapominać, że potwór to tylko odchylenie od normy oraz że dla potwora norma jest właśnie czymś potwornym.

W moim przekonaniu Cathy Ames urodziła się z tymi skłonnościami czy też brakiem skłonności, które nią kierowały i powodowały przez całe życie. Jakież

kółeczko mechanizmu było źle wyważone, jakieś tryby niewłaściwie dobrane. Nie była podobna do innych ludzi, nie przypominała ich nigdy, od urodzenia. I jak kaleka może nauczyć się wykorzystywać swoją ułomność, tak że w pewnym ograniczonym zakresie staje się sprawniejszy niż ten, kto kaleką nie jest – podobnie Cathy, wykorzystując swoją inność, czyniła bolesny i niepokojący zamęt w swoim świecie.

Były czasy, kiedy taką dziewczynę jak Cathy nazywano by opętaną przez szatana. Odprawiono by nad nią egzorcyzmy, żeby wypędzić złego ducha, a gdyby po wielu próbach to nie pomogło, spalono by ją jak czarownicę dla dobra ogółu. Rzeczą, której niepodobna wybaczyć czarownicy, jest jej zdolność nękania ludzi, budzenia w nich niepokoję, rozterki, a nawet zawiści.

Jak gdyby natura chciała ukryć pułapkę, Cathy miała od dziecka twarz pełną niewinności. Włosy jej były złociste i śliczne, a szeroko osadzone, piwne oczy o ciężkich powiekach nadawały jej tajemniczo senny wyraz. Nos miała cienki i delikatny; kości policzkowe wydatne i szerokie,

Jt¹ V wydatnej szerokie, prz-^{*} • "••• łdzi\ ły w wąską brodę, tak \$e'jej twarz W*, ">^ " ^ v'-. serce. Usta były kształtne, pełne, ale niefefe&ii^ niegdyś nazywano pączkiem róży – uszf bard, dolnych skrzydełek i tak przystające, że"flaV\$Ł

przy gładko zaczesanych włosach nie tworzyły konturu. Były niby cienkie płatki przyklejone do głowy.

Cathy zawsze miała dziecinną figurę, nawet kiedy dorosła; była szczupłą, o delikatnych ramionach i dłoniach – drobnutkich dłoniach. Piersi jej nigdy nie rozwinęły się zbyt. Przed okresem dojrzewania ich sutki były schowane do wewnątrz. Kiedy w dziesiątym roku życia zaczęły ją boleć, matka je musiała wygniatać na wierzch. Ciało miała Cathy chłopięce, wąskie w biodrach, nogi smukłe, kostki delikatne i proste, chociaż nie szczupłe, a stopy drobne, krągłe i jędrne, o pulchnym podbiciu, nieomal jak małe kopytka. Była ładnym dzieckiem i wyrosła na ładną kobietę. Jej głos, niski i miękki, potrafił brzmieć tak słodko, że stawał się nieodparty. Jednakże w krtani musiała mieć jakąś stalową strunę, bo kiedy chciała, głos ten mógł stać się ostry jak pilnik.

Już jako dziecko miała w sobie coś, co sprawiało, że ludzie przyjrząwszy się jej i popatrzywszy w inną stronę, znowu wracali do niej wzrokiem, zaniepokojeni jakąś obcością. Coś wycierało z jej oczu, ale kiedy spojrzales ponownie, już w nich tego nie

było. Ruchy miała spokojne, mówiła niewiele, ale nie mogła wejść do pokoju, żeby zaraz wszyscy nie obrócili się ku niej.

Ludzie czuli się z Cathy nieswojo, ale nie tak, by chcieć jej unikać. Mężczyźni i kobiety pragnęli na nią patrzeć, przebywać blisko niej, jakoś odgadnąć, co powoduje ów niepokój, który rozsiewa wokół tak nieuchwytnie. A ponieważ było tak zawsze, więc Cathy nie widziała w tym nic osobliwego.

Różniła się od innych dzieci pod wieloma względami, ale jedna rzecz wyodrębniała ją szczególnie. Większość dzieci nie cierpi odmienności. Chcą wyglądać, mówić, ubierać się i zachowywać dokładnie tak jak wszystkie inne. Jeżeli moda ubioru staje się niedorzeczna, dla dziecka jest bólem i zmartwieniem nie nosić owej niedorzeczności. Gdyby przyjęto nosić naszyjniki z kotletów wieprzowych, smutne byłoby to dziecko, które by ich nie mogło nałożyć. I owa niewolniczość wobec grupy zazwyczaj rozciąga się na każdą grę, każdy obyczaj, towarzyski czy inny. Jest to kolor ochronny, który dzieci przybierają dla własnego bezpieczeństwa.

Cathy nie miała tego wcale. Nigdy nie przystosowywała się do otoczenia czy to w stroju, czy w postępowaniu. Nosila to, co jej się podobało. Wynik był taki, że bardzo często inne dzieci ją naśladowały.

W miarę jak Cathy dorastała, grupa czy też stado, którym jest każde dziecięce zbiorowisko, zaczęła wyczuwać to, co wyczuwali dorośli, a mianowicie, że Cathy ma w sobie coś obcego. Po pewnym czasie tylko pojedyncze dzieci trzymały się z nią bliżej. Grupki chłopców i dziewcząt unikały jej, jak gdyby nosiła w sobie jakieś niewiadome niebezpieczeństwo.

Cathy kłamała, ale nie tak, jak kłamię większość dzieci. Jej kłamstwa nie były śnieniem na jawie, kiedy to opowiada się rzecz urojoną i aby jej nadać pozory prawdy, podaje ją jako coś rzeczywistego. To jest po prostu zwyczajne odchylenie od zewnętrznej rzeczywistości. Myślę, iż różnica między kłamstwem a opowieścią polega na tym, że opowieść posługuje się akcesoriami i pozorami prawdy w interesie zarówno słuchacza, jak opowiadającego. Opowieść nie ma w sobie ani zysku, ani straty. Natomiast kłamstwo jest środkiem zapewniającym korzyść albo ucieczkę. Przypuszczam, że jeżeli trzymać się ściśle tej definicji, powieściopisarz jest kłamcą – o ile ma finansowe powodzenie.

Kłamstwa Cathy nigdy nie były niewinne. Na celu miały wymiganie się od kary lub pracy czy odpowiedzialności, a stosowane były dla korzyści. Większość kłamców daje się przyłapać, ponieważ albo zapominają, co powiedzieli, albo też ich kłamstwo

staje niespodziewanie wobec niezaprzeczalnej prawdy. Jednakże Cathy nie zapominała swych kłamstw i wyrobiła sobie najskuteczniejszy system kłamania. Trzymała się na tyle blisko prawdy, że nigdy nie można było mieć pewności. Znała także dwie inne metody: albo przeplatanie kłamstw prawdą, albo mówienie prawdy tak, jakby była kłamstwem. Jeżeli kogoś oskarżą o kłamstwo, które okaże się prawdą, wówczas zyskuje on pewien kredyt, który trwa długo i może pokryć znaczną ilość nieprawd.

Ponieważ Cathy była jedynaczką, jej matka nie miała w rodzinie nikogo, z kim mogłaby ją porównać. Uważała, że wszystkie dzieci są takie jak jej córka. A ponieważ wszyscy rodzice stale się martwią, była więc przeświadczona, że każdy z jej znajomych ma takie same problemy. Ojciec Cathy nie był tego tak pewny. Prowadził niewielką garbarnię w jednym z miasteczek w Massachusetts, co zapewniało mu dostatnie, choć skromne utrzymanie, jeżeli pracował bardzo usilnie. Pan Ames stykał się poza domem z innymi dziećmi i wyczuł, że Cathy nie jest do nich podobna. Była to bardziej sprawa wyczucia niż świadomości. Córka go niepokoiła, ale nie umiałby powiedzieć dlaczego.

Prawie każdy na świecie ma pewne apetyty i impulsy, odruchy uczuć, wyspy samolubstwa, żądze zaledwie ukryte pod powierzchnią. A większość ludzi albo trzyma takie rzeczy na wodzy, albo folguje im potajemnie. Cathy nie tylko dostrzegała u innych owe impulsy, ale umiała je obracać na swoją korzyść. Jest zupełnie możliwe, że nie wierzyła w istnienie jakichkolwiek odmiennych skłonności u ludzi, bo o ile była nadnaturalnie wyczulona w pewnych kierunkach, to w innych odznaczała się całkowitą ślepotą.

Gdy jeszcze była bardzo młoda, zrozumiała, że seksualizm wraz z towarzyszącymi mu tęsknotami i cierpieniami, zazdrością i wszystkimi tabu jest najbardziej niepokojącym popędem, jaki mają ludzkie istoty. A w owych czasach musiał być jeszcze bardziej niepokojący niż teraz, ponieważ temat ten był zakazany i omijany. Każdy ukrywał w sobie to małe piekło, zarazem publicznie udając, że ono nie istnieje, a jeśli go w nim przyłapano, był całkowicie bezradny. Cathy pojęła, że operując i posługując się ową cząstką ludzkiej natury może uzyskać i zachować władzę niemal nad każdym. Była to jednocześnie broń i groźba. Coś zupełnie nieodpartego. A ponieważ to bezsilne zaślepienie jakoś nigdy nie nawiedziło Cathy, jest więc prawdopodobne, że sama miała bardzo niewiele tego popędu i nawet czuła wzdrganie dla tych, którzy mu ulegali. I jeśli się nad tym zastanowić z pewnego punktu widzenia, miała właściwie rację.

Jakąż swobodę mogliby osiągnąć mężczyźni i kobiety, gdyby ich wciąż nie zwodził, nie wciągał w sidła, nie zniewalał i nie dręczył ich seksualizm! Jediną wadą owej swobody jest fakt, że bez niego człowiek nie byłby ludzki. Byłby potworem.

Mając lat dziesięć Cathy wiedziała już coś niecoś o sile popędu płciowego i zaczęła na zimno z nim eksperymentować. Planowała sobie wszystko trzeźwo, przewidując trudności i gotując się do ich przewyciężenia.

Gra erotyczna dzieci istniała zawsze. Chyba każdy, kto nie jest nienormalny, spotykał się z małymi dziewczynkami w jakimś ciemnym, zadrzewionym miejscu lub na dnie żłobu, pod wierzbą czy w kanale przepustowym pod szosą – albo przynajmniej o tym marzył. Niemal wszyscy rodzice stają wcześniej czy później wobec owego problemu, i wówczas szczęśliwe jest to dziecko, którego ojciec czy matka pamięta własne dzieciństwo. Jednakże za czasów dzieciństwa Cathy sprawa była bardziej skomplikowana. Rodzice, zaprzeczając istnieniu czegoś podobnego w sobie samych, ze zgrozą odkrywali to u swych dzieci.

2

Pewnego wiosennego ranka, kiedy młode trawy okryte zapóźnioną rosą straszyły się w słońcu, a ciepło przenikało ziemię i wyciskało z niej na wierzch żółte mleczce, matka Cathy kończyła wieszać na sznurze upraną bieliznę. Amesowie mieszkali na skraju miasteczka, a za ich domem znajdowała się stajnia i wozownia, ogród warzywny i zagroda dla dwóch koni.

Pani Ames przypomniała sobie, że widziała Cathy odchodzącą w kierunku stajni. Zawołała ją, a ponieważ nie było odpowiedzi, pomyślała, że widocznie się omyliła. Już miała wejść do domu, gdy usłyszała chichot dobiegający z wozowni.

– Cathy! – zawołała.

Żadnej odpowiedzi. Poczula się nieswojo. Uprzymomniła sobie brzmienie tego chichotu. Nie był to głos Cathy. Cathy nie była śmieszka.

Nigdy nie wiadomo, jak i dlaczego rodziców ogarnia lęk. Ma się rozumieć, niepokój często zjawia się wtedy, gdy nie ma po temu żadnego powodu. Najczęściej zaś nawiedza rodziców jedynaków, rodziców, których prześladowuje czarna zmora utraty.

Pani Ames przystanęła bez ruchu, nadstawiając ucha. Dosłyszała stłumione, sekretne głosy i wtedy cicho podsunęła się do wozowni. Wrota były zamknięte. Z wewnątrz dochodził szmer głosów, ale nie mogła wśród nich rozróżnić głosu Cathy. Postąpiła szybko o krok, rozwarła wrota – i jasne słońce runęło do wewnątrz. Stała jak wryta, z otwartymi ustami na widok tego, co zobaczyła.

Cathy leżała na podłodze, spódniczkę miała zadartą. Była obnażona do pasa, a obok niej klęczeli dwaj mniej więcej czternastoletni chłopcy. Wstrząs, jakim było wtargnięcie światła, ich także przykuł do miejsca. Cathy miała oczy otępiełe z przerażenia. Pani Ames знаła obu chłopców, znała ich rodziców.

Nagle jeden zerwał się, pędem wyminął panią Ames i pognął za róg domu. Drugi bezradnie cofnął się przed nią, a potem z krzykiem rzucił się do wyjścia. Pani Ames chciała go schwycić, ale palce jej zsunęły się po kurtce i chłopiec umknął. Usłyszała na dworze szybko oddalający się tupot jego stóp.

Pani Ames popróbowwała przemówić i z krtani dobył jej się chrapliwy szept:

– Wstań!

Cathy patrzyła na nią tępo i nie ruszyła się z miejsca. Pani Ames zauważyła, że dziewczynka ma ręce związane grubą linką. Krzyknęła, rzuciła się na kolana i zaczęła szarpać supły. Zniosła Cathy do domu i położyła ją do łóżka.

Domowy doktor po zbadaniu Cathy nie znalazł żadnych oznak zgwałcenia.

– Może pani tylko dziękować Bogu, że pani przysłała na czas – powtarzał wciąż od nowa pani Ames.

Cathy przez długi czas nic nie mówiła. Szok; tak to nazwał doktor. A kiedy wreszcie szok minął, nie chciała nic powiedzieć. Gdy ją wypytywano, oczy jej rozszerzały się, tak że było widać białka wokół tęczówek, oddech ustawał, ciało sztywniało, a policzki nabiegały czerwienią od wstrzymywania oddechu.

W naradzie z rodzicami chłopców wziął udział doktor Williams. Pan Ames prawie nie zabierał głosu. Przyniósł linkę, którą były związane ręce Cathy. W oczach miał zdumienie. Nie mógł zrozumieć pewnych rzeczy, ale ich nie poruszał.

Pani Ames popadła w całkowitą histerię. Przecież tam była. Widziała. Jest w tej sprawie ostatecznym autorytetem. A z histerii wychynął demon sadyzmu. Łaknęła krwi. W jej żądaniach kary było jakieś upojenie. Trzeba chronić miasto, kraj. Postawiła to na tej płaszczyźnie. Bogu dzięki, zjawiała się na czas. Ale może następnym razem nie zdąży? A co by czuły na jej miejscu inne matki? A Cathy ma ledwie dziesięć lat.

Kary były naówczas okrutniejsze niż dzisiaj. Ludzie naprawdę wierzyli, że bat jest narzędziem cnoty. Najpierw pojedynczo, a potem razem osmagano obu chłopców, osmagano ich do żywego mięsa.

Przestępstwo ich było już dostatecznie ciężkie, ale kłamstwa dowodziły istnienia zła, którego nawet bat nie wykorzeni. A ich obrona była od początku śmieszna. Twierdzili, że wszystko zaczęła Cathy, oni zaś dali jej po pięć centów.

I wcale nie wiązali jej rąk. Mówili, iż przypominają sobie, że Cathy bawiła się jakąś linką.

Pani Ames powiedziała to pierwsza, a za nią powtórzyło jak echo całe miasteczko: "Więc to ma znaczyć, że niby sama związała sobie ręce? Dziesięcioletnie dziecko?"

Gdyby chłopcy przyznali się do występku, mogliby częściowo uniknąć kary. Odmowa wprawiła w żądną tortur wściekłość nie tylko ojców, którzy wymierzili im chłostę, ale i całe środowisko. Obaj chłopcy zostali za zgodą rodziców odesłani do domu poprawy.

"Ją to prześladowe – opowiadała pani Ames sąsiadom. – Gdyby choć mogła o tym mówić, może by jej ulżyło. Ale jak tylko o coś spytam, zaraz wszystko jej jakby powraca i znowu dostaje szoku".

Amesowie więcej nie rozmawiali na ten temat z córką. Sprawa została zamknięta. Pan Ames wprędce zapomniał o swych dręczących zastrzeżeniach. Byłoby mu nieprzyjemnie, gdyby dwóch chłopaków siedziało w domu poprawy za coś, czego wcale nie zrobili.

Kiedy Cathy już w pełni przysła do siebie po doznanym szoku, rówieśnicy, którzy początkowo obserwowali ją z daleka, zaczęli zbliżać się do niej, wyraźnie zafascynowani. Nie miała zaufanych przyjaciółek, jak to zwykle bywa w wieku dwunastu, trzynastu lat. Chłopcy woleli nie ryzykować przytyków ze strony kolegów za odprowadzanie jej ze szkoły do domu. Ale mimo to wywierała ogromne wrażenie zarówno na chłopcach, jak na dziewczętach. I jeżeli jakiś chłopak zetknął się z nią sam na sam, czuł, że przyciąga go do Cathy siła, której nie mógł ani zrozumieć, ani przewyciężyć.

Była pełna uroku i bardzo słodka, a mówiła zniżonym głosem. Chodziła samotnie na długie spacery i rzadko zdarzało się, by któryś z chłopców nie natknął się na nią przypadkiem, wyszedłszy z zagajnika. Wprawdzie szeptało sobie na ucho różne plotki, ale nie sposób było ustalić, co Cathy robi. Jeżeli coś się działo, wynikały stąd

tylko mgliste szepty, co samo w sobie było niezwykle w wieku, kiedy ma się wiele tajemnic, ale nie dochowuje żadnej dość długo, by się ustała.

Cathy nauczyła się nosić na twarzy uśmiezek, zaledwie ślad uśmiechu. Miała swoisty sposób strzelania oczami i opuszczania wzroku, obiecujący samotnemu chłopcu tajemnice, które mógłby z nią dzielić.

Jej ojcu chodziło po głowie jeszcze inne pytanie, ale zepchnął je w siebie głęboko i uważał, że samo zastanawianie się nad tym jest nieuczciwe. Cathy miała niezwykle szczęście do znajdowania różnych przedmiotów – to złotego breloku, to pieniędzy, jedwabnej sakiewki, to znów srebrnego krzyżyka wysadzanego czerwonymi kamyczkami, które jakoby były rubinami. Znajdowała wiele rzeczy, lecz kiedy ojciec dał do tygodnika "Courier" ogłoszenie o krzyżyku, nikt się po niego nie zgłosił.

Pan William Ames, ojciec Cathy, był człowiekiem skrytym. Rzadko wyjawiał swoje myśli. Nie miałby odwagi tak się wystawiać na spojrzenia sąsiadów. Zachowywał dla siebie ów mały płomyk podejrzania. Lepiej było nie wiedzieć nic – bezpieczniej, mądrzej i o wiele wygodniej. Co zaś się tyczy matki Cathy, to została tak oplątana, tak omotana kokonem pajęczych półkłamstw, wypaczonych prawd i domyslników usnutym przez Cathy, że nie potrafiłaby już rozeznaczyć prawdy, choćby ją miała przed oczami.

3

Cathy była coraz ładniejsza. Delikatna, kwitnąca cera, złote włosy, szeroko osadzone, skromne, a jednak wiele obiecujące oczy, drobne usta pełne słodyczy – zwracały i przykuwały uwagę. Ukończyła osiem klas szkoły podstawowej z tak dobrym wynikiem, że rodzice zapisali ją do małego, miejscowego gimnazjum, jakkolwiek w owych czasach nie było w zwyczaju, by dziewczynka kontynuowała studia. Jednakże Cathy oświadczyła, że chce zostać nauczycielką, co uradowało matkę i ojca, ponieważ był to jedyny godny zawód dostępny dla dziewczyny z dobrej, ale niezamożnej rodziny. Rodzicom przynosiła chlębę córka, która była nauczycielką.

Cathy miała czternaście lat, kiedy wstąpiła do gimnazjum. Rodzice zawsze uważali ją za skarb, ale wraz z wniknięciem w tajniki algebry i łaciny Cathy sięgnęła obłoków, na które ojciec i matka nie mogli już z nią podążyć. Utracili ją. Czuli, że została przeniesiona do wyższych sfer.

Nauczyciel łaciny był bladym, skupionym młodzieńcem, któremu nie powiodły się studia w szkole teologicznej, ale który miał dostateczne wykształcenie, aby wykładać nieuniknioną gramatykę, Cezara i Cyncerona. Ten cichy, młody człowiek wziął sobie swoje niepowodzenie mocno do serca. W głębi duszy mniemał, że Bóg go odtrącił, i nie bez racji.

Od pewnego czasu zauważono, że w Jakubie Grew zapłonął jakiś ogień i że w oczach żarzy mu się dziwna moc. Nigdy nie widywano go z Cathy i nikt nawet nie podejrzewał, że coś ich może łączyć.

Jakub Grew stał się mężczyzną. Chodził sprężystym krokiem i podśpiewywał sobie pod nosem. Pisywał listy tak przekonywające, że kierownictwo szkoły teologicznej przychylnie rozważało możliwość przyjęcia go na powrót.

A potem ów płomień zagaśł. Ramiona, które Grew nosił tak wysoko i prosto, obwisły żałośnie. Oczy płonęły mu gorączkowo, a ręce drżały. Widywano go nocą w kościele, na klęczkach, poruszającego wargami w modlitwie. Opuszczał lekcje w szkole i dawał znać, że choruje, chociaż wiedziano, że błądzi samotnie po wzgórzach a miastem.

Pewnej nocy, o późnej godzinie, zapukał do drzwi domu Amesów. Pan Ames gderając wygrzebał się z łóżka, zapalił świecę, narzucił palto na nocną koszulę i podszedł do drzwi. Ujrzał przed sobą Jakuba Grew, wzburzonego, z oszalałym spojrzeniem; oczy mu błyszczały, a całym ciałem wstrząsał jeden wielki dreszcz.

– Muszę z panem pomówić – rzekł ochryłym głosem do Amesa.

– Już jest po północy – odparł surowo pan Ames.

– Muszę z panem pomówić w cztery oczy. Niech pan coś włoży na siebie i wyjdzie na dwór. Muszę się z panem rozmówić.

– Młody człowieku, pan chyba jest pijany albo chory. Proszę wrócić do domu i przespać się trochę. Już po północy.

– Nie mogę czekać. Muszę się z panem rozmówić.

– Niech pan przyjdzie rano do garbarni – powiedział Ames, zatrzasnął drzwi przed chwiejącym się gościem i przystanął za nimi nasłuchując. Dosłyszał żalony głos: “Nie mogę czekać. Nie mogę czekać” – a potem kroki zstępujące z wolna, ociężałe ze schodów.

Pan Ames osłonił zwinętą dłonią płomyk świecy, by go nie raził w oczy, i wrócił do łóżka. Wydało mu się, że drzwi pokoju Cathy przymknęły się cicho, ale możliwe, iż

zwiadło go migotliwe światło świecy, bo miał także wrażenie, że jedna z portier się poruszyła.

– Cóż tam takiego? – spytała żona, gdy stanął przy łóżku.

Pan Ames nie miał pojęcia, dlaczego tak odpowiedział – może po to, żeby uniknąć dyskusji.

– Jakiś pijak – rzekł. – Trafił do niewłaściwego domu.

– Do czego ten świat dochodzi! – powiedziała pani Ames.

Ames leżąc w ciemnościach po zgaszeniu światła widział zielony krąg pozostawiony w źrenicach przez płomień świecy, a w jego wirującym, pulsującym obwodzie – oszalałe, błagalne oczy Jakuba Grew. Długo nie mógł zasnąć.

Rankiem miasteczko obiegła pogłoska, zniekształcona i rozdmuchiwana tu i ówdzie, ale po południu rzecz się wyjaśniła. Zakrystian znalazł Jakuba Grew rozciągniętego na posadzce przed ołtarzem. Cały wierzch głowy miał odstrzelony. Obok leżała strzelba, a przy niej kij, którym nacisnął spust. Nie opodal stał na podłodze lichtarz z ołtarza. Jedna z trzech świec jeszcze płonęła. Dwie pozostałe nie były zapalone. A na podłodze znaleziono też dwie książki jedną na drugiej: zbiór hymnów i modlitewnik. Zakrystian wyobrażał to sobie tak, że Grew oparł o nie strzelbę, ażeby nakierować wylot lufy na skroń. Odrzut po strzale strącił strzelbę z książek.

Kilka osób przypomniało sobie, że wczesnym rankiem przed świtem słyszało jakąś detonację. Jakub Grew nie zostawił żadnego listu. Nikt nie mógł dojść, dlaczego to zrobił.

Pierwszym odruchem pana Amesa było pójść do coronera² i opowiedzieć mu o nocnej wizycie. Jednakże potem pomyślał: “Co to da? Gdybym coś wiedział, to co innego. Ale przecież nie wiem nic a nic”. Czuł ucisk w dołku. Powtarzał sobie wciąż od nowa, że to nie jego wina. “Co mogłem poradzić? Nawet nie wiem, czego chciał”. Czuł się winny i nieszczęśliwy.

Przy obiedzie żona zaczęła mówić o samobójstwie, więc nie mógł nic wziąć do ust. Cathy siedziała milcząca, ale nie bardziej milcząca niż zwykle. Jadła małymi, zgrabnymi kaskami i często ocierała usta serwetką.

Pani Ames szczegółowo omawiała sprawę znalezienia ciała i strzelby.

² Coroner – urzędnik prowadzący śledztwo w sprawach, w których istnieje podejrzenie, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych (przyp. tłum.).

– O jedną rzecz chciałam zapytać – powiedziała. – Czy ten pijak, co przyszedł pod drzwi wczoraj w nocy, to nie mógł być młody Grew?

– Nie – odpowiedział jej szybko mąż.

– A jesteś pewien? Widziałeś go po ciemku?

– Miałem świecę – odparł ostro. – Nawet nie był podobny; miał długą brodę.

– Nie musisz zaraz tak na mnie burczeć – powiedziała. – Po prostu się zastanawiałam.

Cathy otarła usta, a kiedy położyła serwetkę na kolanach, była uśmiechnięta.

Pani Ames obróciła się do córki.

– Widywałaś go co dzień w szkole, Cathy. Czy ostatnio nie zdawał ci się przygnębiony? Zauważyłaś coś, co by mogło wskazywać...

Cathy spojrzała na swój talerz, a potem podniosła wzrok.

– Miałam wrażenie, że jest chory – odrzekła. – Tak, wyglądał niedobrze. Wszyscy w szkole dziś o tym mówili. A ktoś, już nie pamiętam kto, powiedział, że pan Grew miał jakieś przykrości w Bostonie. Nie słyszałam jakie. Myśmy bardzo lubili pana Grew.

Otarła delikatnie usta.

Taka była metoda Cathy. Zanim upłynął następny dzień, całe miasteczko wiedziało, że Jakub Grew miał jakieś przykrości w Bostonie, i nikomu nie przeszło przez myśl, że to Cathy sfabrykowała tę historię. Nawet pani Ames wyleciało z głowy, od kogo ją usłyszała.

4

Wkrótce po szesnastych urodzinach Cathy zaszła w niej zmiana. Pewnego ranka nie wstała, żeby iść do szkoły. Matka weszła do pokoju i zastała ją w łóżku, wpatrzoną w sufit.

– Pospiesz się, bo się spóźnisz. Już prawie dziewięta.

– Ja nie idę – powiedziała obojętnym tonem.

– Źle się czujesz?

– Nie.

– No to spiesz się, wstawaj.

– Kiedy nie idę.

- Musisz być chora. Przecież nigdy nie opuściłaś nawet jednego dnia.
- Nie idę do szkoły – powiedziała spokojnie Cathy.
- Nigdy więcej nie pójde do szkoły.

Matka szeroko otworzyła usta.

- Co to ma znaczyć?
- Nigdy więcej – powtórzyła Cathy i dalej patrzyła w sufit.

– No, jeszcze zobaczymy, co ojciec na to powie! Po całej naszej pracy i wydatkach, i to na dwa lata przed maturą! – A potem podsunęła się bliżej i zapytała cicho: – Może ci się zachciało wyjść za mąż?

- Nie.
- Co to za książkę tam chowasz?
- Proszę! Wcale jej nie chowam.
- Och! *Alicja w krainie czarów*. Za duża jesteś na to.

Cathy odpowiedziała:

- Potrafię się zrobić taka malutka, że nawet mnie nie dojrzysz.
- Co ty, u licha, wygadujesz?
- Nikt mnie nie znajdzie.

– Przestań stroić żarty – powiedziała gniewnie matka. – Nie wiem, co ci strzeliło do głowy. Cóż to ma zamiar robić panna Kapryśnica?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła Cathy. – Myślę, że chyba wyjadę.

– No to leż sobie tutaj, panno Kapryśnico, i jak ojciec przyjdzie, będzie ci miał dwa słowa do powiedzenia.

Cathy bardzo powoli obróciła głowę i spojrzała na matkę. Oczy jej były zimne, pozbawione wyrazu. I nagle pani Ames zlekła się córki. Wyszła cicho i zamknęła za sobą drzwi. W kuchni usiadła, złożyła ręce na kolanach i zapatrzyła się przez okno na poczerniałą wozownię.

Córka stała się dla niej obca. Pani Ames, podobnie jak większość rodziców, w pewnym momencie poczuła, że traci nad nią panowanie, że wymykają jej się spomiędzy palców wodze, którymi miała pokierować córką. Nie wiedziała, że nigdy nie posiadała nad nią żadnej władzy. Cathy zawsze wykorzystywała matkę dla swoich celów. Po jakimś czasie pani Ames nałożyła czepiec i poszła do garbarni. Chciała pomówić z mężem poza domem.

Po południu Cathy apatycznie podniosła się z łóżka i długi czas siedziała przed lustrem.

Tegoż wieczora, pan Ames, zły, że musi to robić, wypalił córce kazanie. Mówił o obowiązku, o wdzięczności, o przyrodzonym uczuciu dla rodziców. Pod koniec swego przemówienia spostrzegł, że Cathy go nie słucha. To go rozzłościło i zaczął miotać groźby. Mówił o władzy, jaką Bóg dał mu nad dzieckiem, i o tym, jak tę przyrodzoną władzę wyposażyło w oręż państwo. Teraz zwróciła uwagę na jego słowa. Patrzyła mu prosto w oczy. Jej usta uśmiechały się z lekka, a powieki nawet nie drgnęły. W końcu musiał odwrócić wzrok i to rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Kazał jej skończyć z tymi bzdurami. Niejasno zagroził biciem, jeżeli go nie usłucha.

Zakończył nutą słabości.

– Chcę, żebyś mi obiecała, że jutro pójdziesz do szkoły i dasz spokój z tymi głupstwami.

Twarz Cathy była bez wyrazu, drobne usta zaciśnięte.

– Dobrze – powiedziała.

Później tego wieczora pan Ames powiedział do żony z pewnością siebie, której bynajmniej nie czuł:

– Widzisz, trzeba tylko trochę stanowczości. Może byliśmy zbyt pobłażliwi. Ale to dobre dziecko. Zdaje mi się, że po prostu zapomniała, kto tu rządzi. Odrobina surowości nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Pomyślał, że chciałby być tak ufny, jak to wynikało z jego słów.

Rano okazało się, że Cathy zniknęła. Zniknął też jej słomiany koszyk podróżny i najlepsze sukienki. Łóżko zostawiła starannie zasłane. Jej pokój był bezosobowy; nic nie wskazywało, że dorastała w nim dziewczyna. Nie było żadnych obrazków ani pamiątek, żadnych rupieci zwykłych dla wieku dorastania. Cathy nigdy nie bawiła się lalkami. Pokój nie nosił jej piętna.

Pan Ames był na swój sposób inteligentnym człowiekiem. Nasadził melonik na głowę i szybko poszedł na dworzec kolejowy. Zawiadowca stacji miał całkowitą pewność. Cathy odjechała porannym pociągiem. Kupiła bilet do Bostonu. Pomógł panu Amesowi napisać telegram do bostońskiej policji. Ames nabył bilet powrotny i wsiadł do pociągu odchodzącego do Bostonu o dziewiątej pięćdziesiąt. Był bardzo zaradny w chwilach krytycznych.

Tego wieczora pani Ames siedziała w kuchni, za zamkniętymi drzwiami. Była blada jak ściana i ścisnęła rękami blat stołu, by pohamować ich dygotanie. Zza zamkniętych drzwi dochodziły do niej wyraźne odgłosy najpierw razów, a potem krzyków.

Pan Ames nie był biegły w batożeniu, ponieważ nigdy tego nie robił. Zaczął chłostać Cathy po nogach batem od powozu, a ponieważ stała spokojnie, wpatrując się w niego obojętnymi, zimnymi oczyma, stracił panowanie nad sobą. Ponieważ ciosy były jakby próbne, nieśmiałe, ale widząc, że nie krzyczy, zaczął ją bić po bokach i ramionach. Bat smagał i zacinał. W swej pasji Ames kilkakrotnie nie trafił albo przybliżył się zbyt blisko, tak że bat owinał się wokół ciała.

Cathy była pojętna. Przejrzała ojca na wylot i już wiedziała, czego się trzymać; zaczęła wrzeszczeć, widać się, płakać i zaklinać – i z satysfakcją wyczuła, że ciosy natychmiast osłabły.

Pana Amesa przeraziły te krzyki i ból, który zadawał. Przestał bić. Cathy łkając padła na łóżko. Gdyby jednak ojciec przyjrzał się jej, zauważyłby, że nie ma łez w oczach, a tylko napięte mięśnie szyi i zgrubienia tuż pod skroniami, tam gdzie są więzadła mięśni szczękowych.

Zapytał:

– No, zrobisz to jeszcze raz?

– Nie, och, nie! Przebacz mi – odparła Cathy. Odwróciła się na łóżku, ażeby ojciec nie dojrzał chłodu w jej twarzy.

– Pamiętaj dobrze, kim jesteś. I nie zapominaj, kim jestem ja.

Cathy głos uwiązał w gardle. Wydała suchy szloch.

– Nie zapomnę – powiedziała.

W kuchni pani Ames wyłamywała sobie palce. Mąż dotknął jej ramienia.

– Okropne to było dla mnie – powiedział. – Ale musiałem. I myślę, że jej dobrze zrobiło. Wydaje mi się jakby odmieniona. Może nie dość naginaliśmy gałązkę. Szczędziliśmy różgi. Pewnie to był nasz błąd.

Wiedział jednak, że chociaż żona nalegała na chłostę, chociaż zmusiła go, żeby oćwiczył Cathy, przecież nienawidziła go teraz za to. Czuł, że ogarnia go rozpacz.

5

Najwyraźniej nie było wątpliwości, że Cathy tego właśnie potrzebowała. Jak mówił pan Ames, "to ją jakoś otworzyło". Zawsze była uległa, a teraz okazała jeszcze dobre chęci. W następnych tygodniach pomagała matce w kuchni, a chciała pomagać więcej niż trzeba. Zaczęła robić na drutach szal dla matki, co było dłuższym

przedsięwzięciem, obliczonym na całe miesiące. Pani Ames opowiadała o tym sąsiadom. "Ma takie wyczucie koloru! – mówiła. – Rdzawy i żółty. Już skończyła trzy kwadraty".

Dla ojca Cathy zawsze miała uśmiech. Wieszala jego kapelusz, kiedy wracał do domu, i ustawiała fotel pod lampą, żeby mu było wygodnie czytać.

Nawet w szkole się zmieniła. Zawsze uczyła się dobrze, ale teraz zaczęła snuć plany na przyszłość. Omawiała z kierownikiem swój egzamin nauczycielski już na rok z góry. A kierownik, przejrząwszy jej stopnie, uznał, że Cathy może doskonale popróbować z nadzieją powodzenia. Zjawił się w garbarni u pana Ames, ażeby rzecz przedyskutować.

– Nic nam o tym nie powiedziała – oświadczył z dumą pan Ames.

– Ano, może nie powinienem był panu mówić. Mam nadzieję, że nie zepsułem niespodzianki.

Państwo Ames doszli do wniosku, że natrafili na jakieś zaklęcie, które rozwiązywało wszystkie ich problemy. Przypisali to nieświadomej mądrości, którą mogą mieć tylko rodzice.

– W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak się zmienił – powiedział pan Ames.

– Ależ ona zawsze była dobrym dzieckiem – odparła jego żona. – A zauważyłeś, jaka się robi ładniutka? Przecież już jest prawie piękna. Ma takie śliczne kolorki!

– Nie myślę, żeby przy swej urodzie długo wykładała w szkole – rzekł na to pan Ames.

Cathy rzeczywiście promieniała. Dziecięcy uśmiech nie schodził z jej warg, kiedy czyniła swoje przygotowania. Nie spieszyło jej się ani trochę. Wysprzątała piwnicę i pozatykała papierem szpary wokoło fundamentów, aby usunąć przeciągi. Kiedy kuchenne drzwi zaczęły skrzypieć, naoliwiła zawiasy, potem zamek, który otwierał się za ciężko, a mając już pod ręką puszkę z oliwą, naoliwiła też i zawiasy u drzwi frontowych. Postawiła sobie za zadanie pilnować, by lampy zawsze były napełnione, i utrzymywać klosze w czystości. Wymyśliła sposób płukania ich w dużej bańce nafty, którą miała w piwnicy.

– Trzeba to widzieć, żeby uwierzyć – mówił jej ojciec.

A nie ograniczało się to tylko do domu. Odważnie zносиła wyziewy garbarni, byleby odwiedzać tam ojca. Skończyła niedawno szesnaście lat i Ames uważał ją oczywiście za dziecko. Zdumiony był jej pytaniami na temat interesów.

– Sprytniejsza jest od niejednego chłopa – mówił do swego majstra. –
Możliwe, że kiedyś sama poprowadzi warsztat.

Interesowała się nie tylko procesem garbowania, ale i stroną handlową. Ojciec wyjaśniał jej sprawy pożyczek, płatności, sporządzania rachunków i list płacy. Pokazał jej, jak się otwiera kasę ogniotrwałą, i z zadowoleniem stwierdził, że po pierwszej próbie zapamiętała kombinację.

– Moim zdaniem to jest tak – powiedział do żony. – W każdym z nas siedzi po trosze jakiś bies. Wcale by mi się nie podobało dziecko bez odrobiny fantazji. Ja w tym widzę pewien rodzaj energii; wystarczy tylko ją uchwycić i nie wypuszczać z ręki, a pójdzie we właściwym kierunku.

Cathy poreperowała sobie wszystkie sukienki i uporządkowała rzeczy.

Któregoś dnia w maju wróciła ze szkoły i od razu wzięła się do robienia na drutach. Matka była już ubrana do wyjścia.

– Muszę lecieć do Bractwa Ołtarzowego – powiedziała. – Chodzi o ten kiermasz w przyszłym tygodniu. Jestem przewodniczącą. Ojciec właśnie pytał, czy nie poszłabyś do banku po pieniądze na wypłatę i nie przyniosła ich do garbarni. Mówiłam mu, że mam ten kiermasz i że nie mogę iść.

– Bardzo chętnie – odrzekła Cathy.

– Będą mieli pieniądze już przygotowane w worku – powiedziała pani Ames i wybiegła z domu.

Cathy zabrała się do roboty żwawo, ale bez pośpiechu. Włożyła stary fartuch, żeby nie powalać sobie sukienki. W piwnicy odszukała słoik od konfitur z pokrywką i zniosła go do wozowni, gdzie przechowywano narzędzia. W kurniku schwyciła kuraka, położyła go na pniu i odrąbała mu głowę, po czym przytrzymała skrecającą się szyję nad słoikiem, dopóki nie napełnił się do połowy krwią. Następnie zniosła drgającego kurczaka na kupę nawozu, gdzie go zagrzebała głęboko. Wróciwszy do kuchni, zdjęła fartuch, wsadziła go do pieca i póty poruszała węgle pogrzebaczem, póki materiał nie zajął się płomieniem. Obmyła ręce, obejrzała obuwie i pończochy i starła ciemną plamkę z noska prawego bucika. Przypatrzyła się w lustrze swej twarzy. Policzki miała silnie zarumienione, oczy jej błyszcząły, a usta składały się w ów lekki, dziecinny uśmieszek. Wychodząc ukryła słoik od konfitur na samym dole pod kuchennymi schodami. Od chwili gdy matka jej wyszła, nie upłynęło nawet dziesięć minut.

Lekkim, nieomal tanecznym krokiem Cathy okrążyła dom i wyszła na ulicę. Drzewa wypuszczały listki, a nieliczne, pierwsze mlecze żółto rozkwiły na łąkach. Cathy wesoło szła w kierunku centrum miasteczka, gdzie znajdował się bank. A była tak pełna świeżości i ładna, że przechodnie obracali się i oglądali za nią, gdy ich mijala.

6

Pożar wybuchnął około trzeciej nad ranem. Ogień wytrysnął, rozgorzał, zahuczał i zapadł się z trzaskiem, nieomal zanim ktokolwiek się spostrzegł. Kiedy nadbiegła straż ochotnicza, ciągnąc wózek z węzłem gumowym, nie miała już nic do roboty oprócz polania dachów sąsiednich domów dla ochrony przed rozprzestrzenieniem się ognia.

Dom Amesów spłonął jak fajerwerk. Członkowie ochotniczej straży ogniowej, a także zwykli gapie, których zwabiają pożary, rozglądali się po oświetlonych twarzach, usiłując odszukać wzrokiem państwa Amesów i ich córkę. Od razu wszyscy zauważyli ich nieobecność. Ludzie popatrzyli na szeroko rozsypane łożysko żaru, ujrzeli w nim siebie i swoje dzieci i poczuli, że serca tętniąc podchodzą im do gardeł. Ochotnicy zaczęli lać wodę na ogień, jak gdyby jeszcze teraz mogli ocalić jakąś cielesną cząstkę rodziny. Miasteczko obiegła przerażona wieść, że cała rodzina Amesów spłonęła.

O wschodzie słońca wszystko, co żyło, stłoczyło się wokół dymiących czarnych zgliszcz. Ci, co stali na przedzie, musieli sobie osłaniać twarze od żaru. Ochotnicy dalej pompowali wodę, żeby ostudzić zwęglone rumowisko. Około południa coroner mógł już rzucić na nie mokre deski i drążkiem żelaznym wymacać zlane wodą sterty zgliszcz. Z pana i pani Ames zostało akurat tyle, aby mieć pewność, że są tam dwa trupy. Sąsiedzi wskazali w przybliżeniu miejsce, gdzie znajdował się pokój Cathy, ale chociaż coroner i cała gromada pomocników przetrząsnęli popioły ogrodniczymi grabiami, nie zdołano odnaleźć ani jednego zęba czy kości.

Tymczasem dowódca ochotniczej straży natrafił na klamki i zamek od drzwi kuchennych. Popatrzył na poczerniały metal ze zdumieniem, nie bardzo jednak wiedząc, co go tak zaskoczyło. Pożyczył od coronera grabie i zaczął nimi grabić zaciekle. Poszedł na miejsce, gdzie były frontowe drzwi, i grabił póty, póki nie

wyciągnął skrzywionego i na wpół stopionego zamka. Otaczał go już osobny tłumek, z którego padały pytania: "Czego ty szukasz, George?" i "Coś znalazł, George?"

Wreszcie podszedł do niego coroner.

– O co ci idzie, George?

– W zamkach nie ma kluczy – odpowiedział tamten zmienionym głosem.

– Może wypadły.

– Jak?

– Albo się stopiły.

– Zamki się nie stopiły.

– No to może Bili Ames je powyjmował.

– Od wewnątrz? – Podniósł swą zdobycz. Oba rygle były wysunięte.

Ponieważ spłonął dom właściciela, a wraz z nim najwyraźniej i sam właściciel, więc pracownicy garbarni przez uszanowanie nie poszli do pracy. Plątali się wokół spalonego domu, ofiarowując swą pomoc, gdzie tylko mogli, czując się osobami oficjalnymi i na ogół wchodząc wszystkim w drogę.

Dopiero po południu majster Joel Robinson poszedł do garbarni. Zastał kasę ogniotrwałą otwartą, a papiery porozrzucane po całej podłodze. Wybite okno wskazywało drogę, którą dostał się złodziej.

Teraz cała sprawa zmieniła oblicze. A więc to nie był wypadek. Strach zajął miejsce podniecenia i smutku, a po nim przypełznął gniew, brat strachu. Tłum rozlał się na wszystkie strony.

Nie musiał iść daleko. W wozowni znaleziono to, co się nazywa "ślodami walki" – w tym wypadku strzaskaną skrzynkę, rozbitą lampę od powozu, krechy na kurzu i słomę rozrzuconą po ziemi. Widzowie mogliby nie poczytać tego za ślady walki, gdyby nie spora kałuża krwi na podłodze.

Teraz sprawę przejął w swe ręce konstabl. To była jego dziedzina. Wypchnął i wygnał wszystkich z wozowni.

– Chcecie mi tu pozacierać ślady?! – krzyknął na nich.

– Odejdźcie zaraz od drzwi.

Przeszukał wozownię, coś podniósł, w kącie znalazł coś innego. Podszedł do drzwi trzymając swe znaleziska: skrwawioną niebieską wstążkę do włosów i krzyżyk wysadzany czerwonymi kamykami.

– Czy ktoś to poznaje? – zapytał.

W małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, jest prawie niepodobieństwem przypuścić, by któryś z przyjaciół mógł kogoś zamordować. Dlatego też, jeżeli ślady nie wskazują wyraźnie w pewnym określonym kierunku, winnym musi być jakiś mroczny przybysz, jakiś przybłęda z zewnętrznego świata, gdzie takie rzeczy się dzieją. Wówczas urząda się obławy w obozach trampów, zatrzymuje włóczęgów i kontroluje spisy gości w hotelach. Każdy, kto nie jest znany, staje się automatycznie obiektem podejrzeń. Należy pamiętać, że był wtedy maj i wędrowcy wyruszyli na gościńce dopiero niedawno, gdy coraz cieplejsza pora roku pozwalała im rozłożyć koc nad pierwszym lepszym strumieniem. Cyganie też pokazali się na drogach – całą ich karawanę widziano nie dalej niż o pięć mil. A jak przepędzono tych biednych Cyganów!

Przetrząśnięto okolicę w promieniu wielu mil, wypatrując świeżo wykopanej ziemi, przeciągnięto sieci przez podejrzone sadzawki w poszukiwaniu zwłok Cathy. "Taka była ładna" – mówili wszyscy, mając na myśli fakt, że osobiście widzieliby pewne powody do jej porwania. Wreszcie sprowadzono na przesłuchanie bełkoczącego, obrośniętego półgłówka. Był znakomitym kandydatem na szubienicę, ponieważ nie tylko nie miał żadnego alibi, ale nie mógł sobie przypomnieć, co robił w którymkolwiek momencie swego życia. Wątpliwym umysłem pojął, iż ci, co go wypytyją, chcą odeń czegoś, a że był poczciwy z natury, więc próbował im to dać. Kiedy zadano mu podchwytliwe pytanie, radośnie wskoczył w pułapkę i ucieszył się widząc, że konstabl jest zadowolony. Dzielnie usiłował dogodzić owym wyższym istotom. Było w nim coś bardzo sympatycznego. Zeznania jego miały tylko jedną wadę: wyznawał za wiele w zbyt wielu kierunkach. Poza tym trzeba mu było ustawicznie przypominać, co rzekomo uczynił. Z prawdziwą radością przyjął postawienie go w stan oskarżenia przez surowych i zdjętych zgrozą przysięgłych. Nareszcie czuł, że jest kimś.

Zdarzali się i zdarzają ludzie, którzy zostają sędziami, a których miłość do prawa i jego intencji wymierzania sprawiedliwości ma coś z uczucia do kobiety. Taki właśnie człowiek prowadził przesłuchanie przed rozprawą – człowiek tak czysty i dobry, że życiem swoim przekreślał wiele cudzych niegodziwości. Bez przynaglania, do którego przyzwyczajono oskarżonego, jego zeznania były absurdalne. Sędzia zadał mu szereg pytań i przekonał się, że chociaż podejrzany usiłuje stosować się do wskazówek, po prostu nie może spać, co zrobił, kogo zabił, jak i dlaczego. Sędzia westchnął ze znużenia, kazał go wyprowadzić z sali i pogroził palcem konstablowi.

– Słuchaj no, Mike – powiedział. – Nie powinieneś robić takich rzeczy. Gdyby ten biedak był trochę bardziej rozgarnięty, mógłbyś wyprawić go na szubienicę.

– Przecież sam się przyznał, że to zrobił. – Konstabl czuł się urażony, bo był człowiekiem sumiennym.

– Przyznałby się, że wlaźł po złotych schodach i poderżnął gardło świętemu Piotrowi kulą od kręgli – powiedział na to sędzia. – Bądź ostrożniejszy, Mike. Celem prawa jest ocalać, nie niszczyć.

We wszystkich takich lokalnych tragediach czas działa jak mokry pędzel na akwarełę. Zamazują się ostre kontury, zaciera ból, barwy stapiają się z sobą, a z wielu odrębnych kresek powstaje jednolita szarość. Po miesiącu nie było już tak nieodzowne kogoś powiesić, a po dwóch prawie wszyscy doszli do wniosku, że właściwie nie ma istotnych poszlak przeciw nikomu. Gdyby nie zamordowanie Cathy, pożar i rabunek mógłby być zbiegiem okoliczności. A potem przyszło ludziom na myśl, że bez ciała Cathy nie sposób czegokolwiek udowodnić, choć wydawało się pewne, że dziewczyna nie żyje.

Cathy pozostawiła za sobą smugę słodyczy.

ROZDZIAŁ IX

1

Pan Edwards pełnił swoje funkcje rajfura w sposób systematyczny i beznamiętny. Żonę wraz z dwojgiem dobrze wychowanych dzieci ulokował w porządnym domu, w porządnej dzielnicy Bostonu. Dzieci – dwóch chłopców – zapisane zostały do Groton, gdy jeszcze były niemowlakami.

Pani Edwards utrzymywała dom w nieskazitelnej czystości i dyrygowała służbą. Ma się rozumieć, pan Edwards musiał często wyjeżdżać w interesach, ale mimo to udawało mu się prowadzić zdumiewająco domatorskie życie i spędzać na łonie rodziny więcej wieczorów, niż to można sobie wyobrazić. Interesami kierował z wytrawnością i akuratnością przysięgłego księgowego. Był tęgim, masywnym mężczyzną, który około pięćdziesiątki zaczynał nieco tyć, ale utrzymywał się w zadziwiającej kondycji jak na czasy, kiedy każdy pragnął być tłusty, choćby tylko po to, aby pokazać, że mu się dobrze powodzi.

Sam obmyślił swój system – owe objazdy po małych miasteczkach, krótkie pozostawanie każdej z dziewczyn na jednym miejscu, dyscyplinę, wysokość pobieranego procentu. Poczynał sobie ostrożnie i popełniał niewiele błędów. Nigdy nie wysyłał swych dziewczyn do większych miast. Umiał dać sobie radę z zachłannymi konstablami z miasteczek, ale czuł respekt przed doświadczoną i żarłoczną policją wielkomięską. Idealem dla niego była niewielka miejscina z hotelem o obciążonej hipotece i zupełnie pozbawiona rozrywek – taka, w której jedyną konkurencję stanowiły żony i ta czy inna zbłąkana dziewczyna. W owym czasie miał dziesięć zespołów. Zanim umarł w wieku lat sześćdziesięciu siedmiu na skutek udławienia się kością kurczęcia, miał grupki złożone z czterech dziewczyn w każdym z trzydziestu trzech miasteczek Nowej Anglii. Był więcej niż zamożny; był bogaty, a ów sposób, w jaki umarł, stanowił sam w sobie symbol powodzenia i dostatku.

W obecnych czasach instytucja domów publicznych zdaje się do pewnego stopnia zamierać. Uczeni podają różne przyczyny. Niektórzy twierdzą, że upadek moralności wśród dziewcząt zadał domowi publicznemu cios śmiertelny. Inni, być może więksi od tamtych idealisci, utrzymują, że wzmożony nadzór policyjny prowadzi do likwidacji tych domów. W ostatnich latach ubiegłego i w pierwszej części obecnego

stulecia dom publiczny był uznaną, choć nie dyskutowaną jawnie instytucją. Mówiło się, że jego istnienie chroni przyzwoite kobiety. Nieżonaty mężczyzna mógł pójść do takiego domu i wyżyć się energii płciowej, która mu zakłócała spokój – a jednocześnie zachować powszechnie zapatrywania na czystość i urok kobiet. Było to niepojęte – ale jest przecież tyle niepojętych rzeczy w naszym społecznym myśleniu!

Domy te przedstawiały się bardzo rozmaicie: od pałaców pełnych złota i aksamitów aż po najohydniejsze nory, których smród mógłby odstraszyć wieprza. Od czasu do czasu krążyły opowieści o tym, jak prowodyrzy owego procederu kradną i ujarzmiają młode dziewczęta, i możliwe, że niejedna z tych opowieści była prawdziwa. Ale ogromna większość prostytutek trafiła do owej profesji przez własne lenistwo i głupotę. W domach publicznych nie ciążyła na nich żadna odpowiedzialność. Karmiono je, odziewano i pielęgnowano, dopóki się nie zestarzały, a wtedy je wypędzano. To zakończenie nie było odstrasżające. Nikt, kto jest młody, nie myśli, że będzie stary.

Niekiedy do profesji przystępowała jakaś sprytna dziewczyna, ale ta zwykle przerzucała się na coś lepszego. Zakładała własny dom bądź z powodzeniem uprawiała szantaż, bądź wreszcie wychodziła bogato za męża. Istniało nawet specjalne określenie dla tych sprytnych. Nazywano je szumnie kurtyzanami.

Pan Edwards nie miał kłopotu ani z werbowaniem dziewczyn, ani z utrzymywaniem ich w ryzach. Jeżeli któraś nie okazała się należycie głupia, wyrzucał ją. Nie dobierał także zbyt ładnych. Jakiś miejscowy młodzieniec mógł się zakochać w ładnej kurewce, a wtedy dopiero byłby diabelny kłopot. Jeżeli która z dziewczyn zaszła w ciążę, miała do wyboru albo wycofanie się, albo sztuczne poronienie, dokonywane w sposób tak brutalny, że zdarzało się sporo wypadków śmiertelnych. Mimo to dziewczyny zazwyczaj wybierały poronienie.

Panu Edwardsowi nie zawsze wszystko szło gładko. Miał swoje problemy. W czasie, o którym wam opowiadam, spotkał go szereg niepowodzeń. W katastrofie kolejowej zginęły dwa zespoły po cztery dziewczyny każdy. Trzeci utracił przez nawrócenie, kiedy to jakiś małomiasteczkowy pastor, zapaliwszy się nagle, począł rozpłomieniać miejscowych obywateli swymi kazaniami. Rosnąca rzesza jego owieczek musiała przenieść się z kościoła na pole. Następnie, jak to często bywa, pastor odkrył swą atutową kartę. Przepowiedział datę końca świata i cała okoliczna ludność przybiegła z wielkim bekiem do niego.

Pan Edwards pojechał do tego miasteczka, wyjął z walizki ciężki kańczug i niemilosiernie oćwiczył dziewczyny. Te jednak, zamiast uznać jego punkt widzenia, poprosiły o dalsze razy, aby w ten sposób zmasać swoje urojone grzechy. Pan Edwards z niesmakiem dał za wygraną, zabrał im suknie i wrócił do Bostonu. Dziewczyny osiągnęły niejaki rozgłos, kiedy przybyły nago na zgromadzenie wiernych, aby się wyspowiadać i dać świadectwo prawdzie. Tak doszło do tego, że Pan Edwards zamiast wybierać po jednej dziewczynie to tu, to tam, wziął się do przepytywania i werbowania od razu większej ich liczby. Musiał odbudować od podstaw trzy zespoły.

Nie wiem, skąd Cathy Ames dowiedziała się o panu Edwardsie. Może napomknął jej o nim któryś z dorożkarzy. Jeżeli dziewczyna naprawdę chciała coś wiedzieć, docierały do niej te wiadomości. Pan Edwards nie był w najlepszej formie, kiedy weszła do jego gabinetu. Odczuwane bóle żołądka przypisywał potrawce z płastugi, którą żona przyrządziła mu na kolację poprzedniego wieczora. Przez całą noc nie kładł się do łóżka. Potrawka wybuchła w obie strony, toteż wciąż jeszcze czuł się słaby i odrętwiały.

Z tego powodu nie od razu ocenił należycie dziewczynę, która przedstawiła się jako Katarzyna Amesbury. Była o wiele za ładna do jego przedsiębiorstwa. Głos miała niski, gardłowy, budowę drobną, nieledwie delikatną, cerę prześliczną. Jednym słowem, nie nadawała się wcale dla pana Edwardsa. Gdyby nie to, że był osłabiony, odrzuciłby ją z punktu. Ale chociaż nie przyglądał jej się zbyt uważnie podczas zadawania zwykłych pytań, głównie na temat krewnych, którzy mogą narobić kłopotu, to jednak coś w jego ciele zaczęło odczuwać jej obecność. Pan Edwards nie był człowiekiem lubieżnym, a poza tym nigdy nie łączył swego życia zawodowego z prywatnymi przyjemnościami. Zaskoczyła go więc własna reakcja. Spojrzał zdumiony na dziewczynę; jej powieki opuściły się słodko i tajemniczo, a lekko zaokrąglone biodra jakby zakołysały niedostrzegalnie. Na drobnych ustach ukazał się koci uśmiech. Pan Edwards pochylił się nad biurkiem, sapiąc ciężko. Uświadomił sobie, że tę chce mieć dla siebie.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak pani... – zaczął i z miejsca popadł w najstarsze przeświadczenie świata: że dziewczyna, w której się kochamy, nie może być inna jak tylko rzetelna i uczciwa.

– Mój ojciec nie żyje – odpowiedziała skromnie Katarzyna. – Nim umarł, doprowadził wszystko do ruiny. Nie wiedziałyśmy, że pożyczał pieniądze na hipotekę. A nie mogę pozwolić, żeby bank odebrał farmę mojej matce. Taki wstrząs zabiłby ją. –

Oczy Katarzyny zasnuły się łzami. – Myślałam, że może tyle zarobię, żeby jakoś spłacić procenty.

Jeżeli pan Edwards miał jeszcze jakąś szansę, to właśnie w tej chwili. I rzeczywiście mały ostrzegawczy brzęczyk zadźwięczał mu w mózgu, lecz nie dość głośno. Około osiemdziesięciu procent przychodzących do niego dziewczyn potrzebowało pieniędzy na spłatę długu hipotecznego. Toteż pan Edwards przyjął za niezmienną zasadę nie wierzyć w nic, co mówią jego dziewczyny, poza tym, co jadły na śniadanie – a czasem kłamały i na ten temat. I oto siedział tu – wielki, tłusty, dojrzały rajfur, oparty brzuchem o biurko – i policzki czerwieniały mu od krwi, a dreszcze podniecenia przebiegały po nogach i udach.

Pan Edwards usłyszał własny głos:

– No, dobrze, droga panienko, musimy to sobie obgadać. Może wymyślimy jakiś sposób, żeby pani mogła mieć te pieniądze na spłaty.

I to do dziewczyny, która po prostu prosiła, żeby ją zatrudnił jako kurwę – czy może tylko mu się zdawało?

2

Pani Edwards była zdecydowanie, choć niegłęboko religijna. Znaczną część czasu poświęcała na praktyki swego wyznania, co nie pozostawiało jej wolnych chwil na rozważanie jego treści czy konsekwencji. Była przekonana, że mąż pracuje w imporcie, a gdyby nawet jej powiedziano – co się prawdopodobnie zdarzyło – jakie interesy naprawdę prowadzi, nie dałaby temu wiary. Oto jeszcze jedna tajemnica. Pan Edwards był dla niej zawsze chłodnym, lecz dbałym mężem, który jej stawiał nieliczne, wynikające z obowiązku wymagania natury fizycznej. O ile nigdy nie był serdeczny, nie był też i okrutny. Jej dramaty i emocje dotyczyły synów, zakrystii i jedzenia. Była zadowolona z życia i wdzięczna opatrności. Kiedy usposobienie męża zaczęło się psuć, wskutek czego bywał często podminowany, burkliwy i siadywał zapatrzony przed siebie, po czym wypadał z domu w przystępie nerwowej pasji, przypisała to zrazu żołądkowi, a potem niepowodzeniom w interesach. Raz zastała go przypadkiem w ubikacji siedzącego na sedesie i płaczącego cicho – i wiedziała już, że jest chory. Chciał wtedy szybko zasłonić przed jej badawczym wzrokiem

zacerwienione oczy. Kiedy nie pomogły ani wywary z ziół, ani lekarstwa, pani Edwards opadły ręce.

Gdyby w ciągu wszystkich tych lat pan Edwards usłyszał o kimś, że jest w podobnym stanie, wybuchnąłby śmiechem. Bo oto pan Edwards, rajfur obdarzony najzimniejszą w świecie krwią, beznadziejnie, rozpaczliwie zakochał się w Katarzynie Amesbury. Wynajął dla niej miły ceglany domek, po czym jej go podarował. Otoczył ją wszelkim możliwym zbytkiem, przesadnie ozdobił dom, przegrzewał go stale. Dywany były tam zbyt puszyste, a ściany zawieszono obrazami w grubych ramach.

Pan Edwards nigdy jeszcze nie doświadczył takiego nieszczęścia. Prowadząc swoje interesy dowiedział się tyle o kobietach, że żadnej nie ufał ani przez chwilę. Ponieważ zaś głęboko kochał Katarzynę, a miłość wymaga ufności, więc to uczucie szarpało go na drgające strzępy. Musiał jej ufać, a jednocześnie nie ufał. Próbował kupić sobie jej lojalność za podarki i pieniądze. Kiedy był z dala od Katarzyny, zadreślał się myślami, że inni mężczyźni wkradają się do jej domu. Nie cierpiał opuszczać Bostonu dla sprawdzenia pracy swoich zespołów, bo w ten sposób zostawiał Katarzynę samą. Do pewnego stopnia zaczął zaniedbywać interesy. Po raz pierwszy doświadczał miłości tego rodzaju, i to go o mało nie zabiło.

Jednej rzeczy pan Edwards nie wiedział i nie mógł wiedzieć, ponieważ Katarzyna do tego nie dopuszczała, a mianowicie, iż jest mu wierna w tym sensie, że nie przyjmuje ani nie odwiedza innych mężczyzn. Dla Katarzyny pan Edwards był równie obojętnym źródłem dochodów jak zespoły dziewczyn dla niego. I podobnie jak on miał swoje metody, miała je także i ona. Kiedy go już zdobyła, co nastąpiło bardzo prędko, postarała się o to, by zawsze sprawiać wrażenie lekko niezadowolonej. Utrzymywała go w ciągłej niepewności, jak gdyby lada chwila miała mu uciec. Kiedy wiedziała, że do niej przyjedzie, starała się nie być w domu i wracała rozpromieniona, jakby po jakiś niewiarygodnych przeżyciach. Często uskarżała się na to, jak trudno jej uniknąć na ulicy lubieżnych spojrzeń i dotknięć mężczyzn, od których nie może się opędzić. Kilka razy wpadła przestraszona do domu, ledwie wymknąwszy się ścigającemu ją mężczyźnie. Kiedy wracała późnym popołudniem i zastawała czekającego na nią pana Edwardsa, tłumaczyła: "No, chodziłam po sprawunki. Przecież wiesz, że muszę załatwić sobie sprawunki". A mówiła to tak, jak by to było kłamstwem.

W ich stosunkach seksualnych wpoila mu przekonanie, że wyniki nie są dla niej w pełni zadowalające i że gdyby był lepszy jako mężczyzna, mógłby wyzwolić w

niej powódź nieprawdopodobnych reakcji. Metodą jej było stałe utrzymywanie go w stanie zakłócenia równowagi. Z satysfakcją widziała, że nerwy odmawiają mu posłuszeństwa, a ręce zaczynają drżeć, że traci na wadze, a w oczach pojawia mu się dzikie, szkliste wejrzenie. Kiedy zaś subtelnie wyczuwała bliską już obłądną, karzącą furję, siadała mu na kolanach, uspokajała i przez chwilę kazała wierzyć w swoją niewinność. Umiała go przekonać.

Katarzyna chciała pieniędzy i zabrała się do jak najszybszego i najłatwiejszego ich gromadzenia. Gdy już z powodzeniem roztarła pana Edwardsa na miazgę (a wiedziała dokładnie, kiedy to nastąpiło), zaczęła go okradać. Przetrzęsała mu kieszenie i wyciągała wszystkie grubsze banknoty, jakie znalazła. Nie śmiała jej o to oskarżać z obawy, by nie odeszła. Biżuteria, którą jej ofiarowywał, zniknęła, i chociaż Katarzyna utrzymywała, że ją zgubiła, pan Edwards wiedział, iż została sprzedana. Nabijała rachunki ze sklepu spożywczego, podwyższała ceny sukien. Nie mógł się zdobyć na to, by takim rzeczom położyć kres. Wprawdzie nie sprzedała domku, ale obciążyla jego hipotekę, na ile tylko zdołała.

Pewnego wieczora pan Edwards stwierdził, że jego klucz nie pasuje do zamka u frontowych drzwi. Na kołatanie otworzyła mu dopiero po dłuższym czasie. Owszem, zmieniła zamki, bo zgubiła gdzieś klucze. Boi się, ponieważ mieszka sama jedna. Byle kto może się dostać do domu. Postara się mu o drugi klucz... czego nigdy nie zrobiła. Odtąd musiał już zawsze dzwonić i czasem długo czekał pod drzwiami, kiedy indziej zaś w ogóle nikt nie otwierał na jego dzwonek. Pan Edwards nie miał sposobu, by się przekonać, czy Katarzyna jest w domu, czy nie. Kazał ją śledzić – nie wiedziała nawet, jak często.

Pan Edwards był z gruntu prostolinijnym człowiekiem, ale nawet prostolinijny człowiek ma w sobie pewne mroczne i pogmatwane zawilosci. Katarzyna była przebiegła, ale nawet przebiegła kobieta nie dostrzega niektórych dziwnych zakamarków w mężczyźnie.

Raz tylko fatalnie się pośliznęła, a usiłowała tego uniknąć. Pan Edwards, tak jak należało, wyposażył ich śliczne gniazdko w zapasy szampana. Katarzyna od początku nie chciała go tknąć.

- Niedobrze mi po tym – tłumaczyła. – Próbowałam i nie mogę pić.
- Bajki! – odparł. – Tylko jeden kieliszek. Na pewno ci nie zaszkodzi.
- Nie, dziękuję. Nie, nie mogę tego pić.

Pan Edwards uważał, że jej wzbranianie się jest delikatnością godną damy. Nie nalegał więc nigdy, aż do pewnego wieczora, kiedy mu przyszło do głowy, że przecie nic o niej nie wie. Wino mogło rozwiązać jej język. Im więcej się nad tym zastanawiał, tym pomysł wydawał mu się lepszy.

- To nieładnie z twojej strony, że nie chcesz ze mną wypić kieliszka.
- Powtarzam ci, że mi to nie służy.
- Nonsens.
- Powiadam ci, że nie mam ochoty.
- Głupstwa mówisz – rzekł. – Chcesz, żebym się na ciebie pogniewał?
- Nie.
- To wypij kieliszek.
- Kiedy nie chcę.
- Masz, wypij. – Podał jej kieliszek, a ona się cofnęła.
- Ty nie wiesz. To nie jest dla mnie dobre.
- Wypij.

Wzięła kieliszek, wychyliła go i stanęła bez ruchu, drżąc i jakby nasłuchując. Krew napłynęła jej do policzków. Nalała sobie jeszcze kieliszek, a potem jeszcze jeden. Oczy jej stały się twarde i zimne. Pan Edwards poczuł, że ogarnia go lęk. Coś się z nią działo, coś, czego ani ona, ani on nie mogli już opanować.

- Pamiętaj, że ja tego nie chciałam – powiedziała spokojnie.
- Może nie pij więcej.

Roześmiała się i nalała sobie jeszcze jeden kieliszek.

- Teraz już wszystko jedno – odparła. – To już wiele nie zmieni.
- Przyjemnie jest wypić parę kieliszków – powiedział niepewnie.

Przemówiła do niego cichym głosem.

– Ty tłusty wieprzu – powiedziała. – Co ty o mnie wiesz? Myślisz, że nie potrafię odczytać każdej twojej śmierzdzącej myśli? Chcesz, żebym ci powiedziała? Zastanawiasz się, gdzie taka grzeczna panienska jak ja nauczyła się różnych sztuczek. Powiem ci. Nauczyłam się ich w bajzlach – słyszysz? – w bajzlach. Pracowałam cztery lata w takich miejscach, o jakich ci się nie śniło. Te sztuczki przywozili mi z Port Saidu marynarze. Znam każdy nerw w twoim parszywym cielsku i umiem się nim posłużyć.

- Katarzyno – przerwał. – Sama nie wiesz, co mówisz!
- Wiedziałam, o co ci idzie. Myślałeś, że będę gadała. No to gadam.

Powoli zbliżyła się ku niemu, a pan Edwards pohamował w sobie chęć ucieczki. Bał się jej, ale siedział bez ruchu. Stanąwszy tuż przed nim dopiła resztki szampana, delikatnie utraciła brzeg kieliszka o blat stołu i poszarpaną krawędzią wbiła mu w policzek.

Wtedy wypadł z domu i uciekając dosłyszał za sobą jej śmiech.

Dla człowieka pokroju pana Edwardsa miłość jest uczuciem porażającym. Unicestwiła jego rozsądek, przekreśliła życiową wiedzę, odebrała mu siły. Wmawiał sobie, że Katarzyna jest rozhisteryzowana, i starał się w to wierzyć, co ona sama mu ułatwiła. Przeraził ją własny wybuch i przez pewien czas nie szczędziła wysiłków, aby przywrócić panu Edwardsowi dawny, słodki obraz samej siebie.

Mężczyzna tak boleśnie zakochany jest zdolny do niewiarygodnej samoudręki. Pan Edwards całym sercem pragnął uwierzyć w dobroć Katarzyny, ale nie pozwalał mu na to zarówno jego własny, wewnętrzny demon, jak i tamten jej wybuch. Nieomal instynktownie rozeznawał prawdę, jednocześnie nie dając jej wiary. Wiedział na przykład, że Katarzyna nie chce lokować pieniędzy w banku. Jeden z jego pracowników, posługując się skomplikowanym systemem lusterek, wykrył w piwnicy ceglanego domu miejsce, gdzie przechowywała gotówkę.

Pewnego dnia przyszedł wycinek z gazety, nadesłany przez agencję, z której usług korzystał pan Edwards. Była to stara wzmianka o pewnym pożarze, zamieszczona w małomiasteczkowym tygodniku. Pan Edwards przestudiował ją uważnie. Piers i żołądek przemieniły mu się niejako w roztopiony metal, a w głowie, gdzieś za oczami, rozgorzała czerwień. Z jego miłością zmieszał się prawdziwy strach, a rezultatem tych dwojga jest okrucieństwo. Pan Edwards w zamroczeniu zatoczył się na kanapę w swym gabinecie i padł na twarz, przyciskając czoło do chłodnej, czarnej skóry. Przez długą chwilę leżał odrętwiały, nie mogąc pochwycić tchu. Stopniowo rozjaśniło mu się w głowie. W ustach czuł słony smak, w ramionach ciężki ból gniewu. Był jednak spokojny, a jego mózg przenikał myślami poprzez czas, niby ostry promień reflektora przez mroczny pokój. Powoli spakował rzeczy, tak jak to zawsze czynił wyjeżdżając na inspekcję swoich zespołów – czyste koszule i kalesony, szlafrok i nocne pantofle, wreszcie ciężki kańczug z rzemieniem ułożonym wokół ścianek walizki.

Ociężałym krokiem przeszedł przez ogródek znajdujący się od frontu ceglanego domku i zadzwonił.

Katarzyna natychmiast mu otworzyła. Miała na sobie palto i kapelusz.

– O! – zawołała. – Jaka szkoda! Muszę na chwilę wyjść.

Pan Edwards postawił walizkę.

– Nie – powiedział.

Popatrzała na niego bacznie. Coś się w nim zmieniło. Wyminął ją ociężale i zszedł do piwnicy.

– Gdzie ty idziesz? – głos jej był przenikliwy.

Nie odpowiedział. Po chwili wyszedł z piwnicy niosąc niewielkie dębowe puzderko. Otworzył walizkę i włożył je do środka.

– To moje – powiedziała cicho.

– Wiem.

– Co masz zamiar zrobić?

– Myślałem, że może wybierzemy się na małą wycieczkę.

– Dokąd? Ja nie mogę jechać.

– Do jednego małego miasteczka w Connecticut. Mam tam coś do załatwienia.

Mówiłaś mi kiedyś, że chcesz pracować. Będziesz pracowała.

– Teraz już nie chcę. Nie możesz mnie zmusić. Zawezwę policję!

Uśmiechnął się tak przerażająco, że cofnęła się przed nim. W skroniach łomotała mu krew.

– A może wolałabyś pojechać do swojego rodzinnego miasta? – zapytał. – Kilka lat temu był tam duży pożar. Pamiętasz ten pożar?

Oczy jej sondowały go i badały, szukając miękkiego miejsca, ale on patrzył na nią zimno i twardo.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała spokojnie.

– Tylko tyle, żebyś się ze mną wybrała na małą wycieczkę. Mówiłaś, że chcesz pracować.

Przyszedł jej do głowy tylko jeden plan. Musi z nim iść i czekać na sposobność. Człowiek nie może wciąż mieć się na baczności. Niebezpiecznie byłoby sprzeciwiać mu się teraz; najlepiej iść z nim i czekać. To zawsze dawało dobre wyniki. Tak było zawsze. Ale jego słowa wzbudziły w Katarzynie prawdziwy lęk.

W małym miasteczku wysiedli o zmroku z pociągu, przeszli przez jedyną, ciemną ulicę i wydostali się w pola. Katarzyna była ostrożna i czujna. Nie mogła odgadnąć jego zamiarów. W torebce miała nóż o cienkim ostrzu.

Pan Edwards myślał, że wie, co chce zrobić. Miał zamiar oćwiczyć ją i umieścić w jednym z pokoiów zajazdu, znów dać jej baty i przenieść do innego miasteczka, i tak

dalej, dopóki nie stałaby się zupełnie bezużyteczna. Wtedy by ją wyrzucił. Miejscowy konstabl już by dopilnował, ażeby nie uciekła. Nożem się nie przejmował. Wiedział, że Katarzyna go ma.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, kiedy zatrzymali się w ustronnym miejscu pomiędzy kamiennym murem a rzędem cedrów, było wyrwanie jej z ręki torebki i przerzucenie przez mur. To załatwiało nóż. Jednakże nie znał sam siebie, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie kochał się w żadnej kobiecie. Sądził, że chce ją tylko ukarać. Po dwóch uderzeniach kańczug przestał mu wystarczać. Cisnął go na ziemię i wziął się do pięści. Oddech dobywał mu się z płuc jęklivymi sapnięciami.

Katarzyna starała się, jak mogła, nie popaść w panikę. Próbowwała uchylać się przed jego mlócającymi pięściami albo przynajmniej osłabiać ich ciosy, lecz w końcu ogarnął ją strach i rzuciła się do ucieczki. Pan Edwards doskoczył do niej, powalił i wtedy także pięści okazały się niewystarczające. Oszalała ręka namacała na ziemi kamień i całe jego chłodne opanowanie prysnęło pod uderzeniem czerwonej, ryczącej fali.

Po pewnym czasie popatrzał na zmasakrowaną twarz Katarzyny. Posłuchał, czy serce jej bije, lecz nie mógł nic dosłyszeć poprzez łomot swego własnego. Dwie wyraźne, odrębne myśli przeleciały mu przez głowę. Jedna mówiła: "Trzeba ją zagrzebać, trzeba wykopać dół i wrzucić ją do niego". Druga krzyczała jak dziecko: "Nie wytrzymam! Nie mogę jej dotknąć!" A potem ogarnęły go mdłości, które przychodzą po furii. Uciekł z tego miejsca, zostawiając walizkę, zostawiając kańczug, zostawiając dębowe puzderko z pieniędzmi. Biegł na oślep w ciemnościach, myśląc jedynie o tym, gdzie by ukryć na chwilę swe przerażenie.

Nikt o nic go nie pytał. Po dłuższej chorobie, w której czule pielęgnowała go żona, powrócił do swych zajęć i już nigdy więcej nie dopuścił do siebie obłądzenia miłości. "Człowiek, który nie potrafi wyciągnąć nauki z doświadczenia, jest głupcem" – mawiał. Odtąd już zawsze miał coś w rodzaju bojaźliwego szacunku dla samego siebie. Nie domyślał się nigdy, że tkwi w nim instynkt zabijania.

To, że nie zabił Cathy, było czystym przypadkiem. Każdy cios wymierzony był po to, by ją rozmiądzzyć. Długo leżała nieprzytomna, a potem długo jeszcze była półprzytomna. Uświadomiła sobie, że rękę ma złamaną i że jeśli chce żyć, musi znaleźć opiekę. Wola życia zmusiła ją do tego, że powłokła się ciemną drogą w poszukiwaniu pomocy. Skręciła w jakąś furtkę i dotarła prawie do szczytu schodów

ganku, zanim zemdlą. Koguty właśnie piał w kurniku, a na wschodzie rysowała się szara smuga świtu.

ROZDZIAŁ X

1

Kiedy dwaj mężczyźni mieszkają razem, zwykle zachowują wobec siebie jakąś żalną poprawność, która wynika z rodzącej się wzajemnie furii. Dwaj samotni mężczyźni są ustawicznie na krawędzi starcia i zdają sobie z tego sprawę. Adam Trask dopiero od niedawna przebywał w domu, a już zaczęły się wytwarzać napięcia. Bracia za wiele się widywali, a za mało przebywali z kim innym.

Przez kilka miesięcy zajęci byli porządkowaniem pieniędzy Cyrusa i lokowaniem ich na procent. Pojechali razem do Waszyngtonu, żeby obejrzyć jego grób – porządny kamień, na wierzchu żelazna gwiazda, płyta i otwór do zatykania drzewca chorągiewki w Dniu Poległych. Bracia długo stali przy grobie, po czym odeszli nie mówiąc ani słowa.

Jeżeli Cyrus dopuszczał się nieuczciwości, robił to zręcznie. Nikt nie zadawał pytań na temat pieniędzy. Ale Karol wciąż myślał o tej sprawie.

Kiedy wrócili na farmę, Adam zapytał go:

– Dlaczego nie kupisz sobie nowego ubrania? Jesteś bogaty. Postępujesz tak, jak byś się bał wydać bodaj centa.

– Bo się boję – odrzekł Karol.

– Dlaczego?

– Może będę musiał wszystko zwrócić.

– Wciąż do tego powracasz? Nie myślisz, że gdyby coś było nie w porządku, już byśmy wiedzieli do tej pory?

– Nie wiem – odparł Karol. – Wolę o tym nie mówić. Jednakże wieczorem znowu poruszył ten temat.

– Jedna rzecz mnie trapi – zaczął.

– Co do tych pieniędzy?

– Tak, co do pieniędzy. Jeżeli się ma takie dochody, to musi też być cała masa śmiecia.

– Jak to?

– Ano, te wszystkie dokumenty, książki rachunkowe, akta sprzedaży, notatki, obliczenia... Przejrzeliśmy rzeczy ojca i nic tam takiego nie było.

- Może to spalił.
- Może – rzekł Karol.

Bracia żyli według programu ustalonego przez Karola, który nie zmieniał go nigdy. Nazajutrz Karol obudził się z uderzeniem czwartej trzydzieści, tak nieomylnie, jak gdyby go trąciło mosiężne wahadło zegara. Ściśle mówiąc, obudził się na ułamek sekundy przed tą godziną. Oczy już miał otwarte i tylko zdążył raz mrugnąć powiekami, nim zegar rozgłośnie uderzył. Przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrzony w ciemność, i drapał się po brzuchu. Potem sięgnął do nocnego stolika i ręka jego od razu natrafiła na przygotowane tam pudełko siarkowych zapalek. Palce Karola wydobyły jedną z nich i potarły o bok pudełka. Siarka rozbłysła niebieskawym paciorkiem, zanim zajęło się drewnienko. Karol zapalił świecę stojącą przy łóżku. Odrzucił koc i wstał. Miał na sobie długi, szary podkoszulek z kalesonami, które były powypychane na kolanach i zwisały luźno wokoło kostek. Ziewając podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał:

- Wpół do piątej, Adamie! Czas wstawać. Obudź się.

Głos Adama był przytłumiony.

- Czy tobie nigdy nie zdarzy się zasnąć?
- Czas wstawać.

Karol wsunął nogi w nogawki i naciągnął spodnie na biodra.

– A zresztą nie musisz wstawać – powiedział. – Jesteś bogaty. Możesz wylegiwać się w łóżku przez cały dzień.

- Tak samo ty. A my wciąż się zrywamy przed świtem.

– Nie musisz wstawać – powtórzył Karol. – Ale jeżeli masz zamiar gospodarzyć, to bierz się do tego.

– Pewnie dokupimy jeszcze trochę ziemi, żeby mieć więcej do roboty – powiedział żałośnie Adam.

- Daj spokój – rzekł Karol. – Wracaj do łóżka, jeżeli masz ochotę.

– Założyłbym się, że ty nie mógłbyś spać, choćbyś i został w łóżku – powiedział Adam. – Wiesz, o co się jeszcze założę? Że wstajesz dlatego, że tak ci się chce, a potem uważasz, że to ci przynosi zaszczyt; zupełnie jak ktoś, kto ma sześć palców u ręki.

Karol poszedł do kuchni i zapalił lampę.

– Nie można wylegiwać się w łóżku i jednocześnie gospodarować – rzekł i przegarnawszy popiół przez ruszt pieca podarł kawałek papieru, rzucił na odsłonięte węgle i zaczął dmuchać, póki nie buchnął ogień.

Adam przypatrywał mu się przez otwarte drzwi.

– Zapalki to nie weźmiesz – powiedział.

Karol obrócił się gniewnie.

– Pilnuj, psiakrew, swoich spraw. Przestań się mnie czepiać.

– W porządku – odparł Adam. – Tak zrobię. I możliwe, że moje sprawy wcale nie są tutaj.

– Twoja rzecz. Jeżeli tylko masz chęć wyjechać, możesz to zrobić w każdej chwili.

Kłótnia była bezsensowna, ale Adam nie mógł jej przerwać. Mówił dalej, na przekór własnej woli, wypowiadając gniewne i drażniące słowa.

– Masz, do pioruna, rację, że wyjadę, kiedy mi się zechce – powiedział. – To jest tak samo moja farma jak twoja.

– To dlaczego na niej nie pracujesz?

– O Boże! – westchnął Adam. – O co my się sprzeczamy? Nie kłóćmy się.

– Ja wcale nie chcę – rzekł Karol.

Nalał chochlą letniej owsianki do dwóch misek i posunął je po stole.

Obaj bracia usiedli. Karol posmarował masłem kromkę chleba, nabrał obficie na nóż marmolady i rozprowadził ją po maśle. Ukrajał sobie kawałek masła na drugą kromkę, pozostawiając na oślejce trochę marmolady.

– Cholera jasna, nie możesz wytrzeć noża? Patrz, jak to masło wygląda!

Karol położył na stole nóż i chleb i oparł się obiema dłońmi o blat.

– Ty lepiej się stąd zabieraj – powiedział.

Adam wstał.

– Już wolę mieszkać w chlewie – odparł i wyszedł z domu.

2

Minęło osiem miesięcy, zanim Karol zobaczył go znowu. Wróciwszy z pracy zastał Adama ochlapującego sobie włosy i twarz wodą z kuchennego wiadra.

– O! – powiedział Karol. – Jak się masz?

– Doskonale – odrzekł Adam.

– Gdzieżeś jeździł?

– Do Bostonu.

– Nigdzie indziej?

– Nie. Tylko obejrzałem sobie miasto.

Bracia wrócili do dawnego życia, ale obaj mieli się na ostrożności przed gniewem. W pewnym sensie jeden chronił drugiego i tak ratował sam siebie. Karol, zawsze ranny ptaszek, szykował śniadanie, zanim obudził Adama. Adam zaś utrzymywał dom w czystości i zaczął gromadzić książki na farmie. W ten ostrożny sposób przeżyli dwa lata, zanim rozdrażnienie znów wzięło w nich górę.

Pewnego zimowego wieczora Adam podniósł wzrok znad książki rachunkowej.

– Ładnie jest w Kalifornii – powiedział. – Ładnie tam w zimie. I można wszystko hodować.

– Jasne, że można. Ale jak już coś wyhodujesz, to co z tym zrobisz?

– A pszenica? W Kalifornii sieją dużo pszenicy.

– Rdza ją chwyci – rzekł Karol.

– Skąd masz taką pewność? Słuchaj, Karolu, w Kalifornii wszystko rośnie tak szybko, że podobno po zasadzeniu trzeba zaraz odskoczyć, żeby człowieka z nóg nie zważyło.

– To dlaczego, u cholery, tam nie pojedziesz? Spłacę cię, kiedy tylko zechcesz.

Adam zmilczał wtedy, ale rano, czesząc się i przeglądając w lusterku, zaczął od nowa.

– Tam, w Kalifornii, w ogóle nie ma zimy – powiedział. – Przez cały czas zupełna wiosna.

– Ja lubię zimę – odparł Karol.

Adam podszedł do pieca kuchennego.

– Nie bądź zły – rzekł.

– No to przestań mi dogryzać. Ile chcesz jajek?

– Cztery – odpowiedział Adam.

Karol naszykował siedem jajek na rozgrzewającej się blasze, po czym starannie ułożył na ogniu drobne drewka, które po chwili gwałtownie rozgorzały. Postawił rynkę przy samym płomieniu. Markotność opuściła go, kiedy przysmażał boczek.

– Adamie – odezwał się. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale co drugie twoje słowo to "Kalifornia". Naprawdę chcesz tam jechać?

Adam parsknął śmiechem.

– To właśnie próbuję rozgryźć – odrzekł. – Sam nie wiem. To jest tak jak z tym rannym wstawaniem. Nie mam ochoty wstawać, ale i nie chce mi się leżeć w łóżku.

– W każdym razie robisz o to dużo hałasu – powiedział Karol.

Adam ciągnął:

– Co rano w wojsku grała ta przekłeta trąbka. I przysięgłem Bogu, że jeżeli kiedykolwiek się stamtąd wyrwę, będę co dzień sypiał do południa. A tutaj wstaję na pół godziny przed pobudką. Może mi powiesz, Karolu, po co my, u diabła, pracujemy?

– Nie można leżeć w łóżku i gospodarować na farmie – odparł Karol. Przerzucił widelcem skwierczący boczek na drugą stronę.

– Zastanów się – mówił poważnie Adam. – Żaden z nas nie ma swojej kobitki ani dziecka, nie mówiąc już o żonie. I jeżeli tak dalej pójdzie, nie wygląda na to, żebyśmy kiedyś mieli. Nie mamy czasu rozejrzeć się za żoną. A tu jeszcze projektujemy sobie, żeby dołączyć farmę Clarka do naszej, jeżeli cena będzie odpowiednia. Po co?

– To diablo fajny kawałek ziemi – odrzekł Karol. – Obie razem byłyby jedną z najlepszych farm w tej okolicy. Słuchaj! A ty nie myślisz o ożenku?

– Nie. I właśnie o tym mówię. Jeszcze kilka lat, i będziemy mieli najlepszą farmę w okolicy. Dwa samotne stare przyki, urabiające sobie ręce po łokcie. Potem któryś z nas umrze, i ta piękna farma przejdzie na jednego samotnego starego przyka, a później i on umrze.

– Co ty wygadujesz, psiakrew?! – zawołał Karol. – Człowiek nie może mieć chwili spokoju. Drażnisz mnie. No, mów, o co ci idzie?

– Mnie to życie nie bawi – odpowiedział Adam. – A w każdym razie niedostatecznie. Pracuję za ciężko jak na to, co z tego mam, a wcale nie muszę pracować.

– No to dlaczego tego nie rzucisz?! – krzyknął Karol. – Dlaczego, do cholery, nie wyniesiesz się stąd?! Nie widzę żadnych strażników, którzy by cię trzymali. Popłynij sobie na morza południowe i wylegaj się w hamaku, jeżeli taka twoja wola.

– Nie bądź zły – powiedział spokojnie Adam. – To tak jak z tym wstawaniem. Nie chce mi się wstawać i nie chce mi się leżeć w łóżku. Nie chcę tu zostać i nie chcę wyjeżdżać.

– Drażnisz mnie – powtórzył Karol.

– Zastanów się, Karolu. Podoba ci się tutaj?

– Pewnie.

– I chcesz tu siedzieć do końca życia?

– Tak.

– O Jezusie, jak ja bym chciał, żeby dla mnie to było takie proste! Jak myślisz, co ze mną jest?

– Pewnie ci się sperma na mózg rzuciła. Chodź dziś wieczorem do zajazdu i wylecz się.

– Może i tak – powiedział Adam. – Ale nigdy nie miałem wielkiej przyjemności z kurwą.

– To jest jedno i to samo – odparł Karol. – Zamykasz oczy i nie czujesz żadnej różnicy.

– Niektóre chłopaki w pułku trzymały sobie squaw. Ja też miałem jedną przez jakiś czas.

Karol spojrział na niego z zaciekawieniem.

– Ojciec by się w grobie przewrócił, gdyby wiedział, żeś się zadawał z Indiankami. No i jak było?

– Wcale nieźle. Prała mi rzeczy, cerowała i gotowała trochę.

– Ale tamto... jak było z tamtym?

– Dobrze. Tak, dobrze. I jakoś słodko... jakoś miło i słodko. Delikatnie i miło.

– Masz szczęście, że ci nie wsadziła noża, jakieś spał.

– Tego by nie zrobiła. Była urocza.

– Śmiesznie ci teraz patrzy z oczu. Coś mi się widzi, żeś leciał na tę squaw.

– Możliwe – odparł Adam.

– Co się z nią stało?

– Ospa.

– Nie wzięłaś sobie innej?

Adam miał smutek w oczach.

– Poukładaliśmy ich wszystkich jedno na drugim jak kłody, z górą dwieście tego było, tylko ręce i nogi sterczały. Z wierzchu obłożyliśmy chrustem i polali naftą.

– Słyszałem, że oni nie wytrzymują ospy.

– Zabija ich – odrzekł Adam. – Przypalasz ten boczek.

Karol odwrócił się szybko do kuchni.

– Tyle że będzie kruchy – powiedział. – Ja lubię kruchy.

Zsunął boczek na talerz i rzucił na gorący tłuszcz jajka, które zaczęły podskakiwać i bulgotać, a ich drgające obrąbki przemieniły się w brunatną koronkę.

– Była tu jedna nauczycielka – mówił Karol. – Najśliczniejsze stworzenie w świecie. Miała małe, drobniutkie stopki. Wszystkie sukienki kupowała sobie w

Nowym Jorku. Włosy złote, a takich malutkich stóp nigdyś nie widział. Śpiewała też, a jakże, w chórze. Wszyscy zaczęli chodzić do kościoła. Pchali się jeden przez drugiego. To było już kawał czasu temu.

– Mniej więcej wtedy, kiedy pisałeś, że myślisz o ożenku?

Karol wyszczerzył zęby.

– Chyba tak. Zdaje się, że w całym okręgu nie było młodego chłopaka, który by nie dostał małżeńskiej gorączki.

– I co się z nią stało?

– Ano, wiesz, jak to bywa. Kobiety zaczęło korcić, że ona tu jest. Zebrały się w kupę. Ani się człowiek obejrzał, jak ją wygryzły. Podobno nosiła jedwabne majtki. To za frymuśne. Kierownictwo szkoły wylało ją w połowie roku szkolnego. A stopki miała o, tycie. I pokazywała kostki, jakby przypadkiem. Zawsze pokazywała te kostki.

– Poznałeś ją?

– Nie. Tyle, że m chodził do kościoła. Ledwo się mogłem dopchać. Taka ładna dziewczyna nie ma czego szukać w małym miasteczku. Tylko ludziom działa na nerwy. Robi zamieszanie.

– A pamiętasz tę Samuels? – zapytał Adam. – Ta była naprawdę ładna. Co się z nią stało?

– To samo. Tylko robiła zamieszanie. Wyjechała. Słyszałem, że mieszka w Filadelfii. Jest krawcową. Mówili mi, że bierze dziesięć dolarów od jednej sukni.

– Może i my powinniśmy stąd wyjechać – powiedział Adam.

– Wciąż myślisz o tej Kalifornii? – zapytał Karol.

– Chyba tak.

Opanowanie Karola pękło na dwoje.

– To się stąd wynoś! – wrzasnął. – Zabieraj się z tej farmy! Ja cię spłacę albo wyprzedam, albo ja wiem co. Wynoś się, ty skurwysynu... – urwał. – Tego ostatniego nie chciałem powiedzieć. Ale, do cholery, denerwujesz mnie.

– Wyjadę – powiedział Adam.

Po trzech miesiącach Karol dostał kolorową pocztówkę z widokiem zatoki pod Rio, a na odwrocie Adam napisał sadzącym kleksy piórem: *Tu jest lato, kiedy u was zima. Może byś przyjechał?*

W sześć miesięcy później przyszła druga karta, z Buenos Aires. *Kochany Karolu – o Boże, ale to wielkie miasto! Mówią tu i po francusku, i po angielsku. Posyłam ci książkę.*

Jednakże żadna książka nie przyszła. Karol wyglądał jej przez całą zimę i spory szmat wiosny. Zamiast książki zjawiał się Adam. Był opalony, a jego ubranie miało cudzoziemski krój.

– Jak się miewasz? – zapytał Karol.

– Doskonale. Dostałeś książkę?

– Nie.

– Ciekawe, co się z nią stało. Była ilustrowana.

– Masz zamiar zostać?

– Chyba tak. Opowiem ci o tamtym kraju.

– Nie chcę o nim słyszeć – odparł Karol.

– O Jezu, aleś ty niemądry! – rzekł Adam.

– Już widzę, jak to będzie. Posiedzisz tu rok, a po roku zacnie cię nosić i wtedy mnie też zacnie nosić. Będziemy się wściekać jeden na drugiego, a potem znów będziemy dla siebie grzeczni, co jest jeszcze gorsze. Później wybuchniemy, ty znowu wyjedziesz, potem wrócisz i zaczniemy od początku.

– Więc nie chcesz, żebym został? – zapytał Adam.

– Chcę, cholera! – odrzekł Karol. – Brak mi ciebie, jak cię tu nie ma. Ale mimo to wiem, co będzie.

I było dokładnie tak. Przez pewien okres wspominali dawne czasy, opowiadali sobie, co się działo, kiedy nie byli razem, a w końcu znowu powróciły długie, przykre milczenia, godziny pracy bez słów, ostrożna uprzejmość, wybuchy złości. Czas nie miał żadnych ram, toteż zdawało się, że płynie bez końca.

Pewnego wieczora Adam powiedział:

– Wiesz, ja niedługo skończę trzydzieści siedem lat. To już połowa życia.

– Zaczyna się – rzekł Karol. – Że niby marnujemy sobie życie. Słuchaj, Adamie, nie moglibyśmy tym razem uniknąć kłótni?

– Jak to?

– Ano, jeżeli wszystko pójdzie prawidłowo, będziemy się żreć przez trzy, cztery tygodnie, a ty przez ten czas dojrzejesz do odjazdu. Jeżeli zaczyna cię nosić, to czy nie mógłbyś po prostu wyjechać i oszczędzić sobie i mnie tego kłopotu?

Adam roześmiał się i napięcie pierzchno z izby.

– Mam sprytnego braciszka – powiedział. – Jasne, jak mnie zaczniesz porządnie świerzbic, to wyjadę bez kłótni. Tak, to mi się podoba. Jesteś teraz bogaty, co?

– Nieźle mi się powodzi. Nie powiedziałbym: bogaty.

– Nie powiedziałbyś na przykład, że kupiłeś cztery kamienice i zajazd w miasteczku?

– Nie, tego bym nie powiedział.

– Ale tak jest, Karolu; zrobiłeś z tego chyba najładniejszą farmę w całej okolicy. Dlaczego by nie wybudować nowego domu – z wanną, bieżącą wodą i klozetem? Już nie jesteśmy biedacy. Ba, powiadają, żeś bez mała najbogatszy w tych stronach.

– Nie potrzeba nam nowego domu – odburknął Karol. – Idź gdzie indziej z tymi swoimi pomysłami.

– Przyjemnie byłoby chodzić do ustępu nie wylaząc z domu.

– Idź gdzie indziej z tymi swoimi pomysłami.

Adam był rozbawiony.

– A może ja wybuduję sobie ładny domeczek tam dalej, pod zagajnikiem? No, co ty na to? Wtedy nie działalibyśmy sobie wzajemnie na nerwy.

– Nie chcę żadnego domku na farmie.

– Farma jest w połowie moja.

– To ją odkupię od ciebie.

– Kiedy ja nie muszę sprzedawać.

Oczy Karola zapłonęły.

– Spalę ten twój cholerny domek.

– Wierzę, że byś to zrobił – odrzekł Adam, nagle otrzeźwiony. – Naprawdę wierzę. Dlaczego tak patrzysz?

Karol powiedział z wolna:

– Dużo myślałem o jednej rzeczy. I chciałem, żebyś ty to poruszył. Ale widzę, że nigdy tego nie zrobisz.

– O co ci idzie?

– Pamiętasz, jakieś mi przysłał depeszę z prośbą o sto dolarów?

– Ja myślę! Zdaje się, że to mi uratowało życie. A bo co?

- Nigdy mi tych pieniędzy nie oddałeś.
- Musiałem ci oddać.
- Nie oddałeś.

Adam popatrzył na stary stół, przy którym siadywał Cyrus postukując laską o drewnianą nogę. Stara lampa naftowa wciąż zwisała nad środkiem stołu rzucając chwiejne, żółte światło okrągłego roczesterskiego knota. – Zwrócę ci jutro rano – powiedział z wolna Adam.

- Dałem ci dość czasu, żebyś to zaproponował.
- Jasne, że tak, Karolu. Powinienem być pamiętać. – Przerwał namyślając się i wreszcie powiedział: – Nie wiesz, dlaczego potrzebowałem tych pieniędzy.
- Nigdy o to nie pytał.
- A ja ci nigdy nie powiedziałem. Może się wstydzilem. Ja byłem aresztowany, Karolu. Dałem dęba... uciekłem.

Karol otworzył usta.

- Co ty wygadujesz?
- Zaraz ci powiem. Byłem trampem i zatrzymali mnie za włóczęgostwo, i zapędzili do przymusowych robót przy budowie dróg... Na noc skuwali mi nogi. Wyszedłem po sześciu miesiącach i zaraz złapali mnie znowu. W ten sposób budują te twoje drogi. Odsiedziałem drugie sześć miesięcy bez trzech dni i uciekłem... Przeszedłem przez granicę Georgii, ukradłem ubranie w sklepie i wysłałem do ciebie depeszę.

– Nie wierzę – odparł Karol. – Chociaż nie, wierzę. Ty nie kłamiesz. Jasne, że ci wierzę. Dlaczego mi nic nie mówiłeś?

– Może mi było wstyd. Ale jeszcze bardziej mi wstyd, że ci nie zwróciłem tych pieniędzy.

- Ach, dajże spokój! – rzekł Karol. – Nie wiem dlaczego o tym wspomniałem.
- Co znowu, Boże drogi! Oddam ci jutro rano.
- Niech mnie szlag trafi! – zawołał Karol. – Mam brata kryminalistę!
- Nie masz się z czego tak cieszyć.
- Nie wiem czemu, ale jestem z tego jakiś dumny – powiedział Karol. – Mój brat kryminalistą! Powiedz mi jedno, Adamie: dlaczegoś czekał z ucieczką aż do trzech dni przed wypuszczeniem.

Adam uśmiechnął się.

– Były powody – odrzekł. – Bałem się, że jeśli odsiedzę cały wyrok, to mnie znów złapią. A przyszło mi także do głowy, że jeżeli doczekam do końca, nie będą się spodziewali, że zwieję.

– To się trzyma kupy – przyznał Karol. – Ale powiedziałaś, że była jeszcze inna przyczyna.

– Zdaje się, że właśnie ta była najważniejsza – odparł Adam – i najtrudniej mi ją wytłumaczyć. Doszedłem do wniosku, że jestem winien państwu sześć miesięcy. Taki dostałem wyrok. Nie uważałem za słuszne cyganić. Wycygałem tylko trzy dni.

Karol wybuchnął śmiechem.

– Ty stary wariacie! – powiedział czule. – Aleś mówił, że okradłeś jakiś sklep.

– Odesłałem pieniądze z dodatkiem dziesięciu procent – rzekł Adam.

Karol pochylił się do przodu.

– Opowiedz mi o tych ciężkich robotach, Adamie.

– Jasne, że ci opowiem, Karolu. Jasne, że ci opowiem.

ROZDZIAŁ XI

1

Karol dowiedziawszy się o więzieniu nabrał dla Adama większego szacunku. Miał teraz dla brata to ciepłe uczucie, które można mieć tylko dla kogoś, kto jest niedoskonały i dlatego nie może być przedmiotem naszej nienawiści. Adam poniekąd to wykorzystywał. Kusił Karola.

– Pomyślałeś kiedy, Karolu, że mamy dość pieniędzy, aby robić wszystko, co chcemy?

– No, dobra. A czego to niby chcemy?

– Moglibyśmy wybrać się do Europy, pochodzić po Paryżu...

– Co to?

– A co się stało?

– Zdawało mi się, że ktoś jest na ganku.

– Pewnie kot.

– Możliwe. Muszę niedługo wystrzelać kilka sztuk.

– Karolu, moglibyśmy pojechać do Egiptu i spacerować sobie naokoło Sfinksa.

– Moglibyśmy też posiedzieć tutaj i zrobić jakiś dobry użytek z naszych pieniędzy. I moglibyśmy wziąć się porządnie do roboty i jakoś wykorzystać czas. Cholera z tymi kotami! – Karol poskoczył do drzwi, jednym szarpnięciem rozwarł je na oścież i krzyknął: – Wynocha! – Potem zamilkł nagle i Adam spostrzegł, że patrzy na schodki ganku. Podszedł do niego.

Brudny kłębek łachmanów i błota usiłował wpełznąć na schodki. Jedna wychudła ręka czepiała się ich powoli. Druga zwisała bezwładnie. Ujrzeni twarz pokrytą skrzepami, spękane wargi i oczy patrzące spod opuchniętych posiniaczonych powiek. Na czole ziała otwarta rana, z której krew sączyła się między zlepione włosy.

Adam zbiegł ze schodków i przyklęknął obok tej postaci.

– Pomóż mi – powiedział do brata. – Prędko, wnieśmy ją do domu. Uważaj na tę rękę. Zdaje się, że złamana. Dziewczyna zemdlą, kiedy ją wnosili do izby.

– Połóżmy ją na moim łóżku – rzekł Adam. – Chyba powinieneś skoczyć po doktora.

– A może by lepiej zaprząć i zawieźć ją do niego?

- Ruszyć ją teraz? Nie. Coś ty? Wariat?
- Może nie taki jak ty. Zastanów się chwilę.
- Nad czym, na miłość boską?
- Dwaj samotni mężczyźni i raptem coś takiego u nich w domu.

Adam był oburzony.

- Chyba nie mówisz poważnie.
- Zupełnie poważnie. Moim zdaniem, lepiej ją odwieźć. Za dwie godziny rzecz się rozejdzie po całej okolicy. Skąd wiesz, co to za jedna? Jak się tu dostała? Co jej się przydarzyło? Adamie, bierzesz na siebie straszne ryzyko.

– Jeżeli zaraz nie pojedziesz, pojedę ja i zostawię cię tutaj – odparł zimno Adam.

– Wydaje mi się, że robisz błąd. Pojadę, ale mówię ci, że jeszcze za to zapłacimy.

– To spadnie na mnie – rzekł Adam. – Ty jedź.

Kiedy Karol odjechał, Adam poszedł do kuchni i nalał do miednicy gorącej wody z kociołka. W sypialni zamoczył chustkę w wodzie i odlepił zakrzepłą krew i brud z twarzy dziewczyny. Powoli odzyskała przytomność i jej niebieskie oczy spojrzały na niego. Sięgnął pamięcią wstecz: ten sam pokój, to samo łóżko, macocha stojąca nad nim z mokrą szmatką w ręku – znów poczuł drobne ukłucia bólu, gdy woda przenikała do rany. A macocha coś wtedy w kółko powtarzała. Słyszał jej głos, ale nie mógł przypomnieć sobie słów.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział do dziewczyny. – Sprowadzamy doktora. Zaraz przyjedzie.

Jej wargi poruszyły się lekko.

– Niech pani nic nie mówi – rzekł. – Niech pani nie próbuje mówić. – A kiedy delikatnie obmywał jej twarz chustką, oblało go jakieś ogromne ciepło. – Może pani tu zostać – powiedział. – Może pani tu zostać, jak długo pani zechce. Ja się panią zaopiekuję.

Wyjął chustkę, zwilżył polepione włosy dziewczyny i powyjmował je z ran na głowie.

Robiąc to słyszał swój głos, nieomal jakby słuchał kogoś obcego.

– O... czy tu boli? Te biedne oczy... Zasłonię je pani ciemnym papierem. Nic pani nie będzie. Tu, na czole, jest gorzej. Boję się, że zostanie blizna. Czy mogłaby pani powiedzieć mi swoje nazwisko? Nie, proszę nie próbować. Mamy masę czasu.

Masę czasu. O, słyszy pani? To bryczka doktora. Prawda, że prędko? – Podbiegł do drzwi kuchennych. – Tędy, doktorze. Ona jest tutaj! – zawołał.

2

Była bardzo ciężko poturbowana. Gdyby w owych czasach istniał rentgen, doktor wykryłby prawdopodobnie jeszcze więcej obrażeń. Ale i tak znalazł ich dosyć. Lewą rękę i trzy żebra miała złamane, a szczękę pękniętą. Czaszka także była pęknięta, a zęby po lewej stronie wybite. Skórę na głowie miała poszarpaną i pokiereszowaną, czoło zaś rozorane do kości. Tyle zauważył i rozpoznał doktor. Nastawił jej rękę, obandażował żebra i zeszył rany na głowie. Za pomocą pipety i palnika spirytusowego wygiął szklaną rurkę, którą wprowadził jej do ust przez szczelinę w miejscu, gdzie brakowało zębów, ażeby mogła pić i przyjmować płynne pokarmy nie poruszając pękniętą szczęką. Dał jej duży zastrzyk morfiny, zostawił pudełko pastylek opium, obmył ręce i włożył surdut. Pacjentka usnęła, nim zdążył wyjść z pokoju.

W kuchni usiadł przy stole i napił się gorącej kawy, którą Karol przed nim postawił.

– No, dobrze, ale co to jej się przytrafiło? – zapytał.

– A skąd możemy wiedzieć? – odparł zadzierzyście Karol. – Znaleźliśmy ją tu, na ganku. Jeżeli pan ma chęć zobaczyć, proszę obejrzeć ślady na drodze, tam gdzie się czołgała.

– Wiecie, co to za jedna?

– Nie, Boże drogi!

– Pan chodzi na piętro do zajazdu... czy to nie jest ktoś stamtąd?

– Ostatnio tam nie byłem. A zresztą i tak nie poznałbym jej w tym stanie.

Doktor obrócił się do Adama.

– A pan już widział ją kiedyś?

Adam z wolna potrząsnął głową.

Karol zapytał szorstko:

– Panie, co pan tu chce wyniuchać?

– Zaraz powiem, o co idzie, jeżeli to pana interesuje. Ta dziewczyna nie wpadła pod bronę, chociaż kubek w kubek na to wygląda. Ktoś jej to zrobił – ktoś, kto wcale a wcale jej nie lubił. Jeżeli chcecie usłyszeć prawdę, to ktoś chciał ją zabić.

– Dlaczego pan jej nie zapytał? – odezwał się Karol.

– Jeszcze przez jakiś czas nie będzie mogła mówić. Poza tym ma pęknięcie czaszki i Bóg wie, co z tego może wyniknąć. Idzie mi o to, czy mam w tę sprawę wtajemniczyć szeryfa?

– Nie! – zawołał Adam tak wybuchowo, że obaj popatrzyli na niego. – Zostawcie ją. Dajcie jej spokój.

– A kto się nią zajmie?

– Ja – odrzekł Adam.

– Słuchaj no... – zaczął Karol.

– Nie mieszaj się do tego!

– To jest tak samo mój dom jak twój.

– Chcesz, żebym wyjechał?

– Nie o to mi idzie.

– No więc, jeżeli ona będzie musiała stąd odjechać, odjadę i ja.

– Niech pan się uspokoi – rzekł doktor. – Dlaczego pan się tym tak przejmuje?

– Nie wyrzuciłbym z domu nawet chorego psa.

– Ale i nie wściekałby się pan tak o niego. Czy pan coś ukrywa? Wychodził pan gdzieś wczorajszej nocy? Może pan sam to zrobił?

– Był tu przez cały czas – wtrącił Karol. – Chrapie, psiakrew, jak lokomotywa.

– Dlaczego jej nie zostawicie w spokoju? – zapytał Adam. – Niechże przyjdzie do siebie.

Doktor wstał i otrzepał ręce.

– Panie Adamie – powiedział. – Pański ojciec był moim starym przyjacielem. Znam pana i całą waszą rodzinę. Pan nie jest głupi. Nie wiem, dlaczego pan nie chce uznać oczywistych faktów, ale najwyraźniej tak jest. Muszę z panem mówić jak z dzieckiem. Tę dziewczynę napadnięto. Moim zdaniem, ten, kto to zrobił, chciał ją zabić. Jeżeli nie powiadomię szeryfa, złamię nakazy prawa. Przyznaję, że czasem łamię niektóre, ale nie te.

– To niech pan mu powie. Tylko żeby jej nie niepokoił, dopóki nie będzie się lepiej czuła.

– Nie mam zwyczaju pozwalając, żeby niepokojono moich pacjentów – odparł doktor. – I pan w dalszym ciągu chce ją tutaj zatrzymać?

– Tak.

– Pańska rzecz. Zajrzę tu jutro. Teraz będzie spała. Dajcie jej wody i ciepłej zupy przez rurkę, jeżeli będzie miała ochotę.

Wymaszerował z izby. Karol obrócił się do brata.

– Adamie, na miłość boską, co to ma znaczyć?

– Zostaw mnie.

– Co cię napadło?

– Zostaw mnie, słyszysz? Daj mi spokój.

– Rany boskie! – zawołał Karol, splunął na podłogę i zdenerwowany, niespokojny wyszedł do roboty.

Adam był rad, że Karol sobie poszedł. Krzątał się po kuchni, zmył naczynia po śniadaniu, zamiótł podłogę. Kiedy doprowadził kuchnię do ładu, poszedł do sypialni i usiadł na krześle przy łóżku. Dziewczyna pochrapywała grubo poprzez morfinę. Opuchlizna schodziła jej z twarzy, ale oczy były podbite i obrzmiałe. Adam siedział bez ruchu, wpatrując się w nią. Zestawiona i wzięta w łupki ręka spoczywała na brzuchu, natomiast prawa leżała na kołdrze, z palcami skulonymi w kształt gniazdka. Była to ręka młodociana, nieledwie dziecięca. Adam dotknął jej kiści, a wtedy palce drgnęły lekko pod wpływem refleksu. Kiść była ciepła. Ukradkiem, jak gdyby się lękał, by go na tym nie przychycono, rozprostował jej palce i dotknął małych poduszczyków jej czubków. Palce były różowe i miękkie, natomiast skóra na wierzchu dłoni zdawała się mieć jakiś wewnętrzny blask niby perła. Adam uśmiechnął się z zachwytem. Dziewczyna przestała oddychać, a on cały stęzał w napięciu, jak gdyby tknięty elektrycznością. Potem coś zabulgotało jej w gardle i rytmiczne chrapanie odezwało się znowu. Łagodnie wsunął dłoń i rękę dziewczyny pod kołdrę, po czym na palcach wyszedł z pokoju.

Przez kilka dni Cathy leżała w mrokach szoku i opium. Skóra ciążyła jej jak ołów; poruszała się bardzo mało z uwagi na ból. Świadoma była, że ktoś się koło niej krząta. Stopniowo rozjaśniało jej się w głowie i w oczach. Przebywali przy niej dwaj młodzi mężczyźni – jeden dorywczo, a drugi bardzo dużo. Wiedziała, że trzeci mężczyzna, który przychodził, to doktor, a był też jeszcze inny, wysoki, szczupły, i ten interesował ją bardziej niż tamci, zainteresowanie to zaś rodziło się z obawy. Być może, podczas narkotycznego snu dotarło do niej to i owo i przechowało się w mózgu.

Bardzo powoli umysł jej pozbierał i uporządkował sobie zdarzenia ostatnich dni. Ujrzała twarz pana Edwardsa, widziała ją, tracącą swój potulny wyraz samozadowolenia i roztapiającą się w mord. Nigdy dotąd nie bała się tak bardzo, lecz teraz poznała już strach. Umysł jej węszył wokoło niby szczur szukający ucieczki. Pan Edwards wiedział o pożarze. Czy wiedział jeszcze ktoś poza nim? I skąd mógł się dowiedzieć? Gdy o tym myślała, wzbierało w niej ślepe, mdłące przerażenie.

Z tego, co słyszała, wywnioskowała, że wysoki, szczupły mężczyzna jest szeryfem i chce ją przesłuchać, a młody człowiek imieniem Adam broni ją od tego. Możliwe, że szeryf też wiedział coś o pożarze.

Podniesione głosy dały jej klucz do właściwej metody postępowania. Szeryf mówił:

– Przecież ona musi mieć jakieś nazwisko. Ktoś musi ją znać.

– A jakże może odpowiedzieć? Ma złamaną szczękę – głos Adama.

– Jeżeli nie jest leworęka, mogłaby pisać odpowiedzi na pytania. Posłuchaj, Adamie, jeśli ktoś próbował ją zabić, to chciałbym go złapać, póki można. Daj mi tylko ołówek i pozwól z nią pogadać.

– Słyszałeś, jak doktor mówił, że ma pęknięcie czaszki. Skąd wiesz, czy cośkolwiek pamięta?

– Tylko daj mi ołówek i papier, to zobaczymy.

– Nie chcę, żebyś ją męczył.

– Do diaska, Adamie, to, czego ty chcesz, nie ma żadnego znaczenia. Mówię ci, że potrzebny mi jest ołówek i papier.

A potem głos drugiego młodego człowieka:

– Co się z tobą dzieje? Tak gadasz, jak byś sam to zrobił. Dajże mu ołówek.

Kiedy trzech mężczyzn wchodzili cicho do pokoju, miała oczy zamknięte.

– Śpi – szepnął Adam.

Otworzyła oczy i popatrzyła na nich.

Wysoki mężczyzna podszedł do łóżka.

– Nie chcę panienki męczyć. Jestem szeryfem. Wiem, że pani nie może mówić, ale czy mogłaby pani napisać na tym parę słów?

Popróbowwała skinąć głową i skrzywiła się z bólu. Szybko zamrugła powiekami na znak zgody.

– A to dziewczyna! – powiedział szeryf. – Widzicie? Chce tak zrobić. – Położył obok niej na łóżku bloczek papieru i zacisnął jej palce na ołówku. – No, proszę. Zaczynamy. Jak pani nazwisko?

Wszyscy trzej wpatrywali się w twarz dziewczyny. Usta jej zacisnęły się, a oczy przymrużyły. Zamknęła powieki i ołówek zaczął pełznąć po papierze. “Nie wiem” – nabazgrała ogromnymi literami.

– Proszę, tu jest świeża kartka. Co pani pamięta?

“Wszystko czarne. Nie mogę myśleć” – wypisał ołówek, zanim osunął się przez krawędź bloczku.

– Czy pani nie pamięta, kim pani jest, skąd pani przyszła? Proszę pomyśleć!

Widać było, że zмага się ciężko, potem twarz jej obwisła i stała się wręcz tragiczna.

“Nie. Miesza mi się. Pomóżcie”.

– Biedne dziecko – powiedział szeryf. – W każdym razie dziękuję za wysiłek. Jak pani będzie się lepiej czuła, to poprobujemy znowu. Nie, już pani nie musi więcej pisać.

Ołówek napisał: “Dziękuję”, i wypadł jej spomiędzy palców.

Zjednała sobie szeryfa. Stał on teraz po stronie Adama. Tylko Karol był przeciw niej. Kiedy bracia przebywali w sypialni – a trzeba było ich dwóch, żeby posadzić chorą na nocnik nie zadając jej bólu – starała się rozgryźć posępną markotność Karola. Miał w twarzy coś, co rozpoznawała, co sprawiało, że czuła się nieswojo. Zauważyła, że bardzo często dotyka blizny na czole, pociera ją, wodzi palcami po jej zarysach. Raz spostrzegł, że dziewczyna go obserwuje. Popatrzał stropiony na swoje palce. Powiedział brutalnie:

– Nie martw się. Też będziesz miała taką, może nawet lepszą.

Uśmiechnęła się do niego, a on odwrócił wzrok. Kiedy wszedł Adam niosąc gorącą zupę, Karol powiedział:

– Jadę do miasta napić się piwa.

3

Adam nie pamiętał, kiedy był tak szczęśliwy. Nie przejmował się tym, że nie znał jej nazwiska. Powiedziała, żeby mówić do niej “Cathy”, i to mu wystarczyło.

Gotował dla Cathy jedzenie, wertując przepisy, których używała jego matka i macocha.

Żywotność Cathy była ogromna. Dziewczyna bardzo szybko przychodziła do siebie. Obrzęk zniknął z jej policzków, a twarz zyskała wdzięk powracającego zdrowia. Niebawem można już było sadzać Cathy na łóżku. Zaczęła ostrożnie otwierać i zamykać usta i jadać miękkie potrawy, wymagające mało gryzienia. Czoło wciąż jeszcze miała obandażowane, ale na reszcie twarzy zostały tylko nieliczne znaki, poza lekko zapadniętym policzkiem z tej strony, gdzie brakowało zębów?

Cathy była w rozterce i umysł jej szukał jakiejś drogi wyjścia. Mówiła mało, nawet kiedy nie sprawiało jej to już większej trudności.

Pewnego popołudnia usłyszała, że ktoś chodzi po kuchni. Zawołała:

– Adamie, to ty?

Głos Karola odpowiedział:

– Nie, ja.

– Czy mogłabym poprosić cię tu na chwilę?

Stał w progu. Oczy miał posępne.

– Rzadko do mnie zachodzisz – powiedziała.

– Zgadza się.

– Nie lubisz mnie.

– To chyba też się zgadza.

– Mógłbyś mi powiedzieć dlaczego?

Usiłował znaleźć odpowiedź.

– Bo ci nie ufam.

– Czemu.

– Nie wiem. I nie wierzę, żeś straciła pamięć.

– Ale z jakiej racji miałabym kłamać?

– Czy ja wiem? Właśnie dlatego ci nie ufam. Masz w sobie coś... co jakby poznaję.

– Przecież nigdy w życiu mnie nie widziałeś.

– Może i nie. Ale jest coś, co mnie korci... co chciałbym rozgryźć. A skąd ty wiesz, że cię gdzieś nie widziałem?

Milczała, więc zawrócił do wyjścia.

– Nie chodź – powiedziała. – Co masz zamiar zrobić?

– Z czym?

– Ze mną.

Przyjrzał jej się z nowym zaciekawieniem.

– Chcesz usłyszeć prawdę?

– A po co bym pytała?

– Tego nie wiem, ale ci powiem. Wyprawię cię stąd, jak tylko będę mógł. Mój brat zgłupiał, ale ja go doprowadzę do przytomności, choćbym go miał złać.

– Mógłbyś zrobić coś podobnego? Przecież to kawał mężczyzny.

– Mógłbym.

Przyjrzała mu się spokojnie.

– Gdzie Adam? – spytała.

– Pojechał do miasta po te cholerne lekarstwa dla ciebie.

– Jesteś zły człowiek.

– A wiesz, co ja myślę? Myślę, że nie jestem nawet w połowie tak zły jak ty pod tą twoją ładną skórką. Ty jesteś diabllica.

Zaśmiała się cicho.

– To już jest nas dwoje – powiedziała. – Karolu, ile jeszcze mam czasu?

– Do czego?

– Do tego, żebyś mnie wyrzucił. Powiedz mi prawdę.

– Dobrze, powiem. Jakiś tydzień, dziesięć dni. Jak tylko zaczniesz chodzić.

– A co będzie, jeżeli nie pójdę?

Spojrzał na nią chytrze, nieledwie z satysfakcją na myśl o starciu.

– W porządku, odpowiem ci. Kiedy ci dali te wszystkie narkotyki, gadałaś dużo, wiesz, tak przez sen.

– Nie wierzę w to.

Roześmiał się, bo zauważył, że usta zacisnęły jej się szybko.

– Proszę bardzo. Nie wierz. Jeżeli pójdziesz w swoją drogę jak najprędzej, to nic nie powiem. Ale jeżeli nie, to dowiesz się, o co chodzi, a i szeryf tak samo.

– Nie wierzę, żebym powiedziała coś złego. Co mogłam mówić?

– Nie będę się z tobą spierał. Poza tym mam teraz robotę. Spytałaś, więc ci odpowiedziałem.

Wyszedł na dwór. Za kurnikiem pochylił się, roześmiał i klepnął w udo.

– Myślałem, że jest bardziej cwana – rzekł do siebie. I po raz pierwszy od wielu dni zrobiło mu się raźniej na duchu.

Karol mocno ją przestraszył. I podobnie jak on się na niej poznał, tak i Cathy poznała się na nim. Był jedynym spotkanym przez nią człowiekiem, który potrafił zagrać tą samą metodą co ona. Cathy zastanawiała się nad jego tokiem myślenia i to jej bynajmniej nie uspokajało. Wiedziała, że jej sztuczki nie będą na niego działały, a potrzebowała opieki i odpoczynku. Nie miała pieniędzy. Musiała gdzieś znaleźć schronienie, i to jeszcze na długi czas. Była wyczerpana i rozbita, a wciąż przebiegała myślami najróżniejsze możliwości.

Adam wrócił z miasteczka, przywożąc butelkę środka przeciwbólowego. Nalał go na łyżkę.

– Będzie paskudne w smaku – powiedział – ale to dobra rzecz.

Wzięła lekarstwo bez protestu, nawet nie bardzo się skrzywiła.

– Ty jesteś dla mnie dobry – powiedziała. – Właściwie nie wiem dlaczego. Narobiłam ci tylko kłopotu.

– Wcale nie. Rozjaśniłaś cały ten dom. Nigdy nie narzekasz ani nic, chociaż tyle się nacierpiałaś.

– Jesteś taki dobry, taki miły!

– Bo tego chcę.

– Musisz wyjść? Nie mógłbyś zostać i porozmawiać ze mną?

– Oczywiście, że mogę. Nie mam nic takiego do roboty.

– Przysuń sobie krzesło, Adamie, i siadaj.

Kiedy usiadł, wyciągnęła do niego prawą rękę, a on ją ujął w obie dłonie.

– Taki dobry i miły – powtórzyła. – Adamie, ty dotrzymujesz obietnic, prawda?

– Staram się. A o co ci idzie?

– Jestem sama i boję się! – zawołała. – Boję się.

– Mógłbym ci jakoś pomóc?

– Nie sądzę, żeby ktoś mógł mi pomóc.

– Powiedz mi; niech spróbuję.

– To właśnie najgorsze. Nawet nie mogę ci powiedzieć.

– Dlaczego? Jeżeli to tajemnica, nie powtórzę nikomu.

– To nie jest moja tajemnica, nie rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem.

Jej palce zacisnęły się mocno na jego rękę.

– Adamie, ja wcale nie straciłam pamięci.

– To dlaczego mówiłaś...

– Właśnie chcę ci wytłumaczyć. Czyś ty kochał swojego ojca, Adamie?

– Zdaje mi się, że bardziej go czciłem, niż kochałem.

– No, a gdyby ktoś, kogo czcisz, był zagrożony, nie zrobiłbyś wszystkiego, żeby go uchronić od zagłady?

– Oczywiście. Na pewno.

– No więc tak właśnie jest ze mną.

– Ale jak to się stało, że cię tak pobili?

– To się z tym łączy. Dlatego nie mogę mówić.

– Czy to zrobił twój ojciec?

– Och, nie. Ale wszystko jest razem powiązane.

– Znaczący, że gdybyś mi powiedziała, kto cię pobił, twój ojciec byłby w niebezpieczeństwie?

Westchnęła. On sam układał sobie całą historię.

– Adamie, czy mi ufasz?

– Oczywiście.

– Strasznie mi ciężko o to prosić.

– Nie powinno tak być, jeżeli chronisz własnego ojca.

– Rozumiesz, to nie jest moja tajemnica. Gdyby nie to, powiedziałabym ci w tej chwili.

– Jasne, że rozumiem. Postąpiłbym tak samo.

– Ach, ty potrafisz tyle zrozumieć!

Łzy napłynęły jej do oczu. Adam pochylił się ku niej, a ona pocałowała go w policzek.

– Nie martw się o nic – powiedział. – Ja się tobą zaopiekuję.

Opadła na poduszki.

– Nie zdaje mi się, żebyś mógł.

– Dlaczego?

– A bo twój brat mnie nie lubi. Chce, żebym się stąd wyniosła.

– Powiedział ci to?

– Och, nie. Po prostu to czuję. Nie ma takiego zrozumienia jak ty.

– Ale ma dobre serce.

– Wiem o tym, tylko że brak mu twojej serdeczności. Kiedy będę musiała stąd pójść, szeryf mnie weźmie na spytki, a ja zostanę zupełnie sama.

Zapatrzył się w przestrzeń.

– Mój brat nie może cię zmusić do odejścia. Jestem w połowie właścicielem tej farmy. Mam swoje własne pieniądze.

– Jeżeli zechce, żebym sobie poszła, będę musiała iść. Nie mogę ci zatruwać życia.

Adam wstał i wyszedł z pokoju. Zbliżywszy się do kuchennych drzwi popatrzył w przedwieczorny zmierzch. Daleko na polu brat zdejmował kamienie z wózka i budował z nich ogrodzenie. Adam spojrzał w niebo. Od wschodu nadciągała płachta wełnistych obłoków. Odetchnął głęboko, a ten oddech połąskotał go przyjemnie w piersiach. Nagle jak by odetkały mu się uszy; dosłyszał wyraźne gdakanie kur i poszum wschodniego wiatru zamiatającego ziemię. Słyszał tupot kopyt końskich na drodze i dalekie stukanie w drewno tam, gdzie sąsiad pokrywał gontami dach stajni. Wszystkie te odgłosy stopiły się w jakąś muzykę. Oczy Adama także widziały jasno. W żółtawym zmierzchu rysowały się wyraźnie płoty, ogrodzenia i budynki i one również stapiały się w jedno. Świat jakby się odmienił. Stado wróbli sfrunęło na ziemię, pomyszkowało chwilę w poszukiwaniu okruchów pożywienia i furknęło w powietrze niby szara wstążka wijąca się w świetle. Adam znowu popatrzył na brata. Zatracił poczucie czasu i nie wiedział już, od jak dawna stoi tak w progu.

Czas nie minął wcale. Karol wciąż jeszcze borykał się z tym samym wielkim kamieniem. A Adam nawet nie wypuścił zatrzymanego w piersiach tchu, którego nabrał, kiedy czas stanął.

Nagle zaznał radości i smutku usnutych w jedną tkaninę. Odwaga i bojaźń też stały się jednością. Spozrzegł, że nuci sobie jakąś monotonną piosenkę. Zawrócił, przeszedł przez kuchnię i stanąwszy w progu popatrzył na Cathy. Uśmiechnęła się do niego blado, a on pomyślał: "Cóż to za dziecko! Co za bezbronne dziecko!" – i objęła go fala czułości.

– Czy zechcesz wyjść za mnie za mąż? – zapytał.

Twarz jej napięła się, a dłoń zacisnęła konwulsyjnie.

– Nie musisz mi teraz odpowiadać – rzekł. – Chcę, żebyś się namyśliła. Ale gdybyś została moją żoną, mógłbym cię chronić. Nikt już nie zdołałby zrobić ci krzywdy.

Cathy w jednej chwili odzyskała panowanie nad sobą.

– Chodź do mnie, Adamie. Siądź tutaj. Daj mi rękę. O tak, tak dobrze. – Ujęła jego dłoń i zewnętrzną stroną przytuliła ją do policzka. – Mój miły – powiedziała łamiącym się głosem. – O mój miły! Słuchaj, Adamie, zaufałeś mi. A teraz obiecasz mi coś? Obiecasz, że nie powiesz bratu, o co mnie spytałeś?

– Że spytałem, czy wyjdiesz za mnie? Dlaczego miałbym o tym nie mówić?

– Nie rozumiesz mnie. Chcę mieć tę noc do namysłu. Może będzie mi potrzeba jeszcze więcej czasu. Pozwolisz mi na to? – Podniosła dłoń do czoła. – Słuchaj, ja przecież nie wiem, czy potrafię zebrać myśli. A bardzo tego chcę.

– Ale czy przypuszczasz, że będziesz mogła wyjść za mnie?

– Proszę cię, Adamie... Pozwól mi się zastanowić. Proszę cię, mój drogi.

Uśmiechnął się i powiedział nerwowo:

– Ale niech to nie trwa długo. Jestem zupełnie jak ten kot, co siedzi wysoko na drzewie i nie może zejść.

– Tylko mi pozwól pomyśleć. I, Adamie... ty jesteś taki dobry!

Wyszedł z domu i ruszył ku miejscu, gdzie brat wybierał kamienie.

Kiedy zniknął za drzewami, Cathy wstała z łóżka i chwiejnym krokiem podeszła do biurka. Pochyliła się i przejrzała w lusterku. Na czole wciąż jeszcze miała bandaż. Uchyliła jego rąbka na tyle, by ujrzeć niedobłą czerwoność pod spodem. Nie tylko zdecydowana była wyjść za Adama, ale powzięła tę decyzję, jeszcze zanim jej się oświadczył. Bała się. Potrzebowała opieki i pieniędzy. Adam mógł jej dać jedno i drugie. A ona mogła uzyskać nad nim władzę – to czuła. Nie pragnęła być niczyją żoną, ale na razie stanowiło to ucieczkę. Jedno tylko ją niepokoiło. W stosunku Adama do niej było jakieś ciepło, którego nie rozumiała, ponieważ nie czuła go dla niego i nigdy nie doświadczyła dla nikogo. Pan Edwards przeraził ją naprawdę. Wtedy jeden jedyny raz w życiu straciła panowanie nad sytuacją. Postanowiła nie dopuścić do tego nigdy więcej. Uśmiechnęła się do siebie na myśl, co powie Karol. Czuła, że oboje mają coś pokrewnego. Nie brała mu za złe jego podejrzliwości.

5

Karol wyprostował się, kiedy Adam do niego podszedł. Przyłożył dłonie do krzyża i rozmasował sobie utrudzone mięśnie.

– Rany boskie, ale tu jest tych kamieni! – powiedział.

– Jeden gość w wojsku mówił mi, że w Kalifornii są takie doliny, które ciągną się całymi milami, a nie znajdziesz w nich nawet kamyka.

– To znajdziesz co innego – odparł Karol. – Chyba nie ma farmy bez jakiegoś feleru. Na Środkowym Zachodzie będzie szarańcza, gdzie indziej znów tornada. Wielka rzecz te parę kamieni!

– Pewnie masz rację. Pomyślałem sobie, że trochę ci pomogę.

– To ładnie z twojej strony. Jużem myślał, że przez resztę życia będziesz trzymał za rączkę toto tam, w domu. Długo ona tu jeszcze zostanie?

Adam już miał mu powiedzieć o oświadczeniach, ale rozmyślił się, słysząc ton Karola.

– Słuchaj – mówił Karol. – Przechodził tędy przed chwilą Alex Platt. Nie zgadłbyś, co mu się przytrafiło. Znalazł skarb.

– Jak to?

– Ano, znasz to miejsce na jego gruncie, gdzie sterczy ta kępa cedrów, wiesz, zaraz przy trakcie okręgowym?

– Wiem. No i co?

– Alex zaszedł między te drzewa a swój kamienny mur. Polował tam na króliki. I otóż znalazł ładniutko spakowaną walizkę z męskim ubraniem. Tyle że wszystko przemoczone od deszczu. Musiało tam leżeć już od jakiegoś czasu. A obok było drewniane pudełko z zamkiem i kiedy go wyłamał, okazało się, że w środku jest blisko cztery tysiące dolarów. Znalazł też i torebkę, ale pustą.

– Nie było żadnego nazwiska?

– To właśnie jest najdziwniejsze: żadnego nazwiska. Ani na bieliźnie, ani na ubraniu. Zupełnie jak by ten ktoś nie chciał zostawić po sobie żadnych śladów.

– Czy Alex to zatrzyma?

– Zaniósł wszystko do szeryfa, szeryf da ogłoszenie i jeżeli nikt się nie zjawi, Alex będzie mógł to zatrzymać.

– Na pewno ktoś się zgłosi.

– Chyba tak. Nie mówiłem tego Alexowi, bo taki jest uradowany. Śmieszne, że na ubraniu nie było etykiety z nazwiskiem; nawet nie to, żeby ktoś ją wypruł; po prostu nie było.

– To masa pieniędzy – rzekł Adam. – Ktoś musi się po nie zgłosić.

– Alex siedział tu ze mną chwilę. Wiesz, jego żona dużo chodzi po ludziach. – Karol zamilkł. – Adamie – powiedział wreszcie. – Musimy z sobą pomówić. Cały okręg już gada.

– O czym? O co ci idzie?

– No, cholera, o tej... tej dziewczynie. Dwaj mężczyźni nie mogą trzymać u siebie dziewczyny. Alex powiada, że baby szlag na to trafia. Adamie, tak nie może być. My tu mieszkamy. Mamy dobre imię.

– Chcesz, żebym ją wyrzucił, zanim wydobrzeje?

– Chcę, żebyś jej się pozbył... żeby się stąd wyniosła. Ona mi się nie podoba.

– Nigdy ci się nie podobała.

– Wiem. Nie ufam jej. Ma w sobie coś... coś... nie wiem, co to jest, ale mi się nie podoba. Kiedy ją stąd wyprawisz?

– Posłuchaj – rzekł z wolna Adam. – Zostaw jej jeszcze tydzień czasu, a potem coś z nią zrobię.

– Obiecujesz?

– Jasne, że obiecuję.

– No, to już coś. Dam jakoś znać żonie Alexa. Wtedy ona już się tym zajmie, żeby to dalej puścić. Boże kochany, ale się ucieszę, jak znowu będziemy mieli dom dla siebie! Pewnie pamięć jeszcze jej nie wróciła?

– Nie – odpowiedział Adam.

6

W pięć dni później, kiedy Karol wybrał się kupić paszę dla cieląt, Adam zajechał bryczką przed kuchenne schodki. Pomógł wsiąść Cathy, otulił jej nogi kocem, drugim owinął jej ramiona. Pojechał do siedziby władz okręgu i wziął z nią ślub przed sędzią pokoju.

Karol był już w domu, kiedy wrócili. Popatrzył na nich kwaśno, gdy wchodzili do kuchni.

– Myślałem, żeś ją zawiózł na pociąg.

– Pobraliśmy się – odrzekł po prostu Adam.

Cathy uśmiechnęła się do Karola.

– Co takiego? Dlaczegoś to zrobił?

– A bo co? Nie wolno człowiekowi się ożenić?

Cathy poszła szybko do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Karol zaczął szaleć.

– Mówię ci, że ona jest cholerę warta! To kurwa!

– Karolu!

– Powiadam ci, że to ostatnia kurwa! Nie zawierzyłbym jej złamanego szeląga...
a to dziwka, pinda jedna!

– Przestań w tej chwili! Przestań, mówię ci! Zamknij swój parszywy pysk! Nie wolno ci gadać w ten sposób o mojej żonie!

– Taka ona i żona jak kot w marcu.

Adam powiedział z wolna:

– Karolu, mam wrażenie, że jesteś zazdrosny. Zdaje się, że sam chciałeś się z nią ożenić.

– Ach, ty głupi durniu! Ja zazdrosny? Nie będę z nią mieszkał pod jednym dachem!

– Nie będziesz musiał – odrzekł spokojnie Adam. – Ja wyjeżdżam. Możesz mnie spłacić, jeżeli chcesz. Możesz zatrzymać sobie farmę. Zawsze chciałeś ją mieć. Siedź tu i gnij.

Karol zniżył głos.

– Nie pozbędziesz się jej? Proszę cię, Adamie. Wyrzuć ją. Ona cię rozszarpie na kawałki. Zniszczy cię, Adamie, zniszczy cię!

– Skąd tyle o niej wiesz?

Karol miał rozpacz w oczach.

– Nic nie wiem – odrzekł i zacisnął usta.

Adam nawet nie spytał Cathy, czy zechce wyjść ze swego pokoju na kolację. Zaniósł do sypialni dwa nakrycia i usiadł obok niej.

– Wyjedziemy stąd – powiedział

– Pozwól mi odejść. Proszę cię, pozwól. Nie chcę, żebyś przeze mnie znienawidził brata. Dlaczego on mnie tak nie cierpi?

– Myślę, że jest zazdrosny.

Oczy jej się zwięziły.

– Zazdrosny?

– Tak mi to wygląda. Nie martw się o nic. Wyjeżdżamy. Pojedziemy do Kalifornii.

– Nie chcę jechać do Kalifornii – powiedziała spokojnie.

– Co ty opowiadasz! Przecież tam jest ślicznie, wciąż słońce i tak pięknie!

– Nie chcę jechać do Kalifornii.

– Jesteś moją żoną – powiedział łagodnie. – A ja chcę, żebyś ze mną pojechała. Zamilkła i więcej nie mówiła na ten temat.

Usłyszeli, że Karol wychodząc trzasnął drzwiami, i Adam powiedział:

– To mu dobrze zrobi. Popije sobie trochę i zaraz mu będzie lepiej.

Cathy skromnie popatrzyła na swoje palce.

– Adamie, nie mogę być ci żoną, dopóki nie wyzdrowieję.

– Wiem – odrzekł. – Rozumiem. Poczekam.

– Ale chcę, żebyś został ze mną. Boję się Karola. On mnie tak nienawidzi!

– Przeniosę tu moje składane łóżko. W ten sposób będziesz mnie mogła obudzić, jak byś się czegoś złąkla. Wystarczy ci wyciągnąć rękę i dotknąć mnie.

– Ty jesteś taki dobry! – powiedziała. – Moglibyśmy napić się herbaty?

– Ależ oczywiście, sam mam ochotę.

Przyniósł parujące filiżanki i wyszedł jeszcze po cukiernicę. Usadowił się w fotelu przy łóżku.

– Trochę mocna. Nie za mocna dla ciebie?

– Ja lubię mocną.

Dopił herbaty.

– Nie wydaje ci się, że jakoś dziwnie smakuje? Ma zabawny smak.

Poderwała rękę do ust.

– Och! Daj mi spróbować. – Pociągnęła łyk resztek. – Adamie! – krzyknęła. – Wziąłeś nie tę filiżankę. To była moja. Nalałam do niej lekarstwa.

Oblizął wargi.

– Chyba mi nie zaszkodzi.

– Cóż znowu! – Zaśmiała się cicho. – Ale mam nadzieję, że nie będę musiała budzić cię w nocy.

– Dlaczego?

– Bo wypileś mój środek nasenny. Może nie obudziłbyś się tak łatwo.

Adam zapadł w ciężki, opiumowy sen, chociaż starał się bronić przeciwko temu.

– Czy lekarz kazał ci brać aż tyle? – zapytał chrapliwym głosem.

– Po prostu nie jesteś do tego przyzwyczajony – odpowiedziała.

Karol wrócił o jedenastej. Cathy dosłyszała jego pijackie kroki. Wszedł do swego pokoju, zrzucił ubranie i włożył do łóżka. Posapywał i przewracał się z boku na bok, próbując ułożyć się wygodnie, a potem nagle otworzył oczy. Cathy stała przy jego łóżku.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Jak myślisz?

Posuń się trochę.

– Gdzie Adam?

– Wypił przez pomyłkę moje lekarstwo na sen. Posuń się trochę.

Oddychał chrapliwie.

– Już byłem u kurwy.

– Jesteś silny chłop. No, posuń się.

– A ta złamana ręka?

– Już ja sobie poradzę. Nie twoje zmartwienie.

Nagle Karol roześmiał się.

– Biedny frajer! – powiedział i odrzucił kołdrę, aby ją wpuścić do łóżka.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ XII

1

Otóż i widzicie, jak książka niniejsza dotarła do wielkiej granicy, którą zwano rokiem tysiąc dziewięćsetnym. Nowe sto lat zmełło się i ubiło, a wydarzenia owego okresu zaciemnione zostały przez to, jak ludzie chcieli je sobie wyobrazić: im dalej wstecz, tym bogatsze i donioślejsze. W wielu księgach wspomnień czasy te zapisały się jako najlepsze ze wszystkich, które kiedykolwiek spłynęły na świat – dawne czasy, wesołe czasy, wdzięczne i proste, zupełnie jakby czas bywał młody i wolny od lęku. Starcy, którzy nie wiedzieli, czy przekołaczą się przez granicę nowego stulecia, oczekiwali go z odrazą. Albowiem świat się zmieniał, znikał zeń urok i cnota. Troska zakradła się na wietrzejącą ziemię, a ileż utracono – dobre maniery, swobodę, piękno! Damy nie były już damami i nie mogłeś ufać słowu dżentelmena.

Niegdyś ludzie chodzili zapięci na wszystkie guziki. A ludzkie poczucie swobody kipiało. Teraz nawet dzieciństwo nie było już miłe – nie takie jak dawniej. Wtedy nie miało się innych trosk prócz tej, by znaleźć dobry kamień, nie całkiem okrągły, ale trochę spłaszczony i wygładzony przez wodę, nadający się do procy wykrajanej z porzuconego trzewika. Gdzież się podziały wszystkie dobre kamienie i cała prostota życia?

Wspomnienia zacierały się nieco, bo jakże można pamiętać smak przyjemności czy bólu, czy dławiącego wzruszenia? Pamiętać można jedynie to, że się takie rzeczy przeżyło. Człowiek starszy przypomina sobie jak przez mgłę pierwsze delikatne, niemal lekarskie oględziny małych dziewczynek, ale ten sam człowiek zapomina – bo chce zapomnieć – gorzkie, żrące uczucie przygnębienia, które sprawia, że chłopak wtula twarz w szumiącą bujnie młodą trawę, grzmoci pięściami o ziemię i szlocha: "O Jezu, Jezu!" Taki człowiek może powiedzieć tylko (i mówi): "Dlaczego ten smarkacz leży tam w trawie? Jeszcze się przeziębi".

O, truskawki nie smakują już tak jak dawniej, a uda kobiet straciły siłę swego uścisku!

I oto niektórzy ludzie osunęli się, niby siadające kury, w gniazdo śmierci.

Historia wydzieliła się w gruczołach miliona dziejopisów. "Czas już wydostać się z tego skołatanego stulecia – mówili niektórzy – z tego oszukańczego, morderczego wieku zamętu i potajemnej śmierci, wyrywania sobie publicznej ziemi i zagarniania jej wszelkimi sposobami".

Sięgnijcie myślą wstecz, przypomnijcie sobie nasz mały naród, co obsiadł brzegi oceanów, targany wewnętrznymi zawilościami, nie mieszczący się w swojej skórze. Zaledwie ruszyliśmy z miejsca, a już Anglicy znowu się do nas dobrali. Pobiliśmy ich, ale to nam niewiele dało. Mieliśmy z tego tylko spalony Biały Dom i dziesięć tysięcy wdów na liście rent państwowych.

Następnie żołnierze pomaszrowali do Meksyku i było to coś na kształt bolesnej majówki. Nikt nie wie, czemu jeździ się na majówkę po to, by znosić niewygody, skoro tak łatwo i przyjemnie można jeść w domu. Jednakże wojna meksykańska przyniosła dwie korzyści. Dostaliśmy szmat ziemi na Zachodzie, bez mała podwoiliśmy powierzchnię naszego kraju, a poza tym był to plac ćwiczeń dla generałów, tak że kiedy później przyszło na nas bolesne bratobójstwo, przywódcy znali już sposoby uczynienia go odpowiednio potwornym.

A następnie spory:

Czy wolno trzymać niewolnika?

Ano, jeżeli kupiło się go w dobrej wierze, to czemu nie?

Niedługo powiedzą, że człowiekowi nie wolno mieć konia. Komu to się zachciewa mojej własności?

I oto byliśmy jak człowiek rozdrapujący sobie twarz i krwawiący we własną brodę.

Potem to przeminęło i z wolna pozbieraliśmy się ze zboczonej ziemi i ruszyliśmy na zachód.

Przyszedł rozkwit, po nim krach, bankructwo, zastój.

Pojawili się wielcy złodzieje grosza publicznego i zaczęli wyciągać pieniądze z kieszeni każdego, kto tylko miał kieszeń.

Do diabła z tym parszywym stuleciem!

Skończmy z nim i zatrzaśnijmy za sobą drzwi! Zamknijmy je jak książkę i czytamy dalej co innego! Nowy rozdział – nowe życie. Człowiek będzie miał czyste ręce, kiedy raz zatrzaśniemy wieko tego cuchnącego stulecia. Czeka nas jasna przyszłość. Nie masz zgnilizny na tych czystych, nowych stu latach. Nie wypełniły się

jeszcze – a każdy nikczemnik, który chciałby coś zaharapczyć dla siebie z tego nowego bogactwa lat – no, takiego ukrzyżujemy łbem w dół nad kloaką.

Ach, ale truskawki już nigdy nie będą tak smakowały jak dawniej, a uda kobiet straciły siłę swego uścisku.

ROZDZIAŁ XIII

1

Niekiedy jakaś światłość rozjaśnia umysł człowieka. Zdarza się to prawie każdemu. Można wyczuć, jak narasta i zbliża się niczym lont, który się żarzy i przesuwa ku ładunkowi dynamitu. Czujemy ją w sobie, jest ona rozkoszą nerwów i ramion. Skóra delektuje się powietrzem, każdy głęboko zaczerpnięty oddech jest słodki. Z początku daje to taką samą przyjemność jak potężne, odprężające ziemnięcie, zapala się w mózgu i naraz cały świat rozbłyska nam przed oczami. Człowiek może przez całe życie bytować wpośród szarości; otacza go ziemia i drzewo ciemne i mroczne. Wydarzenia, nawet doniosłe, mogą przepływać mimo, blade i pozbawione oblicza. A potem nagle – światłość! Śpiew świerszcza staje się pieszczotą dla ucha, zapach ziemi unosi się ku nozdrzom jak pieśń, a cętki światła pod drzewem są zachwyceniem oczu. Wtedy człowiek wylewa się na zewnątrz jak potok, a jednak nie jest przez to umniejszony. I wydaje mi się, że wagę człowieka na świecie można odmierzyć jakością i liczbą tych światłości. Jest to sprawą jednostki, ale wiąże nas ona ze światem. Jest rodzicielką wszelkiego tworzenia i wyodrębnia każdego człowieka spośród wszystkich innych ludzi.

Nie wiem, co będzie w latach, które nadejdą. Na świecie zachodzą olbrzymie przemiany, jawią się siły kształtujące przyszłość, której oblicza nie znamy. Są między nimi takie, co wydają nam się złe, może nie same w sobie, ale dlatego, że zmierzają do usunięcia innych rzeczy, uznawanych przez nas za dobre. Prawdą jest, że dwóch ludzi potrafi dźwignąć większy kamień niż jeden. Grupa może budować samochody szybciej i lepiej niż pojedynczy człowiek, a chleb z ogromnej piekarni-fabryki jest tańszy i bardziej jednolity. Ponieważ nasze pożywienie, odzienie i mieszkanie powstają wśród zawilosci masowej produkcji, więc też masowa metoda musi przeniknąć do naszego myślenia i wyeliminować wszelkie inne. W naszych czasach produkcja masowa czy kolektywna przedostała się do ekonomii, polityki, a nawet religii, tak że niektóre narody zastąpiły pojęcie Boga pojęciem kolektywu. Tu w moich czasach tkwi niebezpieczeństwo. Na świecie jest wielkie napięcie, napięcie bliskie punktu pęknięcia, a ludzie są nieszczęśliwi i zagubieni.

W takich czasach wydaje mi się rzeczą naturalną i słuszną zadać sobie pewne pytania. W co wierzę? O co winienem walczyć i co winienem zwalczać?

Rodzaj ludzki jest jedynym rodzajem twórczym i posiada jedyne twórcze narzędzie: indywidualny umysł i duch człowieka. Nic nigdy nie zostało stworzone przez dwóch ludzi. Nie ma dobrej współpracy czy to w muzyce, czy w sztuce, w poezji, matematyce czy filozofii. Kiedy już się dokonał cud tworzenia, grupa może go rozbudować i rozszerzyć, ale nigdy niczego nie stworzy. Skarb ten spoczywa w samotnym umyśle człowieka.

Obecnie siły skupione wokół koncepcji grupy wydały eksterminacyjną wojnę owemu skarbowi – umysłowi ludzkiemu. Za pomocą zniewag, morzenia głodem, represji, narzuconego kierowania, ogłuszających ciosów młota, nakazów ściga się, krępuje, stępią i otumania wolny, niezawisły umysł. Smutna to i samobójcza droga, którą, jak się wydaje, obrał nasz rodzaj.

I w jedno wierzę: że wolny, badawczy umysł jednostki jest najcenniejszą rzeczą na świecie. A o to będę walczył: by umysł miał możliwość podążać, nie kierowany, tą drogą, jaką zapragnie. A przeciw temu muszę walczyć: przeciwko każdej idei, religii czy rządowi, które ograniczają lub niszczą jednostkę. Tym jestem i takie są moje dążenia. Mogę zrozumieć, dlaczego ustrój zbudowany według pewnego szablonu musi starać się zniszczyć wolny umysł, jest to bowiem jedyna rzecz, która przez rozumowanie może zniszczyć taki ustrój. Z pewnością potrafię to zrozumieć i nienawidzę tego, i będę przeciw temu walczył, aby zachować jedyną rzecz, jaka nas różni od nietwórczych zwierząt. Jeżeli uda się zabić światłość – będziemy zgubieni.

2

Adam Trask dojrzał wśród szarości, a firanki jego życia były jak zakurzone pajęczyny, jego dni zaś powolnym pasmem półsmutków i mdłego niedosytu – aż nagle, poprzez Cathy, przyszła do niego światłość.

Jest rzeczą obojętną, czy Cathy była tym, co nazwałem potworem. Może nie potrafimy jej zrozumieć, ale znów z drugiej strony sami jesteśmy zdolni do wielu rzeczy absolutnie rozbieżnych – do wielkich cnót i wielkich grzechów. Któż nie sondował kiedyś czarnych wód własnej duszy?

Możliwe, że każdy z nas ma w sobie jakąś utajoną sadzawkę, w której zło i szpetota lęgną się i rosną w siłę. Jednakże ta hodowla jest odgradzona i pływające wewnątrz plemię wspina się na zapory jedynie po to, by spaść na powrót. Czy nie może się zdarzyć, iż w mrocznych sadzawkach niektórych ludzi zło nabiera takiej siły, że przesadza zapory, aby wypłynąć na swobodę? Czyż taki człowiek nie jest właśnie owym potworem i czy nie jesteśmy mu pokrewni przez nasze utajone wody? Byłoby czymś nedorzecznym, gdybyśmy nie rozumieli zarówno aniołów, jak szatanów, skoro ich sami wymyśliliśmy.

Bez względu na to, czym była Cathy, zapaliła ona w Adamie światłość. Duch jego wzleciał i wyzwolił go od lęku, goryczy i cierpkich wspomnień. Światłość taka rozjaśnia świat i odmienia go, podobnie jak wystrzelona rakietą odmienia pole bitwy. Być może, Adam w ogóle nie widział Cathy, tak bardzo jarzyła się w jego oczach. W umyśle miał wypalony obraz piękna i tkliwości – słodkiej, świętej dziewczyny, droższej nad wszelkie pojęcie, czystej i kochającej – i tym obrazem była Cathy dla swego męża, i nic, co by zrobiła czy powiedziała, nie mogło wypaczyć tej Cathy Adama.

Oświadczyła, że nie chce jechać do Kalifornii, ale on nie słuchał, bo jego Cathy ujęła go za rękę i pierwsza ruszyła w drogę. Światłość jego była tak promienna, że nie dostrzegał posępnej boleści brata, nie widział błysku w jego oczach. Odprzedał Karolowi poniżej rzeczywistej wartości swoją część farmy i, mając to oraz przypadającą nań połowę pieniędzy ojca, był niezależny i bogaty.

Bracia nagle stali się sobie obcy. Wymienili uścisk dłoni na stacji i Karol został patrząc za oddalającym się pociągiem i pocierając bliznę na czole. Poszedł do zajazdu, wypił jedną po drugiej cztery whisky i wdrapał się po schodach na górne piętro. Zapłacił dziewczynie i nie mógł nic zdziałać. Płakał w jej objęciach, dopóki nie wyprosiła go za drzwi. Później zaczął szaleć na farmie, żyłował ją, dokupywał gruntu, obsiewał, obrządzał, rozszerzał jej granice. Nie znał odpoczynku ani rozrywki i stał się bogaty bez zadowolenia i szanowany bez przyjaciół.

Adam zatrzymał się w Nowym Jorku tylko tak długo, jak było trzeba, ażeby zaopatrzyć siebie i Cathy w garderobę, po czym oboje wsiedli do pociągu, który ich poniósł poprzez kontynent. Jakim sposobem trafili do doliny Salinas, to już bardzo łatwo zrozumieć.

W owych czasach kompanie kolejowe – rozrastające się i zwalczające wzajemnie, usiłujące rozbudować się i osiągnąć przewagę – chwytaly się wszystkich

środków, ażeby zwiększyć frekwencję. Nie tylko ogłaszały się w gazetach, ale drukowały broszury i afisze opisujące i odmalowujące piękno i bogactwo Zachodu. Żadne zachęty nie były przesadne – zasoby tych ziem nie miały granic. Kompania Kolei Południowego Pacyfiku, kierowana z szaloną energią przez Lelanda Stanforda, zaczęła opanowywać wybrzeże Oceanu Spokojnego nie tylko w dziedzinie transportu, ale i polityki. Jej linie sięgały w głąb dolin. Wyrastały nowe miasta, otwierano i zaludniano nowe połacie kraju, gdyż kompania musiała sobie tworzyć klientów, żeby egzystować.

Długa dolina Salinas należała do eksploatowanych terenów. Adam obejrzał i przestudiował wspaniały barwny afisz, przedstawiający ją jako krainę, którą niebo usiłuje bez powodzenia naśladować. Ten, kto po przeczytaniu literatury na temat doliny Salinas nie miał ochoty tam osiąść, musiał być niespełna rozumu.

Adam nie kwapił się z zakupieniem ziemi. Nabył powozik i rozjeżdżał po okolicy, spotykając się z ludźmi, którzy tu wcześniej przybyli, rozprawiając o glebie i wodzie, klimacie i zbiorach, cenach i urządzeniach. Nie chodziło mu o spekulację. Przyjechał, żeby tu osiąść, założyć dom, rodzinę, może dynastię.

Jeździł rozradowany z farmy na farmę, podnosił grudki ziemi, kruszył je w palcach, rozmawiał, planował i marzył. Mieszkańcy doliny polubili go i byli zadowoleni, że przyjechał tu się osiedlić, bo wyczuwali w nim człowieka zasobnego.

Miał tylko jedną troskę, a mianowicie Cathy. Nie czuła się dobrze. Jeździła z nim po okolicy, ale była jakaś osowiała. Pewnego ranka poskarżyła się, że czuje się chora, i została w pokoju hotelowym w King City, podczas gdy Adam wyjechał na wieś. Wrócił około piątej po południu i znalazł ją na wpół żywą z utraty krwi. Szczęściem zastał doktora Tilsona przy kolacji i odciągnął go od rostbefu. Doktor przeprowadził szybkie badanie, założył tampon i obrócił się do Adama.

– Może by pan zaczekał na dole? – zaproponował.

– Czy jej nic nie będzie?

– Nic. Niedługo pana poproszę.

Adam pogłaskał Cathy po ramieniu, a ona uśmiechnęła się do niego.

Doktor Tilson zamknął drzwi za Adamem i zawrócił do łóżka. Twarz miał czerwoną z gniewu.

– Dlaczego pani to zrobiła?

Usta Cathy były wąską, napiętą kreską.

– Czy mąż wie, że pani jest w ciąży?

Głowa jej poruszyła się wolno z boku na bok.

– Czym pani to zrobiła?

Wpatrzyła się w niego.

Rozejrzał się po pokoju. Podszedł do biurka i wziął leżące tam szydełko do robótek. Potrząsnął nim przed jej nosem.

– Stary przestępca, stary zbrodniarz! – powiedział. – Pani jest głupia. O mało pani się nie zabiła, a dziecka nie pozbyła się wcale. Pewnie pani brała też różne rzeczy, zatruwała się, wpuszczała sobie kamforę, naftę, pieprz turecki. Boże kochany! Co te kobiety wyprawiają!

Jej oczy były zimne jak szkło.

Przysunął krzesło do łóżka.

– Dlaczego pani nie chce mieć dziecka? – zapytał łagodnie. – Ma pani dobrego męża. Nie kocha go pani? Co, pani w ogóle nie ma zamiaru ze mną rozmawiać? Proszę mi odpowiedzieć, do diaska! Niech pani nie będzie uparta.

Wargi jej nie poruszyły się, a powieki nawet nie drgnęły.

– Droga pani – ciągnął. – Czyż pani tego nie rozumie? Nie wolno niszczyć życia. To jedno doprowadza mnie do szału. Bóg świadkiem, że tracę swoich pacjentów, bo umiem za mało. Ale próbuję – zawsze próbuję. A potem widzę takie rozmyślne morderstwo. – Mówił szybko dalej. Lękał się nieznośnej ciszy między jednym zdaniem a drugim. Ta kobieta była zastanawiająca. Miała w sobie coś nieludzkiego. – Może pani zna panią Laurel? Ona usycha z tęsknoty za dzieckiem. Dałaby wszystko, co ma czy kiedykolwiek mieć będzie, żeby urodzić dziecko, a pani... pani próbuje zadźgać swoje szydełkiem. Dobrze! – wykrzyknął. – Nie chce pani mówić, to nie. Ale ja powiem swoje. Dziecku nic się nie stało. Źle pani wycelowała. I jeszcze jedno: będzie pani miała to dziecko. Wiadomo pani, co nasze prawo ma do powiedzenia na temat skrobanki! Nie musi pani odpowiadać, ale proszę słuchać! Jeżeli się to powtórzy, jeżeli straci pani to dziecko, a ja będę miał jakikolwiek powód podejrzewać brudne sztuczki, złożę na panią doniesienie, zaświadczę przeciwko pani i dopilnuję, żeby panią ukarano. A teraz mam nadzieję, że pani ma dość oleju w głowie, żeby mi wierzyć, bo zrobię to, co mówię.

Cathy zwilżyła sobie wargi spiczastym czubkiem języka. Chłód zniknął z jej oczu, a na jego miejsce pojawił się bezsilny smutek.

– Żałuję tego – powiedziała. – Żałuję. Ale pan nic nie rozumie.

– To dlaczego mi pani nie powie? – Jego gniew pierzchnął jak mgła. – Bardzo o to proszę.

– Trudno mi o tym mówić. Adam jest taki dobry, taki silny. A ja... cóż, ja jestem skazona. Epilepsja.

– Pani? Niemożliwe!

– Ja nie, ale mój dziadek i ojciec... i brat. – Zasłoniła oczy dłońmi. – Nie mogłam tego przynieść mojemu mężowi.

– Biedne dziecko – powiedział. – Moje biedne dziecko! Nie ma żadnej pewności. Jest więcej niż prawdopodobne, że pani małeństwo będzie wspaniałe i zdrowe. Obieca mi pani nie próbować już żadnych takich sztuk?

– Tak.

– No, to w porządku. Nie powiem mężowi, co pani zrobiła. A teraz proszę się położyć, to zobaczę, czy krwawienie ustało.

Po kilku minutach zamknął walizeczkę i schował szydło do kieszeni.

– Zajrzę tu jutro rano – powiedział.

Adam przyskoczył do niego, gdy zeszedł po wąskich schodach do hallu hotelowego. Doktor Tilson musiał się opędzać od zawieruchy pytań: “No i co? Jak się czuje? Jaka była przyczyna? Czy mogę pójść na górę?”

– Prr, stój, stój! – Tu zastosował swą sztuczkę, swój stały żart. – Pańska żona jest chora.

– Doktorze!

– Na jedyną dobrą chorobę, jaka istnieje...

– Doktorze...

– Będzie miała dziecko.

Szybko wyminął Adama, który stał z wybałuszonymi oczami. Trzej mężczyźni siedzący przy piecu wyszczerzyli do niego zęby. Jeden z nich zauważył obojętnym tonem:

– Gdyby mnie coś takiego spotkało... no, to zaprosiłbym paru, może ze trzech znajomych na kieliszek.

Aluzja ta poszła na marne. Adam niezdarnie pognął na górę po wąskich schodach.

Uwaga Adama skupiła się na ranczo Bordonego, położonym o kilka mil na południe od King City, ściśle mówiąc, prawie na połowie drogi między San Lucas a tym miastem.

Rodzina Bordonich miała dziewięćset akrów ziemi, resztówkę pozostałą z dziesięciu tysięcy akrów nadanych pradziadowi pani Bordoni przez koronę hiszpańską. Pochodzili ze Szwajcarii, ale pani Bordoni była córką i spadkobierczynią rodziny hiszpańskiej, która w odległej przeszłości osiedliła się w dolinie Salinas. Tak jak to się zdarzało większości starych rodzin, ziemia wymknęła im się z rąk. Część utracili przez hazardową grę, część odkrajano na podatki, a pewną ilość oddarli niby kupony po to, ażeby nabywać przedmioty zbytku – to konia, to diament, to piękną kobietę. Pozostałe dziewięćset akrów było ośrodkiem pierwotnego nadania Sanchezów i zarazem najlepszą jego częścią. Grunty te siedziały okrakiem na rzece i wpełzały na podnóża wzgórz, w tym miejscu bowiem dolina zwęża się, a dalej otwiera znowu. Dawny dom Sanchezów był jeszcze zdalny do użytku. Zbudowany z nie wypalanej cegły, stał w małej rozpadlinie między stokami wzgórz, miniaturowej dolince nawadnianej cennym, stale bijącym źródłem słodkiej wody. Dlatego właśnie, rzecz jasna, pierwszy Sanchez zbudował tu swoją siedzibę. Ogromne dęby ocieniały dolinę, a ziemia wyróżniała się nie znanym w tej okolicy bogactwem i obfitością zieleni. Mury niskiego domu były grube na cztery stopy, a krągłe krokwie powiązane rzemieniami z nie wyprawionych skór, zakładanymi na mokro. Skóra kurczyła się i ściągała mocno krokwie i belki poprzeczne, a rzemienie stawały się twarde jak żelazo i prawie niezniszczalne. Ta metoda budowania ma tylko jedną wadę: szczury mogą przegryzać skórę, jeżeli im na to pozwolić.

Stary dom, rzekłbyś, wyrastał wprost z ziemi i był bardzo ładny. Bordoni urządził w nim oborę. Był Szwajcarem, imigrantem, i odznaczał się właściwym swemu narodowi umiłowaniem czystości. Nie miał zaufania do grubych murów z gliny, toteż zbudował opodal dom o konstrukcji szkieletowej; natomiast z głębokich wnęk okiennych starego domu Sanchezów wystawiały łby krowy.

Bordoni nie miał dzieci i kiedy jego żona zmarła w kwiecie wieku, męża nawiedziła przemożna tęsknota za dawną alpejską przeszłością. Chciał sprzedać ranczo i wrócić do kraju. Adam Trask nie spieszył się z kupnem, a Bordoni żądał wysokiej ceny i stosował metodę sprzedaży, która polegała na udawaniu, że nie dba o to, czy sprzeda, czy nie. Bordoni wiedział na długo przed Adamem, że ten kupi jego ziemię.

Adam zamierzał pozostać tam, gdzie osiadł, i chciał, by pozostały tam również jego nie narodzone jeszcze dzieci. Obawiał się, że może kupić jakąś farmę, a potem zobaczyć inną, która mu się bardziej spodoba, przez cały czas zaś ciągnęło go

do rancza Sanchezów. Wraz z pojawieniem się Cathy rozpostarło się przed nim życie długie i przyjemne. Jednakże formalnie zachował wszelkie środki ostrożności. Przemierzył powozem, konno i pieszo każdą piędź ziemi. Przeprowadził wiercenia podglebia, ażeby zbadać, pomacać i powąchać ziemię z głębszych warstw. Wypytał się o pomniejsze dzikie rośliny pniące się na polach, brzegach rzeki i wzgórzach. W wilgotnych miejscach przyklękał i oglądał odcisnięte w błocie tropy zwierząt: kuguara i jelenia, kojota i żbika, skunksa i szopa, łasicy i królika – wszystkie zasnutę siatką tropów przepiórek. Błąkał się pośród wierzb, sykomorów i pnączy dzikiej jeżyny w łożysku rzeki, klepał pnie dębów wirginijskich i zwykłych, drzew madronio, wawrzynów i toyonów.

Bordoni obserwował go spod przymrużonych powiek i nalewał do kieliszków czerwone wino wyciśnięte z gron rosnących w małej winnicy, którą założył na stoku wzgórza. Bordoni lubił lekko sobie podchmielić każdego popołudnia. A Adam, który nigdy nie kosztował wina, rozsmakował się w nim.

Ciągle od nowa wypytywał Cathy o zdanie na temat ranczo. Czy jej się podoba? Czy czułaby się tam dobrze? I nawet nie słuchał jej nie obowiązujących odpowiedzi. Sądził, że Cathy kroczy ręką w rękę z jego entuzjazmem. W hallu hotelowym w King City gwarzył z mężczyznami, którzy zbierali się tam wokół pieca i czytali gazety przysyłane z San Francisco.

– Głównie się zastanawiam nad wodą – powiedział pewnego wieczora. – Ciekaw jestem, jak głęboko trzeba by wiercić, żeby założyć studnię.

Jeden z ranczerów skrzyżował nogi w spodniach z diagonału.

– Powinieneś się pan wybrać do Sama Hamiltona – powiedział. – Ten zna się na wodzie lepiej niż ktokolwiek w tych stronach. To taki wodny czarodziej, a i wiertacz studzien też. On panu powie. Wywiercił połowę studzien w tej części doliny.

Jego towarzysz zachichotał.

– Hamilton ma dobre i dostateczne powody, żeby się zajmować wodą. Bo sam nie ma nawet marnej kropelki na swoim gruncie.

– Gdzie go można znaleźć? – zapytał Adam.

– Coś panu powiem. Wybieram się do niego, żeby mi zrobił parę kątowników. Jeżeli pan chcesz, możemy się zabrać razem. Spodoba się panu ten Hamilton. To fajny chłop.

– Prawdziwy geniusz dowcipu – rzekł jego towarzysz.

3

Pojechali na rancho Hamiltona bryczką Ludwika Lippo – Ludwik i Adam Trask. Żelazne kabłaki grzechotały w skrzynce, a udziec jeleni zawinięty w mokre płótno workowe, żeby go utrzymać w chłodzie, podskakiwał na żelastwie. W owych czasach zwyczaj nakazywał zabierać z sobą jako podarek solidny kawał jedzenia, kiedy się do kogoś jechało, trzeba było bowiem zostać na obiedzie, jeżeli nie chciało się obrazić gospodarza. Jednakże paru gości mogło wywrócić całotygodniowy plan wyżywienia, jeżeli nie uzupełnili tego, co sami uszczknęli. Wystarczyła ćwiartka wieprza czy zadek wołowy. Ludwik urznął udziec jeleni, a Adam zaopatrzył się we flaszkę whisky.

– Muszę coś panu powiedzieć – mówił Ludwik. – Pan Hamilton będzie kontent, ale jego żona ma na to zęba. Na pańskim miejscu zostawiłbym tę flaszkę pod siedzeniem, a dopiero jak zajedziemy pod warsztat, możesz pan ją wyciągnąć. Zawsze tak robimy.

– To ona nie pozwala się napić mężowi?

– Mała jest niczym ptaszek – odrzekł Ludwik – ale poglądy ma sztywne jak stal. Lepiej zostaw pan tę flaszkę pod siedzeniem.

Zboczyli z głównego traktu i koleiną wypłukaną przez zimowe deszcze wjechali między żłobione bruzdami, wyschnięte wzgórza. Konie napierały na chomąta, a bryczka chwiała się i kołysała. Ostatni rok nie był łaskawy dla wzgórz, toteż już w czerwcu wyschły zupełnie, a poprzez krótką, spieczoną trawę sterczały kamienie. Dziki owies wyrósł zaledwie na sześć cali nad ziemię, jak gdyby świadom, że jeśli nie wysieje się szybko, nie zdoła się wysiać w ogóle.

– Nie bardzo pociągająca okolica – powiedział Adam.

– Pociągająca? Panie Trask, to jest taka okolica, że może złamać i zmarnować człowieka. Pociągająca! Pan Hamilton ma spory kawał ziemi, a mógłby na nim z głodu zdechnąć z tyloma dziećmi. Rancho ich nie żywi. Hamilton zajmuje się różnymi robotami, a jego chłopaki też już zaczynają trochę zarabiać. To pierwszorzędna rodzina.

Adam zapatrzył się na rząd ciemnych drzew mesquite, które wyglądały z parowu.

– Dlaczego, u licha, osiedlił się na takim gruncie?

Ludwik Lippo, jak zresztą każdy, lubił wyjaśniać różne rzeczy, zwłaszcza obcemu, jeżeli nie było przy tym nikogo miejscowego, kto mógłby mu zaprzeczyć.

– Ja panu powiem – rzekł. – Weź pan na przykład mnie. Mój ojciec był Włochem. Przyjechał tutaj po tych zaburzeniach w kraju, ale przywiózł trochę pieniędzy. Moje ranczo nie jest wielkie, ale ładne. Ojciec je kupił. Sam sobie wybrał. A weźmy pana – nie wiem, co pan masz w kieszeni, i nie mam zamiaru pytać, ale powiadają, że pan chce kupić stare ranczo Sanchezów, a Bordoni nigdy nie oddał niczego za darmo. Musisz pan mieć nabitą kabzę, bo inaczej nawet byś pan się o to nie dowiadywał.

– Nie narzekam – odparł Adam skromnie.

– Opowiem panu wszystko po kolei – mówił Ludwik.

– Jak państwo Hamiltonowie przyjechali do doliny, to nie mieli nawet nocnika, żeby się odlać. Musieli wziąć, co zostało – rządowe grunty, których nikt nie chciał. Na dwudziestu pięciu akrach takiej ziemi krowa nie wyżyje nawet w dobry rok, a w złe lata podobno i kojoty się stamtąd wynoszą. Ludzie mówią, że nie mają pojęcia, jak ci Hamiltonowie wytrzymali. Ale, rzecz jasna, pan Hamilton od razu zakasał rękawy – no i dzięki temu wyżyli. Pracował jako najemnik, póki nie zbudował sobie młockarni.

– Musiał się ostro wziąć do roboty. Od wszystkich o nim słyszę.

– Wziął się, a jakże. Wychował dziewięcioro dzieci. Założył się, że nie ma odłożonego nawet pół dolara. Bo i z czego?

Jeden bok bryczki podskoczył, przetoczył się przez duży, krągły kamień i opadł na powrót. Konie były ciemne od potu i spienione pod chomaćmi i tylnikami.

– Chętnie z nim porozmawiam – rzekł Adam.

– Ano, panie łaskawy, doczekał się przynajmniej jednego pięknego żniwa: ma dobre dzieci i wychował je na ludzi. Wszystkie dają sobie radę, może z wyjątkiem Joe'ego. Joe, to jest najmłodszy, ma podobno iść do szkół, ale reszta pierwszorzędnie sobie radzi. Pan Hamilton może być dumny. Dom stoi zaraz po drugiej stronie tego wzniesienia. Niech pan aby nie zapomni i nie wyciągnie whisky, bo ona tak na pana spojrzy, że pan się z miejsca nie ruszy.

Wyschnięta ziemia pękała, nagrzana słońcem, a świerszcze ćwierkały.

– To naprawdę jest od Boga zapomniany kraj – powiedział Ludwik.

– Aż mi się nieprzyjemnie robi, jak na to patrzę – rzekł Adam.

– A niby dlaczego?

– Bo sam mam dość, żeby nie musieć żyć na takiej ziemi.

– Ja też, a wcale mi nie jest nieprzyjemnie. Nawet cholernie się cieszę.

Kiedy bryczka wjechała na szczyt wzniesienia, Adam ujrzał niewielką grupę zabudowań, która stanowiła siedzibę Hamiltonów: dom z licznymi przybudówkami, oborę, warsztat i szopę na wozy. Było to miejsce wyschnięte i przeżarte słońcem – nigdzie dużych drzew, tylko mały, ręcznie polewany ogródek.

Ludwik obrócił się do Adama, a w jego głosie zabrzmiała jakby lekka nuta wrogości.

– Chcę panu jasno powiedzieć parę rzeczy, panie Trask. Są tacy, którzy widząc po raz pierwszy Samuela Hamiltona mogą pomyśleć, że on gada na wiatr. Bo nie mówi tak jak inni. To Irlandczyk. Głowę ma pełną planów – ze sto na dzień. I ciągle żyje nadzieją. Chryste Panie, przecież musi, żeby wytrzymać na tej ziemi! Ale niech pan jedno pamięta: to jest człowiek robotny, dobry kowal, a niektóre pomysły jakoś mu wychodzą. Słyszałem też, jak gadał o tym, co ma się stać, no i później tak się stało. Adama zaniepokoiła ta nuta groźby.

– Nie jestem taki, co by traktował z góry innego człowieka – powiedział i uczuł, że Ludwik nagle zobaczył w nim obcego i wroga.

– Ja tylko chciałem, żebyś pan to dobrze zrozumiał. Są tacy, co przyjeżdżają tu ze Wschodu i uważają, że jeżeli człowiek nie ma kupy pieniędzy, to już jest nic niewart.

– Do głowy by mi nie przyszło...

– Pan Hamilton może i nie odłożył sobie nawet pół dolara, ale to swój człowiek i taki, że lepszego tu nie znaleźć. A dochował się najzaciejszej rodziny, jaką pan może spotkać. Chciałem tylko, żebyś pan o tym pamiętał.

Adam już miał powiedzieć coś więcej w swojej obronie, ale potem rzekł:

– Będę pamiętał. Dziękuję, że mi pan powiedział.

Ludwik znowu obrócił się do przodu.

– O, stoi tam. Widzi pan? Przed warsztatem. Musiał już nas dosłyszeć.

– Czy on ma brodę? – zapytał Adam, wyężając wzrok.

– A jakże, piękną brodę. Szybko mu bieleje; zaczyna całkiem siwieć.

Przejechali obok domu i dostrzegli wyglądającą na nich z okna panią Hamilton, po czym zatrzymali się przed warsztatem, gdzie Samuel stał, oczekując na nich.

Adam ujrzał rosłego mężczyznę, brodatego niczym patriarcha, o siwiejących włosach, które poruszały się na wietrze jak puch ostu. Policzki powyżej brody miał rumiane, tam gdzie słońce opaliło jego irlandzką skórę. Ubrany był w czystą niebieską

koszulę, drelichy i skórzany fartuch. Rękawy miał zakasane, a muskularne przedramiona także czyste. Jedynie dłonie były usmolone od pracy w kuźni. Obrzuciwszy go szybkim spojrzeniem, Adam znowu popatrzył na oczy jasnoblękitne i pełne młodzieńczej radości. Wokoło nich rozchodziły się promienie zmarszczki powstałe od częstego śmiechu.

– Ludwik! – zawołał Hamilton. – Cieszę się, że cię widzę. Nawet wśród rozkoszy tego naszego małego rajy miło jest zobaczyć przyjaciół.

Uśmiechnął się do Adama, a Ludwik powiedział:

– Przywiozłem pana Adama Traska. Przyjechał ze Wschodu, żeby się tu osiedlić.

– Rad jestem – rzekł Samuel. – Uścisknę panu dłoń innym razem. Nie chciałbym panu uwalać rąk tymi moimi kowalskimi cęgami.

– Przywiozłem trochę kabłąków. Zrobi mi pan parę kątowników? Rozleciało mi się korytko strzygacza przy zniwiarce.

– Jasne, że zrobię. Wsiadajcie, wsiadajcie. Postawimy konie w cieniu.

– Na tyle bryczki mam kawałek jelenia, a pan Trask też przywiózł małą niespodziankę.

Samuel zerknął w stronę domu.

– Może wyjmijemy tę "małą niespodziankę", jak odstawimy bryczkę za szopę.

Adam zauważył śpiewną przeciągłość jego mowy, a jednak nie mógł wykryć żadnego słowa wypowiedzanego z cudzoziemską, wyjąwszy może twarde "t" i podniebieniowe "l".

– Ludwiku, może wyłożysz konie? Ja zaniosę mięso do domu. Liza się ucieszy. Bardzo lubi duszoną pieczeń z jelenia.

– Młodzi są w domu?

– A nie, nie ma ich. Jerzy i Will przyjechali na niedzielę, więc wszyscy razem wybrali się wczoraj wieczorem na tańce do szkoły w Peach Tree, w Kanionie Dzikiego Konia. Wrócą całą hurmą, jak się ściemni. Przez to nie mamy sofy. Opowiem wam później. Dostaną za swoje od Lizy. Tom to zrobił. Zaraz wszystko opowiem. – Roześmiał się i ruszył ku domowi niosąc zawinięty w worek udziec jeleni. – Jeżeli chcecie, możecie zabrać "małą niespodziankę" do warsztatu, tylko żeby słońce na tym nie błysło. Usłyszeli, jak wołał zbliżwszy się do domu:

– Lizo! Nigdy byś nie zgadła! Ludwik Lippo przywiózł kawał jelenia większy od ciebie.

Ludwik zajechał za szopę. Adam pomógł mu wyprząc konie i po podciągnięciu szlei uwiązać je na kantarach w cieniu.

– On serio mówił o tym, żeby słońce nie błysło na butelce – powiedział Ludwik.

– To ona musi być prawdziwym biczem bożym?

– Tyla jest co ptaszek, ale zakuta.

– “Wyłożyć konie” – powiedział Adam. – Zdaje mi się, że gdzieś słyszałem albo czytałem takie wyrażenie.

Samuel odnalazł ich w warsztacie.

– Liza będzie uradowana, jeżeli zostaniecie na obiad – powiedział.

– Przecież się nas nie spodziewała – zaprotestował Adam.

– Cicho, człowieku. Zrobi dodatkowo trochę klusek do pieczeni. To dla nas przyjemność gościć was tutaj. Daj mi te swoje kabłaki, Ludwiku, i pokaż, co z nich ma być.

Rozniecił wiórami ogień w czarnym wnętrzu kuźni, rozdmuchał go miechem, a potem dorzucił palcami trochę mokrego koks, aż się dobrze rozżarzyło.

– No, Ludwiku – powiedział. – Pomachajże teraz skrzydłem nad moim ogniem. Tylko powoli, bracie, powoli a równo. – Położył kawałki żelaza na rozżarzonej koksie. – Nie, panie Trask, Liza zawsze gotowała dla dziewięciorga zgłodniałych dzieciaków. Nic jej nie zaskoczy. – Przeniósł cęgami żelazo w silniej rozpalone miejsce i zaśmiał się. – To ostatnie cofnę jako święte kłamstwo. Moja żona zawsze szmerze jak okrągłe kamienie w przybrzeżnych falach. I przestrzegam was obu przed wymawianiem słowa “sofa”. Jest to dla Lizy słowo gniewu i zmartwienia.

– Coś pan już o tym wspominał – rzekł Adam.

– Gdyby pan znał mojego syna Toma, zrozumiałby pan to lepiej. Ludwik go zna.

– Jasne, że znam – rzekł Ludwik.

– Mój Tom to istne półdiabło – ciągnął Samuel. – Zawsze więcej nakłada na talerz niż może zjeść. Zawsze więcej sieje niż może zebrać. Zanadto się cieszy, zanadto się martwi. Są tacy ludzie. Liza uważa, że ja jestem taki. Nie wiem, co czeka Toma. Może wielkość, a może stryczek – ano cóż, Hamiltonów już nieraz wieszano. Kiedyś panu o tym opowiem.

– A ta sofa? – podsunął uprzejmie Adam.

– A, słusznie. Ja rzeczywiście (tak właśnie twierdzi Liza) nie lepiej umiem pilnować swoich słów niż krnąbrnych owiec. Otóż urządzili te tańce w szkole i chłopcy

– Jerzy, Tom, Will i Joe – postanowili iść wszyscy razem. No i oczywiście zaprosili dziewczęta. Jerzy, Will i Joe, biedne, prostoduszne chłopaki, zaprosili po jednej znajomej pannie, ale Tom – ten, jak zwykle, nabrał sobie za wiele. Zaprosił dwie siostry Williams, Jennie i Belle. Ile chcesz otworów do śrub, Ludwiku?

– Po pięć – odrzekł Ludwik.

– Dobra. Otóż muszę panu powiedzieć, panie Trask, że mój Tom odznacza się całym egotyzmem i miłością własną chłopaka, który się ma za brzydkiego. Na ogół nie dba o siebie, ale niech tylko przyjdzie jakaś uroczystość, zaraz się ustroi w girlandy niczym ten słup na święto majowe, a ukraśli się jak wiosenne kwiaty. I to mu zabiera całkiem sporo czasu. Zauważyliście, że wozownia stoi pusta? Jerzy, Will i Joe wyjechali wcześniej i nie tak pięknie jak Tom. Jerzy wziął bryczkę, Will powozik, a Joe małą dwukółkę. – Błękitne oczy Samuela zabłysły z satysfakcji. – No i wtedy wyszedł Tom, pyszny niczym rzymski cesarz, a tu okazało się, że jedyną pozostałą rzeczą na kołach jest powózka pod siano, a na tym nie można zabrać nawet jednej siostry Williams. Źle to było czy dobrze, ale Liza akurat odprawiała drzemkę. Tom przysiadł na schodach i przemyślał to sobie. Potem zauważyłem, że idzie do stajni, wyprowadza dwa konie i odczepia orczyki od powózki. Wywłókł z domu sofę i przeciągnął pod nią łańcuch – pod tą piękną półokrągłą sofą z końskiego włosia, którą Liza uwielbia nade wszystko. Podarowałem ją jej, żeby sobie odpoczywała, jak miał się narodzić Jerzy. No i po raz ostatni widziałem teraz tę sofę, kiedy Tom, rozwalony wygodnie na niej, wyjeżdżał na wzgórze, w drodze po obie siostrzyczki Williams. Boże kochany, przecież kiedy wróci, ta sofa będzie zestrugana na opłatek od tarcia po ziemi. – Samuel odłożył cęgi i wziął się pod boki, żeby się lepiej naśmiać. – A Lizie z nozdrzy ziele dym z siarki! Biedny Tom!

Adam zapytał z uśmiechem:

– Może by pan teraz spróbował małej niespodzianki?

– A, chętnie – odrzekł Samuel. Wziął butelkę z jego rąk, pociągnął szybko łyk whisky i oddał mu ją z powrotem.

– Uisquebaugh – to irlandzkie słowo: “whisky, woda życia” – i tak jest rzeczywiście.

Położył rozżarzone do czerwoności kabłąki na kowadle, wybił w nich otwory na śruby i młotem przygiął pod kątem, aż trysnęły rozwidlone iskry. Potem zanurzył syczące żelazo w beczce do połowy napełnionej czarną wodą.

– Proszę – powiedział i rzucił kątowniki na ziemię.

- Dziękuję panu – rzekł Ludwik. – Ile to będzie?
- Cała przyjemność po mojej stronie.
- Zawsze to samo! – powiedział bezradnie Ludwik.
- Wcale nie; jakem ci wiercił nową studnię, toś mi zapłacił, ilem żądał.
- To mi przypomina... pan Trask ma zamiar kupić ranczo Bordoniego – to dawne nadanie Sanchezów, pamięta pan?
- Znam je doskonale – odrzekł Samuel. – Piękny kawałek ziemi.
- Pytał o wodę, a ja powiedziałem, że pan się na tym wyznaje lepiej niż ktokolwiek z nas.

Adam podał butelkę Samuelowi, który łyknął trochę i otarł usta o przedramię, powyżej usmolonej dłoni.

– Jeszcze się nie zdecydowałem – rzekł Adam. – Tylko chcę się popytać o to i owo.

– Boże drogi, teraz pan wpadł! Mówią, że niebezpiecznie pytać Irlandczyka, bo on zawsze odpowie. Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi dając mi upoważnienie do gadania. Słyszałem, że są na to dwa punkty widzenia. Jeden, że ten, kto milczy, jest mądry, a drugi, że człowiek, który nie ma słów, nie ma i myśli. Ja naturalnie jestem za tym drugim – Liza twierdzi, że to błąd. I cóż pan chce wiedzieć?

– Ano, jeżeli idzie o to ranczo Bordoniego: jak głęboko trzeba by tam wiercić, żeby się dostać do wody?

– Musiałbym obejrzeć na miejscu; może być trzydzieści stóp, gdzie indziej sto pięćdziesiąt, a jeszcze gdzie indziej prościutko do samego środka kuli ziemskiej.

– Ale pan może wydostać wodę?

– Prawie wszędzie, tylko nie u siebie.

– Tak, słyszałem, że panu brakuje wody.

– Słyszał pan? Ba, sam Bóg w niebiesiech musiał już słyszeć! Darłem się o tym dość głośno.

– Tam jest ze czterysta akrów nad rzeką. Czy pod spodem może być woda?

– Musiałbym zobaczyć. Mnie ta dolina wydaje się jakaś dziwna. Jeżeli pan ma cierpliwość, mógłbym opowiedzieć o niej coś niecoś, bom dobrze jej się przyjrzał i wbijałem w nią swoje żądło. Człowiek głodny opycha się własnymi myślami – to święta prawda.

Ludwik Lippo powiedział:

– Pan Trask jest z Nowej Anglii. Chce tu się osiedlić. Ale już i przedtem był na Zachodzie, w wojsku; bił się z Indianami.

– Nie może być! W takim razie to pan powinien opowiadać, żebym się czegoś dowiedział.

– Nie mam ochoty o tym mówić.

– Czemu nie? Gdybym tak ja bił się z Indianami, to nie daj Boże, co by musiała znosić moja rodzina i sąsiedzi!

– Ja nie chciałem się z nimi bić, proszę szanownego pana. – Ten “szanowny pan” zakradł się mimowolnie w jego słowa.

– Tak, ja to rozumiem. Ciężko musi być zabijać człowieka, którego się ani zna, ani nienawidzi.

– Może właśnie łatwiej – rzekł Ludwik.

– Masz swoją rację, Ludwiku. Ale niektórzy ludzie są w głębi serca w przyjaźni z całym światem, a znowu inni nienawidzą sami siebie i rozprawdzają dokoła tę nienawiść niczym masło po gorącym chlebie.

– Wolałbym, żeby pan mi coś opowiedział o tej ziemi – rzekł Adam, czując się nieswojo, albowiem w myśli pojawił się nieznośny obraz stosu trupów.

– Która to godzina?

Ludwik wyszedł na dwór i spojrział na słońce.

– Jeszcze nie minęła dziesiąta.

– Bo jak już raz zacznę mówić, nie umiem się zatrzymać. Mój syn, Will, powiada, że gadam do drzew, jeżeli nie mam pod ręką jakiejś ludzkiej jarzyny. – Westchnął i przysiadł na beczulce z gwoździami. – Powiedziałem, że dziwna jest ta dolina, ale to może dlatego, że urodziłem się w zielonym kraju. A tobie nie wydaje się dziwna, Ludwiku?

– Nie, bom się nigdy z niej nie ruszał.

– Ja dużo tutaj kopałem – ciągnął Samuel. – Coś tu się działo pod spodem i może jeszcze dzieje. Pod nami jest łożysko oceanu, a pod nim znów całkiem inny świat. Ale o to nie musi głowa boleć rolnika. Natomiast z wierzchu jest dobra gleba, szczególnie na płaskim. W górze doliny jest lekka i piaszczysta, ale z domieszką owej wierzchniej słodkości, którą w zimie deszcze splukały na nią ze wzgórz. Dalej na północ dolina rozszerza się, a gleba jest czarniejsza, tłustsza i pewnie bogatsza. W moim przekonaniu były tu kiedyś bagna, a korzenie roślin przez wieki wgniły w tę glebę, uczerniły ją i użyźniły. Kiedy ją człowiek odwróci, widzi, że trzyma się w kupie

dzięki domieszce tłustej gliny. Tak jest mniej więcej od Gonzales na północ, aż do ujścia rzeki. Po bokach, dokoła Salinas, Blanco, Castroville i Moss Landing, wciąż jeszcze są błota. I jak kiedyś osuszy się te błota, będzie to najbogatszy kraj na całym bożym świecie.

– On zawsze przepowiada, co będzie kiedyś – wtrącił się Ludwik.

– Ano, umysł człowieka nie może tak tkwić w czasie jak jego ciało.

– Jeżeli mam tu osiąść, powinienem wiedzieć, co i jak tutaj będzie – rzekł Adam. – Moje dzieci, jeśli mi się narodzą, będą też tutaj siedziały.

Oczy Samuela popatrzyły nad głowami obu mężczyzn z mroku kuźni w złoty blask słońca.

– Trzeba panu wiedzieć, że pod sporą częścią doliny, gdzieś głębiej, to znów pod samą powierzchnią, jest pokład, który się nazywa opoka. Taka twarda ubita glina, tłusta w dotyku. W jednych miejscach jest gruba ledwie na stopę, a w innym grubsza. I ta opoka nie przepuszcza wody. Gdyby jej nie było, zimowe deszcze wsiąkałyby i nawadniały ziemię, a w lecie wilgoć podchodziłaby z powrotem do korzeni. Ale kiedy ziemia nad opoką już całkiem nasiąknie, reszta wody ścieka albo stoi na wierzchu i gnije. I to jest jedno z głównych przekleństw naszej doliny.

– No, ale tu przecież nieźle się żyje, prawda?

– I owszem: tylko że człowiek nie może naprawdę spocząć, kiedy wie, że mogłoby tu być lepiej. Przyszło mi do głowy, że gdyby się dało wywiercić w tej opoce tysiące otworów, żeby przepuszczała wodę, mogłoby to być jakimś rozwiązaniem. Wtedy spróbowałem coś zdziałać kilkoma laskami dynamitu. Wywierciłem dziurę w opoce i odpaliłem ładunek. To ją rozsadziło i woda mogła spłynąć w głąb. Ale, Boże święty, tylko pomyśleć, ile by na to trzeba dynamitu! Czytałem, że jeden Szwed – ten sam, co wynalazł dynamit – ma teraz nowy materiał wybuchowy, mocniejszy i pewniejszy. Może to by załatwiło sprawę.

Ludwik powiedział na poły kpiąco, na poły z podziwem:

– On stale myśli, jak by coś zmienić. Nigdy nie jest kontent z tego, co jest.

Samuel uśmiechnął się do niego.

– Mówią, że dawniej ludzie żyli na drzewach. Ktoś musiał być niekontent z tego wdrapywania się tak wysoko, bo inaczej nie tykalibyście teraz stopami ziemi. – A potem roześmiał się znowu. – Sam siebie widzę siedzącego na mojej kupie piachu i tworzącego w myśli świat, całkiem tak samo, jak Pan Bóg stworzył ten nasz. Tylko że Bóg zobaczył swój świat. Ja nigdy nie zobaczę swojego inaczej jak w ten sposób.

Kiedyś ta dolina będzie strasznie bogata. Zdolna jest wyżywić cały świat i kto wie, czy tak się nie stanie. I będą tu mieszkać szczęśliwi ludzie, całymi tysiącami... – Jakaś chmura zasnuła jego oczy i posmutniała twarz, i zamilkł.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że tu warto się osiedlić – powiedział Adam. – Po cóż miałbym wychowywać swoje dzieci gdzie indziej, jeżeli tutaj tak będzie?

– Jednej rzeczy nie rozumiem – ciągnął Samuel. – Nad tą doliną wisi jakaś czarność. Nie wiem, co to jest, ale ją czuję. Czasami w jasny, oślepiający dzień wyczuwam, jak przesłania słońce i wyciska z niego światło niczym z gąbki. – Głos jego zabrzmiał donośniej. – Jest jakaś czarna groza nad tą doliną. Czy ja wiem... czy ja wiem. Jak gdyby stary duch tamtego umarłego oceanu pod nami nawiedzał ją i mącił powietrze nieszczęściem. To jest tak ukryte jak tajona bolesć. Nie wiem, co to jest, ale widzę to i czuję w tutejszych ludziach.

Adam wzdrygnął się.

– Właśnie przypomniałem sobie, że obiecałem wcześniej wrócić. Cathy, moja żona, spodziewa się dziecka.

– Ależ Liza już szykuje obiad.

– Zrozumie, kiedy pan jej powie o dziecku. Moja żona nie bardzo dobrze się czuje. I dziękuję panu za to, co pan mi powiedział o wodzie.

– Czyżbym panu popsuł humor moją gadaniną?

– Ależ skądże! Wcale nie. Tylko to będzie pierwsze dziecko Cathy, więc teraz jest bardzo biedna.

Adam przez całą noc pasował się z myślami, a nazajutrz pojechał uścisnąć dłoń Bordoniemu i ranczo Sanchezów stało się jego własnością.

ROZDZIAŁ XIV

1

Tyle jest do opowiadania o tamtych czasach na Zachodzie, że nie wiadomo, od czego zacząć. Z jednej rzeczy wypływa sto innych. Problem polega na tym, żeby się zdecydować, o której mówić najpierw.

Przypominacie sobie, jak Samuel Hamilton wspomniał, że jego synowie wybrali się na tańce do szkoły w Peach Tree. Naówczas szkoły wiejskie były ośrodkami kultury. Po miastach kościoły protestanckie walczyły o swoje istnienie w kraju, gdzie były przybyszami świeżej daty. Kościół katolicki, który pierwszy pojawił się na widowni i już zakorzenił głęboko, spoczywał na laurach tradycji, tymczasem zaś ośrodki misyjne stopniowo pustoszały, ich dachy zawalały się, a gołębie gnieździły na ogołoconych ołtarzach. Bibliotekę (łacińską i hiszpańską) misji w San Antonio wrzucono do spichrza, gdzie szczury zżarły pergaminowe oprawy. Na wsi przybytkiem sztuki i nauki była szkoła, a szkolny nauczyciel niósł i osłaniał pochodnię wiedzy i piękna. Budynek szkoły stanowił miejsce spotkań dla tych, co chcieli posłuchać muzyki albo podyskutować. W szkole obliczono głosy podczas wyborów. Publiczne uroczystości – czy to koronacja Królowej Maja, mowa pochwalna ku czci zmarłego prezydenta czy całonocne tańce – nie mogły odbywać się nigdzie indziej. A nauczycielka była nie tylko wzorem doskonałości umysłowej i pierwszą osobą w towarzystwie, ale i najlepszą partią w całej okolicy. Dumnie zaiste mogła się nosić ta rodzina, której syn poślubił nauczycielkę. Uważano, że jej dzieci posiadać muszą zalety umysłu zarówno wrodzone, jak i nabyte.

Córki Samuela Hamiltona nie były przeznaczone do roli steranych pracą wiejskich gospodyń. Odznaczały się urodą, a otaczał je blask pochodzenia od królów Irlandii. Miały swoistą dumę, która przesłaniała ich ubóstwo. Nikt nie uważał ich za godne współczucia. Samuel wyhodował sobie niewątpliwie potomstwo wyższego rzędu. Dzieci jego były bardziej odcytane i lepiej wychowane niż większość ich rówieśników. Wszystkim zaszczepił swoje zamiłowanie do wiedzy i odgrodził je od ciemnoty, którą chełpiono się w owych czasach.

Oliwia Hamilton została nauczycielką. W tym celu opuściła dom rodzinny mając piętnaście lat i zamieszkała w Salinas, gdzie mogła uczęszczać do gimnazjum.

W wieku lat siedemnastu złożyła przed komisją okręgową egzamin obejmujący wszelkie dziedziny nauki i sztuki, a w osiemnastym roku życia wykładała już w szkole w Peach Tree.

Do szkoły tej chodzili uczniowie starsi i więksi od niej. Zawód nauczycielki wymagał wielkiego taktu. Utrzymywanie w ryzach dużych, niezdyscyplinowanych chłopaków bez uciekania się do pistoletu czy bykowca było sprawą trudną i niebezpieczną. W jednej ze szkół w górach nauczycielka została zgwałcona przez własnych uczniów.

Oliwia Hamilton nie tylko musiała wykładać wszelkie możliwe przedmioty, ale i miała uczniów w najrozmaitszym wieku. Bardzo niewielu z nich kończyło naówczas osiem klas, a przy ciągłych zajęciach na gospodarstwie niektórym zabierało to czternaście albo piętnaście lat. Oliwia musiała też posiadać elementarne wiadomości praktyczne z zakresu medycyny, bo wciąż zdarzały się jakieś wypadki. Zszywała rany od noża po bójkach na szkolnym podwórku. Kiedy grzechotnik ugryzł małego chłopca, który chodził boso, uważała za swój obowiązek wyssać mu jad z palca u nogi.

Uczyła czytania w pierwszej klasie, a algebry w ósmej. Udzielała lekcji śpiewu, pełniła funkcję krytyka literackiego, prowadziła kronikę towarzyską ukazującą się co tydzień w "Salinas Journal". Na dodatek całe miejscowe życie społeczne znajdowało się w jej rękach: nie tylko ćwiczenia przedegzaminacyjne, ale i zabawy, zebrania, dyskusje, wspólne śpiewanie w chórze, uroczystości na Boże Narodzenie i Święto Majowe, patriotyczne wycieczki na Dzień Poległych i Czwarty Lipca. Należała do komisji wyborczej i organizowała pod swoim przewodnictwem wszelkie przedsięwzięcia charytatywne. Praca ta nie była bynajmniej łatwa; pociągała za sobą niewiarygodnie liczne powinności i obowiązki. Nauczycielka nie miała prywatnego życia. Wypatrywano w niej zawistnie najmniejszej choćby słabości charakteru. Nie mogła zamieszkiwać u tej samej rodziny dłużej niż przez jeden rok szkolny, bo to wywołałoby zazdrość – rodzina goszcząca u siebie nauczycielkę zyskiwała bowiem towarzyską przewagę. Jeżeli w takiej rodzinie znalazł się syn w wieku odpowiednim do zawarcia małżeństwa, automatycznie następowały oświadczenia; jeżeli było więcej kandydatów, staczano zaciekle boje o jej rękę. Młodzi Aguitowie, w liczbie trzech, o mało nie porozszarpywali się na śmierć o Oliwię Hamilton. Nauczycielki rzadko ostawały się dłużej w wiejskich szkołach. Praca była tak ciężka, a oświadczenia tak bezustanne, że w bardzo krótkim czasie wychodziły za mąż.

Tej drogi Oliwia Hamilton zdecydowała się nie obierać. Wprawdzie nie podzielała intelektualnych zapalów ojca, ale okres spędzony w Salinas sprawił, że postanowiła nie być wiejską gospodynią. Pragnęła mieszkać w mieście, może nie tak dużym jak Salinas, ale przynajmniej nie w jakimś zapadłym kącie. W Salinas Oliwia poznała wymyślności życia, wspólne śpiewanie w chórze, eleganckie stroje, Bractwo Ołtarzowe i wieczerze urządzone przez kościół episkopalny. Pokosztowała także sztuki w formie przedstawień wędrownych trup teatralnych, a nawet opery, wraz z całym ich urokiem i wizją wonnego, szerokiego świata. Chodziła na zabawy, brała udział w rozwiązywaniu szarad, stawiała do konkursów recytacji poetyckich, wstąpiła do chóru i orkiestry. Salinas ją urzekło. Tam mogła iść na przyjęcie ubrana jak na przyjęcie i wracać do domu w tej samej sukni, zamiast ją zwijać i wpychać do sakwy przy siodle, jechać konno dziesięć mil, potem znów ją rozwijać i prasować.

Jakkolwiek była mocno zajęta pracą nauczycielską, tęskniła wciąż do życia wielkomiejskiego, toteż gdy pewien młody człowiek, który zbudował młyn w King City, oświadczył się jak należy o jej rękę, przyjęła go pod warunkiem, że ślub poprzedzony zostanie długim i utrzymanym w tajemnicy narzeczeństwem. Tajemnica była nieodzowna, ponieważ gdyby rzecz ujawnić, wynikłby ferment wśród młodych ludzi z sąsiedztwa.

Oliwia nie odznaczała się błyskotliwością ojca, ale miała poczucie humoru oraz odziedziczoną po matce silną, niezłomną wolę. Swym krnąbrnym uczniom wtoczyła do gardła tyle światła i piękna, ile tylko się dało.

Istniał naówczas mur oporu przeciwko nauce. Ludzie chcieli, aby ich dzieci umiały czytać i rachować, i na tym koniec. Większy zasób wiedzy mógłby obudzić w nich niezadowolenie i płoche myśli. Wiele było przykładów na dowód, że pod wpływem nauki chłopak porzucał farmę, aby zamieszkać w mieście – i uważać się za coś lepszego od własnego ojca. Tyle arytmetyki, ile potrzeba, żeby wymierzyć ziemię, sagi drewna i prowadzić rachunki, tyle umiejętności pisania, ile musi się mieć, aby zamówić towar i korespondować z krewnymi, tyle znajomości czytania, ile konieczne jest do lektury pism, kalendarzy i gazetek rolniczych, tyle umuzykalnienia, ile wymagają święta religijne i patriotyczne – to wystarczyło w życiu chłopakowi bez sprowadzania go na manowce. Wiedza była dla lekarzy, prawników i nauczycieli, klasy odrębnej i nie uważanej za pokrewną innym ludziom. Zdarzali się oczywiście tacy jak Samuel Hamilton, którego tolerowano i lubiano, ale gdyby nie potrafił

wykopać studni, podkuć konia czy uruchomić młockarni, Bóg jeden wie, co myślano by na temat jego rodziny.

Oliwia poślubiła swojego narzeczonego i przeniosła się najpierw do Paso Robles, potem do King City, w końcu zaś do Salinas. Miała istic kocią intuicję. Czyny jej opierały się raczej na uczuciu niż na rozumowaniu. Po matce wzięła twardo zarysowaną brodę i kartofelkowaty nosek, po ojcu zaś piękne oczy. Była najwyraźniejszym typem ze wszystkich Hamiltonów poza swą matką. Jej wierzenia stanowiły osobliwą mieszalinę irlandzkich wieszczów i starotestamentowego Jehowy, który w późniejszym życiu utożsamił jej się z ojcem. Niebo uważała za przyjemne, rodzinne ranczo zamieszkane przez zmarłych krewnych. Niemile strony zewnętrznej rzeczywistości przekreślała, nie dając im wiary, a kiedy ktoś występował przeciwko temu niedowierzaniu, wpadała w pasję. Mówiono, że kiedyś spłakała się gorzko, ponieważ nie mogła pójść na dwie zabawy urządzone tego samego sobotniego wieczora. Jedna odbywała się w Greenfield, a druga w San Lucas – o mil dwadzieścia. Pójście na obydwie, a potem powrót do domu, wymagałyby sześćdziesięciomilowej jazdy konno. Był to fakt, którego nie mogła unicestwić swoją niewiarą, toteż spłakała się ze strapienia i nie poszła ani na jedną, ani na drugą zabawę.

W miarę jak była coraz starsza, zaczęła stosować wobec nieprzyjemnych faktów metodę rozrzutową. Kiedy ja, jej jedyny syn, miałem szesnaście lat, dostałem zapalenia opłucnej, podówczas choroby śmiertelnej. Marniałem i marniałem, aż wreszcie skrzydła aniołów zaczęły mi muskać powieki. Oliwia zastosowała na zapalenie opłucnej swoją metodę rozrzutową i to poskutkowało. Pastor Kościoła episkopalnego modlił się ze mną i za mnie, matka przełożona i siostry klasztoru dwa razy dziennie ofiarowywały mi niebu z prośbą o wyzdrowienie, daleki krewny, który był lektorem sekty Wiedza Chrześcijańska, dopomagał mi koncentracją myśli. Użyto wszelkich znanych zaklęć, czarów i zamawiania ziół, a matka sprowadziła też dwie doskonałe pielęgniarki i najlepszych lekarzy w mieście. Metoda jej okazała się skuteczna. Wyzdrowiałem. Matka była czuła, ale stanowcza dla swego potomstwa złożonego z trzech córek i mnie, uczyła nas pracy przy gospodarstwie domowym, zmywania naczyń, prania i dobrych manier. W gniewie patrzyła straszliwym wzrokiem, który mógł wyłuskać ze skóry niegrzeczne dziecko niczym ugotowany migdał.

Gdy wyzdrowiałem po zapaleniu opłucnej, przyszła chwila, kiedy musiałem na nowo uczyć się chodzić. Przeleżałem w łóżku dziewięć tygodni, mięśnie mi zwiotczały,

a do tego dołączyła się gnuśność rekonwalescenta. Kiedy pomagano mi się podnieść, każdy nerw we mnie krzyczał, a rana w boku, który mi otworzono, ażeby odciągnąć ropę z jamy opłucnej, bolała okropnie. Upadłem z powrotem na łóżko wołając: "Nie mogę! Nie mogę wstać!"

Oliwia utkwiała we mnie swoje straszliwe spojrzenie.

"Wstawaj! – powiedziała. – Twój ojciec pracował całymi dniami, a potem przesiadywał po nocach. Dla ciebie popadł w długi. No, już! Wstawaj!"

I wstałem.

Długi były dla Oliwii obrzydłym słowem i obrzydłym pojęciem. Rachunek nie zapłacony po piętnastym był już długiem. Słowo to miało w sobie posmak brudu, niechlujstwa i niesławy. Oliwia, która szczerze wierzyła, że jej rodzina jest najlepsza na świecie, przez czysty snobizm nie chciała dopuścić, aby została dotknięta jakimkolwiek długiem. Ten lęk przed długami zaszczerpiła swym dzieciom tak głęboko, że nawet obecnie, przy zmienionym układzie ekonomicznym, w którym zadłużenie stanowi nieodłączną część życia, zaczynam się niepokoić, jeżeli termin płatności jakiegoś rachunku został o dwa dni przekroczony. Oliwia nigdy nie uznała systemu kupowania na raty, kiedy ten stał się popularny. Rzecz zakupiona na raty nie była własnością kupującego, ale przedmiotem zadłużenia. Odkładała pieniądze na rzeczy, które pragnęła mieć, wskutek czego sąsiedzi nabywali różne nowości co najmniej na dwa lata przed nią.

2

Oliwia odznaczała się wielką odwagą. Być może, potrzeba odwagi, aby wychować dzieci. A muszę wam opowiedzieć, co zrobiła podczas pierwszej wojny światowej.

Nie potrafiła myśleć na skalę międzynarodową. Najpierwszą granicą była dla niej geografia własnej rodziny, następną jej miasto, Salinas, na koniec zaś istniała jakaś kropkowana, bliżej nie określona linia, która stanowiła granicę okręgu. Dlatego też Oliwia nie bardzo wierzyła w wojnę, nawet kiedy Jednostka C, nasza milicyjna kawaleria, została zmobilizowana, załadowała konie do pociągu i wyruszyła w szeroki świat.

Martin Hopps mieszkał niedaleko od nas, zaraz za rogiem. Był barczysty, krępy, rudowłosy. Usta miał szerokie, a oczy zaczerwienione. Uchodził za najbardziej nieśmiałego chłopca w Salinas. Powiedzenie mu "dzień dobry" przyprawiało go o męki zakłopotania. Należał do Jednostki C, ponieważ przy zbrojowni znajdowało się boisko do koszykówki.

Gdyby Niemcy znali Oliwię i mieli odrobinę rozsądku, zeszliby jej z drogi, aby jej nie rozzłościć. Jednakże nic nie wiedzieli albo też byli głupi. Kiedy zabili Martina Hoppsa, tym samym przegrali wojnę, gdyż to doprowadziło do szału moją matkę, która wówczas wzięła się do nich. Lubiała Martina Hoppsa. Chłopak nigdy nie zrobił nikomu krzywdy. Gdy Niemcy go zabili, Oliwia wypowiedziała wojnę cesarstwu niemieckiemu.

Zaczęła się rozglądać za jakąś bronią. Robienie na drutach kominiarek i skarpet nie wydawało jej się dostatecznie zabójcze. Przez pewien czas chodziła w mundurze Czerwonego Krzyża i spotykała się z innymi podobnie ubranymi paniami w zbrojowni, gdzie zwijały bandaże i rozwijały dyskusję na temat reputacji poszczególnych osób. To było niezłe, ale nie wymierzało ciosu w samo serce kajzerowi. Oliwia łaknęła krwi za życie Martina Hoppsa. Znalazła sobie broń w postaci bonów wojennych. Nigdy w życiu nie handlowała niczym prócz bezów sprzedawanych od czasu do czasu na rzecz Bractwa Ołtarzowego w podziemiach kościoła episkopalnego, lecz teraz zaczęła sprzedawać na pudy owe bony. Zabrała się do tego z drapieżnością. Myślę, że ludzie wręcz bali się nie kupować od niej bonów. Kiedy natomiast kupili je od Oliwii, dawała im poczucie bezpośredniego udziału w walce, wrażania bagnetu w brzuch Niemiec.

Gdy cyfry jej sprzedaży wzbiły się w górę niczym rakiety i utrzymały na tym poziomie, Departament Skarbu zwrócił uwagę na tę nową Amazonkę. Najpierw przyszły powielane listy pochwalne, a potem prawdziwe listy, podpisane przez Sekretarza Skarbu, i to bynajmniej nie za pomocą gumowego stempelka. Byliśmy z tego dumni, lecz nie tak dumni jak wówczas, gdy zaczęły napływać nagrody: niemiecki hełm (za mały na każde z nas), bagnet, poszarpany kawałek szrapnela osadzony na hebanowym postumencie. Ponieważ nie podlegaliśmy obowiązkowi walki zbrojnej poza maszerowaniem z drewnianymi karabinkami, więc wojna prowadzona przez matkę niejako nas usprawiedliwiała. A potem Oliwia przeszła samą siebie, przeszła wszystkich z naszej części kraju. Podwyższyła w czwórnasób swoje już legendarne rekordy i otrzymała najwspanialszą nagrodę: lot w wojskowym aeroplanie.

Och, jakże byliśmy dumni, my, dzieci! Nawet pośrednio było to dla nas wyróżnieniem wręcz trudnym do wytrzymania. Natomiast moja nieszczęsna matka... tu muszę wam powiedzieć, że są pewne rzeczy, w których istnienie nie wierzyła na przekór wszelkim przeciwnym dowodom. Jedną z nich był zły Hamilton, a drugą aeroplan. Fakt, że na własne oczy widziała aeroplany, nie skłaniał jej do zmiany zdania ani na jotę.

W świetle tego, jak postąpiła, próbowałem wyobrazić sobie, co czuła. Ciarki przerażenia musiały jej pełzać po duszy, bo jakże można latać czymś, co nie istnieje? Jako kara lot ten był okrutny i niezwykły, ale miał on być nagrodą, zaszczytem i wyróżnieniem. Zapewne musiała nam spojrzeć w oczy, zobaczyła w nich blask ubóstwienia i wtedy pojęła, że wpadła w matnię. Gdyby nie poleciała, sprawiłaby zawód rodzinie. Była okrażona i nie miała żadnego honorowego wyjścia prócz śmierci. Kiedy się wreszcie zdecydowała polecieć tą nie istniejącą rzeczą, niewątpliwie ani przez chwilę nie sądziła, że to przeżyje.

Oliwia spisała testament; poświęciła mu masę czasu i kazała go sprawdzić, aby mieć pewność, że jest prawomocny. Następnie otworzyła szkatułkę z różanego drzewa, w której przechowywała listy pisane do niej przez męża podczas okresu narzeczeńskiego i później. Nie wiedzieliśmy, że pisał do niej wiersze, ale tak było. Roznieciła ogień na kominku i spaliła te listy co do jednego. Stanowiły jej własność i nie chciała, by je oglądał ktokolwiek inny. Kupiła sobie nowy komplet bielizny. Bała się potwornie, aby nie znaleziono jej martwej w pocerowanej albo, co gorsza, nie cerowanej bieliźnie. Myślę, że może widziała szerokie, wykrzywione usta i wpatrzony w nią, zakłopotane oczy Martina Hoppsa, i uważała, że w jakiś sposób daje mu zadośćuczynienie za życie, które mu wydarto. Dla nas stała się bardziej łagodna i nie zwracała uwagi na źle zmyty talerz, który zostawiał tłusty ślad na ściereczce.

Owej chwały miała dostąpić na torze do wyścigów i rodeo w Salinas. Zawieziono nas tamże wojskowym samochodem, a czuliśmy się bardziej dostojni i pozłociści niż na dobrym pogrzebie. Ojciec pracował w cukrowni w Spreckles, o pięć mil od miasta, i nie mógł się zwolnić, a może i nie chciał z obawy, że nie wytrzyma tego napięcia. Ale Oliwia zażądała – grożąc, że inaczej nie wsiądzie – aby aeroplan postarał się dolecieć aż do cukrowni, zanim runie na ziemię.

Dziś uświadamiam sobie, że te kilkaset osób, które się wtedy zgromadziło, przyszło po prostu, aby obejrzeć aeroplan, ale naówczas myśleliśmy, że chcieli w ten sposób uczcić naszą matkę. Oliwia nie była wysoka, a w tym okresie zaczęła już

przybierać na wadze. Musieliśmy pomóc jej wysiąść z samochodu. Prawdopodobnie zeszywniała ze strachu, ale drobną brodę trzymała rezolutnie podniesioną do góry.

Samolot stał na polu, wokoło którego zbudowano tor wyścigowy. Maszyna była zastraszająco mała i krucha – otwarty dwupłatowiec o drewnianych rozporkach powiązanych strunami fortepianowymi. Skrzydła miał kryte płótnem. Oliwią patrzyła nań jak ogłuszona. Podeszła do aparatu niczym wół idący pod nóż. Na suknię, która w jej przekonaniu była suknią pogrzebną, dwaj sierżanci nałożyli kubrak, watowaną kurtkę i płaszcz lotniczy, przy czym Oliwia zaokrągląła się coraz bardziej z każdą warstwą. Następnie dostała jeszcze skórzany hełm i okulary, co przy jej małym, kartofelkowatym nosku i rumianych policzkach było doprawdy czymś godnym widzenia. Wyglądała zupełnie jak piłka w okularach.

Obaj sierżanci podsadzili ją do kabiny i wtoczyli do środka. Otwór wypełniła sobą całkowicie. Kiedy zapięli pasy, nagle ożyła i zaczęła opętańczo machać rękami, ażeby zwrócić na siebie uwagę. Jeden z żołnierzy wdrapał się do niej, posłuchał, co mówiła, po czym podszedł do mojej siostry Marii i podprowadził ją do samolotu. Oliwia szarpała grubą, watowaną rękawicę lotniczą na lewej dłoni. Oswobodziwszy ręce zdjęła pierścionek zaręczynowy z małym brylantem i podała go Marii. Wcisnęła głębiej na palec złotą obrączkę ślubną, naciągnęła z powrotem rękawice i obróciła się twarzą ku przodowi samolotu. Pilot wdrapał się na przednie siedzenie, a jeden z sierżantów uwiesił się u drewnianego śmigła. Małeńki okręcik napowietrzny odkołował, zawrócił, pomknął z warkotem przez pole i wreszcie poderwał się w górę. Oliwia siedziała zwrócona twarzą prosto przed siebie i prawdopodobnie miała oczy zamknięte.

Patrzyliśmy za samolotem, kiedy wzbijał się i oddalał, pozostawiając za sobą przygnębiającą ciszę. Komitet sprzedaży bonów, przyjaciele i krewni, a nawet zwykli, nie honorowi widzowie ani myśleli zejść z pola. Samolot przemienił się w kropeczkę na niebie i zniknął w kierunku Spreckles.

Minęło piętnaście minut, zanim ujrzelśmy go znowu, lecącego spokojnie na znacznej wysokości. I w tejże chwili, ku naszemu przerażeniu, jak gdyby zachwiał się i zaczął spadać. Spadał tak bez końca, wreszcie wyrównał, wspiął się do góry i zrobił pętlę. Jeden z sierżantów roześmiał się. Samolot przez chwilę leciał równo, a potem jakby oszalał. Zataczał beczki, robił immelmanowskie skręty, pętle do wewnątrz i na zewnątrz, wreszcie przekreślił się i przeleciał nad polem do góry kołami. Mogliśmy

dojrzeć czarną kuleczkę, która była hełmem naszej matki. Jeden z żołnierzy powiedział spokojnie:

– On chyba z byka spadł. Przecież to już nie taka młoda kobieta.

Samolot wylądował dość równo i potoczył się ku oczekującej grupie ludzi. Silnik zagasł. Pilot wylazł z aparatu, potrząsając w zdziwieniu głową.

– To najcholerniejsza kobieta, jaką widziałem – mruknął. Wyciągnął rękę do góry, ścisnął bezwładną dłoń Oliwii i oddalił się spiesźnie.

Trzeba było czterech ludzi i sporo czasu, aby wydobyć Oliwię z kabiny. Była tak zeszywniała, że nie mogli jej zgiąć. Zawieźliśmy ją do domu i położyli do łóżka, z którego nie wstała przez dwa dni.

Powoli wyszło na jaw, co się zdarzyło. Przebąknął coś o tym pilot, przebąknęła Oliwia i trzeba było złożyć do kupy obie wersje, aby to miało jakiś sens. Okazało się, że po wystartowaniu okrążyli zgodnie z wolą Oliwii cukrownię w Spreckles – okrążyli ją trzykrotnie, ażeby ojciec na pewno zobaczył samolot – po czym pilotowi przyszedł do głowy pewien kawał. Nie chciał bynajmniej zrobić nic złego. Coś zawołał, a twarz miał jakby wykrzywioną. Oliwia nie mogła nic dosłyszeć poprzez warkot motoru. Pilot przymknął gaz i krzyknął: “Pętla?” Zaproponował to tylko żartem. Oliwia zobaczyła jego twarz w okularach, a pęd powietrza porwał i zniekształcił to słowo. Oliwia usłyszała: “Pękła”.

“No, proszę – pomyślała. – Stało się; wiedziałam, że tak będzie”. Więc przyszła na nią śmierć. Umysł Oliwii w jednym przebłysku sprawdził, czy niczego nie zapomniała: testament sporządzony, listy spalone, nowa bielizna, w domu pod dostatkiem jedzenia na obiad. Zastanowiła się, czy zgasiła światło w pokoju od podwórka. Wszystko to trwało sekundę. Potem przeleciało jej przez myśl, że może jest jeszcze jakaś szansa ocalenia. Młody lotnik wyraźnie się bał, a strach mógł być najgorszą przeszkodą do opanowania sytuacji. Jeżeli sama ulegnie przerażeniu, które jej ścisnęło serce, może wystraszyć go jeszcze bardziej. Postanowiła więc pokrzepić go na duchu. Uśmiechnęła się promiennie i kiwnęła głową, aby mu dodać odwagi – i wtedy nastąpił koniec świata. Gdy pilot, wyszedłszy z pętli, naprostował samolot, obejrzał się znowu i krzyknął:

– Jeszcze?

Oliwia i tak nic nie mogła dosłyszeć, ale brodę miała podniesioną i była zdecydowana jakoś ulżyć pilotowi, ażeby nie obleciał go zbyt strach, zanim się roztrzaskają o ziemię. Uśmiechnęła się więc i znowu kiwnęła głową. Pilot oglądał się

po zakończeniu każdego manewru – i za każdym razem Oliwia nadal go zachęcała. Później powtarzał często: “To najcholerniejsza baba, jaką w życiu widziałem. Posłałem w diabły cały regulamin, a ta chciała jeszcze. Rany boskie, ale z niej byłby lotnik!”

ROZDZIAŁ XV

1

Adam siedział na swojej ziemi jak zadowolony kot. Z wejścia do niewielkiego parowu pod dębem-olbrzymem, sięgającym korzeniami aż do podskórnej wody, mógł spoglądać na swoje grunty, które ciągnęły się ku rzece, za nią obejmowały aluwialną płaszczyznę, a dalej łagodne stoki wzgórz na zachodnim brzegu. Pięknie tu było, nawet w lecie, kiedy wszędzie wciskało się słońce. Rząd nadrzecznych wierzb i sykomor przepasywał ten teren przez środek, a na zachodnich wzgórzach żółciły się rdzawo pastwiska. Z jakiejś przyczyny góry na zachód od doliny Salinas pokryte są grubszą warstwą ziemi niż stoki wschodnich wzgórz, tak że trawa jest tam bujniejsza. Być może szczyty gromadzą deszcz i rozprowadzają go równiej, a możliwe też, że góry, jako gęściej zalesione, przyciągają więcej opadów.

Na razie tylko niewielka część farmy Sanchezów, a obecnie Traska, była wzięta pod uprawę, lecz Adam w myśli widział już wyrastającą wysoko pszenicę i kwadraty zielonej trawy alfalfa nad rzeką. Za sobą słyszał rozgłośny stukot młotków cieśli sprowadzonych aż z Salinas dla odbudowania starego domu Sanchezów. Adam postanowił bowiem w nim zamieszkać. To było miejsce nadające się na gniazdo jego dynastii. Wyskrobano z wnętrza domu gnój, pozrywano stare podłogi, usunięto wytarte szyjami krów ramy okienne. Wszędzie wstawiano świeże, wonne drewno, sośninę, która pachniała ostro żywicą, i aksamitne deski sekwoi, kładziono nowy dach z podłużnych gontów. Stare, grube mury wchłaniały jedną po drugiej warstwy zaprawy sporządzonej z solonej wody i wapna, która schnąc zdawała się zyskiwać jakąś wewnętrzną świetlistość.

Adam zaprojektował tu sobie stałą siedzibę. Ogrodnik poprzycinał stare róże, zasadził pelargonie, założył ogród warzywny, ujął w kanaliki bijące źródło, ażeby woda mogła przepływać tam i z powrotem przez ogród. Adam już z góry cieszył się wygodami, z których miał korzystać on sam i jego potomstwo. W szopie, przykryte brezentem, stały w pakach masywne meble przysłane z San Francisco, a przewiezione na wozach z King City.

Zapewnił sobie także dobre wyposażenie domu. Li, jego kucharz – Chińczyk z warkoczem – pojechał specjalnie do Pajaro, ażeby zakupić garnki, kociołki i

brytfanny, baryłki, słoje, miedziane rondle i szkło do kuchni. Z dala od domu, w stronie, z której nie dolatywał wiatr, budowano nowe chlewy, a obok zagrody dla kur i kaczek oraz psiarnię dla psów, mających odpędzać kojoty. To, co Adam zamierzał tu zrobić, nie było krótką sprawą, którą można zakończyć i przygotować naprędce. Jego ludzie pracowali powoli i z namysłem. Robota była obliczona na dłuższy czas, Adam chciał, żeby ją wykonano porządnie. Badał każde spojenie drewna, odstępował o krok, aby dobrze się przyjrzeć próbkom farby namalowanym na desce. W rogu jego pokoju piętrzyły się katalogi maszyn, sprzętu, nasion, drzew owocowych. Rad był teraz, że ojciec uczynił go bogatym. Na wspomnieniach z Connecticut osiadała w jego umyśle ciemność. Możliwe, że ostre, jaskrawe światło Zachodu zacierało mu w pamięci miejsce urodzenia. Gdy wracał myślą do domu ojca, do farmy, miasteczka i twarzy brata – przesłaniała mu je czerń. Strząsnął więc z siebie wspomnienia.

Żonę umieścił tymczasem w pomalowanym na biało czyściutkim domu Bordonio, gdzie miała czekać na swoją właściwą siedzibę i dziecko. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że dziecko urodzi się na długo przed wykończeniem domu. Ale Adamowi się nie spieszyło.

– Chcę, żeby ten dom był solidnie zbudowany – napominał ciągle. – Chcę, żeby był trwały; miedziane gwoździe i twarde drzewo, nic takiego, co by mogło zardzewieć czy przegnieć.

Nie był osamotniony w swojej trosce o przyszłość. Cała dolina, cały Zachód myślał tak samo. Był to okres, kiedy przeszłość utraciła już swoją słodycz i smak. Trzeba by ujechać kawał drogi, zanim by się znalazło człowieka, i to bardzo sędziwego, który chciałby przywrócić dawne, złote czasy. Ludzie byli mocno osadzeni w terażniejszości, choć tak trudnej i nieowocnej, i czuli się z tym dobrze, ale uważali ją tylko za wstęp do fantastycznego jutra. Kiedy spotkali się dwaj mężczyźni czy trzej stanęli u szynkwasu, czy kilkunastu zebrało się pogryzając twarde mięso jelenia w obozowisku – rzadko zdarzało się, żeby przyszłość doliny, wręcz paraliżująca w swojej świetności, nie wypłynęła bynajmniej nie jako przypuszczenie, lecz jako pewnik.

– To będzie – kto wie? – może jeszcze za naszego życia – mawiali.

I ludzie znajdowali szczęście w przyszłości odpowiednio do swych niedostatków. Tak więc na przykład ktoś zwoził z górskiego rancza rodzinę na saniach – dużej skrzyni z przybitymi dębowymi płozami, które podskakiwały na wyboistym stoku. W tej skrzyni, wymoszczonej słomą, jego żona przyciskała do siebie dzieci, gdyż od uderzeń płóz o kamienie i ziemię dzwoniły zęby i przygryzało się język. A ojciec

zapierał się piętami i myślał: "Jak zrobią drogi – wtedy będzie inaczej. Wsiądziemy sobie do powoziku syci szczęścia i chwały i za trzy godziny będziemy w King City – a czegoż więcej człowiek może chcieć?"

Albo ktoś inny spoglądał na swój laszek dębów wirginijskich – drzew twardych jak węgiel, a dających bodaj jeszcze więcej ciepła – najlepszego drewna opałowego na świecie. W kieszeni mógł mieć gazetę z notatką: "Dębina przynosi dziesięć dolarów od sążnia w Los Angeles". "Ano, psiakrew, jak kolej zbuduje tu bocznice, będę mógł dowozić gotowiutkie, pocięte i suche drewno do samego toru za półtora dolara od sążnia. Idźmy już na całego i powiedzmy, że Kompania Południowego Pacyfiku policzy sobie trzy pięćdziesiąt za przewóz. To jeszcze zostaje pięć dolarów na każdym sążniu, a w samym tym lasku będzie ze trzy tysiące sążni. Czyli, że mam tu piętnaście tysięcy dolarów". Jeszcze inni prorokowali – z promieniami jaśniejącymi nad czołem – że kiedyś rowy rozprowadzą wodę po całej dolinie – kto wie, może jeszcze za naszego życia? – albo że będą tu głębokie studnie z motorami parowymi, które wypompują wodę z samych trzewi świata. "Macie pojęcie? Tylko pomyślcie, co by ta ziemia wydała, jak by się miało dość wody! Ba, przecież byłby tu jeden cholerny ogród!"

Znalazł się też i taki, ale to już był wariat, który twierdził, że kiedyś wymyślą sposób – może lód, a może co innego – żeby taką brzoskwinę jak ta, którą tu trzymam w ręku, przewieźć prościutko do samej Filadelfii.

Po miastach mówiono o kanalizacji i o ustępach wewnątrz domów i niektórzy już je mieli; a także o latarniach łukowych na rogach ulic – w Salinas je pozakładano – i o telefonach. Przyszłość nie miała żadnych ram ani granic. Kiedyś będzie tak, że człowiek nie pomieści w sobie własnego szczęścia. Radość runie powodzią w dolinę niczym rzeka Salinas w marcu deszczowego roku.

Ludzie patrzyli na płaską, suchą, pylną dolinę, na szpetne, wyrastające jak grzyby miasteczka i widzieli piękno... kto wie, może jeszcze za naszego życia? Oto jedna z przyczyn, dla których nie mogli się zbyt naśmiewać z Samuela Hamiltona. Pozwalał swym myślom błąkać się cudowniej niż ktokolwiek inny, a nie brzmiało to wcale tak głupio, kiedy człowiek słyszał, co się robi w San Jose. Natomiast Samuel mówił wyraźnie od rzeczy tylko wtedy, gdy zastanawiał się, czy ludzie aby będą szczęśliwi, jak to wszystko już przyjdzie.

Szczęśliwi? No, patrzcie; znów gada od rzeczy. Tylko nam to dajcie, a pokażemy, jak wygląda szczęście.

Ale Samuel przypominał sobie, że słyszał o kuzynie swej matki w Irlandii, który był szlachcicem, człowiekiem bogatym i przystojnym, a przecie zastrzelił się na atlasowej kanapie, siedząc obok najpiękniejszej w świecie kobiety, która go kochała.

– Istnieją takie apetyty – mawiał Samuel – których całe niebo i ziemia ze słodkiego ciasta nie potrafią zaspokoić.

Adam Trask już wietrzył szczęście oczekujące go w przyszłości, ale i obecnie pełen był zadowolenia. Serce podchodziło mu do gardła, gdy patrzył na Cathy siedzącą w słońcu, spokojną, z dzieckiem, które rosło w jej łonie; cerę miała tak przezroczystą, że przywodziła mu na myśl anioły z obrazków rozdawanych w szkółce niedzielnej. Potem powiew lekko poruszył jej jasnymi włosami albo też podnosiła oczy – i Adam czuł, że w piersiach nabrzmiewa mu ekstaza blisko pokrewna cierpieniu.

O ile Adam siedział na swojej ziemi jak lśniący, syty kot, to Cathy przypominała kotkę. Miała nieludzką zdolność wyrzekania się tego, czego nie mogła uzyskać, i czekania na to, co dostać mogła. Te dwa dary dawały jej wielkie korzyści. Jej ciąża była wynikiem przypadku. Kiedy próba sztucznego poronienia zawiodła, a doktor zaczął grozić, Cathy porzuciła tę metodę. To nie znaczy, że pogodziła się ze swoją ciążą. Chciała ją przeczekać, tak jak musiałaby przetrwać chorobę. Z jej małżeństwem było to samo. Wpadła w pułapkę, wobec czego wybrała możliwie najlepszą drogę wyjścia. Nie miała też chęci jechać do Kalifornii, ale chwilowo ominęła ją możliwość tworzenia sobie innych planów. Już jako małe dziecko nauczyła się wygrywać, wykorzystując rozmach przeciwnika. Łatwo było pokierować siłą człowieka wtedy, gdy nie mógł się mu się przeciwstawić. Tylko bardzo nieliczni ludzie zdołaliby odgadnąć, że Cathy nie chciała znaleźć się tam, gdzie się znalazła, ani być w takim stanie, w jakim była. Odprężyła się i czekała na zmiany, które w jej przekonaniu musiały kiedyś nadejść. Cathy miała jedną cechę niezbędną dla wielkiego i wytrawnego złoczyńcy: nie ufała nikomu i nikomu się nie zwierzała. Jej osobowość była wyspą. Prawdopodobnie nawet nie obejrzała nowej posiadłości męża ani budowanego domu i nie przemieniała myślni w rzeczywistość strzelistych planów Adama, ponieważ nie miała zamiaru tu mieszkać po powrocie do zdrowia, po otworzeniu się pułapki. Jednakże na jego pytania udzielała właściwych odpowiedzi; inna metoda postępowania byłaby marnotrawieniem sił, rozprasaniem energii, czymś obcym dla rozumnej kotki.

– Widzisz, moje kochanie, jak ten dom jest ustawiony? Okna wychodzą na dolinę.

– Piękny jest.

– Wiesz, może ci się to wyda głupie, ale łapię się na tym, że próbuję sobie wyobrazić, co myślał stary Sanchez przed stu laty. Jak wtedy wyglądała dolina? Musiał wszystko uplanować bardzo starannie. Czy wiesz, że miał rury? Naprawdę – zrobione z pni sekwoi, w których kazał wywiercić czy wypalić otwory, żeby ściągać wodę ze źródła. Wykopaliliśmy kilka kawałków.

– To niezwykle – odrzekła. – Musiał być zmyślny.

– Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Z tego, jak ulokował dom i jakie drzewa zostawił, z kształtu i proporcji samego budynku wynika, że musiał być po trosze artystą.

– On był Hiszpanem, prawda? Słyszałam, że to naród artystów. Pamiętam, jak w szkole mówili o jednym takim malarzu... a nie, to był Grek.

– Ciekawe, gdzie można by się czegoś dowiedzieć o starym Sanchezie.

– Ano, ktoś musi znać te rzeczy.

– Tyle tu włożył pracy i pomysłów, a Bordoni trzymał w tym domu krowy.

Wiesz, nad czym się najwięcej zastanawiam?

– Nad czym, Adamie?

– Czy miał swoją Cathy i kim ona była.

Uśmiechnęła się, spuściła oczy i odwróciła wzrok.

– Co też ty mówisz!

– Musiał ją mieć! Musiał. Mnie zawsze brakowało energii czy kierunku, czy... bo ja wiem, jakiejś wyraźnej woli życia, póki nie miałem ciebie.

– Adamie, peszysz mnie. Uważaj. Nie szarp mnie tak; to boli.

– Przepraszam. Jestem taki niezręczny.

– Wcale nie. Tylko się nie zastanawiasz. Jak myślisz, czy powinnam teraz coś porobić na drutach albo poszyć? Tak mi dobrze siedzieć spokojnie.

– Kupimy wszystko, co potrzeba. Ty sobie tylko siedź i myśl o tym, żeby ci było wygodnie. Moim zdaniem, pracujesz w pewnym sensie ciężiej niż każdy z nas. Ale zapłata... zapłata będzie cudowna.

– Adamie, obawiam się, że ta moja blizna na czole nie zejdzie.

– Doktor mówił, że z czasem zblednie.

– Ano, chwilami jakby się zacierała, a potem znów występuje. Nie zdaje ci się, że dzisiaj jest ciemniejsza?

– Ale skąd!

Tak jednak było. Blizna przypominała ogromny odcisk palca; nawet skóra była podobnie pomarszczona. Adam chciał jej dotknąć, lecz Cathy cofnęła głowę.

– Nie ruszaj – powiedziała. – Jeszcze jest wrażliwa na dotyk. Zaraz czerwienieje, jak jej dotknąć.

– Zejdzie. Trzeba tylko trochę czasu, nic więcej.

Uśmiechnęła się, gdy odwracał głowę, lecz kiedy odszedł, oczy jej stały się chłodne i bezbarwne. Poruszyła się niespokojnie. Dziecko ją kopało. Odprężyła się i rozluźniła wszystkie mięśnie. Czekala.

Chińczyk Li podszedł ku miejscu, gdzie jej fotel był ustawiony pod największym z dębów.

– Pani ce helbati?

– Nie... albo tak, proszę.

Przypatrzyła mu się bacznie, ale nie mogła przeniknąć spojrzeniem jego ciemnopiwnych oczu. Ten człowiek budził w niej niepokój. Cathy zawsze umiała dobrać się do umysłu każdego mężczyzny, dokopać się do jego impulsów i pragnień. Natomiast mózg Li uginał się i odbijał wszystko jak kauczuk. Twarz Chińczyka była szczupła i miła, czoło szerokie, mocne i wrażliwe, a wargi złożone w wieczny uśmiech. Długi, czarny, lśniący warkocz, przewiązany u dołu wąską wstążką z czarnego jedwabiu, zwisał mu przez ramię i kołysał się miarowo na piersi. Kiedy Li wykonywał jakąś gwałtowną pracę, upinał go sobie na czubku głowy. Nosił wąskie bawełniane spodnie, czarne pantofle bez obcasów i szamerowany chiński kaftan. Wzorem większości Chińczyków w owych czasach wsuwał, gdy tylko mógł, dłonie w rękawy, jakby się o nie obawiał.

– Ja psyniose stolicka – powiedział, skłonił się lekko i podreptał ku domowi.

Cathy popatrzyła za nim, a brwi ściągnęły jej się posępnie. Nie bała się Li, ale i nie czuła się z nim swobodnie. Jednakże był dobrym, pełnym uszanowania służącym – najlepszym, jakiego można mieć. A poza tym, cóż mógł jej zrobić?

Przyszło lato i rzeka Salinas wsiąkła w ziemię lub stała zielonymi łąkami u stóp wysokich brzegów. Bydło po całych dniach wylegiwało się sennie pod wierzbami i dopiero nocą ruszało na pastwiska. Trawa przybrała umbrowy odcień. Popołudniowe wiatry, niezmiennie wiejące doliną, wzbijały kurz podobny do mgły i unosiły go w niebo, nieomal na wysokość wierzchołków gór. Korzonki dzikiego owsa sterczały jak cebulki tam, gdzie wiatr zdmuchnął glebę. Po wyszlifowanej ziemi mknęły źdźbła

słomy i badyle, dopóki nie zatrzymała ich jakaś mocniej zakorzeniona roślina, a małe kamyczki toczyły się skośnie z wiatrem.

Stało się teraz jeszcze bardziej jasne, dlaczego stary Sanchez zbudował sobie dom w tym małym parowie; nie przenikał tam bowiem wiatr ani kurz, a źródło, choć było słabiej, przecież nadal tryskało strumykiem zimnej, kryształowej wody. Jednakże Adam spoglądając na swoją wyschlą, przesłoniętą tumanami pyłu ziemię czuł lęk, jakiego człowiek ze wschodnich okolic kraju zawsze na początku doświadcza w Kalifornii. Latem w Connecticut dwa tygodnie bez deszczu są wyjątkiem, a cztery to już susza. Jeżeli kraj się nie zazieleni, wszystko zamiera. Natomiast w Kalifornii deszcze zazwyczaj w ogóle nie padają od końca maja aż do pierwszego listopada. Człowiek przybyły ze wschodu Stanów, choć o tym uprzedzony, uważa, że ziemia choruje tu w miesiącach bezdeszczowych.

Adam posłał Li do Hamiltonów z listem, w którym prosił, aby Samuel go odwiedził i omówił sprawę wywiercenia kilku studzien na jego nowej posiadłości.

Samuel właśnie siedział w cieniu, przypatrując się swemu synowi, Tomowi, który obmyślał i konstruował rewolucyjną pułapkę na szopy, kiedy Li zajechał bryczką Traska. Chińczyk wsunął dłonie w rękaw i czekał. Samuel przeczytał list.

– Tomie – powiedział. – Myślisz, że mógłbyś zająć się gospodarstwem, gdybym wyskoczył pogadać o wodzie z człowiekiem spragnionym?

– A nie mógłbym też pojechać? Może ojcu trzeba będzie pomóc?

– W gadaniu? Nie, tego mi nie trzeba. O ile mogę osądzić, do kopania nie dojdzie jeszcze przez jakiś czas. Przy studniach jest zawsze dużo gadania, pięćset albo sześćset słów na każdą łopatę ziemi.

– Tak bym chciał pojechać... To do pana Traska, prawda? Nie poznałem go wtedy, jak tu był.

– Poznasz go, jak się zacznie kopanie. Jestem starszy od ciebie. Mam pierwszeństwo do rozmów. Wiesz co, Tomie? Szop wystawi, o tędy, swoją śliczniutką łapkę i sam się wydostanie. Przecież wiesz, co to za mądrale.

– A widzi ojciec to drewnienko? Ono przekręca się i spada tutaj. Sam ojciec by się nie wydostał.

– Ja nie jestem taki mądry jak szop. Ale pewnie to sobie dobrze przemyślałeś. Tomie, mój kochany, może byś osiodłał Doksologię, a ja tymczasem skoczę do matki powiedzieć, dokąd jadę.

– Ja psyjechał blycką – odezwał się Li.

– No, dobrze, ale przecież jakoś muszę wrócić do domu.

– Ja psywioze.

– Co znowu! – odparł Samuel. – Zabiorę z sobą konia i wrócę wierzchem.

Samuel siedział na bryczce obok Li, a jego podkuty koń wierzchowy dreptał nieporadnie z tyłu.

– Jak się nazywasz? – zapytał wesoło Samuel.

– Li. Mam wiecej nazwisyko. Li jest nazwisyko familijne tata. Nazywać mnie Li.

– Dużo czytałem o Chinach. Tam się rodziłeś?

– Nie. Tu.

Samuel milczał długo, a bryczka podskakiwała na koleinach tocząc się ku okrytej pyłem dolinie.

– Li – powiedział wreszcie. – Nie chcę cię urazić, ale nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego wy stale gadacie tym bełkotem, kiedy ciemny analfabeta z irlandzkich bagien, mający łeb nafaszerowany mową gaelicką, a język jak kartofel, w dziesięć lat potrafi nauczyć się jako tako po angielsku.

Li wyszczerzył zęby.

– Ja mówi jak Chinsyki – odpowiedział.

– Ano, pewnie masz swoje powody. Nie moja sprawa. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, jeżeli ci nie uwierzę, Li.

Li popatrzył na niego, a piwne oczy pod krągłymi powiekami jakby mu się otworzyły i pogłębiły, i nagle stały się już nie obce, ale ludzkie, pełne ciepłego zrozumienia. Li zachichotał.

– To jest coś więcej niż wygoda – powiedział. – Więcej nawet niż samoobrona. Najczęściej musimy używać takiej mowy, żeby nas w ogóle zrozumiano.

Samuel niczym nie zdradził, że zauważył jakąkolwiek zmianę.

– Potrafię zrozumieć te dwie pierwsze rzeczy – rzekł w zamyśleniu. – Natomiast trzeciej nie chwytam.

Li odpowiedział:

– Ja wiem, że trudno uwierzyć w coś podobnego, ale zdarzało się to tak często mnie i moim przyjaciołom, że uznaliśmy to za pewnik. Gdybym na przykład podszedł do jakiejś pani czy pana i przemówił tak jak w tej chwili, nikt by mnie nie zrozumiał.

– Dlaczego?

– Bo bełkotu się spodziewają i bełkotu chcą słuchać. Natomiast angielszczyzny w moich ustach nie słuchają i wobec tego nie rozumieją.

– Czyż to możliwe? A jak to się dzieje, że ja ciebie rozumiem?

– Właśnie dlatego rozmawiam z panem. Pan jest jednym z nielicznych ludzi, którzy potrafią oddzielić rzeczy zaobserwowane od przyjętych z góry założeń. Pan widzi to, co jest, podczas gdy większość ludzi widzi, co chce widzieć.

– To mi nie przyszło do głowy. Nie mam takiego doświadczenia jak ty, ale w tym, co mówisz, jest jakaś iskierka prawdy. Wiesz, bardzo mi miło z tobą rozmawiać. Tyle mi się nasuwa pytań!

– Z przyjemnością odpowiem.

– Tyle pytań! Na przykład nosisz ten warkocz. Czytałem, że to jest znamię niewoli, które zwycięscy Mandżurowie narzucili Chińczykom z południa.

– To prawda.

– No to, na imię boskie, po co nosisz go tutaj, gdzie Mandżurowie nie mogą się do ciebie dostać?

– Ja mówię jak Chinsyki. Warkocz chinsycka moda... pan lozumi?

Samuel zaśmiał się głośno.

– No, w tym jest lekka nutka owej wygody – powiedział. – Chciałbym i ja mieć taką ucieczkę.

– Zastanawiam się, czy potrafię to wytłumaczyć – rzekł Li. – Trudna to sprawa tam, gdzie nie ma pokrewnych przeżyć. Słyszałem, że pan nie urodził się w Ameryce?

– Nie, w Irlandii.

– I za kilka lat może pan stać się tu prawie niewidoczny, podczas gdy ja, który przyszedłem na świat w Grass Valley, chodziłem do szkoły i przez kilka lat na uniwersytet w Kalifornii, nie mam najmniejszej możliwości asymilacji.

– A gdybyś obciął ten warkocz, ubierał się i mówił jak wszyscy?

– Nie. Już tego próbowałem. Dla tak zwanych białych pozostałem Chińczykiem, tyle że niegodnym zaufania, a jednocześnie moi chińscy przyjaciele odsunęli się ode mnie. Musiałem dać z tym spokój.

Li zatrzymał bryczkę pod drzewem, wysiadł i rozsypał uwiąz.

– Pora na drugie śniadanie – powiedział. – Przygotowałem paczkę z jedzeniem. Może pan coś przekąsi?

– Jasne, że tak. Tylko sobie siądę tu w cieniu. Czasem zapominam coś zjeść, a to dziwne, bo stale jestem głodny. Ciekawi mnie to, co mówisz. Ma jakiś słodki posmak autorytetu. Teraz mi zaświtało w głowie, że powinieneś się wybrać do Chin.

Li uśmiechnął się do niego ironicznie.

– Nie sądzę, żeby pan w kilka minut mógł znaleźć ten obluzowany pręt w kratkach, którego ja na próżno szukam przez całe życie. Już byłem w Chinach. Mojemu ojcu nieźle się powodziło. Ale nic z tego nie wyszło. Powiedzieli tam, że wyglądam jak zamorski diabeł; powiedzieli, że mówię jak zamorski diabeł. Popełniałem błędy w dziedzinie obyczajów, a nie znałem różnych subtelności, które pojawiły się już po wyjeździe ojca. Nie chcieli mnie. Może mi pan wierzyć albo nie, ale tutaj czuję się mniej obco niż w Chinach.

– Muszę ci wierzyć, bo to jest sensowne. Dałeś mi temat do rozmyślań co najmniej do dwudziestego siódmego lutego. Nie masz mi za złe moich pytań?

– Skądże znowu. A z tym bełkotem jest jeden kłopot: że zaczyna się nim myśleć. Dużo pisuję, żeby utrzymać na poziomie moją angielszczyznę. Słuchanie i czytanie to nie to samo co mówienie i pisanie.

– A nigdy się nie mylisz? To znaczy nie wpadasz w angielski?

– Nie, nigdy. Myślę, że to jest kwestia tego, czego od człowieka oczekują. Patrzy się komuś w oczy, widzi, że oczekuje bełkotu i dreptania drobnymi kroczkami, więc się bełkocze i drepcze.

– Chyba to i racja – rzekł Samuel. – Ja sam opowiadam kawały dlatego, że ludzie przyjeżdżają do mnie z daleka, żeby się pośmiać. Staram się być dla nich zabawny nawet wtedy, gdy smutek na mnie przychodzi.

– Ale podobno Irlandczycy są weseli, pełni dowcipu.

– To jest to samo, co z twoim bełkotem i warkoczem. Wcale nie są tacy. Są narodem posępnym, mają dar cierpienia o wiele bardziej, niż sobie zasłużyli. Mówi się o nich, że gdyby nie whisky, którą zwilżają i zmiękczają sobie świat, odebraliby sobie życie. Ale opowiadają kawały, bo tego się od nich oczekuje.

Li wyjął niewielką butelkę.

– Chce pan tego spróbować? Chiński trunek ng-ka-pt.

– Co to takiego?

– Chinsycka wódka. Mocny tlunek... ściśle mówiąc, jest to rodzaj koniaku z przymieszką piołunu. Bardzo mocny. Zmiękcza świat.

Samuel pociągnął z butelki.

– Ma trochę smak zgniłych jabłek – powiedział.

– Tak, ale dobrych zgniłych jabłek. Niech go pan posmakuje całym językiem, aż do nasady.

Samuel pociągnął duży łyk i odchylił głowę do tyłu.

– Już wiem, o co ci idzie. Rzeczywiście dobra.

– A tu są kanapki, pikle, ser i puszka maślanki.

– Dobrze sobie radzisz.

– Tak, staram się.

Samuel nadgryzł kanapkę.

– Przerzuciałem w myśli z pół setki pytań. To, co mówisz, wysuwa na wierzch najważniejsze. Pozwolisz?

– Proszę bardzo. Jedyna rzecz, o jaką chcę prosić, to żeby pan nie mówił ze mną w ten sposób przy innych. Tylko by im się wszystko pokręciło, a i tak by nie uwierzyli.

– Postaram się – rzekł Samuel. – Jeżeli się sypnę, pamiętaj, że uchodzę za geniusza dowcipu. Trudno jest rozłamać człowieka na dwoje i stale sięgać po tę samą połowę.

– Zdaje mi się, że zgaduję, jakie będzie pańskie następne pytanie.

– No jakie?

– Dlaczego zadowolam się pozycją służącego.

– Skądże ty wiesz, u licha?

– Tak to jakoś wynikało.

– Masz żal za takie pytanie?

– Nie, jeżeli to pan je zadaje. Nie ma przykrości pytań prócz tych, które ubrane są w pozory łaskawości. Nie wiem skąd się bierze zła sława funkcji służącego. Jest to ucieczka dla filozofa, chleb dla próżniaka, a jeśli się należycie wykonuje swą pracę, stanowisko to może dać niejaką władzę, a nawet miłość. Nie rozumiem, dlaczego więcej ludzi inteligentnych nie obiera sobie tego zawodu – nie uczy się wykonywać go dobrze i czerpać stąd korzyści. Dobry służący cieszy się absolutnym bezpieczeństwem, nie dzięki łaskawości swojego pana, ale z uwagi na ludzkie nawyki i indolencję. Ciężka to rzecz dla człowieka zmieniać przyprawy czy dobierać sobie skarpetki. Raczej zatrzyma złego służącego, niż poszuka nowego. Natomiast dobry służący – a ja jestem doskonałym – może całkowicie ovladnąć swoim panem, dyktować mu, co ma myśleć, jak postępować, z kim się ożenić, kiedy się rozwieść, może sterroryzować go w imię

dyscypliny albo też obdarować szczęściem i w końcu być wymienionym w jego testamencie. Gdybym chciał, mógłbym okraść, obrabować i sponiewierać każdego z moich chlebodawców i jeszcze dostać za to podziękowanie. Wreszcie ja w mojej sytuacji nie mam żadnej ochrony. Mój chlebodawca będzie mnie bronił, osłaniał. Pan musi pracować i kłopotać się o różne rzeczy. Ja mniej pracuję i mniej się kłopotzę. A jestem dobrym służącym. Zły nie pracuje wcale i o nic się nie troszczy, a przecie dostaje wyżywienie, ubranie i ochronę. Nie znam zawodu, który tak by się roił od ludzi niekompetentnych i w którym doskonałość byłaby tak rzadka.

Samuel pochylił się ku niemu, słuchając uważnie. Li mówił dalej:

- Po tym będzie dla mnie ulgą wrócić znów do mojego bełkotu.
- Stąd już jest bardzo niedaleko do rancza Sanchezów. Dlaczego zatrzymaliśmy się tak blisko? – zapytał Samuel.
- Cali cas mówić. Ja chinsycki chłopak numel jeden. Pan jus gotowy jechać?
- Co? A, tak. Ale to musi być bardzo samotne życie.
- W tym właśnie tkwi jedyny szkopuł – odrzekł Li.
- Myślałem już, żeby pojechać do San Francisco i otworzyć tam jakiś niewielki interes.
- Na przykład pralnię? Albo sklep spożywczy?
- Nie. Zbyt wielu Chińczyków ma pralnie i restauracje. Myślałem raczej o księgarni. To by mi dało zadowolenie, a konkurencja nie byłaby zbyt duża. Ale pewnie tego nie zrobię. Służący zatracą inicjatywę.

3

Po południu Samuel i Adam objeżdżali konno ranczo. Wiatr zerwał się jak co dzień pod wieczór i żółty pył wzbijał się w niebo.

- O, to piękny obiekt! – zawołał Samuel. – Nadzwyczajny kawałek ziemi.
- Mam wrażenie, że ten wiatr ją zwiewa drobina po drobinie – zauważył Adam.
- Nie, tylko trochę przesuwa. Pan traci coś niecoś na rzecz rancza Jamesa, ale za to dostaje swoje z powrotem od Southeyów.
- W każdym razie nie lubię wiatru. Działa mi na nerwy.
- Nikt nie lubi wiatru na dłuższą metę. Zwierzęta też wprawia on w niepokój i zdenerwowanie. Nie wiem, czy pan zauważył, ale trochę dalej w górę doliny sadzą

wiatrochrony z drzew gumowych. To są eukaliptusy – pochodzą z Australii. Podobno rosną dziesięć stóp w ciągu roku. Może by pan spróbował zasadzić parę pasów i zobaczyć, co z tego wyniknie? Z czasem powinny trochę zatrzymywać wiatr, a są doskonale na opał.

– Dobra myśl – odrzekł Adam. – Ale tak naprawdę, to mi potrzeba wody. Ten wiatr napompowałby mi jej tyle, ile bym znalazł. Myślałem, że gdybym mógł zrobić tu kilka studzien i nawodnić teren, nie zwiewałoby wierzchniej gleby. Można by też spróbować sadzić fasolę.

Samuel przymrużył oczy, patrząc pod wiatr.

– Postaram się wydestać panu wodę, jeżeli pan chce – powiedział. – A mam taką małą pompę, którą sam sobie zmagistrowałem i która wyciągnie ją szybko. To mój własny pomysł. Wiatrak jest dosyć kosztowny. Ale może mógłbym panu zbudować kilka, to zaoszczędziłby pan trochę pieniędzy.

– Doskonale – odrzekł Adam. – Wiatr wcale by mi nie przeszkadzał, gdyby dla mnie pracował. A jeśli bym miał wodę, mógłbym zasiać alfalfę.

– Za nią się wiele nie dostanie.

– Nie o tym myślałem. Przed kilku tygodniami wybrałem się w stronę Greenfield i Gonzales. Osiedlili się tam jacyś Szwajcarzy. Mają ładne, nieduże trzody mleczne i zbierają alfalfę cztery razy do roku.

– Słyszałem o nich. Sprowadzili sobie szwajcarskie krowy.

Twarz Adama jaśniała od projektów.

– To właśnie chcę zrobić. Sprzedawać masło i sery, a mleko mieć na karmę dla świń.

– Przyniesie pan zaszczyt dolinie – odpowiedział Samuel. – Będzie pan prawdziwym skarbem dla jej przyszości.

– Jeżeli uda mi się dobrać do wody.

– Wydestanę panu wodę, jeżeli tu tylko jest. Już ja ją znajdę. Przywiozłem swoją różdżkę czarodziejską – klepnął rozwidlony patyk przytroczony do siodła.

Adam wskazał w lewo, gdzie rozległą płaszczyznę pokrywały niskie krzaki bożydrzewu.

– Widzi pan – powiedział. – Tam jest trzydzieści sześć akrów, a ziemia płaska prawie jak stół. Zrobiłem tu wiercenia. Warstwa gleby ma przeciętnie trzy i pół stopy grubości; z wierzchu piasek, a ił na głębokość lemiesza. Myśli pan, że można by tu znaleźć wodę?

– Nie wiem – odparł Samuel. – Zobaczę.

Zsiadł z konia, oddał wodze Adamowi i odwiązał swą rozwidloną różdżkę. Ujął widełki w obie dłonie i wolno ruszył przed siebie z wyciągniętymi rękami, trzymając koniec różdżki do góry. Idąc zakreślał zygzaki. Raz zmarszczył brwi i cofnął się o kilka kroków, ale potem potrząsnął głową i poszedł dalej. Adam jechał za nim stępa, prowadząc drugiego konia.

Adam nie spuszczał oka z różdżki. Dostrzegł, że drgnęła i szarpnęła się lekko, jak gdyby niewidzialna ryba pociągnęła za wędkę. Twarz Samuela była napięta i baczną. Szedł dalej, dopóki końca różdżki nie zaczęło coś silnie ciągnąć do dołu, przewycięzając opór jego rąk. Powoli zatoczył koło, ułamał gałązkę bożydrzewu i rzucił ją na ziemię. Odszedł kawałek poza obręb owego koła, znów podniósł różdżkę i ruszył ku środkowi, gdzie leżał jego znak. Gdy znalazł się blisko, koniec różdżki znowu coś przyciągnęło w dół. Samuel odetchnął, odprężył się i upuścił różdżkę na ziemię.

– Tutaj mogę dostać się do wody – powiedział. – Nawet jest nie bardzo głęboko. Ciągnęło silnie; wody tu dużo.

– Dobrze – odparł Adam. – Chcę panu pokazać jeszcze kilka innych miejsc.

Samuel uciął dużą gałąź bożydrzewu i wetknął ją w ziemię. Na czubku zrobił nacięcie i wsadził w nie poprzecznie patyk na znak. Potem udeptał wokoło kruche krzaczkę, ażeby mógł go odnaleźć.

Przy drugiej próbie, trzysta jardów dalej, o mało nie wyrwało mu różdżki z ręki.

– No, tutaj jest całe morze wody – powiedział.

Trzecia próba nie była tak owocna. Po półgodzinie miał tylko słabe znaki.

Obaj mężczyźni jechali z wolna w stronę domu Trasków. Popołudnie było złociste, gdyż żółty pył na niebie wyłączał światło. Jak zwykle, wiatr ucichał u schyłku dnia, lecz nieraz mijała połowa nocy, zanim kurz opadł z powietrza.

– Wiedziałem, że to dobre miejsce – mówił Samuel. – Każdy by to poznał. Ale nie wiedział, że aż tak dobre. Musi pan mieć pod swoim gruntem jakiś duży spływ wody z gór. Umie pan wybrać sobie ziemię.

Adam uśmiechnął się.

– Mieliśmy farmę w Connecticut – powiedział. – Przez sześć pokoleń wykopywaliśmy tam kamienie. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie mi zostały w pamięci, było zwożenie kamieni na ogrodzenia. Uważałem, że wszystkie farmy są takie. Tutaj wydaje mi się jakoś dziwnie i prawie grzesznie. Gdyby ktoś potrzebował kamienia, musiałby za nim chodzić kawał drogi.

– Grzech to ciekawa sprawa – zauważył Samuel. – Zdaje się, że gdyby człowiek musiał wytrząsnąć wszystko, co ma w środku czy z wierzchu, jeszcze by sobie gdzieś schował kilka pomniejszych grzeszków na własne utrapienie. To ostatnia rzecz, jakiej się wyrzekamy.

– Może tak jest i dobrze, bo to nas utrzymuje w pokorze. W bojaźni bożej.

– Pewnie – odrzekł Samuel. – Myślę, że skromność musi być dobrą rzeczą, bo rzadko się zdarza, żeby ktoś nie miał jej choć odrobiny. Natomiast kiedy się zastanowić nad pokorą, trudno dostrzec, na czym polega jej wartość, chyba że się uzna, iż jest przyjemnym i bardzo cennym cierpieniem. Cierpienie... ciekawe, czy mamy na nie właściwy pogląd.

– Niech pan mi coś powie o tej swojej różdżce – rzekł Adam. – Jak ona działa? Samuel dotknął widełek, teraz znów przytroczonych do siodła.

– Właściwie w nią nie wierzę; tylko tyle, że działa. – Uśmiechnął się do Adama. – Może to jest tak: może ja sam wiem, gdzie znaleźć wodę, i czuję ją przez skórę. Niektórzy ludzie mają pewien dar w takim czy innym kierunku. Załóżmy, że... czy ja wiem, powiedzmy, skromność albo głęboka niewiara w siebie zmusza mnie do zabawiania się w czary, ażeby wydobyć na wierzch rzecz, o której istnieniu i tak mi wiadomo. Rozumie pan coś z tego?

– Muszę się zastanowić – odparł Adam. Konie same wybierały sobie drogę, idąc ze spuszczonej nisko łbami, z wodzami zwisającymi luźno na wędzidłach.

– Mógłby pan u nas przenocować? – zapytał Adam.

– Owszem, ale wolę nie. Nie uprzedziłem Lizy, że nie wrócę na noc. Nie chciałbym, żeby się niepokoiła.

– Przecież wie, gdzie pan jest.

– Jasne, że wie. Ale pojedę dzisiaj do domu. Obojętne, o której godzinie. Jeżeli pan będzie miał ochotę zaprosić mnie na kolację, zostanę z przyjemnością. A kiedy pan chce, żebym zaczął wiercić studnie?

– Zaraz. Jak tylko pan będzie mógł.

– Bo wie pan, to nie jest tania rzecz pozwolić sobie na wodę. Musiałbym panu policzyć z pięćdziesiąt centów albo i więcej od stopy, zależnie od tego, na co się tam natkniemy. To może iść w duże sumy.

– Ja mam pieniądze. Chcę mieć studnie. Niech pan posłucha, panie Hamilton...

– "Samuelu" byłoby może prościej.

– Więc posłuchaj, Samuelu. Z tej mojej ziemi chcę zrobić ogród. Nie zapominaj, że na imię mi Adam. Jak dotąd nie miałem jeszcze swojego Edenu, nie mówiąc już o tym, że mnie z niego nie wygnano.

– W życiu nie słyszałem, żeby ktoś miał lepszy powód do założenia ogrodu! – wykrzyknął Samuel i zachichotał. – A gdzie będzie sad?

– Nie, jabłek nie zasadzę – odrzekł Adam. – To byłoby wywoływaniem wilka z lasu.

– Cóż na to powie Ewa? Pamiętaj, że ona też ma coś do powiedzenia. A Ewy uwielbiają jabłka.

– Moja nie. – Adamowi zabłyśły oczy. – Nie znasz tej Ewy. Uraduje się moim wyborem. Nikt sobie nie wyobraża, jaka jest dobra.

– W takim razie posiadasz rarytas. W tej chwili nie przychodzi mi na myśl żaden większy skarb.

Byli już blisko wejścia do bocznej dolinki, w której stał dom Sanchezów. Widzieli koliste, zielone korony wielkich dębów.

– Skarb... – powtórzył cicho Adam. – Nigdy nie wiadomo. Nikt nie może wiedzieć. Ja miałem szare życie, panie Hamilton... Samuelu. Nie żeby było złe w porównaniu do innych, ale nie liczyło się wcale. Nie wiem, dlaczego ci to mówię.

– Może dlatego, że chętnie słucham.

– Moja matka... umarła, nawet jej nie pamiętam. Macocha była złą kobietą, ale skołataną i chorą. Ojciec znów surowym, wspaniałym człowiekiem... możliwe, że dużej miary.

– Nie mogłeś go pokochać?

– Miałem do niego takie uczucie, jakie się miewa w kościele... i niemało w tym było strachu.

Samuel kiwnął głową.

– Wiem... Niektórzy ludzie tego potrzebują. – Uśmiechnął się smutnie. – Ja zawsze szukałem innego uczucia. Liza twierdzi, że w tym tkwi moja słabość.

– Ojciec posłał mnie do wojska, na Zachód, do walki z Indianami.

– Mówiłeś mi. Ale ty nie myślisz jak wojskowy.

– Bo nie byłem dobrym żołnierzem. Zdaje się, że już ci się zwierzam ze wszystkiego.

– Widocznie tego chcesz. Zawsze jest jakaś przyczyna.

– Żołnierz musi chcieć robić to, co nam kazano robić... a przynajmniej znajdować w tym zadowolenie. Ja nie widziałem dobrego powodu, żeby zabijać mężczyzn i kobiety, ani nie rozumiałem przyczyn, kiedy je wyjaśniano.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Po chwili Adam powiedział:

– Kiedy wyszedłem z wojska, czułem się tak, jakbym się wywłókł obłocony z grzęzawiska. Długo wędrowałem przed powrotem do domu, pamiętnego miejsca, którego nie kochałem.

– A ojciec?

– Umarł i dom był miejscem, w którym można siedzieć albo pracować czekając na śmierć, tak jakby się czekało na jakąś straszną wycieczkę.

– Sam byłeś?

– Nie, mam brata.

– Gdzież on jest? Czekają na tę wycieczkę?

– Tak... to jest właśnie tak. A potem zjawiała się Cathy. Może opowiem ci o tym kiedyś, jak będę mógł, a ty zechcesz słuchać.

– Zechcę na pewno – odrzekł Samuel. – Pożeram opowieści jak winogrona.

– Biło od niej jakieś światło. I wszystko zmieniło barwę. Świat się przede mną otworzył. Dobrze mi było budzić się rano. Zdawało się, że nic nie jest niemożliwe. A ludzie na świecie byli dobrzy i piękni. I wtedy przestałem się bać.

– Poznają to – powiedział Samuel. – Znamy się z tym od dawna. To nigdy nie umiera, tylko czasami oddala się od człowieka albo też człowiek oddala się od tego. Tak, to jest dobra moja znajoma... widzę jej oczy, nos, usta i włosy.

– A wszystko wyszło od drobnej, skrzywdzonej dziewczyny.

– Nie od ciebie przypadkiem?

– O nie, bo wtedy zjawiłoby się już przedtem. Nie; Cathy mi to przyniosła i to wciąż żyje wokoło niej. Teraz już wiesz, dlaczego chcę mieć studnię. Muszę jakoś zapłacić za otrzymane wartości. Zrobię tu ogród tak wspaniały, tak piękny, że będzie odpowiednim miejscem dla niej i dla tego światła, które z niej promieniuje.

Samuel kilkakrotnie przełknął ślinę i powiedział suchym głosem przez ściśnięte gardło:

– Już widzę, co jest moim obowiązkiem. Widzę go jasno przed sobą, jeżeli mam się uważać za człowieka i twego przyjaciela.

– Nie rozumiem.

Samuel powiedział ironicznie:

– Obowiązkiem moim jest wziąć te twoje urojenia, skopać je, potem podnieść i ubabrać w błocie tak grubo, żeby zgasić ich niebezpieczne światło. – Głos jego nabrzmiał gwałtownością. – Powiniennem przynieść ci je okryte łajnem i ukazać cały ich brud i zgubność. Powiniennem uprzedzić cię, żebyś przyjrzał się temu baczniej, aż dostrzeżesz, jak bardzo jest szpetne naprawdę. Powiniennem żądać, żebyś pomyślał o ludzkiej niestałości, i przytoczyć ci różne jej przykłady. Powiniennem ci dać chustkę Otella. O, wiem, że tak powiniennem postąpić. I jeszcze wyprostować twoje zwiłkane myśli, pokazać ci, że te podniety są szare jak ołów i zgniłe jak zdechła krowa w deszczowy dzień. I gdybym dobrze wypełnił swój obowiązek, mógłbym ci zwrócić twoje złe, dawne życie i cieszyć się z tego, i znowu powitać cię jako członka owej zmurszałej łązy.

– Czy ty żartujesz? Może nie powiniennem był ci opowiadać...

– Taki jest obowiązek przyjaciela. Miałem niegdyś przyjaciela, który spełnił go w stosunku do mnie. Ale ja jestem fałszywym przyjacielem. Nie znajdę za to uznania u sobie podobnych. To, co czujesz, jest piękne; chroń to i raduj się tym. Wywiercę ci twoje studnie, choćbym miał ryć się aż do czarnego środka ziemi. Wycisnę z niej wodę jak sok z pomarańczy.

Jechali pod wielkimi dębami, kierując się ku domowi. Adam powiedział:

– O, widzisz? Siedzi tam przed domem. – Zakrzyknął: – Cathy! Pan mówi, że jest woda! Cała masa! – A na stronie powiedział z podnieceniem: – Wiedziałaś, że spodziewa się dziecka.

– Nawet z tej odległości wygląda pięknie – odrzekł Samuel.

4

Ponieważ dzień był upalny, Li ustawił stół na dworze pod dębem i podczas gdy słońce zbliżało się ku zachodniemu łańcuchowi gór, dreptał po kuchni i z powrotem, przynosząc zimne mięsa, marynaty, sałatkę z ziemniaków, placki kokosowe i tort brzoskwiniowy, z których składała się kolacja. Pośrodku stołu postawił olbrzymi kamienny garniec mleka.

Adam i Samuel wyszli z komórki, gdzie mieściła się łaźnia; ich włosy i twarze lśniły od wody, a broda Samuela była puszysta po namydleniu. Stanęli obok stołu rozłożonego na krzyżakach i czekali, aż Cathy wyjdzie z domu.

Szła powoli, stawiając kroki ostrożnie, jak gdyby obawiała się upaść. Suta spódnica i fartuch przesłaniały w pewnej mierze jej zaokrąglony brzuch. Twarz miała spokojną i dziecinną, a ręce splecione przed sobą. Doszła do samego stołu, zanim podniosła wzrok najpierw na Samuela, potem na Adama.

Adam podsunął jej fotel.

– Jeszcze nie poznałaś pana Hamiltona, kochanie – powiedział.

Wyciągnęła rękę.

– Dzień dobry panu – rzekła. Samuel przypatrywał jej się.

– Piękna twarz – powiedział. – Rad jestem poznać panią. Mam nadzieję, że pani dobrze się czuje.

– O tak. Tak, czuję się dobrze.

Mężczyźni usiedli.

– Cathy zawsze nadaje oficjalny ton, czy chce, czy nie chce. Każdy posiłek jest u nas w pewnym sensie uroczystością – powiedział Adam.

– Nie mów tak – odparła. – To nieprawda.

– Nie czujesz się jak na przyjęciu, Samuelu? – zapytał.

– I owszem, a muszę państwu powiedzieć, że nie ma większego amatora przyjęć niż ja. Moje dzieci są jeszcze gorsze. Mój Tom chciał tu dzisiaj przyjechać. Wyłazi ze skóry, żeby się wyrwać z rancza.

Samuel uświadomił sobie nagle, iż przedłużył swoją wypowiedź, a żeby nad stołem nie zalegało milczenie. Przerwał i milczenie zapadło. Cathy patrzyła w talerz, krając płatek pieczonego jagnięcia. Podniosła wzrok, wsuwając kąsek między swe drobne, ostre zęby. Jej szeroko osadzone oczy nie mówiły nic. Samuel się wzdrygnął.

– Może tu chłodno? – zapytał Adam.

– Chłodno? Nie. Pewno gęś przeszła po moim grobie.

– A tak. Znam to uczucie.

Znowu zaległo milczenie. Samuel czekał, aby ktoś zaczął mówić, choć wiedział z góry, że to nie nastąpi.

– Czy pani podoba się nasza dolina? – zapytał.

– Słucham? A, owszem.

– Jeżeli to nie będzie niegrzeczne z mojej strony, czy wolno zapytać, kiedy pani spodziewa się dziecka?

– Za jakieś sześć tygodni – odrzekł Adam. – Moja żona należy do rzadkich wyjątków; jest kobietą, która nie mówi za wiele.

– Czasem najwymowniejsze bywa milczenie – powiedział Samuel i zauważył, że oczy Cathy podniosły się szybko i opuściły zaraz, a blizna na jej czole jakby pociemniała. Coś ją smagnęło, tak jak zacina się konia plecionym końcem powozowego bata. Samuel nie mógł sobie przypomnieć, co takiego powiedział, że aż lekko drgnęła wewnętrznie. Czuł wzrastające napięcie, trochę podobne do tego, które go ogarniało na chwilę, zanim różdżka do wykrywania wody zaczynała ciągnąć w dół – świadomość jakiegoś dziwnego naprężenia. Spojrzał na Adama i zobaczył, że ten z zachwytem wpatruje się w żonę. Jeżeli było tu coś dziwnego, nie wydawało się to dziwne Adamowi. Na twarzy miał wyraz szczęścia.

Cathy gryzła kawałek mięsa – gryzła go przednimi zębami. Samuel nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś żuł w taki sposób. Kiedy zaś przełknęła kęsek, jej drobny języczek szybko przemknął po wargach. Umysł Samuela powtarzał: “Coś... coś... nie mogę rozeznać, co to takiego. Coś tu jest nie w porządku”. Cisza wisiała nad stołem.

Usłyszał za sobą szelest. Obrócił się. Li postawił na stole imbryk z herbatą i podreptał z powrotem do domu.

Samuel zaczął mówić, aby odegnać ciszę. Opowiedział, jak niegdyś przyjechał do doliny prosto z Irlandii, ale już po kilku słowach i Cathy, i Adam przestali go słuchać. Ażeby to sprawdzić, użył sztuczki, którą sobie obmyślił dla przekonania się, czy dzieci uważają, kiedy prosiły go, żeby im poczytał, i nie dawały mu przerwać. Wtrącił dwa zdania bez sensu. Ani Adam, ani Cathy nie zareagowali. Dał więc za wygraną.

Spiesznie przełknął kolację, wypił herbatę tak gorącą, że mu parzyła usta, i złożył serwetkę.

– Zechce mi pani wybaczyć, ale pojedę już do domu. I bardzo dziękuję za gościnę.

– Dobranoc – powiedziała.

Adam wstał raptownie. Był jakby wyrwany z rozmarzenia.

– Nie jedź! Miałem nadzieję, że cię namówię na nocleg.

– Nie, dziękuję ci, ale nie mogę. To zresztą niedaleka droga. Zdaje mi się – nie, oczywiście wiem – że dzisiaj będzie księżyc.

– Kiedy zaczniesz te studnie?

– Muszę doprowadzić mój sprzęt do ładu, coś niecoś naostrzyć i zrobić porządek w domu. Za kilka dni przyślę narzędzia przez Toma.

Życie znów napłynęło w Adama.

– Postaraj się, żeby to było niedługo – powiedział. – Chcę tego jak najprędzej. Cathy, zrobimy tu najpiękniejsze miejsce na świecie. Nigdzie nie będzie czegoś podobnego.

Samuel przeniósł wzrok na twarz Cathy. Nie zmieniła się wcale. Oczy były chłodne, a usta, lekko wygięte kącikami do góry – jak wyrzeźbione.

– To będzie bardzo przyjemne – powiedziała.

Przez krótką chwilę kusiło Samuela, żeby zrobić czy powiedzieć coś, co by nią wstrząsnęło i zniweczyło ów dystans, jaki zachowywała. Wzdrygnął się po raz drugi.

– Znowu gęś? – zapytał Adam.

– Znowu gęś. – Zapadał zmierzch i drzewa czerniały już na tle nieba. – No, to dobrej nocy.

– Odprowadzę cię.

– Nie, zostań z żoną. Jeszcze nie skończyłeś kolacji.

– Ale...

– Siadźże, człowieku. Potrafię znaleźć swojego konia, a jak nie, to ukradnę któregoś z twoich. – Samuel łagodnie popchnął Adama na krzesło. – Dobranoc. Dobranoc. Dobranoc pani. – Szybkim krokiem odszedł ku szopie.

Stara, szerokokopytna Doksologia delikatnie szczypała siano ze żłobu wargami przypominającymi dwie flądry. Łańcuch kantarpu pobrzękiwał o drewno. Samuel zdjął siodło z dużego gwoźdźca, na którym było zawieszzone za drewniane strzemie, i zarzucił je na szeroki grzbiet klaczy. Właśnie dociągał popręgi, kiedy usłyszał za sobą jakiś szelest. Obrócił się i dojrzał sylwetkę Li na tle resztek dziennego światła wpadającego przez uchylone okienka.

– Kiedy pan znowu przyjedzie? – zapytał cicho Chińczyk.

– Nie wiem. Za parę dni, może za tydzień. Li, co to jest?

– Ale co?

– Boże kochany, ciarki po mnie chodziły! Czy tu się dzieje coś niedobrego?

– Nie rozumiem.

– Doskonale wiesz, o co mi idzie.

– Chinsycki chłopak tylko placuje – nie słucha, nie mówi.

– Tak. Pewnie masz rację. Jasne, że masz. Przepraszam, że cię spytałem. To nie było zbyt delikatne. – Odwrócił się, wsunął wędzidło między zęby Doksologii i powtykał jej wielkie wiotkie uszy między rzemienie ogłowia. Ściągnął jej ze łba kantar i wrzucił go do żłobu. – Dobranoc, Li – powiedział.

– Proszę pana...

– A co?

– Czy pan nie potrzebuje kucharza?

– Na moim gospodarstwie nie mogę sobie pozwolić na kucharza.

– Pracowałbym za tanie pieniądze.

– Liza by cię zamęczyła. A bo co? Masz zamiar podziękować tu za służbę?

– Tylko chciałem się spytać – rzekł Li. – Dobrej nocy.

5

Adam i Cathy siedzieli w gęstniejącym mroku pod drzewem.

– To zacny człowiek – mówił Adam. – Polubiłem go. Chętnie bym go namówił, żeby się tutaj przeniósł i poprowadził ranczo... jako ktoś w rodzaju administratora.

Cathy odrzekła:

– Przecież ma własne gospodarstwo i własną rodzinę.

– Tak, wiem. Ale to najuboższa ziemia, jaką w życiu widziałas. Więcej by zarobił u mnie na pensji. Zapytam go. Trzeba czasu, żeby przywyknąć do nowej okolicy. To tak, jakby człowiek powtórnie się urodził i musiał się uczyć wszystkiego od początku. U nas wiedziałem, z której strony przychodzą deszcze. Tu jest inaczej. Dawniej czułem przez skórę, czy będzie wiatr i kiedy zaczną się chłody. Ale się nauczę. Trzeba tylko trochę czasu. Wygodnie ci, Cathy?

– Tak.

– Pewnego dnia, i to już niedługo, zobaczysz całą tę dolinę zieloną od alfalfy... zobaczysz ją z pięknych, wielkich okien naszego wykończonego domu. Zasadzę pasy eukaliptusów i pošlę po nasiona i flance... założę tu coś w rodzaju farmy doświadczalnej. Może spróbuję sadzić chińskie orzechy. Ciekaw jestem, czyby się tu przyjęły. Ano, można spróbować. Li pewnie mi powie. A jak już dzieciątko się urodzi, będziesz mogła jeździć ze mną po całym ranczo. Jeszcze go właściwie nie widziałas. Nie wiem, czy ci mówiłem, że pan Hamilton postawi wiatraki i będziemy stąd widzieć,

jak się obracają. – Wyciągnął wygodnie nogi pod stołem. – Li powinien już przynieść świecę – powiedział. – Ciekawe, co go zatrzymało.

Cathy odezwała się bardzo spokojnie:

– Adamie, ja nie chciałam tu przyjeżdżać. Nie zostanę tutaj. Wyjadę, jak tylko będę mogła.

– Ach, głupstwa mówisz! – roześmiał się. – Jesteś jak dziecko, które pierwszy raz znalazło się poza domem. Spodoba ci się tutaj, kiedy przywykniesz, a małeństwo się narodzi. Wiesz, jak pierwszy raz pojechałem do wojska, myślałem, że skonam z tęsknoty za domem. Ale to przełamałem. Każdy to przełamuje. Więc nie mów takich niemądrych rzeczy.

– To nie jest niemądre.

– Nie mów o tym, kochanie. Wszystko będzie inaczej po urodzeniu dziecka. Zobaczysz. Zobaczysz.

Zaplótł ręce na karku i poprzez gałęzie drzewa popatrzał na blade gwiazdy.

ROZDZIAŁ XVI

1

Samuel Hamilton jechał do domu wśród nocy tak zalanej światłem miesięcznym, że wszystkie wzgórza jakby nasiąkły pylną białością księżyca. Drzewa i ziemia, wytrawione jego promieniami, były milczące, bezbarwne i martwe. Cienie były jednolicie czarne, a odsłonięte miejsca białe, bez koloru. Tu i ówdzie Samuel dostrzegał utajony ruch, gdyż wzięli się już do dzieła księżycowi żerownicy – jelenie, które pasą się przez noc, gdy księżyc świeci jasno, a śpią w gęstwinie za dnia. Króliki i myszy polne, i wszelkie inne drobne, prześladowane stworzenia, które czują się bezpieczniej w owym kryjącym świetle, skradały się, pełzały, skakały i zamierały bez ruchu, ażeby upodobnić się do kamieni albo krzewów, gdy ucho czy nos ostrzegały je o niebezpieczeństwie. Drapieżniki też były przy pracy – wysmukłe łasice, podobne do brunatnych lśnień, gibkie żbiki pełzające płasko po ziemi, nieomal niewidoczne poza chwilami, kiedy ich żółte ślepia zapalały się na sekundę odbitym światłem, lisy węszące krwawą wieczrę uniesionymi, spiczastymi nosami, szopy, które dreptały w pobliżu stojącej wody, rechoczące żaby. Kojoty wietrzyły po zboczach i ogarnięte żalem – radością zadzierały łby i wyrzucały z siebie przejmujący krzyk – ni to wycie, ni śmiech – do swej bogini, księżyca. A ponad tym wszystkim płynęły mroczne sowy, znacząc w dole ziemię cienistą smugą przerażenia. Popołudniowy wiatr już ucichł i tylko lekki, do westchnienia podobny powiew rodził się wśród niespokojnych prądów ciepłych na rozgrzanych, suchych wzgórzach.

Donośny, nierówny stukot kopyt Doksologii uciszał na chwilę nocne plemię, dopóki nie przejechali dalej. Broda Samuela bieląła wśród nocy, a siwiejące włosy rozwiewały mu się nad głową. Kapelusz zawiesił na kuli siodła. W żołądku czuł bolesny ucisk, niepokój podobny do nękającej myśli. Był to Weltschmerz – ów ból życia, co unosi się w duszy jak gaz i nasycza ją rozpaczą, tak że szukamy zdarzenia, które nas mogło zranić, i nie możemy znaleźć żadnego.

Samuel wrócił myślą do pięknego rancza i znaków świadczących o obecności wody. Stąd nie mogły się zrodzić żadne Weltschmerze, chyba że chował w duszy tajoną zazdrość. Poszukał więc w sobie zazdrości, ale nie mógł jej znaleźć. Z kolei pomyślał o wymarzonej ogrodzie – Edenie Adama i o adoracji, jaką Adam miał dla

Cathy. I tu też nic, chyba... chyba że gdzieś w sekrecie rozpamiętywał swą własną, zabliznioną ranę. Ale tamto działo się tak dawno, że już zapomniał o bólu. Teraz, kiedy już było po wszystkim, wspomnienia stały się miękkie, ciepłe, przyjemne. Jego łądzwie i uda zapomniały o głodzie.

Kiedy tak jechał w świetle i mroku cieni drzew i otwartych przestrzeni, myśli jego biegły dalej. W którymże to momencie ów Weltschmerz zaczął mu pełzać w piersiach? I nagle znalazł. To Cathy – śliczna, drobna, delikatna Cathy. Ale cóż ona? Milczała, lecz przecie wiele jest kobiet milczących. Więc co? Skąd się to wzięło? Przypomniał sobie, że uczył napięcie pokrewne temu, jakiego doznawał, trzymając różdżkę. Przypomniał sobie także ów dreszcz, gdy gęś przeszła po jego grobie. Teraz wypośrodkował już chwilę, miejsce i osobę. Przyszło to podczas kolacji i przyszło od Cathy.

Odtworzył sobie w myśli jej twarz, przywołał na pamięć szeroko osadzone oczy, delikatne nozdrza, usta trochę za małe na jego gust, ale pełne słodyczy, drobną, stanowczą brodę – i znowu wrócił do oczu. Czy były zimne? I czy to one sprawiły? Krążył coraz bliżej sedna. Oczy Cathy nie miały nic do powiedzenia, nic do przekazania. Nie było za nimi nic znajomego. To nie były oczy ludzkie. Przypominały mu coś – ale co? Jakieś wspomnienie, jakiś obraz. Starał się to odnaleźć – i nagle przyszło samo z siebie.

Wynurzyło się spoza lat, pełne, z wszystkimi barwami, z całą wrzawą i zamętem. Ujrzał samego siebie małym chłopczykiem, tak małym, że musiał wysoko wyciągać rękę, aby dosięgnąć dłoni ojca. Pod stopami uczył kamienisty bruk Londonderry, a wokół siebie ścisk i wesołość jedyne go dużego miasta, jakie widział. Tak, był wtedy jarmark z teatrem kukiełek, ze straganami, z owcami i końmi wystawionymi pośrodku ulicy na sprzedaż, zamianę czy licytację, z innymi straganami, na których sprzedawano jaskrawe świecidełka, upragnione i – dzięki temu, że ojciec był w dobrym humorze – nieomal osiągalne.

A potem tłum nagle skręcił jak wartka rzeka i poniósł ich wąską uliczką niby wióry porwane powodzią. Ludzie napierali im na piersi i plecy, a stopy wciąż kroczyły naprzód. Wąska uliczka wychodziła na plac, gdzie pod szarym murem jakiegoś budynku stało wysokie drewniane rusztowanie, a nad nim zwisała lina związana w pętlę.

Strumień ludzi niósł Samuela z ojcem i popychał ich coraz bliżej i bliżej. Samuel dosłyszał teraz uchem pamięci słowa ojca: “To nie jest dla dziecka. Dla

nikogo, a już tym mniej dla dziecka". Ojciec usiłował zawrócić, przepchać się w tył przez falę ludzkiej powodzi. "Przepuście nas. Proszę nas przepuścić. Jestem tu z dzieckiem".

Fala była nieczuła i parła obojętnie naprzód. Samuel podniósł głowę i spojrzał na rusztowanie. Grupka ludzi w czarnych ubraniach i czarnych kapeluszach weszła na wysoką platformę. A pośrodku nich stał człowiek o złotych włosach, w ciemnych spodniach i jasnoniebieskiej koszuli rozpiętej pod szyją. Samuel z ojcem znaleźli się tak blisko, że chłopiec musiał dobrze zadzierać głowę, ażeby tamtych zobaczyć.

Złocisty mężczyzna zdawał się nie mieć rąk. Popatrzał na tłum, a potem w dół, prosto na Samuela. Obraz był czysty, jasny, bez skazy. Oczy mężczyzny jakby nie miały głębi – nie przypominały innych oczu, oczu człowieczych.

Nagle zaczął się szybki ruch na podwyższeniu i wtedy ojciec Samuela przyłożył chłopcu obie ręce do głowy, tak że dłonie zasłoniły uszy, a duże palce zetknęły się z tyłu. Ręce te przygięły głowę chłopca w dół i przycisnęły mocno jego twarz do odświętnego czarnego surduta ojcowego. Choć usiłował się oswobodzić, nie mógł poruszyć głową. Widział jedynie smuzkę światła wokoło oczu, a poprzez dłonie ojca przenikała stłumiona wrzawa. W uszach tętniły mu uderzenia serca. Potem dłonie i ręce ojca stężały od napięcia mięśni, Samuel wyczuł twarzą jego dyszenie, wreszcie ojciec nabrał głęboko tchu i zatrzymał go w piersiach, a ręce mu zadrżały.

Było jeszcze coś potem i teraz odgrzebał to z pamięci, i zobaczył przed sobą, przed łbem konia: starty i popękany stół w szynku, głośne rozmowy i śmiechy. Przed ojcem stał cynowy dzban, a przed nim kubek gorącego mleka słodko pachnącego cukrem i cynamonem. Ojciec miał wargi dziwnie sine, a w oczach łzy.

"Nigdy bym cię nie zabrał z sobą, gdybym wiedział. Tego nie powinien oglądać nikt, a już na pewno nie mały chłopiec".

"Ja nic nie widziałem – zapiszczał Samuel. – Tatuś mi tak przyciskał głowę!"

"Bardzo się z tego cieszę".

"A co to było?"

"Chyba muszę ci powiedzieć. Zabijali złego człowieka".

"To był ten złoty?"

"Tak, ten. I nie powinieneś go żałować. Trzeba go było zabić. Nie raz, ale wiele razy popełnił rzeczy straszne – takie, które wymyślić może tylko szatan. Martwi mnie nie to, że go powiesili, ale że robią uroczystość z czegoś, co powinno być załatwiane w tajemnicy, po ciemku".

“Widziałem tego złotego. Spojrzał prościutko na mnie”.

“Tym bardziej dziękuję Bogu, że już go nie ma”.

“A co on zrobił?”

“Nie mam zamiaru opowiadać ci koszmarnych rzeczy”.

“Miał strasznie dziwne oczy ten złoty. Przypominały mi oczy kozła”.

“Wypij mleko, to dostaniesz laskę ze wstążkami i długi gwizdek zupełnie jak ze srebra”.

“A to błyszczące pudełko z obrazkiem w środku?”

“Pudełko też, więc wypij mleko i nie prosz o nic więcej”.

Takie to było, odgrzebane z pokrytej pyłem przeszłości.

Doksologia wspinała się na ostatnie wzniesienie przed rozpadliną, w której było ranczo, i jej wielkie kopyta potykały się o kamienie rozrzucone na drodze.

“Oczywiście, to te oczy – myślał teraz Samuel. – Tylko dwa razy w życiu widziałem takie oczy – niepodobne do ludzkich”. I pomyślał: “To wszystko przez tę noc i ten księżyc. Jakież, na Boga, może być związek między tamtym złotym mężczyzną, powieszonym tak dawno, a słodką, drobną, ciężarną mamusią? Liza ma słuszość. Któregoś dnia moja imaginacja da mi paszport do piekła. Muszę z siebie wyrzucić te brednie, bo jeszcze zacznę doszukiwać się zła w tej biednej dziewczynie. Tak właśnie można wpaść w pułapkę. No, pomyślmy dobrze i pozbadźmy się tego. Jakieś przypadkowe podobieństwo kształtu i koloru oczu, nic więcej. Chociaż nie, to nie to. Tu idzie o spojrzenie, które nie ma nic wspólnego z kształtem ani kolorem. W takim razie dlaczego w spojrzeniu ma być zło? Podobny wyraz może mieć czasem i święta twarz. No, daj spokój z tym romantyzowaniem i nie pozwól mu się nękać nigdy więcej. – Zadrzał. – Będę musiał ogrodzić mój grób przed gęsiami” – pomyślał.

I Samuel Hamilton postanowił tego przyłożyć się do stworzenia Edenu w dolinie Salinas, aby w ten sposób potajemnie odkupić swe szpetne myśli.

2

Kiedy Samuel wszedł rano do kuchni, Liza Hamilton, z zarumienionymi jak jabłka policzkami, kroczyła tam i z powrotem przed piecem, niczym zamknięty w klatce lampart. Ogień podsycany dębiną dobywał się hucząc przez otwarty szyber i rozgrzewał piec, w którym bielał i rósł chleb w formach. Liza wstała przed świtem.

Robiła to zawsze. Leżenie w łóżku po brzasku uważała za rzecz równie grzeszną jak przebywanie poza domem po zmierzchu. Ani w pierwszym, ani w drugim nie było nic chwalebne. Tylko jeden człowiek na świecie mógł bezkarnie i bez winy wylegiwać się w sztywno wyprasowanej pościeli po świcie, po wschodzie słońca, nawet aż do późnego przedpołudnia – a mianowicie jej najmłodszy, ostatnio narodzony syn, Joe.

Obecnie na rancho mieszkali tylko Tom i Joe. Rosły, rumiany Tom, który już hodował sobie zawieszistego węża, siedział przy kuchennym stole ze spuszczoneymi rękawami, tak jak go przyuczono. Liza łała z dzbana na steatytową formę gęsto zarobioną mieszanę. Gorące placki rosły jak poduszeczki, a na wierzchu tworzyły się i pękały maleńkie wulkany, dopóki nie przyszedł czas, aby odwrócić ciasto na drugą stronę. Barwę miały wesoło brunatną z pasmami w ciemniejszym odcieniu. A kuchnia pełna była ich smakowitej, słodkiej woni.

Samuel wrócił z podwórza, gdzie się mył. Twarz i broda lśniły mu od wody, a wchodząc do kuchni opuścił rękawy niebieskiej koszuli. Pani Hamilton nie tolerowała przy stole zakasanych rękawów. Dowodziły albo nieznamości, albo lekceważenia wykwinnych obyczajów.

– Spóźniłem się, matko – powiedział Samuel.

Nie obejrzała się na niego. Jej szpachelka sunęła pod ciastem niczym kłusujący wąż, a gorące placki skwiercząc opadały białą stroną na formę.

– O którejże to wróciłeś do domu? – zapytała.

– O, późno było... późno. Chyba blisko jedenastej. Nie patrzałem, bo bałem się ciebie obudzić.

– Wcale się nie obudziłam – oświadczyła gniewnie Liza. – Może, twoim zdaniem, jest zdrowo wałęsać się po całych nocach, ale Pan Bóg zrobi z tym, co będzie uważał za stosowne. – Było ogólnie wiadomo, że Liza Hamilton i Pan Bóg mają zbliżone poglądy nieledwie na każdy temat. Obróciła się, wyciągnęła rękę i między dłońmi Toma znalazł się talerz kruchych, gorących placków. – No i jak się przedstawia to rancho Sanchezów? – spytała.

Samuel podszedł do żony, schylił się z wysoka i pocałował ją w krągły, czerwony policzek.

– Dzień dobry, matko. Dajże mi swoje błogosławieństwo.

– Boże ci błogosław – powiedziała Liza machinalnie. Samuel usiadł do stołu i powiedział:

– Boże ci błogosław, Tomie. Ano, pan Trask wprowadza wielkie zmiany. Wyszykowuje ten stary dom, żeby w nim zamieszkać.

Liza odwróciła się raptownie od pieca.

– Ten, w którym od lat sypiały krowy i świnie?

– Tak, ale pozrywał podłogi i ramy okienne. Wszystko tam nowe i świeżo odmalowane.

– Nigdy się nie pozbędzie zapachu świń – powiedziała stanowczo Liza. – Świnia zostawia po sobie odór, którego nic nie zmyje ani nie zdusi.

– Byłem w środku i oglądałem wszystko, matko, i nic nie czułem prócz farby.

– Jak farba wyschnie, poczujesz świnie – odparła.

– Zaprojektował sobie ogród, przez który będzie przepływała woda źródłana, i przewidział miejsce na kwiaty, róże i tym podobne, a niektóre krzewy sprowadza prosto z Bostonu.

– Nie rozumiem, jak Pan Bóg może pozwolić na takie marnotrawstwo – odparła posepnie. – Nie to, żebym sama nie lubiła róż.

– Powiedział, że postara się wyhodować jakieś flance i dla mnie – rzekł Samuel.

Tom skończył jeść gorące placki i mieszał kawę.

– Jaki to człowiek, tato?

– Ano, moim zdaniem, porządny człowiek. Dobrze mówi i ma niezłe w głowie. Tylko skłonny do marzeń...

– Patrzcie, jak to kocioł garnkowi przygania – przerwała mu Liza.

– Wiem, matko, wiem. Ale czy kiedyś pomyślałaś, że moje marzenia zastępują mi coś, czego nie mam? Pan Trask ma realne marzenia i lube dolarki na ich urzeczywistnienie. Chce zrobić ze swojej ziemi jeden wielki ogród i pewnie go zrobi.

– A jaka jest jego żona? – spytała Liza.

– Cóż... bardzo młoda i bardzo ładna. Spokojna, prawie nic nie mówi, no, ale też niedługo spodziewa się pierwszego dziecka.

– Wiem o tym – rzekła Liza. – Jak ona jest z domu?

– Nie wiem.

– A skąd pochodzi?

– Też nie wiem.

Postawiła przed nim talerz gorących placków, naląła mu kawy i napełniła opróżniony kubek Toma.

– No to czegoś ty się dowiedział? A jak się ubiera?

– Bardzo ładnie, ślicznie... niebieska suknia i różowy zakieciak wcięty w pasie.

– Do tego to masz oko. Myślisz, że te rzeczy były szyte na miarę czy gotowe?

– E, chyba gotowe.

– Co ty tam wiesz! – powiedziała zdecydowanie Liza. – Myślałeś, że ta podróżna sukienka, co to Dessie sobie zrobiła, jak jechała do San Jose, też była gotowa, ze sklepu.

– Dessie jest spryciarczyka – rzekł Samuel. – Igła śpiewa jej w palcach.

Tom odezwał się:

– Dessie myśli o tym, żeby otworzyć zakład krawiecki w Salinas.

– Mówiła mi – rzekł Samuel. – Na pewno poszłoby jej wspaniale.

– W Salinas? – Liza podparła się pod boki. – Nic mi o tym nie wspominała.

– Obawiam się, żeśmy wyświadczyli kiepską przysługę naszej milutkiej – powiedział Samuel. – Ona tu chciała zrobić matce prawdziwą złotą niespodziankę, a z nas to wylazło niczym pszenica z worka nadgryzionego przez myszy.

– Mogła mi jednak powiedzieć – rzekła Liza. – Nie lubię niespodzianek. No, mów dalej. Co robiła?

– Kto?

– No, pani Trask, rzecz jasna.

– Co robiła? Ano, siedziała; siedziała w fotelu pod dębem. Jej czas już bliski.

– Ale ręce, Samuelu, ręce... co robiła rękami?

Samuel poszukał w pamięci.

– Chyba nic. Przypominam sobie... że ręce ma drobniutkie i że trzymała je złożone na brzuchu.

Liza parsknęła.

– Nie szyła, nie cerowała, nie robiła na drutach?

– Nie, matko.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żebyś tam jeździł. Bogactwo i próżniactwo – narzędzia szatana, a ty nie bardzo umiesz się oprzeć.

Samuel podniósł głowę i roześmiał się z zadowoleniem. Żona chwilami go zachwycała, lecz nigdy nie potrafił jej powiedzieć, jak bardzo.

– Ja będę tam jeździł tylko po bogactwo, Lizo. Miałem zamiar opowiedzieć o tym po śniadaniu, żebyś mogła trochę posiedzieć z nami i posłuchać. Pan Trask chce,

żeby mu wywiercił ze cztery, pięć studzien, a może też zbudował wiatraki i zbiorniki na wodę.

– Czy to aby nie jest tylko takie gadanie? Te wiatraki mają być kręczone przez wodę? Czy on ci zapłaci, czy też jak zwykle przyjdiesz i zaczniesz tłumaczyć: “Zapłaci mi po zbiorach – przedrzeźniała męża. – Zapłaci, jak jego bogaty wujek umrze”. Wiem z doświadczenia, Samuelu, a i ty też powinienes to wiedzieć, że jeżeli ludzie nie płacą od razu, nie płacą w ogóle. Za te wszystkie obiecanki cacanki moglibyśmy już kupić sobie farmę w dolinie.

– Adam Trask zapłaci – odrzekł Samuel. – To zamożny człowiek. Ojciec zostawił mu fortunę. Mam robotę na całą zimę, matko. Coś sobie odłożymy i urządzimy taką Gwiazdkę jak stąd do nieba. Zapłaci mi pięćdziesiąt centów od stopy, no i za wiatraki. Oprócz cembrowin mogę wszystko zrobić tu, na miejscu. Chłopcy będą mi potrzebni do pomocy. Chcę zabrać z sobą Toma i Joe'ego.

– Joe nie może jechać – odparła. – Wiesz, że jest delikatny.

– Myślałem, że zeskrobie z niego trochę tej delikatności. Z delikatności nie wyżyje.

– Joe nie pojedzie – oświadczyła w sposób nie znoszący sprzeciwu. – A kto poprowadzi gospodarstwo, kiedy ciebie i Toma nie będzie?

– Pomyślałem, że poproszę Jerzego, żeby przyjechał. Nie w smak mu posada kancelisty, choćby nawet w King City.

– W smak mu pewnie i nie jest, ale przecie może się trochę pomęczyć za osiem dolarów tygodniowo.

– Matko! – zawołał Samuel. – Mamy szansę wpisać nasze nazwisko w Pierwszym Banku Narodowym! Nie rzucaj brzemienia swych słów w poprzek drogi fortuny. Proszę cię, matko!

Przez całe rano burczała coś pod nosem przy robocie, podczas gdy Tom i Samuel przeglądali sprzęt wiertniczy, ostrzyli świdry, kreślili szkice wiatraków nowego typu, obliczali wymiary belek i zbiorników wodnych z sekwoi. Przed południem przyłączył się do nich Joe i tak go urzekło, że poprosił Samuela, aby mu pozwolił jechać.

Samuel odparł:

– Od razu powiem ci, że jestem temu przeciwny, Joe. Matka cię tu potrzebuje.

– Kiedy ja tak chcę jechać, tato! I nie zapominaj, że w przyszłym roku mam pójść do wyższej szkoły w Palo Alto. A to jest daleko stąd, no nie? Proszę cię, pozwól. Będę porządnie pracował.

– Na pewno byś porządnie pracował, gdybyś mógł pojechać. Ale ja jestem temu przeciwny. A jak byś mówił na ten temat z matką, będę ci wdzięczny, jeżeli napomkniesz, że właśnie jestem przeciwny. Możesz nawet wtrącić, że ci odmówiłem.

Joe wyszczerzył zęby, a Tom roześmiał się głośno.

– Da jej się tata przekonać? – zapytał Tom.

Samuel spojrział spode łba na synów.

– Ja jestem twardy człowiek – odparł. – Jak sobie raz coś powiem, wołami mnie nie ruszysz. Rozpatrzyłem to ze wszystkich punktów widzenia i słowo się rzekło: Joe nie może jechać. Nie chcielibyście chyba, żebym z gęby robił cholewę, co?

– Zaraz pójde pomówić z matką – oświadczył Joe.

– No, no, synu... powoli! – zawołał za nim Samuel. – Potrząśnijże głową. Pozwól jej, żeby sama do tego doszła. A tymczasem ja popracuję nad tą moją uparciuchą.

W dwa dni później wyruszył w drogę duży wóz wyładowany belkami i sprzętem. Tom powoził czterema końmi, a obok niego siedzieli dyndając nogami Samuel i Joe.

ROZDZIAŁ XVII

1

Kiedy powiedziałem, że Cathy jest potworem, zdawało mi się, że tak jest w istocie. Teraz pochylałam się z lupą nad jej wizerunkiem, odczytując objaśnienia, i zastanawiam się, czy to prawda. Cały szkopuł w tym, że skoro nie mamy sposobu dowiedzieć się, czego chciała, nie dowiemy się również nigdy, czy to osiągnęła, czy nie. Jeżeli zamiast ku czemuś dążyć, przed czymś uciekała, niepodobna wiedzieć, czy zdołała się wymknąć. Kto wie, czy nie usiłowała wyjaśnić komuś lub wszystkim, jaka naprawdę jest, a nie mogła z braku wspólnego języka? Może właśnie jej życie było dla niej tym językiem, formalnym, w pełni rozwiniętym, a niemożliwym do rozszyfrowania. Łatwo jest powiedzieć, że była zła, ale to niewiele znaczy, jeżeli nie wiemy, dlaczego.

Odtwarzam sobie w myśli obraz Cathy siedzącej spokojnie w oczekiwaniu na zakończenie ciąży, mieszkającej na farmie, której nie lubiła, z człowiekiem, którego nie kochała.

Siedziała w swoim fotelu pod dębem, ze splecionymi dłońmi, otoczona miłością i opieką. Pogrubiała mocno, anormalnie nawet jak na czasy, kiedy kobiety szczyły się dużymi dziećmi i z dumą obliczały każdy funt przybytku na wadze. Była zniekształcona; brzuch obrzmiały, ciężki i rozdęty uniemożliwiał jej utrzymanie się w pozycji stojącej bez oparcia się o coś rękami. Ale to wielkie rozdęcie było miejscowe. Ramiona, szyja, ręce, dłonie i twarz nie zmieniły się wcale, pozostały smukłe i dziewczęce. Piersi jej się nie powiększyły, a sutki nie pociemniały. Gruczoły mleczne nie zaczęły działać, fizycznie nic nie gotowało się w niej na karmienie nowo narodzonego. Kiedy siedziała za stołem, nie sposób było w ogóle zauważyć, że jest w ciąży.

W owych czasach nie mierzono jeszcze szerokości miednicy, nie przeprowadzano badań krwi, nie dawano wapna na wzmocnienie. Kobieta mogła mieć dziwne gusty – niektórzy twierdzili, że zwłaszcza do różnych paskudztw, co przypisywano naturze Ewy, na zawsze obciążonej karą za grzech pierworodny.

Osobliwe apetyty Cathy były nieskomplikowane w porównaniu do zachcianek innych kobiet. Cieśle odnawiający stary dom skarżyli się, że nie mogą upilnować

kredy, którą nacierali sznury do znakowania desek. Przeliczone sztyfty znikają ustawicznie. Cathy kradła je i łamała na kawałeczki, które nosiła w kieszeni fartucha, i kiedy nikogo nie było w pobliżu, kruszyła miękki wapień między zębami. Mówiła bardzo niewiele. Oczy miała jakieś dalekie. Było to tak, jak by gdzieś odjechała, pozostawiając na miejscu oddychającą kukłę, ażeby ukryć swą nieobecność.

Wokoło niej wrzała praca. Adam radośnie planował i tworzył swój Eden. Samuel z synami wywiercił studnię na czterdzieści stóp głęboką i wpuścił do niej nowomodne, kosztowne cembrowiny z metalu, gdyż Adam chciał mieć najlepsze.

Hamiltonowie przenieśli świder w inne miejsce i rozpoczęli następne wiercenie. Sypiali obok w namiocie i gotowali sobie na ognisku. Jednakże któryś z nich stale jeździł do domu po jakieś narzędzie lub z wiadomością.

Adam trzepotał się wśród tego wszystkiego jak pszczoła oszołomiona nadmiarem kwiatów. Siadywał obok Cathy i gwarzył o świeżo przysłanych sadzonkach rabarbaru. Szkicował dla niej nowe łopatki do wiatraka, które obmyślił Samuel. Miały zmienny skok i były czymś zupełnie niesłychanym. Jeździł na miejsce wiercenia i hamował pracę swoim zainteresowaniem. I naturalnie, o ile z Cathy omawiał studnie, to znów przy wierceniu mówił wyłącznie o porodach i pielęgnowaniu dzieci. Były to szczęśliwe chwile dla Adama – najszcześniejsze. Czuł się królem swojego szerokiego, rozległego życia. A lato przechodziło w upalną i wonną jesień.

2

Obok rozpoczętego wiercenia Hamiltonowie skończyli właśnie drugie śniadanie złożone z upieczonego przez Lizę chleba z serem i jadowicie mocnej kawy, którą ugotowali sobie w blaszance nad ogniem. Joe'emu kleiły się oczy, toteż przemyślał, jakby tu wyrwać się w krzaki na krótką drzemkę.

Samuel klęczał na piaszczystej ziemi, oglądając poszarpane i wyszczerbione krawędzie wiertła. Tuż przed przerwą śniadaniową świder natrafił na głębokości trzydziestu stóp na coś, co pokancerowało stal, jak gdyby było ołowiem. Samuel oskrobał scyzorykiem krawędzie ostrza i przypatrywał się okruchom trzymanym na dłoni. Oczy błyszczały mu dziecinnym podnieceniem. Wyciągnął rękę i zsywał zeszkrobane okruchy na dłoń Toma.

– Przyjrzyj się temu, synku. Jak myślisz, co to jest?

Joe przywędrował od namiotu. Tom oglądał drobiny.

– Nie wiem, co to takiego, ale twarde – powiedział.

– Chyba nie może być taki wielki diament? Wygląda na metal. Myśli tata, żeśmy się dowiercili do jakiejś zakopanej lokomotywy?

Ojciec roześmiał się.

– Na głębokości trzydziestu stóp! – powiedział z podziwem.

– Wygląda jak stal narzędziowa – rzekł Tom. – Nie mamy nic takiego, co by to mogło nadgryźć.

W tej chwili zauważył nieobecny, radosny wyraz twarzy ojca i przeniknął go dreszcz podzielanego zachwycenia. Dzieci Hamiltona lubiły, kiedy myśl ojca zaczynała bujać swobodnie. Świat wtedy zaludniał się cudami.

Samuel rzekł:

– Metal, powiadasz. Myślisz, że stal. Tomie, ja najpierw postaram się zgadnąć, a potem wezmę próbkę. Teraz posłuchaj, czego się domyślam, i zapamiętaj to sobie. Wydaje mi się, że znajdziemy w tym nikiel, może srebro, a także węgiel i mangan. Jakże bym chciał to wykopać! A wszystko siedzi w morskim piasku. Bo taki właśnie wybieraliśmy.

– Więc tata myśli, że z czym to jest... z niklem, ze srebrem...

– Musiało się to stać przed długimi tysiącami wieków – zaczął Samuel, a synowie wyczuli, że to widzi. – Możliwe, że wszędzie tu była woda, śródlądowe morze, nad którym z krzykiem krążyły ptaki. A pięknie musiało wyglądać, jeżeli zdarzyło się to w nocy. Najpierw pokazała się jasna smuga, potem pręga białego światła, wreszcie pióropusz oślepiającego blasku spadający długim łukiem z nieba. Następnie wystrzeliła ogromna fontanna wody, a nad nią podniósł się wielki grzyb pary. A huk by was ogłuszył, bo straszliwy łoskot runąłby na was jednocześnie z owym wybuchem wody. I zaraz po tym oślepiającym świetle zrobiła się czarna noc. Stopniowo moglibyście dojrzeć wypływające na wierzch zabite ryby, srebrzyste w świetle gwiazd, i ptaki, które zlatywały się z wrzaskiem, żeby je pożreć. Pięknie i smutnie wyobrażać sobie coś takiego, nie?

Tak jak zawsze gdy go słuchali, stanęło im to wszystko przed oczami.

Tom spytał cicho:

– Tata myśli, że to meteoryt, tak?

– Otóż właśnie, a możemy przekonać się z próbki.

– No to wykopmy go! – zawołał z zapalem Joe.

– Ty sobie kop, Joe, a my będziemy szukali wody.

Tom zapytał poważnym tonem:

– A gdyby próbka wykazała sporo niklu i srebra, to nie opłaciliby się go wykopać?

– Ty jesteś moim nieodrodnym synem – powiedział Samuel. – Przecież nie wiemy, czy jest wielki jak chałupa, czy mały jak kapelus.

– Ale można by zrobić próbne kopanie i zobaczyć.

– To i owszem, ale tylko po cichu i chowając nasze myśli pod korcem.

– Jak to, dlaczego?

– Słuchajże, Tomie, nie masz ty wcale serca dla matki? I tak sprawiamy jej dość zmartwienia, synku. Powiedziała mi wyraźnie, że jeżeli jeszcze raz wydam jakieś pieniądze na patenty, to ją popamiętamy. Zlitujże się nad nią! Nie czujesz, jak by jej było wstyd, gdyby ktoś spytał, co robimy? Matka jest prawdomówną kobietą. Musiałaby odpowiedzieć: “Odkopują gwiazdę”. – Roześmiał się wesoło. – Nigdy by tego nie przeżyła. A dałaby nam bobu! Przez trzy miesiące ani jednego placka.

– Nie możemy tego przewiercić – odezwał się Tom.

– Musimy przenieść się w inne miejsce.

– Wpuszczę tam trochę prochu – odrzekł ojciec – jeżeli tego nie rozsadzi, zaczniemy nowe wiercenie. – Wstał. – Muszę jechać do domu po proch i żeby naostrzyć świder. Może byście chłopcy, machnęli się ze mną, to zrobimy matce niespodziankę i będzie przez całą noc coś pitrasila i narzekała. W ten sposób nie pokaże po sobie zadowolenia.

– Ktoś tu jedzie, i to szybko – powiedział Joe.

Rzeczywiście dojrzeli jeźdźca pędzącego ku nim wyciągniętym galopem, ale jeźdźca osobliwego, który majtał się na swoim wierzchowcu niczym uwiązany kurczak. Kiedy się zbliżył, poznali, że to Li; łokcie latały mu jak skrzydła, a warkocz tańczył na wszystkie strony niby wąż. Było zadziwiające, że Chińczyk w ogóle trzymał się na koniu, a co więcej, gnał pełnym cwałem. Ściągnął wodze, dysząc ciężko.

– Pan Adam mówi psyjść! Pani Cathy źle... psyjść sybko... pani ksycy, wzescy.

– Czekajże, Li – rzekł Samuel. – Kiedy to się zaczęło?

– Chyba podczas śniadania.

– W porządku. Uspokój się. A co Adam?

– Pan Adam zwajował. Ksycy... śmieje... lobi wymioty.

– Jasne – rzekł Samuel. – Ci niedoświadczeni ojcowie! Kiedyś też taki byłem. Tom, wrzuć mi siodło na kobyłę, dobrze?

– A co to się stało? – zapytał Joe.

– No, przecież pani Trask rodzi dziecko. Obiecałem Adamowi, że pomogę.

– Tata? – spytał Joe.

Samuel utkwiał wzrok w najmłodszym synu.

– Was obu też wprowadziłem na ten świat – powiedział – a jak dotąd, niczym nie zdradziście, że uważacie to za złą przysługę wyrządzoną światu. Tom, pozbieraj wszystkie narzędzia. Jedź na ranczo i naostrz świder. Przywieź tę skrzynkę z prochem, co stoi na półce w warsztacie, a jedź z nią ostrożnie, jeżeli ci miłe ręce i nogi. Joe, ty zostaniesz tutaj i będziesz wszystkiego pilnował.

– Ale co ja tu będę robił sam jeden? – zapytał żałośnie Joe.

Samuel milczał przez chwilę. Potem zapytał:

– Joe, czy ty mnie kochasz?

– No pewnie.

– Gdybyś się dowiedział, że popełniłem jakąś wielką zbrodnię, wydałbyś mnie policji?

– Co też ojciec mówi!

– Wydałbyś?

– Nie.

– No, to w porządku. W moim koszyku, pod ubraniem, znajdziesz dwie książki – nowe, więc obchodź się z nimi delikatnie. To są dwa tomy napisane przez człowieka, o którym jeszcze będzie głośno na świecie. Możesz je zacząć czytać, jeżeli chcesz, a to ci trochę otworzy oczy. Tytuł jest *Zasady psychologii*, a napisał to jeden jegomość ze wschodnich stanów nazwiskiem William James. Nic wspólnego z tym bandytą, co obrabowuje pociągi. I słuchaj, Joe, jeżeli kiedykolwiek piśniesz słówko o tych książkach, to cię wypędzę z rancza. Bo gdyby matka dowiedziała się, że wydałem na nie pieniądze, wygnałaby mnie samego.

Tom przyprowadził mu osiodłanego konia.

– A ja mogę potem przeczytać? – spytał.

– Tak – odrzekł Samuel przerzucając lekko nogę przez siodło. – No, jazda, Li! Chińczyk chciał ruszyć galopem, ale Samuel go powstrzymał.

– Spokojnie, Li. Poród na ogół trwa dłużej, niż myślisz.

Przez pewien czas jechali w milczeniu, a potem Li powiedział:

– Szkoda, że pan kupił tę książkę. Mam ją w skrócie, w jednym tomie, jako podręcznik. Mogłem panu pożyczyć.

– Nie może być! A dużo masz książek?

– Tutaj niewiele; trzydzieści czy czterdzieści. Ale służę panu każdą, której pan jeszcze nie czytał.

– Dziękuję, Li. Możesz być pewien, że je obejrzę przy pierwszej okazji. Wiesz co? Mógłbyś pogadać z moimi chłopakami. Joe jest trochę wietrznik, ale Tom ma dobrze w głowie i to by mu doskonale zrobiło.

– Ciężki to most do przebycia, proszę pana. Onieśmiela mnie rozmawianie z kimś nowym, ale spróbuję, jeżeli pan sobie życzy.

Jechali szybko w stronę małego parowu, gdzie stał dom Trasków. Samuel zapytał:

– Powiedz mi, jak tam młoda matka?

– Wolalbym, żeby pan sam zobaczył i sam wyciągnął wnioski – odrzekł Li. – Wie pan, jak człowiek przebywa w samotności tyle co ja, umysł może mu zboczyć na jakąś irracjonalną styczną tylko dlatego, że jego społeczny świat jest wywichnięty.

– Tak, wiem. Ale ja nie żyję samotnie, a też jestem na jakiejś stycznej. Tylko może nie na tej samej.

– Więc pan nie myśli, że to moja imaginacja?

– Nie wiem, co to jest, ale dla uspokojenia powiem ci, że także wyczuwam tu coś dziwnego.

– Zdaje się, że i u mnie rzecz się do tego sprowadza – rzekł Li. Uśmiechnął się.

– Jednakże powiem panu, jak daleko to we mnie zaszło. Odkąd tu jestem, łapię się na rozmyślaniu o chińskich bajkach, które opowiadał mi ojciec. My, Chińczycy, mamy pięknie rozbudowaną demonologię.

– Myślisz, że ona jest demonem?

– Oczywiście, że nie – odparł Li. – Przypuszczam, że już trochę odszedłem od takich głupstw. Nie mam pojęcia, co to jest. Wie pan, służący nabiera umiejętności wyczuwania, skąd wiatr wieje, i oceniania klimatu domu, w którym pracuje. Ale tutaj jest jakaś dziwność. Może to właśnie przywodzi mi na pamięć demony mojego ojca.

– Czy twój ojciec w nie wierzył?

– Ach, nie. Tylko uważał, że powinienem poznać tradycję. Wy, ludzie Zachodu, także przechowujecie sporo mitów.

– Powiedz mi, co się stało, że jesteś taki podminowany? – rzekł Samuel. – No, wiesz, dziś rano.

– Gdyby pan tam nie szedł, może bym i spróbował – odparł Li. – Ale wolę nie. Sam pan zobaczy. Może ja zwariowałem. No, oczywiście pan Adam jest w takim napięciu, że może trzasnąć jak struna od banjo.

– Dajże mi jakąś wskazówkę. To zaoszczędzi trochę czasu. Cóż ona zrobiła?

– Nic. Właśnie w tym sęk. Proszę pana, ja już bywałem przy porodach, i nawet przy niejednym, ale to jest dla mnie coś nowego.

– Ale co?

– To jest... czy ja wiem... powiem panu jedyną rzecz, jaka mi przychodzi do głowy. To o wiele bardziej przypomina zażartą walkę na śmierć i życie niż poród.

Kiedy wjeżdżali do parowu, pod dęby, Samuel powiedział:

– Mam nadzieję, żeś mnie nie wytrącił z równowagi, Li. To bardzo dziwny dzień i sam nie wiem dlaczego.

– Nie ma wiatru – odparł Li. – Dziś jest pierwszy dzień od miesiąca, kiedy nie ma wiatru po południu.

– Otóż właśnie. Wiesz, taki byłem zaprzątnięty robotą, że nie zauważyłem, jak dzień wygląda. Najpierw znaleźliśmy zagrzebaną gwiazdę, a teraz znowu jedziemy wykopać nowiutkiego człowieka. – Spojrzał poprzez gałęzie dębów na wzgórza oblane złotym światłem. – Cóż to za cudowny dzień na narodziny! – rzekł. – Jeśli znaki mają jakiś wpływ na ludzkie życie, to chyba piękne będzie to, które się dziś zaczyna. Ale posłuchaj, Li. Jeżeli Adam nie zrobi niespodzianki, będzie mi na pewno zawadzał. Bądź gdzieś pod ręką, dobrze? Na wypadek gdybym czegoś potrzebował. Patrzajże: robotnicy, cieśle siedzą tam sobie pod drzewem.

– Pan Adam kazał przerwać pracę. Uważał, że kucie będzie przeszkadzało żonie.

Samuel powiedział:

– Bądź pod ręką. Z tego widać, że Adam nie zrobi niespodzianki. Nie wie, że jego żona nie dosłyszałaby nic, choćby sam Bóg bębnił palcami po niebie.

Siedzący pod drzewem robotnicy zamachali do niego rękami.

– Jak pan się ma, panie Hamilton? Jak rodzina?

– Doskonale, doskonale. Patrzajcie... toż to Królik Holman! Gdzieżeś bywał, Króliku?

– Jeździłem szukać złota, panie Hamilton.

– No i znalazłeś, Króliku?

– Gdzie tam, panie! Nawet nie mogłem znaleźć tego muła, com na nim wyjechał.

Zbliżali się do domu. Li powiedział szybko:

– Jeżeli pan będzie miał kiedyś chwilę czasu, chciałbym coś panu pokazać.

– A co takiego, Li?

– Ano, próbowałem przetłumaczyć kilka starych chińskich poezji na angielski. Nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe. Zechce pan rzucić okiem?

– Bardzo chętnie, Li. Przecież to będzie dla mnie uczta.

3

Biały dom Bordonich stał milczący, niemal posepnie milczący, a żaluzje w oknach były spuszczone. Samuel zsiadł przed gankiem, odczepił od siodła wypchane sakwy i oddał konia Chińczykowi. Zapukał do drzwi, ale nikt się nie zjawił, więc wszedł. W bawialni wydało mu się ciemno po świetle słonecznym. Zajrzał do kuchni, którą Li wyszorował do czysta. Na blasze perkotał szary kamienny imbryk z kawą. Samuel zapukał lekko do drzwi sypialni i wszedł.

Wewnątrz było ciemno, choć oko wykol, bo nie tylko puszczano tu żaluzje, ale jeszcze pozasłanianie okna kocami. Cathy leżała na wielkim łóżku z kolumienkami, a Adam siedział obok niej z twarzą wtuloną w kołdrę. Podniósł głowę i obejrzał się za siebie nie widzącymi oczyma.

Samuel zapytał wesoło:

– Dlaczego siedzicie po ciemku?

Głos Adama był chrapliwy.

– Bo Cathy nie chce światła. Razi ją.

Samuel wszedł do pokoju, a z każdym krokiem rosła w nim stanowczość.

– Światło będzie potrzebne – powiedział. – Niech ona zamknie oczy. Jeżeli chce, mogę je przewiązać kawałkiem czarnego materiału.

Podszedł do okna i chwycił koc, żeby go ściągnąć, lecz Adam przyskoczył doń, nim zdążył szarpnąć materiał.

– Zostaw! Oczy ją bolą od światła – powiedział zaciekle.

Samuel obrócił się do niego.

– Posłuchaj, Adamie. Ja cię rozumiem. Ale obiecałem, że się tu wszystkim zajmę, i tak zrobię. Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał zająć się także i tobą.

Zerwał koc i podniósł żaluzję, wpuszczając złote popołudniowe światło.

Cathy jęknęła cicho na łóżku, a Adam podbiegł do niej.

– Zamknij oczy, kochanie. Zasłonię ci je kawałkiem materiału.

Samuel złożył sakwy na krzesło i stanął przy łóżku.

– Adamie – powiedział stanowczym głosem. – Teraz poproszę cię, żebyś stąd wyszedł i nie wchodził do tego pokoju.

– Nie, nie mogę. A dlaczego?

– Bo nie chcę, żebyś mi przeszkadzał. Istnieje taki słodki zwyczaj, że w tej sytuacji masz prawo się urżnąć.

– Nie potrafiłbym tego zrobić.

Samuel powiedział:

– Złość we mnie zbiera nie chybko, a obrzydzenie jeszcze wolniej, ale już czuję początki jednego i drugiego. Wyjdiesz stąd i nie będziesz mi przeszkadzał albo ja sobie pójdę i wtedy zostaniesz sam z całym worem kłopotów.

Adam wreszcie wyszedł, a Samuel zawołał za nim z progu:

– Tylko żebyś mi tu nie wpadał, jak coś usłyszysz. Poczekaj, aż do ciebie przyjdę. – Zamknął drzwi, zauważył, że w zamku tkwi klucz i przekręcił go. – On jest wytracony z równowagi i bardzo popędliwy – powiedział. – Kocha panią.

Do tej chwili nie przyjrzał się uważniej Cathy. Teraz spostrzegł prawdziwą nienawiść w jej oczach, nieprzejednaną, morderczą nienawiść.

– Niedługo będzie po wszystkim, kochaneczko. Niech mi pani powie, czy wody już odeszły?

Jej oczy wpatrzyły się wrogo w Samuela, a wargi uniosły, odsłaniając drobniutkie zęby, jak u warczącego psa. Nie odpowiedziała ani słowem.

Popatrzał na nią.

– Nie przyszedłem tu z własnej ochoty, tylko jako przyjaciel – rzekł. – To nie jest dla mnie żadna przyjemność, droga pani. Nie wiem, co pani dolega, i z każdą chwilą coraz mniej mnie to obchodzi. Może potrafię zaoszczędzić pani trochę bólu – kto wie? Zadam jeszcze jedno pytanie. Jeżeli nie dostanę odpowiedzi, jeżeli pani dalej będzie na mnie patrzyła jak zły pies, pójdę sobie i niech pani się tu sama boryka.

Słowa te uderzyły w jej rozsądek jak śrut ciśnięty na wodę. Uczyniła ogromny wysiłek. I Samuel z drzeniem zauważył, że twarz jej się przeobraża, stalowość znika z oczu, wargi przemieniają się z kreski w wygięty łuk, a ich kąciki podnoszą się do góry. Spozstrzegł też ruch jej dłoni; zaciśnięte pięści rozwarły się ukazując wewnętrzną, różową stronę palców. Twarz Cathy stała się młoda, niewinna, dzielna w swej boleści. Przypominało to zmianę jednego przezrocza na drugie w latarni czarnoksiężskiej.

– Wody odeszły o świcie – powiedziała cicho.

– Tak to rozumiem. A bóle były silne?

– Owszem.

– Jak często?

– Nie wiem.

– No, ja jestem w tym pokoju już od kwadransa.

– Miałam dwa razy słabe... mocnych nie było, odkąd pan przyszedł.

– Świetnie. Gdzie pani bielizna?

– Tam, w tym koszyku.

– Wszystko będzie dobrze, kochaneczko – powiedział łagodnie.

Otworzył sakwy, wyjął grubą linę obszytą niebieskim aksamitem, z pętlami na obu końcach. Aksamit był haftowany w setki drobnych różowych kwiatków.

– Liza przysyła pani tę linkę do ciągnięcia – powiedział. – Zrobiła ją, kiedy się spodziewała swego pierworodnego. Jeżeli policzyć dzieci nasze i różnych przyjaciół, to ta linka wyciągnęła już sporo ludzi na świat.

Założył obie pętle na kolumnienki w nogach łóżka.

Nagle oczy Cathy zaszyły mgłą, plecy wygięły się jak sprężyna, a krew napłynęła do policzków. Samuel czekał na jej krzyk czy jęk i z niepokojem zerkał na zamknięte drzwi. Jednakże krzyk nie nastąpił; stęknęła tylko chrapliwie parę razy. Po kilku sekundach ciało jej się odprężyło, a wyraz nienawiści powrócił na twarz.

Ból targnął nią znowu.

– Teraz było ślicznie – powiedział kojącym tonem Samuel. – Miała pani jeden czy dwa? Bo nie wiem. Im więcej się tego widzi, tym bardziej człowiek się uczy, że nie ma dwóch podobnych. Chyba już obmyję ręce.

Głowa Cathy miotła się z boku na bok.

– Dobrze, dobrze, kochanie – powiedział. – Zdaje się, że już niedługo dzidzius tu będzie. – Położył dłoń na jej czole, gdzie gniewnie ciemniała blizna. – Jakim sposobem to się pani stało? – zapytał.

Poderwała głowę do góry i jej ostre zęby wpiły mu się w dłoń od wierzchu i od spodu, w pobliżu małego palca. Krzyknął z bólu i popróbował wyrwać rękę, lecz Cathy miała szczęki zaciśnięte, a głową targała na wszystkie strony, rozszarpując mu dłoń niczym terier tarmoszący worek. Spomiędzy zwartych zębów dobywał się przenikliwy charkot. Samuel trzepnął ją w policzek, ale bez rezultatu. Odruchowo uczynił to, co by zrobił, żeby poskromić rozjuszonego psa. Lewą ręką chwycił ją za gardło i pozbawił tchu. Szarpała się i haratała mu dłoń, wreszcie szczęki rozwarły się i puściły ją. Ciało było rozorane i krwawiło. Samuel cofnął się od łóżka i przyjrzał ranie zadanej przez jej zęby. Popatrzał na Cathy ze zgrozą. A kiedy spojrział, jej twarz była znowu spokojna, młoda i niewinna.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Och, przepraszam!

Samuel wzdrygnął się.

– To przez ten ból – dodała.

Samuel zaśmiał się krótko.

– Zdaje się, że będę musiał nałożyć pani kaganiec – rzekł.

– Kiedyś zrobiła mi to samo suka collie.

Spostrzegł, że z jej oczu wyjrzała na sekundę nienawiść, a potem skryła się znowu.

– Nie ma pani czegoś, żeby na to przyłożyć? – zapytał.

– Ludzie bywają bardziej jadowici od węży.

– Kiedy nie wiem co.

– Może tu jest gdzieś trochę whisky? Mógłbym to sobie nią polać.

– W drugiej szufladzie.

Pokropił krwawiącą dłoń i ścisnął skórę, żeby złagodzić szczypanie alkoholu. Trzęsło go mocno w środku, a w oczach mu się ćmiło. Pociągnął łyk whisky, żeby się uspokoić. Bał się znów spojrzeć na łóżko.

– Teraz ta ręka nie na wiele mi się przyda – rzekł.

Później Samuel opowiadał Adamowi: “Ona chyba musi być z fiszbinu. Urodził się, zanim zdążyłem się przygotować. Wyskoczył jak ziarnko. Nie miałem czasu naszykować wody, żeby go obmyć. Ba, nawet nie tknęła linki, żeby się przytrzymać. Czysty fiszbin, ot co”.

Skoczył do drzwi i zawołał, żeby Li przyniósł gorącą wodę. Adam wpadł jak burza do pokoju.

– Chłopak! – krzyknął Samuel. – Masz syna! Spokojnie – dodał, bo Adam zobaczył, co się dzieje na łóżku i twarz mu zzieleniała.

Samuel powiedział:

– Przyślij tu Li. A ty, Adamie, jeżeli masz jeszcze jakąś władzę nad własnymi rękami i nogami, idź do kuchni i zrób mi trochę kawy. I sprawdź, czy lampy są napełnione, a klosze czyste.

Adam zawrócił jak ożywiony trup i wyszedł z pokoju. Po chwili zajrzał Li. Samuel wskazał mu zawiniątko leżące w koszyku do bielizny.

– Opłucz go gąbką w ciepłej wodzie, Li. Uważaj, żeby go nie zawiało. Boże, chciałbym, żeby tu była Liza! Nie mogę robić wszystkiego naraz.

Obrócił się do łóżka.

– No, kochaneczko, teraz panią obmyję. Cathy była znowu skrecona i charczała z bólu.

– Zaraz przejdzie – powiedział Samuel. – Trzeba jeszcze trochę czasu na te wszystkie resztki. Ale pani jest szybka! Przecież pani nawet nie musiała ciągnąć za linkę Lizy.

– Dojrzał coś, wytrzeszczył oczy i przyskoczył do niej.

– Boże najświętszy! Drugi!

Pracował błyskawicznie; drugie dziecko, podobnie jak pierwsze, narodziło się niewiarygodnie prędko. I znowu Samuel podwiązał pępowinę. Li wziął drugiego chłopaczka, obmył go, zawinął w prześcieradło i ułożył w koszyku.

Samuel usunął pozostałości i dźwignąwszy delikatnie matkę, zmienił pościel na łóżku. Czuł w sobie niechęć do spojrzenia w twarz Cathy. Spieszył się, jak mógł, bo pogryziona ręka mu drętwiała. Naciągnął Cathy czyste, białe prześcieradło pod brodę i podniósł ją nieco, by wsunąć jej świeżą poduszkę pod głowę. W końcu musiał na nią spojrzeć.

Złote włosy miała zlepione od potu, ale jej twarz się zmieniła. Była kamienna, pozbawiona wyrazu. Na szyi pulsowało widoczne tętno.

– Ma pani dwóch synów – powiedział Samuel. – Dwóch wspaniałych synów. Nie są jednakowi. Każdy urodził się z osobna w swoim własnym łóżysku.

Przyjrzała mu się zimno, bez zaciekawienia.

– Pokażę ich pani – rzekł Samuel.

– Nie – odpowiedziała bez nacisku.

– Jakże, kochaneczko, nie chce pani obejrzeć swoich synów?

– Nie. Nie chcę ich.

– E, to się zmieni. Teraz jest pani zmęczona, ale później będzie co innego. Jedno muszę pani powiedzieć: to był najszybszy i najlżejszy poród, jaki widziałem w życiu.

Oczy Cathy oderwały się od jego twarzy.

– Ja ich nie chcę. Proszę zasłonić okna i zabrać to światło.

– To tylko zmęczenie. Za kilka dni poczuje się pani zupełnie inaczej i nic pani nie będzie pamiętała.

– Będę pamiętała. Proszę wyjść. I zabrać ich stąd. Niech tutaj przyjdzie Adam.

Samuela uderzył ton, jakim to powiedziała. Nie było w nim osłabienia, zmęczenia ani miękkości. Słowa wyrwały mu się mimowolnie.

– Nie lubię pani – powiedział i zaraz pożałował, że nie może wtłoczyć sobie tych słów na powrót do gardła i mózgu. Jednakże na Cathy nie wywarły żadnego wrażenia.

– Proszę tu przysłać Adama – powiedziała.

W małym saloniku Adam rzucił przelotnie okiem na synów, szybko wszedł do sypialni i zamknął drzwi. Po chwili doleciał stamtąd odgłos stukania. Adam z powrotem przybijał koce na oknach.

Li przyniósł Samuelowi kawę.

– Niedobrze wygląda ta pańska ręka – powiedział.

– Wiem. Obawiam się, że będę miał z nią kłopot.

– Dlaczego ona to zrobiła?

– Nie mam pojęcia. Dziwna istota.

– Niech pan mi pozwoli to opatrzyć – rzekł Li. – Może pan stracić rękę.

Samuel był jak zmartwiały.

– Rób, co chcesz, Li. Straszliwy smutek ściska mi serce. Chciałbym być teraz dzieckiem, żeby móc płakać. Za stary jestem, żeby tak się bać. A nie czułem podobnej rozpacz, odkąd dawno temu skonał mi w rękę ptak, którego wyciągnąłem z wody.

Li wyszedł z pokoju i niebawem wrócił niosąc małe hebanowe puzderko, rzeźbione w powykręcane smoki. Usiadł obok Samuela i wyjął z puzderka chińską brzytwę o klinowatym ostrzu.

– Będzie bolało – powiedział cicho.

– Postaram się wytrzymać, Li.

Chińczyk przygryzł wargi czując w sobie zadawany ból, gdy wbijał brzytwę głęboko w dłoń. Rozciął ciało wokół śladów zębów z wierzchu i od spodu i wykrajał poszarpane strzępki, aż zdrowa, czerwona krew spłynęła ze wszystkich ran. Potrząsnął buteleczką żółtego płynu z etykietą "Emulsja kremowa Halla" i polał nim głębokie nacięcia. Namoczył chustkę w płynie i obwiązał nią dłoń. Samuel krzywił się z bólu i ścisnął poręcz fotela zdrową ręką.

– To jest głównie kwas karbolowy – powiedział Li. – Pewnie pan czuje.

– Dziękuję ci, Li. Obwijasz mnie jak niemowlaka.

– Myślę, że nie potrafiłbym usiedzieć tak spokojnie – rzekł Li. – Przyniosę panu jeszcze filiżankę kawy.

Wrócił z dwiema filiżankami i siadł obok Samuela.

– Chyba stąd odejdę – powiedział. – Nigdy nie chodziłem dobrowolnie do rzeźni.

Samuel zeszywniał.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Tak mi się powiedziało.

Samuel wzdrygnął się.

– Li, ludzie są głupcami. Zdaje się, że mi to nie przyszło do głowy, ale Chińczycy to także głupcy.

– Cóż panu kazało o tym wątpić?

– Ano, może to, że cudzoziemców zawsze uważamy za silniejszych i mądrzejszych od nas.

– Co pan chce powiedzieć?

Samuel odrzekł:

– Może i potrzebna jest głupota, te wszystkie walki ze smokami, chępliwość, żalosna odwaga polegająca na tym, że wciąż się rzuca wyzwaniem Panu Bogu – i dziecinny lęk, który o zmroku przemienia w upióra zeschłe drzewo stojące przy drodze. Może to jest dobre i potrzebne, ale...

– Co pan chce powiedzieć? – powtórzył cierpliwie Li.

– Wydało mi się, że jakiś powiew rozdmuchał żar w mojej głupiej głowie – ciągnął Samuel. – A teraz słyszę w twoim głosie, że z tobą jest to samo. Czuję skrzydła ponad tym domem. Czuję tu nadchodzącą potworność.

– Ja także.

– Wiem, i dlatego nie jest mi tak dobrze jak zwykle z moimi głupstwami. Ten poród był za szybki, za łatwy – zupełnie kotka rodząca swoje małe. I boję się o te małe. Okropne myśli wżerają mi się w mózg.

– Co pan chce powiedzieć? – zapytał Li po raz trzeci.

– Chcę teraz mieć przy sobie moją żonę! – zawołał Samuel. – Dość majątków, duchów i innych bzdur. Chcę ją mieć tutaj. Mówią, że górnicy biorą ze sobą do szybu kanarki, aby wypróbować powietrze. Liza nie bawi się w żadne głupstwa. Słuchaj, Li, jeżeli ona zobaczy ducha, to to będzie duch, a nie jakieś przywidzenie. Jeżeli Liza poczuje, że tu się święci coś złego, zamkniemy drzwi na sztaby.

Li wstał, podszedł do koszyka od bielizny i spojrzał na noworodki. Musiał pochylić się nisko, bo zmierzch szybko zapadał.

– Śpią – powiedział.

– Nie bój się, niedługo zaczną wrzeszczeć. Mógłbyś zaprząć do bryczki i pojechać do mnie po Lizę? Powiedz jej, że jest mi tu potrzebna. Jeżeli Tom jeszcze tam siedzi, niech pilnuje domu. Jeżeli nie, odeślę go jutro rano. A jak by Liza nie chciała przyjechać, wytłumacz, że potrzebujemy tu kobiecej ręki i bystrego oka. Zrozumie, o co idzie.

– Pojadę – odrzekł Li. – Możliwe, że napędzamy sobie wzajemnie stracha jak dwa dzieciaki po ciemku.

– Przyszło mi to do głowy – odparł Samuel. – I słuchaj, Li, powiedz jej, że skaleczyłem się w rękę przy wierceniu. Na miłość boską nie mów, jak to się stało.

– Zapalę lampy i zaraz pojadę – rzekł Li. – To będzie wielka ulga mieć ją tutaj.

– Na pewno, Li. Na pewno. Wpuści trochę światła do tego lochu.

Kiedy Li odjechał wśród mroku, Samuel wziął lewą ręką lampę naftową. Musiał postawić ją na podłodze, żeby nacisnąć klamkę drzwi sypialnego pokoju. Wewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności; żółte światło lampy popłynęło do góry i nie oświetliło łóżka.

Doleciał go mocny, kanciasty głos Cathy:

– Proszę zamknąć drzwi. Nie chcę światła. Adamie, wyjdź! Chcę zostać po ciemku, sama.

– Muszę być przy tobie – rzekł Adam chrapliwym głosem.

– Nie chcę ciebie.

– Zostanę tu.

– To zostań. Ale nic nie mów. Proszę zamknąć drzwi i zabrać lampę.

Samuel wrócił do bawialnego pokoju. Postawił lampę na stole obok koszyka do bielizny i popatrzał na maleńkie twarzyczki śpiących noworodków. Powieki miały zaciśnięte i lekko prychnęły z niezadowolenia, gdy na nich padło światło. Samuel dotknął ciepłych czółek wskazującym palcem. Jeden z bliźniaków otworzył usta, ziewnął potężnie i zasnął znowu. Samuel zabrał lampę, podszedł do drzwi frontowych, otworzył je i wyszedł na dwór. Gwiazda wieczorna świeciła tak jasno, że zdawała się rozplomieniać ogniem i spalać, w miarę jak się zniżala ku górom w stronie zachodniej. Powietrze było nieruchome i Samuel czuł zapach nagrzanego za dnia bożydrzewu. Noc była bardzo ciemna. Samuel drgnął usłyszawszy głos, który przemówił z czarnego mroku.

– Jak ona się czuje?

– Kto to?

– Ja, Królik. – Robotnik wynurzył się z ciemności i zarysował w świetle padającym z drzwi.

– Matka, Króliku? A, świetnie.

– Li mówił, że to bliźniaki.

– Tak jest. Dwóch synów. Nie może być nic lepszego. Zdaje się, że pan Trask teraz przewróci świat do góry dnem. Chyba obsypie ją słodkościami.

Samuel sam nie wiedział, dlaczego zmienił temat.

– Króliku, a wiesz, do czegośmy się dzisiaj dokopali? Do meteorytu.

– Co to takiego, panie Hamilton?

– Spadająca gwiazda, która zleciała tu przed milionami lat.

– Niemożliwe! Patrzajcie, ludzie. A co pan sobie zrobił w rękę?

– O mało nie powiedziałem, że się skaleczył o tę spadającą gwiazdę – roześmiał się Samuel. – Ale to nie było takie ciekawe. Skaleczyłem się o świder.

– Mocno?

– Nie, nie bardzo.

– Dwa chłopaki – powiedział Królik. – Moja stara będzie zazdrosna.

– Może wejdiesz do środka i siądziesz, Króliku?

– Nie, nie, dziękuję panu. Pójdę już spać. Im dłużej żyję, tym ranek jakby wcześniej przychodzi z każdym rokiem.

– Prawda, Króliku. No, to dobranoc.

Liza Hamilton przyjechała około czwartej nad ranem. Samuel spał w fotelu; śniło mu się, że chwycił ręką sztabę żelazną rozżarzoną do białości i nie mógł jej

puścić. Liza zbudziła męża i obejrzała jego dłoń, jeszcze zanim rzuciła okiem na noworodki. Krzątając się zręcznie około rzeczy, które on robił nieporadnie, po męsku, wydała mu szereg poleceń i z miejsca wyprawiła w drogę. Kazała mu wstać natychmiast, osiodłać Doksologię i jechać prosto do King City. Bez względu na porę miał obudzić tego nicponia doktora i kazać opatrzyć sobie rękę. Jeżeli nie ma nic poważnego, może jechać do domu i tam zaczekać. A poza tym to zbrodnia zostawić najmłodszego syna, jeszcze prawie dziecko, i kazać mu siedzieć bez opieki przy tej dziurze w ziemi. Taka rzecz może zwrócić na siebie uwagę Pana Boga we własnej osobie.

Jeżeli Samuel pożył realizmu i energii, to teraz je miał. Liza wyprawiła go w drogę o świcie. O jedenastej miał już obandażowaną rękę, a o piątej po południu siedział we własnym fotelu przy własnym stole, kipiąc od gorączki, Tom zaś gotował mu rosół z kury.

Trzy dni przeleżał Samuel w łóżku, borykając się z upiorami gorączki i obrzucając je wyzwiskami, zanim jego wielka siła złamała zakażenie i sromotnie odegnała je precz.

Samuel popatrzał przytomnie na Toma i powiedział: "Muszę już wstać". Spróbował i usiadł bezsilnie z powrotem, chichocząc – co robił zawsze, gdy pokonała go jakakolwiek moc na tym świecie. Miał przeświadczenie, że nawet pobity może skraść odrobinę zwycięstwa, śmiejąc się z klęski. A Tom karmił go rosołem z kury tak długo, że Samuelowi przyszła w końcu chętka go zabić. Owa metoda nie zniknęła dotychczas ze świata i nadal można znaleźć ludzi, którzy wierzą, że rosół leczy każdą chorobę czy okaleczenie, a jest też wcale niezły w dzień pogrzebu.

Liza siedziała u Trasków cały tydzień. Wysprzątała dom od góry do dołu, wypucowała podłogi do surowego drewna. Wyszorowała wszystko, co tylko zdołała wtłoczyć do szaflika, a opłukała gąbką resztę. Noworodki doprowadziła do ładu i z satysfakcją skonstatowała, że prawie wciąż wrzeszczą i zaczynają przybierać na wadze. Chińczykiem wysługiwała się tak, jak by to był niewolnik, bo nie miała doń pełnego zaufania. Na Adama nie zwracała uwagi, gdyż nie było z niego żadnego pożytku. Wprawdzie kazała mu umyć okna, ale kiedy skończył, zrobiła to sama powtórnie.

Przy Cathy siadywała akurat tyle, ażeby dojść do wniosku, że jest to rozsądna dziewczyna, taka, co to za wiele nie gada i nie stara się być mądrzejsza od własnej babki. Prócz tego poddała ją dokładnym oględzinom i stwierdziła, że jest zupełnie zdrowa i nie poniosła żadnych obrażeń oraz że nigdy nie będzie karmiła bliźniaków.

– To zresztą i dobrze – oświadczyła. – Te dwa wielkie dryblaszy zżarłyby do kości taką kruszynę jak pani.

Nie pamiętała przy tym, że sama jest drobniejsza niż Cathy i że wykarmiła co do jednego wszystkie swoje dzieci.

W sobotę po południu Liza sprawdziła, czy wszystko jest w porządku, zostawiła długą na łokieć listę wskazówek przewidujących wszelkie możliwości od kolki aż po najazd mrówek, spakowała swój koszyk podróżny i kazała Li odwieźć się z powrotem.

We własnym domu zastała istną stajnię brudu i abominacji i zabrała się do oczyszczania go z wigorem i obrzydzeniem Herkulesa wykonującego jedną ze swoich prac. Samuel w przelocie zadawał jej pytania.

– Jak dzieciaki?

– Doskonale, rosną.

– A Adam?

– Ano, rusza się, całkiem jakby był żywy, ale nic z tego nie wychodzi. Pan Bóg w mądrości swojej obdarza pieniędzmi osobliwych ludzi, może dlatego, że inaczej pozdychaliby z głodu.

– A jak pani Trask?

– Spokojna, mdła, jak większość tych bogatych kobiet ze Wschodu – Liza nigdy nie знаła bogatej kobiety ze Wschodu – ale znów z drugiej strony potulna i bardzo na miejscu. I wiesz, dziwna rzecz – mówiła Liza. – Nie mogę się w niej dopatrzeć żadnej

prawdziwej wady poza odrobiną lenistwa, a jakoś mi nie przypadła do serca. Może to przez tę bliznę. Skąd ona ją ma?

– Nie wiem – odrzekł Samuel.

Liza wymierzyła mu między oczy wskazujący palec niczym pistolet.

– Coś ci powiem. Ona nawet nie miarkuje, jak zaczarowała tego swojego męża. Łazi koło niej jak błędny, niczym ta chora kaczka. Nie zdaje mi się, żeby do tej pory porządnie obejrzał bliźniaki.

Samuel wyczekał chwilę, kiedy znów przechodziła, i powiedział:

– No, ale jeżeli ona jest leniwa, a on błędny, to kto się zajmie biednymi dzieciaczkami? Dwóch chłopaków wymaga sporo zachodu.

Liza zatrzymała się w pół obrotu, przysunęła sobie krzesło i usiadła opierając dłonie na kolanach.

– Jeżeli mi nie wierzysz, to pamiętaj, że nigdy nie rzucam słów na wiatr – powiedziała.

– Wiem, że nie potrafisz kłamać, kochaneczko – odrzekł, a ona uśmiechnęła się, biorąc to za komplement.

– No, bo gdybyś nie wiedział, to, co ci teraz powiem, mogłoby trochę zachwiać twoją wiarę.

– Mów.

– Samuelu, znasz tego Chińczyka ze skośnymi ślepiami, dziwaczną mową i warkoczem?

– Li? Jasne, że znam.

– No, a nie powiedziałbyś na pierwszy rzut oka, że to poganin?

– Czy ja wiem...

– Daj spokój, Samuelu, każdy by tak pomyślał, a on nie żaden poganin. – Wyprostowała się.

– A kimże jest?

Postukała go w rękę żelaznym palcem.

– Prezbiterianinem, i to wcale, wcale niegłupim, jak już się coś wyłuska z tej jego durnej gadaniny. No i co ty na to?

Samuelowi głos zadrgał od tłumionego śmiechu.

– Nie może być! – powiedział.

– A ja ci mówię, że tak. No i jak myślisz, kto zajmuje się bliźniakami? Poganinowi nie zaufałam nawet na tyle, co brudu za paznokciami, ale prezbiterianinowi... Wyuczył się wszystkiego, co mu pokazałam.

– Nic dziwnego, że dzieciaki przybierają na wadze – powiedział Samuel.

– To jest rzecz godna dziękczynienia i modlitwy.

– Odprawimy jedno i drugie – rzekł Samuel.

5

Przez tydzień Cathy odpoczywała i zbierała siły. W sobotę .drugiego tygodnia października przesiadła całe rano w sypialni. Adam chciał wejść, ale drzwi znalazł zamknięte.

– Jestem zajęta – zawołała, więc odszedł.

“Pewnie robi porządek w biurku” – pomyślał, gdyż słyszał, że zamyka i otwiera szuflady.

Późnym popołudniem Li podszedł do Adama, który siedział na ganku.

– Pani mówi, żeby ja pojechał King City i kupił buteleckę do kalmienia – powiedział nieswoim głosem.

– No to jedź – odrzekł Adam. – Przecież to twoja pani.

– Pani mówi, żeby ja nie wlać aż do poniedziałka. Żeby ja wziął...

Z progu odezwał się spokojny głos Cathy:

– Od dawna nie miał wolnego dnia. Odpoczynek dobrze mu zrobi.

– Oczywiście – rzekł Adam. – Po prostu o tym nie pomyślałem. Baw się dobrze. Gdybym czegoś potrzebował, wezwę któregoś z cieśli.

– W sobota ludzi idą w dom.

– To zawołam Indianina. Lopez mi pomoże.

Li uczył na sobie wzrok Cathy.

– Lopez pijany. Znalas buteleckę whisky.

Adam powiedział z rozdrażnieniem:

– Nie jestem niedołączny, Li. Przestańże się upierać.

Li spojrzął na Cathy stojącą w progu. Opuścił powieki.

– Może ja włóci późno – rzekł i wydało mu się, że dwie ciemne zmarszczki pojawiły się między jej oczami i zaraz znikły. Odwrócił twarz.

– Do wizenia – powiedział.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, Cathy odeszła do swego pokoju. O wpół do ósmej Adam zapukał do drzwi.

– Przygotowałem dla ciebie kolację, kochanie. Coś lekkiego.

Drzwi otworzyły się natychmiast, jak gdyby za nimi czekała. Ubrana była w swój zgrabny strój podróżny – bramowany czarną taśmą żakiecik z czarnymi aksamitnymi wyłogami i dużymi guzikami dżetowymi. Na głowie miała słomiany kapelusz z szerokim rondem i małą główką, przytrzymywany długimi szpilkami zakończonymi dżetową kulką. Adam otworzył usta ze zdumienia. Nie dała mu dojść do słowa.

– Wyjeżdżam – powiedziała.

– Cathy, co to znaczy?

– Już ci przedtem mówiłam.

– Nic podobnego.

– Nie słuchałeś mnie. A zresztą wszystko jedno.

– Nie wierzę.

Głos jej był martwy i metaliczny.

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Wyjeżdżam.

– A dzieci...

– Wrzuć je sobie do którejś z tych twoich studni.

– Cathy, ty jesteś chora! – krzyknął w przerażeniu. – Nie możesz odejść... nie możesz odejść ode mnie!

– Tobie mogę zrobić wszystko. Każda kobieta może ci zrobić wszystko. Jesteś głupiec.

Słowo to przeniknęło przez jego otumanienie. Bez ostrzeżenia chwycił ją za ramiona i pchnął w tył. Gdy się zachwiała, wyrwał klucz z wewnętrznej strony i zatrzasknąwszy drzwi przekręcił go w zamku.

Stał dysząc, ucho przytknął do drzwi i czuł, że ogarnia go histeryczny, trujący bezwład. Słyszał Cathy poruszającą się spokojnie po pokoju. Otworzyła jakąś szufladę i nagle Adamowi skoczyła do głowy myśl: zostanie! A potem rozległo się ciche szczęknięcie, którego nie mógł rozeznaczyć. Przycisnął ucho do drzwi.

Jej głos odezwał się tak blisko, że Adam odruchowo cofnął głowę. Dosłyszał w nim ciepło.

– Kochany – mówiła. – Nie wiedziałam, że tak to przyjmiesz. Przepraszam cię, Adamie.

Oddech wyrwał mu się chrapliwie z krtani. Drżącą ręką próbował przekręcić klucz, a kiedy mu się wreszcie udało, ten wypadł na podłogę. Szarpnął drzwi. Cathy stała o dwa kroki przed nim. W prawej ręce trzymała jego wielkokalibrowego colta, a czarny otwór lufy wymierzony był wprost w Adama. Postąpił ku niej krok i spostrzegł, że kurek jest odciągnięty.

Strzeliła. Ciężki pocisk grzmotnął go w ramię, rozpląszczył się i wyrwał kawałek łopatki. Adam ogłuszony błyskiem i hukiem zatoczył się w tył i runął na podłogę. Cathy podeszła do niego z wolna, ostrożnie, jak do rannego zwierza. Spojrzał w jej oczy, które przyglądały mu się obojętnie. Rzuciła pistolet na podłogę obok niego i wyszła z domu.

Dosłyszał jej kroki na ganku, potem na zeschniętych szeleszczących liściach dębowych, zaścielających ścieżkę, aż wreszcie ucichły. A ów monotony odgłos, który przez cały czas dolatywał do jego uszu, był krzykiem bliźniaków spragnionych obiadu. Zapomniał ich nakarmić.

ROZDZIAŁ XVIII

1

Horacy Quinn był świeżo mianowanym zastępcą szeryfa i miał za zadanie pilnować porządku w okręgu King City. Narzekał, że ta nowa funkcja zbyt często odrywa go od gospodarstwa. Jego żona narzekała jeszcze bardziej, ale istota sprawy polegała na tym, że odkąd został wiceszeryfem, nie wydarzyło się nic wielkiego z dziedziny kryminalnej, a Horacy spodziewał się, że wyrobi sobie nazwisko i będzie kandydował na szeryfa. Szeryf był urzędnikiem o dużym znaczeniu. Jego funkcja miała większą rangę niż okręgowego prokuratora, była nieomal równie stała i dostojna jak stanowisko sędziego wyższego sądu. Horacy nie chciał siedzieć przez całe życie na ranczo, a jego żonę ciągnęło do Salinas, gdzie miała krewnych.

Kiedy do Horacego dotarła powtórzona przez cieśli i Indianina pogłoska, że Adam Trask został postrzelony, natychmiast osiodłał konia i kazał żonie dokończyć ćwiartowanie wieprza, którego zarznął tegoż rana.

Na północ od ogromnej sykomory, rosnącej w miejscu, gdzie skręca w lewo droga do Hester, Horacy napotkał Juliusza Euskadi. Juliusz właśnie usiłował powziąć decyzję, czy zapolować na przepiórki, czy też jechać do King City i złapać pociąg do Salinas, żeby się trochę przewietrzyć. Euskadiowie byli to ludzie zamożni, dorodni, pochodzenia baskijskiego. Juliusz powiedział:

– Gdybyś się ze mną wybrał, chętnie pojechałbym do Salinas. Podobno zaraz obok Jenny, o dwa domy od Long Green, jest nowy lokal niejakiej Faye. Słyszałem, że pierwszorzędny, zupełnie jak w San Francisco. Nawet grajka tam mają.

Horacy oparł się łokciem o łąk siodła i kańczugiem z surowej skóry spędził muchę, która usiadła koniowi na łopatce.

– Kiedy indziej – powiedział. – Mam teraz coś do zbadania.

– Czyżbyś jechał do Traska?

– A jakże. Słyszałeś już o tym?

– Coś niecoś, ale nie trzyma się to kupy. Pan Trask jakoby postrzelił się w ramię z czterdziestki czwórki, a potem wylał wszystkich z rancza. Jak to można zrobić, żeby postrzelić się w ramię z czterdziestki czwórki, Horacy?

– A bo ja wiem? Ci ze Wschodu to sprytny naród. Pomyślałem, że sam pojedę się dowiedzieć. Zdaje się, że jego żona dopiero co urodziła dziecko?

– Podobno bliźnięta – odrzekł Juliusz. – Może to one go postrzeliły.

– Jeden trzymał pistolet, a drugi ciągnął za spust, co? Słyszałeś coś jeszcze?

– Wszystko mocno pokręcone, Horacy. Może ci potrzeba towarzystwa?

– Nie mam zamiaru mianować cię swoim zastępcą. Szeryf powiada, że inspektorat już robi piekło o listę płacy. Ten Hornby z Alisalu wpisał przed Wielkanocą na zastępczynię swoją cioteczną babkę i trzymał ją przez trzy tygodnie w rezerwie.

– Żartujesz!

– Wcale nie. A poza tym nie dostaje się gwiazdy.

– Psiakrew, to nie chcę być zastępcą. Ale może przejadę się z tobą dla towarzystwa, bom ciekaw.

– Ja też. Chętnie cię zabiorę, Juliuszu. W razie czego mogę na poczekaniu odebrać od ciebie przysięgę. Powiadasz, że jak się nazywa właścicielka tego nowego lokalu?

– Faye. Taka jedna z Sacramento.

– W Sacramento pięknie robią te rzeczy – oświadczył Horacy i kiedy ruszyli, opowiedział, jak robią te rzeczy w Sacramento.

Dzień był przyjemny do konnej jazdy. Skręcając w parów Sanchezów przeklinali kiepskie polowania w ostatnich latach. Trzy rzeczy są teraz do niczego: gospodarka, połowy ryb i polowania – to znaczy w porównaniu z innymi latami. Juliusz mówił:

– Chryste Panie, jaka to szkoda, że tu wytlukli wszystkie szare niedźwiedzie! W osiemdziesiątym ósmym roku mój dziadek zabił koło Pleyto takiego, co ważył tysiąc osiemset funtów.

Zamilkli, kiedy wjechali pod dęby. Milczenie to udzieliło im się od miejsca, w którym się znaleźli. Nie było tu żadnego znaku życia, panowała zupełna cisza.

– Ciekaw jestem, czy już odnowił ten stary dom – powiedział Horacy.

– Gdzie tam! Królik Holman przy tym pracował i opowiadał mi, że Trask zwołał wszystkich i wymówił im pracę. Kazał im więcej nie przychodzić.

– Podobno ten Trask siedzi na pieniądzech.

– Zdaje się, że rzeczywiście nieźle się ma – rzekł Juliusz. – Samuel Hamilton wierci mu cztery studnie, o ile i jego nie spławił.

- Jak tam pan Hamilton? Powinienem do niego pojechać.
- Doskonale. Pełen ikry, jak zawsze.
- Trzeba będzie wybrać się do niego z wizytą – powiedział Horacy.

Li wyszedł na ganek, żeby ich powitać. Horacy zawołał:

- Jak się masz, Czing-Czong! Twój pan w domu?
- On choluje – odrzekł Li.
- Chciałbym się z nim zobaczyć.
- Nie zobaczyć. On choluje.
- Dość tego – rzekł Horacy. – Powiedz mu, że zastępca szeryfa, Quinn, chce się

z nim widzieć.

Li zniknął, a po chwili wrócił.

- Płose wejść – powiedział. – Ja wezme koni.

Adam leżał na szerokim łożu z kolumnkami, na którym urodzili się bliźniacy. Był wysoko podparty poduszkami, a lewe ramię i pierś okrywała mu góra bandażu domowego wyrobu. Pokój zionął "Emulsją kremową Halla".

Horacy opowiadał później żonie: "I jeżeli ktoś kiedyś widział dychającą śmierć, to właśnie jego".

Policzki Adama zapadły się do kości, napinając lśniąca, lepka skórę na nosie. Oczy zdawały się wylazić z orbit i zajmować całą górną część twarzy, a błyszczały chorobliwie, nieruchome, krótkowzroczne. Koścista prawa ręka miętosila pełną garścią koldrę.

Horacy odezwał się:

- Uszanowanie, panie Trask. Słyszałem, że coś się panu stało. – Przerwał czekając na odpowiedź. Po chwili ciągnął dalej: – Przyszło mi do głowy, żeby tu wpaść i dowiedzieć się o pańskie zdrowie. Jakże to się zdarzyło?

Na twarzy Adama odmalował się niepokój. Poruszył się lekko na łożku.

- Jeżeli mówienie sprawia panu ból, może pan odpowiadać szeptem – dorzucił Horacy życzliwie.

- Tylko jak głęboko odetchnę – powiedział cicho Adam. – Czyściłem rewolwer i wypalił mi.

Horacy zerknął na Juliusza, potem znów na Adama. Adam zauważył to spojrzenie i lekki rumieniec zmieszania wystąpił mu na policzki.

- Zdarza się – powiedział Horacy. – Ma pan tu gdzieś tę broń?
- Zdaje się, że Li ją schował.

Horacy podszedł do drzwi.

– Słuchaj ty, Czing-Czong, przynieś mi ten rewolwer.

Po chwili Chińczyk wsunął się przez drzwi trzymając rewolwer kolbą do przodu. Horacy obejrzał go, otworzył bębenek, powypychał naboje i powąchał pustą mosiężną łuskę tego, który był wystrzelony.

– Łatwiej wypalić czyszcząc takie draństwo niż mierząc z niego. Będę musiał spisać raport do okręgu, panie Trask. To nie zabierze panu wiele czasu. Więc pan czyścił lufę, pewnie stemplem, broń wystrzeliła i trafiła pana w ramię?

– Tak jest – powiedział szybko Adam.

– I do czyszczenia nie otworzył pan bębena?

– Tak jest.

– I czyścił pan stemplem, trzymając lufę skierowaną ku sobie, z odwiedzionym kurkiem?

Adam chrapliwie nabrał tchu. Horacy mówił dalej:

– No, to musiało wywalić stempel, który pana przebił na wylot i uszkodził lewą rękę. – Horacy ani na chwilę nie spuszczał z twarzy Adama swoich bezbarwnych, wyblakłych od słońca oczu. Powiedział łagodnie: – No, jak to się stało, panie Trask? Niech pan mi powie.

– Uczciwie mówię, że to był wypadek.

– Przecież nie każe mi pan pisać takiego raportu. Szeryf wziąłby mnie za wariata. Jakże to było?

– Ano, nie bardzo jestem otrzaskany z rewolwerami. Może nie było akurat tak, ale czyściłem broń i wtedy wystrzeliła.

Horacemu coś świszczało w nosie. Musiał odetchnąć przez usta, żeby to przerwać. Podsunął się z wolna do końca łóżka, bliżej głowy i wytrzeszczonych oczu Adama.

– Pan niedawno przyjechał ze Wschodu, prawda?

– Tak. Z Connecticut.

– Zdaje się, że tam ludzie już teraz rzadko używają pistoletów?

– Nierzęsto.

– Polujecie mało?

– Trochę.

– Tak, że pan byłby bardziej otrzaskany ze śrutówką?

– Tak jest. Ale nigdy dużo nie polowałem.

– Pewnie pan w ogóle rzadko używał pistoletu i dlatego nie umie pan się z nim obchodzić?

– Tak jest – odpowiedział skwapliwie Adam. – Tam prawie nikt nie ma pistoletu.

– I kiedy pan tu jechał, kupił pan sobie tę czterdziestkę czwórkę, bo u nas każdy ma rewolwer, i pan chciał nauczyć się z niego strzelać?

– No cóż; uważałem, że może warto by się nauczyć.

Juliusz Euskadi stał w napięciu, chłonąc wszystko całym sobą, zasłuchany, ale milczący.

Horacy westchnął i oderwał wzrok od Adama. Jego oczy przesunęły się po Juliuszu, spojrzwały gdzieś za niego i wróciły do rąk. Położył rewolwer na biurku, a obok równo poustawiał ołowiane naboje w mosiężnych łuskach.

– Wie pan – powiedział – jestem zastępcą szeryfa dopiero od niedawna. Myślałem, że mnie to wciągnie i że za kilka lat będę kandydował na szeryfa. Ale nie mam do tego zdrowia. Wcale mnie to nie bawi.

Adam obserwował go nerwowo.

– Jak dotąd, nie zdaje mi się, żeby ludzie mieli przede mną stracha. Wściekali się na mnie, owszem, ale bać – nie. To paskudny feler i paskudnie się z tym czuję.

Juliusz przerwał mu z rozdrażnieniem:

– Bierz się do roboty. Nie możesz w tej chwili podać się do dymisji.

– Cholera tam, nie mogę... jeżeli mi przyjdzie ochota. No, dobrze! Panie Trask, pan służył w kawalerii Stanów Zjednoczonych. Uzbrojeniem kawalerii są karabinki i pistolety. Pan... – urwał i przełknął ślinę. – Jak to się stało, panie Trask?

Wilgotne i zaczerwienione oczy Adama jak by się rozszerzyły.

– To był wypadek – szepnął.

– Czy ktoś to widział? Czy żona była przy panu, kiedy to się zdarzyło?

Adam nie odpowiedział i Horacy zauważył, że oczy ma zamknięte.

– Panie Trask – rzekł. – Ja wiem, że pan się źle czuje. Próbuję panu ułatwić sprawę, jak mogę. Może pan teraz trochę odpocznie, a ja porozmawiam z pana żoną?

– Oczekał chwilę, po czym obrócił się do drzwi, przy których wciąż stał Li. – Czing-Czong, powiedz swojej pani, że rad bym z nią chwilę pomówić.

Li nic nie odpowiedział.

Adam odezwał się nie otwierając oczu:

– Moja żona wyjechała w odwiedziny.

– Więc jej nie było, kiedy to się stało? – Horacy zerknął na Juliusza i spostrzegł osobliwy wyraz jego ust. Kąciki warg podniosły mu się leciutko w sardonicznym uśmiechu. Horacy pomyślał sobie: “Bystrzejszy jest ode mnie. Byłby z niego dobry szeryf. – A to ciekawe – powiedział. – Pańska żona urodziła dziecko – właściwie dwoje dzieci – przed dwoma tygodniami i już wyjechała w odwiedzin? Czy dzieci zabrała ze sobą? Zdawało mi się, że je przed chwilą słyszałem. – Horacy pochylił się nad łóżkiem i dotknął zaciśniętej kurczowo prawej pięści Adama. – Bardzo mi przykro, ale teraz już nie mogę przerwać. Trask! – zawołał głośno. – Proszę mi powiedzieć, jak to było. To nie jest wścibstwo. To jest prawo. A teraz, psiakrew, niech pan otworzy oczy i gada, bo jak mi Bóg miły, zabiorę pana do szeryfa, chociaż pan jest w takim stanie.

Adam otworzył oczy mętne jak oczy lunatyka. Głos jego popłynął nie podnosząc się ani nie przycichając, bez emfazy, bez żadnego przejęcia. Było to tak, jak gdyby wymawiał bezbłędnie słowa w języku, którego nie rozumiał.

– Moja żona wyjechała – powiedział.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Jak to?

– Nie wiem, dokąd pojechała.

Juliusz wtrącił, odzywając się po raz pierwszy:

– A dlaczego wyjechała?

– Nie wiem.

Horacy powiedział gniewnie:

– Uważaj pan, panie Trask. Prowadzi pan ryzykowną grę i zaczynają mi chodzić po głowie całkiem nieprzyjemne myśli. Musi pan wiedzieć, dlaczego wyjechała.

– Nie wiem, dlaczego wyjechała.

– Czy była chora? Zachowywała się jakoś dziwnie?

– Nie.

Horacy obrócił się.

– Czing-Czong, a ty wiesz coś o tym?

– Ja pojechał King City w sobota. Włócił może dwunasta w nocy. Znalas pana Trask na podłodze.

– I nie byłeś tu, kiedy to się stało?

– Nie pse pana.

– No dobrze, Trask, muszę znów wrócić do pana. Podnieś trochę tę żaluzję, Czing-Czong, żebym coś widział. O tak, teraz lepiej. Najpierw zacznę na pański sposób, dopóki się da. Więc pana żona wyjechała. Czy to ona pana postrzeliła?

– To był wypadek.

– W porządku, wypadek; ale czy broń była w jej ręku?

– To był wypadek.

– Nie bardzo mi pan ułatwia sprawę. Ale powiedzmy, że wyjechała, a my musimy ją odnaleźć... rozumie pan? Jak w dziecinnej zabawie. Sam pan mnie do tego zmusza. Dawno jesteście po ślubie?

– Prawie rok.

– Jakie było panięskie nazwisko żony?

Nastąpiło długie milczenie, po czym Adam rzekł cicho:

– Nie powiem. Obiecałem.

– Niech pan uważa. Skąd ona pochodzi?

– Nie wiem.

– Panie Trask, takim mówieniem pcha się pan prosto do okręgowego aresztu.

Proszę mi podać rysopis. Jakiego wzrostu była?

Adamowi zabłyśły oczy.

– Niewysoka... drobna i delikatna.

– Świetnie. A kolor włosów? Oczy?

– Była piękna.

– Była?

– Jest.

– Ma jakieś blizny?

– Ach, Boże, nie... A, owszem, bliznę na czole.

– Nie zna pan jej nazwiska, nie wie pan, skąd pochodzi ani dokąd wyjechała, i nie potrafi pan jej opisać. I wyobraża pan sobie, że jestem durniem.

– Ona miała tajemnicę – powiedział Adam. – Obiecałem, że nie będę pytał. Bała się o kogoś.

I Adam niespodziewanie zaczął płakać. Trząsł się na całym ciele, a oddech dobywał się z niego cienkim, stłumionym łkaniem. Płakał rozpaczliwie.

Horacy poczuł w sobie wzbierającą litość.

– Chodźmy do drugiego pokoju, Juliuszu – powiedział i ruszył pierwszy do bawialni. – No, dobrze, powiedz mi, co o tym myślisz. Czy to wariat?

– Nie mam pojęcia.

– Może on sam ją zabił?

– To mi przeleciało przez głowę.

– Mnie też – rzekł Horacy. – Boże kochany! – wybiegł do sypialni i wrócił z rewolwerem i nabojami. – Zapomniałem wziąć – wytłumaczył się. – Nie zagrzeję długo miejsca na tym urzędzie.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytał Juliusz.

– Ano widzę, że nie dam rady. Powiedziałem, że cię nie umieszczę na liście, ale teraz podnieś prawą rękę.

– Nie będę składał przysięgi, Horacy. Chcę jechać do Salinas.

– Nie masz wyboru, Juliuszu. Jeżeli nie podniesiesz łapy, będę musiał cię aresztować.

Juliusz niechętnie podniósł rękę i z niesmakiem powtórzył rotę przysięgi.

– I takie coś mnie spotyka za to, że ci dotrzymałem towarzystwa! – powiedział.

– Ojciec mnie żywcem obłupi ze skóry. No, dobrze, i co teraz robimy?

– Ja lecę do swojego starego – odparł Horacy. – Potrzebny mi jest szeryf. Zabrałbym z sobą Traska, ale go nie chcę ruszać. Musisz tu zostać, Juliuszu. Bardzo mi przykro. Masz pistolet?

– Psiakrew, nie.

– To weź ten i moją gwiazdę. – Odpiął ją od koszuli i podał mu.

– Jak myślisz, długo cię nie będzie?

– Wrócę, jak się da najprędzej. Czyś ty kiedy widział panią Trask?

– Nie, nigdy.

– Ani ja. A muszę powiedzieć szeryfowi, że Trask nie zna jej nazwiska ani nic. I że jest nie bardzo wysoka, a za to piękna. To ci rysopis, psiakrew! Chyba podam się do dymisji, zanim to powiem szeryfowi, bo i tak mnie później wyleje, jak dwa a dwa cztery. Myślisz, że to sam Trask ją zabił?

– A skąd ja mogę wiedzieć, do cholery?

– Nie złość się.

Juliusz wziął rewolwer, powtykał naboje w bębenek i zważył broń na dłoni.

– Chcesz pomysł, Horacy?

– Nie wydaje ci się, że go potrzebuję?

– Ano, ją znał Samuel Hamilton. Królik mówi, że to on odbierał te dzieci. A pani Hamilton opiekowała się nią. Może byś zajechał do nich po drodze i dowiedział się, jak ona naprawdę wyglądała?

– Chyba ty lepiej zachowaj sobie tę gwiazdę – rzekł Horacy. – Pierwszorzędna myśl. Już jadę.

– Chcesz, żebym się tu trochę rozejrzał?

– Tylko uważaj, żeby nie zwiął... albo nie zrobił sobie coś złego. Rozumiesz? No, trzymaj się.

2

Okolo północy Horacy wsiadł w King City do pociągu towarowego. Ulokował się w budce maszynisty i wczesnym rankiem dojechał do Salinas. Salinas było siedzibą władz okręgu i miastem, które szybko się rozwijało. Jego ludność miała w najbliższym czasie przekroczyć dwa tysiące. Było to największe miasto między San Jose a San Luis Obispo i wszyscy uważali, że czeka je świetna przyszłość.

Horacy idąc od stacji Unii Południowego Pacyfiku wstąpił do paszteceniarni na śniadanie. Nie chciał tak wcześnie wyciągać szeryfa i narażać się mu bez potrzeby. W paszteceniarni natknął się na młodego Willa Hamiltona, który wyglądał nader dostatnio w garniturze w pepitkę.

Horacy usiadł razem z nim przy stoliku.

– Co słyhać, Will?

– A, wszystko dobrze.

– Jesteś tu w interesach?

– I owszem. Mam małą transakcję do załatwienia.

– Mógłbyś mnie kiedyś dopuścić do jakiejś spółki.

Horacy dziwnie się czuł, rozmawiając w ten sposób z takim młodzikim, ale Willa Hamiltona otaczała aura powodzenia. Wszyscy wiedzieli, że wkrótce będzie bardzo wpływowym człowiekiem w okręgu. Z niektórych ludzi emanuje ich przyszłość, zła czy dobra.

– Zrobię to na pewno. Myślałem, że ranczo zabiera ci cały twój czas.

– Dałbym się namówić, żeby go puścić w dzierżawę, gdyby się coś trafiło.

Will pochylił się nad stołem.

– Wiesz co, Horacy, nasza część okręgu jest mocno zaniedbana. Nie przyszło ci do głowy, żeby kandydować na urząd?

– Jak to?

– Ano, jesteś zastępcą... Nigdy nie miałeś zamiaru ubiegać się o stanowisko szeryfa?

– Właściwie nie.

– No, zastanów się nad tym. Ale zatrzymaj to przy sobie. Wpadnę do ciebie za parę tygodni, to pogadamy. Tylko zatrzymaj to przy sobie.

– Z pewnością, Will. Ale przecież mamy teraz bardzo fajnego szeryfa.

– Wiem. Jedno nie ma nic do drugiego. W King City nie znajdziesz ani jednego urzędnika okręgu... rozumiesz?

– Aha. Pomyślę o tym. Ale, ale! Wpadłem wczoraj do twoich rodziców.

Willowi twarz się rozjaśniła.

– Naprawdę? No i jak się czują?

– Znakomicie. Wiesz, twój ojciec to prawdziwy geniusz dowcipu.

Will zachichotał.

– Przez całe dzieciństwo rozśmieszał nas do łez.

– Ale to także łośki człowiek, Will. Pokazywał mi nowy wiatrak, który teraz wymyślił. Pioruńska rzecz, mówię ci.

– O Boże! – jęknął Will. – Znow będzie w robocie urząd patentowy.

– Ale to świetna rzecz.

– Wszystkie są świetne. Tylko że jedynymi ludźmi, którzy na nich zarabiają, są adwokaci od patentów. Matkę to doprowadza do szału.

– Zdaje się, że tu masz rację.

– Najlepszym sposobem zgarniania pieniędzy jest sprzedawanie czegoś, co robi kto inny.

– Masz rację, Will, ale ten wiatrak jest pioruński.

– Zawojował cię stary, co?

– Zdaje się. Chyba nie chciałbyś, żeby się zmienił?

– O Boże, skąd! – zawołał Will. – A zastanów się nad tym, co ci powiedziałem.

– Dobra.

– Zatrzymaj to przy sobie – dodał Will.

Praca szeryfa nie była łatwa i szczęście miał ten okręg, który z worka powszechnych wyborów wyciągnął dobrego kandydata. Szeryf miał skomplikowaną

funkcję. Jego podstawowe obowiązki – ochrona porządku prawnego i pilnowanie spokoju – nie należały bynajmniej do najważniejszych. To prawda, że szeryf reprezentował w okręgu siłę orężną, ale w kipiącej indywidualnościami społeczności brutalny albo niemądry szeryf nie mógł się długo utrzymać. Prawa wodne, spory graniczne, różne nieporozumienia, stosunki rodzinne, sprawy ojcostwa – to wszystko musiał załatwiać bez uciekania się do siły. Dopiero kiedy wszystkie inne środki zawiodły, dobry szeryf dokonywał aresztowania. Najlepszym szeryfem nie był najlepszy bojowiec, ale najlepszy dyplomata. Okręg Monterey miał właśnie takiego. Posiadał on wspaniały dar niewtrącania się w nie swoje sprawy.

Horacy wszedł do gabinetu szeryfa, mieszczącego się w starym więzieniu okręgowym, mniej więcej dziesięć minut po dziewiątej. Szeryf uścisnął mu dłoń i przez chwilę rozmawiał o pogodzie i zbiorach, póki Horacy nie przystąpił do rzeczy.

– Proszę pana – powiedział wreszcie Horacy. – Musiałem przyjechać, żeby zasięgnąć pańskiej rady.

Tu opowiedział bardzo szczegółowo całą historię: co kto mówił, jak wyglądał, kiedy to się zdarzyło – wszystko.

Już po kilku minutach szeryf przymknął oczy i zaplótł palce. Od czasu do czasu kwitował sprawozdanie podnoszeniem powiek, ale nie wypowiadał żadnych komentarzy.

– No i znalazłem się w kropce – mówił Horacy. – Nie mogłem dojść, co się stało. Nie mogłem nawet dowiedzieć się, jak ta kobieta wygląda. Dopiero Juliusz Euskadi wpadł na pomysł, żebym zobaczył się z Samuelem Hamiltonem.

Szeryf poruszył się, założył nogę na nogę i rozważył sytuację.

– Więc pan myśli, że on ją zabił?

– Tak myślałem. Ale pan Hamilton właściwie mi to wyperswadował. Mówi, że Trask nie jest taki, żeby kogoś zabić.

– Każdy może być taki – odparł szeryf. – Wystarczy tylko znaleźć w człowieku cyngiel, a wystrzeli.

– Hamilton opowiadał mi o niej różne dziwne rzeczy. Wie pan, jak odbierał te dzieci, to go ugryzła w rękę. Trzeba było panu widzieć tę rękę; zupełnie jak by go wilk poszarpał.

– Czy Samuel podał panu rysopis?

– A jakże, i jego żona też.

Horacy wyjął z kieszeni kartkę papieru i odczytał szczegółowy opis Cathy. Oboje Hamiltonowie łącznie pamiętali właściwie wszystko, co składało się na jej fizyczny obraz.

Kiedy Horacy skończył, szeryf westchnął.

– I oboje zgadzali się co do tej blizny?

– Tak jest. A także nadmieniali, że czasem robiła się ciemniejsza.

Szeryf znów przymknął oczy i odchylił się w tył. Nagle wyprostował się, otworzył szufladę swego biurka z opuszczaną klapą i wyjął manierkę whisky.

– Napij się pan – powiedział.

– Chętnie. W pańskie ręce. – Horacy otarł usta i oddał manierkę. – Przyszło panu coś do głowy? – zapytał.

Szeryf pociągnął trzy tęgie łyki, zakorkował manierkę i schował ją do szuflady, zanim odpowiedział.

– Nasz okręg jest nieźle prowadzony – rzekł. – Dobrze żyję z konstablami, pomagam im, jeżeli tego potrzebują, a oni pomagają mnie, kiedy trzeba. Weź pan takie rozrastające się miasto jak Salinas; wciąż tam przewijają się jacyś obcy – mogłyby być kłopoty, gdybyśmy dobrze nie uważali. Mój urząd ma pierwszorzędne stosunki z miejscową ludnością.

– Spojrzał Horacemu w oczy. – Nie denerwuj się pan. Nie wygłaszam tu żadnej mowy. Po prostu chcę panu powiedzieć, jak to wygląda. Nie przyciskamy ludzi. Musimy żyć z nimi w zgodzie.

– Czy zrobiłem coś niewłaściwego?

– Wcale nie. Postąpiłeś pan tak, jak trzeba. Gdybyś pan nie przyjechał tutaj albo przywiózł ze sobą Traska, wpadlibyśmy jak śliwka w kompot. A teraz uważaj pan. Chcę powiedzieć...

– Słucham – rzekł Horacy.

– Tam, za torami, obok chińskiej dzielnicy, jest kilka burdeli.

– Wiem o tym.

– Każdy to wie. Gdybyśmy je pozamykali, przeniosłyby się po prostu gdzie indziej. Ludzie chcą, żeby były. Mamy na nie oko, żeby się nie działo nic grubszego. A osoby, które je prowadzą, są z nami w kontakcie. Już złapałem kilku poszukiwanych ludzi na podstawie wiadomości stamtąd.

– Juliusz mówił mi... – zaczął Horacy.

– Zaczekaj pan chwilę. Daj mi pan wszystko powiedzieć, żebyśmy już do tego nie wracali. Ze trzy miesiące temu przyszła do mnie jedna elegancka baba. Chciała otworzyć tu lokal i zrobić wszystko przepisowo. Przyjechała z Sacramento. Tam prowadziła taki dom. Miała listy polecające od całkiem grubych szyszek... dobrą opinię... nigdy żadnych nieprzyjemności. Cholernie porządna obywatelka.

– Juliusz mi mówił. Nazywa się Faye.

– Właśnie. Otóż otworzyła ładny lokalik, spokojny, dobrze prowadzony. Już była pora, żeby ta stara Jenny i Murzynka miały jakąś konkurencję. Wściekały się o to jak cholera, ale im powiedziałem kubek w kubek to samo, co panu. Pora, żeby miały jakąś konkurencję.

– Tam jest i grajek.

– A jakże. I to wcale niezły... taki ślepy gość. Panie, dasz mi pan wreszcie skończyć?

– Przepraszam – rzekł Horacy.

– Nie szkodzi. Wiem, że gadam powoli, ale za to gruntownie. Tak czy owak, Faye okazała się tym, na co wyglądała: porządną, solidną obywatelką. Ale jest jedna rzecz, której dobry, spokojny burdel boi się jak ognia. Przypuśćmy, że jakaś postrzelona, zepsuta dziewczyna zwieje od rodziców i pójdzie do takiego domu. Jej stary ją znajduje i zaczyna robić piekło. Potem wdają się w to kościoły, kobiety i zanim się człowiek obejrzy, burdel już ma złą opinię i musimy go zamknąć. Rozumie pan?

– No! – powiedział cicho Horacy.

– Niech pan mnie nie wyprzedza. Nieprzyjemnie mi mówić coś, co panu już przyszło do głowy. Otóż ta Faye dała mi znać w sobotę wieczorem, że ma nową dziewczynę i nie wie, co o niej myśleć. Jedno ją zastanawia: ta mała wygląda na taką, co to uciekła z domu, a jest diabło dobrą kurwą. Zna wszystkie sposoby i wszystkie sztuczki. Zaszedłem tam, żeby ją sobie obejrzyć. Naopowiadała mi tych zwykłych banialuków, ale nie mogłem dopatrzeć się w niej nic podejrzanego. Jest pełnoletnia, a nikt nie wniósł skargi. – Rozłożył ręce. – No i proszę. Co zrobić z tym fantem?

– Czy pan jest pewien, że to pani Trask?

– Szeroko osadzone oczy, blond włosy, blizna na czole, a zgłosiła się w sobotę po południu – odparł szeryf.

Horacy ujrzał w myśli zapłakaną twarz Adama.

– Boże wszechmocny! Panie szeryfie, musi pan znaleźć kogoś innego, kto mu to powie. Ja prędzej się podam do dymisji.

Szeryf zapatrzył się w przestrzeń.

– Mówisz pan, że on nawet nie zna jej nazwiska ani pochodzenia? To ona widać naprawdę go wykołowała, co?

– Biedny dureń – odrzekł Horacy. – Zakochał się w niej. Nie, jak mi Bóg miły, ktoś inny musi mu powiedzieć. Ja tego nie zrobię.

Szeryf wstał.

– Chodźmy na kawę do paszteciarni. Przez chwilę szli ulicą w milczeniu.

– Panie Horacy – odezwał się wreszcie szeryf. – Gdybym wyjawiał niektóre wiadome mi rzeczy, cały ten cholerny okręg wywróciłby się do góry nogami.

– Pewnie, że tak.

– Mówisz pan, że miała bliźniaki?

– Aha, dwóch chłopaków.

– Słuchaj pan. Na świecie jest tylko troje ludzi, którzy wiedzą: ona, pan i ja. Ostrzegę ją, że jeżeli kiedykolwiek piśnie słówko, poszoruje na dupie z tego okręgu tak szybko, że ją będzie parzyła. I jeszcze jedno: gdyby pana kiedyś zaswędziało język, to zanim pan komuś coś powie, choćby i własnej żonie, niech pan pomyśli o tym, co będzie, jak te dwa chłopaczki dowiedzą się, że ich matka jest kurwą.

3

Adam siedział w fotelu pod wielkim dębem. Lewą rękę miał umiejętnie przybandażowaną do boku, tak że nie mógł ruszyć ramieniem. Li wyszedł z domu, niosąc koszyk od bielizny. Postawił go na ziemi obok Adama i zawrócił.

Bliźniacy nie spali i obaj patrzyli ślepo a poważnie na poruszane przez wiatr liście dębu. Zwiędły liść opadł, wirując, do koszyka. Adam pochylił się i wyjął go stamtąd.

Nie słyszał konia Samuela, dopóki ten nie stanął tuż przy nim, ale Li spostrzegł nadjeżdżającego. Wyniósł fotel przed dom i odprowadził Doksologię do stajni.

Samuel usiadł spokojnie; nie chciał niepokoić Adama zbyt częstym spoglądaniem na niego, ale nie wprawiał go też w niepokój odwracaniem wzroku. Wiatr powiał silniej w koronach drzew i skrajem swego podmuchu rozburzył Samuelowi włosy.

– Pomyślałem, że znów trzeba zabrać się do studzien – rzekł Samuel.

Głos Adama zardzewiał od długiego nieużywania.

– Nie – powiedział. – Nie chcę żadnych studzien. Zapłacę ci za tę robotę, którą już wykonałeś.

Samuel pochylił się nad koszykiem i przytknął palec do wewnętrznej strony maleńkiej rączki jednego z bliźniaków. Paluszki zamknęły się i przytrzymały go.

– Zdaje się, że ostatnim złym nawykiem, jakiego się człowiek wyzbywa, jest udzielanie rad.

– Nie chcę żadnych rad.

– Nikt ich nie chce. To jest podarunek od tego, kto je daje. Graj swoją rolę, Adamie.

– Jaką rolę?

– Rolę żywego człowieka, tak jak w teatrze. A po jakimś czasie, po długim czasie, stanie się to prawdą.

– Ale na co? – zapytał Adam.

Samuel przypatrywał się bliźniakom.

– Coś i tak zostanie po tobie, choćbyś nie wiem co robił czy też nie robił nic. Nawet jeżeli pozwolisz sobie leżeć odłogiem, wyrosną chwasty i ciernie. Coś w każdym razie wyrośnie.

Adam nie odpowiedział. Samuel wstał.

– Wrócę tu – rzekł. – Będę wciąż wracał. Graj tę swoją rolę, Adamie.

Za szopą Li przytrzymał Doksologię, kiedy Samuel jej dosiadał.

– Twoją księgarnię diabli wzięli – powiedział Samuel.

– Niech tam! – odparł Chińczyk. – Może i wcale nie miałem na nią wielkiej ochoty.

ROZDZIAŁ XIX

1

Nowy kraj rozwija się według pewnego szablonu. Najpierw przychodzą pionierzy, silni, odważni i po trosze dziecienni. Umieją dać sobie radę na pustkowiu, ale są naiwni i bezbronni wobec ludzi i może właśnie dlatego wyruszają najpierwsi. Kiedy ostre kanty nowego kraju zetrą się nieco, zjeżdżają kupcy i prawnicy, aby pomóc w jego rozwoju – rozstrzygać problemy własności, zazwyczaj usuwając pokusy przez zagarnianie ich dla siebie. Wreszcie pojawia się kultura, która jest rozrywką, odprężeniem, ucieczką od bólu życia. A kultura może być i jest na różnym poziomie. Kościół i dom publiczny przybyły na Daleki Zachód równocześnie. A jeden i drugi ze zgrozą dowiedziały się, że jest inną stroną tej samej rzeczy. Mimo to obydwa miały za zadanie osiągnąć to samo; śpiewy, ceremoniał i poetyczność kościoła wrywały człowieka na chwilę z szarzyzny, a burdele spełniały identyczną rolę. Sekty pojawiły się z wielkim rozmachem, buńczuczne, hałaśliwe i dufne. Nie bacząc na prawa zadłużenia i spłaty pobudowały świątynie, których kosztu nie można by pokryć nawet za sto lat. Prawda, że sekty zwalczały zło, ale też z niezwykłą zajadłością zwalczały się między sobą. Walczyły u rozstajów doktryny. Każda gorąco wierzyła, że wszystkie inne zmierzają prosto do piekła. I każda mimo całego swego zarozumiałstwa przynosiła to samo: Pismo święte, na którym zbudowana jest nasza moralność, nasza poezja i sztuka, i nasze wzajemne stosunki. Trzeba było bystrego umysłu, żeby rozeznać, na czym polega różnica między poszczególnymi sektami, ale każdy mógł dostrzec, co mają ze sobą wspólnego. Poza tym przyniosły muzykę – może i nie najlepszą, ale przynajmniej jej formę i treść. Przyniosły też sumienie czy raczej zbudziły drzemiące sumienia ludzkie. Nie były czyste, ale miały w sobie potencjał czystości, podobnie jak przybrudzona biała koszula. I każdy człowiek mógł z niego uczynić coś wspaniałego. Co prawda wielebny Billing, kiedy go zdemaskowano, okazał się złodziejem, cudzołożnikiem, libertynem i sodomitą, ale to nie zmieniało faktu, że przekazał pewne rzeczy dodatnie sporej liczbie wdzięcznych słuchaczy. Billing poszedł do więzienia, ale nikt nigdy nie przyaresztował tych dobrych cech, które wyzwolił. I nie jest najważniejsze, że jego pobudki były nieczyste. Posługiwał się dobrym materiałem i coś z niego zostało. Używam Billinga jedynie jako jaskrawego przykładu.

Uczciwi kaznodzieje mieli energię i rozmach. Walczyli z szatanem, stosując wszelkie chwyt, z kopaniem i wybijaniem oczu włącznie. Może wyobrażacie sobie, że wyrzaskiwali prawdę i piękno, podobnie jak foka w cyrku wygrywa hymn narodowy na ustawionych rzędem trąbkach. Jednakże coś z owej prawdy i piękna zostało, a hymn można było rozpoznać. Sekty zrobiły też coś więcej. Stworzyły strukturę życia towarzyskiego w dolinie Salinas. Wieczery wydawane przez kościoły były matkami klubów towarzyskich, podobnie jak czwartkowe odczytywanie wierszy w podziemiach pod zakrytą stało się protoplastą teatryku.

Podczas gdy sekty, niosąc duszy słodką woń nabożności, przygnały brykając i popierdując niczym browarne konie w czas warzenia piwa, ten drugi, siostrzany obrządek, niosący ulgę i rozkosz ciała, zakradł się cicho, niepostrzeżenie, ze spuszczoną głową i zasłoniętym obliczem.

Pewnie widzieliście owe przepyszne pałace grzechu i wyuzdanego tańca na sfalszowanym Zachodzie z filmów, i może niektóre istniały naprawdę – ale nie w dolinie Salinas. Burdele były spokojne, zrównoważone i roztropne. Zaiste, gdybyście nasłuchawszy się ekstatycznych wrzasków opętanego nawrócenia, wydawanych w takt dudniącego melodeonu, stanęli pod oknem burdelu i posłuchali przyciszonych, powściągliwych głosów, łącznie mogłyby pomieszać się wam oba obrządki. Na burdel przyzwalano, choć go nie uznawano.

Opowiem wam o dostojnych przybytkach miłości w Salinas. Mniej więcej takie same istniały w innych miastach, ale Aleja w Salinas ma związek z niniejszą opowieścią.

Szło się więc ulicą Główną na zachód, aż do zakrętu. Tam przecinała ją ulica Castroville. Dziś nazywa się ona Rynkową, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Dawniej ulice nazywano od miejsc, do których wiodły. Tak więc ulica Castroville, jeżeli uszłście nią dziewięć mil, doprowadzała was do Castroville, ulica Alisal do Alisalu i tak dalej.

W każdym razie dotarłszy do ulicy Castroville skręcało się w prawo. O dwie przecznice dalej przecinały ją skośnie biegnące na południe tory kolejowe Kompanii Południowego Pacyfiku, a ze wschodu na zachód – inna ulica. Ani rusz nie mogę sobie przypomnieć jej nazwy. Jeżeli skręciło się w nią w lewo i przeszło przez tory, było się w chińskiej dzielnicy. Jeżeli zaś w prawo – wchodziło się w Aleję.

Była to czarna, gliniasta droga, połyskująca grząskim błotem w zimie, a twarda jak karbowane żelazo w lecie. Na wiosnę rosła z obu jej stron wysoka trawa,

przemieszana z dzikim owsem, ślazem i żółtą gorczycą. Wczesnym rankiem wróble darły się tam nad rozrzuconym na jezdni końskim nawozem.

Pamiętacie ich wrzask, wy, którzy jesteście dziś starzy? A pamiętacie, jak powiew od wschodu przynosił zapachy chińskiej dzielnicy – woń przypiekanej wieprzowiny, próchna, czarnego tytoniu i jen-szi? Pamiętacie głęboki, chrapliwy ton wielkiego gongu w domu Jossa i to, jak długo jego dźwięk wisiał w powietrzu?

Czy przypominacie sobie także te małe domki nigdy nie odmalowywane, nie odnawiane? Wydawały się bardzo niewielkie i próbowały maskować się zewnętrznym zaniedbaniem, a dziko wybudowane frontowe ogródki usiłowały zasłonić je od ulicy. Pamiętacie, jak żaluzje były tam zawsze opuszczone, z wąskimi smużkami żółtego światła wokoło krawędzi? Z wewnątrz dochodziły tylko szmery rozmów. Nagle otwierały się drzwi frontowe, ażeby wpuścić jakiegoś wiejskiego chłopaka, i wtedy słyhać było śmiechy, czasem przyciszone, sentymentalne dźwięki fortepianu, na którego struny zarzucono kawałek klozetowego łańcuszka – po czym zamykające się drzwi znowu tłumili wszystko.

Później rozlegał się tupot kopyt końskich na ubitej drodze i Pet Bulene zajeżdżał swoją dorożką przed dom. Wysiadało z niej kilku zażywnych mężczyzn – ludzi nie byle jakich, bogatych albo na stanowiskach, może bankierów czy urzędników sądowych. Pet odjeżdżał za róg, sadowił się wygodnie w dorożce i czekał na nich. Wielkie koty przemykały przez drogę, by zniknąć w wysokich trawach.

A potem – pamiętacie? – gwizdek pociągu, przenikliwe światło i towarowy z King City przecinał z łoskotem ulicę Castroville, wtaczał się do Salinas i słyhać było jego sapanie na stacji. Pamiętacie?

Każde miasto ma swoje osławione "szefowe", niezapomniane kobiety, które wspomina się z łezką przez całe lata. Dla mężczyzn jest coś bardzo pociągającego w postaci "szefowej". Łączy ona w sobie rozum biznesmena, krzepę zapaśnika, serdeczność przyjaciela i humor aktora. Gromadzą się wokół niej legendy, i to – rzecz osobliwa – legendy bynajmniej nie wyuzdane. Zapamiętane i powtarzane historie o szefowej dotyczą wszystkich dziedzin z wyjątkiem sypialni. Wspominając ją starzy klienci odmalowują szefową jako filantropkę, autorytet w sprawach medycznych, gawędziarkę, a także poetkę cielesnych wzruszeń, nie biorącą w nich jednak udziału.

Przez szereg lat Salinas gościło dwa takie skarby: Jenny – niekiedy przezywaną "Pierdzącą Jenny" – i "Murzynkę", która posiadała i prowadziła Long Green. Jenny

była dobrą kompanką, umiała dotrzymać tajemnicy i udzielała po cichu pożyczek. W Salinas istnieje cały zbiór opowieści na jej temat.

Murzynka było przystojną, surową kobietą o śnieżnobiałych włosach i posepnej, onieśmielającej godności obejścia. Jej piwne oczy, osadzone głęboko w czaszce, spoglądały na ten szpetny świat z filozoficznym zatroskaniem. Dom swój prowadziła niby katedrę poświęconą smętnemu, ale prężnemu Priapowi. Jeżeli ktoś był spragniony tęgiego śmiechu z trącaniem łokciem pod żebra, szedł do Jenny i dostawał co należy za swoje pieniądze; jeżeli jednak słodka, łzawa melancholia wychynęła z czyjejś niezmiennej samotności – nie znalazłoby się lepszego miejsca niż Long Green. Gdy człowiek stamtąd wychodził, czuł, że zdarzyło mu się coś nader posepnego i doniosłego. Nie przypominało to baraszkowania na sianie. Ciemne, piękne oczy Murzynki pozostawały wryte w pamięci na długie dni.

Kiedy Faye przyjechała z Sacramento i otworzyła swój dom, obie te beneficjentki ogarnęła zawierucha animozji. Zjednoczyły swoje wysiłki, ażeby wygryźć Faye, lecz przekonały się, że ta nie jest dla nich konkurencją.

Faye była typem macierzyńskim – piersiasta, biodrzasta i czuła. Była łonem, na którym można się wyplakać, pocieszycielką pełną pieszczotliwości. Żelazny erotyzm Murzynki i karczemne bachanalie Jenny miały swych zwolenników, których Faye bynajmniej nie odciągała. Dom jej stał się ucieczką dla młodzieńców kwilących pod brzemieniem dojrzałości płciowej, oplakujących straconą cnotę i żarliwie pragnących utracić jej nieco więcej. Faye była pokrzepicielką zawiedzionych mężów. W jej domu znajdowali dopełnienie pożycia z pozbawionymi temperamentu żonami. Przypominał on pachnącą cynamonem kuchnię babci. Jeżeli u Faye zdarzyło się komuś coś z dziedziny seksualnej, człowiek miał uczucie, że jest to przypadek, ale wybaczalny. Dom jej wprowadzał młodzieńców z Salinas na ciernistą drogę płci w sposób najgładszy i najpogodniejszy. Faye była zacną kobietą, nie bardzo bystrą, ale wysoce moralną i gorszącą się łatwo. Ludzie mieli do niej zaufanie i ona miała zaufanie do ludzi. Nikt, kto ją poznał, nie mógł jej skrzywdzić. Nie stanowiła konkurencji dla tamtych dwóch. Była po prostu trzecią fazą.

Podobnie jak w magazynie czy na ranczo pracownicy są niejako odbiciem przełożonego, tak i w burdelu dziewczyny bardzo przypominają szefową, częściowo dlatego, że ta dobiera sobie właśnie takie, częściowo zaś ponieważ dobra szefowa wyciska piętno swojej osobowości na całym przedsięwzięciu. Trzeba by długo przebywać u Faye, żeby usłyszeć jakieś brzydkie albo dwuznaczne słowo. Wędrówki

do sypialni i pobieranie zapłaty odbywały się tak dyskretnie i mimochodem, że wydawały się czymś nieistotnym. Wszystko razem wzięwszy, Faye prowadziła dom znakomicie, o czym wiedzieli konstabl i szeryf. Szczodrze łożyła na wszystkie cele charytatywne. Mając odrazę do chorób płaciła za regularną kontrolę lekarską swych dziewczyn. Istniała mniejsza możliwość nabawienia się czegoś nieprzyjemnego u Faye niż z nauczycielką z najbliższej szkółki niedzielnej. Faye wkrótce stała się solidną i porządną obywatelką rozkwitającego miasta Salinas.

2

Dziewczyna imieniem Kate intrygowała Faye – była tak młoda i ładna, tak nobliwa i dobrze wychowana. Faye zabrała ją do swej niedostępnej dla innych sypialni i zadała jej o wiele więcej pytań, niżby to uczyniła, gdyby Kate była odmiennym typem dziewczyny. Do drzwi burdelu zawsze pukały różne kobiety i w większości przypadków Faye poznawała się na nich od razu. Potrafiła je sklasyfikować; były między nimi gnuśne, mściwe, leniwe, wyuzdane, niezadowolone, chciwe, ambitne. Kate nie podpadała pod żadną z tych kategorii.

– Mam nadzieję, że nie bierzesz mi za złe tych wszystkich pytań – powiedziała Faye. – Po prostu wydaje mi się bardzo dziwne, że tutaj przysłaś. Przecież mogłabyś mieć męża i powozik, i narożny domek w mieście zupełnie bez trudu, bez najmniejszego trudu. – Tu Faye zaczęła okręcać obrączkę ślubną na tłustym palcu.

Kate uśmiechnęła się skromnie.

– To tak trudno wytłumaczyć. Mam nadzieję, że pani nie będzie nalegała. Tu idzie o szczęście kogoś, kto mi jest bardzo bliski i drogi. Błagam, żeby pani mnie nie pytała.

Faye z namaszczaniem kiwnęła głową.

– Znam takie rzeczy. Miałam kiedyś dziewczynę, która musiała utrzymywać dziecko i nikt o tym nie wiedział przez długi, długi czas. Ta dziewczyna ma teraz piękny dom i męża w... Masz ci los! O mało nie powiedziałam gdzie. Prędzej ucięłabym sobie język. Czy ty masz dziecko, moja droga?

Kate opuściła wzrok, ażeby ukryć lśnienie łez w oczach. Kiedy odzyskała panowanie nad swoim głosem, szepnęła:

– Przepraszam bardzo, ale nie mogę o tym mówić.

– No, dobrze już, dobrze. Masz czas.

Faye nie była bystra, ale też i bynajmniej niegłupia. Poszła do szeryfa i zabezpieczyła się. Nie było sensu ryzykować. Czowała, że z Kate jest coś nie w porządku, ale póki to nie szkodziło zakładowi, w gruncie rzeczy nie musiało jej obchodzić.

Kate mogła być kombinatorką, ale nie była. Od razu wzięła się do pracy. A jeśli klienci wciąż powracają i domagają się jakiejś dziewczyny po imieniu, to już wiadomo, że ma się coś specjalnego. Ładna buzia nie mogłaby tu wystarczyć. Dla Faye stało się zupełnie oczywiste, że Kate nie uczy się nowego zawodu.

Istnieją dwie rzeczy, które warto wiedzieć o nowo przyjętej dziewczynie: po pierwsze, czy ma chęć pracować, a po wtóre, czy będzie żyła w zgodzie z koleżankami. Nic tak nie zakłóca porządku w domu jak dziewczyna o przykrym usposobieniu.

Faye nie musiała długo się zastanawiać nad drugim z tych pytań. Kate wychodziła z siebie, żeby być jak najmilsza. Pomagała koleżankom w sprzątaniu pokoi. Pielęgnowała je w chorobie, wysłuchiwała ich zwierzeń, udzielała rad w sprawach miłości i pożyczala pieniędzy, gdy tylko trochę ich uzbierała. Nie sposób wymarzyć sobie miłszej dziewczyny. Stała się dla wszystkich najlepszą przyjaciółką.

Nie było trudu, którego by się nie podjęła, nie bała się najmoźniejszej pracy, a na dodatek przynosiła zyski. Wkrótce miała już własną grupę stałych klientów. Poza tym wyróżniała się dbałością o innych. Pamiętała o każdym urodzinach i zawsze miała przygotowany podarek i tort ze świeczkami. Faye zrozumiała, że posiada skarb.

Ludzie nieświadomi rzeczy myślą, że łatwo jest być szefową – uważają, iż po prostu siedzi się w dużym fotelu, popija piwo i zgarnia połowę zarobionych przez dziewczyny pieniędzy. Ale tak wcale nie jest. Trzeba dziewczęta wyżywić – i na to musi się mieć aprowizację i kucharza. Problem prania jest znacznie bardziej skomplikowany niż w hotelu. Trzeba dbać, aby dziewczyny miały się dobrze i były jak najbardziej zadowolone, bo niektóre z nich mogą stać się dość przykre. Należy pikować, aby samobójstwa utrzymywały się na poziomie bezwzględnie minimum, bo kurwy, zwłaszcza te, co się starzeją, bywają chybkie do brzytwy, to zaś wyrabia domowi złą opinię.

Sprawa więc nie jest prosta, a jeśli jeszcze zdarzy się marnotrawstwo, można stracić na tym sporo pieniędzy. Gdy Kate zaofiarowała się, że pomoże przy zakupach i obmyślaniu posiłków, Faye ucieszyła się, chociaż nie wiedziała, gdzie ta dziewczyna znajdzie na to czas. Otóż w pierwszym miesiącu, w którym Kate wzięła na siebie te obowiązki, nie tylko poprawiło się jedzenie, ale rachunki ze sklepu spożywczego

obniżyły się o jedną trzecią. A pranie – Faye nie miała pojęcia, co Kate powiedziała właścicielowi pralni, ale rachunki spadły nagle o dwadzieścia pięć procent. Faye nie rozumiała, jak mogła dawać sobie radę bez Kate.

Późnym popołudniem, przed rozpoczęciem zajęć, siadywały razem w pokoju Faye i piły herbatę. Było tam o wiele ładniej, odkąd Kate pomalowała boazerię i powiesiła koronkowe firanki. Dziewczyny zaczęły sobie uświadamiać, że mają teraz dwie przełożone zamiast jednej, i cieszyły się z tego, ponieważ Kate była bardzo łatwa w pożyciu. Kazała im robić różne wyczyny, ale nie podchodziła do tego w sposób przykry. Co najwyżej miały z tym kupę śmiechu.

Po roku Faye i Kate były jak matka i córka. A dziewczyny mówiły sobie: “Uważajcie. Kiedyś ona zostanie właścicielką tego domu”.

Ręce Kate były stale czymś zajęte, głównie mereżkowaniem cieniutkich batystowych chusteczek. Umiała wyszywać piękne monogramy. Prawie wszystkie dziewczyny nosiły i przechowywały jak skarb chusteczki jej roboty.

Stopniowo doszło do tego, że wydarzyła się rzecz całkowicie naturalna. Faye, ta kwintesencja macierzyństwa, zaczęła uważać Kate za swoją córkę. Czula to w piersiach, w swoim wzruszeniu i wreszcie doszła do głosu jej wrodzona moralność. Nie chciała, żeby jej córka była kurwą. Jedno wynikało z drugiego zupełnie logicznie.

Faye mocno się namyślała, jak poruszyć ten temat. Był to nie lada problem. W naturze jej leżało określone podchodzenie do każdej sprawy. Nie potrafiła powiedzieć: “Chcę, żebyś przestała być kurwą”.

Powiedziała:

– Jeżeli to sekret, nie mów mi nic, ale zawsze miałam chęć cię zapytać. Co ci wtedy powiedział szeryf?... Boże drogi, to już rok od tej pory! Jak ten czas leci! Zdaje się, że tym szybciej, im człowiek jest starszy. Szeryf siedział wtedy z tobą prawie godzinę. Chyba nie... no, oczywiście, skądże znowu! To człowiek rodzinny. Chodzi do Jenny. Ale nie chcę wtrącać się w twoje sprawy.

– Nie ma w tym żadnego sekretu – odparła Kate. – I tak bym ci powiedziała. Namawiał mnie, żebym wróciła do domu. Bardzo był miły. Kiedy mu wytłumaczyłam, że nie mogę, okazał mi dużo życzliwości i zrozumienia.

– A powiedziałaś mu dlaczego? – spytała Faye zazdrośnie.

– Jasne, że nie. Przypuszczasz, że mogłabym powiedzieć jemu, jeżeli nie mówię tobie? Nie bądźże niemądra, kochanie. Jesteś taka śmieszniutka dziewczynka!

Faye uśmiechnęła się i z zadowoleniem wtuliła w fotel.

Kate miała twarz spokojną, ale pamiętała każde słowo tamtej rozmowy. Właściwie szeryf dosyć jej się podobał. Był bardzo bezpośredni.

3

Zamknął wtedy drzwi jej pokoju i obrzucił go szybkim, uważnym spojrzeniem dobrego policjanta. Nie było tam żadnych fotografii ani tych osobistych drobiazgów, które mówią coś o człowieku – nic, tylko suknie i pantofle.

Usiadł na małym trzcinowym fotelu bujanym, a pośladki zwisały mu po obu stronach. Palce jego dłoni spotkały się niby na naradę, rzekłbyś ugwarzając z sobą na modłę mrówek. Zaczął mówić obojętnym tonem, nieomal tak, jak by go niezbyt interesowały własne słowa. Może to właśnie zrobiło na niej wrażenie.

Z początku przybrała swój z lekka głupawy, sztucznie skromny wyraz twarzy, ale już po pierwszych zdaniach dała z tym spokój i zaczęła wiercić szeryfa wzrokiem, starając się odgadnąć jego myśli. On ani nie patrzył jej w oczy, ani nie unikał ich spojrzenia. Była jednakże świadoma, że obserwuje ją tak samo jak ona jego. Poczula jego spojrzenie przesuwające się po bliźnie na czole, zupełnie jak gdyby jej dotknął.

– Nie chcę spisywać żadnego protokołu – mówił spokojnie. – Od dawna już jestem na urzędzie. Jeszcze jedna kadencja wystarczy. Wie pani co? Gdyby to było piętnaście lat temu, zacząłbym śledztwo i pewnie znalazłbym coś nie bardzo przyjemnego. – Chwilę czekał na jakąś reakcję z tej strony, ale nie zaprotestowała. Z wolna pokiwał głową.

– Nie chcę nic wiedzieć – ciągnął. – Chcę tylko spokoju w tym okręgu, ale spokoju pod każdym względem, to znaczy, żeby ludzie mogli spać po nocach. Otóż nie poznałem jeszcze pani męża – ciągnął, a ona wiedziała, że zauważył lekkie drgnięcie jej napinających się mięśni. – Słyszę, że to bardzo miły człowiek. I podobno mocno oberwał.

– Na chwilę spojrzał jej w oczy. – Nie chce pani wiedzieć, jak ciężko go pani zraniła?

– Owszem – powiedziała.

– Ano, wróci do zdrowia... rozwaliło mu ramię, ale przyjdzie do siebie. Ten Chiniec bardzo dobrze się nim opiekuje. No, oczywiście, nie myślę, żeby w najbliższym czasie mógł coś podnosić lewą ręką. Czterdziestka czwórka wywała cholerną dziurę w człowieku. Gdyby nie to, że Chiniec wrócił, mąż wykrwawiłby się na śmierć, a pani siedziałaby u mnie w więzieniu.

Kate wstrzymała oddech, starając się wyłowić jakąś zapowiedź tego, co miało nastąpić, lecz nie słyszała nic takiego.

– Bardzo mi przykro – powiedziała spokojnie.

Oczy szeryfa spojrzały na nią bystro.

– Teraz pani po raz pierwszy zrobiła błąd – powiedział. – Wcale pani nie jest przykro. Kiedyś znałem kogoś takiego jak pani... powiesiliśmy go dwanaście lat temu przed okręgowym więzieniem. Dawniej robiło się tu takie rzeczy.

W małym pokoiku, gdzie stało ciemne mahoniowe łóżko, umywalka z marmurowym blatem oraz miednicą, dzbankiem i szafeczką na nocnik – gdzie tapety bez końca powtarzały małe różyczki i różyczki – w tym małym pokoiku zrobiło się cicho, jak gdyby coś wyszło z niego wszelki dźwięk.

Szeryf przypatrywał się obrazkowi przedstawiającemu trzy cherubinki – same kędzierzawe główki o czystych oczach i skrzydełkach nie większych od gołębi, a wyrastających z miejsca, gdzie powinna była znajdować się szyja. Zmarszczył brwi.

– Dziwny obrazek jak na burdel – powiedział.

– Zastałam go tu – odrzekła Kate.

Najwyraźniej wstępna część rozmowy dobiegała już końca.

Szeryf wyprostował się, rozplótł palce i chwycił dłońmi poręczę fotela. Nawet jego pośladki ściągnęły się nieco.

– Zostawiła pani dwoje dzieci – powiedział. – Małych chłopaczków. Niech pani będzie spokojna. Nie mam zamiaru namawiać pani do powrotu. Nawet dużo bym dał, żeby panią od powrotu powstrzymać. Zdaje mi się, że wiem, jaka pani jest. Mógłbym zwyczajnie przepędzić panią przez granicę okręgu, poprosić sąsiedniego szeryfa, żeby też panią przepędził, i tak dalej, ażby pani chlupnęła prosto do Oceanu Atlantyckiego. Ale nie chcę tego robić. Obojętne mi, jak pani żyje, byleby mi pani nie sprawiała kłopotu. Kurwa to kurwa.

Kate zapytała spokojnie:

– Więc czego pan chce?

– O, to już lepiej – odparł szeryf. – A chcę tego: widzę, że pani zmieniła nazwisko, więc proszę, żeby pani zatrzymała to nowe. Zdaje się, że pani wymyśliła sobie jakieś miejsce, z którego pani rzekomo pochodzi. No więc pochodzi pani właśnie stamtąd. A powody, jakie panią kierowały – to na wypadek, gdyby pani się spiła – niech pani je trzyma o dwa tysiące mil od King City.

Uśmiechała się lekko, uśmiechem bynajmniej nie wymuszonym. Zaczynała ufać temu człowiekowi i lubić go.

– Jedno mi przychodzi do głowy – mówił. – Czy pani znała dużo osób w okolicy King City?

– Nie.

– Słyszałem o tym szydełku – powiedział niedbale. – Ano, może się zdarzyć, że przyjdzie tu ktoś z pani znajomych. Czy to pani prawdziwy kolor włosów?

– Tak.

– Na razie niech pani je ufarbuje na czarno. Dużo jest ludzi podobnych do siebie.

– A co z tym? – dotknęła blizny szczupłym palcem.

– To jest po prostu... no, jakże to się nazywa? Jak to się mówi, psiakrew? Jeszcze dziś rano pamiętałem.

– Zbieg okoliczności?

– O, właśnie. Zbieg okoliczności.

Rozmowa była najwyraźniej skończona. Wyjął tytoń i bibułki i skręcił sobie niezgrabnego, gruzłowatego papierosa. Potarł o pudełko siarkową zapalną i przytrzymał ją z dala od siebie, dopóki zjadliwie błękitny płomyk nie przybrał żółtej barwy. Papieros palił mu się krzywo z boku.

Kate zapytała:

– Czy to ma być groźba? To znaczy, co pan robi, jeżeli ja...

– Nie, to nie groźba. Ale wydaje mi się, że jak by przyszło co do czego, potrafiłbym wymyślić różne nieprzyjemne rzeczy. Nie, ja tylko nie chcę, żeby pani – to, czym pani jest, co pani robi czy mówi – sprawiła ból panu Traskowi albo jego chłopcom. Niech pani sobie wyobrazi, że pani umarła i teraz jest kimś innym, a będziemy żyli w zgodzie.

Wstał i podszedł do drzwi, po czym obrócił się.

– Ja też mam chłopaka. Skończy dwadzieścia lat w tym roku; duży, przystojny dryblas ze złamanym nosem. Wszyscy go lubią. Otóż nie chcę, żeby tu przychodził. Powiem też o tym Faye. Niech chodzi do Jenny. Jeżeliby tu się zjawiał, niech pani mu każe iść do Jenny.

Zamknął za sobą drzwi. Kate z uśmiechem patrzyła na swoje palce.

4

Faye obróciła się w fotelu, by sięgnąć po kawałek brunatnej *panocha*³ nadziewanej orzechami. Kiedy się teraz odezwała, miała pełne usta. Kate zastanowiła się z niepokojem, czy Faye przypadkiem nie umie czytać w myślach, bo powiedziała:

– Mnie się to w dalszym ciągu nie podoba. Mówiłam już wtedy i powtarzam znowu: ładniej ci było z blond włosami. Nie wiem, co ci strzeliło do głowy, żeby je ufarbować. Przecież masz jasną cerę.

Kate chwyciła pojedynczy włos paznokciami dużego i wskazującego palca i delikatnie go wyrwała. Była bardzo sprytna. Powiedziała najlepsze kłamstwo ze wszystkich: prawdę.

– Nie chciałam ci mówić – rzekła. – Bałam się, że mogą mnie poznać, a to by komuś sprawiło ból.

Faye wstała z fotela, podeszła do Kate i ucałowała ją.

– Co to za dobre dziecko! – zawołała. – Jakie to kochane, wrażliwe!

Kate powiedziała:

– Napijmy się herbaty. Zaraz przyniosę.

Wyszła z pokoju i w korytarzu, po drodze do kuchni, starła czubkami palców ten pocałunek z policzka.

Faye wróciwszy na fotel wzięła sobie kawałek *panocha*, w którego środku prześwitywał cały orzech. Włożyła go do ust i nadgryzłszy trafiła na kawałek łupiny orzecha. Ostry, szpiczasty kolec wbił się w jej spróchniały ząb i wraził prosto w nerw. Przeleciała przez nią błękitna błyskawica bólu. Pot wystąpił jej na czoło. Kiedy Kate wróciła niosąc na tacce imbryk z herbatą i filiżanki, Faye grzebała w ustach zakrzywionym kurczowo palcem i jęczała w udręce.

– Co się stało?! – krzyknęła Kate.

– Zęb... Skorupka orzecha...

– Pozwól mi zobaczyć. Otwórz usta i pokaż.

Kate zajrzała jej do ust, po czym podeszła do stołu nakrytego serwetą z frędzelkami i z salaterki pełnej orzechów wyjęła wykałaczkę. W ułamek sekundy wydlubiła kawałek skorupki i pokazała go na dłoni.

– Proszę – powiedziała.

Nerw przestał skowytąć i ból przeszedł w obolałość.

– Taki mały? A mnie się wydawał jak kamienica. Słuchaj, kochanie – poprosiła Faye – otwórz tę drugą szufladę, gdzie są moje lekarstwa. Podaj mi środek na bóle i kawałeczek waty. Pomożesz mi wsadzić ją w zęb?

Kate przyniosła butelkę i końcem wykałaczki wetknęła w zęb kulkę waty namoczonej w lekarstwie.

– Powinnaś kazać go sobie wyrwać.

– Wiem. Tak zrobię.

– Mnie brakuje trzech zębów z tej strony.

– Nikt by nie poznał. Ojej, jeszcze się cała trzęsę! Daj mi mikstury Lidii Pinkham, dobrze? – Wypiła łyk mikstury roślinnej i odetchnęła z ulgą. – To cudowne lekarstwo – powiedziała. – Ta kobieta, co je wymyśliła, była święta.

³ Panocha – kandyzowane słodycze z kremem i orzechami (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ XX

1

Było to przyjemne popołudnie. Szczyt Fremontu różowiał w zachodzącym słońcu i Faye widziała go ze swego okna. Od strony ulicy Castroville dolatywało łagodne pobrzękiwanie dzwonek ośmiokonnego zaprzęgu zwożącego zboże ze wzgórz. W kuchni wojował z garnkami kucharz. Na korytarzu coś zaszurało po ścianie i rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Wejdz, Mętne Oko! – zawołała Faye.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął mały, pokręcony grajek o zasnutych bielmem oczach, czekając, by jakiś odgłos powiedział mu, gdzie jest Faye.

– Czego chcesz? – spytała Faye.

Obrócił się w jej stronę.

– Nie czuję się dobrze, panno Faye. Chciałbym położyć się do łóżka i nie grać dziś wieczorem.

– W zeszłym tygodniu przechorowałaś już dwa wieczory. Nie podoba ci się twoje zajęcie?

– Nie czuję się dobrze.

– Ano, niech będzie. Ale na przyszłość dbaj lepiej o siebie.

– Rzuć opium na kilka tygodni, Mętne Oko – odezwała się cicho Kate.

– A, panna Kate! Nie wiedziałem, że pani tu jest. Ja teraz wcale nie paliłem.

– Paliłeś – odparła Kate.

– Dobrze, panno Kate, rzucę na pewno. Marnie się czuję. – Zamknął drzwi, a one usłyszały, jak wodzi ręką po ścianie szukając drogi.

Faye powiedziała:

– A mnie mówił, że przestał palić.

– Wcale nie przestał.

– Biedak – westchnęła Faye. – Niewiele ma od życia.

Kate stanęła przed nią.

– Ty jesteś taka kochana – rzekła. – Każdemu wierzysz. Jeżeli nie będziesz uważała albo ja nie będę uważała za ciebie, któregoś dnia ktoś ukradnie dach z tego domu.

– Kto by tam chciał mnie okraść! – powiedziała Faye.

Kate położyła dłonie na jej pulchnych ramionach.

– Nie każdy jest taki dobry jak ty.

Oczy Faye zabłysły od łez. Wzięła chusteczkę ze stojącego obok krzesła, otarła oczy i delikatnie dotknęła nozdrzy.

– Ty jesteś dla mnie jak rodzona córka, Kate – rzekła.

– Zaczynam wierzyć, że nią jestem. Nigdy nie znalazłam swojej matki. Umarła, kiedy byłam malutka.

Faye zaczerpnęła głęboko tchu i dała nurka w ten temat.

– Kate, nie podoba mi się, że tu pracujesz.

– Dlaczego?

Faye potrząsnęła głową, szukając słów.

– Nie mam powodu się wstydzić. Prowadzę przyzwoity dom. Gdybym ja tego nie robiła, kto inny mógłby otworzyć jakąś spelunę. Nikomu nie robię nic złego. Nie wstydzę się.

– A dlaczego miałybyś się wstydzić? – spytała Kate.

– Ale nie podoba mi się, że tu pracujesz. Po prostu mi się nie podoba. Uważam cię prawie za córkę. Nie chcę, żeby moja córka pracowała.

– Nie bądź niemądra, koteczku – powiedziała Kate. – Przecież muszę... tutaj albo gdzie indziej. Mówiłam ci. Muszę mieć trochę pieniędzy.

– Wcale nie musisz.

– Ależ oczywiście, że tak. Gdzież mogłabym coś zarobić?

– Mogłabyś być moją córką. Mogłabyś poprowadzić ten dom. Mogłabyś zajmować się za mnie różnymi rzeczami, a nie chodzić na górę. Przecież wiesz, że nie zawsze dobrze się czuję.

– Wiem, moje biedactwo. Ale ja muszę mieć pieniądze.

– Starczy ich aż nadto dla nas dwóch, Kate. Mogłabym ci dać tyle, ile zarabiasz, a nawet więcej, boś tego warta.

Kate smutnie potrząsnęła głową.

– Ja cię naprawdę kocham – powiedziała. – I chciałabym zrobić to, czego sobie życzysz. Ale tobie są potrzebne te twoje niewielkie oszczędności, a ja... no, przypuśćmy, że coś się stanie? Nie; muszę dalej pracować. Wiesz, kochanie, że dziś wieczorem mam pięciu stałych klientów?

Wstrząs zgrozy targnął Faye.

– Nie chcę, żebyś pracowała!

– Muszę, mamó.

To słowo zrobiło swoje. Faye wybuchnęła płaczem, a Kate usiadła na poręczy fotela, zaczęła gładzić ją po policzkach i ocierać jej załzawione oczy. Faye uspokajała się powoli.

W dolinie zapadł głęboki zmierzch. Twarz Kate jaśniała pod ciemnymi włosami.

– No, już dobrze. Teraz zajrzę na chwilę do kuchni, a potem pójdę się przebrać.

– Kate, nie możesz powiedzieć tym swoim klientom, że się źle czujesz?

– Ależ skąd, mamó!

– Kate, dziś jest środa. Po pierwszej już na pewno nie będzie nikogo.

– Bractwo Leśne⁴ urządza popijawę.

– A rzeczywiście. Ale to przecież środa... Po drugiej ich też już nie będzie.

– O co ci idzie?

– Kate, jak skończysz, zapukaj do mnie. Będę miała dla ciebie małą niespodziankę.

– Jaką niespodziankę?

– A, to sekret! Może przechodząc koło kuchni poprosisz kucharza, żeby tu zaszedł.

– Widzę, że ta niespodzianka to jakiś tort.

– Teraz o nic nie pytaj, kochanie. Niespodzianka.

Kate ucałowała ją.

– Jaka ty jesteś dobra, mamó!

Zamknawszy za sobą drzwi, Kate przystanęła na chwilę w korytarzu. Pogładziła palcami swą drobną, spiczastą brodę. Oczy miała spokojne. Potem wyprostowała ręce nad głową i przeciągnęła się z rozkosznym ziewnięciem. Powoli przesunęła obiema dłońmi po ciele, od piersi aż po biodra. Kąciki jej ust podniosły się lekko i ruszyła w stronę kuchni.

⁴ Bractwo Leśne – stowarzyszenie, rodzaj klubu, założone w Omaha w 1890 r. (przyp. tłum.).

Kilku stałych klientów przyszło i poszło, przyplątało się też dwóch włóczęgów, aby się na nich pogapić, ale nie pokazał się ani jeden przedstawiciel Bractwa Leśnego. Dziewczyny ziewając czekały w saloniku do drugiej w nocy.

Członkom Bractwa przeszkodził smutny wypadek. Clarence Monteith dostał ataku serca w samym środku rytuału końcowego, jeszcze przed kolacją. Położono go na dywanie i zwilżono mu czoło, dopóki nie przyszedł lekarz. Nikt nie miał już ochoty zasiąść do wieczerzy z pączkami. Kiedy przybył doktor Wilde i zbadał chorego, członkowie Bractwa zaimprovizowali nosze z dwóch płaszczy, w których rękawy wsunęto drzewce chorągwi. Clarence zmarł w drodze do domu, więc musieli powtórnie pójść po doktora Wilde'a. A gdy już ułożyli plan pogrzebu i napisali wzmiankę do "Salinas Journal", nikt nie był w nastroju, żeby iść do burdelu.

Kiedy nazajutrz dziewczyny dowiedziały się o wypadku, przypomniały sobie, co powiedziała Etel za dziesięć druga.

– Boże kochany! – zawołała wtedy. – Jeszcze nigdy nie było tu tak cicho. Nie ma muzyki, a naszej Kate chyba kot odgryzł język. Całkiem jak byśmy siedziały przy trumnie.

Później Etel była pod wrażeniem własnych słów – rzekłbyś, wiedziała, co się stało.

Grace powiedziała:

– Ciekawe, jaki to kot odgryzł Kate język. Może się źle czujesz? Kate, pytam cię: źle się czujesz?

Kate drgnęła.

– Och, nie, tylko myślałam o czymś.

– A ja nie – odparła Grace. – Ja jestem śpiąca. Dlaczego jeszcze nie zamykamy? Spytajmy Faye, czy nie można by zamknąć. Dzisiaj nie przyjdzie nawet żaden Chiniec. Idę zapytać.

Głos Kate przeciął jej słowa.

– Zostaw Faye w spokoju. Nie czuje się dobrze. Zamkniemy o drugiej.

– Ten zegar źle chodzi – odezwała się Etel. – A co, jej dolega?

– Może właśnie o tym myślałam – odrzekła Kate. – Z Faye nie jest dobrze. Śmiertelnie się o nią boję. A stara się nic nie pokazać po sobie.

– Myślałam, że czuje się jak najlepiej – powiedziała Grace.

Etel znowu trafiła w sedno.

– A mnie się nie podoba jej wygląd. Ma jakieś takie wypieki... Zauważyłam to.

Kate powiedziała bardzo cicho:

– Słuchajcie, tylko nigdy nie dajcie jej poznać, że wam o tym mówiłam. Nie chciałaby, żebyście się martwiły. To taka zacna dusza!

– Najlepszy dom, cholera, w jakim się kurwiłam – rzekła Grace.

– Tylko uważaj, żeby Faye nie usłyszała, jak mówisz takie słowa – powiedziała Alicja.

– Gówno! – odparła Grace. – Ona zna wszystkie słowa.

– Ale nie lubi ich słuchać, przynajmniej od nas.

Kate zaczęła cierpliwie:

– Chcę wam powiedzieć, co się stało. Dziś nad wieczorem piłyśmy herbatę i ni stąd, ni zowąd zemdląła. Chciałabym, żeby poszła do doktora.

– Zauważyłam, że miała silne wypieki – powtórzyła Etel. – Ten zegar źle idzie, ale już nie wiem, czy się spieszy, czy spóźnia.

– Kładźcie się do łóżek – powiedziała Kate. – Ja zamknę.

Kiedy się porozchodziły, Kate poszła do swego pokoju i włożyła ładną, nową sukienkę perkalową, w której wyglądała jak mała dziewczynka. Zaczesała włosy i zaplotła je w gruby warkocz, który przerzuciła sobie na plecy, przewiązawszy go niewielką, białą kokardką. Skropiła policzki wodą florydzką. Zawahała się chwilę, po czym z górnej szuflady biurka wyjęła mały złoty zegareczek zawieszony na broszce w kształcie lilii burbońskiej. Zawinęła go w cienką batystową chusteczkę i wyszła z pokoju.

Na korytarzu było zupełnie ciemno, ale spod drzwi Faye dobywała się smużka światła. Kate zapukała delikatnie.

– Kto tam? – spytała Faye.

– To ja, Kate.

– Jeszcze nie wchodzić. Zaczekaj pod drzwiami. Powiem ci kiedy.

Kate usłyszała jakiś szelest i szuranie wewnątrz pokoju. Potem Faye zawołała:

– No już! Wejdz.

Pokój był udekorowany. Japońskie lampiony ze świeczkami zwisały w rogach u bambusowych prętów, a pasma czerwonej karbowanej bibułki, zwinięte spiralnie od środka pokoju do rogów, stwarzały wrażenie namiotu. Na stoliku stał wielki biały tort ze świeczkami dookoła i pudełko czekoladek, a obok kubeczek kruszonego lodu, z którego sterczała szyjka "magnum" szampana. Faye miała na sobie swoją najlepszą koronkową suknię, a oczy błyszczały jej z emocji.

– Co to?! – wykrzyknęła Kate. Zamknęła drzwi. – Zupełnie jakieś przyjęcie!
– Bo i jest przyjęcie. Przyjęcie dla mojej kochanej córeczki.
– Przecież dziś nie są moje urodziny.
– W pewnym sensie może i tak – odrzekła Faye.
– Nic nie rozumiem. Ale przyniosłam ci prezent. – Położyła na kolanach Faye zawiniątko zrobione z chusteczki. – Rozwiń to ostrożnie – dodała.

Faye podniosła w górę zegarek.

– O, moje kochanie, moje kochanie! Ach, ty szalone dziecko! Nie, ja nie mogę tego przyjąć.

Otworzyła zegarek, a potem paznokciem podważyła kopertę. Były tam wryte słowa: "Dla C. całym sercem od A."

– To był zegarek mojej mamy – powiedziała Kate cicho.

– Chciałabym, żeby go nosiła moja nowa matka.

– Najmilsze dziecko! Moje ty najmilsze dziecko!

– Mama by się ucieszyła.

– Ależ to przecie ja wydaję przyjęcie! Też mam prezencik dla mojej najdroższej córeczki, ale muszę wszystko zrobić po swojemu. Teraz, Kate, otwórz szampana i nalej do tych dwóch kieliszków, a ja tymczasem pokroję tort. Chcę, żeby to się odbyło wykwintnie.

Kiedy wszystko już było gotowe, Faye zasiadła do stolika. Podniosła kieliszek.

– Zdrowie mojej córeczki. Obyś mi żyła długo i szczęśliwie.

Kiedy wypily, Kate wzniosła toast:

– Zdrowie mojej mamusi.

– Popłaczę się... nie mów tak, bo się popłaczę – rzekła Faye.

– Tam, na biurku, kochanie. Daj mi tę mahoniową skrzyneczkę. O, właśnie tę. Teraz ją postaw tu na stoliku i otwórz.

W politurowanym puzderku leżał rulonik białego papieru, przewiązany czerwoną wstążką.

– Co to takiego? – spytała Kate.

– To jest mój prezent dla ciebie. Rozwiń go.

Kate ostrożnie rozwiązała wstążkę i rozwinęła rulonik. Było tam kilka słów wykwintnie wypisanych ozdobnymi literami, dobrze, starannie sformułowanych i poświadczonych przez kucharza.

Wszystkie bez wyjątku moje doczesne dobra zapisuję Kate Albey, ponieważ uważam ją za swoją córkę.

Było to proste, bezpośrednie i nieskazitelne z prawnego punktu widzenia, Kate przeczytała te słowa trzykrotnie, spojrzała jeszcze na datę i sprawdziła podpis kucharza. Faye przypatrywała jej się, a usta miała rozchylone w oczekiwaniu. Kiedy Kate czytając poruszała wargami, wargi Faye poruszały się także.

Kate zwinęła papier, obwiązała go wstążką, włożyła do pudełka i opuściła wieczko. Usiadła na krześle. Faye odezwała się wreszcie:

– Jesteś zadowolona?

Oczy Kate zdawały się przenikać ją na wskroś, docierać do mózgu ukrytego za żrenicami. Powiedziała spokojnie:

– Staram się jakoś trzymać, mamó. Nie wiedziałam, że ktoś może być aż tak dobry. Boję się, że jeżeli powiem coś za prędko albo podejść za blisko do ciebie, rozkleję się zupełnie.

Było to jeszcze dramatyczniejsze, niż Faye się spodziewała, spokojne i elektryzujące. Faye zapytała:

– Zabawny prezencik, co?

– Zabawny? Wcale nie jest zabawny.

– Chciałam powiedzieć, że testament jest dosyć dziwnym prezentem. Ale to ma jeszcze inne znaczenie. Teraz mogę już powiedzieć, że jesteś naprawdę moją córką. Ja... nie: my mamy w gotówce i papierach z górą sześćdziesiąt tysięcy dolarów. W moim biurku jest spis kont i depozytów bankowych. Tamten dom w Sacramento sprzedałam bardzo korzystnie. Dlaczego jesteś taka milcząca, dziecinko? Czy martwisz się czymś?

– Testament ma w sobie coś ze śmierci. To jakby rozpostarto kir.

– Przecież każdy powinien spisać testament.

– Wiem, mamó – uśmiechnęła się smutno Kate. – I jeszcze coś przeleciało mi przez głowę. Pomyślałam o wszystkich twoich krewnych, którzy zbiegną się rozszoszczeni, żeby unieważnić taki testament. Nie możesz tego zrobić.

– Więc to jest powód twojego zmartwienia, moje biedactwo kochane? Ja nie mam rodziny. O ile mi wiadomo, nie mam żadnych krewnych. A gdybym nawet miała, któż by się o tym dowiedział? Myślisz, że ty jedna masz tajemnice? Myślisz, że używam tego nazwiska, pod którym się urodziłam?

Kate przypatrzyła się Faye, długo, uważnie.

– Kate! – zawołała Faye. – Kate, to jest przyjęcie! Nie bądźże smutna! Nie bądź taka lodowata.

Kate wstała, delikatnie odsunęła stolik i usiadła na podłodze. Złożyła Faye głowę na kolanach. Wodziła smukłymi palcami po złotej nici tworzącej na spódnicy zawily wzór z liści. A Faye gładziła ją po policzku i włosach, dotykała jej dziwnych uszu. Palce jej nieśmiało namacały zarysy blizny na czole.

– Chyba jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa – powiedziała Kate.

– Kochanie ty moje! Ja też jestem szczęśliwa. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Teraz nie czuję się już sama. Teraz jestem bezpieczna.

Kate delikatnie skubała paznokciami złotą nić.

Długo siedziały w tym czułym nastroju; wreszcie Faye drgnęła.

– Kate – powiedziała. – Zapominamy o czymś. Przecież to jest przyjęcie. Zapomnialiśmy o winie. Nalej nam, dziecińko. Musimy to uczcić.

– Czy koniecznie, mamó? – spytała niespokojnie Kate.

– Przecież to pyszne! Lubię sobie czasem pociągnąć. To człowieka oczyszcza z różnych jadów. A ty nie lubisz szampana, Kate?

– Ano, nigdy go dużo nie piłam. Szkodzi mi.

– Opowiadanie! Nalej, kochaneczko.

Kate wstała z podłogi i napełniła kieliszki.

– A teraz wypij do dna – rozkazała Faye. – Ale ja cię obserwuję! Nie pozwolisz starej kobiecie, żeby się wygłupiała sama jedna.

– Wcale nie jesteś stara, mamó.

– Nie mów nic, tylko pij. Nie tknę swojego kieliszka, dopóki twój nie będzie pusty.

Trzymała kieliszek w ręku, póki Kate nie wypila, a potem opróżniła go jednym haustem.

– Oj, dobre to, dobre! – powiedziała. – Nalej jeszcze. No, kochanie, siup. Po dwóch, trzech odchodzą wszelkie złe myśli.

W Kate wszystko krzyczało, broniąc się przed szampanem. Pamiętała i bała się.

– Teraz pokaż mi dno, dziecińko. O, tak. Widzisz, jakie to pyszne? Nalej jeszcze.

Przemiana przyszła na Kate nieomal zaraz po drugim kieliszku. Strach się ulotnił, wszelkie obawy znikły. Tego się właśnie lękała, ale już było za późno. Wino uczyniło wyłom we wszystkich starannie zbudowanych zaporach, obwarowaniach i

matactwach – i było jej to obojętne. To, co nauczyła się taić i powściągać, wymknęło jej się spod kontroli. Głos jej był zimny, a usta zacięte. Szeroko osadzone oczy zmrużyły się czujnie i sardonicznie.

– Teraz ty wypij, mammo... a ja popatrzę – rzekła. – O tak, kochanie. Założę się, że nie potrafisz wypić dwóch jeden po drugim.

– Nie zakładaj się, Kate, bo przegrasz. Potrafię wypić sześć jeden po drugim.

– No, pokaż.

– A jak ja wypiję, to i ty też?

– Oczywiście.

Zaczęły się zawody, na blacie stolika rozlała się kałuża wina, a szampan w "magnum" opadł. Faye chichotała.

– Jakem była młoda... ech, mogłabym opowiadać ci takie historie, że byś nie uwierzyła.

– Ja mogłabym opowiadać historie, w które nikt by nie uwierzył – odparła Kate.

– Ty? Dajże spokój. Jeszcze jesteś dziecko.

Kate zaśmiała się.

– W życiu nie widziałas takiego dziecka. To jest dziecko... tak, dziecko! – Roześmiała się cienko, przenikliwie.

Ten dźwięk przebił się poprzez wino, które otumaniało Faye. Ześrodkowała spojrzenie swych oczu na Kate.

– Dziwnie wyglądasz – powiedziała. – Pewnie to światło... Jakaś inna...

– Bo jestem inna.

– Mów do mnie "mamo", kochanie.

– Mamo, kochanie.

– Kate, będzie nam się tak dobrze żyło!

– Ja myślę. Nawet nie wiesz jak. Nie wiesz...

– Zawsze marzyłam, żeby pojechać do Europy. Możemy wsiąść na statek, sprawić sobie piękne suknie... prosto z Paryża.

– Może to się i zrobi, ale nie teraz.

– Dlaczego nie, Kate? Mam kupę pieniędzy.

– Będziemy miały więcej.

– Dlaczego nie chcesz jechać teraz? – spytała Faye błagalnym tonem. – Mogłybyśmy sprzedać ten dom. Z tak rozkręconym interesem dostałybyśmy jakieś dziesięć tysięcy dolarów.

– Nie.

– Jak to nie? To mój dom. Mogę go sprzedać?

– Już zapomniałaś, że jestem twoją córką?

– Nie podoba mi się twój ton, Kate. Co cię ugryzło? Jest tam jeszcze trochę wina?

– Jest, a jakże. Zobacz pod światło. Masz, napij się z butelki. O tak... mamuńciu... Niech ci się leje po szyi. Za gorset, mamuńciu... na to twoje tłuste brzuszysko.

Faye jęknęła:

– Kate, nie bądźże podła! Przecież było nam tak przyjemnie. Dlaczego chcesz wszystko zepsuć?

Kate wyrwała jej z ręki butelkę.

– Dawaj mi to!

Przechyliła butelkę, wypila do dna i rzuciła ją na podłogę. Twarz miała zaciętą, oczy błyszczące. Rozchylone wargi drobnych ust ukazywały małe, ostre zęby; kły były dłuższe i bardziej spiczaste od reszty. Zaśmiała się cicho:

– Mamo... kochana mamo... ja ci pokażę, jak się prowadzi burdel. Załatwimy tych siwych byków, co tu przychodzą, i wypuścimy z nich te ich parszywe zapasiki – po dolarze. Damy im przyjemność, mamo droga.

Faye powiedziała ostro:

– Kate, jesteś pijana. Nie rozumiem, co wygadujesz.

– Nie rozumiesz, mamuńciu droga? Chcesz, żebym ci wytłumaczyła?

– Chcę, żebyś była miła. Taka jak przedtem.

– Ano, już za późno. Nie chciałam pić wina. Ale tyś mnie zmusiła, ty wstrętne, tłusta glisto. Jestem twoją kochaną, słodką córeczką, nie pamiętasz? A ja pamiętam, jakieś się dziwiła, że mam stałych klientów. Myślisz, że ich się wyrzeknę? Myślisz, że mi dają marnego dolara drobnymi? Nie! Dają mi po dziesięć, a cena wciąż idzie w górę. Nie pójdą do nikogo innego. Nikt im już nie dogodzi.

Faye płakała jak dziecko.

– Kate – powiedziała. – Nie mów w ten sposób. Ty nie jesteś taka. Nie jesteś taka.

– Droga mamuniu, słodka, tłusta mamuniu, ściągnij portki któremuś z tych stałych klientów. Przyjrzyj się śladom obcasów w pachwinach. Bardzo to ładniutkie. I te małe skaleczenia, co długo krwawią. O, mamu kochana, mam taką milutką kolekcję brzytew – wszystkie w futeraliku, a takie ostre, takie ostre!

Faye próbowała wstać. Kate pchnęła ją z powrotem na fotel.

– A wiesz ty, mamu droga, że cały ten dom będzie taki? Cenę się naznaczy na dwadzieścia dolarów i każemy draniom brać kąpiel. Będziemy zbierały krew na białe jedwabne chusteczki... mamuniu kochana... krew od tych małych, suplastych batów.

Faye zaczęła wrzeszczeć ochryple w fotelu. Kate natychmiast przyskoczyła i zatkała jej usta twardą ręką.

– Nie rób hałasu. Bądź grzeczna, kochanie. Tak, obsmarkaj całą rękę swojej córeczce – byle bez hałasu.

Na chwilę ją puściła i otarła rękę o jej spódnice. Faye wyszeptała:

– Zabieraj się z tego domu. Zabieraj się. Ja prowadzę przyzwoity zakład, bez żadnych świństw. Wynoś się.

– Nie mogę odejść, mamu. Nie mogę cię zostawić samej, moje biedactwo. – Głos jej ochłódl. – A teraz mam ciebie dość. Mam ciebie dość. – Wzięła ze stolika kieliszek od wina, podeszła do biurka i naląła do połowy lekarstwa uspokajającego. – Masz, mamu, wypij. Dobrze ci zrobi.

– Nie chcę.

– Bądź grzeczna, wypij. – Wlała jej płyn do ust. – No, jeszcze łyżek... Jeszcze tylko jeden.

Faye przez chwilę mamrotała coś ochryple, po czym osunęła się głębiej w fotel i zasnęła, chrapiąc grubo.

3

W zakamarkach mózgu Kate zaczął wzbierać strach, a ze strachu wylęzło się przerażenie. Wspomniała tamten poprzedni raz i ogarnęły ją mdłości. Zacisnęła kurczowo dłonie, lecz przerażenie rosło. Zapaliła od lampy świecę i chwiejnym krokiem poszła przez korytarz do kuchni. Nałożyła do szklanki trochę suchej musztardy, dołąła wody, wymieszała na papkę i połknęła. Trzymała się krawędzi zlewu, gdy papka spływała piekąco do żołądka. Zwymiotowała raz, potem drugi i

trzeci. Pod koniec serce jej waliło i osłabła, ale wino było przewyciężone, a umysł miała jasny.

Przebiegła myślą cały wieczór, przechodząc od jednej sceny do drugiej niczym wężące zwierzę. Obmyła sobie twarz, opłukała zlew i odstawiła musztardę na półkę. Następnie wróciła do pokoju Faye.

Nadchodził brzask, oświetlając od przeciwległej strony szczyt Fremontu, który zaczerniał na tle nieba. Faye nadal chrapała w fotelu. Kate przypatrywała jej się chwilę, po czym posłała łóżko. Z wysiłkiem i mozołem dźwignęła bezwładne ciało śpiącej. Położywszy Faye na łóżku rozebrała ją, obmyła jej twarz, a suknię schowała do szafy.

Dzień wstawał szybko. Kate usiadła przy łóżku i patrzyła na spokojną już teraz twarz Faye, na jej otwarte usta i wargi, które wciągały i wydychały powietrze.

Faye poruszyła się niespokojnie, wybelkotała suchymi wargami kilka zdławionych słów i westchnąwszy zaczęła chrapać znowu.

Oczy Kate stały się czujne. Otworzyła górną szufladę biurka i przejrzała flakony, które składały się na domową apteczkę: środek uśmierzający, lekarstwo na bóle, mikstura Lidii Pinkham, żelazo, "Emulsja kremowa Halla", sól gorzka, olej rycynowy, amoniak. Wzięła buteleczkę amoniaku, podeszła do łóżka, zwilżyła nim chustkę i odsuwając się, jak mogła najdalej, przytknęła ją do nosa i ust Faye.

Dławiące, ostre wyziewy przeniknęły do płuc śpiącej, która prychnąc wydobyła się mozolnie z czarnego tumanu. Oczy miała szeroko rozwarte i przerażone.

Kate powiedziała:

– No, już dobrze, mamusiu. Już dobrze. Miałaś jakieś koszmary. Jakieś złe majaki.

– Tak, majaki...

A potem znowu zmorzył ją sen i zaczęła chrapać, ale wstrząs wywołany przez amoniak wydzwignął ją bliżej świadomości i kręciła się teraz niespokojnie.

Kate schowała buteleczkę do szuflady. Poprawiła stolik, wytarła rozlane wino i zaniósła kieliszki do kuchni.

W domu panował półmrok, tylko przez szpary u brzegów żaluzji przenikał do wnętrza brzask. Kucharz krzątał się w swej przybudówce za kuchnią, szukając po omacku ubrania i naciągając ciężkie buciska.

Kate zachowywała się cicho. Wypiła dwie szklanki wody, napełniła ponownie szklankę, zabrała ją do pokoju Faye i zamknęła drzwi. Podniosła prawą powiekę

śpiącej i oko łypnęło na nią szelmowsko, nie było jednak wywrócone w głąb czaszki. Kate działała powoli i precyzyjnie. Wzięła chusteczkę i powąchała ją. Amoniak już częściowo wywietrzał, lecz zapach był jeszcze ostry. Delikatnie przyłożyła chustkę do twarzy Faye, a kiedy ta zaczęła się kręcić i przewracać na łóżku, już bliska przebudzenia, Kate odjęła chusteczkę i pozwoliła Faye opaść z powrotem na poduszki. Powtórzyła to trzy razy. Schowała chustkę i z marmurowego blatu biurka wzięła szydełko z kości słoniowej. Odchyliła kołdrę i przytknęła tępy koniec szydełka do zwiotczalej piersi Faye, wzmagając nacisk, dopóki śpiąca nie zaczęła więc się i jęczeć. Wtedy Kate wymacała kolejno szydełkiem wrażliwe części ciała: pachy, uszy, pachwiny, clitoris – za każdym razem cofając szydełko, nim Faye zdążyła się całkowicie obudzić.

Faye była już teraz bardzo blisko powierzchni. Postękiwała, prychała, miotła się na łóżku. Kate pogładziła ją po czole, przesunęła delikatnie palcami po wewnętrznej stronie rąk i powiedziała miękko:

– Kochanie... kochanie... Masz taki straszny sen. Obudź się z tego snu, mamusiu.

Oddech Faye stał się równiejszy. Westchnęła głęboko, przewróciła się na bok i wtuliła w posłanie, pochrzając cicho z zadowolenia.

Kate wstała i natychmiast uczuła falę zawrotu głowy. Przytrzymała się, żeby nie upaść, podeszła do drzwi, posłuchała chwilę, wysunęła się do korytarza i ostrożnie poszła do swego pokoju. Rozebrała się szybko, włożyła nocną koszulę, szlafrok i pantofle. Przyczesła i upięła włosy, i przykryła je nocnym czepkiem, po czym natarła sobie twarz wodą florydzką. Następnie wróciła cicho do pokoju Faye.

Faye nadal spała spokojnie na boku. Kate otworzyła drzwi do korytarza. Podeszła ze szklanką do łóżka i wlała jej do ucha trochę zimnej wody.

Faye wrzasnęła raz i drugi. Ze swego pokoju Etel wytknęła przestraszoną twarz w samą porę, aby pod drzwiami Faye zobaczyć Kate w szlafroku i pantoflach. Kucharz stał tuż za Kate i wyciągnął rękę, by ją powstrzymać.

– Niech pani nie wchodzi, panno Kate. Nie wiadomo, co tam się dzieje.

– Bzdury! Jej coś jest.

Kate wpadła do pokoju i podbiegła do łóżka.

Faye miała oszalałe oczy, krzyczała i jęczała.

– Co się stało? Co ci jest, kochanie?

Kucharz zatrzymał się na środku pokoju, a w progu stanęły trzy otumanione snem dziewczyny.

– Powiedz mi, co ci jest! – zawołała Kate.

– Och, kochanie... takie sny, takie sny! Nie mogę już wytrzymać!

Kate obróciła się do drzwi.

– Miała koszmary. Nic jej nie będzie. Wracajcie do łóżek. Ja przy niej chwilę posiedzę. Alex, przynieś imbryk herbaty.

Kate była niezadowolona. Dziewczyny dzieliły się później spostrzeżeniami na ten temat. Przykładała do rozbolącej głowy Faye zimne ręczniki, przytrzymywała ją za ramiona, podając filiżankę herbaty. Gładziła ją i pieściła, ale wyraz przerażenia nie zniknął z oczu Faye. O dziesiątej Alex przyniósł puszkę piwa i bez słowa postawił ją na biurku. Kate przytknęła szklankę do warg Faye.

– To ci dobrze zrobi, kochanie. Wypij do dna.

– Do ust nie wezmę alkoholu.

– Cóż znowu! Wypij to jak lekarstwo. O tak, to grzecznie. A teraz połóż się i pośpij trochę.

– Boję się zasnąć.

– To te sny były takie straszne?

– Potworne! Potworne!

– Opowiedz mi, mamusi. Może ci to ulży.

Faye wzdrygnęła się.

– Nikomu bym nie powiedziała. Jak mogłam mieć takie sny! Zupełnie jakby nie moje.

– Biedna mamusia! Kocham cię – rzekła Kate. – A teraz zaśnij. Ja będę odpędzała złe sny.

Stopniowo Faye zapadła w sen. Kate siedziała przy łóżku – wpatrując się w nią uważnie.

ROZDZIAŁ XXI

1

W niebezpiecznych i delikatnych sprawach ludzkich możliwość pomyślnego zakończenia jest wyraźnie ograniczona przez pośpiech. Jakże często człowiek potyka się dlatego, że mu się zanadto spieszy! Jeżeli ktoś chce należycie dokonać trudnego i skomplikowanego czynu, powinien naprzód ustalić sobie cel, który ma osiągnąć, potem zaś, uznawszy go za pożądany, zapomnieć o nim całkowicie i skoncentrować się wyłącznie na środkach. Dzięki takiej metodzie nie przynagli go do niewłaściwego działania niepokój, pośpiech czy strach. Bardzo nieliczni ludzie potrafią się tego nauczyć.

Kate działała tak skutecznie z tej przyczyny, że albo się tego nauczyła, albo przyniosła już z sobą na świat ową umiejętność. Kate nigdy się nie spieszyła. Jeżeli wyrastała przed nią jakaś przeszkoda, czekała, aż ona zniknie, i dopiero wtedy robiła dalej swoje. Umiała odprężyć się całkowicie między jednym działaniem a drugim. Poza tym opanowała technikę, która jest podstawą dobrego zapaśnictwa, a polega na pozwalaniu przeciwnikowi, aby się ciężko utrudził, przybliżając w ten sposób własną klęskę, bądź na kierowaniu jego sił ku jego słabym punktom.

Kate się nie spieszyło. Od razu przemyślała wszystko do końca, po czym wyrzuciła to z głowy. Zaczęła opracowywać sobie metodę. Budowała jakąś konstrukcję, następnie ją atakowała i jeżeli ta zdradziła najmniejszą chwiejność, rozrzucała ją i zaczynała od nowa. Robiła to tylko późno w nocy albo kiedy była zupełnie sama, ażeby nikt nie zauważył w niej jakiejś zmiany czy zaabsorbowania. Jej konstrukcja składała się z osób, materiałów, wiedzy i czasu. Kate miała dostęp do pierwszego i ostatniego elementu, a wzięła się też do gromadzenia materiałów i wiedzy; jednakże przy tym wprawiała w ruch cały szereg niedostrzegalnych sprężyn i wahadeł i pozwalała im samym nabrać rozpędu.

Najpierw kucharz wygadał się na temat testamentu. Musiał to zrobić kucharz. Tak przynajmniej zdawało się jemu samemu. Kate dowiedziała się o tym od Etel i zagadnęła go wprost w kuchni, gdzie właśnie ugniatał ciasto na chleb. Jego masywne, owłosione ręce umączone były do łokci, a dłonie ubielone drożdżami.

– Czy uważacie, żeście dobrze zrobili, opowiadając o tym, że was wzięto na świadka? – spytała go łagodnie. – Co sobie pomyśli panna Faye?

Kucharz zmieszał się.

– Ale kiedy ja chyba nie...

– Co nie? Nie opowiadaliście czy nie myśleliście, że to będzie szkodliwe?

– Nie przypominam sobie, żebym...

– Żebyście o tym mówili? Tylko trzy osoby wiedziały. Myślicie, że to ja wygadałam? Albo panna Faye?

Zauważyła wahanie w jego oczach i wiedziała już, że teraz wcale nie jest pewny, czy komuś nie powiedział. Jeszcze chwila, a będzie przekonany, że tak.

Trzy z dziewcząt zapytały Kate o testament, przyszedłszy do niej razem, ażeby dodać sobie nawzajem odwagi. Kate odpowiedziała:

– Wątpię czy Faye życzy sobie, żebym o tym mówiła. Alex powinien był trzymać język za zębami.

Dziewczyny zachwiały się w swym postanowieniu, a Kate dorzuciła:

– Dlaczego nie spytacie jej samej?

– A, tego byśmy nie zrobiły!

– Ale macie śmiałość gadać za jej plecami! Proszę, pójdziemy do niej i będziecie mogły zapytać.

– Nie, Kate, nie.

– W każdym razie ja muszę jej powiedzieć, żeście mnie pytały. Nie wolicie być przy tym? Nie myślicie, że byłoby jej przyjemniej, gdyby wiedziała, że nie plotkujecie za jej plecami?

– Ano, bo...

– Ja bym na pewno woląa. Zawsze lubię, jak ktoś stawia sprawę otwarcie.

Spokojnie zebrała je, popchnęła i poprowadziła naprzód, aż znalazły się w pokoju Faye. Kate powiedziała:

– One mnie pytały, już wiesz, o co. Alex przyznaje, że się wygadał.

Faye była lekko zaskoczona.

– No, kochanie, ja nie uważam, żeby to był taki sekret.

– A, to się bardzo cieszę, że tak do tego podchodzisz – odparła Kate. – Ale chyba rozumiesz, że nie mogłam pierwsza o tym wspominać.

– Myślisz, że nie należy tego mówić, Kate?

– Ach, wcale nie. Cieszę się, ale uważałam, że byłoby nielojalnie z mojej strony powiedzieć coś, zanim ty to zrobisz.

– Jesteś taka słodka, Kate. Ja nie znajduję w tym nic złego. Widzicie, dziewczynki, jestem sama na świecie i wzięłam sobie Kate za córkę. Ona tak się mną opiekuje! Daj mi to pudełko, Kate.

I każda z dziewczyn wzięła do ręki testament i obejrzała go. Był tak prosty, że mogły powtórzyć go koleżankom słowo po słowie.

Odtąd obserwowały Kate, chcąc się przekonać, jakie zajdą w niej zmiany, czy może będzie je tyranizowała – ale jeżeli coś się zmieniło, to tylko tyle, że była dla nich jeszcze miłsza.

Kiedy w tydzień później Kate zachorowała, nie przerwała nadzoru nad domem i nikt by się niczego nie domyślił, gdyby jej nie znaleziono w korytarzu, gdzie stała zdrętwiała z męką wypisaną na twarzy. Poprosiła, żeby dziewczyny nic nie mówiły Faye, ale oburzyły się na to i Faye osobiście zapakowała ją do łóżka, po czym wezwała doktora Wilde'a.

Był to sympatyczny człowiek i wcale niezły lekarz. Obejrzał jej język, zmierzył tętno, zadał kilka intymnych pytań, po czym poklepał się po dolnej wardze.

– Tutaj? – zapytał i nacisnął jej lekko krzyż. – Nie? A tu? Czy to boli? Aha. No cóż, zdaje się, że pani po prostu musi przeczyszczyć trochę nerki.

Zostawił żółte, zielone i czerwone pigułki, które należało zażywać po kolei. Pigułki podziały doskonale.

Raz tylko miała lekki nawrót dolegliwości. Powiedziała do Faye:

– Pójdę do doktora.

– Wezwę go tutaj.

– Żeby mi przyniósł następną porcję pigułek? Nie ma sensu. Pójdę tam jutro rano.

2

Doktor Wilde był dobrym i uczciwym człowiekiem. Przywykł mawiać o własnym zawodzie, iż pewien jest tylko jednego: że siarka leczy świerzb. Praktyki swej nie traktował niedbale. Wzorem wielu prowincjonalnych lekarzy był zarazem doktorem, duszpasterzem i psychiatrą w swoim mieście. Znał niemal wszystkie

sekrety, słabostki i porywy Salinas. Nigdy nie nauczył się lekko przyjmować śmierci. Zgon pacjenta zawsze w nim budził poczucie własnej nieudolności i beznadziejnej ignorancji. Z natury nie był śmiały i do zabiegów chirurgicznych uciekał się tylko w ostateczności, i to ze strachem. Lekarzom przychodziła już wówczas w pomoc apteka, ale doktor Wilde był jednym z nielicznych, którzy zachowali własne podręczne laboratoria i sami sporządzali zapisane przez siebie lekarstwa. Wiele lat przepracowania i przerywanego snu sprawiło, że był nieco roztargniony i osowiały.

Którejś środy o wpół do dziesiątej z rana Kate udała się na ulicę Główną, weszła po schodach do budynku Banku Okręgu Monterey i na korytarzu odszukała drzwi z wywieszką: *Dr Wilde – Godziny przyjęć 11-2*.

O wpół do dziesiątej doktor Wilde wstawił powozik do remizy i ze znużeniem wyjął z niego swą czarną walizeczkę. Wracał z Alisalu, gdzie asystował przy ostatecznym rozkładzie pewnej sędziwej, bardzo sędziwej Niemki. Nie udało jej się zakończyć życia gładko. Było obwarowane różnymi kodycylami. Jeszcze teraz doktor zastanawiał się, czy to twarde, suche, żylaste życie do cna z niej uszło. Przeżyła lat dziewięćdziesiąt siedem i zaświadczenie zgonu nie miało dla niej żadnego znaczenia. Ba, nawet poprawiała kapłana, który ją dysponował na śmierć.

Tajemnica śmierci przytłaczała doktora. To zdarzało się często. Poprzedniego dnia Allen Day, lat trzydzieści siedem, sześć stóp i jeden cal wzrostu, silny jak byk i posiadający czterysta akrów ziemi oraz liczną rodzinę, potulnie rozstał się z życiem na zapalenie płuc po lekkim przeziębieniu i trzech dniach gorączki. Dr Wilde uświadamiał sobie, że tkwi w tym tajemnica. Pod powiekami czuł jakby ziarnka piasku. Pomyślał, że musi natrzeć się zimną wodą i napić czegoś, zanim w gabinecie zjawią się pierwsi pacjenci ze swymi bólami żołądka.

Wszedł na schody i włożył stary klucz w zamek drzwi gabinetu. Klucz nie chciał się przekręcić. Doktor postawił walizeczkę na podłodze i nacisnął go mocniej. Klucz ani drgnął. Chwycił za klamkę, przyciągnął drzwi i zaczął obracać kluczem w zamku. Wtedy ktoś otworzył od wewnątrz. Przed sobą zobaczył Kate.

– O, dzień dobry. Zamek się zaciął. Jak pani weszła?

– Wcale nie były zamknięte. Przyszłam za wcześnie, więc postanowiłam zaczekać w środku.

– Nie było zamknięte?

Doktor przekręcił klucz w odwrotną stronę i rzeczywiście stwierdził, że rygielek wysuwa się bez żadnej trudności.

– Widocznie się starzeję – powiedział. – Pamięć mi nie dopisuje. – Westchnął.
– W ogóle nie wiem, po co ja to zamykam. Każdy może się dostać do środka za pomocą kawałka drutu. A zresztą, kto by tu chciał wejść? – Spojrzał na Kate tak, jakby w tej chwili zobaczył ją po raz pierwszy. – Przyjęcia zaczynam dopiero o jedenastej.

– Chciałam tylko dostać jeszcze trochę tych pigułek, a nie mogłam przyjść później.

– Pigułek? A tak. Pani jest tą dziewczyną od Faye?

– Tak jest.

– Lepiej się pani czuje?

– Tak, pigułki mi pomogły.

– Ano, zaszkodzić nie zaszkodzą – powiedział. – Czy drzwi do laboratorium też zostawiłem otwarte?

– Co to jest laboratorium?

– O, te drzwi.

– Pewnie też.

– Starzeję się. Jak tam Faye?

– A właśnie martwię się o nią. Niedawno mocno się pochorowała. Miała kurcze i trochę mówiła od rzeczy.

– Już przedtem cierpiała na zaburzenia żołądkowe – odparł doktor Wilde. – Nie można żyć w ten sposób, jeść byle kiedy i czuć się dobrze. Ja w każdym razie nie mogę. Nazywamy to zwyczajnie zaburzeniami żołądkowymi. Pochodzi to ze zbyt obfitego jedzenia i przesiadywania po nocach. No, a teraz te pigułki. Pamięta pani kolor?

– Były w trzech rodzajach: żółte, czerwone i zielone.

– A tak. Tak, przypominam sobie.

Kiedy wsypywał pigułki do okrągłego tekturowego pudełka, Kate podeszła do drzwi.

– Jaka tu masa lekarstw!

Dr Wilde odpowiedział:

– Aha... ale im jestem starszy, tym mniej ich używam. Niektóre z tych tutaj mam, odkąd zacząłem praktykować. Nigdy ich nie użyłem. To są zapasy początkującego. Miałem zamiar eksperymentować... alchemię.

– Co?

– Mniejsza z tym. O, proszę. Niech pani powie Faye, żeby się wysypiała i jadła trochę jarzyn. Przez całą noc się nie kładłem. Trafi pani sama do wyjścia, prawda?

Chwiejnym krokiem wyszedł do gabinetu chirurgicznego.

Kate odprowadziła go wzrokiem, po czym jej oczy przesunęły się po rzędach butelek i słoików. Zamknęła drzwi laboratorium i rozejrzała się po gabinecie. Jedna z książek na półce nieco wystawała. Popchnęła ją lekko, tak żeby zrównała się grzbietem z grzbietami swoich sióstr.

Kate wzięła ze skórzanej kanapy swą dużą torbę i wyszła.

Znalazszy się u siebie w pokoju wyjęła z torby pięć małych buteleczek i skrawek zapisanego papieru. Wszystko razem wpuściła do pończochy, wetknęła zawiniątko do gumowego kalosza i postawiła go wraz z drugim od pary w głębi szafy.

3

W ciągu następnych miesięcy w domu Faye zaszły stopniowo zmiany. Dziewczyny były niechlujne i przeczulone. Gdyby im nakazano, żeby doprowadziły do porządku siebie i własne pokoje, wywołałoby to głęboką urazę i cały dom cuchnąłby rozdrażnieniem. Ale odbyło się to inaczej.

Pewnego wieczora Kate powiedziała przy kolacji, że zajrzawszy przypadkiem do pokoju Etel stwierdziła, iż jest tam tak schludnie i ładnie, że nie mogła się oprzeć i kupiła jej prezent. Kiedy Etel od razu przy stole rozwinęła otrzymaną paczkę, okazało się, że jest w niej duża butelka wody kolońskiej, wystarczająca, by słodko pachnieć przez czas dłuższy. Etel była zadowolona i tylko miała nadzieję, że Kate nie zauważyła brudnej bielizny wetkniętej pod łóżko. Po kolacji nie tylko ją stamtąd wyciągnęła, ale zamiotła podłogę i usunęła z rogów pajęczyny.

Później znów któregoś popołudnia Grace wyglądała tak ładnie, że Kate nie oparła się i podarowała jej swą własną broszkę z kryształów górskich, w kształcie motylka. A Grace czym prędzej pobiegła włożyć czystą bluzkę, ażeby broszka lepiej wyglądała.

Kucharz Alex, który – gdyby wierzył w to, co o nim zazwyczaj mówiono, musiałby uznać sam siebie za mordercę – dowiedział się, że ma w rękach nadprzyrodzony talent do biszkoptów. Odkrył, iż gotowanie jest czymś, czego nie można się nauczyć. Trzeba mieć to wyczucie.

Mętne Oko przekonał się, że nikt go nie nienawidzi. Jego łupana gra na fortepianie zmieniła się niepostrzeżenie. Powiedział kiedyś do Kate:

– Zabawne, ile rzeczy człowiek sobie przypomina, jak trochę pomyśli.

– Na przykład? – zapytała.

– Na przykład to – i zagrał dla niej.

– Ślicznie – powiedziała. – Co to jest?

– A nie wiem. Zdaje się, że Chopin. Gdybym mógł widzieć nuty!

Opowiedział jej, jak utracił wzrok, a dotąd nie mówił o tym jeszcze nikomu. Była to smutna historia. Tegoż sobotniego wieczora zdjął łańcuszek ze strun fortepianu i zagrał coś, co sobie przypomniał i przeciwiczył z rana. Nazywało się to bodaj *Księżycowa*, a skomponowane było, jak się wydawało Mętnemu Oku, przez Beethovena.

Etel powiedziała, że ta melodia rzeczywiście przypomina światło księżycowe, i spytała go, czy nie zna słów.

– Do tego nie ma słów – odrzekł Mętne Oko.

Oskar Trip, który przyjechał z Gonzales na sobotni wieczór, oświadczył:

– A powinny być. To ładne.

Któręś wieczora wszyscy dostali prezenty, ponieważ dom Faye był najlepszym, najczystszy i najelegantszym domem w całym okręgu – a komu to zawdzięczano? No, oczywiście dziewczętom – komuż by innemu? I czy kiedy w życiu jadły tak przyprawioną pieczeń?

Alex wrócił do kuchni i w zawstydzeniu otarł sobie powieki wierzchem dłoni. Był teraz pewien, iż zrobi taki pudding, że wszystkim oczy wyleżą.

Georgia wstawiała co rano o dziesiątej, brała od Mętnego Oka lekcję gry na fortepianie i miała zawsze czyste paznokcie.

Wracając pewnej niedzieli z nabożeństwa odprawianego o jedenastej, Grace powiedziała do Trixie:

– I pomyśleć, że ja już chciałam wyjść za mąż i rzucić kurwiarstwo! Masz pojęcie?

– Pewnie, że u nas jest elegancko – odparła Trixie. – Dziewczyny od Jenny przysły na tort w urodziny Faye i własnym oczom nie wierzyły. Teraz w kółko gadają, jak jest u Faye. Jenny się wścieka.

– Widziałaś dziś rano wyniki na tablicy? No, jasne: osiemdziesiąt siedem w jednym tygodniu. Niech Jenny albo Murzynka spróbują nas dogonić, jeżeli nie będzie jakichś świąt!

– Nie ma świąt, do cholery! Zapomniałaś, że to post? Do Jenny nie przychodzi nawet pies z kulawą nogą.

Po chorobie i złych snach Faye była teraz cicha i przybita. Kate wiedziała, że ją obserwuje, ale na to nie miała rady. Upewniła się tylko, czy rulonik papieru nadal jest w pudełku i czy wszystkie dziewczyny już go widziały albo słyszały o nim.

Pewnego popołudnia Faye podniosła wzrok znad pasjansa, kiedy Kate zapukała i weszła do jej pokoju.

– Jak się czujesz, mamusiu?

– Doskonale, po prostu doskonale. – W oczach Faye coś się tailo. Nie była zbyt przebiegła. – Wiesz Kate, chciałabym pojechać do Europy.

– Ach, to cudownie! Ta podróż ci się należy i możesz sobie na nią pozwolić.

– Ale ja nie chcę jechać sama. Chcę, żebyś wybrała się ze mną.

Kate popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Ja? Chciałabyś mnie zabrać?

– Jasne; czemu nie?

– Ach, moje kochanie, najmilsze! Kiedy byśmy pojechały?

– A masz ochotę?

– Zawsze o tym marzyłam. Kiedy pojedziemy? Jedźmy jak najprędzej.

Z oczu Faye zniknęła podejrzliwość, a twarz jej się odprężyła.

– Może tego lata – odrzekła. – Możemy to sobie planować na lato, Kate!

– Słucham, mamusiu.

– Ty... ty już nie robisz żadnych wyczynów, prawda?

– A po co? Przecież tak o mnie dbasz.

Faye z wolna zebrała karty, wyrównała talię, postukując nią o stolik, i schowała do szuflady. Kate przysunęła sobie krzesło.

– Chcę cię poprosić o radę w jednej sprawie – powiedziała.

– Cóż tam takiego?

– Ano, wiesz, że staram się ci pomóc.

– Wszystkim się tu zajmujesz, kochana.

– Jak ci wiadomo, największe wydatki mamy na jedzenie, a w zimie wznastają jeszcze bardziej.

– Tak.

– Otóż teraz można kupić owoce i wszystkie jarzyny po ćwierć dolara skrzynka. A przecież wiesz, ile w zimie płacimy za brzoskwinie czy fasolkę w puszkach.

– Czyżbyś miała zamiar sama robić konserwy?

– Dlaczego nie?

– Co na to powie Alex?

– Mamo, możesz mi wierzyć albo nie, albo też spytać jego samego. Właśnie Alex to zaproponował.

– Niemożliwe!

– A jednak. Z ręką na sercu.

– No, niech mnie cholera!... Przepraszam, kochanie. Wypsnęło mi się.

Kuchnia przemieniła się w fabryczkę konserw, a wszystkie dziewczyny wzięły się do pomocy. Alex naprawdę uwierzył, że to był jego pomysł. Przy końcu sezonu otrzymał na dowód tego srebrny zegarek z wyrytym nazwiskiem.

Zazwyczaj Faye i Kate jadały kolację przy długim stole w jadalni, ale w niedzielne wieczory, gdy Alex miał wychodne, a dziewczyny dostawały tylko grube sandwicze, Kate przynosiła kolację na dwie osoby do sypialnego pokoju Faye. Było wtedy bardzo przyjemnie i elegancko. Zawsze jadły jakieś smakołyki, specjalnie dobrane i wyborne: *foie gras* czy mieszaną sałatkę albo ciastka kupione w cukierni Langa, zaraz po drugiej stronie ulicy Głównej. I zamiast białej ceraty i papierowych serwetek z jadalni, na stoliku Faye był rozłożony śnieżny adamaszkowy obrus i serwetki z cienkiego płótna. Panowała tam odświeżona atmosfera: paliły się świece oraz – rzecz rzadka w Salinas – stała waza z kwiatami. Kate umiała robić piękne bukiety, używając do tego jedynie polnego kwiecica, które sama zbierała.

– Jaka to zmyślna dziewczyna – mawiała Faye. – Potrafi zrobić wszystko i ze wszystkim dać sobie radę. Jedziemy do Europy. A wiedziałyście, że Kate mówi po francusku? No więc tak. Jak ją złapiecie na osobności, poproście, żeby wam coś powiedziała. Daje mi lekcje. Wiecie, jak jest “chleb” po francusku?

Faye była ogromnie kontenta. Kate działała na nią pobudzająco i ustawicznie skłaniała do snucia nowych projektów.

W sobotę czternastego października przeleciały nad Salinas pierwsze dzikie kaczkę. Faye zobaczyła je z okna, gdy wielkim klinem mknęły na południe. Kiedy Kate jak zwykle zaszła do niej przed kolacją, Faye powiedziała jej o tym.

– Widać już zima za pasem – rzekła. – Trzeba kazać Alexowi przygotować piece.

– Możesz teraz wziąć lekarstwo na wzmocnienie, mamusi?

– Owszem. Rozleniwiasz mnie swoją dbałością.

– Miło mi dbać o ciebie – odparła Kate. Wyjęła z szuflady butelkę roślinnej mikstury Lidii Pikham i obejrzała ją pod światło. – Już niewiele zostało – powiedziała. – Trzeba będzie dokupić.

– E, zdaje się, że w szafeczce mam jeszcze trzy butelki z tego tuzina.

Kate wzięła szklanę.

– O, mucha tu siedzi – rzekła. – Pójdę ją wypłukać. W kuchni opłukała szklanę. Z kieszeni wyjęła pipetkę. Koniec jej był zatkaany malutkim kawałeczkiem kartofla, podobnie jak zatyka się lejek blaszanki z naftą. Kate ostrożnie wpuściła do szklanki parę kropel przezroczystego płynu – tynktury *nux vomica*.

Wróciwszy do pokoju naląła do szklanki trzy łyżki stołowe mikstury roślinnej i zamieszała.

Faye wypila lekarstwo i oblizala wargi.

– Gorzkie – powiedziała.

– Naprawdę, kochanie? Daj mi spróbować. Kate naląła na łyżkę lekarstwa z butelki, wypila i skrzywiła się.

– Rzeczywiście – powiedziała. – Pewnie za długo stało. Trzeba to wyrzucić. Ależ gorzkie! Przyniosę ci szklanę wody.

Przy kolacji Faye miała na twarzy wypieki. Przestała jeść i jakby się zasłuchała.

– Co się stało? – zapytała Kate. – Mamo, co ci jest?

Faye ocknęła się.

– Czy ja wiem... Dostałam bicia serca. Nagle się czegoś złąłam i serce zaczęło mi walić.

– Chcesz, żebym cię odprowadziła do pokoju?

– Nie, kochanie. Już teraz czuję się dobrze.

Grace odłożyła widelec.

– Faye, ty naprawdę masz silne wypieki.

Kate dorzuciła:

- Mnie się to nie podoba. Chciałabym, żeby doktor Wilde cię obejrzał.
- Kiedy teraz mi zupełnie dobrze.
- Wystraszyłaś mnie – rzekła Kate. – Miałaś już kiedyś coś takiego?
- Ano, czasami trochę mi brak tchu. Pewnie zanadto się roztyłam.

Faye nie czuła się zbyt dobrze tego sobotniego wieczora i około dziesiątej Kate namówiła ją, żeby poszła do łóżka. Zajrzała do sypialni kilka razy, dopóki nie upewniła się, że Faye zasnęła. Następnego dnia Faye czuła się zupełnie dobrze.

- Po prostu mam lekką zadyszkę – powiedziała.
- Trzeba moją kochaną wziąć na dietkę – oświadczyła Kate. – Zrobiłam ci rosół z kury, a potem zjemy sobie sałatkę z fasoli – taką jak lubisz, tylko z octem i oliwą – i wypijemy filiżankę herbaty.
- Kiedy, jak Boga kocham, zupełnie dobrze się czuję, Kate.
- Żadnej z nas nie zaszkodzi trochę lżejsze jedzenie. Wczoraj mnie przestraszyłaś. Miałam ciotkę, która umarła na serce. A to, wiesz, zostaje w pamięci.
- Nigdy nie miałam żadnych historii z sercem. Po prostu dostaję lekkiej zadyszki, jak wchodzę na schody.

W kuchni Kate przygotowała na dwóch tackach kolację, przyrządziła w filiżance sos francuski i polala nim sałatkę z fasoli. Na tacce przeznaczonej dla Faye naszykowała jej ulubioną filiżankę, a zupę postawiła na blasze, żeby się podgrzała. Wreszcie wyjęła z kieszeni pipetkę, wpuściła do sałatki dwie krople oleju krotonowego i wymieszała. Poszła do swego pokoju, wypila całą buteleczkę *cascara sagrada* i spiesznie wróciła do kuchni. Nalała gorącej zupy do filiżanek, napełniła wrzątkiem imbryk do herbaty i zaniósła tacki do pokoju Faye.

- Zdawało mi się, że nie jestem głodna – powiedziała Faye – ale ta zupa pachnie bardzo smakowicie.
- Zrobiłam dla ciebie specjalny sos do sałatki – odrzekła Kate. – Według starego przepisu: rozmaryn i tymianek. Spróbuj, czy ci będzie smakował.
- Ach, przepyszny! – zawołała Faye. – Czy jest coś, czego ty byś nie potrafiła zrobić, kochanie?

Kate została porażona pierwsza. Czoło uperliło jej się potem i zgięła się we dwoje, krzycząc z bólu. Oczy wyszły jej na wierzch, a ślina ciekła z ust. Faye wypadła na korytarz, przeraźliwie wołając o pomoc. Do pokoju zbiegły się dziewczyny i kilku niedzielnych gości. Kate wiała się na podłodze. Dwóch stałych klientów zaniósło ją na

łóżko Faye i próbowało rozprostować, ale Kate zawyla i skręciła się znowu. Pot lał jej się z ciała i przesiąkał przez suknię.

Faye ocierała ręcznikiem czoło Kate, kiedy poraził ją ból.

Minęła godzina, nim zdołano odnaleźć doktora Wilde'a, który właśnie grał w karty ze znajomymi. Ściągnęły go gwałtem dwie rozhisteryzowane dziewczyny. Faye i Kate były osłabione od wymiotów i biegunki, a ataki wciąż powracały na nowo.

– Co wyście zjadły? – zapytał doktor Wilde i w tej chwili zauważył tacki. – Czy ta fasola jest z domowych konserw?

– Jasne – odrzekła Grace. – Sameśmy ją tu robiły.

– Czy któraś z was to jadła?

– Ano, nie. Bo widzi pan...

– Idźcie zaraz i potłuczcie co do jednego wszystkie słoiki – rozkazał dr Wilde. – Diabli nadali tę fasole! – I wyjął pompkę do płukania żołądka.

We wtorek siedział przy swoich dwóch osłabionych, wybladłych pacjentkach. Łóżko Kate przeniesiono do pokoju Faye.

– Teraz wam mogę powiedzieć – rzekł. – Myślałem, że już po was. Macie szczęście. Ale nie tykajcie fasoli z domowych konserw. Kupujcie ją sobie w puszkach.

– A co to jest? – spytała Kate.

– Botulizm. Mało o nim wiemy, ale bardzo niewielu może się z tego wykaraskać. Pewnie dlatego wam się udało, że pani jest młoda, a ona twarda. – Obrócił się do Faye. – Czy pani ma jeszcze krwawienie z kiszek?

– Tak, trochę.

– To proszę: tu są pigułki z morfiną. One to zatrzymają. Pewnie pani coś sobie naderwała. Ale mówi się, że kurewkę niełatwo zabić. No, uważajcie na siebie.

To było siedemnastego października.

Faye już nigdy naprawdę nie przyszła do siebie. Trochę się poprawiała, a potem znów załamywała zupełnie. Trzeciego grudnia miała ciężki atak i tym razem dłużej wracała do sił. Dwunastego lutego krwawienie wzmoгло się gwałtownie, a wysiłek najwyraźniej osłabił serce. Dr Wilde długo badał je przez słuchawkę.

Kate była wycieńczona, a jej szczupłe ciało zeschnęło na kość. Dziewczyny usiłowały ją zastąpić przy Faye, ale nie chciała od niej odejść.

Grace powiedziała:

– Bóg jeden wie, kiedy się ostatni raz wyspała. Gdyby Faye umarła, to by chyba zabiło tę dziewczynę.

– Całkiem możliwe, że kropnęłyby sobie w łeb – oświadczyła Etel.

Doktor Wilde zaprowadził Kate do saloniku, w którym panował półmrok, i położył na krześle swą czarną walizeczkę.

– Wolę pani od razu powiedzieć – zaczął. – Obawiam się, że jej serce nie wytrzyma. Cała jest poharatana w środku. Ten przekłety botulizm! Gorszy od grzechotnika. – Odwrócił twarz od przerażonej twarzy Kate. – Uważałem, że lepiej panią uprzedzić, żeby się pani mogła przygotować – dodał nieporadnie, kładąc rękę na jej kościstym ramieniu. – Mało jest osób tak komuś oddanych. Niech pani jej da trochę ciepłego mleka, jeżeli zdoła wypić.

Kate przyniosła miednicę zagrzanej wody i postawiła ją na stoliku przy łóżku. Kiedy Trixie zajrzała do sypialni, Kate obmywała chorą, używając do tego serwetek z cieniutkiego płótna. Potem wyszczotkowała jej proste blond włosy i zaplotła je w warkocz.

Skóra Faye skurczyła się i napięła na szczękach i czaszce, a oczy były rozwarte, nieprzytomne. Chora próbowała coś powiedzieć, ale Kate zawołała:

– Tss! Oszczędzaj siły. Oszczędzaj siły.

Poszła do kuchni po szklanekę ciepłego mleka i postawiła ją na stoliku przy łóżku. Z kieszeni wyjęła dwie buteleczki i nabrała pipetką po trosze z obydwu.

– Otwórz usta, mamusiu. To jest nowe lekarstwo. Bądź dzielna, kochanie. Będzie bardzo niedobre. – Wycisnęła płyn z pipetki głęboko na język Faye i podtrzymała jej głowę, ażeby mogła popić odrobiną mleka. – A teraz odpocznij; wrócę za chwilę.

Wysunęła się cicho z pokoju. W kuchni było ciemno. Otworzyła drzwi na dwór i wyszła ostrożnie między chwasty. Ziemia była wilgotna od deszczów wiosennych. W głębi ogrodu Kate wygrzebała spiczastym patykiem niewielki dołek. Wrzuciła do niego kilka cienkich buteleczek i pipetkę. Końcem patyka rozgniotła szkło na miazgę, a na wierzch nazgarniała ziemi. Deszcz zaczynał kropić, kiedy wracała do domu.

Zaraz trzeba było związać Kate, by sobie nie zrobiła czegoś złego. Z szaleństwa przeszła w ponure odrętwienie. Minęło sporo czasu, nim odzyskała zdrowie. I zupełnie zapomniała o testamencie. W końcu dopiero Trixie przypomniała sobie o jego istnieniu.

ROZDZIAŁ XXII

1

Adam Trask zamknął się w sobie. Nie wykończony dom Sanchezów stał otworem dla wiatru i deszczu, a nowe klepki podłóg skręcały się i paczyły od wilgoci. W świeżo założonym ogrodzie warzywnym hulały chwasty.

Adam był niejako oblepiony śluzem, który hamował jego ruchy i dławił myśli. Świat widział jakby poprzez szarą wodę. Od czasu do czasu jego umysł usiłował wypłynąć na powierzchnię, ale kiedy zaczynało do niego przenikać światło, przynosiło mu tylko cierpienie duszy, więc znowu cofał się w szarość. Był świadom obecności bliźniaków, ponieważ słyszał ich krzyki i śmiechy, ale czuł do nich jedynie nieuchwytną odrazę. Widział w nich symbol poniesionej straty. Do małej dolinki Adama zajeżdżali sąsiedzi; każdy z nich zrozumiałby wściekłość lub rozpacz i jakoś mu pomógł. Natomiast nie wiedzieli, co począć z tą chmurą, co nad nim zawisła. Adam nie stawiał im oporu. Po prostu ich nie dostrzegał i niebawem sąsiedzi przestali jeździć drogą pod dębami.

Przez pewien czas Li usiłował doprowadzić Adama do przytomności, ale Li był bardzo zajęty. Prał i gotował, kąpał i karmił bliźniaki. Poprzez swą ciężką, nieustanną pracę przywiązał się do obu chłopczyków. Zagadywał do nich w narzeczu kantońskim i słowa chińskie były pierwszymi, jakie zaczęli poznawać i próbowali powtórzyć.

Samuel Hamilton dwukrotnie przyjeżdżał jakoś wydzwignąć Adama z odrętwienia. Wreszcie wmieszała się w to Liza.

– Proszę cię, żebyś mi tam nie jeździł – powiedziała.

– Wracasz całkiem nie ten sam. Samuelu, ty jego nie odmieniasz. To on odmienia ciebie. Widzę jego wyraz na twojej twarzy.

– A pomyślałaś o tych dwóch malcach, Lizo? – zapytał.

– Pomyślałam o twojej własnej rodzinie – odburknęła.

– Potem przez szereg dni okrywasz nas jakby krepą.

– Ano dobrze, matko – rzekł Samuel, ale to go zmartwiło, bo nie umiał zajmować się własnymi sprawami, kiedy widział cierpienie w jakimś człowieku. Niełatwo mu było pozostawić Adama na pastwę rozpaczy.

Adam zapłacił mu za robotę, zapłacił nawet za części wiatraków, ale wiatraków nie chciał. Samuel sprzedał całe urządzenie i odesłał Adamowi pieniądze. Nie otrzymał na to odpowiedzi.

Zauważył w sobie złość na Adama Traska. Doznawał wrażenia, że Adam lubuje się w swoim smutku. Ale miał mało czasu na medytacje. Joe został oddany do szkoły – do tego college'u, który Leland Stanford wybudował na swojej farmie pod Palo Alto. Samuel martwił się Tomem, bo chłopak coraz głębiej wrastał w książki. Robotę swą wykonywał nieźle, ale ojciec czuł, że Tom nie ma w sobie dosyć radości.

Willowi i Jerzemu powodziło się w interesach, a Joe pisywał do domu rymowane listy, atakujące wszelkie uznane prawdy tak zajadle, jak tylko było można.

Samuel napisał do niego:

Byłbym zawiedziony, gdybyś nie został ateistą, i z przyjemnością czytam, że na miarę swej wiedzy i wieku przyjąłeś agnostycyzm, tak jakbyś połknął ciasto na pełny żołądek. Prosiłbym cię jednakże z całego mego wyrozumiałego serca, żebyś nie starał się przekonać matki. Po twoim ostatnim liście doszła jedynie do wniosku, że coś ci musi dolegać. Matka nie wierzy, żeby istniało wiele dolegliwości, których nie dałoby się wyleczyć dobrym, posilnym rosółem. Twój brawurowy atak na strukturę cywilizacji sprowadza po prostu do bólu żołądka. To ją martwi. Wiara jej jest jak góra, a ty, mój synu, nie uszczknąłeś z niej jeszcze nawet szufelki.

Liza zaczynała się starzeć. Samuel widział to po jej twarzy, a sam ani rusz nie mógł poczuć się stary, nie bacząc na swą siwą brodę. Ale Liza żyła wstecz, a to jest tego dowodem.

W swoim czasie traktowała jego projekty i przepowiednie jak nieobliczalne wybryki dziecka. Obecnie uważała, że nie przystoją one dorosłemu mężczyźnie. Oni troje – Liza, Tom i Samuel – byli teraz sami na ranczo. Una wyszła za mąż i wyjechała. Dessie prowadziła zakład krawiecki w Salinas. Oliwia wyszła za swojego narzeczonego, Millie też była zamężna i mieszkała – rzecz trudna do wiary – w apartamentach w San Francisco. Miała perfumy, dywanik ze skóry białego niedźwiedzia w sypialni przed kominkiem, a do kawy po obiedzie paliła papierosy ze złotymi ustnikami – “Violet Milo”.

Pewnego dnia Samuel naciągnął sobie coś w plecach, dźwigając belę siana; okazało się to bardziej bolesne dla jego ambicji niż grzbietu, jako że nie mógł wyobrazić sobie życia, w którym Sam Hamilton nie miałby możliwości dźwigania beli

siana. Poczul się pohańbiony przez swoje plecy nieomal tak samo, jak gdyby któres z jego dzieci dopuściło się nieuczciwości.

W King City obmacał go doktor Tilson. Był on coraz bardziej rozdrażniony w miarę upływu lat pełnych przepracowania.

– Naderwałes pan sobie coś w plecach.

– To niewątpliwe – odparł Samuel.

– I przyjechałes pan taki kawał drogi po to, żeby usłyszeć ode mnie, żeś pan naderwał sobie coś w plecach i że należą mi się dwa dolary?

– Proszę; tu są dwa dolary.

– I chcesz pan wiedzieć, co na to robić?

– Oczywiście, że tak,

– Nie nadrywaj pan sobie pleców. A teraz proszę zabrać z powrotem pieniądze.

Nie jesteś pan głupi, Samuelu, chyba że dziecinniejsz.

– Ale to boli.

– Jasne, że boli. Skąd byś pan wiedział, że jest naderwane, jak by nie bolało?

Samuel roześmiał się.

– Pan jest bardzo dobry, doktorze. Lepszy dla mnie niż te dwa dolary. Niech pan je zatrzyma.

Doktor przyjrzał mu się uważnie.

– Zdaje się, że pan mówisz prawdę. Zatrzymam pieniądze.

Samuel poszedł odwiedzić Willa w jego nowym, okazałym sklepie. Bez mała nie poznał syna, bo Will zaczynał tyć, wyglądał dostatnio, miał na sobie surdut i kamizelkę, i złoty pierścionek na małym palcu.

– Przygotowałem paczkę dla mamy – powiedział Will. – Puszki z różnymi przysmakami z Francji. Grzyby, pasztet z wątróbek i sardynki takie malutkie, że prawie ich nie widać.

– Ona to wszystko pošle Joe'emu – odrzekł Samuel.

– Nie może ojciec jej zmusić, żeby sama zjadła?

– Nie – odparł Samuel. – Ale uciesz się, że będzie to mogła mu pošłać.

Do sklepu wszedł Li i oczy mu zabłysły.

– Dzień dobli, pan – powiedział.

– Jak się masz, Li. Jak tam chłopaki?

– Chłopaki dobrze.

Samuel powiedział:

– Idę tu obok na piwo. Rad będę, jeżeli pójdziesz ze mną.

Li i Samuel usiedli przy małym okrągłym stoliku w barze i Samuel zaczął malować esy floresy na wytartym drewnianym blacie palcem umoczonym w kroplach, które ociekały z kufła.

– Chciałem odwiedzić ciebie i Adama, ale doszedłem do wniosku, że na nic się nie przydam.

– W każdym razie pan nie zaszkodzi. Myślałem, że mu to minie. Ale ciągle się snuje jak duch.

– To już przeszło rok, prawda? – zapytał Samuel.

– Rok i trzy miesiące.

– No więc, jak myślisz, co mogę zrobić?

– Nie wiem – odparł Li. – Może pan potrafiłby jakoś go z tego otrząsnąć. Do tej pory nic nie podziałało.

– Nie jestem wprawny w trząsaniu. Pewnie skończyłoby się na tym, że sam bym dostał wstrząsu. Ale, ale: jakie imiona dał synom?

– Nie mają żadnych.

– Żartujesz, Li.

– Wcale nie żartuję.

– Więc jak ich nazywa?

– Nazywa ich "oni".

– No, ale jak mówi, kiedy się do nich zwraca?

– Kiedy się do nich zwraca, mówi "ty" albo "wy".

– To jakaś bzdura – powiedział gniewnie Samuel. – Czy on zupełnie zgłupiał?

– Miałem zamiar wybrać się do pana i opowiedzieć o tym. To jest człowiek martwy – chyba że pan go ocuci.

– Przyjadę – oświadczył Samuel. – Zabiorę ze sobą pejcz. Nie mają imion! Dobrze powiedziałaś, psiakrew, że przyjadę.

– A kiedy?

– Jutro.

– Zarżnę kurę – rzekł Li. – Spodobają się panu bliźniacy. Bardzo ładne chłopaczki. Nic nie powiem panu Traskowi, że pan się wybiera.

2

Samuel nieśmiało oznajmił żonie, że chce odwiedzić Traska. Myślał, że Liza wzniesie potężny mur sprzeciwu, a on tym razem, co mu się rzadko zdarzało, nie zastosuje się do jej życzenia bez względu na siłę protestów. Coś go ścisnęło w dołku na myśl o nieposłuszeństwie wobec żony. Przedstawił swoje zamiary, nieledwie jakby się spowiadał. Liza słuchając tego podparła się pod boki, a w Samuelu serce upadło. Kiedy skończył mówić, Liza nadal wpatrywała się w niego wzrokiem, który wydawał mu się zimny. Wreszcie powiedziała:

– Samuelu, czy myślisz, że potrafisz poruszyć tę ludzką skałę?

– Ano, nie wiem, matko. – Tego się nie spodziewał. – Nie wiem.

– I, twoim zdaniem, to jest takie ważne, żeby te dzieci natychmiast dostały imiona?

– Tak mi się wydawało – odrzekł niepewnie.

– A czy zastanowiłeś się, dlaczego chcesz tam jechać? Czy to nie jest twoje przyrodzone, nieuleczalne wścibstwo albo ta zatracona nieumiejętność pilnowania własnego nosa?

– Słuchajże, Lizo, ja dobrze zdaję sobie sprawę z własnych felerów. Przypuszczałem, że w tym tkwi coś więcej niż takie rzeczy.

– Wolałabym, żeby tak było – odparła. – Ten człowiek nie przyjął do wiadomości faktu, że jego synowie żyją na świecie. Zawiesił ich w powietrzu.

– Tak też i mnie się widzi, Lizo.

– A jeżeli ci powie, żebyś się nie wtrącał w nie swoje sprawy, to co wtedy?

– Hm, nie wiem.

Zacisnęła usta i zgrzytnęła zębami.

– Jeżeli nie dokażesz tego, żeby ci chłopcy dostali imiona, to nie znajdziesz w tym domu ciepłego miejsca dla siebie. Nie śmieję mi wracać z lamentami i gadać, że nie chciał tego zrobić albo słuchać. Jeżeli tak mi powiesz, sama tam pojedę.

– W razie czego trzepnę go w gębę – rzekł Samuel.

– Nie, tego nie zrobisz. Gwałtowność ci nie wychodzi, Samuelu. Ja cię znam. Będiesz go częstował słodko brzmiącymi słówkami, a potem wrócisz tu jak zmyty i zaczniesz się starać, żebym zapomniała, żeś tam w ogóle jeździł.

– Łeb mu rozwałę! – wrzasnął Samuel.

Wypadł do sypialni i trzasnął drzwiami, a Liza popatrzała na nie z uśmiechem.

Niebawem wyszedł w swym czarnym garniturze, sztywnej błyszczącej koszuli i kołnierzyku. Pochylił się nad żoną, kiedy mu wiązała czarną krawatę. Siwą brodę miał wy-szczotkowaną do połysku.

– Może maźnij sobie trochę buty czernidłem – powiedziała Liza.

Smarując szuwaksem swe podniszczone trzewiki spojrział na nią z ukosa.

– Czy mógłbym zabrać Biblię? – zapytał. – Nie ma jak Biblia, kiedy trzeba znaleźć jakieś porządne imię.

– Nie bardzo lubię, jak jest poza domem – powiedziała niepewnie. – A jeżeli wrócisz późno, to co będę miała do czytania? Poza tym są w niej imiona naszych dzieci.

Spostrzegła, że mina mu się wydłużyła. Wyszła do sypialni i wróciła z małą Biblią, zniszczoną i podartą, której oprawa była oklejona dla wzmocnienia brunatnym papierem.

– Weź tę – powiedziała.

– Przecież ta jest twojej matki.

– Matka nie miałaby mi za złe. A wszystkie imiona prócz jednego mają tutaj dwie daty.

– Zawinę ją, żeby się nie uszkodziła – rzekł Samuel.

Liza powiedziała ostro:

– To, co by się nie podobało matce, nie podoba się i mnie i powiem ci, o co idzie. Ani rusz nie możesz zostawić Pisma świętego w spokoju. Ciągłe byś tylko coś wyłuskiwał a badał. Obracasz je na wszystkie strony niczym szop mokry kamień i to mnie gniewa.

– Po prostu próbuję zrozumieć je, matko.

– Co tam jest do rozumienia? Czytaj, i już. Wszystko masz czarne na białym. Kto cię prosi, żebyś rozumiał? Gdyby Pan Bóg chciał, żebyś zrozumiał, to albo dałby ci zrozumienie, albo ułożył to inaczej.

– Ale, matko...

– Samuelu – przerwała mu. – Jesteś najkłótniejszym człowiekiem, jakiego świat widział.

– Tak, matko.

– Nie przyznawaj mi ciągle racji. To pachnie nieszczerością. Mów to, co myślisz.

Kiedy odjeżdżał bryczką, popatrzyła za jego ciemną sylwetką.

– To jest najmilszy z mężów – powiedziała głośno – ale kłótniwy.

A Samuel myślał ze zdumieniem: “I właśnie, kiedy mi się zdaje, że ją znam, robi coś takiego”.

3

Na ostatniej pół mili, skręciwszy z doliny Salinas na nie przetartą drogę pod wielkimi dębami, Samuel usiłował obudzić w sobie wściekłość, która zagłuszyłaby jego zakłopotanie. Mówił sam do siebie heroiczne słowa.

Adam był jeszcze bardziej wymizerowany, niż go Samuel zapamiętał. Oczy miał mętne, jak gdyby nie posługiwał się nimi zbyt często. Upłynęła dobra chwila, nim uświadomił sobie, że stoi przed nim Samuel. Grymas niezadowolenia wykrzywił mu usta.

Samuel powiedział:

– Czuję się bardzo malutki... przyjechał tak bez zaproszenia.

Adam odezwał się:

– Czego chcesz? Czy ci nie zapłaciłem?

– Zapłacić? A, owszem, zapłaciłeś – odparł Samuel. – Jak mi Bóg miły, zapłaciłeś. I powiem ci, że ta zapłata przekroczyła swoją istotą moje zasługi.

– Co takiego? Co chcesz przez to powiedzieć?

Gniew Samuela rósł i wypuszczał liście.

– Człowiek całym swoim życiem stawia opór zapłacie. Jakże więc, jeżeli od urodzenia szukam własnej wartości, możesz ty, człowieku smutny, zapisać mnie na bieżąco w księdze rachunkowej?

– Zapłacę! – wykrzyknął Adam. – Mówię ci, że zapłacę. Ile ci się należy? Zapłacę.

– Już zapłaciłeś, ale nie mnie.

– To po co przyjechałeś? Idź stąd!

– Kiedyś mnie zapraszałeś do siebie.

– Teraz już nie zapraszam.

Samuel wziął się pod boki i pochylił w przód.

– Powiem ci teraz coś na spokojnie. Pewnej nocy, nocy gorzkiej jak musztarda, nocy, która była wczorajszą, zjawiała się dobra myśl i osłodziła ciemność, kiedy

odchodził dzień. I ta myśl trwała od gwiazdy wieczornej aż po Niedźwiedzicę zapóźnioną na skraju pierwszego brzasku – o której mówili mądrzejsi od nas. Dlatego sam się tu zaprosiłem.

– Nie jesteś mile widziany.

Samuel ciągnął dalej:

– Wiadomo mi, że dzięki jakiejś szczególniejszej łasce łądze twoje spłodziły bliźniaków.

– Co ci do tego?

Na dźwięk tych szorstkich słów oczy Samuela rozbłysły jakby radością. Spozrzegł Chińczyka, który czatował wewnątrz domu i zerkał na niego.

– Na miłość boską, nie uciekaj się wobec mnie do gwałtu. Jestem człowiekiem, który pragnie mieć pokój wymalowany na tarczy herbowej.

– Nie rozumiem cię.

– Jakże byś mógł rozumieć? Ty, Adam Trask, wilk z parką szceniąt, marny kogut żywiący słodkie rodzicielskie uczucia do zapłodnionego jajka! Nędzny prostak!

Ciemny rumieniec powłókł policzki Adama, a jego oczy jak gdyby nagle zaczęły widzieć. Samuel z radością uczuł w żołądku piekącą wściekłość. Krzyknął:

– O, mój przyjacielu, odejdz ode mnie! Proszę cię, błagam! – Ślina zwilżyła mu kąciki ust. – Proszę cię! – wykrzyknął. – Na miłość tego, co jeszcze może być dla ciebie święte, odejdz ode mnie. Czuję żądzę mordy szarpiącą mi bebechy.

Adam powiedział:

– Zabieraj się stąd. Jazda! Wynoś się. Zachowujesz się jak wariat. Wynoś się. To moja ziemia. Kupiłem ją.

– Kupiłeś swoje oczy i nos – odparł Samuel szyderczo. – Kupiłeś swoją prawość. Kupiłeś swój zakrzywiony palec. Posłuchaj mnie, bo potem mogę cię zabić. Kupiłeś! Kupiłeś wszystko z jakiejś tam lubej schedy. Zastanów się teraz – czy zasłużyłeś na swoje dzieci, człowieku?

– Czy zasłużyłem? Tak czy owak już są. Nie rozumiem cię.

– Lizo, niech mnie Pan Bóg ratuje! – krzyknął Samuel. – To nie jest tak, jak myślisz, Adamie. Wysłuchaj mnie, zanim moje palce wymacają miękkie miejsce na twoim gardle. Ci biedni malcy... nie dogładani, nie zauważeni, nie kierowani i – mówię to spokojnie, nie podnosząc ręki – jeszcze nie poznani!

– Wynoś się – powiedział chrapliwie Adam. – Li, dawaj strzelbę! Ten człowiek oszalał. Li!

W tej chwili garście Samuela znalazły się na gardle Adama ściskając je tak, że tętno zaczęło łomotać mu w skroniach, a oczy nabiegły krwią. Samuel mówił przez zęby:

– Szarp mnie tymi swoimi palcami z galarety. Nie kupiłeś sobie tych chłopców, nie ukradłeś ich, nie zapłaciłeś za nich ani centa. Masz ich dzięki jakiemuś dziwnemu i pięknemu zrządzeniu.

Nagle oderwał twarde palce od gardła sąsiada. Adam stał, dysząc ciężko. Pomacał szyję w miejscu, gdzie ją ścisnęły garście kowala.

– Czego ode mnie chcesz?

– Nie masz w sobie miłości.

– Miałem... tyle, że o mało mnie nie zabiła.

– Nikt nigdy nie miał jej dosyć. Ogród umarłych uświęca ją za mało, nie zanadto.

– Odejdź ode mnie. Ja też umiem się bić. Nie myśl, że nie potrafię się obronić.

– Masz dwie bronie, ale bez imion.

– Pobję cię, starcze. Jesteś starcem.

Samuel powiedział:

– Nie mogę sobie wyobrazić nawet najlepszego człowieka, który znalazłszy kamień nie nadałby mu przed wieczorem imienia – jak Piotr. A ty... ty przeżyłeś cały rok, mając przy sobie esencję własnego serca, i nawet nie ponumerowałeś sobie tych chłopców.

Adam odparł:

– Nikomu nic do tego, co robię.

Samuel trzasnął go ciężką, spracowaną pięścią i Adam rozciągnął się na ziemi. Samuel kazał mu wstać, a kiedy Adam usłuchał, uderzył go powtórnie i tym razem Adam już się nie podniósł. Patrzył kamiennym wzrokiem na groźnego starca.

Płomień zagasł w oczach Samuela, który powiedział spokojnie:

– Twoi synowie nie mają imion.

– Matka ich osierociła – odrzekł Adam.

– A ty zrobiłeś to samo. Nie potrafisz odczuć, jak zimno jest w nocy samotnemu dziecku? Gdzież może ono znaleźć ciepło, gdzie radość z pieśni ptaków, z poranka? Czy wcale nie pamiętasz, Adamie, jak to było?

– Ja tego nie zrobiłem – rzekł Adam.

– Ale czy odrobiliście? Twoi chłopcy nie mają imion. – Pochylił się, objął Adama za ramię i pomógł mu wstać. – Nadamy im imiona – powiedział. – Pomyślimy długo i przyjdziemy ich w dobre imiona.

Otrzepał kurz z koszuli Adama.

Adam miał wejrzenie dalekie, a jednak skupione, jak gdyby wsłuchiwał się w niesioną wiatrem melodię, ale oczy jego nie były już martwe tak jak przedtem. Powiedział:

– Trudno sobie wyobrazić, że mógłbym komuś dziękować za zniewagi i za to, że mnie przetrzepał niczym dywan. Ale jestem ci wdzięczny. Gorzkie to podziękowanie, ale podziękowanie.

Samuel uśmiechnął się mrużąc oczy.

– Czy to wypadło naturalnie? – zapytał. – Czy zrobiłem to dobrze?

– Nie rozumiem.

– No, bo ja właściwie obiecałem to żonie. Nie wierzyła, że tak zrobię. Widzisz, ja nie jestem żaden zabijaka. Ostatnim razem rozkwaśłem ludzką istotę w hrabstwie Derry, a poszło wtedy o jedną dziewczynkę z czerwonym noskiem i o szkolny podręcznik.

Adam wpatrywał się w Samuela, ale w duszy widział morderczy, czarny obraz swego brata, Karola, który z kolei ustąpił miejsca Cathy i jej oczom nad lufą rewolweru.

– Nie było w tym nic groźnego – powiedział. – Raczej jakby znużenie.

– Widać nie dość się rozeźliłem.

– Samuelu, zadam ci tylko jedno pytanie i więcej do tego nie wrócę. Czy słyszałeś coś? Czy były o niej jakieś wiadomości... jakiegokolwiek?

– Nic nie słyszałem.

– To dla mnie prawie ulga – rzekł Adam.

– Czujesz w sobie nienawiść?

– Nie. Nie... tylko jakby skurcz serca. Może później przetrworzę to w nienawiść.

Przeskok od uroku do potworności był za szybki. Jestem zagubiony... zagubiony.

Samuel powiedział:

– Kiedyś usiądziemy sobie razem i wyłożysz to na stół po porządku, jak karty w pasjansie. Ale teraz... cóż, jeszcze nie możesz pozbierać wszystkich kart.

Zza szopy doleciał oburzony wrzask skrzywdzonej kury, a potem głuchy łoskot.

– Coś się dobrało do kur – rzekł Adam.

Rozległ się drugi wrzask.

– To Li – powiedział Samuel. – Wiesz, gdyby kury miały swój rząd, kościół i historię, patrzyłyby z pewnym dystansem i niesmakiem na ludzkie radości. Niech tylko zdarzy się człowiekowi coś wesołego czy budzącego nadzieję, zaraz jakaś kura idzie z wrzaskiem pod nóż.

Niebawem obaj mężczyźni zamilkli, przerywając ciszę jedynie drobnymi, fałszywymi uprzejmościami – nic nie znaczącymi pytaniami o zdrowie i pogodę, na które nie słuchali odpowiedzi. I mogłoby to trwać do momentu, kiedy by znów rozeźlili się na siebie, gdyby nie zainterweniował Li.

Przyniósł on stolik i dwa krzesła, które ustawił jedno naprzeciwko drugiego. Zawrócił jeszcze raz po gąsiorek whisky i dwie szklanki. Postawił je na stoliku naprzeciw krzesel. Następnie przyniósł pod pachami obu bliźniaków, posadził ich na ziemi obok stolika i dał im do ręki patyki, żeby sobie machali i robili nimi cienie.

Chłopcy siedzieli poważnie, rozglądali się dokoła, przypatrywali brodzie Samuela i szukali wzrokiem Li. Osobliwy był ich strój, mieli bowiem na sobie długie spodnie oraz szamerowane i haftowane kaftany chińskie. Jeden był ubrany na turkusowe, drugi w barwę przywiedłej róży, z czarnymi pętlcami i szamerunkami. Na główkach mieli okrągłe czapeczki z czarnego jedwabiu, z jaskrawoczerwonym pompomem na płaskim denku.

– Skądżeś ty, u licha, wytrzasnął takie stroje, Li? – zapytał Samuel.

– Znikąd nie wytrzasnąłem – odparł szorstko Li. – Miałem je. A jedyne poza tym ubranka chłopców uszyłem sam z żaglowego płótna. Chłopak powinien być ładnie ubrany w dniu, w którym dostaje imię.

– Widzę, żeś zarzucił swój bełkot, Li.

– Mam nadzieję, że już na dobre. No, oczywiście, używam go w King City. – Obrócił się do siedzących na ziemi chłopców i wypowiedział kilka krótkich, świergotliwych sylab, a malcy uśmiechnęli się do niego i zamachali w powietrzu patykami. Li rzekł: – Należę panom. Znalazłem tę whisky w domu.

– Tę whisky kupiłeś wczoraj w King City – powiedział Samuel.

Teraz, kiedy Samuel i Adam siedzieli razem przy stoliku, a dzielący ich mur został obalony, na Samuela opadła zasłona onieśmienia. Niełatwo mu było uzupełnić to, co wślukł w Adama pięściami. Myślał o cnotach odwagi i wyrozumiałości, które wiotczeją, gdy nie ma ich do czego zastosować. Wewnętrznie uśmiechał się do siebie.

Obaj mężczyźni siedzieli przypatrując się malcom ubranym w dziwaczne, jaskrawe stroje. Samuel myślał: "Czasem przeciwnik może nam bardziej pomóc niż przyjaciel". Podniósł wzrok na Adama.

– Ciężko jest zacząć – powiedział. – To tak jak z odkładanym listem, który z każdą chwilą staje się trudniejszy. Nie mógłbyś mi pomóc?

Adam na chwilę podniósł wzrok, po czym znów spojrzął na siedzących chłopców.

– Mam szum w głowie – powiedział. – Zupełnie jakby dźwięki słyszane pod wodą. Muszę teraz wygrzebać się spod całego roku.

– Może mi opowiesz, jak to było, i w ten sposób ruszymy z miejsca.

Adam wypił do dna, nalał sobie znowu i zaczął obracać w palcach trzymaną pochyło szklanę. Bursztynowa whisky sięgała wysoko z jednej jej strony, a mocny, owocowy zapach nagrzewającego się trunku rozchodził się w powietrzu.

– Trudno to sobie uprzytomnić – odrzekł. – Nie była to męka, ale jakieś otępienie. Chociaż nie; tkwiły w tym także i kolce. Powiedziałeś, że nie mam wszystkich kart w talii – i o tym właśnie myślę. Może nigdy nie będę miał wszystkich kart.

– Czyżby to ona znów wypływała na wierzch? Kiedy człowiek powiada, że nie chce o czymś mówić, zwykle to znaczy, że nie może myśleć o niczym innym.

– Możliwe. Ona wtapia się w to moje otępienie i niewiele mogę sobie przypomnieć poza ostatnim obrazem, całym z ognia.

– Ale przecież strzeliła do ciebie, prawda, Adamie?

Wargi zacisnęły mu się, a oczy pociemniały. Samuel dodał:

– Nie potrzebujesz mi odpowiadać.

– Nie mam powodu nie odpowiadać – odparł Adam. – Tak, strzeliła.

– Czy chciała cię zabić?

– Myślałem o tym więcej niż o wszystkim innym. Nie, nie przypuszczam, żeby mnie chciała zabić. Nie uważała, żebym był tego godny. Nie miała w sobie wtedy żadnej nienawiści, żadnej pasji. Ja to wiem z wojska. Jeżeli chce się zabić człowieka, strzela się w głowę, w serce albo w brzuch. Nie, ona trafiła mnie tam, gdzie chciała. Jeszcze widzę przesuwaną się lufę. Myślę, że nie miałbym jej tak za złe, gdyby pragnęła mojej śmierci. To byłby jakiś rodzaj miłości. Ale ja byłem dla niej tylko zawadą – nie wrogiem.

– Widzę, że długo o tym rozmyślałeś – powiedział Samuel.

– Bo miałem dużo czasu. Chcę cię o coś zapytać. Nie mogę sięgnąć pamięcią poza tę ostatnią potworność. Czy ona była bardzo piękna, Samuelu?

– Dla ciebie była, bo sam ją sobie stworzyłeś. Wątpię, czyś ją w ogóle widział – miałeś przed oczami tylko swój własny twór.

– Ciekaw jestem, kim była... czym była – zastanawiał się głośno Adam. – Wolałem nie wiedzieć.

– A teraz chcesz?

Adam opuścił wzrok.

– To nie ciekawość. Ale chciałbym wiedzieć, jaką krew mają w sobie moi chłopcy. Kiedy dorosną... czy nie będę w nich czegoś się doszukiwał?

– Owszem, będziesz. A ja cię chcę teraz ostrzec, że nie ich krew, ale twoje podejrzenia mogą w nich zrodzić zło. Staną się tym, czego się po nich spodziewasz.

– Jednak ich krew...

– Nie bardzo wierzę w krew – powiedział Samuel. – Moim zdaniem, jeżeli człowiek znajduje dobro czy zło w swoich dzieciach, widzi jedynie to, co sam im zaszczeplił, kiedy już wyszły z łona matki.

– Nie można zrobić konia wyścigowego ze świni.

– Nie – odparł Samuel. – Ale można z niej zrobić bardzo szybką swinię.

– Nikt tutaj nie zgodziłby się z tobą. Myślę, że nawet pani Hamilton nie przyznałaby ci racji.

– Masz zupełną słuszność. Ona pierwsza by się z tym nie zgodziła, toteż nie powiedziałbym jej tego, żeby nie wyzwałać gromów jej sprzeciwu. Wygrywa wszelkie spory gwałtownością i przeświadczeniem, że każda różnica zdań jest osobistym afrontem. To wspaniała kobieta, ale trzeba umieć z nią postępować. Pomówmy o chłopcach.

– Napijesz się jeszcze?

– I owszem, dziękuję. Imiona to wielka tajemnica. Nigdy nie mogłem dojść, czy imię kształtowane jest przez dziecko, czy też dziecko przeobraża się tak, żeby pasować do imienia. Ale jednego można być pewnym: jeżeli ktoś ma przezwisko, to jest dowodem, że źle mu dobrano imię. Jak ci się podobają te zwyczajne – Jan, Jakub albo Karol?

Adam patrzył na bliźniaków i nagle, słysząc ostatnie imię, ujrzał brata wyglądającego z oczu jednego z malców. Pochylił się do przodu.

– Co tam takiego? – zapytał Samuel.

– No, jakże! – krzyknął Adam. – Przecież oni nie są jednakowi! Nie są tacy sami!

– Oczywiście, że nie. To nie są identyczni bliźniacy.

– Ten... ten przypomina mojego brata. W tej chwili to spostrzegłem. Ciekawe, czy drugi jest podobny do mnie.

– Obaj są do ciebie podobni. Na ludzkiej twarzy zapisane jest wszystko wstecz, aż do samego początku.

– Teraz już nie tak – mówił Adam. – Ale przez chwilę zdawało mi się, że zobaczyłem ducha.

– Może tym właśnie są duchy – zauważył Samuel.

Li przyniósł nakrycia i rozstawił je na stole.

– Czy wy, Chińczycy, macie swoje duchy? – zapytał Samuel.

– Całe miliony – odrzekł Li. – Mamy więcej duchów niż czego innego. Zdaje się, że w Chinach nic nigdy nie umiera. Ścisk jest ogromny. W każdym razie takie miałem wrażenie, kiedy tam pojechałem.

– Siadaj, Li – powiedział Samuel. – Próbujemy wymyślić jakieś imiona.

– Mam kurę na ogniu. Zaraz będzie gotowa.

Adam oderwał wzrok od synów, a jego oczy były cieplejsze i miększe.

– Napijesz się, Li?

– Ja sobie pociągam *ng-ka-pi* w kuchni – odrzekł Li i zawrócił do domu.

Samuel pochylił się i wziął jednego z chłopców na kolana.

– Weź tamtego – powiedział do Adama. – Trzeba zobaczyć, czy jest w nich coś, co by podsuwało jakieś imiona.

Adam niezgrabnie posadził sobie drugiego chłopca na kolanie.

– Są trochę do siebie podobni – rzekł – ale nie wtedy, jak się dobrze przypatrzyć. Ten ma okrągłejsze oczy niż tamten.

– Tak, i krągłą głowę, i większe uszy – dodał Samuel. – Ale znów ten jest bardziej jak... jak pocisk. Może zajść dalej, ale nie tak wysoko. Ten będzie miał ciemniejsze włosy i cerę. Tamten będzie chyba sprytny, a spryt jest pierwszym ograniczeniem umysłu. Spryt mówi człowiekowi, czego mu nie wolno robić, ponieważ to nie byłoby sprytne. Patrz, jak on się prosto trzyma. Przegonił tego drugiego – jest lepiej rozwinięty. Czy to nie dziwne, jak bardzo są różni, kiedy im się dobrze przyjrzyć?

Twarz Adama zmieniła się tak, jak by się coś w nim otworzyło i wypłynęło na wierzch. Podniósł palec, a dziecko sięgnęło po niego, nie trafiło i omal nie spadło mu z kolan.

– Prrr! – zawołał Adam. – Ostrożnie. Chcesz zlecieć?

– Byłoby pomyłką nazwać ich od cech, których się w nich dopatrujemy – mówił Samuel. – Możemy się mylić, i jak jeszcze. Kto wie, czy nie warto by dać im jakiś wysoki cel do osiągnięcia – znaleźć takie imię, którego musieliby stać się godni. Ten, od kogo mnie nazwano, wywołany został wyraźnie po imieniu przez Pana Boga, i dlatego ja całe życie nasłuchuję. Raz czy dwa zdawało mi się, że już słyszę swoje imię... ale jakoś niewyraźnie, niewyraźnie.

Adam przytrzymując dziecko za ramię pochylił się i nalał whisky do obu szklanek.

– Dziękuję ci, żeś przyjechał, Samuelu – powiedział. – Dziękuję ci nawet za to, żeś mnie uderzył. Dziwnie jest mówić coś podobnego.

– Mnie dziwnie było to zrobić. Liza nigdy mi nie uwierzy, więc jej w ogóle nie powiem. Prawda, której nie dano wiary, może człowieka boleć o wiele bardziej niż kłamstwo. Trzeba wielkiej odwagi, ażeby głosić prawdę, która jest nie do przyjęcia dla współczesnych. Istnieje kara za to, a jest nią zazwyczaj ukrzyżowanie. Nie mam po temu dość odwagi.

Adam powiedział:

– Zastanawiałem się, dlaczego człowiek o twojej wiedzy żyje na takim podgórskim pustkowiu.

– Właśnie dlatego, że mi brak odwagi – odrzekł Samuel.

– Nigdy nie potrafiłem wziąć na siebie pełnej odpowiedzialności. Kiedy Pan Bóg nie wywołał mojego imienia, mogłem Go wezwać, ale tak nie zrobiłem. Oto masz różnicę między wielkością a przeciętnością. Nie jest to rzadka choroba. Ale człowiekowi przeciętnemu przyjemnie wiedzieć, że wielkość musi być stanem najwyższego osamotnienia na świecie.

– Myślę, że są różne stopnie wielkości – powiedział Adam.

– Ja nie sądzę – odparł Samuel. – To byłoby to samo, co mówić, że istnieje mały ogrom. Nie. Przypuszczam, że kiedy człowiek staje wobec odpowiedzialności, jest sam na sam z tym, co wielkie, i musi dokonać wyboru. Z jednej strony ma ciepło, przyjaźń i słodkie zrozumienie, a z drugiej – chłodną, samotną wielkość. I wtedy wybiera. Rad jestem, że wybrałem przeciętność, ale skąd mogę wiedzieć, jaką nagrodę

przyniosłoby mi to drugie? Żadne z mych dzieci też nie osiągnie wielkości, może z wyjątkiem Toma. On już teraz męczy się nad wyborem. Aż ciężko na to patrzeć. I gdzieś w głębi duszy pragnę, żeby powiedział "tak". Czy to nie dziwne? Ojciec, który chce, żeby jego syn został skazany na wielkość! Jakież to musi być samolubstwo!

Adam zaśmiał się.

– Widzę, że nadawanie imion to wcale nie prosta sprawa.

– A spodziewałeś się, że będzie?

– Nie wiedziałem, że może być tak przyjemne – odrzekł Adam.

Li wyszedł z domu, niosąc półmisek pieczonego drobiu, dymiącą salaterkę gotowanych kartofli i drugą, głęboką, z ćwikłą – wszystko ustawione na desce do ciasta.

– Nie wiem, czy to będzie dobre – powiedział. – Kury są starawe, a kurcząt nie mamy. Tego roku łasice wydusiły wszystkie kurczaki.

– Siadaj – rzekł Samuel.

– Chwileczkę; jeszcze przyniosę swoją *ng-ka-pi* – odpowiedział Li.

Kiedy odszedł, Adam rzekł:

– Dziwna rzecz... dawniej mówił jakoś inaczej.

– Bo teraz ci ufa – odparł Samuel. – Ma dar zrezygnowanej wierności bez nadziei na nagrodę. Możliwe, że jest o wiele lepszym człowiekiem, niż my obaj moglibyśmy marzyć.

Li wrócił i zajął miejsce u końca stołu.

– Niech panowie posadzą chłopców na ziemi.

Bliźniacy zaczęli się awanturować, kiedy ich zdjęto z kolan. Li powiedział coś do nich ostro w narzeczu kantońskim i obaj zamilkli.

Mężczyźni jedli w milczeniu jak niemal wszyscy ludzie wiejscy. Nagle Li wstał i poszedł prędko do domu. Wrócił z dzbanem czerwonego wina.

– Zapomniałem o tym – wyjaśnił. – Znalazłem to w domu.

Adam roześmiał się.

– Pamiętam, że piłem tu wino, zanim kupiłem to ranczo. Może kupiłem go właśnie ze względu na wino. A kury są doskonałe, Li. Zdaje się, że już od dawna nie czułem smaku jedzenia.

– Przychodzisz do siebie – powiedział Samuel. – Niektórzy uważają, że zdrowienie jest profanacją nimbu ich dolegliwości. Ale kataplazm czasu nie respektuje nimbów. Każdy przyjdzie do siebie, jeżeli trochę poczeka.

Li sprzątnął ze stołu i dał chłopcom po oczyszczonej z mięsa nóżce kury. Siedzieli trzymając z namaszczeniem owe ociekające tłuszczem buławy, na przemian oglądając je i posysając. Wino i szklanki zostały na stole.

– No, weźmy się do tych imion – powiedział Samuel. – Czuję, jak Liza pociąga mnie za kantar.

– Nie mam pojęcia, jak ich nazwać – odparł Adam.

– A nie widzisz jakiegoś rodzinnego imienia, które by ci się podobało, żadnej zachęcającej pułapki dla bogatego krewniaka, żadnego dumnego imienia, które można by odtworzyć?

– Nie; chciałbym, żeby zaczęli od nowa, jeżeli to możliwe.

Samuel postukał się knykciami w czoło.

– Jaka szkoda! – powiedział. – Jaka szkoda, że nie mogę dostać najwłaściwszych dla siebie imion.

– A jakich? – zapytał Adam.

– Od nowa, powiadasz. Wczoraj w nocy przyszło mi do głowy... – Przerwał. – Czy pomyślałeś o swoim własnym imieniu?

– Moim?

– No, jasne. Twoi pierworodni – Kain i Abel.

Adam odparł:

– O, nie. Tego nie można zrobić.

– Wiem, że nie można. To byłoby kuszeniem takiego czy innego losu. Ale czy nie wydaje ci się dziwne, że Kain jest może najlepiej znanym imieniem na całym świecie, a o ile mi wiadomo, nosił je dotychczas tylko jeden człowiek?

Li powiedział:

– Może właśnie dlatego to imię nigdy nie zmieniło swojej wymowy.

Adam popatrzał na czerwone jak atrament wino w szklance.

– Ciarki mnie przeszły, kiedyś je powiedział.

– Dwie historie prześladują nas i idą za nami od samego początku – mówił Samuel. – Nosimy je z sobą jak niewidzialne ogony: historię grzechu pierworodnego i historię Kaina i Abela. Nie rozumiem ani jednej, ani drugiej. Nie rozumiem ich w

ogóle, ale je czuję. Liza się na mnie złości. Mówi, że nie powinienem starać się zrozumieć. Pyta, dlaczego mielibyśmy próbować wytłumaczyć prawdę. Może ma rację... może ma rację. Li, ona twierdzi, że jesteś prezbiterianinem. Czy ty rozumiesz Ogród Edenu i Kaina i Abła?

– Uważam, że powinienem być kimś, a ja chodziłem do szkoły niedzielnej w San Francisco już dawno temu. Ludzie lubią, jak się kimś jest, o ile możliwości tym samym co oni.

– On ciebie pytał, czy rozumiesz – powiedział Adam.

– Myślę, że rozumiem upadek. Może potrafiłbym wyczuć go w sobie. Natomiast bratobójstwa – nie. Ano, możliwe, że nie pamiętam dobrze szczegółów.

Samuel odrzekł:

– Większość ludzi nie czyta szczegółów. A właśnie one mnie zadziwiają. I na dodatek Abel nie miał dzieci. – Spojrzał na niebo. – Boże, jak ten dzień ucieka! Zupełnie jak życie: tak szybko, kiedy nie zwracamy na niego uwagi, a tak powoli, gdy go obserwujemy. Nie – ciągnął. – Mnie teraz jest przyjemnie. A obiecałem sobie, że nie będę uważał przyjemności za grzech. Sprawia mi satysfakcję wnikanie w różne rzeczy. Nigdy nie lubiłem przejść obok kamienia nie zajrzawszy, co jest pod spodem. I jest dla mnie ciężkim rozczarowaniem fakt, że nie mogę zobaczyć drugiej strony księżycy.

– Nie mam tu Biblii – powiedział Adam. – Naszą rodzinną zostawiłem w Connecticut.

– Ja mam – rzekł Li. – Zaraz przyniosę.

– Nie trzeba – powiedział Samuel. – Liza pozwoliła mi wziąć Biblię swojej matki. Mam ją w kieszeni. – Wyjął paczkę i rozwinął postrzępioną książkę. – Drapali ją i nadgryzali – ciągnął. – Ciekawe, ile udręki osiadło na tej książce. Dajcie mi używaną Biblię, a myślę, że potrafię wam określić człowieka po miejscach, które są poznaczone brudem poszukujących palców. Liza równomiernie zużywa całą Biblię. Otóż i mamy – ta historia najstarsza. Jeżeli nas zaniepokoi, będzie to znakiem, że znajdujemy niepokój w nas samych.

– Nie słyszałem jej od dziecka – rzekł Adam.

– To pewnie myślisz, że jest długa, a ona jest bardzo krótka – mówił Samuel. – Przeczytam ją całą, a potem wrócimy do początku. Dajcie mi trochę wina, bo mi od niego zaschło w gardle. Posłuchajcie; taka krótka historia, a zadała taką głęboką ranę. – Spojrzał na ziemię. – Patrzcie! – zawołał. – Chłopcy posnęli tam, w piasku.

Li wstał.

– Przykryję ich – powiedział.

– Piasek jest ciepły – odrzekł Samuel. – Otóż to idzie tak: “Potem Adam poznał Ewę, żonę swoją, która poczęła i porodziła Kaina, i rzekła: Otrzymałam męża od Pana”.

Adam zaczął coś mówić, ale kiedy Samuel spojrział na niego, zamilkł i zasłonił sobie dłonią oczy. Samuel czytał:

– “I porodziła zasię brata jego, Abla; i był Abel pasterzem owiec, a Kain był rolnikiem. I stało się po wielu dniach, iż przyniósł Kain z owocu ziemi ofiarę Panu. Także i Abel przyniósł z pierworódtw trzód swoich i z tłustości ich; i wejrzał Pan na Abla i na ofiarę jego. Ale na Kaina i na ofiarę jego nie wejrzał”.

Li odezwał się:

– No, ale gdzie... zresztą niech pan czyta, niech pan czyta. Jeszcze do tego wrócimy.

Samuel czytał:

– “I rozgniewał się Kain bardzo i spadła twarz jego. Tedy rzekł Pan do Kaina: Przeczżeś się zapalił gniewem, a czemu spadła twarz twoja? Ażaj jeśli dobrze czynić będziesz, nie będziesz wywyższeń? A jeżeli nie będziesz dobrze czynił, we drzwiach grzech leży; a do ciebie chuć jego będzie, a ty nad nim panować będziesz.

I rozmawiał Kain z Ablem, bratem swoim. I stało się, gdy byli na polu, że powstał Kain na Abla, brata swego, i zabił go. I rzekł Pan do Kaina: Gdzież jest Abel, brat twój? Który odpowiedział: Nie wiem; izalim ja stróżem brata mego? I rzekł Bóg: Cóżeś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi. Teraz tedy przeklętym będziesz na ziemi, która otworzyła usta swe, aby przyjęła krew brata twego z ręki twojej. Gdy będziesz sprawował ziemię, nie wyda więcej mocy twej tobie; tułaczem i biegunem będziesz na ziemi. Tedy rzekł Kain do Pana: Większa jest nieprawość moja, niżby mi ją odpuścić miano. Oto mię dziś wyganiaasz z oblicza tej ziemi, a przed twarzą twoją skryję się i będę tułaczem i biegunem na ziemi; i stanie się, że ktokolwiek mię znajdzie, zabije mię. I rzekł mu Pan: Zaiste, ktobykolwiek zabił Kaina, siedmioraką odniesie pomstę. I włożył Pan na Kaina piętno, aby go nie zabijał, ktobykolwiek znalazł. Tedy odszedł Kain od oblicza Pańskiego i mieszkał w ziemi Nod, na wschód słońca od Edenu”.

Samuel zamknął oddartą okładkę książki nieledwie ze znużeniem.

– Proszę – powiedział. – Szesnaście wersetów, nie więcej. O Boże! Już zapomniałem, jakie to straszliwe – ani jednej nuty nadziei. Może Liza ma rację. Nie ma tu nic do rozumienia.

Adam westchnął głęboko.

– Nie bardzo pocrzepiająca historia, co?

Li napełnił kubek ciemnym płynem ze swej okrągłej flaszki kamionkowej, spróbował trochę i otworzył usta, żeby wyczuć podwójny smak u nasady języka. Powiedział:

– Żadna historia nie ma mocy ani trwałości, jeżeli nie czujemy w głębi serca, że jest prawdziwa i że mówi prawdę o nas samych. Jakież ogromne brzemie winy dźwigają ludzie!

Samuel obrócił się do Adama:

– A tyś chciał wziąć je całe na siebie.

Li odparł:

– Ja to samo, jak zresztą każdy człowiek. Zgarniamy winę pełnymi rękami, jak gdyby była czymś cennym. Widocznie tak chcemy.

– Ja w tej chwili czuję się lepiej, nie gorzej – wtrącił Adam.

– Jak to? – zapytał Samuel.

– Ano, każdy mały chłopiec myśli, że sam wynalazł grzech. Co do cnoty, uważamy, że jej się uczymy, ponieważ nam o niej mówią. Ale grzech jest naszym własnym wymysłem.

– Tak, rozumiem. Tylko dlaczego ta historia ma tu coś poprawiać?

– Bo my od tego się wywodzimy – odparł z podnieceniem Adam. – To nas zrodziło. Część naszej winy wchłania w siebie nasza genealogia. Jakież mieliśmy możliwości? Jesteśmy dziećmi naszego rodzica. To znaczy, żeśmy nie pierwsi. To jest usprawiedliwie-niem, a niewiele mamy usprawiedliwień na tym świecie.

– W każdym razie tych przekonywujących – dodał Li.

– Inaczej już dawno zmasalibyśmy naszą winę i świat nie byłby wypełniony smutnymi, pokaranymi ludźmi.

– Ale czy wyobrażacie sobie inne ramy dla tego obrazu? – zapytał Samuel. – Przecież czy mamy usprawiedliwienie, czy nie, jesteśmy związani z naszymi przodkami. Wina w nas tkwi.

Adam odpowiedział:

– Pamiętam, że byłem trochę zrażony do Boga. I Kain, i Abel dali, co mieli, a Bóg wywyższył Abła, natomiast odtrącił Kaina. Nigdy nie uważałem, żeby to było sprawiedliwe. Nigdy tego nie rozumiałem. A wy?

– Możliwe, że wychodzimy z innych założeń – odparł Li.

– Ja pamiętam o tym, że ta historia napisana została przez lud pasterski i dla pasterzy. Oni nie byli rolnikami. Czy bóg pasterzy nie może uznać tłustego jagnięcia za dar cenniejszy od wiązki owsa? Ofiara powinna być jak najlepsza i najwartościowsza.

– Tak, rozumiem. – rzekł Samuel. – I pozwól, Li, że cię ostrzegę przed przedstawianiem Lizie twojego orientalnego rozumowania.

Adam był podniecony.

– No, dobrze, ale dlaczego Bóg potępił Kaina? To jest niesprawiedliwość.

Samuel odrzekł:

– Warto słuchać uważnie słów. Bóg wcale nie potępił Kaina. Nawet Bóg może mieć swoje upodobania, no nie? Przypuśćmy, że wolał jagnię od jarzyn. Ja bodaj także wolę. Kain przyniósł Mu, powiedzmy wiązkę marchwi. A Bóg rzekł: “Ja tego nie lubię. Popróbuj jeszcze raz. Przynieś mi coś, co lubię, a wywyższę cię na równi z twoim bratem”. Ale Kain się wściekł. Poczul się dotknięty. Kiedy zaś człowiek czuje się dotknięty, chce coś rozwalić, a Abel stał właśnie na drodze jego gniewu.

Li odezwał się:

– Święty Paweł powiada Hebrajczykom, że Abel miał wiarę.

– W Genesis nie ma o tym wzmianki – odparł Samuel. – Ani o wierze, ani o braku wiary. Tylko napomknienie o gniewie Kaina.

Li spytał:

– A co pani Hamilton myśli o paradoksach Pisma świętego?

– Ano nic, bo w ogóle nie uznaje, że w nim są.

– Ale...

– Tsss, człowieku. Zapytaj jej. A poczujesz się po tym starszy, ale nie mniej zagubiony.

Adam powiedział:

– Wy obaj badaliście tę sprawę. Przeze mnie tylko przepłynęła i niewiele z niej zostało. Więc Kain został wygnany za morderstwo?

– Tak jest, za morderstwo.

– I Bóg go napiętnował?

– Czyż nie słuchałeś? Kain nosił piętno, które nie miało go zniszczyć, ale ocalić. I była rzucona klątwa na każdego człowieka, który by go zabił. To piętno go chroniło.

– Nie mogę się pozbyć wrażenia, że Kainowi stała się krzywda – rzekł Adam.

– Możliwe – odpowiedział Samuel. – Ale Kain wyżył i miał dzieci, natomiast Abel żyje tylko w tej opowieści. My jesteśmy dziećmi Kaina. I czy to nie dziwne, że trzej dorośli mężczyźni, dzisiaj, w stuleciu o tyle tysięcy lat odległym, dyskutują o tej zbrodni tak, jak by zdarzyła się wczoraj w King City i jeszcze nie była rozpatrywana przez sąd?

Jeden z bliźniaków obudził się, ziewnął, popatrzał na Li i zasnął znowu. Li powiedział:

– Pamięta pan, panie Hamilton, jak mówiłem, że próbuję tłumaczyć na angielski stare chińskie poezje? Nie, proszę się nie obawiać, nie będę tego czytał. Otóż przekonałem się przy tej robocie, że niektóre stare rzeczy są tak świeże i czyste jak poranek. I zastanawiałem się dlaczego. Oczywiście, człowiek interesuje się tylko samym sobą. Jeżeli dana opowieść nie mówi o słuchaczu, ten nie będzie jej słuchał. Tutaj stawiam regułę: wielka i trwała opowieść musi mówić o każdym, bo inaczej nie przetrwa. To, co dalekie i obce, nie jest interesujące – tylko rzeczy głęboko osobiste i blisko nam znane.

– Zastosuj się do historii Kaina i Abla – rzekł Samuel, Adam zaś powiedział:

– Ja nie zabiłem mojego brata... – Nagle urwał i myślą cofnął się w przeszłość.

– Wydaje mi się, że można to zrobić – odpowiedział Li Samuelowi. – Moim zdaniem to jest najbardziej znana historia na świecie, ponieważ jest historią każdego człowieka. Uważam ją za symboliczne dzieje duszy ludzkiej. Ja w tej chwili głośno myślę, więc nie naskakujcie na mnie, panowie, jeżeli będę mówił niejasno. Największą zmorą dziecka jest obawa, że może nie być kochane, a odtrącenie jest piekłem, którego się lęka. Sądzę, że każdy na świecie w mniejszym lub większym stopniu doświadczył tego uczucia. A z odtrąceniem przychodzi gniew, z gniewem jakaś zbrodnia czy zemsta, ze zbrodnią zaś wina – i oto jest historia ludzkości. Myślę, że gdyby można odjąć człowiekowi lęk przed odtrąceniem, nie byłby tym, kim jest. Może mielibyśmy mniej szaleńców. Osobiście jestem pewny, że nie byłoby zbyt wielu więzień. Wszystko w tym tkwi – to jest załazek, początek. Dziecko, któremu odmówiono upragnionego uczucia, kopie kota i chowa w sekrecie swą winę; inne kradnie po to, aby pieniądze dały mu miłość; trzecie podbija świat – i wciąż mamy winę, zemstę i znowu winę. Człowiek jest jedynym stworzeniem obciążonym winą.

Zaczekajcie, panowie! Dlatego uważam tę starą i straszną historię za coś tak ważnego, że jest ona wielką kartą duszy – niepojętej, odtrąconej, pełnej winy duszy ludzkiej. Pan Trask powiedział, że nie zabił swojego brata, a potem jakby coś sobie przypomniał. Nie chcę wiedzieć co, ale czy to było bardzo dalekie od sprawy Kaina i Abla? No i cóż pan myśli o mojej orientalnej gadaninie, panie Hamilton? Wie pan, ja jestem akurat tak samo orientalny jak pan.

Samuel oparł się łokciami o stół i zasłonił dłońmi oczy i czoło.

– Muszę pomyśleć – odrzekł. – Muszę pomyśleć, psiakrew. Chciałbym z tym odejść gdzieś na bok, żeby sobie wszystko rozłożyć na części i obejrzeć. Możesz ty mi rozwalić świat. A nie wiem, co mógłbym zbudować na jego miejsce.

Li powiedział łagodnie:

– Czy nie można zbudować świata wokół uznanej prawdy? Czy nie dałoby się wykorzenić niektórych cierpień i obłądów, gdyby się znało przyczyny?

– Nie wiem, psiakrew. Wstrząsnąłeś moim ładniutkim wszechświatem. Wybrałeś sporną sprawę i uczyniłeś z niej odpowiedź. Zostawcie mnie samego, dajcie mi pomyśleć! Ta twoja przeklęta suka już rodzi szczenięta w moim mózgu. Ach, ciekaw jestem, jakie będzie zdanie Toma na ten temat! Zważy to sobie na dłoni. Obróci powoli w mózgu niczym wieprzową pieczeń nad ogniem. Adamie, ocknij się teraz. Dość długo tkwiłeś w jakichś tam swoich wspomnieniach.

Adam drgnął i westchnął głęboko.

– Czy to wszystko nie jest zanadto proste? – zapytał. – Zawsze boję się rzeczy prostych.

– Wcale nie jest proste – odparł Li. – To sprawa rozpaczliwie skomplikowana. Ale na końcu jest światło.

– Już niedługo się ściemni – powiedział Samuel. – Siedzieliśmy tak tutaj i aniśmy się spostrzegli, jak przyszedł wieczór. Przyjechałem, żeby pomóc przy nadawaniu imion bliźniakom, a oni wciąż są bezimienni. Zabawialiśmy się w huśtanie na desce. Li, ty lepiej trzymaj te swoje komplikacje z dala od maszynerii uznanych kościołów, bo jeszcze może się zdarzyć, że zobaczymy Chińczyka z gwoździami w rękach i nogach. Oni tam lubią komplikacje, ale swoje własne. No, czas już się zbierać do domu.

Adam powiedział z desperacją:

– Poddaj mi jakieś imiona.

– Z Biblii?

– Skąd chcesz.

– Czekajże. Ze wszystkich tych, co wyszli z Egiptu, tylko dwóch dotarło do Ziemi Obiecanej. Chciałbyś ich wziąć za symbol?

– Ale kogo?

– Kaleba i Jozuego.

– Jozue był żołnierzem... wodzem. Ja nie lubię żołnierzy.

– Hm, Kaleb też był przywódcą.

– Ale nie wodzem. Nawet mi się to podoba... Kaleb Trask. Jeden z bliźniaków przebudził się i zaczął natychmiast wrzeszczeć.

– Wywołałeś jego imię – rzekł Samuel. – Jozue nie spodobał ci się, ale Kaleb już jest nazwany. To ten sprytny – ten ciemniejszy. Patrz; drugi też się obudził. Ano cóż; ja zawsze miałem słabość do Aarona, ale on nie doszedł do Ziemi Obiecanej.

Drugi chłopczyk zaczął krzyczeć nieomal radośnie.

– A to niezłe! – powiedział Adam.

Nagle Samuel roześmiał się.

– W dwie minuty! – zawołał. – I to po całym wodospadzie słów! Kalebie i Aaronie, teraz jesteście ludźmi, przystąpiliście do bractwa i macie już prawo być potępieni.

Li wziął pod pachy obu chłopców.

– Czy pan ich rozróżni? – zapytał.

– Oczywiście – odparł Adam. – Ten jest Kaleb, a ty jesteś Aaron.

Li pośród zmroku podźwigał wrzeszczących bliźniaków do domu.

– Jeszcze wczoraj nie odróżniałem jednego od drugiego – zamyślił się Adam. – Aaron i Kaleb...

– Bogu łaskawemu niech będą dzięki, że oto mamy owoc naszych cierpliwych myśli – powiedział Samuel. – Liza wolałaby Jozuego. Uwielbia wałace się mury Jerycha. Ale lubi też i Aarona, więc chyba wszystko w porządku. Idę zaprząć do bryczki.

Adam odprowadził go do szopy.

– Cieszę się, żeś przyjechał – rzekł. – Spadł ze mnie wielki ciężar.

Samuel wsunął wędzidło w pysk wzbraniającej się Doksologii, założył naczelnik i zapiął podgardle.

– Może teraz pomyślisz o tym ogrodzie na płaszczyźnie – powiedział. – Już go tam widzę, tak jak sobie projektowałeś.

Adam długo zwlekał z odpowiedzią. Wreszcie rzekł:

– Zdaje mi się, że ten rodzaj energii już ze mnie wywietrzył. Nie czuję w sobie jej naporu. Mam dość pieniędzy na życie. Nigdy nie chciałem ich dla siebie. Nie mam komu pokazywać mojego ogrodu.

Samuel obrócił się gwałtownie ku niemu, a oczy miał pełne łez.

– Nie myśl, że to kiedykolwiek umrze! – zawołał. – Tego się nie spodziewaj. Czy jesteś lepszy od innych? Powiadam ci, że nie umrze, chyba razem z tobą.

Chwilę stał dysząc ciężko, potem wdrapał się na bryczkę, zaciął Doksologię i odjechał przygarbiony, bez pożegnania.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ XXIII

1

Hamiltonowie byli dziwnymi ludźmi, napiętymi jak struny, i niektórzy z nich, nastroszeni na zbyt wysoki ton, pękali. To zdarza się często na świecie.

Ze wszystkich córek Una była największą radością Samuela. Już jako mała dziewczynka pożywała nauki tak chciwie jak dziecko ciastek po obiedzie. Una i ojciec zajmowali się nauką konspiracyjnie – wypożyczali i czytali w sekrecie różne książki i zwierzali sobie wzajemnie ich tajemnice.

Z całego rodzeństwa Una miała najmniej humoru. Poznała i poślubiła skupionego, ciemnowłosego mężczyznę – człowieka, którego palce poplamione były chemikaliami, głównie azotanem srebra. Należał on do tych ludzi, co żyją w ubóstwie po to, ażeby móc prowadzić swoje poszukiwania. Dziedziną jego poszukiwań była fotografika. Wierzył, że świat zewnętrzny można przenieść na papier – nie w widmowych, białoczarnych odcieniach, ale w kolorach, które dostrzega oko ludzkie.

Nazywał się Andersen i nie miał wielkiego daru komunikatywności. Podobnie jak większość techników, odnosił się z obawą i wzdargą do spekulacji myślowych. Skok indukcyjny był dla niego czymś obcym. Wyrąbował sobie stopień po stopniu i wciągał się wyżej, podobnie jak człowiek wdrapujący się na ostatni garb góry. Dla Hamiltonów czuł ogromną pogardę, zrodzoną z lęku, bo oni wszyscy na wpół wierzyli, że mają skrzydła – i przez to doświadczyli kilku ciężkich upadków.

Andersen nigdy nie spadał, nie zsuwał się w tył i nigdy nie latał. Jego stopnie powoli, powoli wznosiły go coraz wyżej i w końcu jakoby znalazł to, czego chciał – kolorowe błony. Z Uną ożenił się być może dlatego, że miała niewielkie poczucie humoru, i to mu dodawało pewności siebie. Ponieważ zaś jej rodzina budziła w nim strach i zaniepokojenie, więc wywiózł żonę na północ, nikt właściwie nie wiedział dokąd – gdzieś na krańce Oregonu. Musiał prowadzić bardzo prymitywne życie wśród swoich butelek i papierów.

Una pisywała bezbarwne listy, w których nie było radości, ale też i roztkliwiania się nad sobą. Czuła się dobrze i miała nadzieję, że rodzina też dobrze się czuje. Mąż był już bliski swojego odkrycia.

A potem umarła i ciało jej odesłano do domu.

Nigdy nie znałem Uny. Zmarła nie za mojej pamięci, ale Jerzy Hamilton opowiadał mi o tym wiele lat później i oczy miał pełne łez, a głos mu się łamał.

“Una nie była taka piękna jak Mollie – mówił – ale miała prześliczne ręce i stopy. Jej nogi były smukłe w kostkach jak łydgi trawy, a ruchy także przypominały trawę. Palce miała długie, paznokcie wąskie, o kształcie migdałów, a cerę też śliczną, przezroczystą, jakby podświetloną.

Nie śmiała się i nie bawiła tak jak my wszyscy. Było w niej coś dalekiego. Zawsze jakby nasłuchiwała. Kiedy czytała, jej twarz przypominała twarz kogoś, kto słucha muzyki. A kiedyśmy ją o coś pytali, to dawała odpowiedź, jeżeli wiedziała, ale nie taką zblagowaną, podbarwioną, pełną «a nuż» i «kto wie», jaką my byśmy dali. Bo nas się trzymały różne głupstwa. A w Unie była jakaś czystość i prostota” – mówił Jerzy.

“Później przywieźli ją do domu. Paznokcie miała połamane, skórę na palcach spękaną i pokancerowaną. A te jej biedne, kochane stopy... – Jerzy przez chwilę nie mógł mówić, potem zaś powiedział z zaciekłością człowieka, który usiłuje się opanować: – Stopy miała zniekształcone, podrapane o kamienie i ciernie. Jej drogie stopy od dawna już nie znały trzewików. A skóra była stwardniała jak róg.

Przypuszczamy, że to musiał być wypadek – dokończył. – Tyle tych chemikaliów w domu... Chyba wypadek”.

Ale Samuel myślał i truł się tą myślą, że przyczyną owego wypadku były cierpienie i rozpacz.

Śmierć Uny poraziła Samuela jak bezgłośnie trzęsienie ziemi. Nie wypowiadał męnych czy pokrzepiających słów; po prostu przesiadywał na osobności, kołysząc się na krześle. Czuł, że przyczyną tego, co się stało, było jego własne zaniedbanie.

I oto tkanki jego ciała, które wiodły radosną walkę z czasem, zaczęły powoli ulegać. Młoda skóra przywędła, czyste oczy przyćmiły się, a masywne barki przygarbiły nieco. Liza dzięki swej rezygnacji umiała znosić tragedie, bo i tak w gruncie rzeczy nie miała żadnych nadziei na tym świecie. Natomiast Samuel wznosił sobie mur uśmiechu przeciwko prawom natury, i śmierć Uny uczyniła wyłom w jego umocnieniach. Zrobił się z niego starzec.

Innym jego dzieciom powodziło się lepiej. Jerzy pracował w ubezpieczeniach. Will zaczynał się bogacić. Joe wyjechał na Wschód i pomagał przy tworzeniu nowego zawodu zwanego reklamą. Jego wady stały się na tym polu zaletami. Stwierdził, że może przekazywać ludziom swe materialne sny na jawie – a reklama ujęta w sposób właściwy nie jest przecież niczym innym. Joe robił karierę w nowej dziedzinie.

Wszystkie dziewczęta powychodziły za mąż z wyjątkiem Dessie, która prowadziła dobrze prosperujący zakład krawiecki w Salinas. Jedynie Tom nie mógł ruszyć z miejsca.

Samuel powiedział Adamowi Traskowi, że Tom się zмага z wielkością. Ojciec obserwował syna i wyczuwał w nim rozmach i lęk, postępy i odwroty, ponieważ sam czuł je w sobie.

Tom nie miał lirycznej miękkości ojca ani jego wesołej urody. Ale obcując z Tomem można było wyczuć, jaki jest – czuło się w nim siłę, ciepło i żelazną prawość. A pod tym wszystkim tkwiła nieśmiałość, płochliwa nieśmiałość. Potrafił weselić się nie mniej od ojca i nagle coś przecinało tę wesołość w samym środku, zupełnie jak strunę skrzypiec – i wtedy Tom natychmiast wycofywał się w mrok.

Cerę miał smagłą; jego skóra – może od słońca – była ciemnorumiana, jak gdyby w żyłach krążyła mu krew skandynawska albo wandalska. Włosy, brodę i wąsy miał także ciemnobrunatne, a na tym tle oczy błyszczały zaskakującym błękitem. Był masywnej budowy, o potężnych ramionach i rękach, lecz wąski w biodrach. Potrafił nie gorzej od innych podnosić ciężary, biegać, chodzić pieszo i jeździć konno, ale nie miał w sobie najmniejszej żyłki współzawodnictwa. Will i Jerzy byli hazardzistami i nieraz usiłowali wciągnąć brata w radości i troski spekulacji. Tom odpowiadał:

– Próbowałem już, i to mnie tylko nuży. Zastanawiałem się, dlaczego tak jest. Nie mam uczucia tryumfu, kiedy mi się udaje, ani nie robię tragedii, jeżeli przegrywam. A bez tego te rzeczy nie mają sensu. Wiadomo, że to nie jest sposób zarabiania pieniędzy, i jeżeli nie może stać się namiastką urodzin i śmierci, radości i smutku, wydaje się, mnie przynajmniej... czuje się wtedy... nic się nie czuje. Robiłbym to, gdybym cokolwiek odczuwał – złego czy dobrego.

Will tego nie rozumiał. Całe jego życie było współzawodnictwem i przerzucał się od jednego hazardu do drugiego. Kochał Toma i usiłował obdarzyć go tym, co sam uważał za przyjemne. Wciągał go w interesy, próbował zaszczepić mu radość kupna i sprzedaży, przechytrzenia innych, oceniania ich bluffu, manewrowania w życiu.

Tom zawsze powracał zakłopotany na rancho i chociaż nie krytykował tego, co robił, przecie uważał, że jakoś zagubił swoją drogę. Czuł, że powinien znajdować przyjemność w męskich rozkoszach konkurencji, ale nie potrafił udawać przed sobą, że tak jest rzeczywiście.

Samuel powiedział, że Tom zawsze nabiera sobie za dużo na talerz – czy będzie to fasola, czy kobiety. Samuel był mądry, ale wydaje mi się, że znał Toma tylko od jednej strony. Możliwe, że Tom nieco bardziej otwierał serce przed dziećmi. To, co tu o nim napiszę, będzie wynikiem wspomnień plus wszystkie rzeczy, o których wiem, że są prawdziwe, plus domysły zbudowane na tej kombinacji. Któż wie, czy okaże się to trafne.

Mieszkaliśmy w Salinas i wiedzieliśmy, kiedy Tom przyjeżdżał – zjawiał się bodaj zawsze nocą – ponieważ pod naszymi poduszkami (moją i Marii) znajdowaliśmy paczuski gumy do żucia. Guma była w owych czasach cenna jak moneta. Zdarzało się, że Tom nie przyjeżdżał całymi miesiącami, ale co rano, zaraz po przebudzeniu, wsuwaliśmy dla pewności rękę pod poduszkę. I robię to po dziś dzień, choć już od wielu lat nie ma tam gumy.

Moja siostra, Maria, nie chciała być dziewczynką. Uważała to za dopust losu, z którym nie mogła się pogodzić. Miała zamiłowanie do sportu, grywała w kulki, w palanta, a strój dziewczęcy był dla niej tylko skrępowaniem. To oczywiście działało się na długo przed tym, nim objawiły jej się korzystne strony faktu, że jest dziewczynką.

Podobnie jak wiedzieliśmy, iż gdzieś na naszym ciełe, najpewniej pod pachą, znajduje się guzik, który naciśnięty odpowiednio, pozwoli nam fruwać, tak i Maria obmyśliła sobie magiczny sposób przemieniania się w zadzierzystego chłopaka, którym tak chciała być. Jeżeliby poszła spać w magicznej pozycji, z odpowiednio przygiętymi kolanami, z głową magicznie przekrzywioną i palcami założonymi jeden na drugi – rano mogła obudzić się chłopcem. Co noc próbowała znaleźć odpowiednią kombinację, ale nie udawało jej się to nigdy. Zazwyczaj pomagałem jej zakładać palec jeden na drugi, jak zachodzące na siebie gonty.

Już traciła nadzieję, że jej się to powiedzie, kiedy pewnego ranka znaleźliśmy pod poduszką gumę do żucia. Oboje odwinęliśmy po kawałku i zaczęli żuć z namaszczeniem; była to pepermintowa Beemana, a od owej pory nie wyprodukowano nic równie wyborczego.

Maria, naciągając swe długie, czarne prążkowane pończochy, powiedziała nagle z ogromną ulgą:

- No, oczywiście.
- Co, oczywiście?
- Wuj Tom – odrzekła i żuła dalej gumę, mlaskając głośno.
- Ale co wuj Tom? – zapytałem.
- On będzie wiedział, jak się zrobić chłopcem.

Otóż proszę – takie to było proste. Zdziwiłem się, że mi to do głowy nie przyszło.

Matka siedziała w kuchni, dozorując pracującą u nas młodą Dunkę. Mieliśmy całą serię służących. Nowo przybyłe rodziny duńskich rolników oddawały córki na służbę do domów amerykańskich i dziewczęta uczyły się nie tylko języka, ale i amerykańskiej kuchni, nakrywania do stołu, obyczajów i wszystkich drobnych subtelności wykwiśniętego życia w Salinas. Po kilku latach takiej pracy za dwanaście dolarów miesięcznie stawały się wysoce pożądanymi kandydatkami na żony dla amerykańskich młodzieńców. Nie tylko nabierały amerykańskich manier, ale nadal umiały pracować w polu jak woły. Dziś niektóre z najwytworniejszych rodzin w Salinas pochodzą od tych dziewczyn.

W kuchni stała wtedy najprawdopodobniej Inianowłosa Matylda, nad którą matka kwokała jak kura. Wtargnęliśmy do środka.

- Czy już wstał?
- Tsss! – syknęła matka. – Przyjechał późno. Dajcie mu spać.

Ale w ostatnim pokoju słychać było plusk wody na umywalni, więc wiedzieliśmy, że Tom już wstał. Zaczailiśmy się pod jego drzwiami jak koty, czekając, aż się ukaze.

Zawsze z początku była między nami pewna nieufność. Myślę, że wuj Tom był równie nieśmiały jak my. Przypuszczam, że chętnie wyskoczyłby ze swego pokoju i podrzucił nas do góry, ale zamiast tego zachowywaliśmy się oficjalnie.

- Dziękujemy za gumę, wuju.
- Cieszę się, że wam smakuje.
- Myśli wuj, że zjemy sobie późnym wieczorem placek z ostrygami z tej okazji, że wuj przyjechał?

- Na pewno spróbujemy, jeżeli wasza mama pozwoli.

Przeszliśmy do bawialni i zasiedliśmy tam razem. Z kuchni doleciał głos matki:

- Dzieci, zostawcie go w spokoju!
- Kiedy oni są bardzo grzeczni, Oli! – odkrzyknął.

Siedzieliśmy w bawialni, usadowieni w trójkąt. Twarz Toma była bardzo smagła, a oczy bardzo niebieskie. Nosił porządne garnitury, ale nigdy nie wydawał się dobrze ubrany. Pod tym względem bardzo różnił się od ojca. Jego rudy wąs nigdy nie był wypielęgnowany, włosy nie chciały leżeć, a ręce miał stwardniałe od pracy. Maria powiedziała:

– Wujku, jak się robi, żeby być chłopcem?

– Jak? Ależ moja droga, przecież tyś już się urodziła chłopakiem.

– Nie, nie o to mi idzie. Jak ja mogę zrobić się chłopcem?

Tom przyjrzał jej się z powagą.

– Ty? – zapytał.

Z Marii nagle trysnęły słowa.

– Ja nie chcę być dziewczynką, wujku! Chcę być chłopcem. Dziewczynka to nic, tylko całuski i lalki. Nie chcę być dziewczynką. Nie chcę!

Łzy gniewu zaczęły jej napływać do oczu. Tom popatrzył na swoje ręce i zaczął skubać złamanym paznokciem kawałek zrogowaciałej skóry. Przypuszczam, że chciał powiedzieć coś pięknego. Szukał słów przypominających słowa ojca – słodkich, uskrzydionych, pieszczotliwych i ślicznych.

– Wcale bym nie chciał, żebyś była chłopcem – oświadczył.

– Dlaczego?

– Bo mi się podobasz jako dziewczynka.

W świątyni Marii waliło się bożyszcze.

– To znaczy, że lubisz dziewczynki?

– Tak, bardzo lubię dziewczynki.

Wyraz niesmaku odmalował się na twarzyczce Marii. Jeżeli to prawda, Tom musi być głupcem. Przybrała swój ton typu “tylko bez takich bzdur”.

– No, dobrze – powiedziała. – Ale co ja mam zrobić, żeby być chłopcem?

Tom miał dobre ucho. Wyczuł, że gwałtownie spada w ocenie Marii, a chciał, żeby go kochała i podziwiała. Jednocześnie miał w sobie mocny, stalowy drut prawdomówności, który ścinał główki szybko pomykającym kłamstwom. Popatrzył na włosy Marii, tak jasne, że niemal białe, i ściągnięte gładko w warkocz, żeby jej nie przeszkadzały. Warkocz na końcu był ubrudzony, ponieważ Maria wycierała weń ręce przed trudniejszym rzutem przy grze w kulki. Tom przyjrzał się uważnie jej zimnym i nieprzyjaznym oczom.

– Nie zdaje mi się, żebyś naprawdę chciała tej zmiany.

– Naprawdę.

Tom mylił się; ona rzeczywiście tego chciała.

– Ano – powiedział. – Nie ma takiego sposobu. I kiedyś będziesz z tego zadowolona.

– Nie będę! – odrzuciła Maria i obróciwszy się do mnie dodała z lodowatą pogardą: – On nie wie!

Tom skrzywił się, a ja zadrzałem w obliczu potworności tak zbrodniczego oskarżenia. Maria była najodważniejsza i najtwardsza spośród swoich rówieśników. Dlatego w Salinas zawsze wygrywała w kulki. Tom powiedział niepewnie:

– Jeżeli mama się zgodzi, zamówię dziś rano placki z ostrygami, a odbiorę je wieczorem.

– Nie lubię placków z ostrygami – odparła Maria, po czym wymaszerowała do naszej sypialni i trzasnęła drzwiami. Tom popatrzał na nią żałośnie.

– Tak, ona jest naprawdę dziewczyną – powiedział.

Byliśmy teraz sami i uważałem, że powinienem jakoś zaleczyć ranę, którą zadała Maria.

– Ja uwielbiam te placki – oświadczyłem.

– Jasne. Ona też.

– Wuj, czy wuj myśli, że jest jakiś sposób, żeby się z niej zrobił chłopiec?

– Nie, nie myślę – odrzekł smutnie. – Powiedziałbym jej, gdybym go znał.

– Ona najlepiej gra w kulki w całej dzielnicy.

Tom westchnął, znowu popatrzał na swoje ręce, a ja dojrzałem w jego twarzy klęskę i zrobiło mi się go żal, boleśnie żal. Przyniosłem mu wydrażony korek ze szpilkami powpinanymi na kształt okratowania.

– Chciałby wuj tę moją klatkę na muchy?

O, Tom był wielkim dżentelmenem! Zapytał:

– A chcesz, żebym ja ją miał?

– Tak. O widzi wuj: tu wyciąga się jedną szpilkę, żeby mucha wleciała, to potem ona sobie tam siedzi w środku i bzyka.

– Bardzo mi będzie miło to mieć. Dziękuję ci, Johnie.

Przez cały dzień dłubał coś ostrym kieszonkowym scyzorykiem w niewielkim drewnianym klocku i kiedy wróciliśmy ze szkoły, okazało się, że wyrzezał małą główkę. Oczy, uszy i wargi były ruchome, a małe żerdki łączyły je z wnętrzem wydrażonej głowy. U dołu szyi znajdował się otwór zatykany korkiem. To było

zupełnie cudowne. Łapało się muchę, wpuszczało do środka przez otwór i zakładało korek. I nagle głowa zaczynała żyć. Oczy poruszały się, wargi gadały, a uszy wykręcały, gdy oszaląła mucha łąziła po żerdkach. Nawet Maria poniekąd przebaczyła Tomowi, chociaż w gruncie rzeczy nigdy nie odzyskała do niego zaufania, póki nie zaczęła się cieszyć, że jest dziewczyną, a wtedy już było za późno. Główkę tę podarował nie mnie, ale nam. Dziś jeszcze mamy ją gdzieś schowaną i nadal działa.

Niekiedy Tom zabierał mnie na ryby. Wyruszyliśmy przed wschodem słońca i jechali bryczką prosto ku górze Fremont, a w miarę jak zbliżaliśmy się do gór, gwiazdy bladły i wstawał świt, na którego tle czerniały szczyty. Pamiętam jeszcze, jak jechałem, przytulając ucho i policzek do kurtki Toma. Pamiętam też, że kładł mi lekko rękę na ramieniu i poklepywał od czasu do czasu. Wreszcie stawaliśmy pod dębem, wyprzęgali konia, poili go w strumieniu i uwiązali z tyłu bryczki.

Nie przypominam sobie, żeby Tom ze mną rozmawiał. Zastanawiając się nad tym, nie mogę przywołać w pamięci dźwięku jego głosu ani słów, jakich używał. Jeżeli idzie o dziadka, to pamiętam jedno i drugie, ale Tom kojarzy mi się we wspomnieniach z jakimś ciepłym milczeniem. Możliwe, że w ogóle nic nie mówił. Miał piękny sprzęt rybacki i sam sporządzał sobie muszki do wędek. Jednakże najwyraźniej nie dbał o to, czy nałowimy pstrągów, czy nie. Tryumfowanie nad zwierzętami nie było mu potrzebne.

Pamiętam pięciopalczaste paprocie rosnące pod malutkimi wodospadami i drganie ich zielonych palców, gdy uderzały o nie kropelki wody. Pamiętam też zapach wzgórz – dzikie azalie i daleki swąd skunksa, słodką, duszącą woń łubinu i koński pot na uprzęży. Pamiętam śliczny, śmigły taniec myszołowów wysoko na niebie i Toma przypatrującego im się długo, ale nie przypominam sobie, żeby coś o nich mówił. Pamiętam, jak przytrzymałem linę, podczas gdy Tom wbijał kołki i spletał ją. Pamiętam zapach zgniecionych paproci w koszyku na ryby i delikatną, słodkawą woń świeżo złowionych, wilgotnych pstrągów, tęczowych, ładnie poukładanych na tej zielonej podściółce. Pamiętam wreszcie, jak wracaliśmy do bryczki, sypali owies do skórzanego karmniaka i zakładali go koniowi na łeb, za uszy. Ale nie słyszę głosu ani słów Toma; w moim wspomnieniu jest on chmurny, milczący i jakiś nieopisanie ciepły.

Tom wyczuwał w sobie tę chmurność. Jego ojciec był pięknym i mądrym człowiekiem, a matka – drobna i matematycznie ścisła. Wszyscy bracia i siostry mieli albo urodę, albo zdolności, albo szczęście. Tom namiętnie kochał swoje rodzeństwo,

ale sam czuł się ociężały i przykuty do ziemi. Wspinał się na jakieś góry ekstazy i brnął w skalnym mroku pomiędzy ich szczytami. Czasem tryskał strumieniem odwagi, który jednakże ujęty był w tamy tchórzostwa.

Samuel twierdził, że Tomem targa rozterka w obliczu wielkości, że usiłuje on rozstrzygnąć, czy może wziąć na siebie ową chłodną odpowiedzialność. Samuel znał cechy swojego syna, wyczuwał w nim potencjalną gwałtowność i to go przstraszało, bo sam nie miał w sobie gwałtowności – nawet wtedy, gdy uderzył pięścią Adama Traska. Jeżeli idzie o książki, które przychodziły do domu – niekiedy potajemnie – to Samuel lekko po nich spływał i radośnie balansował wśród ich treści, podobnie jak człowiek płynący czółnem po spienionej bystrzynie. Natomiast Tom wgryzał się w książkę, wpełzał i wciskał między jej karty, rył się jak kret w zawartych w niej myślach i wyłaził na wierzch z twarzą i rękami niejako umazanymi książką.

Gwałtowność i nieśmiałość... Lędźwie Toma potrzebowały kobiet, a jednocześnie nie uważał się za godnego kobiety. Długimi okresami miotał się w udręce celibatu, potem wsiadał do pociągu, jechał do San Francisco, tarzał się i nurzał w kobietach, następnie wracał milczący na ranczo, osłabły, zawiedziony i poniżony, i karał sam siebie pracą, orał i obsiewał niewdzięczną ziemię, rąbał twardą dębinę, aż grzbiet mu pękał, a ręce zdzierały się na strzępy.

Możliwe, że Tomowi przesłaniał słońce ojciec i że na Toma padał cień Samuela. Tom potajemnie pisywał wiersze, a w owych czasach jedynie rozsądną rzeczą było trzymać to w sekrecie. Poetów uważano za wymoczkowatych niewieściuchów i ludzie Zachodu mieli ich w pogardzie. W poezji widziano oznakę słabości, degeneracji i rozkładu. Czytanie jej było narażeniem się na pośmiewisko, a pisanie wywoływało podejrzenia i ostracyzm. Poezję uznawano, i słusznie, za sekretny nałóg. Nikt nie wie, czy wiersze Toma były coś warte, czy nie, bo pokazał je tylko jednej osobie, a przed śmiercią spalił wszystko, co napisał. Sądząc po ilości popiołu w piecu, musiało tego być bardzo dużo.

Z całej rodziny Tom najbardziej kochał Dessie. Była ona wesoła. Śmiech zamieszkiwał w jej progach.

Zakład Dessie był jedyną w swoim rodzaju instytucją w Salinas. Stanowił on świat kobiety. Nie miały tam mocy żadne prawidła, żadne obawy, z których się rodzą żelazne reguły. Dla mężczyzn drzwi były zamknięte. W tym sanktuarium kobiety mogły być sobą – wonnymi, płochymi, tajemniczymi istotami, zadufanymi w sobie, prawdomównymi i pełnymi ciekawości. U Dessie zrzucały gorsety z fiszbinów – owe

uświęcone gorsety, co urabiały i przemieniały ciała kobiece w ciała bogiń. U Dessie stawały się kobietami, które chodzą do ustępu, objadają się, skrobią i pierdzą. A z tej swobody rodził się śmiech, ryki śmiechu.

Mężczyźni słyszeli je przez zamknięte drzwi, i to, co się tam działo, napawało ich słusznym lękiem; zapewne czuli, że to oni są przedmiotem tej wesołości – co w znacznej mierze odpowiadało prawdzie.

Jeszcze widzę Dessie w złotych binoklach chwiejących się na nosie nie pasującym do binokli, z oczami załzawionymi z rozbawienia i czołem, na którym mięśnie kurczyły się od spazmów śmiechu. Kosmyki włosów opadały jej między szkła a oczy, binokle zaś zlatywały z wilgotnego nosa skręcając się i dyndając na końcu czarnej wstążki.

U Dessie trzeba było zamawiać suknię na miesiąc z góry, po czym zachodziło się tam ze dwadzieścia razy, zanim dobrało się materiał i model. Salinas nie znało dotąd czegoś równie zdrowego jak zakład Dessie. Mężczyźni mieli swoje związki, kluby i burdele, kobiety natomiast nie miały nic prócz Bractwa Ołtarzowego oraz afektowanej kokieterii pastora – dopóki nie zjawiała się Dessie.

A potem Dessie się zakochała. Nie znam szczegółów tej sprawy – kim był ów mężczyzna ani jak przedstawiały się okoliczności, czy bruździło tu wyznanie, żyjąca żona, choroba bądź samolubstwo. Zdaje się, że matka wiedziała, ale była to jedna z tych rzeczy, które odkłada się do rodzinnej sekretery i nigdy nie wydobywa na jaw. Jeżeli zaś wiedzieli jeszcze inni ludzie w Salinas, widocznie uznawali to lojalnie za tajemnicę ich miasta. Wiadomo mi jedynie, że sprawa była beznadziejna, posępna i straszna. Po roku wszelka radość wyciekła z Dessie, a jej śmiech zamilkł.

Tom pognął wtedy na oślep przez wzgórze niczym lew tknięty straszliwym bólem. W środku nocy osiodłał konia i puścił się do Salinas, nie czekając na poranny pociąg. Samuel ruszył za nim i wysłał z King City telegram do Salinas.

Toteż gdy rano Tom, z twarzą czarną od pyłu, bodąc ostrogami ustającego konia wpadł na ulicę Jana w Salinas, czekał tam już na niego szeryf. Rozbroił Toma, wsadził go do celi i póty poił czarną kawą i koniakiem, póki Samuel nie zjawił się po niego.

Samuel nie wypalił Tomowi żadnego kazania. Zabrał go do domu i więcej nie wspominał o tym incydencie. I cisza zaległa na ranczo Hamiltonów.

W Dzień Dziękczynienia roku tysiąc dziewięćset jedenastego na ranczo zebrała się rodzina – wszystkie dzieci z wyjątkiem Joe'ego, który był w Nowym Jorku, Lizzie, która porzuciła swoją rodzinę dla innej, i Uny, która nie żyła. Pozjeżdżali się z prezentami i taką ilością jedzenia, że nie mógł jej pochłonąć nawet ten klan. Wszyscy poza Dessie i Tomem mieli już żony lub mężów. Ich potomstwo napełniło wrzawą dom Hamiltonów. Rodzinne gniazdo nagle rozgorzało – nigdy jeszcze nie było tak hałaśliwie. Dzieci biły się, krzyczały i wrzeszczały. Mężczyźni robili częste wypadki do kuźni, skąd wracali ocierając z zażenowaniem wąsy.

Drobna, krągła twarz Lizy powlekała się coraz czerwiejszym rumieńcem. Liza wszystko organizowała i dysponowała. Ogień pod kuchnią nie wygaszał ani na chwilę. Wszystkie łóżka były zajęte, dla dzieci zaś rozkładano na podłodze watowane kołdry na poduszkach.

Samuel odgrzebał w sobie dawną wesołość. Jego sardoniczny umysł odzyskał blask, mowa zaś swój dawny, śpiewny rytm. Wziął udział w rozmowach, śpiewach i wspominkach, a potem nagle, i to jeszcze przed północą, opadł z sił. Ogarnęło go znużenie i poszedł do łóżka, gdzie Liza leżała już od dwóch godzin. Dziwił się sobie niezmiernie – nie temu, że musiał się położyć, ale że miał na to ochotę.

Kiedy matka i ojciec odeszli, Will przyniósł z kuźni whisky i cały klan urządził zebranie w kuchni. Whisky krążyła z rąk do rąk w okrągłych szklankach do galaretki. Matki zajrzały do pokoiów sypialnych, ażeby sprawdzić, czy dzieci się nie poodkrywały, po czym wróciły. Wszyscy mówili cicho, żeby nie zbudzić dzieciaków i rodziców. Byli tam Tom i Dessie, Jerzy ze swą przystojną Mami z domu Dempsey, Mollie i William J. Martin, Oliwia i Ernest Steinbeckowie, Will i jego Deila.

Wszystkim jedno cisnęło się na usta – wszystkim dziesięciorgu. Samuel był już stary. To odkrycie zdumiało ich tak, jak nagłe ujrzanie upiora. Jakoś dotychczas nie wierzyli, że to może się zdarzyć. Popijali whisky i cicho rozmawiali na temat tej nowej dla nich myśli.

Na przykład jego ramiona... widzieliście, jak mu obwisły? A chód już nie ma sprężystości.

Trochę powłóczy nogami, ale nie to jest ważne – chodzi o oczy. Oczy ma stare.

Nigdy nie chciał położyć się do łóżka; chyba dopiero ostatni.

Zauważyliście, że w samym środku opowiadania zapomina, o czym mówi?

Ja to poznałem po jego skórze. Cała jest pomarszczona, a wierzch dłoni ma zupełnie przezroczysty.

Oszczędza prawą nogę. Tak, ale to jest ta, którą mu złamał koń. Wiem, ale dawniej nigdy tego nie robił. Mówili te rzeczy z oburzeniem. To nie może być – powtarzali. Ojciec nie może się zestarzeć. Jest młody jak jutrzienka, wieczysta jutrzienka.

Może się najwyżej postarzeć tyle co południe, ale, Boże drogi, przecież niemożliwe, żeby przyszedł wieczór, a noc?... Boże kochany, nie!

Było zupełnie naturalne, że ich myśli zderzały się z tym i odskakiwały; nie chcieli tego wypowiedzieć głośno, ale w duchu powtarzali sobie: Nie może być świata bez Samuela.

Jakże mogliby myśleć o czymkolwiek, nie wiedząc, co on o tym myśli?

Czymże byłaby wiosna, święta Bożego Narodzenia czy choćby deszcz? W ogóle nie byłoby świąt.

Umysły ich wzdragają się przed takimi myślami i szukają jakiejś ofiary – kogoś, komu można by zadać ból, ponieważ sami ból odczuwali. Skupiło się to na Tomie.

Przecież tu byłeś. Byłeś przez cały czas.

Jak do tego doszło? Kiedy to się stało?

Kto mu to zrobił?

A może właśnie ty z twoimi wariactwami?

Tom nie dawał się, ponieważ był wszystkiego świadom.

– To przez to, co się stało z Uną – odpowiedział chrapliwym głosem. – Nie mógł przeboleć Uny. Mówił mi, że mężczyzna, prawdziwy mężczyzna, nie ma prawa dopuścić, aby go powaliła troska. W kółko przykazywał mi wierzyć, że czas wszystko uleczy. Powtarzał to tak często, iż wiedziałem, że przegrywa.

– Dlaczegoś nam nic nie powiedział? Może dałoby się coś zrobić?

Tom zerwał się wściekły i spłoszony.

– Cholera jasna! Co tu było do gadania? Że umiera ze zmartwienia? Że szpik mu już wyciekł z kości? Co miałem mówić? Was tu nie było. Musiałem sam na to wszystko patrzeć i widzieć, jak mu oczy gasną, psiakrew!

Wybiegł z izby i usłyszeli stukot jego ciężkich butów na krzemienistej ziemi.

Zawstydzili się. Will Martin powiedział:

– Pójdę i przyprowadzę go z powrotem.

– Nie rób tego – odparł szybko Jerzy, a całe rodzeństwo kiwnęło głowami. – Nie rób tego. Zostaw go. Wiemy, jak jest, bo znamy sami siebie.

Po chwili Tom wrócił.

– Chcę was przeprosić – powiedział. – Bardzo mi przykro. Może jestem trochę pod gazem. Ojciec nazywa to “wesół”. Którejś nocy przyjechałem do domu – było to wyznanie – wszedłem, zataczając się, do ogródka i wywaliłem się w krzak róży, a potem na czworakach wczołgałem się po schodkach i zwymiotowałem na podłogę przy łóżku. Rano chciałem przeprosić ojca i wście, co powiedział? “Ależ, Tomie, przecież byłeś tylko wesół”. “Wesół”, bo to ja zrobiłem. Nie było mowy o pijanicy, który się przywłókł do domu. Tylko “wesół”.

Jerzy przerwał ten bezładny potok słów.

– To my chcemy ciebie przeprosić, Tomie – powiedział. – Przecież wyszło tak, jak byśmy cię winili, a wcale nie mieliśmy tego zamiaru. Może zresztą i mieliśmy. Ale bardzo żałujemy.

Will Martin podszedł do rzeczy praktycznie:

– Ojciec ma tu za ciężkie życie. Może by go namówić, żeby sprzedał ziemię i przeniósł się do miasta? Mógłby żyć jeszcze długo i szczęśliwie. Mollie i ja chętnie wzięlibyśmy oboje rodziców do siebie.

– Nie przypuszczam, żeby się zgodził – odrzekł Will. – Uparty jest jak muł, a dumny jak koń. Jego duma jest niczym spiż.

Ernest, mąż Oliwii, powiedział:

– Hm, nie zawadziłoby spytać. My też chętnie przyjęlibyśmy jego czy ich oboje do naszego domu.

A potem zamilkł, bo myślał, że już nie miałoby ranczo – tego suchego, kamienistego pustkowiecia na smętnych stokach wzgórz i dnie jałowej rozpadliny – wydała im się okropna.

Will Hamilton, dzięki wrodzonemu instynktowi oraz praktyce nabytej przy prowadzeniu interesów, był biegły w rozszyfrowywaniu mniej głębokich impulsów u mężczyzn i kobiet. Powiedział:

– Jeżeli mu zaproponujemy, żeby zamknął cały interes, to będzie tak, jak byśmy prosili, żeby zamknął swoje życie, więc tego nie zrobi.

– Masz rację, Will – zgodził się Jerzy. – Pomyślałby, że to jest jakby koniec. Uważałby to za tchórzostwo. Nie, nigdy nie sprzeda ziemi, a gdyby tak zrobił, myślę, że nie przeżyłby i tygodnia.

– Jest inny sposób – rzekł Will. – Może mógłby przyjechać do kogoś z nas w odwiedziny. Tom poprowadziłby przez ten czas gospodarstwo. Już pora, żeby rodzice

zobaczyli trochę świata. Tyle różnych rzeczy się dzieje. To by go odświeżyło, a potem mógłby wrócić i znowu wziąć się do pracy. Kto wie, może po jakimś czasie już by nawet nie musiał. Sam przecie zawsze mówi, że czas zrobi to, czego nie ruszy dynamit.

Dessie odgarnęła włosy z oczu.

– Zastanawiam się, czy wy naprawdę myślicie, że ojciec jest taki głupi – powiedziała.

A Will odrzekł, opierając się na swoim doświadczeniu:

– Czasami człowiek chce być głupi, jeżeli to pozwala zrobić coś, czego mu wzbrania mądrość. W każdym razie możemy spróbować. Jak uważacie?

Zebrani w kuchni pokiwali głowami, tylko jeden Tom siedział jak kamień, głęboko zadumany.

– Tom, a ty byś mógł pogospodarować na ranczo? – zapytał Jerzy.

– To drobiazg – odpowiedział Tom. – Praca na ranczo to żadna fatyga, bo tu nie ma co robić – i nigdy nie było.

– No to dlaczego się nie zgadzasz?

– Nie mam ochoty obrażać własnego ojca – rzekł Tom. – On by się na tym poznał.

– Ale co szkodzi zaproponować?

Tom zaczął pocierać uszy tak mocno, że krew na chwilę z nich odpłynęła i całkiem pobielaly.

– Ja wam nie zabraniam – powiedział. – Ale sam tego zrobić nie mogę.

– Moglibyśmy napisać list – podsunął Jerzy. – Coś w rodzaju zaproszenia natkanego dowcipami. A kiedy ojciec się znudzi którymś z nas, będzie mógł pojechać do innego. Starczy nas na całe lata takich odwiedzin.

I na tym też stanęło.

Tom przywiózł z King City list od Oliwii, a ponieważ znał jego treść, więc z doręczeniem zaczekał do chwili, gdy zdybał Samuela na osobności. Samuel pracował w kuźni i ręce miał usmolone. Wziął kopertę za sam rozek, położył ją na kowadle, następnie opłukał ręce w beczulce napełnionej do połowy czarną wodą, w której zanurzał gorące żelazo. Rozciął kopertę szpicem hufnala i wyszedł na słońce, żeby odczytać list. Tom, który pozdejmował koła z bryczki, smarował właśnie ośki żółtym smarem. Obserwował ojca kątem oka.

Samuel skończył czytać, złożył list i wsunął go na powrót do koperty. Usiadł na ławie przed kuźnią i zapatrzył się w przestrzeń. Potem znowu otworzył list, odczytał

go powtórnie, złożył i schował do kieszeni swej niebieskiej koszuli. Następnie Tom zobaczył, że ojciec wstaje i powoli wstępuje na zbocze wschodniego wzgórza, kopiąc po drodze leżące na ziemi krzemienie.

Ponieważ trochę padało, ziemia okryła się puchem mizernej trawy. W połowie drogi na szczyt wzgórza Samuel przykucnął, wziął w rękę garść chropawej, żwirowatej ziemi i roztarł ją palcem na dłoni – krzemienie i piaskowce, łuski błyszczącej miki, jakiś wąty korzonek i żyłkowany kamyk. Wypuścił to spomiędzy palców i otrzepał rękę. Zerwał źdźbło trawy, włożył je między zęby i popatrzał w niebo nad wierzchołkiem wzgórza. Szary, niespokojny obłok pomykał ku wschodowi, szukając drzew, które by mógł oblać deszczem.

Samuel podniósł się i powoli zszedł ze wzgórza. Zajrzał do szopy, gdzie przechowywał narzędzia, i poklepał czterocalowe wsporniki. Przystanął obok Toma, pokręcił jedno z wolno zawieszonych kół bryczki i przyjrzał się synowi, jak gdyby widział go po raz pierwszy.

– Przecież ty już jesteś dorosły mężczyzna – rzekł.

– To ojciec nie wiedział?

– Chyba wiedziałem... chyba wiedziałem – odparł Samuel i powędrował dalej. Na twarzy miał ów ironiczny wyraz, znany tak dobrze jego bliskim – to podkpiwanie z samego siebie, które skłaniało go do wewnętrznego śmiechu. Przeszedł przez smętny, mały ogródek, a potem naokoło domu, tego domu, który już nie był nowy. Nawet ostatnie przybudówki postarzały się i podniszczyły, a kit w oknach odłaził od szyb. Przed gankiem Samuel obrócił się i zanim wszedł do środka, ogarnął spojrzeniem całą kotlinę rancza.

Liza wałkowała ciasto na placek na ubielonej mące stolnicy. Wałkiem władała tak biegle, że ciasto zdawało się żyć. Rozpłaszczało się, a potem ścigało trochę do środka. Liza podniosła jego białawą płachtę, ułożyła ją w formie i obrównała nożem brzegi. Przygotowane konfitury stały w salaterce, skąpane w czerwonym soku.

Samuel usiadł na stołku kuchennym, założył nogę na nogę i przyjrzał się żonie. Oczy miał uśmiechnięte.

– Nie możesz znaleźć sobie nic do roboty o tej porze? – spytała.

– E, chyba bym znalazł, matko, gdyby mi się chciało.

– To nie siedź tu i nie denerwuj mnie. Jeżeli jesteś rozleniwiony, to masz gazetę w drugim pokoju.

– Już czytałem – powiedział Samuel.

– Całą?

– To, co chciałem przeczytać.

– Samuelu, co ci jest? Ty coś knujesz. Widzę to po twojej twarzy. No, powiedz już i pozwól mi dalej robić placki.

Pomachał nogą i uśmiechnął się do Lizy.

– Taka malutka żoneczka! – powiedział. – Trzy tycie jak ona starczyłyby ledwie na jeden kasek.

– Samuelu, daj no z tym spokój. Nie szkodzi pożartować wieczorową porą, ale teraz nie ma jeszcze jedenastej. No, idźże sobie.

Samuel powiedział:

– Lizo, wiesz ty, co znaczy angielskie słowo “wakacje”?

– Przestańże dowcipkować od samego rana.

– Ale wiesz, Lizo?

– Pewnie, że wiem. Nie rób ze mnie wariatki.

– Więc co to znaczy?

– Wyjazd dla odpoczynku nad morze i na plażę. Słuchaj, Samuelu, przestańże się już wygłupiać.

– Zastanawiam się, skąd ty znasz to słowo.

– Może mi wreszcie powiesz, o co ci idzie? Dlaczego miałabym go nie znać?

– A miałaś ty kiedy wakacje, Lizo?

– No cóż, ja... – urwała.

– Czy przez pięćdziesiąt lat miałaś choć raz wakacje, ty mała, niemądra, półkwatkowa kruszynko – żono?

– Samuelu, proszę cię, wyjdź z mojej kuchni – powiedziała niespokojnie.

Wyjął z kieszeni list i rozłożył go.

– To od Oli – powiedział. – Prosi, żebyśmy przyjechali w odwiedziny do Salinas. Już przygotowali dla nas pokoje na piętrze. Chce, żebyśmy poznali lepiej jej dzieci. Kupiła dla nas bilety na sezon do Chautauqua⁵. Billy Sunday ma walczyć z Szatanem, a Bryan wygłosić swą mowę o Złotym Krzyżu. Chciałbym tego posłuchać. Niemądra to jest gadanina, ale podobno on mówi tak, że człowiekowi serce chce pęknąć.

Liza potarła palcem nos, brudząc go mąką.

⁵ Chautauqua – koło dyskusyjne, literackie i naukowe, utworzone w 1874 r. w miejscowości Chautauqua Lake (przyp. tłum.).

– Czy to bardzo kosztowne? – spytała z niepokojem.

– Kosztowne? Przecież Oli kupiła dla nas bilety. To ma być prezent.

– Nie możemy jechać – oświadczyła Liza. – Kto zajmie się gospodarstwem?

– A Tom; o tyle, o ile jest coś do roboty w zimie.

– Będzie mu smutno samemu.

– Może przyjedzie na jakiś czas Jerzy, żeby popolować na przepiórki. Zobacz, co tu jest w liście.

– Co to takiego?

– Dwa bilety na pociąg do Salinas. Oli pisze, że nie chce nam zostawiać żadnej furtki.

– Możesz oddać bilety i zwrócić jej pieniądze.

– Nie, nie mogę. No, no, Lizo... matko... przestańże! Masz... masz tu chustkę.

– To ścierka do naczyń – szepnęła Liza.

– Siadaj, matko. O tak. Widać wytrącił cię z równowagi wstrząs, jakim jest myśl o odpoczynku. Masz! Wiem, że to ścierka. Podobno ten Bili Sunday pędza Szatana po całej estradzie.

– To bluźnierstwo – bąknęła Liza.

– Ale ja chciałbym to zobaczyć. A ty nie? Co mówisz? Podnieśże głowę. Nie dosłyszałem. Co powiedziałaś?

– Powiedziałam: dobrze – odparła Liza.

Tom coś rysował, kiedy podszedł do niego Samuel. Spojrzał na ojca spod oka, usiłując wyczytać w jego twarzy efekt, jaki sprawił list Oliwii. Samuel popatrzał na rysunek.

– Co to jest?

– Próbuję wymyślić takie urządzenie do otwierania bramy, żeby człowiek nie musiał wysiadać z bryczki. O, tym prętem pociąga się za zamek.

– A jak go się otwiera?

– Obmyśliłem, że trzeba dać mocną sprężynę.

Samuel uważnie obejrzał rysunek.

– Czym się potem zamknie?

– Tą sztabką. Opadnie na sprężynie przez pociągnięcie w drugą stronę.

– Rozumiem – rzekł Samuel. – To mogłoby nawet działać, gdyby brama była odpowiednio zawieszona. A zrobienie tego i utrzymywanie w porządku zabrałoby

tylko dwa razy więcej czasu niż dwadzieścia lat wysiadania z bryczki i otwierania bramy.

– Czasem, jak się ma płochliwego konia... – zaproponował Tom.

– Wiem – przerwał mu ojciec. – Ale główny powód jest ten, że to zabawne.

Tom wyszczerzył zęby.

– Przyłapałeś mnie – powiedział.

– Tom, czy myślisz, że mógłbyś zająć się gospodarstwem, gdybyśmy z matką wybrali się na małą wycieczkę?

– No, jasne – odrzekł Tom. – Gdzie macie zamiar jechać?

– Oli chce, żebyśmy trochę posiedzieli u niej w Salinas.

– To byłoby świetnie – powiedział Tom. – Mama się zgadza?

– A jakże, i nie myśli o kosztach.

– Doskonale – rzekł Tom. – Na ile czasu chcecie jechać?

Błyszczące, ironiczne oczy Samuela tak długo zatrzymały się na twarzy syna, że Tom wreszcie zapytał:

– Co się stało, ojcze?

– Ten twój ton, synku!.. taki leciutki, żem go ledwie dosłyszał. Ale był. Widzisz, mój drogi, jeżeli masz jakąś tajemnicę z siostrami i braćmi, to mnie to nie przeszkadza. Uważam, że tak jest w porządku.

– Nie rozumiem, o co ci idzie – powiedział Tom.

– Możesz dziękować Bogu, że ci się nie zachciało być aktorem, Tomie, bo byłby z ciebie bardzo kiepski aktor. Przypuszczam, żeście to obmyślili wtedy w święto, jakieście się tu razem zebrali. A widzę, że wszystko idzie jak po maśle. Czuję w tym rękę Willa. Nie mów nic, jeżeli nie chcesz.

– Ja nie byłem za tym – rzekł Tom.

– Bo to też do ciebie niepodobne – odparł ojciec. – Ty byłbyś za tym, żeby prawdę rozłożyć przede mną jak na dłoni. Nie mów im, że wiem. – Już chciał odejść, ale zawrócił i położył mu rękę na ramieniu. – Dziękuję ci, synku, żeś chciał zaszczycić mnie prawdą. Może to i nie sprytne, ale trwalsze.

– Cieszę się, że pojedziecie.

Samuel stanął w progu kuźni i popatrzył na swoją ziemię.

– Mówią, że matka najbardziej kocha brzydkie dziecko – powiedział i gwałtownie potrząsnął głową. – Tomie, wymienię z tobą zaszczyt za zaszczyt. Proszę cię, żebyś to zataił w jakimś swoim najciemniejszym zakątku i nic nie mówił braciom

ani siostram... Ja wiem, dlaczego jadę, Tomie... i wiem, dokąd jadę, i jestem zadowolony.

ROZDZIAŁ XXIV

1

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego tak jest, że zjawisko życia i śmierci mniej nęka i dręczy niektórych ludzi niż innych. Śmierć Uny usunęła Samuelowi ziemię spod nóg i uczyniła wyłom w jego obronnej pozycji, otwierając drogę starości. Natomiast Liza, która na pewno kochała swoją rodzinę równie głęboko jak mąż, nie została tym wcale porażona ani złamana. Życie jej równo płynęło dalej. Było jej smutno, lecz jakoś to przeżyła.

Myślę, że Liza przyjmowała świat podobnie jak Biblię – razem ze wszystkimi jej paradoksami i sprzecznościami. Niemiała jej była śmierć, ale wiedziała, że istnieje, i kiedy przyszła, wcale jej to nie zaskoczyło.

Samuel wprawdzie rozmyślał, żartował i filozofował na temat śmierci, ale w gruncie rzeczy w nią nie wierzył. Śmierć nie była częścią składową jego świata. On sam i wszyscy wokół niego byli nieśmiertelni. Gdy przyszła rzeczywista śmierć, odczuł ją jako zniewagę, jako zaprzeczenie owej nieśmiertelności, w którą głęboko wierzył, i ta jedna szczelina w murze sprawiła, że runęła cała budowla. Mam wrażenie, iż zawsze sądził, że potrafi wymówić się od śmierci. Uważał ją za osobistego przeciwnika, i to takiego, którego może pobić.

Dla Lizy była to po prostu śmierć – rzecz przyobiecana i spodziewana. Liza więc mogła dalej robić swoje i mimo smutku postawić na blasze garnek z fasolą, upiec sześć placków i obliczyć z największą dokładnością, ile będzie potrzeba jedzenia, żeby należycie nakarmić gości, którzy zjadą się na pogrzeb. I w swoim smutku potrafiła dopilnować, żeby Samuel miał czystą białą koszulę, żeby jego czarny sajetowy garnitur był wyszczotkowany i wolny od plam, a buty nasmarowane czernidłem. Być może, trzeba takich dwóch usposobień, ażeby stworzyć dobre małżeństwo, umocnione różnymi odmianami więzi.

Kiedy Samuel już raz przyjął coś do wiadomości, mógł zapewne posunąć się jeszcze dalej niż Liza, ale sam proces tego przyjmowania targał go na strzępy. Liza bacznie obserwowała męża po powzięciu decyzji wyjazdu do Salinas. Nie bardzo wiedziała, co Samuel planuje, ale na podobieństwo dobrej, roztropnej matki czuła, że coś w sobie waży. Była realistką do szpiku kości. Poza wszystkim innym cieszyła się,

że odwiedzi dzieci. Była ciekawa ich samych i ich potomstwa. Nie przywiązywała się do miejsc. Stanowiły one jedynie postoje na drodze do nieba. Nie lubiła pracy jako takiej, ale wykonywała ją, pracowała, bo przecież ktoś musiał to robić. Prócz tego była zmęczona. Coraz trudniej przychodziło jej pokonywać odrętwiałość i bóle, które usiłowały zatrzymać ją z rana w łóżku – co im się zresztą nigdy nie udawało.

Wyczekiwała na niebo, jako na miejsce, gdzie ubranie się nie brudzi i gdzie nie trzeba gotować jedzenia ani zmywać statków. Mówiąc szczerze, istniały w niebie pewne rzeczy, które niezupełnie pochwalała. Za dużo tam było śpiewania, a poza tym nie pojmowała, jakim sposobem nawet wybrańcy potrafią wytrzymać przez dłuższy okres to przyobiecane niebiańskie lenistwo. Już ona tam znajdzie coś do roboty w niebie. Przecież musi być takie czy inne zajęcie, którym można wypełnić sobie czas – może trzeba zacerować jakieś obłoczki, natrzeć maścią czyjeś zmęczone skrzydła. Może kołnierze szat wymagają niekiedy przeniecowania, a zresztą, skoro już o tym mowa, trudno uwierzyć, żeby nawet w niebie nie było gdzieś po kątach pajęczyn, które trzeba zetrzeć ścierką okręconą na szczotce.

Z radością wyglądała i obawiała się jednocześnie odwiedzin w Salinas. Cieszyła się na nie tak bardzo, iż czuła, że musi w tym być coś graniczącego z grzechem. A Chautauqua? Ano, nie ma obowiązku tam jechać i pewnie nie pojedzie. Samuel się rozbisurmani – trzeba będzie na niego uważać. Nigdy nie wyzbyła się wrażenia, że jest młodociany i bezradny. Szczęście, że nie wiedziała, co dzieje się w jego umyśle, a poprzez umysł i w ciele.

Miejsca miały dla Samuela wielką wagę. Ranczo było w jego oczach jakby krewnym, toteż Samuel, porzucając je, wbił nóż w ciało kogoś drogiego. Ale kiedy się już zdecydował, wziął się do tego rzetelnie. Złożył oficjalne wizyty wszystkim sąsiadom, starym druhom, którzy pamiętali, jak było dawniej, i wiedzieli, jak jest obecnie. Gdy zaś rozstawał się z przyjaciółmi, ci czuli, że więcej go nie zobaczą, choć im tego nie mówił. Często teraz przypatrywał się górom, drzewom, nawet ludzkim twarzom, jak gdyby chciał je zapamiętać na wieczność.

Odwiedziny u Traska odłożył sobie na ostatek. Nie jeździł tam od miesiący. Adam nie był już człowiekiem młodym. Chłopcy mieli po jedenaście lat, a Li – cóż, Li niewiele się zmienił. Odprowadził Samuela do szopy.

– Od dawna już chciałem z panem pomówić – rzekł – ale wciąż tyle jest do roboty! A poza tym staram się przynajmniej raz na miesiąc jeździć do San Francisco.

– Wiesz, jak to bywa – odparł Samuel. – Kiedy się ma świadomość, że przyjaciel jest pod ręką, to się go nie szuka. A potem raptem odejście i człowieka gryzie sumienie, że się z nim nie zobaczył.

– Słyszałem o pana córce. Bardzo panu współczuję.

– Dostałem twój list. Mam go. Napisałeś tam mądre rzeczy.

– Chińskie rzeczy – odpowiedział Li. – Zdaje się, że z wiekiem robię się coraz bardziej chiński.

– Jakoś inaczej wyglądasz, Li. Co to może być?

– Mój warkocz, proszę pana. Obciąłem sobie warkocz.

– O, właśnie.

– Wszyscyśmy to zrobili. Nie słyszał pan? Cesarzowej wdowy już nie ma. Chiny są wolne. Mandżurowie już nami nie rządzą i nie nosimy warkoczy. Taka była proklamacja nowego rządu. Nigdzie nie został ani jeden warkocz.

– Czy czujesz jakąś różnicę, Li?

– Niewielką. Tak jest swobodniej. Ale mam jakby puste miejsce na głowie i to mnie denerwuje. Ciężko mi przywyknąć do tej wygody.

– Jak Adam?

– Doskonale. Niewiele się zmienił. Zastanawiam się, jaki mógł być dawniej.

– Tak, ja też się nad tym zastanawiałem. Krótkie było to jego kwitnienie. A chłopcy pewnie wyrosli?

– A jakże. Zadowolony jestem, że tu zostałem. Masę się nauczyłem, patrząc, jak dorastają, i pomagając im trochę.

– Nauczyłeś ich po chińsku?

– Nie. Pan Trask sobie nie życzył. I chyba miał słuszną rację. To byłaby tylko zbędna komplikacja. Ale jestem ich przyjacielem... tak, jestem ich przyjacielem. Podziwiają ojca, ale myślę, że kochają mnie. I bardzo się różnią od siebie. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo.

– Pod jakim względem, Li?

– Przekona się pan, jak wrócą ze szkoły. Są niby dwie strony medalu. Kal szorstki, chmurny i czujny, a jego brat... cóż, to chłopak, którego się lubi, jeszcze zanim otworzy usta, a później tym bardziej.

– A Kala nie lubisz?

– Łapię się na tym, że go bronię... przed nim samym. On walczy o życie, a jego brat nie musi walczyć.

– To samo jest z moim przychówkiem – powiedział Samuel. – Zupełnie tego nie rozumiem. Zdawałoby się, że mając tę samą krew i to samo wychowanie wszyscy powinni być do siebie podobni, a tymczasem wcale nie są – wcale a wcale.

Nieco później Samuel i Adam szli ocienioną dębami drogą do wylotu parowu, skąd można było objąć wzrokiem dolinę Salinas.

– Zostaniesz na kolacji? – zapytał Adam.

– Nie chcę być przyczyną nowego mordowania kur – odparł Samuel.

– Li przygotował już duszoną pieczeń.

– Ano, w takim razie...

Adam wciąż jeszcze miał jedno ramię niższe od drugiego na skutek dawnej rany. Twarz jego była twarda i nieprzenikniona, a oczy jakby widziały tylko ogólny obraz, nie zatrzymując się przy szczegółach. Obaj mężczyźni przystanęli na drodze i popatrzyli na dolinę zazielenioną od wczesnych deszczów. Samuel powiedział cicho:

– Zastanawiam się, czy ci nie wstyd, że zostawiasz tę ziemię odłogiem.

– Nie miałem powodu, żeby ją obsiać – odparł Adam.

– Jużśmy o tym mówili. Myślałeś, że to się we mnie odmieni. A nie odmieniło się.

– Czyżbyś się szczycił swoim bólem? – zapytał Samuel. – Czy dzięki temu wydajesz się sobie wielki i tragiczny?

– Nie wiem.

– Ano, zastanów się nad tym. Możliwe, że odgrywasz rolę na wielkiej scenie, mając tylko siebie samego jako widza.

W głosie Adama odezwała się lekka nuta gniewu.

– Po co do mnie przychodzisz z kazaniami? Cieszę się, żeś przyjechał, ale czemu chcesz się grzebać w mojej duszy?

– Żeby zobaczyć, czy zdołam obudzić w tobie choć odrobinę gniewu. Ja jestem człowiek wścibski. Tam oto widzę całą tę jałową ziemię, a tutaj, obok mnie, stoi jałowy człowiek. Wydaje mi się, że to marnotrawstwo. A ja nie znoszę marnotrawstwa, bo nigdy nie mogłem sobie na nie pozwolić. Czy przyjemnie ci zostawiać własne życie odłogiem?

– A cóż innego mogę robić?

– Możesz spróbować raz jeszcze.

Adam obrócił się do niego.

– Boję się, Samuelu – powiedział. – Wolę tak to zostawić. Może nie mam energii albo odwagi.

– A twoi chłopcy? Czy ty ich kochasz?

– Tak... tak.

– Kochasz któregoś z nich bardziej niż drugiego?

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie wiem. Może coś w twoim tonie...

– Wróćmy do domu – powiedział Adam.

Szli z powrotem pod drzewami. Nagle Adam zapytał:

– Czy słyszałeś, że Cathy jakoby jest w Salinas? Słyszałeś kiedy takie pogłoski?

– A ty?

– Tak... ale w to nie wierzę. Nie mogę uwierzyć.

Samuel w milczeniu szedł piaszczystą koleiną drogi. Umysł jego nieskoro wnikał w stan ducha Adama i niemal ze znużeniem podjął myśl, o której sądził, że dawno już zanikła. Wreszcie Samuel powiedział:

– Tyś nigdy o niej nie zapomniał.

– Chyba nie. Ale zapomniałem jej, że do mnie strzeliła. Już teraz o tym nie myślę.

– Nie mogę cię pouczać, jak masz żyć – powiedział Samuel – chociaż ci mówię, co powinienesz robić. Wiem, że mogłoby być dla ciebie lepiej, gdybyś wy dostał się spod wszystkich tych swoich gdybań na szeroki wiew świata. A kiedy to ci mówię, sam przesiewam swoje wspomnienia, podobnie jak niektórzy przesiewają ziemię spod podłogi szynku, szukając ziarenek złotego piasku, co wpadły między szpary. To taka pośledniejsza kopalnia złota... pośledniejsza. Za młody jeszcze jesteś, Adamie, żeby przesiewać wspomnienia. Powinienesz dorabiać się nowych, aby kopalnia była bogatsza, jak dojdiesz do właściwego wieku.

Adam pochylił głowę, a zuchwy mu chodziły pod skroniami. Samuel zerknął na niego.

– O, właśnie – powiedział. – Wgryź się w to. Jakże my zawsze bronimy błędów! Czy mam ci powiedzieć, co robisz, abyś nie myślał, że sam na to wpadłeś? Kiedy się kładziesz do łóżka i gasisz lampę, ona staje w progu na tle przyćmionego światła i widzisz, jak porusza się lekko jej nocna koszula. Potem podchodzi słodko do twego łóżka, a ty wstrzymując oddech odrzucasz kołdrę na jej przyjęcie i odsuwasz głowę na

poduszce, żeby zrobić miejsce dla jej głowy obok swojej. Czujesz wonność jej ciała, które pachnie jak żadne inne na świecie...

– Przestań! – krzyknął na niego Adam. – Milcz, niech cię diabli!... Przestań się wtrącać w moje życie! Jesteś jak kojot węszący dokoła padliny.

– Wiem to stąd – ciągnął łagodnie Samuel – że i do mnie ktoś przychodził tak właśnie... noc w noc, miesiąc w miesiąc, rok w rok, aż do tej chwili. I pewnie powinienem był zamknąć swoje myśli na cztery spusty i opieczetować przed nią serce, ale tak nie zrobiłem. Przez wszystkie te lata oszukiwałem Lizę. Dawałem jej nieprawdę, fałszerstwo, a to, co najlepsze, chowałem na te mroczne, cudowne godziny. I teraz niemal bym wolał, żeby i ona miała swojego potajemnego gościa. Ale o tym nie dowiem się nigdy. Przypuszczam, że zaryglowałyby swoje serce, a klucz rzuciła do piekła.

Adam zacisnął pięści, aż krew odpłynęła z ich zbielejących kostek.

– Kazesz mi wątpić w samego siebie – powiedział zaciekle. – Zawsze tak było. Boję się ciebie. Co mam robić, Samuelu? Powiedz mi! Nie pojmuję, jak mogłeś dojrzeć to tak jasno. Co powinienem zrobić?

– Znam wszystkie te “powinienem”, choć sam ich nie stosuję, Adamie. Zawsze je znałem. Powinieneś poszukać sobie nowej Cathy. Powinieneś pozwolić, żeby ta nowa zabiła tamtą Cathy ze snów, żeby obydwie stoczyły z sobą walkę. A ty, przypatrując się temu, powinieneś poślubić myślami tę, która zwycięży. To jest drugie z kolei “powinieneś”. Najlepszym byłoby znalezienie jakiegoś nowego piękna, które przekreśliłoby dawne.

– Boję się próbować – rzekł Adam.

– To właśnie powiedziałaś. A teraz będę wobec ciebie samolubny. Odjeżdżam, Adamie. Przyjechałem się pożegnać.

– Co to znaczy?

– Moja córka, Oliwia, zaprosiła mnie i Lizę do siebie, do Salinas, i wyjeżdżamy... pojutrze.

– No, ale przecież wrócisz?

Samuel mówił dalej:

– Kiedy już posiedzimy u Oliwii z miesiąc albo dwa, przyjdzie list od Jerzego. Okaże się, że byłby dotknięty, gdybyśmy go nie odwiedzili w Paso Robles. A potem Mollie będzie chciała nas ściągnąć do San Francisco, po niej Will, a nawet może i Joe, który siedzi na Wschodzie – jeżeli dość długo pożyjemy.

– No dobrze, i nie będziesz z tego zadowolony? Przecież to ci się należy. Dostatecznie się naharowałeś na tej swojej kupie piachu.

– Kocham tę kupę piachu – powiedział Samuel. – Kocham ją tak, jak suka kocha swoje niewydarzone szczenię. Kocham tam każdy krzemień i wyszczerbiające pług podglebne warstwy, cienką, jałową ziemię i jej bezwodne jądro. Gdzieś w tej mojej kupie piachu tkwi bogactwo.

– Należy ci się odpoczynek.

– O, znowu to mówisz – rzekł Samuel. – Z tym musiałem się pogodzić i tak też zrobiłem. Kiedy powiadasz, że należy mi się odpoczynek, mówisz tym samym, że moje życie już jest skończone.

– Wierzysz w to?

– Z tym właśnie się pogodziłem.

Adam zawołał ze wzburzeniem:

– Tego ci nie wolno! Przecież jeżeli się z tym pogodzisz, nie będziesz żył.

– Wiem – powiedział Samuel.

– Nie możesz tego zrobić.

– Czemu nie?

– Bo ja tego nie chcę.

– Ja jestem wścibski staruch, Adamie. A smuci mnie to, że tracę swoje wścibstwo. Może po tym poznaję, że już pora odwiedzić dzieci. Sporo czasu muszę poświęcać na udawanie wścibstwa.

– Już bym wolał, żebyś sobie urobił ręce po łokcie na tej twojej kupie piachu.

Samuel uśmiechnął się do niego.

– Jakże miło to słyszeć! Dziękuję ci. Dobrze jest być kochanym, choćby i późno.

Raptem Adam zastąpił mu drogę, tak że Samuel musiał przystanąć.

– Ja doskonale wiem, co ty dla mnie zrobiłeś – powiedział Adam. – Nie mogę ci nic dać w zamian. Ale mogę poprosić cię o jeszcze jedno. Gdybym cię poprosił, czy wyświadczyłbyś mi jeszcze jedną łaskę i może uratował mi życie?

– Owszem, jeżeli bym mógł.

Adam zatoczył ręką ku zachodowi.

– Ta ziemia tutaj... czy pomógłbyś mi zrobić z niej ten ogród, o którym mówiliśmy – te wiatraki, studnie i łąny alfalfy? Moglibyśmy hodować nasiona kwiatów. Na tym można zrobić pieniądze. Tylko pomyśl, jak by to wyglądało: całe

akry pachnącego groszku, złote kwadraty nagietków. Z dziesięć akrów samych róż dla ogrodów Zachodu. Pomyśl, jak by pachniały na zachodnim wietrze!

– Przestań, bo się popłaczę, a to byłoby nieprzystojne u starego człowieka – odrzekł Samuel. Jakoż oczy miał wilgotne od łez. – Dziękuję ci, Adamie. Słodkość tej twojej oferty pięknie pachnie na zachodnim wietrze.

– Więc to zrobisz?

– Nie, nie zrobię tego. Ale zobaczę to w wyobraźni, kiedy już będę w Salinas i będę słuchał Williama Jenningsa Bryana. I może potrafię uwierzyć, że to się naprawdę zdarzyło.

– Ale ja tego chcę!

– Pogadaj z moim Tomem. On ci pomoże. Biedak obsadziłby cały świat różami, gdyby tylko mógł.

– Czy ty wiesz, co robisz, Samuele?

– Wiem; wiem tak dobrze, że to już jest na wpół zrobione.

– Jakiż ty jesteś uparty!

– Kłótniwy – poprawił Samuel. – Liza mówi, że jestem kłótniwy; ale teraz uwikłam się już w matnię swoich dzieci – i zdaje się, że mi z tym dobrze.

2

Do stołu nakryto w domu. Li powiedział:

– Chętnie bym podał kolację pod drzewem, jak dawniej, ale jest trochę chłodno.

– Słusznie, Li – przyznał Samuel.

Bliźniacy weszli cicho do pokoju i przystanęli, onieśmieleni, zerkając na gościa.

– Dawno was nie widziałem, chłopaki. Aleśmy was dobrze ponazywali. Ty jesteś Kaleb, prawda?

– Ja jestem Kal.

– Niech będzie Kal. – Samuel obrócił się do drugiego.

– A ty też już znalazłeś sposób, żeby wyrwać kręgosłup ze swojego imienia?

– Słucham?

– Nazywasz się Aaron?

– Tak jest, proszę pana.

Li zachichotał.

– On to pisze przez jedno “a” – powiedział. – Podwójne “a” wydaje się zbyt frymuśne jego kolegom.

– Proszę pana, a ja mam trzydzieści pięć belgijskich królików – powiedział Aaron. – Chciałby pan zobaczyć? Kojec jest już wyszykowany na wiosnę. Mam osiem malutkich... urodziły się wczoraj.

– Chętnie je obejrzę, Aronie. – Usta Samuela drgnęły.

– Kal, chyba mi nie powiesz, że jesteś ogrodnikiem?

Li szybko obrócił głowę i przypatrzył się Samuelowi.

– Niech pan da spokój – powiedział nerwowo.

Kal odezwał się:

– W przyszłym roku ojciec ma mi dać cały akr ziemi tam, na płaskim.

– Mam takiego królika, co waży piętnaście funtów – wtrącił Aron. – Podaruję go ojcu na urodziny.

Usłyszeli skrzypnięcie drzwi sypialni Adama.

– Tylko niech pan mu nic nie mówi! – rzucił szybko Aron. – To sekret.

Li krajał pieczeń.

– Pan zawsze wprowadza niepokój w moje myśli – powiedział. – No, siadajcie, chłopcy.

Adam wszedł, obciągając rękawy koszuli, i zasiadł na pierwszym miejscu u stołu.

– Dobry wieczór, chłopcy – powiedział, a oni odrzekli razem:

– Dobry wieczór, ojczu.

Aron szepnął:

– Tylko niech pan nie mówi.

– Nie powiem – uspokoił go Samuel.

– Czego masz nie mówić? – zapytał Adam.

– A cóż to, nie wolno mieć osobistych spraw? – odparł Samuel. – Mam sekrety z twoim synem.

– Ja także panu powiem jeden sekret – wtrącił Kal.

– Zaraz po kolacji.

– Chętnie posłucham – odrzekł Samuel. – Mam tylko nadzieję, że to nie będzie coś, co już wiem z góry.

Li podniósł wzrok znad pieczeni i spojrzał przenikliwie na Samuela. Potem zaczął nakładać mięso na talerze.

Chłopcy jedli prędko, w milczeniu, łapczywie. Wreszcie Aron zapytał:

– Czy możemy wstać, ojczu?

Adam kiwnął głową i obaj chłopcy wyszli pospiesznie. Samuel popatrzył za nimi.

– Robią wrażenie, jakby mieli więcej niż jedenaście lat – powiedział. – Pamiętam, że mój przychówek w tym wieku tylko wciąż krzyczał, wrzeszczał i ganiał w kółko. A oni zachowują się jak dorośli mężczyźni.

– Tak uważasz? – zapytał Adam.

Li powiedział:

– Myślę, że wiem, jaka jest tego przyczyna. W tym domu nie ma kobiety, która by chuchała na dzieci. Wydaje mi się, że mężczyźni nie bardzo lubią malców, toteż dla tych chłopców nigdy nie było korzystne być dziećmi. Nie mogli nic przez to zyskać. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Samuel wytarł z talerza resztki sosu kawałkiem chleba.

– Adamie – powiedział. – Zastanawiam się, czy ty zdajesz sobie sprawę, kogo masz w Li. Filozofa, który potrafi gotować, czy może kucharza, który potrafi myśleć? Wiele się nauczyłem od niego. I ty musiałeś też się nauczyć, Adamie.

Adam odparł:

– Obawiam się, że nie dość go słuchałem... albo może mówił za mało.

– Adamie, dlaczegoś nie chciał, żeby chłopcy uczyli się po chińsku?

Adam zastanowił się chwilę.

– Zdaje się, że przyszła pora na szczerą – powiedział.

– Przypuszczam, że to była prosta zazdrość. Nadałem temu inną nazwę, ale prawdopodobnie nie chciałem, żeby się zbyt łatwo ode mnie oddalili w kierunku, w którym nie mogłem podążać.

– To jest dosyć sensowne i aż nadto ludzkie – odrzekł Samuel. – Ale sama taka świadomość to już wielki skok. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek zaszedłem tak daleko.

Li przyniósł szary, emaliowany imbryk z kawą, nalał jej do filiżanek i usiadł. Ogrzał sobie dłoń o wypukłą ściankę swojej filiżanki. A potem roześmiał się.

– Narobił mi pan masę kłopotu, panie Hamilton, i zamącił pan spokój Chin.

– Nie rozumiem, Li.

– Mam jakby wrażenie, że już panu o tym mówiłem – ciągnął Li. – A może tylko ułożyłem sobie wszystko w głowie, żeby panu opowiedzieć. Tak czy owak, to zabawna historia.

– Chciałbym ją usłyszeć – odrzekł Samuel i spojrzał na Adama. – A ty nie, Adamie? Czy znowu zanurzasz się w swoją kąpiel z obłoków?

– Myślałem o tym – odparł Adam. – Zabawna rzecz... ogarnia mnie jakieś podniecenie.

– To świetnie – powiedział Samuel. – Możliwe, że to jest najlepsza ze wszystkich dobrych rzeczy, jakie mogą przydarzyć się człowiekowi. No, słuchamy twojej historii, Li.

Chińczyk sięgnął ręką do szyi i uśmiechnął się.

– Ciekawe, czy kiedykolwiek zdołam przywyknąć do braku warkocza – powiedział. – Zdaje się, że był mi potrzebniejszy, niż przypuszczałem. No więc, ta historia. Mówiłem panu, że robię się coraz bardziej chiński. Czy pan też robi się coraz bardziej irlandzki?

– To tak przychodzi i odchodzi – odrzekł Samuel.

– Pamiętaj pan, jak pan nam czytał te szesnaście wersetów z czwartego rozdziału Genesis i jak o tym dyskutowaliśmy?

– Jasne, że pamiętam. Ale to było już dawno temu.

– Prawie dziesięć lat – ciągnął Li. – Otóż ta historia zapadła we mnie głęboko i rozważyłem ją sobie słowo po słowie. Im więcej o niej myślałem, tym wydawała mi się głębsza. A potem porównałem istniejące przekłady i okazało się, że są dosyć do siebie zbliżone. Jedno tylko miejsce mnie korciło. Według wersji króla Jakuba jest tak... to tam, gdzie Jehowa pyta Kaina, dlaczego jest gniewny. Jehowa mówi: "Ażaj, jeżeli dobrze czynić będziesz, nie będziesz wywyższon? A jeżeli nie będziesz dobrze czynił, we drzwiach grzech leży; a do ciebie chuć jego będzie, a ty nad nim panować będziesz". Uderzyło mnie to "będziesz", bo jest w tym obietnica, że Kain zwycięży grzech.

Samuel kiwnął głową.

– A tymczasem jego dzieci niezupełnie to spełniły – powiedział.

Li pociągnął łyk kawy.

– Potem dostałem egzemplarz zatwierdzonego amerykańskiego wydania *Biblii*. Wtedy dopiero co się ukazało. I różniło się w tym passusie. Brzmiał on: "Masz nad nim panować". A to jest zupełnie co innego. To nie obietnica, lecz rozkaz. Zacząłem

się w tym grzebać. Zastanawiałem się, jakie też było w oryginale słowo użyte przez oryginalnego pisarza, skoro mogły powstać tak bardzo odmienne tłumaczenia.

Samuel oparł się dłońmi o stół i pochylił się do przodu, a w oczach pojawił mu się dawny, młodzieńczy błysk.

– Li! – zawołał. – Nie powiesz mi, żeś studiował hebrajski!

Li odrzekł:

– Zaraz panu powiem. Ale to dosyć długa historia. Pozwolicie panowie, kropelkę *ng-ka-pi*?

– Tej wódki, co pachnie dobrymi zgniłymi jabłkami?

– Tak. Lepiej mi się po niej mówi.

– Może i mnie będzie się lepiej słuchało – odrzekł Samuel.

Kiedy Li wyszedł do kuchni, Samuel zapytał:

– Adamie, czyś ty o tym wiedział?

– Nie – odparł Adam. – Nic mi nie mówił. A może nie słuchałem.

Li wrócił z kamionkową flaszką i trzema maleńkimi czarkami z porcelany tak cienkiej i delikatnej, że prześwitywało przez nią światło.

– Pici na chinsycka moda – powiedział i nalał prawie czarnego likworu. – W tym jest dużo piołunu. Niezły trunek. Jeżeli się sporo wypije, daje mniej więcej ten sam efekt co absynt.

Samuel pociągnął łyk.

– Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego tamto tak cię zainteresowało – rzekł.

– Ano, wydawało mi się, że człowiek, który potrafi stworzyć tak wspaniałą historię, musiał dokładnie uświadamiać sobie, co chce powiedzieć, i że nie może być niejasności w jego słowach.

– Mówisz "człowiek". Więc nie uważasz, że to jest księga boska, wypisana atramentowym palcem Boga?

– Uważam, że umysł, w którym mogła się zrodzić ta historia, był przedziwnie boskim umysłem. W Chinach mieliśmy kilka takich.

– Ja tylko chciałem wiedzieć – rzekł Samuel. – Jednak nie jesteś prezbiterianinem, mimo wszystko.

– Mówiłem panu, że robię się coraz bardziej chiński. No, ale wracając do rzeczy, pojechałem do San Francisco i tam odwiedziłem siedzibę naszego rodzowego związku. Słyszeliście panowie o czymś takim? Większe rodziny chińskie mają ośrodki,

w których każdy ich członek może otrzymać pomoc albo jej udzielić. Rodzina Li jest bardzo liczna. Opiekuje się wszystkimi swoimi.

– Słyszałem o tym – powiedział Samuel.

– To znaczy, że chinsycki człowiek z topolkiem lobi wojna Tong⁶ o niewolnica dziewczyna?

– Coś w tym rodzaju.

– W rzeczywistości to wygląda trochę inaczej – ciągnął Li. – Poszedłem tam, ponieważ w naszym rodzie jest sporo czcigodnych starców, którzy są wielkimi uczonymi. Mówiąc ściśle, są to myśliciele. Człowiek może spędzić wiele lat na rozmyślaniach o jednym zdaniu mędrca, którego wy nazywacie Konfucjuszem. Przypuszczałem, że znajdą się tam ludzie biegli w znaczeniu słów, którzy potrafią mnie oświecić.

To są wspaniali starcy. Wypalają po południu swoje dwie fajki opium i to im daje wytchnienie i wyostrza umysł, a potem siedzą przez całą noc i mózgi im pracują cudownie. Wydaje mi się, że chyba nikt inny nie potrafi tak dobrze używać opium.

Li zwilżył sobie język czarnym trunkiem.

– Przedstawiłem pokornie swój problem jednemu z owych mędrców, odczytałem mu tę opowieść i powiedziałem, com z niej zrozumiał. Następnego wieczora zeszło się ich czterech i wezwali mnie do siebie. Dyskutowaliśmy na ten temat przez całą noc.

Li roześmiał się.

– To zabawne – ciągnął. – Z pewnością nie miałbym odwagi opowiedzieć o tym wielu ludziom. Czy panowie możecie wyobrazić sobie czterech czcigodnych starców, z których najmłodszy przekroczył już dziewięćdziesiątkę, rozpoczynających naukę hebrajskiego? Zaangażowali sobie uczonego rabina. Zabrali się do nauki, jak gdyby byli dziećmi. Podręczniki z ćwiczeniami, gramatyka, słówka, proste zdania. Trzeba panom było widzieć hebrajskie wyrazy kaligrafowane pędzelkiem zanurzonym w chińskim tuszu! Pisanie od prawej do lewej nie sprawiało im tyle kłopotu co wam, ponieważ my piszemy pionowo, z góry na dół. O, to byli miłośnicy doskonałości! Docierali do samego jądra sprawy.

– A ty? – zapytał Samuel.

⁶ Tong – w Stanach Zjednoczonych tajny związek przestępców i najemnych zbirów chińskich, zwanych także highbinders albo hatchet men (ludzie z toporami) (przyp. tłum.).

– Ja podążałem za nimi, podziwiając piękno ich dumnych, czystych umysłów. Uczułem miłość do swojej rasy i po raz pierwszy cieszyłem się, że jestem Chińczykiem. Co dwa tygodnie jeździłem spotkać się z nimi, a tutaj, w moim pokoju, zapisywałem całe stronicę. Kupiłem wszystkie znane słowniki hebrajskie. Jednakże ci starzy panowie ciągle mnie wyprzedzali. Niebawem wyprzedzili i tego naszego rabina, sprowadził więc sobie kolegę. Panie Hamilton, trzeba panu było spędzić którąś z tych nocy na dyskusjach i sporach. Te pytania, ta wnikliwość i, och, to piękne rozumowanie, cudowne rozumowanie!

Po dwóch latach uznaliśmy, że możemy już przystąpić do pańskich szesnastu wersetów z czwartego rozdziału Genesis. Moi starzy panowie też uważali, że tamte słowa są bardzo doniosłe: “będziesz” czy “masz”. A oto skarb, do którego się dokopaliśmy: “Możesz”. “Możesz panować nad grzechem”. Starzy panowie uśmiechnęli się, pokiwali głowami i poczuli, że dobrze spędzili te lata. Poza tym to wyłuskało ich z chińskiej skorupy i teraz studiują grekę.

Samuel powiedział:

– To niewiarygodna historia. Starąłem się ją śledzić, ale może coś mi się wymknęło. Dlaczego to słowo jest takie ważne?

Ręka Li drżała, kiedy napełniał delikatne czareczki. Wychylił swoją jednym haustem.

– Czyż pan nie rozumie?! – zawołał. – Amerykańskie tłumaczenie nakazuje ludziom tryumfować nad grzechem, a grzech można nazwać niewiedzą. Przekład króla Jakuba daje obietnicę w słowie “będziesz”, co oznacza, że ludzie z całą pewnością nad grzechem zatryumfują. Natomiast słowo hebrajskie, wyraz timszel – “możesz” – daje prawo wyboru. Kto wie, czy to nie najważniejsze słowo na świecie. Mówi ono, że droga jest otwarta. Przenosi odpowiedzialność na człowieka. Bo jeśli “możesz”, to znaczy również, że “możesz nie”. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem. Rozumiem. Ale ty przecież nie wierzysz, że to jest boski zakon. Dlaczego więc przywiązujesz do tego taką wagę?

– A! – zawołał Li. – To właśnie od dłuższego czasu chciałem panu powiedzieć. Przewidywałem nawet pańskie pytanie i jestem dobrze przygotowany. Każde dzieło pisane, które wywarło wpływ na myślenie i życie nieprzeliczonych rzesz ludzkich, jest ważne. Otóż istnieją miliony ludzi zjednoczonych w różnych sektach i kościołach, którzy wyczuwają to jak rozkaz – “masz” – i cały wysiłek skupiają na posłuszeństwie. I są także inne miliony, które czują przeznaczenie w słowie “będziesz”. Żaden ich czyn

nie może zmienić tego, co się stanie. Ale "możesz"? Przecież to daje człowiekowi wielkość, czyni go równym bogom, bo w swojej słabości i brudzie, w morderstwie własnego brata ma zawsze to wielkie prawo wyboru. Może wybrać sobie własną drogę, stanąć do walki i zwyciężyć!

W głosie Li brzmiała pieśń tryumfalna. Adam odezwał się:

– Ty w to wierzysz, Li?

– Tak, wierzę. Wierzę. Łatwo jest przez lenistwo, przez własną słabość rzucić się w objęcia bóstwa, mówiąc: "Nie miałem rady – droga była już wytyczona". Ale pomyślcie o chwale wyboru! To czyni człowieka człowiekiem. Kot nie ma wyboru, pszczoła musi robić miód. Nie ma w tym nic boskiego. A wiecie, panowie, że tamci starcy, którzy osuwali się już łagodnie w śmierć, teraz są zbyt zaciekawieni, żeby umrzeć.

Adam zapytał:

– Czyżbyś chciał powiedzieć, że ci Chińczycy wierzą w Stary Testament?

– Ci starcy wierzą w historię prawdziwą – odrzekł Li – i umieją się na niej poznać. Są krytykami prawdy. Wiedzą, że te szesnaście wersetów to dzieje rodzaju ludzkiego ze wszystkich epok, kultur i ras. Nie wierzą, żeby ktoś mógł napisać piętnaście i trzy czwarte wersetu prawd i skłamać jednym czasownikiem. Konfucjusz poucza ludzi, jak mają żyć, aby mieć dobre i udane życie. Ale to... to jest drabina, po której można wspiąć się do gwiazd. – Oczy Li błyszczały. – Tego nigdy niepodobna zagubić. To podcina słabość, tchórzostwo i gnuśność.

Adam powiedział:

– Nie pojmuję, jak mogłeś gotować, wychowywać chłopców, opiekować się mną i jeszcze mieć czas na to wszystko.

– Ja też tego nie pojmuję – odparł Li. – Ale każdego popołudnia wypalam swoje dwie fajki, ani mniej, ani więcej – tak jak ci starzy. I czuję, że jestem człowiekiem. Czuję, że człowiek to coś bardzo ważnego – może ważniejszego niż gwiazda. To nie jest teologia. Nie mam słabości do bogów. Ale mam w sobie nową miłość do tego olśniewającego narzędzia – duszy ludzkiej. To rzecz cudowna i jedyna we wszechświecie. Ciągłe atakowana, a nigdy nie podlegająca zniszczeniu – dlatego właśnie, że "możesz".

Li i Adam poszli z Samuelem do stajni, aby pożegnać go przy odjeździe. Li niósł blaszaną latarnię, żeby oświetlać drogę, była to bowiem jedna z tych pogodnych zimowych nocy, kiedy niebo jest tak oszalałe od gwiazd, że ziemia wydaje się dwakroć ciemniejsza.

Na wzgórzach leżała cisza. Nie grasowało nigdzie żadne zwierzę, ani trawożerne, ani drapieżne, a w powietrzu był taki spokój, że ciemne konary i liście dębów rysowały się nieruchomo na tle Mlecznej Drogi. Trzej mężczyźni milczeli. Ucho blaszanej latarni skrzypiało lekko, gdy światło chybotąło się w rękę Li.

Adam zapytał:

– Kiedy spodziewasz się wrócić z podróży?

Samuel nie odpowiedział.

Doksologia czekała cierpliwie w boksie, stojąc ze spuszczonej łbem i wpatrując się mętными oczami w podściółkę ze słomy.

– Już od wieków masz tego konia – powiedział Adam.

– Ma trzydzieści trzy lata – odrzekł Samuel. – Zęby jej się całkiem starły. Muszę ją karmić z ręki podgrzewaną mieszanką. Poza tym ma złe sny. Czasem się wzdryga i kwiczy przez sen.

– To chyba najszpetniejszy strach na wróble, jakiego w życiu widziałem – oświadczył Adam.

– Wiem o tym. Pewnie dlatego ją wziąłem, kiedy jeszcze była źróbką. Czy wiesz, że trzydzieści trzy lata temu zapłaciłem za nią dwa dolary? Wszystko miała fatalne: kopyta jak naleśniki, a pęciny tak grube, krótkie i proste, jakby w nich w ogóle nie było stawów. Łeb ma klinowy, grzbiet łęgowaty, pierś płaską, a zad przebudowany. Jest twarda w pysku i ciągle jeszcze nie daje sobie zakładać podogonia. W siodle człowiek czuje się na niej tak, jak gdyby jechał saniami po kamieniach. Nie umie iść klusem, a w stępie potyka się o własne kopyta. Przez całe trzydzieści trzy lata nie doszukałem się w niej nic dobrego. Ma nawet paskudne usposobienie. Jest samolubna i zadzierzysta, złośliwa i nieposłuszna. Po dziś dzień nie mam odwagi przejść za nią z tyłu, bo mnie na pewno kopnie. Kiedy ją karmię mieszanką, próbuje ugryźć mnie w rękę. A jednak ją kocham.

– I nazwał ją pan "Doksologia" – powiedział Li.

– No, pewnie – odparł Samuel. – Bo takie niewydarzone stworzenie zasługiwało, moim zdaniem, na to, żeby mieć przynajmniej jedną rzecz wspaniałą. Już jej niedługo na tym świecie.

Adam powiedział:

– A może powinienes uwolnić ją od tej niedoli?

– Jakiej niedoli? – zapytał Samuel. – To jest jedna z nielicznych szczęśliwych i zrównoważonych istot, jakie znam.

– Przecież musi mieć swoje cierpienia i dolegliwości.

– Ona tak nie uważa. Doksologia ma w dalszym ciągu przeświadczenie, że jest przepyszny koniem. Czy ty byś ją zastrzelił, Adamie?

– Tak, chyba bym zastrzelił. Tak. Na pewno.

– I wziąłbyś na siebie tę odpowiedzialność?

– Myślę, że tak. Przecież ona ma już trzydzieści trzy lata. Zwykły okres życia już dawno dla niej minął.

Li postawił latarnię na ziemi. Samuel przykucnął obok i instynktownie szukając ciepła wyciągnął dłoń ku motylowi żółtego światła.

– Jedno mnie korci, Adamie – powiedział.

– Co takiego?

– Czy ty byś naprawdę zastrzelił mojego konia dlatego, że śmierć może być dogodniejsza?

– Chciałem tylko powiedzieć...

Samuel zapytał szybko:

– Czy jesteś zadowolony ze swojego życia, Adamie?

– Oczywiście, że nie.

– A gdybym miał lekarstwo, które mogłoby cię wyleczyć, ale także i zabić, czy powinienem bym ci je dać? Wejrzyj w siebie, człowieku.

– Jakie lekarstwo?

– Nie – odparł Samuel. – Uwierz mi na słowo, że to może cię zabić, jeżeli ci powiem.

Li odezwał się:

– Ostrożnie, panie Hamilton. Ostrożnie.

– Co to znaczy? – zapytał Adam. – Powiedz mi, o co ci idzie.

Samuel rzekł cicho:

– Myślę, że ten jeden raz nie będę ostrożny. Li, jeżeli popełniłem błąd... posłuchaj... jeżeli się mylę, to biorę na siebie odpowiedzialność i przyjmę całą winę.

– Czy pan jest pewien, że pan dobrze robi? – zapytał niespokojnie Li.

– Jasne, że nie jestem pewien. Adamie, chcesz to lekarstwo?

– Tak. Nie wiem, co to takiego, ale mi je daj.

– Adamie, Cathy jest w Salinas. Prowadzi tam burdel, najwzszeteczniejszy i najbardziej wyuzdany w całej tej części kraju. Wszystko, co złe i szpetne, wykoślawione i ohydne, najgorsze rzeczy, jakie może wymyślić człowiek, są u niej na sprzedaż. Kaleki i pokraki przychodzą tam po rozkosz. Ale jest jeszcze coś gorszego. Cathy, która teraz nazywa się Kate, ściąga tych, co są młodzi, niewinni i piękni, i tak ich okalecza, że nigdy więcej nie mogą przyjść do siebie. Oto masz swoje lekarstwo. Zobaczmy, jak na ciebie podziała.

– Jesteś kłamca! – krzyknął Adam.

– Nie, Adamie. Można mi zarzucić wiele rzeczy, ale kłamcą nie jestem.

Adam obrócił się gwałtownie do Li.

– Czy to prawda?

– Nie mogę być odtrutką – odparł Li. – Tak, to prawda.

Adam chwiejąc się stał chwilę w świetle latarni, po czym zawrócił i pobiegł przed siebie. Słyszeli jego ciężkie, szybkie, potykające się kroki. Usłyszeli, jak przekotłował się przez jakiś krzak, a potem wspinał się i wdzierał na zbocze. Wszelkie odgłosy umilkły, dopiero kiedy znalazł się po drugiej stronie wzgórza. Li powiedział:

– Pańskie lekarstwo działa jak trucizna.

– Biorę na siebie odpowiedzialność – rzekł Samuel. – Dawno temu nauczyłem się, co następuje: jeżeli pies zezre strychninę i już ma zdechnąć, trzeba wziąć siekiere i zanieść go na pień. Potem powinno się zaczekać na następny skurcz i w tejże chwili odrąbać psu ogon. I wówczas, jeżeli trucizna nie rozeszła się zanedo, pies może wyzdrowieć. Szok bólu czasem przeciwdziała truciznie. Bez tego szoku pies z całą pewnością zdechnie.

– Ale skąd pan wie, że tu jest to samo? – zapytał Li.

– Wcale nie wiem. Natomiast bez tego on umrze na pewno.

– Odważny z pana człowiek – powiedział Li.

– Nie, tylko stary. Gdyby coś miało ciążyć mi na sumieniu, to i tak nie trwałoby długo.

– Jak pan myśli, co on zrobi? – zapytał Li.

– Nie wiem – odparł Samuel – ale w każdym razie nie będzie wciąż siedział i gryzł się. Potrzyмай mi latarnię, dobrze?

W żółtym świetle Samuel wsunął wędzidło w pysk Doksologii – wędzidło tak już stare, że było ledwie płatkami stali. Rzemienie ganaszowe dawno zostały porzucone. Stara uparciucha mogła włóczyć nosem po ziemi, jeżeli miała ochotę, albo przystanąć i szczypać trawę przy drodze. Samuelowi było to obojętne. Delikatnie założył podogonie, a klacz okręciła się bokiem, usiłując go kopnąć.

Kiedy znalazła się już między dyszlami bryczki, Li zapytał:

– Nie miałby pan nic przeciwko temu, gdybym podjechał z panem kawalek? Wrócę piechotą.

– Proszę bardzo – odrzekł Samuel i udał, iż nie zauważył, że Li podsadza go na bryczkę.

Było bardzo ciemno i Doks manifestowała swoją odrazę do nocnych podróży, potykając się co kilka kroków. Samuel odezwał się:

– No, słucham, Li. Co chcesz mi powiedzieć?

Li nie pokazał po sobie zdziwienia.

– Możliwe, że jestem wścibski, jak to pan mówi o sobie. Lubię się zastanawiać. Przewiduję różne możliwości, ale dziś pan mnie całkowicie zaskoczył. Poszedłbym o każdy zakład, że ze wszystkich ludzi właśnie pan nie powie o tym Adamowi.

– A tyś o niej wiedział?

– Oczywiście – odrzekł Li.

– Chłopcy też wiedzą?

– Nie przypuszczam, ale to tylko kwestia czasu. Pan wie, jakie okrutne są dzieci. Kiedyś zaczną im to wykrzykiwać na szkolnym dziedzińcu.

– Może Adam powinien ich stąd zabrać – powiedział Samuel. – Pomyśl o tym, Li.

– Moje pytanie wciąż pozostaje bez odpowiedzi, proszę pana. Jak pan mógł to zrobić?

– Uważasz, że postąpiłem aż tak źle?

– Nie, wcale nie o to mi idzie. Ale nigdy nie miałem pana za kogoś, kto zajmuje twarde, nieustępliwe stanowisko w jakiegokolwiek sprawie. Taka była moja ocena. Czy to pana interesuje?

– Pokaż mi człowieka, który nie interesowałby się dyskusją o sobie samym – odparł Samuel. – Mów dalej.

– Pan jest dobrym człowiekiem, panie Hamilton. I zawsze uważałem, że u pana ta dobroć pochodzi z niechęci do sprawiania innym przykrości. Umysł pański jest łagodny jak młode jagnię baraszkujące na łanie stokrotek. O ile mi wiadomo, nigdy pan nie wczepiał się w nic jak buldog. A oto dziś zrobił pan rzecz, która rozdarła mi cały pana obraz.

Samuel okręcił lejce na kiju wetkniętym w tulejkę do bata, a Doksologia szła dalej, potykając się na wyboistej drodze. Poglądził brodę, która jaśniała bielą w świetle gwiazd. Zdjął czarny kapelusz i położył go sobie na kolanach.

– Zdaje mi się, że byłem tym równie zaskoczony jak ty – powiedział. – Ale jeśli chcesz poznać przyczynę, zajrzyj w samego siebie.

– Nie rozumiem pana.

– Gdybyś mi był wcześniej powiedział o tych swoich dociekaniach, mogłoby to wiele zmienić.

– W dalszym ciągu nie rozumiem.

– Uważaj, Li, bo mnie wciągniesz w gadanie. Mówiłem ci, że moja irlandzkość czasem wypływa i znika. W tej chwili nadchodzi.

Li powiedział:

– Panie Hamilton, pan wyjeżdża, aby więcej nie wrócić. Nie ma pan zamiaru żyć wiele dłużej.

– To prawda, Li. Skąd wiesz?

– Wokoło pana jest śmierć. Ona z pana promieniuje.

– Nie wiedziałem, że ktoś to może zauważyć – odrzekł Samuel. – Wiesz co, Li, ja myślę o swoim życiu jak o jakiejś muzyce, nie zawsze dobrej muzyce, ale jednak mającej swoją formę i melodię. Otóż moje życie już od dawna nie jest pełną orkiestrą. Jedna tylko nuta – a ta nuta to niezmienny smutek. Nie jestem osamotniony w tej mojej postawie, Li. Wydaje mi się, że aż za wielu z nas widzi życie jako coś, co kończy się klęską.

– Może dlatego, że wszyscy są za bogaci. Zauważyłem, że nie ma niezadowolenia równego temu, które odczuwają bogacze. Wystarczy nakarmić człowieka, odziać go i ulokować w dobrym domu, a umrze z rozpacz.

– Wszystko to sprawiło twoje nowe tłumaczenie, Li – to “możesz”. Chwyciło mnie za gardło i potrząsnęło. A kiedy przeszło oszołomienie, otworzyła się ścieżka – nowa i jasna. Moje życie, które dobiega kresu, zdaje się teraz zmierzać do cudownego

zakończenia. A muzyka moja brzmi nową, ostatnią melodią, podobną do śpiewu ptaków wśród nocy.

Li wpatrywał się w niego poprzez ciemność.

– To samo odczuli ci starcy z mojej rodziny.

– “Możesz panować nad grzechem”, Li. Otóż to. Nie wierzę, żeby wszyscy ludzie podlegali unicestwieniu. Mogę wymienić tuzin takich, co się ostali, a to są ci, którymi żyje świat. Dotyczy to w równej mierze spraw ducha, jak bitew – pamięta się jedynie zwycięzców. Rzecz jasna, większość znika bez śladu, ale istnieją tacy, którzy jak słupy ogniste są drogowskazami dla przerażonych ludzi wśród mroku. “Możesz! Możesz!” Cóż to za chwała! Prawda, żeśmy słabi, mdli i swarliwi, ale gdybyśmy byli tylko tacy, zniknęlibyśmy z powierzchni ziemi już przed tysiącletkami. Kilka kawałków skamieniałych kości szczękowych, jakieś połamane zęby w warstwicach wapienia byłyby jedynym śladem istnienia człowieka na świecie. Natomiast to prawo wyboru, Li, wyboru zwycięstwa! Nigdy dotąd nie rozumiałem czy nie uświadamiałem sobie tego. Teraz już wiesz, dlaczego dziś powiedziałem Adamowi? Dokonałem wyboru. Może popełniłem błąd, ale mówiąc mu zmusiłem go jednocześnie, żeby albo żył, albo się poddał. Jakie jest to słowo, Li?

– Timszel – odpowiedział Li. – Może pan zatrzymać bryczkę?

– Będziesz miał kawał drogi z powrotem.

Li wysiadł.

– Samuelu! – zawołał.

– Oto jestem – zachichotał starzec. – Liza nie cierpi, kiedy tak mówię.

– Samuelu, wyprzedziłeś mnie.

– Pora już, Li.

– Do widzenia, Samuelu – powiedział Li i spiesznie ruszył z powrotem. Słyszał żelazne obręcze bryczki chrzęszczące na drodze. Obrócił się, popatrzył w tę stronę i na zboczu, na tle nieba, ujrzał starego Samuela, którego białe włosy jaśniały w świetle gwiazd.

ROZDZIAŁ XXV

1

Ta zima w dolinie Salinas była dżdżysta, wilgotna i wspaniała. Deszcze padały łagodnie, wsiąkały w ziemię i nie tworzyły zalewów. Pastwiska zazieleniły się bujnie już w styczniu, w lutym zaś wzgórza ociekały od traw, a bydło miało skórę napiętą i lśniąca. W marcu nadal trwały łagodne deszcze, a każda burza czekała uprzejmie, póki jej poprzedniczka nie wsiąkła w glebę. Następnie ciepło zalało dolinę i ziemia wybuchła kwitnieniem – żółto, błękitnie i złoto.

Tom siedział samotnie na ranczo i nawet ta kupa piachu była teraz bogata i piękna; krzemienie pochowały się w zielsku, krowy Hamiltonów upasły się, a owce obnosiły żdźbła trawy na wilgotnych grzbietach.

W południe piętnastego marca Tom siedział na ławie przed kuźnią. Słoneczny ranek już się zakończył i nad górami napływały od oceanu szare, brzemienne w wodę chmury, a cienie ich sunęły dołem po jasnej ziemi.

Tom usłyszał tętent kopyt końskich i zobaczył małego chłopca, który robiąc łokciami popędza ku domowi zmęczonego wierzchowca. Wstał i wyszedł na drogę. Chłopak przygalopował przed dom, zerwał czapkę z głowy, cisnął na ziemię żółtą kopertę, zatoczył koniem i pocałował z powrotem.

Tom zaczął go nawoływać, ale po chwili schylił się z ciężkim sercem i podniósł z ziemi telegram. Usiadł w słońcu na ławie przed kuźnią, trzymając go w ręku. Popatrzył na wzgórza i na stary dom, jak gdyby chcąc sobie czegoś oszczędzić, zanim rozdarł kopertę i odczytał trzy nieuchronne słowa: osobę, zdarzenie i datę.

Powoli złożył telegram, potem jeszcze raz, drugi i trzeci, aż papier przemienił się w kwadracik nie większy od paznokcia. Wszedł do domu, minął kuchnię, małą bawialnię i znalazł się w sypialni. Wyjął ze skrzyni swój czarny garnitur, powiesił go na oparciu krzesła, na siedzeniu zaś naszykował białą koszulę i czarny krawat. A potem położył się na łóżku i obrócił twarzą do ściany.

Powozy i bryczki odjechały z cmentarza w Salinas. Rodzina i przyjaciele wrócili do domu Oliwii przy Alei Centralnej, ażeby tam coś zjeść, napić się kawy, sprawdzić nawzajem swoje reakcje oraz mówić i robić to, co wypada w takich razach.

Jerzy zaproponował Adamowi Traskowi, że go podwiezie wynajętym powozem, ale Adam odmówił. Powędrował dookoła cmentarza i przysiadł na cementowym obramowaniu rodzinnej kwatery Williamsów. Tradycyjne ciemne cyprysy płakały wokół skrajów cmentarza, a białe fiołki pieniały się bujnie na ścieżkach. Ktoś je tu kiedyś zasadził i z czasem przemieniły się w chwasty.

Zimny wiatr miótł po nagrobkach i zawodził w konarach cyprysów. Wiele tu było żeliwnych gwiazd znaczących groby żołnierzy Wielkiej Armii, a na każdej z nich mała, potargana przez wiatr chorągiewka z zeszłorocznego Dnia Poległych.

Adam siedział wpatrzony we wznoszące się na wschód od Salinas góry, nad którymi dominował szczyt Fremontu. Powietrze było krystaliczne, jak to czasami przed deszczem. Po chwili wiatr począł zacinać drobnym dżdżem, choć niebo jeszcze się nie zasnęło chmurami.

Adam przyjechał porannym pociągiem. Właściwie nie zamierzał przyjeżdżać, ale coś odeń silniejszego ściągnęło go tutaj. Po pierwsze, nie mógł uwierzyć, że Samuel nie żyje. Jeszcze miał w uszach jego soczysty, liryczny głos, wznoszący się i opadający w swej cudzoziemskości, i przedziwną melodię osobliwie dobieranych słów, tak nieoczekiwanych, że nigdy się nie wiedziało, jakie będzie następne. Słuchając mowy większości ludzi ma się absolutną pewność, jakie będzie następne słowo.

Adam przypatrzył się leżącemu w trumnie Samuelowi i poczuł, że się nie zgadza na jego śmierć. Ponieważ zaś owa twarz w trumnie nie przypominała twarzy Samuela, więc Adam odszedł, aby pozostać w samotności i zachować sobie tego człowieka przy życiu.

Musiał pojechać na cmentarz. W przeciwnym razie dopuściłby się obrazy obyczaju. Jednakże stanął z dala, tam gdzie nie mógł dosłyszeć słów, a kiedy synowie zasypali mogiłę, odszedł i ruszył przed siebie ścieżkami, na których rosły białe fiołki.

Cmentarz był opustoszały, a posępnie zawodzący wiatr przyginał ciężkie korony cyprysów. Kropelki deszczu stawały się coraz większe i zacinały kłująco w twarz.

Adam wstał, otrząsnął się i ruszył z wolna przed siebie po białych fiołkach, mijając świeżą mogiłę. Kopiec nowo wykopanej, wilgotnej ziemi przykryto równo kwiatami, ale wiatr już potargał wiązanki i rozrzucił mniejsze bukiety po ścieżce. Adam pozbierał je i ułożył z powrotem na kopcu.

Wyszedł z cmentarza. Wiatr i deszcz smagały go w plecy, ale nie zwracał uwagi na wilgoć, która przesiąkła przez czarny surdut. Droga była błotnista, w świeżych koleinach stały kałuże wody, wysoki dziki owies i gorczyca rosły po obu stronach, dzika rzepa przebojem torowała sobie drogę do góry, a kolczaste kuleczki karmazynowego ostu sterczały ponad tym zielonym rozpasaniem wilgotnej wiosny.

Czarne, gliniaste błoto oblepiło buty Adama i obryzgało nogawki jego ciemnych spodni. Do traktu idącego w stronę Monterey była blisko mila. Adam dobrnął do niego uwalany i przemoczony i skręcił w kierunku wschodnim, do Salinas. Woda stała na podwiniętym rondzie jego melonika, kołnierzyk miał mokry i zmiętoszony.

Przy ulicy Jana droga skręcała i przechodziła w ulicę Główną. Adam dotarłszy do chodnika tupnął parę razy, aby otrząsnąć błoto z butów. Budynki zasłoniły go teraz od wiatru i prawie natychmiast zaczął się trząść z zimna. Przyspieszył kroku. Przy końcu ulicy Głównej wszedł do baru hotelu "Abbot House". Zamówił koniak i wypił go szybko, ale dreszcze wzmagaly się ciągle.

Zauważył to stojący za bufetem pan Lapierre.

– Niech pan łyknie jeszcze jednego – powiedział. – Złapie pan paskudne przeziębienie. A może tak gorącego rumu? On to z pana wybije.

– I owszem, chętnie – odrzekł Adam.

– O, proszę. Teraz pan sobie jeszcze pociągnie koniaku, a ja przez ten czas pójdę po gorącą wodę.

Adam zabrał kieliszek do stolika i usiadł, czując się nieprzyjemnie w przemoczonym ubraniu. Pan Lapierre przyniósł z kuchni dymiący kociołek. Postawił pękaty kufel na tacce i podszedł do stolika.

– Niech pan to wypije takie gorące, jak pan tylko wytrzyma – rzekł. – To wytrząśnie dreszcze nawet z osiki. – Przysunął sobie krzesło, usiadł, ale zaraz wstał. – Mnie też pan zaraził tym zimnem – powiedział. – Sam także łyknę trochę. – Przyniósł szklankę dla siebie i usiadł naprzeciw Adama. – Już działa – zauważył. – Jak pan wszedł, był pan taki blady, że aż się przestraszyłem. Pan nietutejszy?

– Jestem spod King City – odparł Adam.

– Przyjechał pan na pogrzeb?

– Tak... to był mój stary przyjaciel.

– A pogrzeb wypadł okazale?

– I owszem.

– Nie dziwię się. On miał masę przyjaciół. Szkoda, że dzień nie był pogodny.

Powinien pan wypić jeszcze jednego i położyć się do łóżka.

– Tak zrobię – rzekł Adam. – To mnie jakoś rozgrzewa i uspokaja.

– Ten trunek jest coś wart. Kto wie, czy pana nie uratował od zapalenia płuc.

Podawszy Adamowi jeszcze jedną porcję ponczu wyciągnął zza bufetu wilgotną ścierkę.

– Może pan sobie trochę obetrze to błoto – powiedział. – Pogrzeb to niewesoła sprawa, ale jak jeszcze leje, robi się naprawdę coś ponurego.

– Zaczęło padać dopiero później – odrzekł Adam. – Przemokłem wracając z cmentarza.

– Czemu pan sobie nie weźmie tutaj przyzwoitego pokoju? Położy się pan do łóżka, ja przyślę na górę gorący poncz i rano będzie pan zdrow.

– Chyba tak zrobię – powiedział Adam. Czuł krew piekącą go w policzki i krążącą w wam w ramionach, jak gdyby była jakąś obcą, rozgrzaną cieczą, która przeniknęła w jego ciało. A potem to ciepło wtopiło się w zimną, utajoną skrytkę, gdzie przechowywał zakazane myśli, i owe myśli wypłynęły nieśmiało na wierzch, niby dzieci, które nie wiedzą, czy zostaną dobrze przyjęte. Adam wziął wilgotną ścierkę i pochylał się, żeby obetrzeć brzegi nogawek. Krew pulsowała mu pod czaszką.

– Chyba poproszę o jeszcze jeden poncz – powiedział.

Pan Lapierre odparł:

– Jeżeli to ma być na przeziębienie, to wypił pan już dosyć. Ale jeżeli pan chce po prostu popić, to mam stary rum z Jamajki. Radzę go wypić bez niczego. Ma już pięćdziesiąt lat. Woda zabiłaby jego bukiet.

– Chcę się po prostu napić – rzekł Adam.

– Ja także sobie gołnę z panem. Już od miesiący nie otwierałem tego gąsiorka. Nie ma na to wielkiego popytu. W tym mieście piją tylko whisky.

Adam otarł trzewiki i rzucił ścierkę na podłogę. Pociągnął łyk ciemnego rumu i rozkaszał się. Tęgi trunek owionął mu głowę swym słodkim aromatem i uderzył w nozdrza niczym cios pięści. Pokój jakby przechylił się w bok, a potem wyprostował.

– Dobrze, co? – zapytał pan Lapierre. – Ale może człowieka zwalić z nóg. Ja bym nie pił więcej jak jeden kieliszek, chyba że pan właśnie chce, żeby pana z nóg zważyło. Niektórzy to lubią.

Adam oparł się łokciami o stół. Czuł w sobie wzbierającą gadatliwość i przestraszył się tego. Własny głos zabrzmiał mu obco w uszach, a słowa go zdumiały.

– Ja tutaj rzadko bywam – powiedział. – Zna pan taki lokal, który nazywa się “U Kate”?

– O Jezu! Widać ten rum jest lepszy, niż myślałem – powiedział pan Lapierre i dodał surowo: – Pan mieszka na ranczo?

– Tak. Mam folwark pod King City. Nazywam się Trask.

– Bardzo mi przyjemnie. Pan żonaty?

– Nie. Już nie.

– Wdowiec?

– Tak.

– Niech pan idzie do Jenny. Lepiej dać spokój z Kate. To nie dla pana. Jenny jest zaraz obok. Tam pan dostanie wszystko, co potrzeba.

– Zaraz obok?

– A jakże; trzeba minąć jedną przecznicę i potem skręcić w prawo. Każdy panu powie, gdzie to jest.

Adamowi zaczął plątać się język.

– A cóż to brakuje tej Kate?

– Niech pan idzie do Jenny – powiedział pan Lapierre.

3

Wieczór był obrzydliwy i wietrzny. Ulica Castroville tonęła w lepkim błocie, a chińską dzielnicę tak zalało, że mieszkańcy musieli poprzerzucać deski przez wąską uliczkę, która dzieliła ich domki. Chmury ciągnące po wieczornym niebie miały jakąś szczurzą szarość, a powietrze było już nie wilgotne, lecz zgniłe. Wydaje mi się, iż różnica polega na tym, że wilgoć osiada, natomiast zgnilizna unosi się w górę wskutek butwienia i fermentacji. Popołudniowy wiatr ucichł i powietrze stało się przykre i niezdrowe. Było dostatecznie zimno, by rozproszyć się opary rumu w głowie Adama, nie przywracając mu jednak roztropności. Szedł szybkim krokiem po nie brukowanym

chodniku, wpatrując się w ziemię, ażeby omijać kałuże. Ulica była wątko oświetlona ostrzegawczą latarnią umieszczoną tam, gdzie przecinały jezdnię tory kolejowe, oraz małą samotną kulą szklaną z żarzącym się w środku włóknem węglowym, która płonęła na ganku domu Jenny.

Adam pamiętał otrzymane wskazówki. Naliczył dwa domy i omal nie przeoczył trzeciego, tak wysokie i wybijające były ciemne krzaki, które rosły przed frontem. Popatrzył przez furtkę na nie oświetlony ganek, otworzył ją z wolna i ruszył zarośniętą chwastami ścieżką. W półmroku widział zapadnięty, zmurszały ganek i rozklekotane schodki.

Farba już dawno pozłaziła z desek ścian, a ogrodu nikt nigdy nie porządkował. Gdyby nie żyłka światła wokół krawędzi spuszczonej żaluzji, Adam przeszedłby dalej, sądząc, że dom jest nie zamieszkały. Stopnie zdawały się uginać pod jego ciężarem, a deski ganku zatrzeszczały, gdy na nie stąpił.

Drzwi frontowe otworzyły się i dojrzał niewyraźnie jakąś postać trzymającą za klamkę. Rozległ się cichy głos:

– Może pan pozwoli do środka.

Salonik był oświetlony przyćmionym światłem niewielkich kulistych lamp z różowymi abażurkami. Adam czuł pod stopami puszysty dywan. Dojrzał połysk politurowanych mebli i złotych ram obrazów. Doznał natychmiast wrażenia bogactwa i porządku. Cichy głos powiedział:

– Powinien pan być włożyć płaszcz deszczowy. Czy pan jest naszym klientem?

– Nie – odrzekł Adam.

– Kto pana tu skierował?

– Ktoś z hotelu.

Adam przypatrzył się stojącej przed nim dziewczynie. Ubrana była na czarno, bez żadnych ozdób. Twarz miała ostrą – ładną i ostrą. Popróbował uprzytomnić sobie, jakie zwierzę, jakiego nocnego grabieżcę mu przypomina. Musiało to być zwierzę drapieżne i skryte. Dziewczyna powiedziała:

– Jeżeli pan sobie życzy, podejdę bliżej do światła.

– Nie.

Roześmiała się.

– Proszę spocząć, o, tutaj. Przecież pan po coś przyszedł, prawda? Jeżeli pan mi powie, czego pan szuka, zawołam odpowiednią dziewczynę.

Jej niski głos miał w sobie jakąś precyzyjną, oschłą siłę. Dobierała słowa bez pośpiechu, tak jak dobiera się kwiaty w mieszanym ogrodzie.

Adam wydał się sobie wobec niej nieporadny. Wyrzucił szybko:

– Chcę zobaczyć się z Kate.

– Panna Kate jest w tej chwili zajęta. Czy spodziewa się pana?

– Nie.

– Bo, wie pan, ja też mogę się panem zająć.

– Chcę się zobaczyć z Kate.

– Czy mogę wiedzieć, w jakiej sprawie?

– Nie.

Głos dziewczyny przybrał ostrość klingi toczzonej na kamieniu.

– Nie może pan się z nią zobaczyć. Jest teraz zajęta. Jeżeli pan nie chce dziewczyny ani czego innego, to proszę wyjść.

– Może pani jej powie, że tu jestem.

– A czy ona pana zna?

– Nie wiem. – Poczul, że odwaga go opuszcza. Znowu przeniknął go dawny chłód. – Nie wiem. Ale może pani jej powie, że chciałby się z nią zobaczyć Adam Trask. Wtedy będzie wiedziała, czy się znamy, czy nie.

– Aha. Dobrze, powiem jej.

Podeszła cicho do drzwi po prawej i otworzyła je. Adam dosłyszał kilka stłumionych słów, po czym do pokoju zajrzał jakiś mężczyzna. Dziewczyna zostawiła drzwi otwarte, aby Adam wiedział, że nie jest sam. Po drugiej stronie pokoju inne drzwi zawieszono były ciężką, ciemną portierą. Dziewczyna rozchyliła jej sute fałdy i znikła. Adam usiadł na krześle. Kątem oka dostrzegł, że głowa mężczyzny ukazała się na chwilę i zaraz cofnęła.

Prywatny pokój Kate odznaczał się komfortem i funkcjonalnością. Niczym nie przypominał tego, w którym kiedyś mieszkała Faye. Ściany miał obite szafranowym jedwabiem, a zasłony trawiastego koloru. Wszędzie był jedwab: głębokie fotele kryte jedwabiem, lampy z jedwabnymi abażurami, w głębi szerokie łoże z olśniewająco białą atlasową kapą, na której piętrzyły się gigantyczne poduszki. Nie było tu żadnych obrazów na ścianach, żadnych fotografii ani osobistych drobiazgów. Na mahoniowym blacie toaletki obok łóżka nie stały flakony ani fiołki, a jego blask odbijał się w trzyczęściowym lustrze. Dywan był stary, puszysty, chińskiego wyrobu, z jaskrawozielonym smokiem na szafranowym tle. Jeden koniec pokoju stanowił

sypialnię, środek – salonik, a drugi koniec – gabinet; stały tam szafki do segregatorów sporządzone ze złotawego dębu, duża kasa ogniotrwała, czarna ze złotym napisem, i biurko z opuszczoną klapą, na nim podwójna lampa z zielonym kloszem, za biurkiem obrotowy fotel, obok zaś zwykle krzesło.

Kate siedziała w fotelu przy biurku. Była wciąż jeszcze ładna. Włosy znów miała blond, usta drobne, stanowcze, a wargi jak zawsze wygięte kącikami do góry. Sylwetka jej utraciła jednak dawną czystą linię. Ramiona zaokrągliły się, za to dłonie schudły i pokryły się zmarszczkami. Policzki miała pełne, a skórę na podbródku zwiotczałą. Piersi jej nadal były drobne, natomiast brzuch lekko uwypuklała podściółka tłuszczowa. Uda pozostały szczupłe, ale nogi i stopy pogrubiały tak, że ciało nad kostką wylewało się na buciki. A przez pończochy można było niewyraźnie dostrzec pasma elastycznego bandaża przeciwko żyłakom.

Mimo to była ładna i powabna. Naprawdę zestarzały jej się tylko ręce; skórę na wewnętrznej stronie dłoni i poduszczykach palców miała napiętą i błyszczącą, z wierzchu zaś pomarszczoną i nakrapianą brunatnymi plamkami. Ubrana była w surową czarną suknię z długimi rękawami, a jedyny kontrast stanowiły kaskady białych koronek pod szyją i u napięstków.

Czas dokonał swego dzieła niepostrzeżenie. Gdyby ktoś stale z nią przebywał, prawdopodobnie nie zauważyłby w ogóle żadnej zmiany. Policzki Kate nie miały zmarszczek, oczy były przenikliwe i bystre, nos delikatny, wargi wąskie i stanowcze. Blizna na czole stała się prawie niewidoczna; pokrywał ją puder dobrany kolorem do cery.

Kate przeglądała stos fotografii rozłożonych na biurku – wszystkich tej samej wielkości, zrobionych tym samym aparatem, jasnych od błysku magnezji. I jakkolwiek osoby były na każdej inne, przecie istniało ponure podobieństwo pozycji. Twarze kobiet nie były nigdzie zwrócone do obiektywu.

Kate poukładała zdjęcia w cztery stosiki i każdy włożyła do grubej kartonowej koperty. Kiedy zapukano do drzwi, wsunęła koperty do przedziałka biurka.

– Proszę. Wejdźże, Ewo. Już przyszedł?

Dziewczyna podeszła do biurka, zanim jej odpowiedziała. W silniejszym świetle można było dostrzec, że twarz ma napiętą, a oczy błyszczące.

– To jakiś inny, obcy. Mówi, że chce się z panią zobaczyć.

– Niemożliwe, Ewo. Przecież wiesz, kto dziś przychodzi.

– Powiedziałam mu, że pani nie może. Mówi, że zdaje się, panią zna.

– Co to za jeden?

– Taki szczupły drażgal, trochę zalany. Mówi, że nazywa się Adam Trask.

Jakkolwiek Kate nie drgnęła ani nie wydała żadnego głosu, Ewa wyczuła, że coś ją poraziło. Palce prawej dłoni Kate zacisnęły się z wolna, a lewa popęzła niby wychudły kot ku krawędzi biurka. Kate siedziała bez ruchu, jak gdyby powstrzymując oddech. Ewę nagle zaczęło trząść. Myśl jej pobiegła do przechowywanego w szufladzie komody pudełka, w którym leżała jej strzykawka. Kate odezwała się wreszcie:

– Siądź sobie tam, w dużym fotelu. Posiedź chwilę spokojnie. – A kiedy dziewczyna nie ruszała się z miejsca, Kate smagnęła ją jednym słowem: – Siadaj!

Ewa skuliła się i podeszła do fotela.

– Nie skub paznokci – rozkazała Kate.

Ręce Ewy rozłączyły się i zacisnęły na poręczach fotela.

Kate zapatrzyła się w zielony szklany klosz lampy biurkowej. Potem uczyniła ruch tak raptowny, że Ewa aż podskoczyła, a wargi jej zadrgały. Kate otworzyła szufladę i wyjęła złożony we czworo papierek.

– Masz! Idź do swojego pokoju i zapraw się. Tylko nie bierz wszystkiego na raz... Nie, nie mam do ciebie zaufania.

Postukała w papierową torebkę palcami i przedarła ją na dwoje; nim zagięła końce i wręczyła jedną połowę Ewie, ze środka wysypało się trochę białego proszku.

– Teraz się pospiesz! Jak zejdziesz na dół, powiedz Ralfowi, że ma stać w korytarzu na tyle blisko, żeby usłyszeć dzwonek, ale nie rozmowę. Pilnuj go, żeby mi się nie podkradał bliżej. Jeżeli usłyszysz dzwonek... nie, powiedz mu... albo nie; niech robi jak uważa. Po czym przyprowadź do mnie pana Adama Traska.

– Niczego pani nie będzie potrzebna, panno Kate?

Kate wpatrzyła się w nią, a Ewa odwróciła wzrok. Kate zawołała za nią:

– Drugą połowę możesz dostać, jak tylko on wyjdzie. A teraz spiesz się.

Kiedy drzwi się zamknęły, Kate wysunęła prawą szufladę biurka i wyjęła z niej rewolwer o krótkiej lufie. Otworzyła bębenek, sprawdziła naboje, zatrzasnęła go, położyła broń na biurku i przykryła arkuszem papieru. Zgasiła jedną z lamp i poprawiła się w fotelu. Splotła dłonie i oparła je przed sobą na biurku.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, powiedziała: – Wejść! – ledwie poruszywszy wargami.

Ewa miała oczy wilgotne i była już uspokojona.

– Jest ten pan – oznajmiła i zamknęła drzwi za Adamem.

Rozejrzał się szybko po pokoju, zanim spostrzegł Kate siedzącą bez ruchu za biurkiem. Wpatrzył się w nią, a potem z wolna podszedł bliżej.

Dłonie Kate rozplotły się, a prawa podsunęła ku arkuszowi papieru. Oczy, zimne i pozbawione wyrazu, utkwione były w jego oczach.

Adam zobaczył jej włosy, bliznę, wargi, pomarszczoną szyję, ramiona i ręce, i płaskie piersi. Odetchnął głęboko.

Ręka Kate drżała lekko.

– Czego chcesz?

Adam usiadł na krześle obok biurka. Chciało mu się krzyczeć z ulgi, ale odrzekł jedynie:

– Teraz już nic. Chciałem cię tylko zobaczyć. Samuel Hamilton powiedział mi, że tu jesteś.

Z chwilą gdy usiadł, drżenie jej ręki ustało.

– To przedtem nic nie słyszałeś?

– Nie – odrzekł. – Nie słyszałem. Z początku trochę po tym wariowałem, ale teraz już mi przeszło.

Kate odetchnęła, usta jej uśmiechnęły się, ukazując drobne zęby – kły długie, ostre i białe. Powiedziała:

– Przestraszyłeś mnie.

– Dlaczego?

– Ano, bo nie wiedziałam, co zrobisz.

– Ja też nie wiedziałem – odparł Adam i dalej wpatrywał się w nią, jak gdyby nie była żywa.

– Spodziewałam się ciebie przez długi czas, ale ponieważ nie przychodziłeś, więc jakoś o tobie zapomniałam.

– Ja ciebie nie zapomniałem – odpowiedział. – Ale teraz już mogę.

– Jak to?

Roześmiał się wesoło.

– No, to znaczy teraz, kiedy cię zobaczyłem. Wiesz, zdaje się, że właśnie Samuel twierdził, jakobym cię nigdy nie widział, i to jest prawda. Pamiętam twoją twarz, ale nie widziałem jej nigdy. Teraz ją mogę zapomnieć.

Wargi jej zacisnęły się i ściągnęły, a szeroko osadzone oczy zwęziły z okrucieństwa.

– Tak myślisz?

– Wiem na pewno.

Zmieniła ton.

– Może wcale nie będziesz musiał – powiedziała. – Jeżeli nie masz jakichś zastrzeżeń, moglibyśmy dojść do porozumienia.

– Nie sądzę – odrzekł Adam.

– Ty byłeś taki głuptas! – ciągnęła. – Zupełnie jak dziecko. Nie wiedziałeś, co trzeba z sobą robić. Teraz cię mogę nauczyć. Zdaje się, że już jesteś mężczyzną.

– Nauczyłaś mnie – powiedział. – To była dosyć gorzka lekcja.

– Napijesz się czegoś?

– Owszem – odparł.

– Czuję twój oddech... piłeś rum.

Wstała i wyjęła z szafki butelkę i dwie szklaneczki, a kiedy się obróciła, spostrzegła, że Adam przygląda się jej otłuszczonym kostkom. Nagły przypływ wściekłości nie zgasił uśmiešku, który miała na ustach.

Podeszła z butelką do okrągłego stolika pośrodku pokoju i napełniła rumem obie szklaneczki.

– Chodź, usiądź tutaj – powiedziała. – Tu jest wygodniej.

Gdy Adam podchodził do dużego fotela, zauważyła, że zerka na jej wystający brzuch. Podała mu szklaneczkę, usiadła i zaplotła ręce na żołądku. Adam wciąż trzymał swą szklanę, więc powiedziała:

– Wypij. To bardzo dobry rum. – Uśmiechnął się do niej uśmiechem, którego nigdy dotąd nie widziała. Rzekła: – Kiedy Ewa zawiadomiła mnie, że tu jesteś, myślałam z początku, że każę cię wyrzucić.

– Byłbym wrócił – odparł. – Musiałem cię zobaczyć... Nie żebym nie wierzył Samuelowi, ale chciałem sam sobie to udowodnić.

– Wypij ten rum – powiedziała.

Zerknął na jej szklaneczkę.

– Chyba nie myślisz, że bym cię otruła... – Urwała, zła, że to powiedziała.

Uśmiechając się wciąż, patrzył na jej szklanę. Gniew Kate odmalował się na jej twarzy. Podniosła szklanę i dotknęła jej wargami.

– Alkohol mi szkodzi – wyjaśniła. – Nigdy nie piję. To na mnie działa jak trucizna.

Zacisnęła mocno usta, a jej ostre zęby przygryzły dolną wargę.

Adam nadal uśmiechał się do niej.

Wściekłość Kate nabrzmiwała, wymykając się spod jej panowania. Wlała sobie trunek do gardła, rozkaszała się, oczy jej zwilgotniały, więc otarła łzy wierzchem dłoni.

– Nie bardzo mi ufasz – rzekła.

– A nie. – Podniósł szklaneczkę, wypił rum, po czym wstał i napełnił obie szklanki.

– Nie będę piła więcej – powiedziała z przestrawieniem.

– Nie musisz – odparł Adam. – Ja tylko dokończę tego i pójdę.

Piekący alkohol palił ją w gardle; czuła, że znowu odzywa się w niej coś, co ją przerażało.

– Nie boję się ani ciebie, ani nikogo – powiedziała i wychyliła drugą szklaneczkę.

– Nie masz żadnego powodu, żeby się mnie bać – rzekł Adam. – Teraz możesz o mnie zapomnieć. Ale powiadasz, że już zapomniałaś. – Doznawał cudownego poczucia ciepła i bezpieczeństwa; od wielu lat nie było mu tak dobrze.

– Przyjechałem tu na pogrzeb Sama Hamiltona – podjął. – To był wspaniały człowiek. Brak mi go będzie. Pamiętasz, Cathy? Pomagał ci przy porodzie.

Alkohol szalał w Kate. Zmagała się z nim, a natężenie tej walki było widoczne w jej twarzy.

– Co ci jest? – zapytał Adam.

– Mówiłam ci, że to mnie zatruwa. Mówiłam, że mi szkodzi.

– Nie mogłem ryzykować – odparł spokojnie. – Już raz do mnie strzełaś. Nie wiem, co jeszcze robiłaś poza tym.

– Co masz na myśli?

– Słyszałem różne plotki – odpowiedział. – Ot, brudne plotki.

Na chwilę zapomniała o zmaganiu się jej woli z krążącym w niej alkoholem i w tym momencie przegrała bitwę. W mózgu zapłonęła jej czerwień, strach pierzchnął, a zamiast niego pojawiło się niebaczne na nie okrucieństwo. Chwyła butelkę i napełniła swoją szklankę.

Adam musiał wstać, żeby sobie nalać. Zrodziło się w nim uczucie zupełnie mu obce. Radował się tym, co w niej widział. Z przyjemnością obserwował jej zmagania. Dobrze mu było ją karać, ale zachowywał czujność. “Teraz trzeba uważać – powiedział do siebie. Nie mów nic. Nie mów”. Na głos rzekł:

– Samuel Hamilton był mi dobrym przyjacielem przez wszystkie te lata. Będzie mi go brakowało.

Rozlała trochę rumu; ociekał jej z kącików ust.

– Ja go nienawidziłam – odparła. – Zabiłabym go, gdybym mogła.

– Dlaczego? Był dla nas dobry.

– Bo zaglądał... zaglądał we mnie.

– Czemu nie? We mnie także zaglądał i pomagał mi.

– Nienawidzę go – warknęła. – Cieszę się, że nie żyje.

– Może byłoby lepiej, gdybym i ja w ciebie zajrzał – powiedział Adam.

Wargi jej rozchyliły się.

– Ty jesteś głupiec – odparła. – Ja ciebie nie nienawidzę. Jesteś po prostu słaby głupiec.

W miarę jak rosło w niej napięcie, Adama ogarniał ciepły spokój.

– Siedź tu sobie i szczerz zęby! – krzyknęła. – Myślisz, żeś już wolny, co? Trochę popiłeś i już ci się zdaje, żeś mężczyzna! Wystarczyłoby mi kiwnąć małym palcem, a przyczołgałbyś się do mnie, chlipiąc, na klęczkach! – Rozkiełznało się w niej poczucie własnej siły, porzuciła swą lisią ostrożność. – Ja ciebie znam – ciągnęła. – Znam twoje tchórzliwe serce.

Adam wciąż się uśmiechał. Napił się trochę, co przypomniało Kate, żeby nalać sobie znowu. Szyjka butelki zadzwoniła o szklanekę.

– Kiedy mnie poharatali, przydałeś mi się – ciągnęła. – Ale ty byłeś szmata. A jak przestałam cię potrzebować, próbowałeś mnie zatrzymać. Zrzucić z gęby ten swój parszywy uśmieszek.

– Zastanawiam się, czego ty tak nienawidzisz.

– Zastanawiasz się, co? – Wyzbyła się niemal całkowicie ostrożności. – To nie jest nienawiść, ale pogarda. Jakem była mała, wiedziałam, co to za głupi, zakłamani durnie... moja własna mamunia i tatuńcio, udający dobroć. A wcale dobrzy nie byli. Ja się na nich poznałam. Umiałam tak nimi pokierować, że robili, co chciałam. Zawsze potrafiłam tak kombinować, żeby ludzie robili, co chcę. Kiedy dorastałam, doprowadziłam jednego gościa do samobójstwa. Też udawał dobrego, a chciał tylko położyć się do łóżka ze mną – małą dziewczynką.

– Ale mówisz, że sam się zabił. Musiał bardzo nad czymś boleć.

– To był dureń – warknęła Kate. – Słyszałam, jak w nocy przylazł pod drzwi i skamlał. Śmiałam się do rana.

Adam powiedział:

– Mnie nie byłoby przyjemnie myśleć, że kogoś wyprawilem na tamten świat.
– Boś też dureń. Pamiętam, jak gadali: “Prawda, co to za śliczne stworzonko, takie słodkie, takie miluchne”. A nikt mnie nie znał. Kazałam im skakać przez obręczę i nawet się nie połapali.

Adam wychylił szklanę. Czuł się jakby daleki, ale widział wszystko jasno. Doznawał wrażenia, że dostrzega jej impulsy pełzające jak mrówki, i mógł je odczytać. Nawiedziło go poczucie głębokiego zrozumienia, które czasami daje alkohol. Odezwał się:

– Obojętne, czy lubiaś Sama Hamiltona. Ja uważam, że był mądry. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że kobieta, która wszystko wie o mężczyznach, zwykle zna ich doskonale tylko z jednej strony i nie może pojąć, że istnieją jeszcze inne, co nie dowodzi, że ich nie ma.

– To był łgarz i hipokryta! – Kate plunęła tymi słowami. – Tego właśnie nienawidzę: łgarzy – a oni wszyscy są łgarze. Na tym to polega. Uwielbiam ich demaskować. Uwielbiam babrać ich nosami w ich własnym świństwie.

Brwi Adama uniosły się.

– Uważasz, że na świecie jest tylko zło i obłąd?

– Jakbyś zgadł.

– Nie wierzę w to – rzekł spokojnie.

– Nie wierzysz w to! Nie wierzysz! – przedrzeźniała go.

– Chcesz, żebym ci dowiodła?

– Nie potrafisz – odrzekł.

Zerwała się, podbiegła do biurka i wróciła do stołu z kartonowymi kopertami.

– Rzuć okiem na to – powiedziała.

– Nie chcę.

– I tak ci pokażę. – Wyjęła jedno ze zdjęć. – Patrz. To jest senator stanowy. Chce kandydować do Kongresu. Patrz na ten tłusty kałdun. A cycki ma jak kobieta. Lubi baty. Ta pręga tutaj to od bata. Przyjrzyj się jego minie! Ma żonę i czworo dzieci i będzie kandydował do Kongresu. Nie wierzysz! Spójrz na to! Ta kupa białego sadła to jest radca, a ten wielki ryży Szwed ma ranczo pod Blanco. Popatrz tutaj! To jest profesor z Berkeley. Przyjeżdża tu aż stamtąd, żeby mu chlustać nocnikiem w mordę... pan profesor filozofii. Albo to! To jest duchowny, głosiciel Ewangelii, mały braciszek

Chrystusa. Kiedyś musiał dom spalić, żeby dostać, co chciał. Teraz dajemy mu to w inny sposób. Widzisz tę zapaloną zapałkę pod jego chudymi żebrami?

– Nie chcę na to patrzeć – rzekł Adam.

– No, aleś już widział. I nie wierzysz! Jeszcze będziesz żebrał, żeby się tu dostać. Będziesz mi wył jak do księżycy. – Usiłowała obezwładnić go swoją wolą, ale widziała, że jest daleki i swobodny. Jej furia zakrzepla w jad. – Nikt się od tego nie wykręcił – powiedziała stłumionym głosem. Oczy miała płaskie i zimne, ale szarpała paznokciami obicie fotela, drąc i siepiąc jedwab.

Adam westchnął.

– Gdybym ja miał te fotografie, a ci ludzie o tym wiedzieli, nie uważałbym, że jestem zbyt bezpieczny – rzekł. – Przypuszczam, że każde z tych zdjęć może zrujnować całe życie człowieka. Czy tobie nic nie grozi?

– Myślisz, że jestem dziecko? – spytała.

– Już teraz nie – odparł Adam. – Zaczynam myśleć, że jesteś wykoślawioną ludzką istotą... albo w ogóle nieludzką.

Uśmiechnęła się.

– Kto wie, czyś nie trafił w sedno – powiedziała. – Myślisz, że chcę być ludzka? Przyjrzyj się tym zdjęciom! Wolałabym być psem niż człowiekiem. Tylko że nie jestem psem. Jestem chytrzejsza od ludzi. Nikt mi nie może nic zrobić. Nie martw się o mnie. – Wskazała ręką szafeczki z segregatorami. – Mam tutaj setkę pięknych zdjęć i oni wszyscy wiedzą, że niech tylko coś mi się stanie – cokolwiek bądź – sto listów, każdy z fotografią, zostanie wrzuconych do skrzynki i każdy pójdzie tam, gdzie narobi najwięcej szkody. Nie, nie; nic mi nie grozi.

Adam zapytał:

– Ale przypuśćmy, że zdarzy ci się jakiś wypadek albo choroba?

– To nic nie zmieni – odparła. Pochyliła się ku niemu. – Powiem ci teraz sekret, którego żaden z tych ludzi nie zna. Za kilka lat wyjadę stąd. A wtedy... te koperty zostaną i tak wrzucone do skrzynki. – Rozparła się w fotelu i wybuchnęła śmiechem.

Adam wzdrygnął się. Przyjrzał się jej uważnie. Jej twarz i śmiech były dziecięce, niewinne. Wstał i nalał sobie jeszcze rumu – niewielki łyk. Butelka była już prawie pusta.

– Ja wiem, czego ty nienawidzisz. Nienawidzisz w ludziach czegoś, co jest dla ciebie niezrozumiałe. Wcale nie tego, co jest w nich złe. Nienawidzisz w nich dobra,

do którego nie masz dostępu. Zastanawiam się, czego właściwie chcesz, jaki jest twój cel ostateczny.

– Uzbieram tyle pieniędzy, ile mi potrzeba – odpowiedziała. – Pojadę do Nowego Jorku, a jeszcze nie będę stara. Nie jestem stara. Kupię sobie dom, ładny dom w ładnej dzielnicy, i będę trzymała pierwszorzędną służbę. I najpierw znajdę pewnego człowieka, jeżeli jeszcze żyje, i bardzo powoli, starając się zadać mu jak najwięcej bólu, odbiorę mu życie. Jeżeli to zrobię dobrze i roztropnie, ten człowiek zwariuje przed śmiercią.

Adam niecierpliwie tupnął nogą w podłogę.

– Bzdury – powiedział. – To nieprawda. To jest obłądne. Nic z tego nie może być prawdą. Nie wierzę w coś podobnego.

– A pamiętasz, jak mnie pierwszy raz zobaczyłeś?

Twarz mu pociemniała.

– Och, Boże, tak!

– Pamiętasz moją złamaną szczękę, rozcięte wargi i wybite zęby?

– Pamiętam. Nie chcę pamiętać.

– Rozkoszą dla mnie będzie odnaleźć człowieka, który mi to zrobił – ciągnęła.

– A potem... potem będą inne przyjemności.

– Muszę już iść – powiedział Adam.

– Nie chodź, kochany – odparła. – Nie chodź teraz, mój miły. Mam prześcieradła z jedwabiu. Chcę, żebyś ich dotknął swoim ciałem.

– Chyba żartujesz?

– Och, nie, mój najmilszy. Nie jesteś biegły w miłości, ale ja cię mogę nauczyć. Nauczę cię. – Wstała chwiejnie i położyła mu rękę na ramieniu. Twarz jej wydawała się świeża i młoda. Adam spojrzał na dłoń Kate i spostrzegł, że jest pomarszczona jak blada łapa małpy. Cofnął się z odrazą.

Zauważyła ten ruch, zrozumiała go i usta jej się zacisnęły.

– Nie mogę tego pojąć – mówił. – Wiem, ale nie chce mi się wierzyć. Na pewno nie będę w to wierzył jutro rano. Wyda mi się koszmarnym snem. Chociaż nie; to... to nie może być sen... nie. Bo przecież pamiętam, że jesteś matką moich chłopców. Nie zapytałaś o nich. Jesteś matką moich synów.

Kate oparła łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach, tak że palcami zasłoniła sobie spiczaste uszy. Oczy jej jaśniały tryumfem. Głos był szyderczo przyciszony.

– Głupiec zawsze zostawia jakąś furtkę – powiedziała. – Odkryłam to, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Jestem matką twoich synów. Twoich synów? Matką jestem, i owszem... ale skąd wiesz, czy ty jesteś ojcem?

Adam otworzył usta.

– Cathy, co to znaczy?

– Na imię mi Kate – powiedziała. – Posłuchaj, kochaneczku, i zapamiętaj to sobie. Ile razy pozwoliłam ci zbliżyć się do mnie na tyle, żeby mieć dzieci?

– Byłaś poraniona – odparł. – Strasznie poraniona.

– Raz – rzekła Kate. – Tylko raz.

– Źle znosiłaś ciężę – zaprotestował. – Trudno ci wtedy było.

Uśmiechnęła się do niego słodko.

– Nie byłam zanadto poraniona dla twojego brata.

– Mojego brata?

– Czyżbyś już nie pamiętał Karola?

Adam roześmiał się.

– Jesteś diabolicą – powiedział. – Ale chyba nie wyobrażasz sobie, że uwierzę w to o moim bracie?

– Obojętne mi, w co uwierzysz – odparła.

Adam rzekł:

– Nie wierzę ci.

– Uwierzysz. Najpierw będziesz się zastanawiał, a potem będziesz miał wątpliwości. Przypomnisz sobie, co było z Karolem – przypomnisz sobie wszystko. Karola mogłabym pokochać. Był do mnie podobny pod pewnymi względami.

– Wcale nie.

– Przypomnisz sobie – ciągnęła. – Może któregoś dnia przypominasz sobie taką herbatę, co miała gorzki smak. Zażyłeś przez pomyłkę moje lekarstwo... pamiętasz? Spałeś, jak jeszcze nigdy w życiu, a obudziłeś się późno... z ciężką głową.

– Byłaś zanadto obolała, żeby uplanować coś podobnego.

– Ja potrafię wszystko – odparła. – A teraz, mój ukochany, rozbierz się. Pokażę ci, co jeszcze potrafię.

Adam przymknął powieki; w głowie mu się kręciło od rumu. Otworzył oczy i gwałtownie potrząsnął głową.

– To obojętne... nawet gdyby to była prawda – powiedział. – Zupełnie obojętne.

I nagle roześmiał się, ponieważ wiedział już, że tak jest w istocie. Wstał zbyt raptownie i musiał przytrzymać się oparcia krzesła, ażeby nie upaść, bo chwycił go zawrót głowy.

Kate przyskoczyła i złapała go oburącz za łokieć.

– Pozwól, to ci pomogę zdjąć surdut.

Adam wykręcił jej ręce, jak gdyby były z drutu, i oderwał je od swego ramienia. Chwiejnym krokiem ruszył do drzwi.

Nieokiełznana nienawiść zabłysła w oczach Kate. Z gardła wydarł się jej wrzask – przeciągły, przenikliwy, zwierzęcy skrzekot. Adam zatrzymał się i obrócił ku niej. Drzwi rozwarły się z trzaskiem. Miejscowy alfons przebiegł trzy kroki, stanął, wziął zamach całym ciałem i jego pięść trzasnęła Adama poniżej ucha. Adam runął na podłogę. Kate wrzasnęła:

– Butem go! Daj mu butem!

Ralf podsunął się do leżącego, obliczając dystans. Spostrzegł wpatrzony w siebie, otwarte oczy Adama. Obrócił się nerwowo do Kate.

Głos jej był zimny.

– Powiedziałam: daj mu butem. Rozwał mu pysk!

– Kiedy on się nie broni – odrzekł Ralf. – Całkiem już wysiadł.

Kate wróciła na fotel. Chwytała powietrze ustami. Wykręcała sobie ręce na kolanach.

– Adamie – powiedziała. – Ja ciebie nienawidzę. Nienawidzę cię w tej chwili po raz pierwszy. Nienawidzę! Adamie, słyszysz? Nienawidzę cię!

Adam spróbował usiąść, opadł na wznak i popróbowował znowu. Siedząc na podłodze spojrzał na Kate.

– To obojętne – wyrzekł. – Zupełnie obojętne.

Dźwignął się na czworaki i oparł knykciami o podłogę.

– A wiesz – powiedział – że ja cię kochałem nad wszystko w świecie? Naprawdę. To było takie mocne, że trzeba było nie byle czego, żeby to zabić.

– Jeszcze tu wrócisz na klęczkach – odparła. – Będziesz się włókł brzuchem po ziemi... będziesz zebrał, zebrał!

– Dać mu teraz butem, panno Kate? – zapytał Ralf.

Nie odpowiedziała.

Adam bardzo powoli ruszył do drzwi, ostrożnie stawiając kroki. Jego ręka namacała framugę. Kate zawołała:

– Adamie!

Obrócił się z wolna. Uśmiechnął się do niej tak, jak człowiek może uśmiechnąć się do wspomnienia. Potem wyszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Kate siedziała, wpatrując się w nie. W oczach miała rozpacz.

ROZDZIAŁ XXVI

1

Wracając pociągiem z Salinas do King City Adam Trask był jakby otoczony mgławicą niewyraźnych kształtów, dźwięków i barw. Nie mógł sobie uświadomić żadnej w ogóle myśli.

Wydaje mi się, że istnieją pewne funkcje ludzkiego umysłu, które sprawiają, iż w jego mrocznej głębi są rozpatrywane, odrzucane lub przyjmowane różne problemy. Takie procesy dotyczą niekiedy elementów, z których sam człowiek nie zdaje sobie sprawy. Jakże często ktoś idzie spać znępany i zbolący, nie wiedząc, co jest przyczyną jego udreki, a rano objawia mu się całkowicie nowa droga oraz jasność, będąca prawdopodobnie wynikiem nieświadomego rozumowania. Bywają też poranki, gdy we krwi kipi uniesienie, gdy piersi rozsadza elektryczny prąd radości, a w myślach nie ma nic, co by to uzasadniało albo powodowało.

Pogrzeb Samuela i rozmowa z Kate powinny były napełnić Adama smutkiem i goryczą, a jednak tak się nie stało. Z pulsującej szarości wynurzyła się ekstaza. Czuł się młody, swobodny, pełen zachłannego rozradowania. Wysiadł z pociągu w King City i zamiast iść prosto do remizy po swoje konie i bryczkę, udał się do nowego garażu Willa Hamiltona.

Will siedział w swoim oszklonym kantorze, z którego mógł obserwować pracę mechaników, nie słysząc hałasu. Brzuch zaczął mu się szczerze zaokrąglać.

Will właśnie studiował prospekt cygar importowanych bezpośrednio i regularnie z Kuby. Wydawało mu się, że boleje nad stratą ojca, ale tak wcale nie było. Martwił się trochę Tomem, który prosto z pogrzebu pojechał do San Francisco. Will uważał, że godniej jest szukać zapomnienia w interesach, jak to on sam miał zamiar uczynić, niż w alkoholu, jak to najprawdopodobniej robił Tom.

Gdy Adam wszedł do kantoru, Will podniósł wzrok i ruchem ręki wskazał mu jeden z ogromnych skórzanych foteli, które tutaj umieścił, aby ukołysać klientów zaniepokojonych wysokością przedstawianych im rachunków. Adam usiadł.

– Nie wiem, czy już ci składałem kondolencje – powiedział.

– Smutne to chwile – rzekł Will. – Był pan na pogrzebie?

– Tak – odparł Adam. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co czułem dla twojego ojca. Zawdzięczam mu pewne rzeczy, których nigdy nie zapomnę.

– Bardzo był szanowany – powiedział Will. – Na cmentarzu zebrało się ponad dwieście osób... z górą dwieście.

– Taki człowiek właściwie nie umiera – mówił Adam, który w tej chwili sam to odkrył. – Nie mogę sobie uprzytomnić, że nie żyje. Kto wie, czy w tej chwili nie wydaje mi się jeszcze bardziej żywy niż przedtem.

– To prawda – odrzekł Will, dla którego to wcale prawdą nie było. Dla Willa Samuel nie żył.

– Wspominam rzeczy, które mówił – ciągnął Adam. – Wtedy nie słuchałem dosyć uważnie, ale teraz powracają mi na pamięć i widzę jego twarz, kiedy je wypowiadał.

– To prawda – powtórzył Will. – To samo sobie myślałem. Pan teraz jedzie do siebie?

– Tak. Ale przyszło mi do głowy, żeby tu wstąpić i pogadać z tobą o kupnie samochodu.

Nieuchwytna zmiana zaszła w Willu; obudziła się w nim jakby milcząca czujność.

– Już myślałem, że pan będzie ostatnim człowiekiem w dolinie, który sprawi sobie wóz – zauważył i spod na wpół przymkniętych powiek przypatrzył się Adamowi, czekając na jego reakcję.

Adam roześmiał się.

– To mi się chyba należało – odrzekł. – Może właśnie twój ojciec jest przyczyną pewnych zmian we mnie.

– Nie rozumiem.

– Nie wiem, czybym potrafił to wytłumaczyć. W każdym razie pogadajmy o wozie.

– Powiem panu, jak to wygląda od podszewki – powiedział Will. – Rzecz przedstawia się tak, że mam cholerne urwanie głowy z wytrzaśnięciem tyłu wozów, na ile dostałem zamówienia. Ba, zrobiłem całą listę ludzi, którzy chcą je kupić.

– Nie może być! No, to może i ja umieszczę swoje nazwisko na tej liście.

– Z przyjemnością to zrobię, proszę pana, i... – Przerwał. – Pan tak blisko żył z moją rodziną, że... no, jeżeli ktoś wycofa zamówienie, chętnie pana przesunę wyżej na liście.

– Bardzo to miło z twojej strony – rzekł Adam.
– Jak pan by chciał to załatwić?
– Ale co?
– Ano, mogę tak rzecz urządzić, żeby pan wpłacał tylko tyle a tyle miesięcznie.
– Czy w ten sposób nie wypadnie drożej?
– No, dochodzą procenty i koszty manipulacyjne. Niektórzy uważają, że to jest dogodne.

– Myślę, że zapłacę gotówką – oświadczył Adam. – Nie byłoby sensu tego przewlekać.

Will zachichotał.

– Mało jest ludzi, którzy tak uważają – powiedział. – Jeszcze przyjdzie czas, że nie będę mógł sprzedawać za gotówkę bez straty.

– O tym nie pomyślałem – rzekł Adam. – Ale umieścisz mnie na liście, prawda?

Will pochylił się ku niemu.

– Panie Trask, ja pana wstawię na samą górę. Dostanie pan pierwszy wóz, jaki przyjdzie.

– Dziękuję bardzo.

– Z przyjemnością to dla pana zrobię – rzekł Will.

Adam zapytał:

– A jak się ma twoja matka?

Will odchylił się w fotelu, a na jego twarzy pojawił się czuły uśmiech.

– To niezwykła kobieta – powiedział. – Zupełnie jak skała. Nieraz myślę o wszystkich tych ciężkich chwilach, jakieśmy przeżyli, a było ich sporo. Ojciec nie był zbyt praktycznym człowiekiem. Zawsze bujał w obłokach albo zagrzebywał się w książkach. Moim zdaniem, to matka trzymała wszystko w kupie i broniła rodzinę przed przytułkiem dla nędzarzy.

– Wspaniała kobieta – przyznał Adam.

– Nie tylko wspaniała. Silna. Mocno stoi na nogach. To istna wieża siły. Czy pan wstąpił do Oliwii po pogrzebie?

– Nie.

– Z górą setka ludzi tam się zebrała. A matka piekła wszystkie te kury i doglądała, żeby każdy miał dosyć na talerzu.

– Niemożliwe!

– A jakże. I tylko pomyśleć... przecież to był jej mąż.
– Niezwykła kobieta – powtórzył Adam słowa Willa.
– Bardzo praktyczna. Wiedziała, że trzeba ich będzie nakarmić, i nakarmiła.
– Przypuszczam, że przyjdzie do siebie, ale to musi być dla niej wielka strata.
– Przyjdzie, przyjdzie – zapewnił Will. – Jeszcze przeżyje nas wszystkich, chociaż to taka kruszyna.

W drodze powrotnej na rancho Adam stwierdził, że dostrzega rzeczy, na które od lat nie zwracał uwagi. Widział dzikie kwiaty rozsiane w gęstej trawie, a na zboczach rude krowy, które wstępując w górę po łagodnych ścieżkach skubały źdźbła po drodze. Kiedy znalazł się na swojej ziemi, uczuł radość tak przejmującą, że go to zastanowiło. I oto nagle przyłapał się na tym, że powtarza głośno w takt kłusujących kopyt konia: "Jestem wolny, jestem wolny. Nie muszę się już trapić. Jestem wolny. Nie ma jej. Nie ma jej we mnie. O Chryste Wszchemogący, jestem wolny!"

Wyciągnął rękę i zerwał puch z szarosrebrnego bożydrzewu rosnącego przy drodze, a kiedy uczuł, że palce mu się lepią od żywicy, powąchał je, wciągnął głęboko w płuca tę ostrą, przenikliwą woń. Cieszył się, że wraca do domu. Chciał się przekonać, czy chłopcy bardzo urosli przez te dwa dni, kiedy go nie było, chciał ich zobaczyć.

– Jestem wolny, nie ma jej! – podśpiewywał na głos.

2

Li wyszedł z domu na spotkanie Adamowi i przytrzymał konia za pysk, kiedy Adam wysiadł z bryczki.

– Jak chłopcy? – zapytał Adam.

– Doskonale. Porobiłem im łuki i strzały i poszli polować na króliki w łożysku rzeki. Ale nie wtrącam się do nich.

– A poza tym wszystko tutaj w porządku?

Li spojrział na niego bacznie, już miał coś wykrzyknąć, ale się rozmyślił.

– Jak było na pogrzebie? – zapytał.

– Tłumy ludzi – odrzekł Adam. – Miał masę przyjaciół. Nie może mi się pomieścić w głowie, że już go nie ma.

– Moi rodacy chowają zmarłych z biciem bębnów, rozrzucają papierki, żeby zmylić demony, a na grobie kładą pieczone wieprzki zamiast kwiatów. Jesteśmy narodem praktycznym i zawsze trochę zgłodniałym. Ale nasze demony nie są zbyt bystre. Potrafimy je przechytrzyć. To już jest jakiś postęp.

– Myślę, że Samuelowi podobałby się taki pogrzeb – powiedział Adam. – To by go zainteresowało. – Zauważył, że Li wpatruje się w niego. – Odprowadź konia do stajni, a potem przyjdź i zrób trochę herbaty. Chcę z tobą pogadać.

Adam wszedł do domu i zdjął czarny garnitur. Czuł na sobie słodką, a teraz mdławą woń rumu. Zrzucił resztę ubrania i wyszorował się cały szarym mydłem, dopóki ten zapach nie ulotnił się z porów jego skóry. Nałożył czystą niebieską koszulę i drelichowy kombinezon sprany tak, że był zwiotczały i bladoniebieski, jaśniejszy na kolanach od tarcia. Ogolił się bez pośpiechu i zaczesał włosy, a tymczasem z kuchni, gdzie Li krzątał się przy piecu, dolatywał brzęk naczyń. Następnie przeszedł do bawialni. Li przygotował mu już filiżankę i cukiernicę na stole, przed jego wielkim fotelem. Adam popatrzył na zasłony w kwietny deseń, prane tylokrotnie, że kwiaty wyblakły. Zobaczył wyliniałe dywany na podłodze i brunatną ścieżkę, wydeptaną na linoleum w hallu. A wszystko to było dla niego nowością.

Kiedy Li wszedł z imbrykiem, Adam powiedział:

– Przynieś filiżankę dla siebie, Li. A jeżeli masz jeszcze tego swojego trunku, to chętnie bym wypił odrobinę. Urznąłem się wczoraj wieczorem.

– Pan się urznął? – zapytał Li. – Trudno mi w to uwierzyć.

– A jednak. I o tym chcę z tobą pogadać. Widziałem, jakeś się na mnie gapił.

– Naprawdę? – odrzekł Li.

Wyszedł do kuchni po filiżankę, kieliszki i kamionkową butelkę *ng-ka-pi*. Kiedy wrócił, powiedział:

– Od lat nie brałem tego do ust, tylko te parę razy, kiedyśmy próbowali z panem i panem Hamiltonem.

– Czy to jest ta sama, którą ochrzciliśmy chłopaków?

– Tak, ta sama.

Li nalał gorącej, zielonej herbaty. Skrzywił się, kiedy Adam wsypał dwie łyżki cukru do swojej filiżanki.

Adam mieszał herbatę i patrzył, jak kryształki cukru wirują i rozpuszczają się w płynie. Powiedział:

– Byłem u niej.

– Przypuszczałem, że pan to zrobi – odparł Li. – Prawdę mówiąc, nie rozumiem, jak normalny człowiek mógł czekać tak długo.

– Może nie byłem normalnym człowiekiem.

– To także mi przychodziło do głowy. Jak się zachowała? Adam powiedział z wolna:

– Nie mogę tego pojąć. Nie mogę uwierzyć, że jest taka istota na świecie.

– Z wami, ludźmi Zachodu, jest ta bieda, że nie macie demonów, którymi można tłumaczyć różne rzeczy. Czy pan się upił potem?

– Nie, przedtem i podczas. Zdaje się, że mi to było potrzebne dla dodania sobie odwagi.

– Teraz pan jakoś dobrze wygląda.

– Bo mi jest dobrze – odparł Adam. – Właśnie o tym chcę z tobą pomówić. – Przerwał i dodał ze smutkiem: – Przed rokiem poleciałbym z tym do Sama Hamiltona.

– Może my obydwaj mamy w sobie coś z niego – rzekł Li. – Kto wie, czy nie na tym polega nieśmiertelność.

– Mam takie wrażenie, jakbym obudził się ze snu – mówił Adam. – Jakimś niepojętym sposobem rozjaśniło mi się w oczach. Spadł ze mnie ciężar.

– Pan nawet używa słów podobnych do pana Hamiltona – rzekł Li. – Stworzę sobie teorię na temat moich nieśmiertelnych krewnych.

Adam wychylił kieliszek ciemnego trunku i oblizał wargi.

– Jestem wolny – powiedział. – Musiałem się z kimś tym podzielić. Mogę teraz być z moimi chłopcami. Mogę nawet popatrzeć na kobietę. Czy ty rozumiesz, co ja mówię?

– Tak, rozumiem. Zresztą widzę to w pana oczach i całej postawie. Człowiek nie może kłamać w takim wypadku. Myślę, że pan polubi chłopców.

– No, w każdym razie dam sobie tę możliwość. Nalej mi jeszcze kieliszek i trochę herbaty.

Li nalał herbaty i podniósł filiżankę.

– Nie rozumiem, jakim cudem nie parzysz sobie ust, pijąc taki war.

Li uśmiechnął się wewnętrznie. Adam spoglądając na niego uświadomił sobie, że Li nie jest już młody. Skórę na policzkach miał napiętą i lśniącą, jak gdyby ją pokrywała polewa. A wokół oczu widniała czerwona, podrażniona obwódka.

Li zapatrzył się w cienką jak skorupka filiżankę, którą trzymał w ręku, i uśmiechnął się jakby do własnych myśli.

– Jeżeli pan jest wolny, może pan mógłby uwolnić i mnie.

– Co to znaczy, Li?

– Pozwoliłby pan mi odejść?

– Ależ oczywiście, możesz odejść. Nie czujesz się tu szczęśliwy?

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zaznał tego, co wy nazywacie szczęściem. Dla nas upragnioną rzeczą jest zadowolenie, a możliwe, że to jest coś negatywnego.

Adam powiedział:

– Więc nazwij to tak. Nie czujesz się tu zadowolony?

Li odrzekł:

– Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek mógł być zadowolony, jeżeli pewne rzeczy, które chciałby zrobić, są wciąż nie zrobione.

– A co ty byś chciał zrobić?

– Na jedno jest już za późno. Chciałem mieć żonę i synów. Może chciałem przekazać dalej tę nedorzecznosc, która uchodzi za mądrość rodzicielską, narzucić ją moim własnym, bezbronny dzieciom.

– Jeszcześ na to nie za stary.

– O, przypuszczam, że fizycznie jestem zdolny mieć dziecko. Nie o to idzie. Ale połączyłem się zbyt silnym węzłem małżeńskim ze spokojną lampą do czytania. Wie pan, ja już kiedyś miałem żonę. Sam ją sobie stworzyłem, podobnie jak pan, tyle że nie istniała w realnym życiu, poza moimi myślami. Była mi dobrą towarzyszką w moim pokoiku. Ja mówiłem, a ona słuchała, potem ona mówiła, opowiadała mi o wszystkich wydarzeniach popołudnia kobiety. Była bardzo ładna i robiła kokieterijne żarciki. Ale teraz nie wiem, czy mógłbym jej słuchać. A nie chciałbym, żeby przeze mnie czuła się smutna czy osamotniona. Tak więc mój pierwszy plan upadł.

– Jaki jest drugi?

– Wspominałem o tym panu Hamiltonowi. Chcę otworzyć księgarnię w chińskiej dzielnicy w San Francisco. Mieszkałbym sobie za sklepem i moje dni byłyby pełne dyskusji i sporów. Chciałbym mieć w zapasie takie rzeźbione w smoki cegielki tuszu z czasów dynastii Sung. Ich pudełeczka są całe powiercone w dziurki przez czerwce, a tusz jest z sadzy jodłowej i kleju, który można otrzymać tylko ze skór dzikich osłów. Kiedy się coś namaluje tym tuszem, może to wprawdzie być fizycznie czarne, ale daje złudzenie oku i przekonywa wzrok, że gra wszystkimi barwami świata.

Może zaszedłby do mnie jakiś malarz i moglibyśmy spierać się o metodę i targować o cenę. Adam zapytał:

– Czy ty to zmyślasz?

– Nie. Jeżeli pan już czuje się dobrze i jeżeli pan się wyzwolił, to chciałbym nareszcie mieć tę moją księgarę. Chciałbym w niej umrzeć.

Adam przez chwilę siedział w milczeniu, mieszając cukier w letniej herbacie. Wreszcie powiedział:

– Zabawne. Złapałem się na tym, iż żałuję, że nie jesteś niewolnikiem, bo wtedy mógłbym ci odmówić. Jasne, że możesz odejść, jeżeli chcesz. Nawet pożyczę ci pieniędzy na tę twoją księgarę.

– O, ja mam pieniądze. Mam od dawna.

– Nigdy nie brałem pod uwagę tego, że kiedyś odejdiesz – powiedział Adam. – Uważałem twoją obecność za coś samo przez się zrozumiałego. – Rozprostował ramiona. – A nie mógłbyś trochę poczekać?

– Na co?

– Chciałbym, żebyś mi pomógł poznać się z moimi chłopcami. Chciałbym doprowadzić to ranczo do ładu albo może go sprzedać czy wydzierżawić. Będę chciał się zorientować, ile mi zostało pieniędzy i co mogę z tym zrobić.

– Chyba pan nie zastawia na mnie pułapki? – spytał Li.

– Moje pragnienie nie jest już tak silne jak dawniej. Obawiam się, że mógłbym dać sobie to wyperswadować albo, co gorsza, pozwolić się zatrzymać tylko dlatego, że jestem potrzebny. Bardzo proszę, żeby pan postarał się mnie nie potrzebować. To jest najgorsza ze wszystkich przynęt dla samotnego człowieka.

Adam powiedział:

– Samotny człowiek... Musiałem być bardzo głęboko zatopiony w sobie, żeby o tym nie pomyśleć.

– Pan Hamilton wiedział – rzekł Li. – Podniósł głowę, a spod jego obwisłych powiek błysnęły tylko iskierki oczu.

– My, Chińczycy, jesteśmy opanowani – powiedział. – Nie pokazujemy po sobie wzruszeń. Ja kochałem pana Hamiltona. Chciałbym jutro pojechać do Salinas, jeżeli pan pozwoli.

– Rób wszystko, co chcesz – odparł Adam. – Bóg świadkiem, że dosyć dla mnie zrobiłeś.

– Chcę rozrzucić papierki przeciw demonom – ciągnął Li. – Chcę położyć pieczonego prosiaka na grobie mojego ojca.

Adam wstał szybko, wywracając filiżankę, wyszedł z pokoju i zostawił Li siedzącego przy stole.

ROZDZIAŁ XXVII

1

Tego roku deszcze padały tak łagodnie, że rzeka Salinas nie wylała. Skąpy strumień wił się szerokim łożyskiem szarego piasku, a woda nie była mętna od mułu, ale przezroczysta i przyjemna. Wierzby rosnące w łożysku rzeki okryły się bujnie liśćmi, a pnącza dzikich jeżyn wypuszczały po ziemi spiczaste młode pędy.

Było bardzo ciepło jak na marzec, a z południa wiał stale wiatr, odwracając liście srebrzystym spodem do góry.

Na tle gęstej zasłony z pnączy, głógów i wikłaniny wyrzuconych przez wodę gałęzi wygrzewał się spokojnie na słońcu mały, szary królik leśny, susząc sobie futerko zmoczone na piersiach rosą podczas porannego żerowania. Marszczył nos i strzygł niekiedy uszami, nasłuchując wszelkich szmerów, które mogłyby być brzemienne w niebezpieczeństwo dla leśnego królika. Już raz rozeszła się po ziemi rytmiczna wibracja wyczuwalna dlań poprzez łapy, toteż nastawił uszy i zmarszczył nos, ale to zaraz ustało. Potem poruszyły się gałęzie wierzby o dwadzieścia pięć kroków od niego, ponieważ jednak wiatr wiał w tym kierunku, więc do królika nie doleciał żaden odór strachu.

Od dwóch minut słyszał odgłosy ciekawe, ale niegroźne – jakiś brzęk, a potem świst przypominający szum skrzydeł dzikiego gołębia. Królik leniwie wyciągnął tylną łapę w ciepłym słońcu. Rozległ się znowu brzęk, świst i głucho uderzenie o futerko. Królik zastygł w bezruchu, a oczy rozwarły mu się szeroko. Bambusowa strzała tkwiła mu w piersiach, a jej żelazny grot był głęboko wbity w ziemię po drugiej stronie. Królik przewrócił się na bok, a jego łapki przez chwilę gnały i przebierały w powietrzu, dopóki nie znieruchomiał.

Spod wierzby wypełzli dwaj przyczajeni chłopcy. W rękach trzymali łuki długie na cztery stopy, a pęki pierzastych strzał sterczały im z kołczanów zawieszonych za lewym ramieniem. Ubrani byli w drelichy i wypłowiałe niebieskie koszule, ale obaj mieli po jednym wspaniałym piórze z indyczego ogona, zatkniętym za tasiemkę na czole.

Chłopcy posuwali się ostrożnie, przygięci nisko, stawiając nieporadnie stopy palcami do środka, wzorem Indian. Przedśmiertne drgawki królika już ustały, kiedy się pochyłili nad swoją ofiarą.

– Na wylot przez serce – powiedział Kal tak, jakby w ogóle nie mogło być inaczej. Aron spojrział na królika w milczeniu. – Opowiem, że to ty – ciągnął Kal. – Nie będę ci odbierał zasługi. I jeszcze powiem, jaki to był trudny strzał.

– Ano, naprawdę trudny – powiedział Aron.

– Właśnie mówię. Pochwalę cię przed Li i przed ojcem.

– Nie wiem, czy chcę pochwały... przynajmniej w całości – rzekł Aron. – Wiesz co? Jak upolujemy następnego, powiemy, że każdy ma po jednym, a jak nie, to przecież można powiedzieć, żeśmy razem strzelali i nie wiadomo, który trafił.

– Więc nie chcesz pochwały? – spytał przebiegle Kal.

– No, nie całej. Możemy się nią podzielić.

– Bo właściwie to była moja strzała – rzekł Kal.

– Wcale nie.

– Popatrz na piórka. Widzisz ten rowek? To moja.

– Skąd się wzięła w moim kołczanie? Nie pamiętam żadnej z rowkiem.

– Możesz zapomnieć. Ale ja cię i tak pochwalę.

Aron odpowiedział z wdzięcznością:

– Nie, Kal. Nie chcę tego. Powiemy, żeśmy strzelali obaj naraz.

– Ano, jeżeli tak wolisz... A jak Li zobaczy, że to moja strzała?

– Powiemy, że była w moim kołczanie.

– Akurat uwierzy! Pomyśli, że bujasz.

Aron odpowiedział bezradnie:

– Jeżeli będzie myślał, żeś to ty zabił, to niech sobie myśli.

– Ja tylko chciałem, żebyś wiedział – odparł Kal. – Na wszelki wypadek.

Przewlókł strzałę na wylot przez królika, tak że jej białe piórka ubarwiła na czerwono krew z serca. Wetknął ją do swojego kołczanu.

– Możesz go ponieść – powiedział wielkodusznie.

– Trzeba wracać – rzekł Aron. – Może ojciec już przyjechał?

Kal odparł:

– Moglibyśmy upiec tego królika i zjeść go sobie na kolację, i nie wracać do domu przez całą noc.

– W nocy za zimno, Kalu. Nie pamiętasz, jakieś się trząśł dziś rano?

– Mnie nie za zimno – odparł Kal. – Nigdy mi nie za zimno.

– A dzisiaj rano ci było.

– Nic podobnego. Tylko robiłem z ciebie balona, że niby tak się trząłem i kłapałem jak niemowlak. Chcesz mi zarzucić kłamstwo?

– Nie – odrzekł Aron. – Wcale nie chcę się kłócić.

– Boisz się?

– Nie. Tylko nie chcę.

– A gdybym powiedział, że masz pietra, to byś mnie nawzywał od kłamców?

– Nie.

– No to masz pietra, co?

– Pewnie tak.

Aron z wolna odszedł, zostawiając królika na ziemi. Miał bardzo duże oczy i piękne, delikatne usta. Szerokie osadzenie tych błękitnych oczu nadawało mu wyraz anielskiej niewinności. Włosy miał miękkie i złote. Słońce zdawało się opromieniać jakimś blaskiem jego głowę.

Był zaskoczony, lecz to zdarzało mu się często. Wiedział, że brat coś knuje, ale nie miał pojęcia co. Kal był dla niego enigmą. Aron nie potrafił podążać za jego rozumowaniem, a kierunek, jaki obierało, zdumiewał go zawsze.

Kal bardziej przypominał Adama. Włosy miał ciemnokasztanowate, był wyższy od brata, bardziej grubokościsty i barczysty, a jego szczeka miała tę samą surową kanciastość co szczeka ojca. Oczy Kala, piwne i czujne, niekiedy iskrzyły się jak gdyby były czarne. Natomiast ręce miał bardzo drobne w stosunku do swej budowy, palce krótkie i szczupłe, paznokcie delikatne. Kal ochraniał swoje ręce. Niewiele rzeczy mogło go zmusić do płaczu, ale należało do nich skaleczenie palca. Nigdy nie narażał swych rąk, nigdy nie tknął robaka ani nie podniósł węża. A podczas bitki chwycił kamień lub kij.

Kiedy Kal patrzył za odchodzącym bratem, na jego wargach pojawił się dufny uśmiezek. Zawołał:

– Aronie, zaczekaj na mnie!

Dopędziwszy brata wyciągnął do niego królika.

– Masz, ponieś – powiedział łagodnie, obejmując Arona za ramię. – Nie złość się na mnie.

– Ty zawsze chcesz się kłócić – rzekł Aron.

– Wcale nie. Tak sobie tylko żartowałem.

– Naprawdę?

– No! Patrz: możesz ponieść królika. I jeżeli chcesz, to teraz wrócimy do domu.

Aron uśmiechnął się wreszcie. Zawsze odczuwał ulgę, kiedy brat przerywał napięcie. Po osypującej się skarpie obaj chłopcy wydrapali się z łożyska rzeki na płaski brzeg. Prawa nogawka spodni Arona była sownie ubroczone krwią królika. Kal powiedział:

– Zdziwią się, że mamy królika. Jeżeli ojciec już jest, to mu go dajmy. Lubi królika na kolację.

– Doskonale – odrzekł z radością Aron. – Coś ci powiem. Damy mu go obaj i wcale nie powiemy, który go trafił.

– Fajnie, jeżeli tak chcesz – odparł Kal.

Przez pewien czas szli w milczeniu, wreszcie Kal powiedział:

– To wszystko jest nasza ziemia – aż het za rzeką.

– Chyba ojca.

– No tak, ale jak umrze, to będzie nasza.

Była to nowa myśl dla Arona.

– Co to znaczy, jak umrze?

– Każdy umiera – odparł Kal. – Jak pan Hamilton. Też umarł.

– Ano tak – rzekł Aron. – Prawda; umarł.

Nie mógł skojarzyć sobie tych dwóch: zmarłego pana Hamiltona i żyjącego ojca.

– Wkłada się ich do takiej skrzyni, potem kopie dół i wpuszcza ją do środka – wyjaśnił Kal.

– Przecież wiem. – Aron chciał zmienić temat, pomyśleć o czymś innym.

Kal powiedział:

– Znam jeden sekret.

– A jaki?

– Kiedy ty zaraz wygadasz.

– Wcale nie, jeżeli mi każesz nie mówić.

– Nie wiem, czy powinienem...

– No, powiedz – poprosił Aron.

– A nie piśniesz ani słowa?

– Ani słowa.

Kal zapytał:

- Jak myślisz, gdzie jest nasza matka?
- Nie żyje.
- Nic podobnego.
- Mówię ci.
- Uciekła – odparł Kal. – Słyszałem, jak jedni gadali.
- To kłamali.
- Uciekła – powtórzył Kal. – Nie powiesz, że ci mówiłem?
- Nie wierzę w to – odrzekł Aron. – Ojciec mówił, że mama jest w niebie.

Kal oświadczył spokojnie:

- Już niedługo stąd zwieję i znajdę ją. Przywiozę ją z powrotem.
- A tamci gadali, że gdzie ona jest?
- Nie wiem, ale ją znajdę.

– W niebie – rzekł Aron. – Dlaczego ojciec miałby kłamać? – Popatrzył na brata błagając go milcząco, żeby to potwierdził. Kal nic nie odpowiedział. – Nie wierzysz, że jest w niebie z aniołami? – nalegał Aron, a kiedy Kal wciąż milczał: – Co to za ludzie tak mówili?

– A tacy jedni. Na poczcie w King City. Myśleli, że nie słyszę. Ale ja mam dobre uszy. Li mówi, że słyszę, jak trawa rośnie.

Aron zapytał:

- Po co by miała od nas uciekać?
- A bo ja wiem? Może nas nie lubiła?

Aron zastanowił się nad tą herezją.

– Nie – powiedział. – Oni kłamali. Ojciec mówił, że matka jest w niebie. Przecież wiesz, jak nie lubi o niej rozmawiać.

– Może właśnie dlatego, że uciekła.

– Nie. Pytałem Li. Wiesz, co powiedział? Li powiedział: “Wasza matka kochała was i kocha dalej”. I pokazał mi taką jedną gwiazdę, żebym sobie na nią patrzył. Mówił, że to może jest nasza matka i że ona będzie nas kochała, póki ta gwiazda świeci. Myślisz, że Li kłamie?

Poprzez napływające łzy Aron widział oczy brata, twarde i trzeźwe. Kal nie miał łez w oczach.

Kal czuł się przyjemnie podniecony. Znalazł nowy sposób, nowe sekretne narzędzie, którego mógł użyć, gdyby zaszła potrzeba. Przypatrzył się Aronowi, dostrzegł drżenie jego warg, ale zauważył też w porę rozdymające się nozdrza. Bywało,

że Aron płakał, ale czasem, zmuszony do łez, potrafił też się bić. A kiedy jednocześnie płakał i bił się, był niebezpieczny. Nic go nie mogło zabołec i nic go nie mogło powstrzymać. Kiedyś Li uchwycił go wpół, przyciskając mu do boków młóćące wciąż pięści, i dopiero po dłuższym czasie Aron się uspokoił. I wtedy także nozdrza mu drgały.

Kal na razie odłożył swoje nowe narzędzie. Mógł po nie sięgnąć w każdej chwili, a wiedział, że jest to najostrzejsza broń, jaką dotychczas znalazł. Chciał zastanowić się nad tym bez pośpiechu i osądzić, kiedy i w jakiej mierze jej używać. Decyzję tę powziął nieomal za późno. Aron dopadł do niego i bezwładnym ciałem królika chlasnął go w twarz. Kal odskoczył i krzyknął:

– Ja tylko żartowałem! Naprawdę, to żart!

Aron zatrzymał się. Na twarzy odmalował mu się ból i zaskoczenie.

– Nie lubię takich żartów – powiedział, po czym siąknął nosem i otarł go o rękaw.

Kal podszedł do brata, objął go i pocałował w policzek.

– Już nie będę – powiedział.

Jakiś czas chłopcy maszerowali w milczeniu. Dzień nagle pociemniał. Kal zerknął przez ramię na ołowiane chmury, które napływały znad gór, niesione porywistym, marcowym wiatrem.

– Będzie burza – powiedział. – Będzie parszywie.

Aron zapytał:

– Czyś ty naprawdę słyszał, jak tamci to mówili?

– Może mi się tylko zdawało – odparł czym prędzej Kal. – O rany, patrz na tę chmurę!

Aron obejrzał się na czarnego potwora. U góry wzdymał się on olbrzymimi ciemnymi kłębami, a dołem włókł długi fartuch deszczu, i kiedy obaj chłopcy patrzyli, chmura zahurkotała i błysnęła ogniem. Niesiony wiatrem łoskot zadudnił głucho po wilgotnych, tłustych wzgórzach z drugiej strony doliny i przetoczył się po płaszczyźnie. Chłopcy odwrócili się i pognali do domu; chmura huczała za nimi, a gromy rozszczeptały powietrze na drgające strzępy. Dopędziła ich i pierwsze ciężkie krople chlupnęły na ziemię z pękającego nieba. Poczuli świeży zapach ozonu. Biegając wciągali w nozdrza woń piorunów.

Kiedy przeskoczyli przez trakt okręgowy i wpadli na koleiny wiodące do parowu, w którym był dom, runęła na nich ulewa. Deszcz walił płachtami i słupami

wody. Natychmiast przemokli do nitki, włosy przylepiły im się do czoła i powłaziły w oczy, a indyjskie pióra u skroni przygięły się pod ciężarem wody.

Teraz, kiedy już przemokli na wylot, przestali biec. Nie było już celu szukać schronienia. Popatrzyli na siebie i roześmieli się radośnie. Aron wyjął mokrego królika, podrzucił go w powietrze, złapał i cisnął Kalowi. A Kal, czując się trochę głupio, założył go sobie na szyję, tak że łepki i tylne łapy zetknęły mu się pod brodą. Obaj chłopcy skręcali się z histerycznego śmiechu. Deszcz szumiał po dębach parowu, a wiatr zakłócał ich wyniosły, dostojny spokój.

2

Bliźniacy znaleźli się przed zabudowaniami rancza akurat w momencie, gdy Li, z głową wytkniętą przez otwór żółtego, ceratowego poncho, prowadził ku szopie jakiegoś obcego konia zaprzęzonego do wąskiego powoziku na gumach.

– Ktoś przyjechał – powiedział Kal. – Patrz na tę brykę.

Znowu kopnęli się biegiem, bo goście to było zawsze coś rozkosznego. W pobliżu schodów zwolnili i ostrożnie okrążyli dom, bo goście to było także coś onieśmielającego. Weszli tylnymi drzwiami i przystanęli w kuchni, ociekając wodą. Słyszeli głosy w bawialni – głos ojca i jakiś drugi męski. Potem odezwał się trzeci, który sprawił, że poczuli ucisk w dołku, a po krzyżach przebiegły im lekkie ciarki. Był to bowiem głos kobiety. Ci dwaj chłopcy mało dotąd mieli styczności z kobietami. Poszli na palcach do swego pokoju i stanęli, spoglądając po sobie.

– Jak myślisz, kto to taki? – zapytał Kal.

W Aronie zapłonęło wzruszenie jak światło. Chciał krzyknąć: “Może to nasza matka! Może wróciła!” Ale potem przypomniał sobie, że matka przecież jest w niebie, a stamtąd ludzie nie wracają. Powiedział:

– Bo ja wiem? Trzeba się przebrać.

Chłopcy włożyli suche drelichy, dokładnie takie same jak te przemoczone, które zrzucili. Zdjęli nasiąknięte wodą pióra indyjskie i przeczesali czupryny palcami. A przez cały czas słyszeli głosy, przeważnie niskie, czasem cieńszy głos kobiety, raz natomiast zastygli nasłuchując, bo odezwał się głos dziecinny – głos dziewczynki – co było czymś tak emocjonującym, iż nawet nie napomknęli do siebie, że go słyszą.

Cicho wysunęli się do sieni i na palcach podeszli do drzwi bawialni. Kal nacisnął klamkę bardzo, bardzo powoli, podtrzymując ją jednocześnie, by nie zdradziło ich najłżejsze skrzypnięcie.

Zaledwie uchyliła się wążutka szpara, Li wszedł drugim wejściem, podreptał przez sień, ściągając z siebie poncho i zdybał obu chłopców pod drzwiami.

– Mali chłopiec podglonda? – zapytał z chińska, a kiedy Kal przymknął drzwi i klamka szczęknęła, dodał szybko: – Ojciec już wrócił. Wejdźcie do środka.

Aron zapytał ochrypłym szeptem:

– A kto tam jeszcze jest?

– Jacyś przejezdni. Deszcz ich tu zapędził.

Li położył rękę na dłoni Kala trzymającej klamkę, nacisnął ją i otworzył drzwi.

– Chłopcy jus psysli do doma – powiedział i zostawił ich stojących w progu.

Adam zawołał:

– Wejdźcie, wejdźcie, chłopaki!

Obaj weszli ze spuszczoneymi głowami, obrzucili obcych spojrzeniem i szurnęli nogami. Siedział tam jakiś mężczyzna w miejskim garniturze oraz kobieta w niebywale wymyślnym stroju. Jej prochowiec, kapelusz i woal leżały obok na krześle, a ona sama wydała się chłopcom cała spowita w czarne jedwabie i koronki. Czarne koronki pełzy jej nawet po gorsie i muskały podbródek. Tego wystarczyłoby już jak na jeden dzień, ale to nie było wszystko. Obok kobiety siedziała dziewczynka, może trochę młodsza od bliźniaków, ale niewiele. Na głowie miała "budkę" w niebieską kratę, z przodu obszytą koronką, na sobie sukienkę w kwiaty, a w pasie zawiązany fartuszek z kieszeniami. Podwinięta spódniczka ukazywała halkę z czerwonej przędzy, zakończoną u dołu bawełnianym obrąbkiem. Chłopcy nie widzieli twarzy dziewczynki, gdyż zasłaniał ją z boków kapelusik, ale dłonie trzymała na kolanach i łatwo było dostrzec mały złoty sygnecik na trzecim palcu.

Ani jeden, ani drugi nie śmiał odetchnąć i w oczach zaczynały im wirować czerwone kręgi od wstrzymywania tchu.

– To są moi synowie – odezwał się ich ojciec. – Bliźniacy. Ten jest Aron, a ten Kaleb. Chłopcy, przywitajcie się z naszymi gośćmi.

Postąpili naprzód ze spuszczoneymi głowami, wyciągając ręce gestem, który mocno przypominał kapitulację i rozpacz. Ich bezwładnymi dłońmi potrząsnął najpierw ów pan, a potem pani w koronkach. Aron poszedł na pierwszy ogień, po czym odwrócił się tyłem do dziewczynki, ale pani zapytała:

– Nie powiesz dzień dobry mojej córce?

Aron drgnął i wyciągnął rękę w kierunku dziewczynki o niewidocznej twarzy. Bez rezultatu. Jego bezwładne kielbaski nie zostały pochwycone ani ściśnięte, ani

potrząśnięte. Ręka po prostu zawisła przed nią w powietrzu. Aron łypnął spod rzęs, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Dziewczynka także trzymała głowę spuszczoną, a miała o tyle lepszą sytuację, że "budka" osłaniała jej twarz. Drobna prawa dłoń z sygnecikiem na trzecim palcu była też wyciągnięta, ale nie czyniła żadnego ruchu ku dłoni Arona.

Zerknął ukradkiem na obcą panią. Usta miała rozchylone w uśmiechu. W pokoju panowała przytłaczająca cisza. I nagle Aron usłyszał przenikliwy chichot Kala.

Sięgnął ręką, uchwycił dłoń dziewczynki i potrząsnął nią trzy razy w górę i w dół. Była miękka jak garstka kwiatnych płatków. Doznał palącego uczucia przyjemności. Puścił rękę dziewczynki i ukrył swoją w kieszeni kombinezonu. Kiedy pospiesznie się wycofał, zauważył, że Kal podchodzi, wymienia z dziewczynką oficjalny uścisk dłoni i mówi: "Dzień dobry". Aron zapomniał o tych słowach, więc wypowiedział je teraz, po bracie, co wypadło dość dziwacznie. Adam i jego goście roześmieli się. Adam powiedział:

– Państwa Bacon o mało nie złapał deszcz.

– Mieliśmy szczęście, żeśmy tu zabłądzili – odezwał się pan Bacon. – Szukałem rancza Longów.

– To jest dalej. Powinni państwo zjechać w lewo z traktu okręgowego w pierwszą drogę odchodzącą na południe. – Adam obrócił się do chłopców: – Pan Bacon jest inspektorem okręgowym.

– Nie wiem dlaczego, ale biorę swoją funkcję bardzo serio – oświadczył pan Bacon i także zwrócił się do chłopców. – Moja córka ma na imię Abra. Prawda, że śmiesznie? – Powiedział to tonem, jakiego dorośli używają do dzieci. Obrócił się do Adama i zacytował z poetycznym zaśpiewem w głosie:

Abra była gotowa, nim ją przywołałem;

I Abra przyszła, chociaż nie jej chciałem.

– Mateusz Prior. Nie powiem, że nie chciałem syna, ale Abra to taka nasza pociecha! Podnieś główkę, kochanie.

Abra ani drgnęła. Ręce miała znowu złożone na kolanach. Ojciec powtórzył z upodobaniem:

I Abra przyszła, chociaż nie jej chciałem.

Aron widział, że brat spogląda na małą "budkę" bez odrobiny lęku. Powiedział tylko ochryplym głosem:

– Wcale nie uważam, żeby Abra to było śmieszne imię.

– Mężowi nie chodziło o to, że śmieszne w takim sensie – wyjaśniła pani Bacon. – Chciał tylko powiedzieć, że ciekawe. – Po czym wytłumaczyła Adamowi: – On wyławia najprzedziwniejsze rzeczy z ksiązek. Mój drogi, czy nie powinniśmy się już zbierać?

Adam zawołał skwapliwie:

– O, niechże pani łaskawa jeszcze nie jedzie. Li już szykuje herbatę. To państwa rozgrzeje.

– A, jakże nam miło! – zawołała pani Bacon, po czym powiedziała: – Dzieci, już nie pada. Idźcie pobawić się na dworze.

W głosie jej brzmiała taka stanowczość, że wszyscy troje wymaszerowali gęsiego: Aron pierwszy, za nim Kal, a Abra na końcu.

3

W bawialni pan Bacon założył nogę na nogę.

– Ma pan piękną posiadłość – powiedział. – Dużo jest tutaj ziemi?

Adam odpowiedział:

– Spory kawałek. Przechodzi przez rzekę aż na drugą stronę. Dobry obiekt.

– Więc tam za traktem to też jest wszystko pańskie?

– Tak. Właściwie wstyd mi się przyznać. Paskudnie to zapuściłem. W ogóle tu nic nie uprawiam. Możliwe, że za wiele tego miałem w dzieciństwie.

Państwo Bacon wpatrywali się teraz w Adama, który wiedział, że musi jakoś wytłumaczyć fakt pozostawienia swej dobrej ziemi odłogiem. Rzekł więc:

– Zdaje się, że jestem z natury leniwy. A ojciec nie bardzo pomógł zostawiając mi tyle, że nie musiałem pracować.

Spuścił oczy, ale wyczuł w Baconach ulgę. Nie mogło być mowy o lenistwie, skoro był człowiekiem bogatym. Leniwi są tylko ubodzy. Podobnie jak tylko ubodzy są ciemni. Bogaty, który nic nie umie, jest zepsuty albo niezależny.

– A kto się opiekuje chłopcami? – spytała pani Bacon.

Adam roześmiał się.

– Tę opiekę, którą mają, a nie jest jej wiele, daje im Li.

– Li?

Adama trochę zirytowało to wypytywanie.

– Mam tylko jednego służącego – powiedział krótko.

– To znaczy ten Chińczyk, któregośmy widzieli? – Pani Bacon była zgorziona.

Adam uśmiechnął się do niej. Przestraszyła go w pierwszej chwili, ale teraz czuł się już swobodniej.

– Li wychował chłopców i opiekował się mną – powiedział.

– Ale czy nigdy nie mieli kobiecej opieki?

– Nie, nigdy.

– Biedne koteczki! – powiedziała.

– Są trochę dzicy, ale przynajmniej zdrowi – ciągnął Adam. – Zdaje się, żeśmy tu wszyscy zdziczeli, tak jak ta ziemia. A teraz Li ma odejść. Nie mam pojęcia, co zrobimy.

Pan Bacon starannie odchrząknął, oczyszczając gardło z flegmy, ażeby mu nie przeszkadzała przy wygłaszaniu oświadczenia.

– Czy pan pomyślał o edukacji swoich synów?

– Nie... Chyba niewiele o tym myślałem.

Pani Bacon wtrąciła:

– Mój mąż ogromnie wierzy w wykształcenie.

– Wykształcenie jest kluczem do przyszłości – oświadczył pan Bacon.

– Ale jakie wykształcenie? – zapytał Adam.

Pan Bacon mówił dalej:

– Ludziom oświeconym wszystko stoi otworem. Tak, wierzę w pochodnię wiedzy. – Pochylił się bliżej i głos jego przybrał poufny ton: – Jeżeli pan na razie nie ma zamiaru gospodarować na swojej ziemi, to czemu pan jej nie puści w dzierżawę i nie przeniesie się do siedziby okręgu... bliżej naszych doskonałych szkół?

Przez chwilę Adam już chciał odpowiedzieć: "A czemu pan nie pilnuje swojego nosa?", ale zamiast tego zapytał:

– Uważa pan, że to byłby dobry pomysł?

– Sądzę, że mógłbym panu znaleźć porządnego, solidnego dzierżawcę – odrzekł pan Bacon. – Nie ma powodu, żeby panu coś nie wpływało z pańskiej ziemi, jeżeliby pan na niej nie siedział.

Li z wielką ostentacją wniósł herbatę. Przez drzwi usłyszał dosyć, aby mieć pewność, że Adamowi sprzykrzyli się goście. Był też przekonany, że nie lubią herbaty, a jeżeli nawet lubią, to nie przypadnie im do gustu ta, którą zaparzył. Kiedy zaś wypili ją wśród wielkich pochwał, wiedział już, że Baconowie coś kombinują. Próbował uchwycić spojrzenie Adama, ale nie mógł. Adam wpatrywał się w dywan między swoimi stopami.

Pani Bacon mówiła:

– Mój mąż już od wielu lat jest członkiem zarządu szkoły... – ale Adam nie słyszał dyskusji, która wynikła.

Myślał o wielkiej kuli świata, która jakby zawisła i kołysała się u konaru jednego z jego dębów. I nagle, bez żadnej widomej przyczyny, myśli jego przeskoczyły na ojca, kuśtykającego na swojej drewnianej nodze, postukującego o nią laską dla zwrócenia uwagi. Adam zobaczył jego surową, żołnierską twarz, kiedy wdrażał synom zasady musztry i zmuszał ich do noszenia ciężarów, ażeby wzmocnić im barki. Poprzez owe wspomnienia przenikał brzęczy głos pani Bacon. Adam poczuł na plecach worek wyładowany kamieniami. Ujrzał wykrzywioną sardonicznym grymasem twarz Karola. Karol... złe, zaciekle oczy, gorący temperament. Nagle Adam zapragnął ujrzeć Karola. Tak, pojedzie... zabierze z sobą chłopców. Trzepnął się po udzie w podnieceniu.

Pan Bacon zamilkł na chwilę.

– Co się stało?

– O, przepraszam – odrzekł Adam. – Właśnie przypomniałem sobie coś, co zaniedbałem zrobić.

Oboje Baconowie czekali cierpliwie, uprzejmie na wyjaśnienie. Adam myślał: "Właściwie czemu nie? Nie kandyduję na inspektora. Nie jestem w zarządzie szkoły. Więc czemu nie?" Powiedział do swoich gości:

– Właśnie mi przyszło do głowy, że od dziesięciu lat z górą zapominam napisać do brata.

Drgnęli słysząc to wyznanie i wymienili spojrzenia.

Li przez ten czas powtórnie napełnił filiżanki. Adam zauważył, jak wydeły mu się policzki, i dosłyszał westchnienie ulgi, kiedy Li wymykał się wreszcie do korytarza. Baconowie nie mieli ochoty wypowiadać komentarzy na temat tego, co zaszło. Chcieli pozostać sam na sam, ażeby rzecz przedyskutować.

Li odgadł, że tak będzie. Wybiegł, aby zaprząć konia i podprowadzić powozik na gumach przed drzwi frontowe.

4

Wyszedszy z domu Abra, Kal i Aron przystanęli jedno obok drugiego na małym krytym ganku i patrzyli, jak deszcz kapie i ocieka z rozłożystych dębów. Oberwanie chmury przeszło w daleki, toczący się echem grzmot, ale pozostawiło po sobie deszcz najwyraźniej zdecydowany padać jeszcze długo. Aron odezwał się:

– A ta pani mówiła, że już nie pada.

Abra odpowiedziała roztropnie:

– Bo nie spojrziała. Jak mówi, nigdy nie patrzy.

Kal zapytał:

– Ile masz lat?

– Dziesięć; idzie mi jedenasty – odrzekła Abra.

– Ho! – zawołał Kal – My mamy jedenaście, a idzie nam dwunasty.

Abra zsunęła na kark "budkę", która okoliła jej głowę jakby aureolą. Abra była ładna; miała ciemne włosy splecione w dwa warkocze, delikatne czoło, krągłe i sklepione, brwi równe. Nosek jej, teraz jeszcze kartofelkowaty, zapowiadał się na pełen wdzięku i lekko zadarty. Natomiast dwa elementy jej twarzy zdawały się już ustalone: broda wyraźnie zarysowana i usta słodkie jak kwiat, bardzo pełne i różowe. Orzechowe oczy były bystre, inteligentne i całkowicie nieulekłe. Spojrzała w twarze chłopcom, prosto w oczy najpierw jednemu, potem drugiemu, i nie czuło się w niej ani śladu owej płochliwości, którą udawała w domu.

– Nie wierzę, że jesteście bliźniacy – oświadczyła. – Wcaleście do siebie niepodobni.

– Ale jesteśmy – odparł Kal.

– Ale jesteśmy – powtórzył Aron.

– Niektórzy bliźniacy nie są podobni – wyjaśnił Kal.

– Cała masa – dodał Aron. – Li mówił nam, jak to jest. Jeżeli kobieta ma jedno jajko, to bliźniacy są podobni. A jak dwa, to nie.

– My jesteśmy z dwóch – oświadczył Kal.

Abra uśmiechnęła się rozbawiona urojeniami tych wiejskich chłopców.

– Jajko! – powtórzyła. – Ho! Jajko. – Nie powiedziała tego głośno ani szorstko, ale teoria Li od razu zachwiała się w posadach, po czym Abra obaliła ją z trzaskiem. – Który z was jest na twardo, a który sadzony? – zapytała.

Chłopcy wymienili zakłopotane spojrzenia. Po raz pierwszy zetknęli się z nieubłaganą logiką kobiet, która jest nieodparta, nawet – czy może zwłaszcza – wtedy, kiedy jest błędna. Było to dla nich coś nowego, emocjonującego i groźnego.

Kal powiedział:

– Li jest Chińczykiem.

– Ach, no tak – odrzekła łaskawie Abra. – Dlaczego od razu nie mówicie? To może jesteście takimi jajkami z chińskiej porcelany, co to się układa w gniazdkach?

Przerwała czekając, aby jej grot wbił się głębiej. Widziała, że znika w nich wszelki opór i wola walki. Abra przejęła władzę. Była górą.

– Chodźmy pobawić się do starego domu – zaproponował Aron. – Trochę tam przecieka, ale jest fajnie.

Pod zlanymi deszczem dębami pobiegli do starego domu Sanchezów i dali nura przez otwarte drzwi, które skrzypiały niespokojnie na zardzewiałych zawiasach.

Dom z nie wypalanej cegły wszedł po raz drugi w stadium rozpadu. Wielka sień ciągnąca się wzdłuż całego frontu była otynkowana do połowy; linia białej zaprawy biegła dokoła i urywała się tam, gdzie przed dziesięciu laty zostawili ją robotnicy. Głęboko osadzone w murze okna z wprawionymi na nowo ramami były bez szyb. Nową podłogę znaczyły smugi od wody, a w kącie piętrzyły się stosy starych papierów i poczerniałych toreb z gwoździami, które rdza polepiła w kolczaste kule.

Gdy dzieci stanęły w progu, z głębi domu wyfrunął nietoperz. Szary kształt rzucił się w prawo, w lewo, po czym wyleciał przez drzwi.

Chłopcy oprowadzili Abreę po domu; otwierali schowki, by jej pokazać umywalnie, klozety i żyrandole wciąż jeszcze czekające w pakach na zamontowanie. W powietrzu unosił się zapach pleśni i zwilgłego papieru. Wszyscy troje chodzili na palcach, nie mówiąc do siebie nic z obawy przed echem, które mogło się odbić od ścian pustego domu.

Wróciwszy do sieni bliźniacy stanęli przed swoim gościem.

– Podobało ci się? – zapytał Aron cicho z uwagi na echo.

– Ta... aak – przyznała z wahaniem.

– Czasem się tu bawimy – powiedział śmiało Kal. – Jak chcesz, to możesz tu kiedyś przyjść pobawić się z nami.

– Ja mieszkam w Salinas – odparła Abra takim tonem, iż od razu pojęli, że mają do czynienia z wyższą istotą, której brak czasu na wieśniacze uciechy.

Abra spostrzegła, że zmiażdżyła największy ich skarb; choć знаła słabostki mężczyzn, przecie lubiła ich mimo wszystko, a poza tym była damą.

– Kiedyś, jak będziemy tędy przejeżdżali, wpadnę pobawić się z wami... troszeczkę – powiedziała łaskawie, a obaj chłopcy poczuli dla niej wdzięczność.

– Podaruję ci mojego królika – odezwał się nagle Kal. – Chciałem go dać ojcu, ale możesz go sobie wziąć.

– Jakiego królika?

– A tego, cośmy dzisiaj zabili... strzałą prościutko przez serce. Ani zipnął.

Aron spojrzał na niego oburzony.

– To był mój...

Kal przerwał mu:

– Damy ci go, żebyś sobie zabrała do domu. Całkiem spory...

Abra odpowiedziała:

– A co ja będę robiła z paskudnym, pokrwawionym króliczyskiem?

Aron odrzekł:

– Obmyję go, włożę do pudełka i zawiążę sznurkiem, a jak byś nie chciała go zjeść, możesz urządzić mu pogrzeb, jeżeli będziesz miała czas... tam, w Salinas.

– Ja chodzę na prawdziwe pogrzeby – oświadczyła Abra. – Właśnie byłam nie dalej jak wczoraj. Naskładali kwiatów wysoko jak ten dach.

– To nie chcesz naszego królika? – zapytał Aron.

Abra popatrzyła na jego złote włosy poskręcane teraz w pierścienie, na oczy bliskie łez i uczuła w piersi palącą tęsknotę i niepokój, które są początkiem miłości. Poza tym zapragnęła dotknąć Arona, co też zaraz zrobiła. Położyła mu dłoń na przedramieniu i poczuła, jak drgnął pod jej palcami.

– Ano, jeżeli go włożysz do pudełka... – powiedziała.

Zdobywszy przewagę Abra przypatrzyła się obu ujarzmionym. Była wyższa ponad próżność teraz, gdy element męski przestał być dla niej groźny. Odczuwała przychylność dla tych chłopców. Obrzuciła wzrokiem ich cienkie, sprane ubrania, połatane tu i ówdzie przez Li. Zaczepnęła natchnienia z bajek.

– Biedne dzieci – powiedziała. – Czy ojciec was bije?

Potrząsnęli głowami. Byli zaciekawieni, ale i oszołomieni.

– A czy jesteście bardzo ubodzy?

– Jak to? – zapytał Kal.

– No, czy siedzicie w popiele i musicie nosić wodę i chrust na podpałkę?

– A co to takiego? – spytał Aron.

Ominęła ten temat, mówiąc dalej:

– Kochane biedactwa – zaczęła i wydało jej się, że trzyma w ręku małą różdżkę z migoczącą gwiazdką na końcu. – Czy wasza zła macocha nienawidzi was i pragnie was zabić?

– Nie mamy żadnej macochy – odparł Kal.

– Nie mamy nikogo – dodał Aron. – Nasza matka umarła.

Jego słowa zniweczyły opowieść, którą sobie tworzyła, ale natychmiast podsunęły jej inną. Nie było już różdżki, ale miała na głowie wielki kapelusz ze strusimi piórami, a w ręku ogromny koszyk, z którego sterczały łapy indyka.

– Moje małe sieroty – powiedziała słodko. – Będę wam matką. Będę was nosiła na ręku i kołysała, i opowiadała wam bajki.

– Jesteśmy za duzi – odparł Kal. – Wywaliłabyś się.

Abra odwróciła wzrok od tego brutala. Zauważyła, że Aron jest pochłonięty jej historią. Oczy mu się uśmiechały, rzekłbyś, kołysał się w jej ramionach; znowu uczuła, że przyciąga ją do niego miłość. Zapytała przyjaźnie:

– Powiedz mi, czy wasza matka miała ładny pogrzeb?

– Nie pamiętamy – odrzekł Aron. Byliśmy za mali.

– A gdzie jest pochowana? Moglibyście zanieść kwiaty na jej grób. My zawsze tak robimy dla babci i wuja Alberta.

– Nie wiemy – odpowiedział Aron.

W oczach Kala zabłysło nowe zaciekawienie, żywe zaciekawienie bliskie tryumfu. Powiedział naiwnie:

– Spytam ojca, gdzie to jest, żebyśmy mogli zanieść kwiaty.

– Wybiorę się z wami – oświadczyła Abra. – Umiem pleść wieńce. Pokażę wam, jak to się robi. – Zauważyła, że Aron się nie odzywa. – Nie chciałbyś zrobić wieńca?

– Owszem – odparł.

Musiła go dotknąć znowu. Poklepała go po ramieniu, a potem musnęła w policzek.

– Twoja mamusia będzie z tego zadowolona – rzekła. – Nawet tam, w niebie, patrzą na ziemię i widzą wszystko. Mój ojciec mi mówił. Zna jeden wiersz o tym.

Aron powiedział:

– Pójdę zapakować królika. Mam pudełko, w którym przyszły moje spodnie.

Wybiegł ze starego domostwa. Kal patrzył za nim z uśmiechem.

– Z czego się śmiejesz? – spytała Abra.

– A, z niczego – odparł. Nie odrywał od niej oczu.

Próbowała zmusić go spojrzeniem do opuszczenia wzroku. Była w tym bardzo biegła, ale Kal nie odwrócił oczu. Z początku czuł się onieśmielony, ale teraz to przeszło i świadomość tryumfu, jakiego zaznawał, niwecząc przewagę Abry, pobudziła go do śmiechu. Wiedział, że Abra woli jego brata, ale to nie było dlań niczym nowym. Prawie każdy wołał Arona z jego złotymi włosami i tą otwartością, dzięki której jego serdeczność wybiegała ku ludziom jak psiak. Kal natomiast ukrywał głęboko swoje odczucia, które wynurzały się tylko na chwilę, gotowe zaraz cofnąć się albo zaatakować. Zamierzał właśnie ukarać Abreę za sympatię do brata, i to także nie było niczym nowym. Postępował tak, odkąd przekonał się, że to możliwe. To skryte karanie rozrosło się w nim niemal do rozmiarów czegoś twórczego.

Może różnicę między obu chłopcami da się najlepiej opisać w następujący sposób. Gdyby Aron znalazł mrowisko gdzieś na leśnej polance, położyłby się na brzuchu i obserwował zawiloci mrówczego życia – patrzyłby, jak jedne mrówki noszą pokarm swoimi drózkami, a inne znów dźwigają białe jaja. Przypatrywałby się, jak dwie mieszkanki mrowiska przy spotkaniu dotykają się wzajem czułkami i ugwarzają ze sobą. Przez wiele godzin leżałby tak, pochłonięty tą ziemną gospodarką.

Gdyby natomiast Kal natknął się na to samo mrowisko, rozrzuciłby je paroma kopniakami i obserwował oszalałe mrówki uwijające się po kłęsce. Aron zadowalał się należeniem do swego świata, natomiast Kal musiał świat odmieniać.

Kal nie kwestionował faktu, że ludzie wolą jego brata, ale wyrobił sobie metodę osiągnięcia za to satysfakcji. Planował wszystko i czekał, aż wielbiąca Arona osoba wystawi się na cios – i wtedy coś ją spotykało, a ofiara nigdy nie wiedziała, jak i dlaczego. Z zemsty Kal czerpał fluid siły, a z siły radość. Było to najmocniejsze, najczystsze przeżycie, jakie znał. Nie tylko nie czuł niechęci do Arona, ale, przeciwnie: kochał go, bo Aron zazwyczaj był przyczyną jego wewnętrznego tryumfu. Zapomniał tylko – o ile kiedykolwiek o tym wiedział – że karał, ponieważ sam pragnął być również kochany jak brat. Rzecz zaszła tak daleko, że wołał to, co jemu przypadło w udziale, od tego, co miał Aron.

Abra wyzwoliła w Kalu pewien proces, dotykając Arona i przemawiając do niego ciepłym głosem. Reakcja Kala była automatyczna. Sondował Abreę, szukając w niej jakiegoś słabego punktu, a tyle miał sprytu, że niemal od razu znalazł go w jej słowach. Niektóre dzieci chcą być ciągle malutkie, inne zaś pragnęłyby być dorosłymi. Tylko nieliczne są zadowolone ze swego wieku. Abra chciała być dorosłą. Używała "dorosłych" słów, w miarę swoich możliwości udawała "dorosłe" postępowanie i wzruszenia. Niemowlęctwo pozostawiła daleko za sobą, a nie była jeszcze zdolna stać się jedną z owych dojrzałych osób, które podziwiała. Kal wyczuł to i w ten sposób znalazł narzędzie, którym rozwalil jej mrowisko.

Wiedział, ile mniej więcej czasu zabierze bratu odszukanie pudełka. Przewidywał z góry, co będzie. Aron popróbuje zmyć krew z królika, a na to trzeba dłuższej chwili. Znalezienie sznurka też potrwa trochę, staranne zaś zawiązanie go na kokardkę jeszcze dłużej. A Kal wiedział, że przez ten czas zacznie zwyciężać. Wyczuwał, iż pewność siebie Abry jest zachwiana, i nie miał wątpliwości, że potrafi podważyć ją jeszcze bardziej. Abra nareszcie oderwała od niego wzrok i zapytała:

– Po co to się tak komuś przyglądać?

Kal popatrzał na jej stopy, po czym z wolna podniósł oczy, przesuwając po niej całej spojrzeniem tak zimnym, jak gdyby była krzesłem. Wiedział, że to może wprawić w zdenerwowanie nawet dorosłego.

Abra nie mogła tego wytrzymać. Zapytała:

– Cóż takiego zobaczyłeś?

– Ty chodzisz do szkoły? – spytał Kal.

– Pewnie, że chodzę.

– Do której klasy?

– Do piątej B.

– Ile masz lat?

– Idzie mi jedenasty.

Kal roześmiał się.

– Co ci się nie podoba? – spytała. – Nie odpowiedział. – No, mów! Co ci się w tym nie podoba? – Wciąż żadnej odpowiedzi. – Myślisz, że jesteś okropnie sprytny – rzekła, a kiedy dalej śmiał się z niej, dorzuciła niepewnie: – Ciekawe, co twój brat robi tak długo. Patrz, już przestało padać.

Kal odparł.

– Pewnie go szuka.

– Czego? Królika?

– O, nie. Królika już ma... przecież jest zabity. Ale pewnie nie może złapać tamtego drugiego. Bo to ucieka.

– Czego złapać? Co ucieka?

– Nie byłby zadowolony, gdybym ci powiedział – odrzekł Kal. – Chce ci zrobić niespodziankę. Złapał to w piątek. Nawet go ugryzło.

– O czym ty mówisz?

– Zobaczysz, jak otworzysz pudełko – odparł Kal. – Założę się, że ci powie, żebyś nie otwierała od razu.

Nie było to rzucone na chybił trafił. Kal znalazł swojego brata.

Abra czuła, że przegrywa nie tylko bitwę, ale całą wojnę. Obudziła się w niej nienawiść do tego chłopaka. Przebiegała myślą wszystkie zabójcze riposty, jakie знаła, i odrzuciła je ogarnięta zupełną bezradnością, czując, że nie odniosą żadnego skutku. Wycofała się w milczenie. Wyszła przed drzwi i popatrzyła w stronę domu, w którym byli jej rodzice.

– Już chyba wrócę – powiedziała.

– Zaczekaj – rzekł Kal.

Obróciła się, gdy do niej podszedł.

– Czego chcesz? – zapytała zimno.

– Nie złość się na mnie – odparł. – Ty nawet nie wiesz, co się tu dzieje. Trzeba ci zobaczyć plecy mojego brata.

Zaskoczyła ją zmiana jego tonu. Nie pozwalał jej ani na chwilę obrać sobie jakiejś postawy, a nieomylnie wyczytywał w niej zamięłowanie do sytuacji romantycznych. Mówił teraz głosem ścisłym i tajemniczym. Zniżyła także głos, by dostosować się do niego.

– A co takiego? Co on ma na plecach?

– Same blizny – odrzekł Kal. – To ten Chińczyk.

Wzdrygnęła się słuchając w napięciu.

– Co mu robi? Bije go?

– Gorzej – powiedział Kal.

– Dlaczego nie powiecie ojcu?

– Nie śmiemy. Wiesz, co by się stało, gdybyśmy powiedzieli?

– Nie. A co?

Potrząsnął głową.

– Nie... – zdawał się zastanawiać głęboko. – Nawet nie mam odwagi ci powiedzieć.

W tejże chwili wyszedł z szopy Li, prowadząc konia Baconów zaprzężonego do wysokiego, smukłego powoziku na gumach. Państwo Bacon wyszli przed dom i odruchowo popatrzyli w niebo. Kal powiedział:

– Teraz nie mogę nic mówić. Chińczyk by się domyślił.

Pani Bacon zawołała:

– Abra! Pospiesz się! Jedziemy.

Li przytrzymał narowistego konia, podczas gdy pani Bacon pomagano wsiąść do powozu.

Aron wypadł pędem z za domu, trzymając kartonowe pudełko zawiązane sznurkiem w wymyślne kokardki. Wyciągnął je do Abry.

– Proszę – powiedział. – Nie rozwiązuj, aż w domu.

Kal dostrzegł raptowną przemianę w twarzy Abry. Ręce jej cofnęły się przed pudełkiem.

– Weź, kochanie – odezwał się jej ojciec. – Prędko, bo robi się późno. – Wetknął jej pudełko w ręce. Kal podszedł do niej.

– Chcę ci coś powiedzieć szeptem – rzekł. Przysunął usta do jej ucha. – Posiusiałaś się w majtki.

Zaczerwieniła się i nacisnęła kapelusik na głowę. Pani Bacon wzięła ją pod pachy i dźwignęła do powozu.

Li, Adam i bliźniacy patrzyli, jak koń ruszał z miejsca dziarskim kłusem.

Przed pierwszym zakrętem ręka Abry podniosła się i pudełko poszybowało w tył, na drogę. Kal obserwował twarz brata i dostrzegł zgnębienie w jego oczach. Kiedy Adam zawrócił już do domu, a Li szedł z rynką ziarna nakarmić kury, Kal objął brata za ramiona i przytulił go na pociechę.

– Chciałem się z nią ożenić – powiedział Aron. – Włożyłem do pudełka list z oświadczeniami.

– Nie martw się – rzekł Kal. – Dam ci postrzelać z mojej strzelby.

Aron raptownie obrócił głowę.

– Przecież ty nie masz strzelby.

– Nie mam? – odparł Kal. – Nie może być.

ROZDZIAŁ XXVIII

1

Dopiero przy kolacji chłopcy zauważyli w ojcu zmianę. Przywykli do niego jako do pewnej obecności – uszu, co słuchają, ale nie słyszą, oczu, co patrzą, i nie widzą. Był dla nich ojcem-mgławicą. Nie nauczyli się opowiadać mu o swoich zainteresowaniach, odkryciach czy potrzebach. To Li był dla nich kontaktem ze światem dorosłych i Li potrafił nie tylko wychowywać, karmić, ubierać i utrzymywać w karności obu chłopców, ale jeszcze zaszczyć im szacunek dla ojca. Ojciec był dla nich tajemnicą, a jego słowa i nakazy wprowadzał w czyn Li, który naturalnie sam je wymyślał i przypisywał potem Adamowi.

Tego wieczora, pierwszego po powrocie Adama z Salinas, Kal i Aron ze zdumieniem, a potem i niejakim zmieszaniem, stwierdzili, że Adam słucha, co mówią, zadaje pytania, patrzy i widzi ich obu. Ta zmiana ich onieśmieliła.

Adam powiedział:

– Słyszałem, że byliście dziś na polowaniu?

Chłopcy od razu mieli się na baczności, jak zwykle ludzie stojący w obliczu nowej sytuacji. Po chwili milczenia Aron przyznał:

– Tak, proszę ojca.

– Ustrzeliliście coś?

Tym razem dłuższa pauza, po czym:

– Tak, proszę ojca.

– A co?

– Królika.

– Strzałą z łuku? A któryż to go trafił?

– Strzeliliśmy obaj – odrzekł Aron. – Nie wiemy który.

– To nie znacie własnych strzał? – zapytał Adam. – Jak byłem małym chłopcem, zawsześmy znaczyli sobie strzały.

Tym razem Aron nie miał ochoty odpowiadać i wikłać się w trudną sytuację Kal, odczekawszy chwilę, odrzekł:

– Ano, to była moja strzała, i owszem, tylko myślimy, że się zaplątała do kołczanu Arona.

- Czemu tak myślicie?
- Bo ja wiem – odrzekł Kal. – Ale to, zdaje się, Aron trafił tego królika. Adam przeniósł wzrok na drugiego syna.
- A ty jak uważasz?
- Ja myślę, że może go i trafiłem... ale nie jestem pewien.
- Ano, widzę, że obaj umiecie dać sobie radę z sytuacją. Niepokój zniknął z twarzy chłopców. To najwyraźniej nie była pułapka.
- Gdzie ten królik? – zapytał Adam.

Kal odpowiedział:

- Aron dał go Abrze w prezencie.
- A ona go wyrzuciła – rzekł Aron.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Poza tym chciałem się z nią ożenić.
- Naprawdę?
- Tak, proszę ojca.
- Co ty na to, Kal?
- Myślę, że bym ją odstąpił Aronowi – oświadczył Kal.

Adam roześmiał się; chłopcy nie przypominali sobie, żeby kiedykolwiek słyszeli jego śmiech.

- Czy to miła dziewczynka? – zapytał Adam.
- O, tak – odrzekł Aron. – Bardzo miła. Dobra i miła.
- No, to się cieszę, że będzie moją synową.

Li uprzątnął ze stołu, potem chwilę pobrzakał naczyniami w kuchni i wrócił.

- Jesteście gotowi się położyć? – zapytał chłopców.

Łypnęli na niego z wyraźnym protestem. Adam powiedział:

- Siadaj i pozwól im zostać jeszcze chwilę.
- Przygotowałem rachunki. Możemy je przejrzeć później – rzekł Li.
- Jakie rachunki?
- Domowe i folwarczne. Mówił pan, że pan chce zorientować się w sytuacji.
- Chyba nie wszystkie rachunki za całe dziesięć lat z górą, Li?
- Przedtem pan nigdy nie chciał, żeby panu zawracać tym głowę.
- Zdaje się, że masz rację. Ale usiądź na chwilę. Aron chce się ożenić z tą

dziewczynką, co tu dziś była.

- Czy się zaręczyli? – spytał Li.

– Nie wiem, czy już go przyjęła – odparł Adam. – Może to nam da trochę czasu.

Kal prędko wyzbył się obawy przed zmienioną atmosferą w domu i od pewnej chwili badał wnikliwym okiem to nowe mrowisko, zastanawiając się, jak je rozrzucić. Powziął decyzję.

– To jest naprawdę miła dziewczynka – oświadczył. – Polubiłem ją. A wie ojciec dlaczego? Bo powiedziała, że mamy ojca spytać, gdzie jest grób naszej matki, żebyśmy mogli zanieść tam kwiaty.

– Można by, tatusiu? – zapytał Aron. – Obiecała, że nas nauczy pleść wieńce.

Myśli Adama gnały jak szalone. Po pierwsze, nie był biegły w kłamaniu, a poza tym nie miał w tym praktyki.

Rozwiązanie przestraszyło go, tak szybko i gładko przyszło mu na język. Rzekł:

– Bardzo bym chciał, żebyście mogli to zrobić, moi drodzy. Ale muszę wam coś powiedzieć. Grób waszej matki jest na drugim końcu kraju, tam, skąd pochodziła.

– A dlaczego? – zapytał Aron.

– Ano, niektórzy ludzie chcą być pochowani tam, skąd pochodzą.

– A jak ona się tam dostała? – spytał Kal.

– Odesłaliśmy jej ciało pociągiem do domu... prawda, Li?

Li kiwnął głową.

– To samo jest u nas – rzekł. – Prawie wszystkich Chińczyków po śmierci odsyła się do Chin.

– Wiem – powiedział Aron. – Mówiłeś nam.

– Tak? – zapytał Li.

– A jakże – odparł Kal. Odczuwał niejasne rozczarowanie.

Adam pospiesznie zmienił temat.

– Pan Bacon coś mi zaproponował dziś po południu – zaczął. – Chciałbym, żebyście się nad tym zastanowili. Powiedział, że może byłoby dla was lepiej, gdybyśmy się przenieśli do Salinas. Tam są lepsze szkoły i masa dzieci, z którymi można się bawić.

Ten pomysł oszołomił chłopców. Kal zapytał:

– A co będzie tutaj?

– Ano, zatrzymałoby się ranczo na wypadek, gdybyśmy chcieli wrócić.

Aron powiedział:

– Abra mieszka w Salinas.

To mu wystarczyło. Już zapomniał o pudełku wylatującym z powozu. W pamięci miał jedynie fartuszek, głęboki kapelusik i drobne, miękkie palce.

Adam rzekł:

– No, pomyślcie sobie o tym. A teraz może już idźcie do łóżek. Dlaczego nie byliście dziś w szkole?

– Nasza pani jest chora – odrzekł Aron.

Li to potwierdził.

– Panna Culp choruje od trzech dni – powiedział. – Mają wolne aż do poniedziałku. No, chodźcie chłopcy.

Posłusznie wyszli za nim z pokoju.

2

Adam siedział, uśmiechając się w zamyśleniu do lampy i postukując palcem w kolano, dopóki Li nie wrócił. Adam zapytał go:

– Czy oni coś wiedzą?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Li.

– Ano, może to tylko rozmowa z tą dziewczynką.

Li wyszedł do kuchni i wrócił niosąc duże pudełko kartonowe.

– Tu są rachunki. Każdy rok osobno w gumowej opasce. Przejrzałem to. Niczego nie brakuje.

– Więc tu są wszystkie rachunki?

Li odrzekł:

– Znajdzie pan książeczkę z zestawieniem na każdy rok i pokwitowane rachunki na wszystko. Chciał pan się zorientować w swojej sytuacji. Tutaj jest całość. Czy pan naprawdę ma zamiar się przenieść?

– Ano, myślę o tym.

– Chciałbym znaleźć jakiś sposób, żeby pan mógł powiedzieć chłopcom prawdę.

– To by ich odarło ze wszystkich dobrych myśli o matce, Li.

– A nie pomyślał pan o innym niebezpieczeństwie?

– O jakim?

– Przypuśćmy, że dowiedzą się prawdy. Sporo osób wie.

- No cóż; może łatwiej to zniosą, jak będą starsi.
- Nie przypuszczam – rzekł Li. – Ale to nie jest najgorsze niebezpieczeństwo.
- Nie bardzo rozumiem, o co ci idzie, Li.
- Mam na myśli kłamstwo. Ono może skazić wszystko. Jeżeli się kiedykolwiek dowiedzą, że pan im kłamał w tej sprawie, może na tym ucierpieć prawda. Wtedy nie będą w nic wierzyli.

- Tak, rozumiem. Ale co ja im mogę powiedzieć? Przecież nie całą prawdę.
- Może chociaż część prawdy, tyle, żeby pan nie cierpiał, jeżeli się dowiedzą.
- Muszę się nad tym zastanowić, Li.
- Jeżeli się przeniesiecie do Salinas, niebezpieczeństwo będzie tym większe.
- Muszę to sobie rozważyć.

Li mówił dalej z uporem:

– Kiedy byłem bardzo mały, ojciec opowiadał mi o mojej matce i wcale mnie nie oszczędzał. Mówił o niej wiele razy, w miarę jak dorastałem. Oczywiście, to nie było to samo, ale dosyć straszne. A jednak jestem zadowolony, że mi powiedział. Nie chciałbym tego nie wiedzieć.

– Masz chęć pomówić o tym ze mną?

– Nie, wcale nie. Ale może to by pana skłoniło do pewnej zmiany, jeżeli idzie o chłopców. Może pan by po prostu im powiedział, że odjechała i pan nie wie dokąd.

– Kiedy wiem.

– Właśnie w tym sęk. To musi być albo cała prawda, albo częściowe kłamstwo.

Ano, nie mogę pana zmuszać.

– Pomyślę o tym – rzekł Adam. – A jak to było z twoją matką?

– Naprawdę chce pan posłuchać?

– Tylko jeżeli ty chcesz mi opowiedzieć.

– Opowiem to jak najkrócej – zaczął Li. – Moim pierwszym wspomnieniem jest wspólne mieszkanie z ojcem w małej, ciemnej budzie pośrodku łąny ziemniaków, a jednocześnie obraz ojca opowiadającego mi o matce. Jego właściwym językiem było narzecze kantońskie, ale kiedy mi powtarzał tę historię, zawsze przemawiał wyniosłą, piękną mową mandaryńską. No, dobrze. Więc panu opowiem...

I Li zajrzał w przeszłość.

– Najpierw muszę nadmienić, że kiedyście budowali koleje na Zachodzie, straszliwą pracę niwelowania terenu, układania podkładów i przykręcania szyn wykonywały tysiące Chińczyków. Byli niekosztowni, pracowali ciężko, a jeżeli

umierali, nikt nie musiał się tym przejmować. Rekrutowano ich głównie z Kantonu, bo kantończycy są krępi, silni, odporni, a poza tym niekłótlivi. Sprowadzano ich na podstawie kontraktu i dzieje mojego ojca są tu może dosyć typowe.

Trzeba panu wiedzieć, że Chińczyk musi spłacić wszystkie swoje długi w nasz Nowy Rok albo przedtem. Każdy rok rozpoczyna się na czysto. Jeżeli nie, traci twarz, ale nie dość na tym: traci twarz i jego rodzina. Nie ma tu żadnych usprawiedliwień.

– To niezły pomysł – wtrącił Adam.

– Ano, dobry czy zły, ale tak to jest. Ojciec miał pecha. Nie mógł spłacić pewnego długu. Zebrała się rodzina, żeby omówić sytuację. Nasza rodzina jest bardzo honorowa. Pech ojca nie był niczyją winą, ale nie zapłacony dług stanowił sprawę całej rodziny. Zapłacili za ojca, który musiał im to zwrócić, co było prawie niepodobieństwem.

Jedno przynajmniej robili agenci werbujący ludzi dla kompanii kolejowych: wypłacali sporą sumę pieniędzy przy podpisaniu kontraktu. W ten sposób mogli nałapać masę takich, co popadli w długi. To wszystko było rozsądne i uczciwe. Zostawała tylko jedna czarna troska.

Ojciec mój, człowiek młody, ożenił się niedawno i więź łącząca go z żoną była bardzo silna, głęboka i gorąca, a uczucie żony do niego musiało być... przemożne. Niemniej jednak pożegnali się tak, jak nakazywało dobre wychowanie, w obecności głów obu rodzin. Nieraz myślałem, że kto wie, czy dobre wychowanie nie jest amortyzatorem, który chroni serce od pęknięcia.

Stada ludzi schodziły jak zwierzęta do czarnej ładowni statku, aby tam tkwić, dopóki w sześć tygodni później nie wylądowały w San Francisco. A może pan sobie wyobrazić, jak wyglądały te nory. Jednakże towar musiał być dostarczony w stanie jako tako zdatnym do użytku, więc go nie maltretowano. A moi rodacy nauczyli się w ciągu wieków żyć w gromadzie, zachowywać czystość i odżywiać się w najnieznośniejszych warunkach.

Tydzień już byli na morzu, zanim ojciec wykrył na statku moją matkę. Przebrała się za mężczyznę, a włosy zaplotła w męski warkocz. Ponieważ siedziała spokojnie i nie wdawała się w rozmowy, więc jej nie przyłapano, no a oczywiście w owych czasach nie było żadnych badań ani szczepień. Przeniosła swoją matę bliżej ojca. Mogli rozmawiać tylko szepcząc sobie do ucha po ciemku. Ojciec gniewał się na nią za nieposłuszeństwo, ale był także rad.

No, i stało się. Byli skazani na pięć lat ciężkiej pracy. Nie przyszło im do głowy uciekać, kiedy już znaleźli się w Ameryce, bo byli ludźmi honorowymi, a podpisali kontrakt.

Li przerwał.

– Myślałem, że uda mi się to opowiedzieć w paru zdaniach – rzekł. – Ale pan nie zna całego tła. Pójdę przynieść sobie wody. Może i pan się napije?

– Owszem – odparł Adam. – Ale jednego nie rozumiem. Jak mogła kobieta wykonywać tego rodzaju pracę?

– Zaraz wrócę – powiedział Li i wyszedł do kuchni. Przyniósł cynowe kubki z wodą i postawił je na stole. Zapytał: – Więc co pan chciał wiedzieć?

– Jak mogła twoja matka wykonywać pracę mężczyzny?

Li uśmiechnął się.

– Ojciec mówił, że była silną kobietą, a ja sądzę, że taka kobieta była silniejsza od mężczyzny, zwłaszcza jeżeli miała miłość w sercu. Myślę, że kochająca kobieta jest prawie niezniszczalna.

Adam skrzywił się. Li dodał:

– Jeszcze pan kiedyś zobaczy. Zobaczy pan.

– Nie miałem nic złego na myśli – odparł Adam. – Cóż mogę wiedzieć po jednym doświadczeniu? No, mów dalej.

– Jednej rzeczy matka nie wszeptła ojcu w ucho podczas tej długiej, żalostnej podróży. A ponieważ wielu cierpiało tam strasznie na morską chorobę, więc nie zauważono jej słabości.

– Chyba nie była w ciąży?! – wykrzyknął Adam.

– Była w ciąży – odparł Li. – A nie chciała przytłaczać ojca nowymi kłopotami.

– Czy wiedziała o tym, wyruszając w drogę?

– Nie, nie wiedziała. Wybrałem się na ten świat w najnieodpowiedniejszym momencie. To dłuższa historia, niż myślałem.

– No, teraz już nie możesz przerwać – rzekł Adam.

– Chyba nie. W San Francisco ten potok ludzkich mięśni i kości spłynął do bydlęcych wagonów i lokomotywy sapiąc ruszyły w góry. Mieli przekopywać wzgórza w Sierras i wiercić tunele pod szczytami. Matkę zapędzono do innego wagonu i ojciec ją zobaczył, dopiero kiedy dojechali do obozowiska na wysokiej górskiej polanie. Było tam bardzo pięknie – zielona trawa, kwiaty i ośnieżone szczyty dookoła. I dopiero wtedy powiedziała ojcu o mnie.

Zabrali się do roboty. Muskuly kobiety twardnieją tak samo jak muskuly mężczyzny, a matka miała poza tym muskularnego ducha. Pracowała kilofem i łopatą tak, jak tego od niej wymagano, i to musiało być potworne. Ale najgorsze przerażenie ogarniało ich oboje na myśl, jak ona będzie rodzić dziecko.

Adam zapytał:

– Czyż byli tacy ciemni? Dlaczego nie mogła pójść do kierownika i powiedzieć, że jest kobietą, i to w ciąży? Na pewno by się nią zaopiekowali.

– A widzi pan? – odparł Li. – Za mało jeszcze panu powiedziałem. Dlatego to jest takie długie. Nie, nie byli ciemni. To ludzkie bydło importowano tylko w jednym celu – do pracy. Po jej wykonaniu, ci, którzy nie pomarli, mieli być odesłani z powrotem. Sprowadzano tylko samców, nie samice. W tym kraju nie chciano, żeby się rozmnażali. Mężczyzna, kobieta i dziecko mają to do siebie, że tam, gdzie się znajdują, wrastają w ziemię, zgarniają ją dokoła i wydrapują sobie w niej dom. A potem trzeba diabli wiedzą jakich wysiłków, żeby ich wyrwać z korzeniami. Natomiast rzesza mężczyzn podenerwowanych, jurnych, niespokojnych, na poły chorych z tęsknoty za kobietą – ta pójdzie wszędzie, a w szczególności do domu. Moja matka była jedyną kobietą pośród tej bandy na wpół oszalałych, na pół zdziczałych mężczyzn. Im dłużej pracowali i jedli, tym się stawali niespokojniejsi. Dla przełożonych byli nie ludźmi, lecz zwierzętami, które mogą być niebezpieczne, jeżeli ich się nie trzyma w ryzach. Teraz pan już rozumie, dlaczego matka nie poprosiła o pomoc. Ba, przecież by ją przegnali z obozu, a nawet – kto wie – może zastrzelili i zakopali jak zarażoną krowę. Zastrzelili piętnastu ludzi za drobny odruch buntu.

Nie; utrzymywano tam porządek w jedyny sposób, w jaki nauczył się utrzymywać porządek nasz biedny rodzaj ludzkości. Przypuszczamy, że muszą istnieć lepsze sposoby, ale ani rusz nie możemy ich się nauczyć – wciąż tylko bat, powróż i strzelba. Żałuję, że zaczął to panu opowiadać...

– Dlaczego miałbyś nie opowiadać? – zapytał Adam.

– Jeszcze widzę twarz ojca, kiedy mi to mówił. Stara nędza powraca, okrutna i bolesna. Opowiadając o tym, ojciec musiał przerywać, żeby odzyskać panowanie nad sobą, a kiedy zaczynał znowu, używał słów surowych, twardych i ostrych, niemal jak gdyby chciał się nimi kaleczyć.

Ojcu i matce udawało się trzymać razem dzięki temu, iż powiedzieli, że ona jest jego siostrzeńcem. Mijały miesiące i na szczęście brzuch matki nie bardzo się zaokrąglił, a pracowała stale, bez względu na to, czy miała bóle, czy nie. Ojciec mógł

jej pomagać tylko niewiele, usprawiedliwiając się tym, że siostrzeniec jest młody i kości ma kruche. Nie mieli żadnego planu. Nie wiedzieli, co robić.

A potem ojciec obmyślił sobie plan. Chciał, żeby uciekli w wysokie góry, na którąś z wyżej położonych polan, i tam, nad jeziorem, wykopali sobie jamę, w której matka urodziłaby dziecko, a kiedy byłaby już bezpieczna i dziecko przysłoby na świat, ojciec wróciłby i poniósł karę. I chciał podpisać wtedy kontrakt na dalsze pięć lat, żeby zapłacić za swego zbiegłego siostrzeńca. Chociaż to wyjście było żalosne, nie mieli jednak innego i wydawało im się najlepsze. Plan wymagał dwóch rzeczy: należało prawidłowo wyliczyć czas i zbierać zapasy żywności.

Li mówił dalej:

– Moi rodzice – tu przerwał i uśmiechnął się do tego słowa, które było tak dobre, że dodał mu jeszcze więcej ciepła – moi kochani rodzice zaczęli robić przygotowania. Odkładali część codziennej porcji ryżu, chowając ją pod maty, na których sypiali. Ojciec znalazł jakiś sznurek i wypiłował z kawałka drutu haczyk, bo w górskich jeziorach można było łowić pstrągi. Przestał palić, żeby odkładać zapałki, które im wydawano. A matka zbierała każdy strzępek materiału, jaki mogła znaleźć, szarpała brzegi, żeby wyciągnąć nitki, i za pomocą jakiejś drzazgi zszywała te łachmanki, aby przygotować dla mnie powijaki. Żałuję, że jej nie znałem.

– Ja też – rzekł Adam. – Czyś ty kiedy mówił o tym Samowi Hamiltonowi?

– Nie, nie mówiłem. A szkoda. Miła mu była pochwała duszy ludzkiej. Takie rzeczy odczuwał jako osobisty tryumf.

– Ale mam nadzieję, że rodzice się tam dostali? – zapytał Adam.

– Znam to. Kiedy ojciec mi opowiadał, też mu mówiłem: “Dojdz do tego jeziora... doprowadz tam moją matkę... niech to się stanie, przynajmniej tym razem. Choć raz opowiedz, żeście doszli do jeziora i zbudowali sobie domek z gałęzi jodłowych”. A wtedy ojciec robił się bardzo chiński. Mówił mi: “Więcej jest piękna w prawdzie, nawet jeżeli to piękno jest straszne. Bajarze spod miejskich bram przekręcają życie tak, że wydaje się słodkie trutniowi, głupcowi i człowiekowi słabemu, a to jedynie potęguje ich ułomności, nie uczy niczego, nie leczy niczego i sercu nie pozwala się wznieść”.

– Mów dalej – powiedział niecierpliwie Adam.

Li wstał, podszedł do okna i dokończył opowiadania, spoglądając na gwiazdy, które mrugały zza obłoków niesionych marcowym wiatrem.

– Niewielki odłamek skały stoczył się ze zbocza i złamał ojcu nogę. Nastawili mu ją i dali robotę dla kaleki: naprostowywanie używanych gwoździ młotkiem na kamieniu. I czy to wskutek zmartwienia, czy przepracowania – co zresztą jest obojętne – matka zaczęła rodzić przedwcześnie. Wtedy ci na wpół obłąkani ludzie dowiedzieli się i ogarnął ich szal. Jeden głód zaostrzał drugi, każdy występki zacierał poprzedni – i wreszcie wszystkie drobne występki popełnione przeciwko tym wygłodzonym ludziom rozpląmieniły się w jedną gigantyczną, obłądną zbrodnię.

Ojciec usłyszał krzyk: "Kobieta!" – i zrozumiał. Popróbował biec, ale noga złamała się pod nim powtórnie i musiał wczłgać się po wyboistej pochyłości na nasyp, gdzie to się działo.

Kiedy tam dobrnął, jakiś smutek przesłonił niebo, a kantończycy rozpełzali się milczkiem, aby się ukryć i zapomnieć, że ludzie mogą być tacy. Ojciec znalazł ją na stosie łupku. Nie miała już nawet oczu, którymi mogłaby patrzeć, ale jej usta jeszcze się poruszały, więc dawała ojcu wskazówki. Wydrapał mnie pazurami z poszarpanego mięsa mojej matki. Umarła na owym stosie łupku tego samego popołudnia.

Adam oddychał ciężko. Li mówił dalej ze śpiewnym akcentem.

– Zanim pan poczuje nienawiść do tych ludzi, musi pan wiedzieć jedno. Ojciec zawsze powtarzał to na końcu: żadne dziecko nie miało takiej opieki jak ja. Cały obóz stał mi się matką. W tym jest piękno – jakieś straszliwe piękno. A teraz dobranoc. Nie mogę mówić więcej.

3

Adam nerwowo otwierał szuflady, zaglądał na półki i podnosił wieka pudełek w całym domu, aż wreszcie musiał przywołać Li z powrotem i zapytać:

– Gdzie jest atrament i pióro?

– Nie ma pan czegoś takiego – odpowiedział Li. – Od lat nie napisał pan ani słowa. Pożyczę panu moje, jeżeli pan chce.

Poszedł do swego pokoju, przyniósł pękata butelkę atramentu, obsadkę, blok papieru i kopertę i położył to wszystko na stole. Adam zapytał:

– Skąd wiesz, że chcę napisać list?

– Chce pan napisać do brata, prawda?

– Tak jest.

– Ciężka to będzie sprawa po tak długim czasie – powiedział Li.

I była rzeczywiście ciężka. Adam przygryzał i żuł koniec obsadki, a usta wykrzywiały mu się w bolesne grymasy. Pisał kilka zdań, wyrzucał kartkę i zaczynał nową. Drapał się piórem po głowie. Wreszcie zapytał:

– Li, gdybym chciał się wybrać na Wschód, czy zostałbyś z chłopcami do mojego powrotu?

– Łatwiej pojechać niż napisać – rzekł Li. – Jasne, że zostanę.

– Albo nie. Napiszę list.

– Czemu pan nie poprosi brata, żeby tu przyjechał?

– Słuchaj, to dobra myśl! Nie przyszło mi to do głowy.

– W ten sposób ma pan powód do napisania listu, a to też jest coś warte.

List poszedł teraz dość gładko, został poprawiony i przepisany na czysto. Adam odczytał go powoli przed włożeniem do koperty. List brzmiał:

Kochany bracie Karolu!

Zdziwi cię wiadomość ode mnie po tak długim czasie. Nieraz myślałem, żeby napisać, ale wiesz, jak to człowiek odkłada takie rzeczy.

Ciekaw jestem, jak ten list cię zastanie. Ufam, że w dobrym zdrowiu. Kto wie, może już masz z pięcioro albo i dziesięcioro dzieci. Cha! Cha! Ja mam dwóch synów, bliźniaków. Matki ich tutaj nie ma. Nie służyło jej życie na wsi. Mieszka niedaleko w mieście i widują ją od czasu do czasu.

Mam piękne rancho, ale przyznaję się ze wstydem, że go nie bardzo dobrze utrzymuję. Może teraz się poprawię. Zawsze robiłem sobie dobre postanowienia. Ale przez szereg lat kiepsko się czulem. Teraz już przyszedłem do siebie.

Co u ciebie słyhać i jak ci się wiedzie? Chciałbym się z tobą zobaczyć. Może byś do mnie przyjechał z wizytą? Kraj jest wspaniały i kto wie, czy nie znalazłbyś sobie tu jakiegoś miejsca, gdzie byś chciał osiąść? Nie ma tu chłodnych zim. To ważne dla takich "starszych panów" jak my. Cha! Cha!

Więc, Karolu, mam nadzieję, że pomyślisz o tym i dasz mi znać. Podróż dobrze by ci zdołała. Chcę cię zobaczyć. Mam ci do powiedzenia wiele rzeczy, o których nie mogę pisać.

Karolu, napisz do mnie list i opowiedz wszystko, co słyhać w rodzinnym domu. Pewnie wiele się zmieniło. W miarę jak się człowiek starzeje, słyszy wciąż o

jakichś znajomych, którzy pomarli. Widać tak już musi być na tym świecie. Napisz prędko, czy przyjedziesz tu w odwiedziny.

Twój brat Adam

Siedział trzymając list w ręku i spoglądał ponad nim w posepną twarz brata z blizną na czole. Widział żar płonący w ciemnych oczach i nagle wargi rozchyliły się ukazując zęby, i z twarzy tej wychynęła ślepa, niszcząca bestia. Adam potrząsnął głową, aby wyrzucić z pamięci ów obraz i odtworzyć w myśli tę twarz uśmiechniętą. Usiłował przypomnieć sobie, jak wyglądało to czoło, zanim pojawiła się blizna, ale nie mógł sobie uzmysłwić ani jednego, ani drugiego. Chwycił za pióro i dodał pod swoim podpisem:

PS. Karolu, ja ciebie nigdy nie nienawidziłem bez względu na to, co było. Zawsze kochałem cię, bo jesteś moim bratem.

Złożył list i sprasował jego kanty paznokciem. Zakleił kopertę i przycisnął ją pięścią.

– Li! – zawołał. – Li!

Chińczyk zajrzał przez drzwi.

– Li, ile czasu musi stąd iść list na Wschód, prosto na Wschód?

– Nie wiem – odrzekł Li. – Pewnie ze dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ XXIX

1

Po wysłaniu pierwszego od dziesięciu z górą lat listu do brata Adam zaczął niecierpliwie wyglądać odpowiedzi. Zatracił rachubę czasu. Nim list zdążył dotrzeć do San Francisco, pytał sam siebie głośno w obecności Li:

– Ciekawe, dlaczego nie odpowiada. Może jest na mnie wściekły, że nie pisałem. Ale przecież sam też nie pisał. No tak, bo nie znał adresu. A może gdzieś się wyniósł?

Li odparł:

– Przecież list doszedł dopiero przed paroma dniami. Niechże mu pan da trochę czasu.

“Ciekawe, czy on tu naprawdę przyjedzie?” – pytał sam siebie Adam i zastanawiał się, czy rzeczywiście chce zobaczyć Karola. Teraz, kiedy list już został wysłany, Adam obawiał się, że Karol przyjmie zaproszenie. Był jak niespokojne dziecko, którego palce wędrują ku wszystkiemu, co jest pod ręką. Wtrącał się do chłopców, zadawał im niezliczone pytania na temat szkoły.

– No, czegoście się dziś nauczyli?

– A niczego!

– Dajcie spokój. Musieliście się czegoś nauczyć. Czytaliście coś?

– Tak jest.

– A co?

– To stare o koniku polnym i mrówce.

– A, to ciekawe.

– Jest jeszcze takie o jednym orle, co porwał dziecko.

– Tak, pamiętam. Ale zapomniałem, co się dalej stało.

– Jeszcześmy tego nie brali. Widzieliśmy tylko obrazki.

Chłopcy byli zawiedzeni. Podczas jednej z takich nieudolnych prób ojcowania synom Kal pożyczył od Adama scyzoryk w nadziei, że ojciec zapomni zażądać jego zwrotu. Ale sok zaczynał już szciodrze krążyć w wierzbach. Kora łatwo odchodziła od gałęzi, więc Adam odebrał swój scyzoryk, aby nauczyć chłopców, jak się sporządza

wierzbowe świstawki – rzecz, którą Li pokazał im już trzy lata temu. Co gorsza, Adam zapomniał, jak się robi nacięcie. Nie mógł wydobyć ze swoich świstawek nawet pisku.

Któregoś dnia w południe Will Hamilton zajechał z rumorem swym nowym Fordem, który podskakiwał na wybojach drogi. Maszyna waliła pierwszym biegiem, a jej wysoka buda kolebała się niczym skołatany burzą okręt. Mosiężna chłodnica i przymocowany na stopniu zbiornik Prestolitu błyszczały oślepiająco.

Will pociągnął lewar hamulca, przekręcił wyłącznik i rozparł się na skórzanym siedzeniu. Silnik kichnął parę razy bez zapłonu, ponieważ był przegrzany.

– Proszę, oto jest! – zawołał Will ze sztucznym entuzjazmem. Żywił do Fordów śmiertelną nienawiść, lecz przecież dzień po dniu budowały jego fortunę.

Adam i Li stali zgięci wpół nad odsłoniętymi wnętrzościami samochodu, podczas gdy Will Hamilton, sapiąc pod brzemieniem swego nowo narosłego tłuszczu, wyjaśniał im działanie mechanizmu, którego sam nie rozumiał.

Niełatwo obecnie pojąć trudności, jakie niegdyś nastreżała nauka uruchamiania, prowadzenia i utrzymywania automobilu. Cały ten proces nie tylko był skomplikowany, ale każdy musiał zaczynać po prostu od zera. Dzisiejsze dzieci wchłaniają już w kolebce teorię, nawyki oraz idiosynkrazje silnika spalinowego, ale naówczas zaczynało się z głuchym przeświadczeniem, że maszyna w ogóle nie ruszy, i czasem miało się rację. Poza tym, aby uruchomić silnik nowoczesnego auta, trzeba zrobić tylko dwie rzeczy: przekręcić kluczyk i nacisnąć starter. Wszystko poza tym odbywa się automatycznie. Dawniej ten proces był bardziej skomplikowany. Wymagał nie tylko dobrej pamięci, silnego ramienia, anielskiego charakteru i ślepej wiary, ale i niejakiego zasobu znajomości praktyk magicznych, toteż nieraz widziano, że człowiek mający zakręcić korbą Forda model T, spluwał na ziemię i mruczał pod nosem zaklęcia.

Will Hamilton wytłumaczył działanie samochodu, znów zaczął od początku i wyjaśnił je raz jeszcze. Klienci słuchali z wytrzeszczonymi oczami, rozciekawieni jak foksteriery, pełni dobrej woli, i nie przerywali mu ani słowem, lecz kiedy zaczął swe objaśnienia po raz trzeci, stwierdził, że to do niczego nie prowadzi.

– Coś wam powiem! – zawokł sprytnie. – Widzicie, to nie jest moja dziedzina. Chciałem, żebyście przed dostarczeniem wozu obejrzel go sobie i posłuchali motoru. Teraz wrócę do miasta, a jutro przyślę tu ten wóz z ekspertem, który wam w kilka minut powie więcej, niż ja bym potrafił w tydzień. Tylko chciałem, żebyście go zobaczyli.

Will sam zapomniał niektóre swoje wskazówki. Przez dłuższy czas kręcił korbą, po czym pożyczył od Adama bryczkę i konia, i odjechał do miasta, ale obiecał, że nazajutrz przyśle mechanika.

2

Następnego dnia nie mogło być mowy o posłaniu bliźniaków do szkoły. Nie poszliby za nic. Ford stał pod dębem, tam gdzie go zostawił Will, wyniosły, surowy, daleki. Nowi właściciele obchodzili go naokoło i dotykali od czasu do czasu, podobnie jak dotyka się niebezpiecznego konia, aby go udobruchać. Li powiedział:

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek do niego przywyknę.

– Jasne, że tak – odparł Adam bez przekonania. – Ani się obejrzysz, jak będziesz nim rozjeżdżał po całej okolicy.

– Postaram się go zrozumieć – rzekł Li. – Ale prowadzić nie będę.

Chłopcy podkradali się do samochodu, żeby dotknąć czegoś i zaraz odskoczyć.

– Co to jest ten figielek, tato?

– Nie ruszajcie tego.

– Ale do czego to jest?

– Nie wiem, ale nie ruszajcie. Nie wiadomo, co może się stać.

– A ten pan nie mówił?

– Nie pamiętam, co mówił. Proszę, żebyście odeszli na bok, bo będę was musiał posłać do szkoły. Słyszysz, Kal? Nie otwieraj tego.

Tego dnia wszyscy wstali i ubrali się bardzo wcześnie. O jedenastej ogarnęło ich histeryczne zdenerwowanie. Mechanik przyjechał bryczką akurat w porę na obiad. Miał trzewiki z kwadratowymi nosami, wąskie spodnie, a jego obszerny kraciasty surdut sięgał mu niemal do kolan. Obok niego, na bryczce, leżała torba z roboczym ubraniem i narzędziami. Miał lat dziewiętnaście, żuł tytoń i ze swych trzy-miesięcznych studiów na kursach samochodowych wyniósł ogromną, choć pełną znudzenia wzgardę dla istot ludzkich. Splunął i rzucił lejce czekającemu Li.

– Odstaw tego sianojada – rozkazał. – Jak się poznaje, gdzie to ma przód, a gdzie tył? – Zlazł z bryczki niczym ambasador wysiadający z pociągu specjalnego. Uśmiechnął się drwiąco do chłopców i obrócił zimno do Adama. – Mam nadzieję, że nie spóźniłem się na obiad – powiedział.

Li i Adam spojrzeli po sobie. Zupełnie zapomnieli o południowym posiłku.

Znalazszy się w domu półbóg niechętnie przyjął chleb z serem, zimne mięso, pieróg i kawę oraz kawałek placka czekoladowego.

– Jestem przyzwyczajony do ciepłego obiadu – oświadczył. – A te dzieciaki trzymajcie lepiej z daleka od wozu, jeżeli chcecie, żeby wam coś z niego zostało.

Po niespiesznym spożyciu posiłku i krótkim odpoczynku na ganku mechanik zabrał swą torbę do sypialni Adama. W kilka minut później ukazał się w pasiastym kombinezonie oraz białej czapce z wyrazem "Ford" wypisanym drukowanymi literami na przodzie.

– No – powiedział. – Poduczyłeś się pan trochę?

– Czego? – zapytał Adam.

– Toś pan nie czytał tej literatury, co jest w książce pod siedzeniem?

– W ogóle nie wiedziałem, że tam jest – odrzekł Adam.

– O rany! – powiedział z niesmakiem młody człowiek. Odważnie zebrał wszystkie swe siły moralne i zdecydowanym krokiem ruszył ku samochodowi. – Ano, nie ma rady, trzeba zacząć – powiedział. – Bóg wie, ile to czasu zabierze, jeżeli się pan nie poduczył.

Adam rzekł:

– Pan Hamilton nie mógł wczoraj uruchomić wozu.

– Bo on zawsze próbuje rozruszać go na magneto – oświadczył mędrzec. – No, dobra! Zasuwamy. Znasz pan zasady działania silnika spalinowego?

– Nie – odpowiedział Adam.

– O Chryste Panie! – Podniósł blaszaną maskę. – Toto tutaj to jest silnik spalinowy – wyjaśnił.

Li odezwał się spokojnie:

– Taki młody, a taki erudyta.

Chłopak obrócił się ostro, patrząc na niego spode łba.

– Coś powiedział? – zapytał i spojrzął na Adama. – Co ten Chiniec powiedział?

Li rozłożył ręce i uśmiechnął się uprzejmie:

– Powiedział, że baldzo splytny chłopiec – odrzekł spokojnie. – Może iść na uniwersytet. Baldzo mondli.

– Mów do mnie Joe! – zawołał młodzieniec bez żadnej widocznej przyczyny. – Uniwersytet! Co oni tam wiedzą! Potrafią nastawić przerywacz zapłonowy, co? Potrafią opłować styki? Uniwersytet!

Tu wypluł swą niepochlebną opinię brunatną śliną na ziemię. Bliźniacy popatrzyli na niego z podziwem, a Kal zebrał już ślinę na języku, żeby to przeciwiczyć. Adam rzekł:

– Li podziwiał pańską znajomość tematu.

Młodzieńca opuścił duch wojowniczy, a jego miejsce zajęła wielkoduszność.

– Mówcie do mnie Joe – powiedział. – Ja chyba powinienem się na tym znać. Chodziłem do szkoły samochodowej w Chicago. To jest prawdziwa szkoła, nie żaden tam uniwersytet. – Po chwili dodał: – Mój stary mówi, że jak się trafi dobry Chiniec, ale taki naprawdę dobry, to lepszego gościa nie znaleźć. Porządny naród.

– Ale nie ci, co są źli – powiedział Li.

– Pewnie! Nie żadne chińskie bandziory ani nic w tym guście. Ale takie dobre Chińce.

– Mam nadzieję, że mogę się do nich zaliczać?

– Ty mi wyglądasz na dobrego Chińca. Mów mi Joe.

Adam był oszołomiony tą rozmową, w przeciwieństwie do bliźniaków. Kal szepnął na próbę do Arona: – Mów mi Joe – a Aron poruszył wargami, także próbując powiedzieć: – Mów mi Joe.

Mechanik wrócił znowu do spraw zawodowych, ale ton miał łaskawszy. Rozbawiona życzliwość zajęła teraz miejsce poprzedniej wzdardy.

– Toto tutaj – powiedział – to jest silnik spalinowy.

Popatrzyli z niejakim respektem na szpetną bryłę żelaza.

Teraz młodzieniec zaczął mówić tak szybko, że słowa jego stopiły się w jakąś wielką pieśń nowej ery.

– Działa przez wybuch gazów w zamkniętej przestrzeni. Siła wybuchu naciska tłok i przez korbowód i wał korbowy przenosi się na tylne koło. Kapujecie?

Kiwnęli tępo głowami, obawiając się przerwać ten potok słów.

– Są dwa rodzaje: dwutaktowe i czterotaktowe. Ten jest czterotaktowy. Kapujecie?

Znowu kiwnęli głowami. Bliźniacy, patrząc mu w twarz z adoracją, też przytaknęli. Adam powiedział:

– To ciekawe.

Joe mówił spieszenie dalej:

– Główną różnicą między automobilem Forda a innymi rodzajami wozów jest to, że on ma planetarną skrzynkę biegów, która działa na leworu... re-wo-lu-cyjnej

zasadzie. – Przerwał na chwilę z wyraźnym wysiłkiem na twarzy, a kiedy jego czterej słuchacze ponownie kiwnęli głowami, przestrzegł ich: – Tylko niech wam się nie zdaje, że już wszystko wiecie. Planetarna skrzynka biegów jest, o tym nie zapominajcie, re-wo-lu-cyj-na. Lepiej poduczcie się tego z książki. A teraz jeżeliście już to skapowali, przejdziemy do Obsługi Automobilu.

Powiedział to tłustą czcionką, dużymi literami. Był najwyraźniej kontent, że już skończył z pierwszą częścią wykładu, ale nie bardziej kontent niż jego słuchacze. Wysilek koncentrowania myśli zaczynał im ciążyć, a sytuacji bynajmniej nie poprawiał fakt, że nie rozumieli ani jednego słowa.

– Chodźcie no tutaj – podjął młodzieniec. – Widzicie toto? To jest kluczyk do zapłonu. Jak toto przekręcicie, jesteście gotowi do jazdy. Teraz przedstawia się ten wihajsterek w lewo. W ten sposób włącza się baterię – widzicie, tu, gdzie pisze “Bat”. To znaczy bateria.

Wyciągali szyje, zaglądając do samochodu. Chłopcy stali na stopniu.

– Zaraz. Czekać. Coś przeskoczyłem. Najpierw trzeba opóźnić zapłon i dodać gazu, bo inaczej, cholera, może wam rękę odwalić. O, tu, widzicie? To jest zapłon. Popycha się do góry... kapujecie? Do góry. Prościutko w górę. A tu jest gaz. Naciska się w dół. Najpierw wam wszystko wytłumaczę, a potem to zrobię. Tylko uważajcie. A wy, chłopaki, złaźcie z wozu, bo mi zasłaniacie światło. Złaźcie, cholera.

Chłopcy niechętnie zeszli ze stopnia; teraz tylko ich oczy zerkały nad krawędzią drzwiczek. Młodzieniec głęboko zaczerpnął tchu.

– No, gotowi? Zapłon opóźniony, gaz dodany. Zapłon do góry, gaz w dół. Teraz włączyć baterię – w lewo, pamiętajcie: w lewo. – Odezwało się jakby brzęczenie gigantycznej pszczoły. – Słyszycie? To jest trzeszczenie na cewkach. Jeżeli tego nie ma, trzeba wyregulować albo opiłować styki. – Zauważył konsternację na twarzy Adama. – Możesz pan poduczyc się tego z książki – powiedział łaskawie.

Stanął przed maską samochodu.

– A to tutaj to jest korba. Widzicie ten drucik wystający z chłodnicy? To jest ssanie. Teraz dobrze uważajcie, jak wam będę pokazywał. Chwyćcie korbę, o tak, i kręćcie, póki nie zaskoczy. Widzicie, jak trzymam duży palec? Gdybym chwycił inaczej i objął korbę dużym palcem, a ona by kopnęła, mogłaby mi ten palec wyłamać. Kapujecie?

Nie spojrzał na nich, ale wiedział, że kiwiają głowami.

– Teraz patrzcie dobrze – ciągnął. – Zakręcam i podrywam korbę do góry, póki nie złapie kompresji, a wtedy wyciągam ten drucik ostrożnie, żeby zassało. Słyszycie ten głos? To właśnie jest ssanie. Ale nie trzeba zanadto ciągnąć, bo zaleje. Teraz puszczam drut i kręcę jak cholera, a jak tylko złapie, lecę do wozu, przyspieszam zapłon, a zmniejszam gaz, sięgam ręką i przerzucam na magneto – widzicie, tu gdzie pisze “Mag”? – i gotowe.

Słuchacze byli oszołomieni. Po tym wszystkim dopiero został uruchomiony motor. Młodzieniec nie folgował im jednak.

– Teraz będziecie za mną powtarzać, żebyście się nauczyli. Zapłon do góry, gaz w dół.

Powtórzyli chórem:

- Zapłon do góry, gaz w dół.
- Przełączyć na “Bat”.
- Przełączyć na “Bat”.
- Korba do kompresji, palec w dół.
- Korba do kompresji, palec w dół.
- Pomału. Zassać.
- Pomału. Zassać.
- Zakręcić.
- Zakręcić.
- Zapłon w dół, gaz do góry.
- Zapłon w dół, gaz do góry.
- Przerzucić na “Mag”.
- Przerzucić na “Mag”.
- Teraz powtórzmy od początku. Mówcie do mnie Joe.
- Mówcie do mnie Joe.
- Nie to! Zapłon do góry, gaz w dół.

Znużenie ogarnęło Adama, gdy powtarzali całą litanie po raz trzeci. Wydawało mu się to głupie. Doznał ulgi, kiedy niedługo potem Will Hamilton zajechał swym niskim, czerwonym wozem sportowym. Młodzieniec popatrzył na zbliżający się wehikuł.

- Toto ma szesnaście zaworów – powiedział z respektem. – Specjalna sztuka.
- Will wychylił się z samochodu.
- Jak wam idzie? – zapytał.

– Pierwszorzędnie – odparł mechanik. – Szybko chwytają.

– Słuchaj, Roy, muszę cię zabrać. Tamtemu nowemu karawanowi wywaliło łożysko. Będziesz musiał popracować do późna, żeby wyszykować pani Hawks wóz na jutro, na jedenastą.

Roy wyprężył się służbiście.

– Tylko zbiorę swoje łachy – powiedział i pobiegł do domu. Kiedy wracał pędem z torbą, Kal zastąpił mu drogę.

– Panie – powiedział. – Myślałem, że pan ma na imię Joe.

– Jak to, Joe?

– Przecież pan nam kazał mówić do siebie Joe. A pan Hamilton powiada, że pan jest Roy.

Roy zaśmiał się i wskoczył do auta.

– A wiesz, dlaczego każę do siebie mówić “Joe”?

– Nie. Dlaczego?

– Bo na imię mam Roy. – Nagle przestał się śmiać i powiedział surowo do Adama: – A pan wyciągnij tę książkę spod siedzenia i poducz się trochę, słyszysz pan?

– Tak zrobię – odrzekł Adam.

ROZDZIAŁ XXX

1

Podobnie jak w epoce biblijnej, działy się podówczas cuda na ziemi. W tydzień po tej lekcji główną ulicą King City przetoczył się podskakujący Ford i szarpnąwszy gwałtownie stanął przed urzędem pocztowym. Za kierownicą siedział Adam, obok niego Li, a na tylnym siedzeniu obaj chłopcy, wyprostowani i godni. Adam spojrzał na podłogę wozu, po czym wszyscy czterej zaintonowali chórem:

– Podciągnąć hamulec, dodać gazu, przekręcić wyłącznik.

Mały silnik zahuczał i umilkł. Adam siedział jeszcze przez chwilę, wyczerpany, ale dumny, po czym wysiadł. Poczmiistrz wyjrzał zza prętów pozłacanej kratki.

– Widzę, że pan sobie kupił taką cholere – powiedział.

– Trzeba iść z duchem czasu – odrzekł Adam.

– Przepowiadam, że jeszcze przyjdzie taka chwila, kiedy nie będzie można nigdzie znaleźć konia, panie Trask.

– Bardzo możliwe.

– Te samochody zmieniają całe oblicze kraju. Wszędzie już się wciska ich terkot – ciągnął poczmistrz. – Nawet tutaj to odczuwamy. Dawniej ludzie zjawiali się po pocztę raz w tygodniu. Teraz przylatują co dzień, czasem dwa razy dziennie. Nie mogą chwili poczekać na jakiś swój zatracony katalog. Nic, tylko ganiają. Wciąż ganiają w kółko. – Jego niechęć była tak gwałtowna, iż Adam domyślił się, że poczmistrz jeszcze nie kupił sobie Forda. W ten sposób objawiała się jego zazdrość. – Za nic bym nie chciał mieć czegoś takiego – mówił poczmistrz, co świadczyło, że żona go nagabuje, aby kupić samochód. W tej sprawie wywierały nacisk kobiety. Wchodziła tu bowiem w grę pozycja towarzyska.

Poczmiistrz gniewnie przerzucił listy w pudełku oznaczonym literą T i wyciągnął podłużną kopertę.

– No, odwiedzę pana w szpitalu – powiedział zjadliwie.

Adam uśmiechnął się do niego, wziął list i wyszedł.

Człowiek, który otrzymuje mało listów, nie otwiera ich z nonszalancją. Waży list na dłoni, odczytuje nazwisko nadawcy i adres na kopercie, przygląda się charakterowi pisma, bada stempel i datę. Adam wyszedł z urzędu pocztowego i zdążył

przejsć przez chodnik do samochodu, zanim to wszystko zrobił. W lewym rogu koperty wydrukowane było: "Bellows i Hanrey, Biuro Prawne", a adres biura podawał nazwę tego miasta w Connecticut, z którego przyjechał Adam.

Adam powiedział wesoło:

– Przecież ja dobrze znam Bellowsa i Hanreya. Ciekawe, czego oni chcą. – Przyjrzał się uważnie kopercie. – Skąd mogli dostać mój adres?

Odwrócił kopertę i przyjrzał się jej drugiej stronie. Li obserwował go z uśmiechem.

– Może odpowiedź na te pytania jest w liście?

– Pewnie tak – odrzekł Adam.

Zdecydowawszy się wreszcie na rozpieczętowanie listu wyjął z kieszeni scyzoryk, otworzył duże ostrze i zaczął szukać na kopercie szpary, przez którą można by je wsunąć. Ponieważ nic takiego nie znalazł, więc obejrzał list pod światło, by go nie uszkodzić, postukał palcami w kopertę, ażeby papier zsunął się w jeden koniec, i rozciął ją z przeciwnej strony. Dmuchięciem rozwarł brzegi i wydobył list dwoma palcami. Zaczął go czytać bardzo powoli.

Pan Adam Trask, King City, Kalifornia

Laskawy Panie – zaczynał się list z niejakim rozdrażnieniem. – W przeciągu ostatnich sześciu miesięcy wyczerpaliśmy wszelkie możliwe środki odnalezienia Pana. Zamieszczaliśmy bez skutku ogłoszenia w prasie po całym kraju. Dopiero kiedy tutejszy urząd pocztowy przekazał nam list Pana adresowany do brata, zdołaliśmy ustalić miejsce pańskiego zamieszkania.

Adam wyczuwał ich zaniecierpliwienie. Następny akapit wprowadzał zupełnie inny nastrój.

Jest naszym smutnym obowiązkiem zawiadomić Pana, że jego brat, Karol, rozstał się z tym światem. Zmarł na płuca dnia 12 października po dwutygodniowej chorobie i ciało jego spoczywa na tutejszym cmentarzu. Żadna płyta nie została umieszczona na jego grobie. Mniemamy, że Pan będzie sobie życzył osobiście spełnić ten smutny obowiązek.

Adam nabrał głęboko tchu i zatrzymał go w piersiach, odczytując ten fragment po raz drugi. Powoli wypuścił powietrze z płuc, uważając, aby to nie przemieniło się w westchnienie.

– Mój brat, Karol, nie żyje – powiedział.

– Bardzo panu współczuję – rzekł Li.

Kal zapytał:

– Czy to jest nasz stryj?

– To był wasz stryj Karol – odparł Adam.

– Mój też? – spytał Aron.

– Twój też.

– Nie wiedziałem, żeśmy go mieli – rzekł Aron. – Może byśmy mogli zanieść mu kwiaty na grób? Abra by nam pomogła. Ona to lubi.

– To jest bardzo daleko stąd... na drugim końcu kraju.

Aron zawołał z podnieceniem:

– Już wiem! Jak będziemy wieźli kwiaty dla matki, to weźmiemy też trochę dla stryja Karola. – Po czym dodał z odrobiną smutku: – Szkoda, że nie wiedziałem, że go mam, zanim umarł. – Czuł, że zaczyna bogacić się w zmarłych krewnych. – Czy on był miły? – zapytał.

– Bardzo miły – odpowiedział Adam. – To był mój jedyny brat, tak jak Kal jest twoim jedynym bratem.

– A wyście też byli bliźniacy?

– Nie... nie bliźniacy.

Kal zapytał:

– Bogaty był?

– Gdzież tam – odparł Adam. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ano, bo jakby był bogaty, to byśmy teraz wszystko dostali, nie?

Adam powiedział surowo:

– W chwili śmierci nieładnie jest mówić o pieniądzach. Jest nam smutno, ponieważ umarł...

– Jak mnie może być smutno? – zapytał Kal. – Nawet go nie widziałem.

Li zasłonił dłonią usta, ażeby ukryć uśmiech. Adam spojrzał na list, którego następny akapit znów zmieniał ton.

Jako pełnomocnicy prawni zmarłego mamy przyjemny obowiązek poinformować Pana, że brat Pański dzięki swojej pracowitości oraz rozsądkowi zgromadził poważną fortunę, która w ziemi, papierach wartościowych i gotówce znacznie przekracza sto tysięcy dolarów. Testament jego, sporządzony i podpisany w naszej kancelarii, znajduje się w naszym posiadaniu i zostanie Panu przekazany na każde żądanie. Zgodnie z jego postanowieniami wszystkie pieniądze, własność ruchoma i nieruchoma oraz papiery wartościowe mają być podzielone w równych częściach między Pana i Pańską małżonkę. W przypadku gdyby małżonka nie żyła, całość przypada Panu. Testament stipuluje również, że w razie gdyby się okazało, że Pan nie żyje, cała własność przypadłaby Pańskiej małżonce. Z listu Pana wnosimy, że znajduje się Pan nadal między żyjącymi, i pragniemy przesłać mu nasze gratulacje.

Pańscy powolni słudzy

*Bellows i Harvey
(-) Jeny B. Harvey*

U dołu strony były dopisane następujące słowa:

Kochany Adamie!

Nie przepominaj o sługach swoich w dniach pomyślności twojej. Karol nigdy nie wydał ani centa. Tak ścisnął każdego dolara, że aż orzeł piszczał. Mam nadzieję. Że oboje z żoną będziecie mieli trochę frajdy z tych pieniędzy. Czy tam, w waszych stronach, nie znalazłoby się miejsce dla dobrego prawnika? Mam na myśli siebie.

Twój stary przyjaciel

Jery Harvey

Adam spojrzał znad listu na chłopców i na Li. Wszyscy trzej wciąż czekali, by im odczytał to na głos. Adam zacisnął usta. Złożył list, wsunął go do koperty i starannie schował ją do wewnętrznej kieszeni.

- Czy są jakieś komplikacje? – zapytał Li.
- Nie.
- Zdawało mi się, że pan jest czymś zmartwiony.
- Nie. Smutno mi z powodu brata.

Adam usiłował uporządkować sobie w głowie wiadomości, które zawierał list, ale były one niesforne jak kura sadowiąca się na gnieździe. Czuł, że musi zostać sam, aby się z nimi oswoić. Wsiadł do samochodu i popatrzał tępo na mechanizm. Nie mógł sobie przypomnieć ani jednego ruchu.

Li zapytał:

- Może panu coś pomóc?
- Zabawne – powiedział Adam. – Zupełnie zapomniałem od czego się zaczyna.

Li i chłopcy jęli recytować z cicha:

- Zapłon do góry, gaz w dół, przełączyć na "Bat".
- A, tak. Oczywiście, oczywiście.

I podczas gdy w cewkach zabrzęczała hałaśliwa pszczoła, Adam zakręcił korbą i przybiegł, żeby przyspieszyć zapłon i przełączyć na magneto.

Jechali już z wolna pod dębami wyboistym parowem, gdy Li powiedział:

- Zapomnieliśmy kupić mięsa.
- Naprawdę? A rzeczywiście. No cóż; nie można by zjeść czego innego?
- Może jajka na boczku?
- Doskonale. Bardzo dobrze.
- Pewnie będzie pan chciał jutro wysłać odpowiedź – rzekł Li. – Można kupić

mięso wtedy.

- Ano tak – powiedział Adam.

Podczas gdy szykował się obiad, Adam siedział zapatrzony w przestrzeń. Wiedział, że będzie potrzebował pomocy Li, choćby tylko jako słuchacza, żeby rozjaśnić sobie własne myśli.

Kal wyciągnął brata na dwór i poprowadził go do wozowni, gdzie odpoczywał wysoki Ford. Otworzył drzwiczki i siadł za kierownicą.

- No chodź, włącz! – powiedział.

Aron zaprotestował.

- Przecież ojciec zabronił nam się do niego zbliżać.
- Nie dowie się. Wsiadaj!

Aron nieśmiało wdrapał się do środka i usadowił na siedzeniu. Kal zaczął kręcić kierownicą w lewo i w prawo.

– Tu – tuuu! – zawołał, a po chwili: – Wiesz, co mi się zdaje? Że ten stryj Karol był bogaty.

- Ale skąd!

- Założę się, o co chcesz.
- Myślisz, że ojciec by skłamał?
- Tego nie mówię. Ale idę o zakład, że był bogaty.

Milczeli przez chwilę. Kal pokonywał szaleńcze, wyimaginowane zakręty.

Powiedział:

- Założę się z tobą, że to wyniucham.
- Jak to?
- Masz się o co założyć?
- Nie – odrzekł Aron.

– Może o ten twój gwizdek, co jest zrobiony jak nóżka jelenia? Stawiam moją kulkę do gry przeciwko twojemu gwizdkowi, że nas zapakują do łóżek zaraz po kolacji.

Zakładasz się?

- No, mogę – odrzekł Aron. – Ale niby dlaczego?

Kal odpowiedział:

- Bo ojciec będzie chciał pogadać z Li. A ja podsłucham.
- Nie ośmielisz się.
- Tak ci się zdaje?
- A co będzie, jak powiem?

Oczy Kala stały się zimne, a twarz mu pociemniała. Pochylił się tak blisko, że jego głos przeszedł w szept.

- Nie powiesz. Bo jak byś wygadał... to ja też powiem, kto ojcu ukradł scyzoryk.
- Nikt mu nie ukradł. Przecież go ma. Otwierał nim list.

Kal uśmiechnął się blado.

– Ja mówię o tym, co będzie jutro – odrzekł, a Aron odgadł jego myśli i zrozumiał, że nie może nic powiedzieć. Nie miał na to rady. Kal był zupełnie bezpieczny.

Kal zauważył zmieszanie i bezradność w twarzy Arona, poczuł własną siłę i to go uradowało. Potrafił przechytryć brata i pokrzyżować jego plany. Zaczynał przypuszczać, że to samo udałoby mu się z ojcem. Na Li sztuczki Kala nie działały, ponieważ łagodny umysł Chińczyka wyprzedzał go bez trudu i zawsze oczekiwał w danym punkcie, rozumiejąc wszystko i przestrzegając spokojnie w ostatniej chwili: “Nie rób tego”. Kal czuł przed Li respekt i odrobinę strachu. Natomiast ten Aron, patrzący nań bezradnie, był bryłą miękkiej gliny w jego rękach. Kal nagle poczuł głęboką miłość do brata i chęć osłaniania Arona w jego słabości. Objął go.

Aron nie cofnął się ani nie odpowiedział mu tym samym. Odsunął się tylko trochę, żeby widzieć twarz Kala.

Kal zapytał:

– Co się patrzysz? Trawa mi z głowy wyrosła?

– Nie wiem, dlaczego ty musisz to robić – powiedział Aron.

– Jak to? Co robić?

– Te wszystkie paskudne oszukaństwa – odparł Aron.

– Co za oszukaństwa?

– Ano, jak z tym królikiem albo teraz z włazieniem tu, do samochodu. A z Abłą też coś zrobiłeś. Nie wiem co, ale ona przez ciebie wyrzuciła to pudełko.

– Ho, ho! – zawołał Karol. – Chciałbyś wiedzieć! – Jednakże czuł się nieswojo.

Aron powiedział z wolna:

– Tego wcale nie chcę wiedzieć. Chciałbym wiedzieć, po co to robisz. Zawsze coś kombinujesz. Ja tylko tak sobie myślę: dlaczego? Co z tego masz?

Ból przeszył serce Kala. Własne plany wydały mu się nagle nędzne i podłe. Wiedział, że brat go przejrzał na wylot. I pragnął, żeby Aron go kochał. Czuł się zagubiony i głodny i nie miał pojęcia, co robić.

Aron otworzył drzwiczki Forda, wysiadł i wyszedł z wozu. Kal jeszcze chwilę kręcił kierownicą, usiłując wyobrazić sobie, że pędzi po drodze. Ale to się na nic nie zdało i niebawem ruszył za Aronem w stronę domu.

2

Kiedy skończyli kolację, a Li zmył naczynia, Adam powiedział:

– Myślę, chłopcy, że lepiej połóżcie się spać. Mieliśmy męczący dzień.

Aron szybko zerknął na Kala i powoli wyciągnął gwizdek z kieszeni. Kal powiedział:

– Nie chcę tego.

– Teraz jest twój – odparł Aron.

– Kiedy go nie chcę. Nie wezmę.

Aron położył kościany gwizdek na stole.

– Będzie tu leżał, aż go weźmiesz – powiedział.

Adam wtrącił się do rozmowy:

– Słuchajcie no, co to za dyskusje? Powiedziałem, że macie iść do łóżek.

Kal przybrał minę niewiniątka.

– A dlaczego? – zapytał. – Jeszcze za wcześnie.

Adam odparł:

– Właściwie nie powiedziałem wam prawdy. Chcę porozmawiać sam na sam z Li. A że już robi się ciemno i nie możecie wyjść na dwór, więc proszę, żebyście poszli do łóżka... a już przynajmniej do swojego pokoju. Zrozumieliście?

Obaj chłopcy odpowiedzieli: – Tak jest – po czym prowadzeni przez Chińczyka poszli korytarzem do swej sypialni na tyłach domu. Wrócili jeszcze w nocnych koszulach, żeby powiedzieć ojcu dobranoc.

Li wszedł do bawialni i zamknął drzwi od sieni. Wziął gwizdek ze stołu, obejrzał go i odłożył.

– Ciekaw jestem, co to było? – powiedział.

– A co takiego, Li?

– Ano, przed kolacją zrobili jakiś zakład, a zaraz po kolacji Aron go przegrał i zapłacił. Co myśmy tu mogli mówić?

– Pamiętam tylko, że kazałem im położyć się do łóżka.

– Może to później wypłynie – rzekł Li.

– Wydaje mi się, że przywiązujesz za dużą wagę do spraw dzieci. Prawdopodobnie to nie miało żadnego znaczenia.

– Owszem, miało jakieś znaczenie. – Po chwili dodał: – Proszę pana, czy pan sądzi, że myśli ludzkie stają się nagle ważne w pewnym określonym wieku? Czy pan ma żywsze uczucia albo jaśniejsze myśli teraz, niż kiedy miał pan lat dziesięć? Czy pan równie dobrze widzi, równie dobrze słyszy i ma tak samo wyczulony smak?

– Może to i racja – powiedział Adam.

– Zdaje mi się, że jest wielkim nieporozumieniem przypuszczać, jakoby czas dawał coś człowiekowi poza latami i smutkiem.

– I wspomnieniami.

– Tak, i wspomnieniami. Bez tego czas byłby wobec nas bezbronny. O czym pan chciał ze mną mówić? Adam wyjął z kieszeni list i położył go na stole.

– Proszę cię, żebyś to przeczytał, przeczytał uważnie, a potem... chcę porozmawiać na ten temat.

Li wyjął i nałożył szkła. Wziął list i odczytał go pod lampą. Adam zapytał.

– Co ty na to?

– No i czy znajdzie się tu miejsce dla dobrego prawnika?

– Jak to? A, rozumiem. Żartujesz sobie?

– Nie – odrzekł Li. – Nie żartowałem. Na swój mglisty, ale kurtuazyjny, orientalny sposób dałem panu do zrozumienia, że wolałbym znać pańskie zdanie, zanim wypowiem swoje.

– Czyżbyś chciał do mnie mówić z góry?

– Tak jest – odparł Li. – Teraz odrzucę moją orientalną manierę. Starzeję się i tetryczeję. Zaczynam się robić niecierpliwy. Chyba pan słyszał, że wszyscy chińscy służący na starość pozostają wierni, ale robią się nieznośni?

– Nie chciałem cię urazić.

– Wcale mnie pan nie uraził. Chce pan pomówić o tym liście. Więc niech pan mówi, a ja z pańskich słów wywnioskuję, czy mogę przedstawić uczciwie swoją opinię, czy też lepiej zrobię, utwierdzając pana w pańskiej.

– Nie rozumiem tego listu – powiedział Adam bezradnie.

– Ano, pan znał swojego brata. Jeżeli pan nie rozumie, to jakże mogę zrozumieć ja, który go na oczy nie widziałem?

Adam wstał, otworzył drzwi do sieni i nie zauważył cienia, który się za nie wśliznął. Poszedł do swego pokoju, wrócił i położył na stole przed Li wyblakły brunatny dagerotyp.

– To jest mój brat, Karol – powiedział, po czym zawrócił do drzwi i zamknął je.

Li uważnie obejrzał pod lampą lśniąca płytkę metalu, pochylając ją to w tę, to w tamtą stronę, aby mu nie przeszkadzał połysk.

– To było robione dawno temu – rzekł Adam. – Jeszcze zanim poszedłem do wojska. Li pochylił się nad wizerunkiem.

– Trudno tu coś rozeznąć. Ale sądząc po wyrazie twarzy, nie powiedziałbym, żeby pański brat miał wiele humoru.

– Nie miał wcale – potwierdził Adam. – Nie śmiał się nigdy.

– Mnie właściwie nie o to idzie. Kiedy czytałem postanowienia testamentu pańskiego brata, uderzyło mnie, że musiał to być człowiek o szczególnie brutalnym instynkcie gry. Czy on pana lubił?

– Nie wiem – odpowiedział Adam. – Czasem zdawało mi się, że mnie kocha. Raz próbował mnie zabić.

Li rzekł:

– Tak, to ma wypisane na twarzy – zarówno miłość, jak morderstwo. A te dwie rzeczy zrobiły z niego skąpca, skąpiec zaś jest to przestraszony człowiek, kryjący się w fortecy z pieniędzy. Czy brat znał pańską żonę?

– Tak.

– Kochał ją?

– Nienawidził jej.

Li westchnął.

– To właściwie obojętne. Nie w tym tkwi pański problem, prawda?

– Nie.

– Czy zechciałby pan wydobyć ten problem i przypatrzeć mu się?

– Tego właśnie chcę.

– No to proszę.

– Jakoś nie mogę sobie uporządkować myśli.

– Chce pan, żebym wyłożył za pana karty? Człowiek nie zainteresowany bezpośrednio może to czasem zrobić.

– O to właśnie proszę.

– Więc dobrze. – Nagle Li parsknął i na twarzy pojawił mu się wyraz zdumienia. Drobnią, chudą dłonią chwycił się za swą krągłą brodę. – Do diaska! – zawołał. – To mi nie przyszło na myśl.

Adam poruszył się niespokojnie na krześle.

– Wolałbym, żebyś dał spokój z tym tonem – powiedział rozdrażniony. – Czuję się zupełnie jak kolumna cyfr na tablicy.

Li wyjął z kieszeni fajkę o długim, cienkim cybuchu hebanowym, z maleńką mosiężną czarką na końcu. Nabił ów naparstek tytoniem krajany tak cienko, że wyglądał jak włosy, potem zapalił, pociągnął cztery razy i pozwolił fajce wygasnąć.

– Czy to opium? – zapytał Adam.

– Nie – odrzekł Li. – To jest tani gatunek chińskiego tytoniu, dość nieprzyjemny w smaku.

– To po co go palisz?

– Czy ja wiem – odpowiedział Li. – Zdaje się, że mi coś przypomina... coś, co mi się kojarzy z jasnością. Niezbyt to skomplikowane. – Powieki Li na wpół się przymknęły.

– Więc dobrze... Postaram się wyciągnąć pańskie myśli jak makaron i osuszyć je na słońcu. Ta kobieta jest nadal pańską żoną i nadal żyje. Zgodnie z literą

testamentu dziedziczy coś ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To bardzo duża suma. Można nią zdziałać sporo dobrego albo złego. Czy pana brat, gdyby wiedział, gdzie ona teraz jest i czym się zajmuje, chciałby, żeby dostała te pieniądze? Sądy zawsze starają się iść za intencją testatora.

– Mój brat nie chciałby tego – odrzekł Adam. A potem przypomniał sobie dziewczyny na piętrze nad zajazdem i regularne wizyty u nich Karola.

– Możliwe, że pan będzie musiał teraz myśleć za brata – mówił Li. – To, co pańska żona robi, nie jest ani dobre, ani złe. Święci mogą wyrastać z każdej gleby. Może tymi pieniędzmi zdziałałaby coś wspaniałego. Nie ma lepszej odskoczni do filantropii niż nieczyste sumienie.

Adam wzdrygnął się.

– Powiedziała mi, co by zrobiła, gdyby miała pieniądze. Bliższe to było morderstwa niż dobroczynności.

– Więc pan uważa, że nie powinna dostać tych pieniędzy?

– Mówiła, że zniszczyłaby wielu szanowanych ludzi z Salinas. A jest w stanie to zrobić.

– Rozumiem – powiedział Li. – Cieszę się, że mogę mieć na to bezstronny pogląd. Spodnie ich reputacji mają widać mocno przetarte miejsca. Czyli że z moralnego punktu widzenia pan byłby przeciwny oddaniu jej pieniędzy?

– Tak.

– Ano, niech pan się nad tym zastanowi. Ona nie ma nazwiska ani żadnych powiązań. Kurwa wyskakuje gotowa spod ziemi. Gdyby nawet dowiedziała się o tych pieniądzach, nie mogłaby dochodzić swoich praw bez pańskiej pomocy.

– Chyba tak. Tak, zgadzam się, że nie mogłaby tego egzekwować beze mnie.

Li wziął fajkę, wydlubał z niej popiół małą mosiężną szpilką i ponownie nabił czarkę. Kiedy z wolna pociągał cztery razy, jego ciężkie powieki podniosły się i spojrzał na Adama.

– To jest bardzo delikatny problem moralny – powiedział. – Za pańskim pozwoleniem przedłożę go pod rozagę moim czcigodnym krewnym – nie wymieniając żadnych nazwisk, rzecz jasna. Obejrzą go ze wszystkich stron jak chłopiec szukający kleszczy na psie. Na pewno otrzymają jakieś interesujące wyniki. – Położył fajkę na stole. – Ale pan nie ma wyboru, prawda?

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Adam.

– No, bo czy pan ma? Czyżby pan gorzej znał siebie niż ją?

– Nie mam pojęcia, co robić – odparł Adam. – Będę musiał dobrze się nad tym zastanowić.

Li powiedział gniewnie:

– Widzę, że tylko tracę czas. Czy pan kłamie sobie samemu, czy tylko mnie?

– Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! – zawołał Adam.

– Czemu nie? Zawsze nie cierpiałem fałszu. Pańska linia postępowania jest już wytyczona. To, co pan robi, jest wypisane – wypisane w każdym oddechu, jakiego pan kiedykolwiek zaczerpnął. Będę mówił tak, jak chcę. Jestem rozdrażniony. Czuję piasek pod skórą. Nie mogę się już doczekać stęchłego zapachu starych książek i słodkiej woni mądrych myśli. Znalazłszy się w obliczu dwóch norm moralnych postąpi pan według swego obyczaju. To, co pan nazywa zastanawianiem się, niczego tu nie zmieni. Fakt, że pańska żona jest kurwą w Salinas, nie będzie miał żadnego znaczenia.

Adam wstał. Twarz miał gniewną.

– Teraz, kiedy już postanowiłeś odejść, robisz się zuchwały! – zawołał. – Powiadam ci, że jeszcze się nie zdecydowałem, co robić z pieniędzmi.

Li westchnął głęboko. Dźwignął swój drobny korpus, opierając ręce na kolanach. Znużonym krokiem podszedł do drzwi frontowych i otworzył je. Obrócił się i uśmiechnął się do Adama.

– A gównu! – powiedział uprzejmie, po czym wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

3

Kal cicho przemknął się ciemnym korytarzem i wśliznął do pokoju, w którym sypiał z bratem. Dojrzał zarys głowy Arona na poduszce w podwójnym łóżu, ale nie mógł rozeznaczyć, czy śpi. Bardzo ostrożnie położył się na bok, obrócił powoli na wznak i zaplótłszy dłonie pod głowę wpatrzył się w miliardy maleńkich barwnych punkcików, które tworzą ciemność. Zasłona w oknie powoli wydymała się do wewnątrz, ale wkrótce mocny wiatr ucichł i tylko klapała z cicha o futrynę.

Spląnęła na niego szara, głucha melancholia. Żałował całym sercem, że podsłuchiwał skulony pod drzwiami w korytarzu. Poruszał w ciemnościach wargami i formował sobie słowa milcząco, w myśli, a jednak słyszał je wyraźnie.

“Dobry Boże – mówił – pozwól, żebyśmy byli taki jak Aron. Nie daj, żebyśmy byli zły. Bo ja nie chcę. Jeżeli tak zrobisz, żeby mnie wszyscy lubili, to dam ci wszystko na

świecie, a jak bym czegoś nie miał, to na głowie stanę, żeby to dostać. Nie chcę być zły. Nie chcę być sam. W imię Jezusa Chrystusa, amen".

Gorące łzy spływały mu wolno po policzkach. Był cały napięty i walczył z sobą, aby nie zaszlochać czy nie pociągnąć nosem.

Aron, leżący obok na poduszce, szepnął w ciemności:

– Zimno ci. Pewnie się przeziębilesz. – Dotknął ręki Kala i wyczuł na niej gęsią skórę. Zapytał cicho: – No i czy ten stryj Karol miał jakieś pieniądze?

– Nie – odrzekł Kal.

– A tyle czasu cię nie było. O czym ojciec chciał mówić?

Kal leżał nieruchomo, usiłując zapanować nad swym oddechem.

– Nie chcesz powiedzieć? – zapytał Aron. – Możesz nie mówić; mnie nie zależy.

– Powiem – szepnął Kal. Obrócił się na bok, plecami do brata. – Ojciec ma posłać wieniec dla matki. Wielki jak nie wiem co, cały z goździków.

Aron podniósł się na łóżku i zapytał z podnieceniem:

– Naprawdę? A jak go tam pośle?

– Pociągiem. Nie mów tak głośno.

Aron znów zniżył głos do szeptu.

– Ale jakim sposobem dojdzie świeży?

– Na lodzie – odrzekł Kal. – Obłożą cały lodem.

– To chyba będzie trzeba kupę lodu? – zapytał Aron.

– Do cholery i trochę – odpowiedział Kal. – A teraz idź spać.

Aron milczał chwilę, po czym szepnął:

– Chciałbym, żeby doszedł na miejsce świeży i śliczny.

– Dojdzie – rzekł Kal. A w myśli wołał: "Nie daj, żebym był zły".

ROZDZIAŁ XXXI

1

Adam kołatał się po domu przez całe rano, a w południe wyszedł odszukać Li, który spulchniał szpadlem ciemną, nawiezioną kompostem ziemię w swoim warzywnym ogrodzie i sadił wiosenne jarzyny – marchew i buraki, rzepę, groch i fasolę, kalarepę i kapustę. Grządki były zasadzone równo, pod naciągnięty sznur, a każda oznaczona dla rozpoznania opakowaniem od nasion zatkniętym na kołku u jej końca. Na skraju ogrodu, pod oknem inspektowym, flance pomidorów, papryki i kapusty, już prawie gotowe do przesadzenia, czekały tylko, by minęło niebezpieczeństwo przymrozków.

Adam powiedział:

– Mam wrażenie, że zachowałem się głupio.

Li oparł się na motyce i popatrzył na niego spokojnie.

– Kiedy pan jedzie? – zapytał.

– Chciałem złapać ten pociąg o drugiej czterdzieści. A wróciłbym tym o ósmej.

– Bo, wie pan, można by też napisać to w liście – rzekł Li.

– Zastanawiałem się nad tym. A ty byś napisał list?

– Nie. Pan ma rację. Teraz to ja jestem głupi. Żadnych listów.

– Muszę jechać – mówił Adam. – Przemyślałem to na wszystkie boki i za każdym razem coś mnie zapędzało z powrotem jak batem.

Li powiedział:

– Można być nieuczciwym pod różnymi względami, ale nie w takim wypadku. Ano, życzę panu powodzenia. Ciekaw będę usłyszeć, co ona powiedziała i zrobiła.

– Wezmę bryczkę – powiedział Adam. – Zostawię ją w remizie w King City. Denerwuję się, jak sam jadę Fordem.

Była czwarta piętnaście, kiedy Adam wszedł po rozklekotanych schodkach i zapukał do odrapanych drzwi domu Kate.

Otworzył mu jakiś nowy posługacz, Fin o kanciastej twarzy, ubrany w spodnie i koszulę, której bufiaste rękawy podtrzymywane były za pomocą czerwonych gumek. Kazał Adamowi poczekać na ganku, a po chwili wrócił i poprowadził go do jadalni.

Był to duży, niczym nie ozdobiony pokój o ścianach i boazerii pomalowanych na biało. Środek wypełniał długi prostokątny stół, a na białym ceratowym obrusie stały nakrycia – talerze, spodki, na nich zaś odwrócone do góry dnem filiżanki.

Kate siedziała przy końcu stołu nad otwartą książką rachunkową. Strój jej był surowy. Na czole miała zielony celuloidowy daszek, a w palcach obracała nerwowo żółty ołówek. Gdy Adam stanął w progu, spojrzała na niego zimno.

– Czego znów chcesz? – zapytała.

Fin przystanął za Adamem.

Adam nie odpowiedział. Podszedł do stołu i położył przed nią list na książce rachunkowej.

– Co to takiego? – spytała i nie czekając na odpowiedź szybko przeczytała list.

– Wyjdź i zamknij drzwi – rozkazała Finowi.

Adam usiadł obok niej przy stole. Odsunął nakrycie, by zrobić miejsce na kapelus. Kiedy drzwi się zamknęły, Kate spytała:

– To ma być żart? Nie, ciebie żarty się nie trzymają. – Zastanowiła się. – A może twój brat robi kawały? Jesteś pewien, że nie żyje?

– Mam tylko ten list – powiedział Adam.

– I co ja mam z tym zrobić?

Adam wzruszył ramionami. Kate powiedziała:

– Jeżeli ci się zachciewa, żebym coś podpisała, to tylko tracisz czas. Czego chcesz?

Adam z wolna przesunął palcem po czarnej wstążce swego kapelusza.

– Może byś sobie zanotowała adres tego biura i sama skomunikowała się z nimi.

– Coś ty im o mnie napisał?

– Nic – odpowiedział Adam. – Napisałem tylko do Karola, że mieszkasz osobno, w mieście, nic więcej. Karol już nie żył, kiedy to przyszło. List przekazali adwokatom. Zresztą tu jest o tym mowa.

– Ten, co dopisał postscriptum, to widać twój przyjaciel. Coś tam mu nawypisywał?

– Jeszcze nic nie odpowiedziałem.

– A co masz zamiar odpowiedzieć?

– To samo. Że mieszkasz osobno, w mieście.

– Nie możesz napisać, żeśmy się rozwiedli, bo tak nie jest.

– Wcale nie mam zamiaru.

– Chcesz wiedzieć, ile będzie trzeba, żeby odkupić moje prawa? Wezmę czterdzieści pięć tysięcy gotówką.

– Nie.

– Jak to, nie? Nie możesz się targować.

– Ja się nie targuję. Masz list, wiesz tyle samo, co ja. Rób, co ci się podoba.

– Coś ty taki ważny?

– Czuję się bezpieczny.

Zerknęła na niego spod zielonego, przezroczystego daszka. Małe pukle jej włosów leżały na nim niby pnącze wina na zielonym dachu.

– Adamie, jesteś głupiec. Gdybyś trzymał język za zębami, nikt by się nie dowiedział, że ja żyję.

– Wiem o tym.

– Wiesz? Toś może myślał, że będę się bała żądać tych pieniędzy? Jeżeli tak, toś głupi jak but.

Adam odpowiedział cierpliwie:

– Wszystko mi jedno, co zrobisz.

Uśmiechnęła się do niego cynicznie.

– Wszystko ci jedno, tak? A gdybym ci powiedziała, że w biurze szeryfa jest stały nakaz, wystawiony jeszcze przez poprzedniego szeryfa, że jeżelibym kiedykolwiek użyła twojego nazwiska albo przyznała, że jestem twoją żoną, mają mnie wylać z tego okręgu i ze stanu. No co? Nie kusi cię to?

– Do czego ma mnie kusić?

– Żeby mnie stąd przegnać i zabrać sobie wszystkie pieniądze.

– Przyniosłem ci list – powiedział Adam cierpliwie.

– Chcę wiedzieć dlaczego.

Adam odrzekł:

– Nie interesuje mnie to, co myślisz w ogóle czy o mnie. Karol zapisał ci w testamencie pieniądze. Nie stawiał żadnych warunków. Testamentu nie widziałem, ale on życzył sobie, żebyś te pieniądze dostała.

– Prowadzisz ze mną grę o pięćdziesiąt tysięcy dolarów – odparła – tylko że ci się nie uda. Nie wiem, na czym tu dowcip polega, ale się dowiem. – A po chwili dorzuciła: – A zresztą, co ja gadam. Przecież ty nie masz za grosz sprytu. Któż to jest twoim doradcą?

- Nikt.
- Może ten Chińczyk? To spryciarz.
- Nie dawał mi żadnych rad.

Adama ciekawił własny brak wszelkiego wzruszenia. Właściwie nie odczuwał, że tu w ogóle jest. Kiedy spojrział na Kate, przychwycił na jej twarzy wyraz, którego dotąd nie widział. Kate się bała – bała się go. Ale czemu?

Opanowała się i starła łęk z twarzy.

– Robisz to tylko dlatego, żeś taki uczciwy, co? Ty jesteś po prostu za słodziutki, żeby żyć.

– W ogóle się nad tym nie zastanawiałem – odparł Adam. – To są twoje pieniądze, a ja nie jestem złodziejem. Wszystko mi jedno, co o tym myślisz.

Kate zsunęła daszek na tył głowy.

– Chcesz, żebym myślała, że mi dajesz te pieniądze w prezencie. Poczekaj, ja jeszcze się dowiem, co ty knujesz. Niech ci się nie zdaje, że nie potrafię się bronić. Myślałeś, że połknę taki głupi haczyk?

– Gdzie odbierasz swoją pocztę? – zapytał spokojnie.

– A co ci do tego?

– Napiszę do adwokatów, żeby się z tobą skontaktowali.

– Ani się waż! – zawołała. Włożyła list do książki rachunkowej i zamknęła ją. – Ja to zatrzymuję. Zasięgnę porady prawnej. Nie myśl, że nie. Teraz już możesz nie udawać niewiniątka.

– Zrób tak – powiedział Adam. – Chcę, żebyś dostała to, co ci się należy. Karol zapisał ci te pieniądze, więc nie są moje.

– Dowiem się, na czym kawał polega. Ja to rozgryzę.

Adam rzekł:

– Zdaje się, że nie możesz zrozumieć. Mało mnie to obchodzi. Tyle jest rzeczy, których sam nie rozumiem. Nie rozumiem, jak mogłaś strzelić do mnie i opuścić swoich synów. Nie rozumiem, jak ty czy ktokolwiek inny może żyć w ten sposób. – Ruchem ręki pokazał pokój.

– A kto cię prosi, żebyś rozumiał?

Adam wstał i wziął ze stołu kapelusz.

– Zdaje się, że to już wszystko – powiedział. – Do widzenia. – Ruszył w stronę drzwi. Zawołała za nim:

– Zmieniłeś się, panie Szczurku. Możesz sobie w końcu wziąć jakąś babę?

Adam zatrzymał się i obrócił wolno, a w oczach miał zamyślenie.

– Nad jedną rzeczą się nie zastanowiłem – odrzekł i zaczął iść ku Kate, aż stanął nad nią, tak że musiała zadrzeć głowę, aby mu spojrzeć w twarz. – Mówiłem, że cię nie rozumiem – powiedział powoli. – A w tej chwili przyszło mi na myśl, czego ty nie rozumiesz.

– I czegoż to nie rozumiem, panie Szczurku?

– Znasz w ludziach tylko szpetotę. Pokazywałaś mi tamte fotografie. Wykorzystujesz wszystkie smutne słabości człowieka, a Bóg świadkiem, że ich nie brak.

– Każdy...

Adam mówił dalej, zdumiony własnymi myślami:

– Ale ty... tak, tak jest... ty nic nie wiesz o całej reszcie. Nie wierzysz, że przyniosłem ci ten list dlatego, że nie chcę twoich pieniędzy. Nie wierzysz, że cię kochałem. A ci ludzie, którzy tutaj do ciebie przychodzą ze swoją szpetotą, ci z fotografii... nie wierzysz, że oni też mogliby mieć w sobie dobroć i piękno. Widzisz tylko jedną stronę i myślisz – więcej: jesteś pewna – że nie ma nic poza tym.

Prychnęła szyderczo:

– Bagatela! Cóż to za słodki marzyciel ten pan Szczurek. Palnijże mi kazanie, Szczurku.

– Nie. Bo teraz już wiem, że w tobie czegoś brak. Niektórzy ludzie nie widzą koloru zielonego, ale mogą się o tym nigdy nie dowiedzieć. Mam wrażenie, że ty jesteś tylko częścią ludzkiej istoty. Nie mogę nic na to poradzić. Ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek czujesz, że dokoła ciebie jest coś niewidzialnego. Straszne by było, gdybyś wiedziała, że to istnieje, a nie mogła tego dojrzeć ani wyczuć. To byłoby potworne.

Kate odsunęła krzesło i wstała. Pięści miała przyciśnięte do boków i ukryte w fałdach spódnicy. Starła się pohamować piskliwość, która zakradła się do jej głosu.

– Nasz Szczurek jest filozofem – powiedziała. – Ale naszemu Szczurkowi i to nie wychodzi lepiej niż co innego. Słyszałaś ty kiedy o halucynacjach? Jeżeli są rzeczy, których ja nie widzę, to czy nie wydaje ci się, że mogą być urojeniami sfabrykowanymi w twojej własnej chorej głowie?

– Nie – odpowiedział Adam. – Nie sądzę. I nie wydaje mi się, żebyś ty tak myślała.

Odwrócił się, wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Kate usiadła i wpatrzyła się w zamknięte drzwi. Nie była świadoma, że jej pięści uderzają lekko o ceratę. Wiedziała natomiast, że biały prostokąt drzwi jest zniekształcony przez łzy i że jej ciałem wstrząsa coś, co przypomina wściekłość, ale przypomina też żal.

2

Adam wyszedłszy od Kate miał przed sobą przeszło dwie godziny czekania na pociąg powrotny do King City. Pod wpływem nagłego impulsu skręcił z ulicy Głównej w Aleję Centralną i doszedł do numeru 130 – wysokiego białego domu Ernesta Steinbecka. Był to niepokalanie czysty, przyjemny budynek, dość okazały, choć nie pretensjonalny; stał za białym parkanem, otoczony przyszyżonymi trawnikami, a róże i krzaki pigwy oplatały jego białe ściany.

Adam wszedł po szerokich schodach na werandę i zadzwonił. Oliwia podeszła do drzwi i uchyliła je; zza niej zerkali Maria i John. Adam zdjął kapelusz.

– Pani mnie nie zna. Jestem Adam Trask. Ojciec pani był moim przyjacielem. Chciałbym złożyć uszanowanie pani Hamilton. Opiekowała się kiedyś moimi chłopcami.

– Ależ oczywiście! – zawołała Oliwia i otworzyła szerokie drzwi. – Znamy pana ze słyszenia. Może pan chwileczkę zaczeka. Widzi pan, myśmy tu urządzili coś w rodzaju zacisza dla mamy.

Zapukała do drzwi wychodzących na obszerny frontowy hall i zawołała:

– Mamo! Przyszedł do mamy ktoś znajomy.

Otworzyła drzwi i wpuściła Adama do miłego pokoju, w którym zamieszkiwała Liza.

– Zechce pan mi wybaczyć – powiedziała. – Katrina piecze kurczęta i muszę jej dopilnować. Johnie! Mario! Chodźcie no, chodźcie!

Liza wydała się jeszcze drobniejsza niż dawniej. Siedziała w trzcinowym fotelu bujanym i była stara, bardzo stara. Na sobie miała sutą, obszerną spódnicę z czarnej alpagi, a pod szyją broszkę z wyrazem "Matka" wypisanym złotymi literami.

Przyjemna, mała sypialnia-salonik była wypełniona fotografiami, flakonami wody toaletowej, koronkowymi poduszczkami do szpilek, szczotkami i grzebieniami, porcelanowymi i srebrnymi drobiazgami z wielu urodzin i świąt Bożego Narodzenia.

Na ścianie wisiała ogromna, podkolorowana fotografia Samuela, nacechowana zimnym, dalekim dostojenstwem, jakąś wypucowaną i wystrojoną sztywnością, najzupełniej mu obcą za życia. Nie było w tym wizerunku nic z owego przymrużenia oka ani z właściwej Samuelowi bystrej wesołości. Oprawny w ciężkie, złote ramy, wodził za dziećmi oczami po całym pokoju, ku wielkiej ich konsternacji.

Na trzcinowym stoliku obok fotela Lizy stała klatka z papugą Polly. Tom kupił ją od jakiegoś marynarza. Papuga była stara, miała jakoby pięćdziesiąt lat, wiodła rozwiązły żywot i przyswoiła sobie soczyste wyrażenia z okrętowego forkaasztelu. Pomimo wszelkich prób Liza nie zdołała jej nakłonić do zastąpienia psalmami malowniczego słownictwa z czasów jej młodości.

Polly przekrzywiła głowę, przypatrując się Adamowi, i poskrobała się ostrożnie pazurem w piórka rosnące u nasady dzioba.

– Odwal się, skurczybyku – powiedziała beznamiętnie.

Liza zmarszczyła brwi.

– Polly – napomniała ją surowo. – To nie jest grzecznie.

– Cholerny drań! – zauważyła Polly.

Liza zignorowała tę wulgarność. Wyciągnęła swą drobną rękę.

– Cieszę się, że pana widzę – rzekła. – Niechże pan siada.

– Właśnie tędy przechodziłem i chciałem złożyć pani kondolencje.

– Dostaliśmy pana kwiaty. – Po tak długim czasie pamiętała każdy otrzymany bukiet. Adam przysłał piękny wieniec z nieśmiertelników.

– Musi pani być ciężko urządzać sobie życie na nowo.

Oczy Lizy napęłniły się łzami, ale zacisnęła drobne usta, nie chcąc zdradzić swojej słabości. Adam powiedział:

– Może nie powinienem dotykać pani ran, ale bardzo mi go brakuje.

Liza odwróciła głowę.

– A co słyhać u pana? – spytała.

– W tym roku wszystko dobrze. Dużo deszczów. Trawa na pastwisku już wysoka.

– Tom mi pisał – powiedziała.

– Stul mordę – odezwała się papuga, a Liza spojrzała na nią spode łba, tak jak patrzyła na swoje dorastające dzieci, kiedy zachowywały się krnąbrnie.

– Co pana sprowadza do Salinas? – zapytała.

– A, pewne sprawy. – Usiadł na trzcinowym krześle, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. – Myślę o tym, żeby się tutaj przenieść. Przyszło mi do głowy, że tak może być lepiej dla moich chłopców. Przykrzy im się na rancho.

– Nam nigdy się nie przykrzyło na rancho – odparła szorstko.

– Myślałem, że może szkoły są tutaj lepsze. Synowie mogliby na tym skorzystać.

– Moja córka, Oliwia, wykłada w Peach Tree i w Pleyto, i w Big Sur.

Ton Lizy wskazywał jasno, że nie może być lepszych szkół od tamtych. Adam zaczynał czuć podziw dla jej żelaznej dzielności.

– Ano, tylko tak się nad tym zastanawiałem – powiedział.

– Dzieci wychowywane na wsi lepiej dają sobie radę. – To była reguła, którą mogła udowodnić na przykładzie swych własnych synów. A potem skupiła uwagę na Adamie: – Czy pan rozgląda się za jakimś domem w Salinas?

– No, tak; chyba tak.

– Niech pan idzie do mojej córki, Dessie – powiedziała.

– Dessie chce się z powrotem przenieść na rancho, do Toma. Ma ładny domek na tej samej ulicy, tu zaraz obok piekarni Reynauda.

– Zrobię to na pewno – odrzekł Adam. – Pójdę prosto stąd. Rad jestem, że panią widzę w tak dobrej kondycji.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Jakoś daję sobie radę.

– Adam już szedł do drzwi, kiedy spytała: – Proszę pana, czy pan czasem widuje mojego syna, Toma?

– A nie. Bo, widzi pani, ja ostatnio nie wyjeżdżałem z ranca.

– Chciałabym, żeby pan się z nim zobaczył – powiedziała szybko. – Wydaje mi się, że jest bardzo osamotniony.

– Zamilkła, jak gdyby przerażona, że jej się to wyrwało.

– Zobaczę się z nim. Na pewno. Moje uszanowanie pani.

Kiedy zamykał drzwi, usłyszał, że papuga woła: – Stul mordę, ty cholerny draniu! – na co Liza: – Polly, jeżeli nie będziesz uważała, co mówisz, to dostaniesz lanie.

Adam wyszedłszy z domu ruszył wśród zmierzchu w stronę ulicy Głównej. Obok Francuskiej Piekarni Reynauda zobaczył dom Dessie stojący w głębi niewielkiego ogrodu. Od frontu rosły tak gęsto wysokie ligustry, że niewiele go było

widać. Na furtce wejściowej widniał starannie wymalowany szyldzik z napisem: "Dessie Hamilton, Zakład Krawiecki".

Na rogu Głównej i Alei Centralnej znajdowała się pasztecarnia "San Francisco", której okna wychodziły na jedną i drugą ulicę. Adam wszedł do środka, aby zjeść obiad. W kącie siedział Will Hamilton, pochłaniając pieczone żeberka.

– Proszę, niech pan usiądzie ze mną! – zawołał do Adama. – Pan tu w interesach?

– Tak – odpowiedział Adam. – Byłem z wizytą u twojej matki.

Will odłożył widelec.

– Wpadłem tu tylko na godzinę. Nie zaszedłem do matki, bo to ją wytrąca z równowagi. A znowu Oliwia przewróciłaby dom do góry nogami, żeby dla mnie przygotować specjalny obiad. Nie chciałem im robić kłopotu. Poza tym muszę zaraz wracać. Niech pan sobie zamówi żeberka. Mają tu doskonałe. Jak matka?

– To bardzo dzielna kobieta – odrzekł Adam. – Czuję dla niej coraz więcej podziwu.

– Racja, że dzielna. Nie mam pojęcia, jak zachowała zdrowe zmysły z nami wszystkimi i z ojcem.

– Poproszę o porcję żeberek – powiedział Adam do kelnera.

– Z kartofelkami?

– Nie... albo tak, z frytkami. Matka martwi się o Toma. Czy u niego wszystko w porządku?

Will odkrajał tłuszcz i odsunął go na bok talerza.

– Matka ma powody się martwić – odrzekł. – Z Tomem coś się dzieje. Chodzi sztywny jak posąg.

– Zdaje się, że był bardzo przywiązany do Samuela.

– Zanadto – odparł Will. – O wiele zanadto. Jakoś nie może się z tego otrząsnąć. Pod pewnymi względami Tom jest jeszcze wielkim dzieciakiem.

– Muszę się z nim zobaczyć. Twoja matka mówi, że Dessie chce się przenieść z powrotem na ranczo.

Will położył na obrusie widelec i nóż i wpatrzył się w Adama.

– Tego nie może zrobić – powiedział. – Ja jej nie pozwolę.

– Dlaczego?

Will opanował się.

– Bo przecież ma tutaj bardzo ładny interes – odrzekł. – Dobrze zarabia.

Byłaby straszna szkoda to zmarnować.

Wziął nóż i widelec, ukrajał kawałek tłuszczu i włożył go do ust.

– Ja wracam do domu tym pociągiem o ósmej – rzekł Adam.

– Ja też – powiedział Will. Nie miał ochoty do dalszej rozmowy.

ROZDZIAŁ XXXII

1

Dessie była ulubienicą całej rodziny. Kochano je wszystkie: Mollie, tę śliczną kotkę, krnąbrną Oliwię, chmurną Unę, ale Dessie była ta najukochańsza. Miała swoje specjalne zmrużenia oczu i śmiech zaraźliwy niczym wietrzna ospa, i wesołość, która barwiła każdy dzień, udzielając się innym, tak że ją zabierali ze sobą.

Mogę to przedstawić na takim przykładzie. Pani Morrison, mieszkająca pod numerem 122 przy ulicy Kościelnej w Salinas, miała troje dzieci i męża, który prowadził sklep z towarami łokciowymi. Czasem rano przy śniadaniu Agnieszka Morrison mówiła: "Po obiedzie idę do miary do Dessie Hamilton".

Dzieci cieszyły się wtedy i kopały nogi od stołu, dopóki nie przywołano ich do porządku. A pan Morrison zacierał ręce i szedł do swojego sklepu w nadziei, że tego dnia zjawi się jakiś komiwojażer. Każdy, który by wówczas do niego zaszedł, mógł otrzymać dobre zamówienie. Być może, ani dzieci, ani pan Morrison nie pamiętali nawet, dlaczego ten dzień jest dobry i pełen obietnic.

Pani Morrison szła o drugiej do domu sąsiadującego z piekarnią Reynauda i siedziała tam do czwartej. Gdy wychodziła, miała oczy wilgotne od łez i ciekło jej z zaczerwienionego nosa. Po drodze do domu ocierała nos i powieki i wciąż od nowa wybuchała śmiechem. Możliwe, iż Dessie zrobiła tylko tyle, że upięła kilkoma czarnymi szpilkami poduszkę, tak że żywcem przypominała pastora baptystów, po czym kazała jej wygłosić krótkie, oschłe kazanie. Albo może opowiedziała o swoim spotkaniu z sędziwym Taylorem, który skupywał stare domy i przenosił je na swój wielki, pusty plac budowlany, gdzie miał ich już tyle, że miejsce to przypominało wyschnięte Morze Sargassowe. A może odczytała gestykując jakiś wiersz z "Plotkarza". To zresztą obojętne. Dość, że było piekielnie śmiesznie, zabójczo śmiesznie.

Wracających ze szkoły dzieci Morrisonów nie czekały w domu przykrości, łajania czy utrapienia. Ich hałaśliwość nie była wtedy czymś skandalicznym, a umorusane twarze nie budziły zgrozy. Kiedy zaś chwycił je chichot, matka chichotała razem z nimi.

Pan Morrison opowiadał po powrocie, co zdarzyło się tego dnia, i widział, że go słuchają, a próbował też powtarzać kawały komiwojazerów – przynajmniej niektóre. Kolacja była wyśmienita: omlety nigdy nie osiadły, ciastka rosły niczym zwiewne baloniki, biszkopty pęczniały puszyście, a nikt nie umiał tak przyprawić pieczeni jak Agnieszka Morrison. Po kolacji, kiedy dzieci naśmiały się tak, że upadały z senności, pan Morrison dotykał ramienia Agnieszki starym, umówionym sposobem, po czym oboje kładli się do łóżka, kochali się i byli bardzo szczęśliwi.

Ładunek odwiedzin u Dessie starczał nieraz jeszcze na dwa dni, zanim się wyczerpał, zanim powróciły drobne utrapienia i znowu okazało się, że interesy nie idą tak dobrze jak ubiegłego roku. Taka była Dessie i takie rzeczy potrafiła sprawić. Podobnie jak Samuel nosiła w ramionach radość życia. Była pieścioszką, ulubienicą całej rodziny.

Dessie nie można by nazwać piękną. Prawdopodobnie nie była nawet ładna, ale miała w sobie ten blask, który każe mężczyznom podążać za kobietą w nadziei, że może choć odrobina jego spłynąć i na nich. Ktoś mógłby pomyśleć, że Dessie z czasem przeboleje swą pierwszą miłość i znajdzie sobie inną, ale tak się nie stało. Właściwie mówiąc, nikt z Hamiltonów, na przekór wrodzonej zmienności, nie był zmienny w sprawach uczucia. Nikt z nich nie był zdolny do lekkiej, niestałej miłości.

Dessie bynajmniej nie podniosła rąk do góry i nie poddała się. Zdarzyło się coś znacznie gorszego. Nadal robiła to co dawniej i pozostała taka jak dawniej, tyle że już bez owego blasku. Ludzie, którzy kochali Dessie, boleli nad nią, widząc te jej wysiłki, i sami próbowali jej dopomóc.

Przyjaciółki Dessie były dobre i wierne, ale tylko ludzkie, a ludzie lubią czuć się dobrze i nie znoszą czuć się źle. Z czasem różne panie Morrison znalazły nieodparte powody, żeby nie zachodzić do małego domku obok piekarni. Nie były wcale nielojalne. Po prostu mniej pragnęły smucić się niż weselić. Łatwo jest znaleźć logiczny i chwalebny powód, żeby nie robić tego, na co się nie ma ochoty.

Interesy Dessie zaczęły kuleć. Kobiety, którym zdawało się, że chcą sukien, nigdy nie uświadamiały sobie, że szukają radości. Czasy się zmieniły i gotowa odzież zyskiwała popularność. Noszenie jej przestało być hańbą. Jeżeli pan Morrison miał na składzie gotowe suknie, to wydawało się rzeczą logiczną, by widywano w nich panią Morrison.

Rodzina martwiła się o Dessie, ale cóż mogła poradzić, skoro ta za nic nie chciała przyznać, że jest z nią niedobrze? Przyznawała się wprawdzie do bólów w boku, dość ostrych, ale trwały one krótko i przychodziły z przerwami.

A potem umarł Samuel i świat roztrzaskał się jak talerz. Synowie, córki i przyjaciele szperali wśród odłamków, próbując sklecić z nich sobie na powrót jakiś inny świat.

Dessie postanowiła sprzedać swój zakład i wrócić na ranczo, żeby tam osiąść z Tomem. To, co miała do sprzedania, nie było zbyt atrakcyjne. O jej projekcie wiedziały Liza i Oliwia, a Dessie sama napisała o tym do Toma. Natomiast Will, który teraz siedział nachmurzony przy stoliku w pasztecziarni "San Francisco", nie został powiadomiony. Pienił się wewnętrznie, wreszcie zmiął serwetkę i wstał.

– Coś mi się przypomniało – powiedział do Adama. – Spotkamy się w pociągu.

Minął kilka domów, przeszedł przez bujnie rozrośnięty ogród Dessie i zadzwonił.

Jadła samotnie obiad i do drzwi podeszła z serwetką w ręku.

– O, jak się masz, Will! – zawołała i nadstawiła mu do pocałowania różowy policzek. – Kiedyś przyjechał?

– Wpadłem w interesach – odparł. – Jestem tu tylko od pociągu do pociągu. Chcę z tobą pomówić.

Poprowadziła go do kuchni będącej jednocześnie jadalnią – ciepłej, niewielkiej izby wytapetowanej w kwiatki. Automatycznie naląła mu kawy i postawiła przed nim filiżankę wraz z cukiernicą i dzbanuszką śmietanki.

– Widziałeś się z mamą? – spytała.

– Jestem tu między jednym pociągiem a drugim – odburknął. – Dessie, czy to prawda, że masz zamiar wrócić na ranczo?

– Myślałam o tym.

– Ja nie chcę, żebyś wyjechała.

Uśmiechnęła się niepewnie.

– A bo co? Cóż w tym złego? Tomowi przykrzy się tam samemu.

– Masz tutaj dobrze idący interes – rzekł.

– Nie mam żadnego – odparła. – Myślałam, że wiesz.

– Nie chcę, żebyś jechała – powtórzył zasepiony.

Uśmiech jej był melancholijny, ale starała się, jak mogła, zaprawić swoje słowa odrobiną kpiny.

– Mój wielki brat jest strasznie władczy. Niechże powie Dessie, dlaczego to nie chce.

– Bo tam jest za smutno.

– Nie będzie nam tak smutno we dwójkę.

Will gniewnie pociągnął się za wargę. Wybuchnął:

– Tom nie jest już sobą! Nie powinnaś zostawać z nim sam na sam.

– Czy źle się czuje? Może mu potrzeba opieki?

Will odpowiedział:

– Nie chciałem ci mówić... Zdaje mi się, że Tom nigdy nie przyszedł do siebie po tej... tej śmierci. Jest jakiś dziwny.

Uśmiechnęła się czule.

– Will, tyś zawsze uważał, że Tom jest dziwny. Wydawał ci się dziwny, bo nie miał zamiłowania do interesów.

– To było co innego. Teraz jest jakiś osowiasty. Nic nie mówi. Nocą łązi sam jeden po wzgórzach. Pojechałem do niego i... okazało się, że pisuje wiersze... cały stół ma zawalony papierzyskami.

– A tyś nigdy nie pisywał wierszy, Will?

– Nigdy.

– Ja pisywałam – rzekła Dessie. – Cały stół miałam zawalony papierzyskami.

– Nie chcę, żebyś jechała.

– Pozwól mi samej zdecydować – powiedziała łagodnie. – Ja coś straciłam.

Chciałabym to znowu odnaleźć.

– Głupstwa opowiadasz.

Obeszła dookoła stół i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Braciszku kochany – rzekła. – Proszę cię, pozwól mi samej zdecydować.

Rozgniewany wyszedł z domu i ledwie zdążył na pociąg.

2

Tom oczekiwał Dessie na dworcu w King City. Zobaczyła go z okna, jak stał, szukając jej wzrokiem w każdym przejeżdżającym wagonie. Był starannie wymyty, wygolony tak gładko, że cień zarostu na twarzy połyskiwał jak politurowane drzewo. Rudy wąs miał przystrzyżony, na głowie nowego stetsona z płaskim denkiem, na sobie

piaskową kurtkę norfolską z paskiem zapiętym na sprzączkę z masy perłowej. Trzewiki tak mu błyszczały w południowym słońcu, iż nie mogło być wątpliwości, że przetarł je chustką tuż przed przybyciem pociągu. Sztynny kołnierzyk obejmował jego krzepką, rumianą szyję, a krawat miał jasnobłękitny, szydełkowej roboty, ze szpilką w kształcie podkowy. Starał się ukryć podniecenie, splatając przed sobą twarde, ogorzałe ręce.

Dessie machała z okna ręką jak opętana, wołając: – Tutaj, Tom, tutaj! – chociaż wiedziała, że nie może jej dosłyszeć wpośród zgrzytania kół przejeżdżającego pociągu. Zeszła po schodkach na peron i dojrzała brata wypatrującego nerwowo w innym kierunku. Uśmiechnęła się i podeszła do niego z tyłu.

– Wybacz mi, nieznajomy panie – powiedziała spokojnie. – Czy nie ma tu niejakiego Toma Hamiltona?

Obrócił się gwałtownie, wrzasnął z radości, chwycił ją w niedźwiedzi uścisk i okręcił w kółko. Podniósł ją z ziemi jedną ręką, a drugą dał klapsa w pośladki. Wtulił w jej policzek szorstkie wąsy. Potem odsunął siostrę od siebie, trzymając ją za oba ramiona, i przyjrzał jej się. Oboje odrzucili w tył głowy i ryknęli śmiechem.

Zawiadowca stacji wychylił się ze swego okienka, oparłszy na framudze łokcie chronione przez czarne zarękawki. Przez ramię powiedział do telegrafisty:

– Ci Hamiltonowie! Patrzajże na nich!

Tom i Dessie, dotykając się czubkami palców, wykonywali podśpiewując wyszukany taniec na piętach, po czym znów padli sobie w objęcia. Tom popatrzał na nią.

– Czy pani czasem nie jest Dessie Hamilton? Skądś panią znam. Ale zmieniła się pani. Gdzie się podziały te warkoczyki?

Nie mało czasu zabrało mu wydostanie kwitków na bagaże, następnie zawieruszenie ich gdzieś w kieszeni, odszukanie i wreszcie odbiór niewłaściwych sztuk. W końcu ulokował wszystkie koszyki Dessie na tyle powoziku. Dwa kasztany grzebały kopytami twardą ziemię i podrzucały łbami, aż podskakiwał lakierowany dyszel i skrzypiały orczyki. Uprząż była wyczyszczona do połysku, a mosiężne części lśniły jak złoto. Bat był przewiązany pośrodku czerwoną kokardą, a konie miały czerwone wstążki wplecione w grzywy i ogony.

Tom pomógł Dessie wsiąść, udając, że zerka wstydliwie na jej kostkę. Następnie podciągnął rzemienie ganaszowe i zdjął skórzane uwiązki z wędzideł.

Odwinął lejce z tulei bata, a konie skręciły w bok tak gwałtownie, że koło zazgrzytało o błotnik. Tom powiedział:

– Może przejedziemy się do King City? To ładne miasto.

– Nie – odpowiedziała. – Chyba je pamiętam.

Skręcił w lewo, ruszył w kierunku południowym i wypuścił konie tęgim, wyciągniętym klusem. Dessie zapytała:

– Gdzie jest Will?

– Nie wiem – odparł szorstko.

– Rozmawiał z tobą?

– Owszem. Powiedział, że nie powinnaś przyjeżdżać.

– Mnie to samo – odrzekła Dessie. – Namówił też Jerzego, żeby do mnie napisał.

– Dlaczego nie miałaś przyjechać, jeżeli chciałaś! – wściekł się Tom. – Co Willowi do tego?

Dotknęła jego ręki.

– Will uważa, że jesteś stuknięty. Mówił, że pisujesz wiersze.

Tomowi pociemniała twarz.

– Musiał łązić po domu, kiedy mnie nie było. A w ogóle, co on sobie myśli? Nie ma prawa zaglądać w moje papiery.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała Dessie. – Przecież to twój brat. Nie zapominaj o tym.

– A jemu byłoby przyjemnie, gdybym grzebał w jego papierach? – zapytał Tom.

– Nie dopuściłby do tego – odparła sucho Dessie. – Byłyby zamknięte w kasie.

No, ale nie psujmy sobie dzisiejszego dnia złością.

– Dobrze – powiedział. – Bóg świadkiem, że tego nie chcę! Ale on mnie doprowadza do szału. Dlatego, że nie mam ochoty żyć tak jak on, to już jestem wariat, po prostu wariat.

Dessie zmieniła temat, zmusiła brata do tego.

– Wiesz, miałam niezłe historie w ostatniej chwili – powiedziała. – Mama chciała też przyjechać. Widziałeś kiedy, żeby mama płakała?

– Nie; przynajmniej nie pamiętam. Nie, matka nie jest beksą.

– No więc płakała. Niewiele, ale jak na nią, bardzo dużo... Raz się zachłysnęła, ze dwa razy siąknęła, wytarła nos, przeczyściła binokle i zamknęła się jak zegarek.

Tom powiedział:

– O Boże, jak to dobrze, że znowu tu jesteś, Dessie! Ach, tak dobrze! Zupełnie jakbym wyzdrowiał po chorobie.

Konie biegły wyciągniętym kłusem po trakcie okręgowym. Tom powiedział:

– Adam Trask kupił sobie Forda. Albo może powinienem powiedzieć, że Will sprzedał mu Forda.

– O Fordzie nic nie wiedziałam – odparła Dessie – ale on kupuje mój dom. Daje mi bardzo dobrą cenę. – Roześmiała się. – A zażądałam dużo. Chciałam opuścić w trakcie rozmów. Pan Trask zgodził się na pierwszą cenę. Wtedy znalazłam się w kropce.

– I coś zrobiła, Dessie?

– Ano, musiałam mu powiedzieć, że postawiłam cenę na wyrost i że chciałam, żeby coś ode mnie wytargował. Ale jemu było obojętne, tak czy tak.

Tom rzekł:

– Muszę cię prosić, żebyś nigdy nie powtarzała tego Willowi. Kazałby cię zamknąć do czubków.

– Przecież mój dom nie był wart tyle, ile zażądałam!

– Powtarzam to, co powiedziałem o Willu. Co Adam będzie robił z twoim domem?

– Ma się tam przenieść. Chce oddać swoich chłopców do szkoły w Salinas.

– A co zrobi z ranczo?

– Nie wiem. Nie mówił.

Tom rzekł:

– Ciekawe, jak by to było, gdyby ojciec miał takie ranczo zamiast naszej starej Kupy Piachu.

– To przecież nie jest taki zły kawałek ziemi.

– Pyszny do wszystkiego, tylko nie do tego, żeby się z niego utrzymać.

Dessie zapytała poważnie:

– Znałeś drugą rodzinę, która by żyła sobie weselej?

– Nie, nie znałem. Ale to zasługa rodziny, nie ziemi.

– Tom, pamiętasz, jak zawiozłeś na sofie Jenny i Belle Williams na tańce w Peach Tree?

– Matka nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć. Słuchaj, może warto zaprosić do nas Jenny i Belle?

– Na pewno by przyjechały – odrzekła Dessie. – Zróbmy to.

Kiedy skręcili z traktu, powiedziała:

- Jakoś mi się tu wydawało inaczej.
- Suszej?
- Chyba. Tom, przecież tu teraz jest tyle trawy!
- Mam dwadzieścia sztuk bydła, żeby ją spasać.
- Musisz być bogaty.

– Wcale nie, a zresztą w taki dobry rok spadną ceny wołowiny. Ciekawe, co by zrobił Will. On chwyta się towaru, którego akurat brak na rynku. Sam mi mówił. Powiada, że zawsze trzeba robić w tym, czego brakuje. Sprytny chłop.

Wyboista droga nie zmieniła się, tylko wyboje były głębsze, a krągłe kamienie sterczały wyżej. Dessie powiedziała:

- Co to za kartka na tym krzaku mesquite? – Schwyciła ją, gdy przejeżdżali obok, i odczytała: – “Witaj w domu”.
- Tom, to tyś zrobił!
- Nic podobnego. Ktoś musiał tu być.

Co pięćdziesiąt jardów napotykali dalsze kartki, to zatknięte na krzaku, to wiszące u gałęzi madronio, to przyczepione do pnia kasztanowca – a na wszystkich było napisane: “Witaj w domu”. Dessie piszczała z radości za każdym razem.

Wjechali na wzniesienie ponad małym parowem Hamiltonów i Tom zatrzymał konie, żeby Dessie mogła nacieszyć się widokiem. Na zboczu przeciwległego wzgórza widniał olbrzymi napis ułożony z pobielanych kamieni: “Witaj w domu, Dessie”. Wtuliła twarz w klapę jego kurtki, śmiejąc się i szlochając jednocześnie.

Tom surowo popatrzył przed siebie.

– A któż to mógł zrobić? – powiedział. – Nie można ani na chwilę ruszyć się z domu.

Nad ranem zbudził Dessie dreszcz bólu, który nawiedzał ją od czasu do czasu. Było to jego pierwsze drgnięcie i zapowiedź: przeleciał od boku przez brzuch, najpierw ukąsił ją lekko, potem nagniół mocniej, chwycił silniej i wreszcie ścisnął zaciekle, jak gdyby ucapiała ją jakaś olbrzymia garść. Kiedy ustąpił, została obolałość jak po stłuczeniu. Nie trwało to zbyt długo, ale póki ją trzymało, cały świat się zamazywał, a Dessie niejako wsłuchiwała się w tę walkę we własnym ciele.

Gdy pozostała jedynie obolałość, Dessie zauważyła, że świt już zagląda srebrzyście w okna. Poczła rzeźwy, poranny powiew, który marszczył firanki, przynosząc zapach traw, korzeni i wilgotnej ziemi. Następnie do tego korowodu

doznań przyłączyły się odgłosy – wróble swarzące się między sobą, ryk krowy monotonnie strofującej zgłodniałe cielę, fałszywie podniecony wrzask sójki, przenikliwy, ostrzegawczy krzyk czujnego koguta przepiórki i odpowiadający mu szept samiczki ukrytej gdzieś nie opodal w wysokiej trawie. W kurniku wrzało od rejwachu z powodu zniesionego jajka, a duża kokosz rasy Rhode Island, ważąca cztery funty, obłudnie wywrzaskiwała swą zgrozę z powodu faktu, że ją lubieżnie przytłamsił do ziemi chuderlawy, zabiedzony kogut, którego mogłaby stracić jednym machnięciem skrzydła.

Gruchanie gołębi wprowadziło wspomnienia do tego orszaku. Dessie przypomniała sobie, jak ojciec, siedząc na pierwszym miejscu u stołu, mówił: “Wspomniałem Królikowi, że chcę hodować gołębie, i wiecie, co mi powiedział? Tylko nie białe. Dlaczego nie białe? – pytam, a on na to: bo przynoszą pecha jak żadne inne. Wystarczy wziąć sobie stadko tych białych, a zaraz ściagną na człowieka smutek i śmierć. Weź pan szare. Kiedy ja lubię białe. Weź pan szare – powtórzył mi. A jak Bóg na niebie, ja wezmę właśnie białe”.

Liza spytała wtedy cierpliwie: “Dlaczego ty ciągle musisz coś wypróbować, Samuelu? Szare są tak samo dobre w smaku, lecz większe”.

“Nie dam się wodzić za nos jakimś głupim bajdom” – odparł Samuel, a Liza rzekła ze swoją straszną prostotą:

“Już cię wodzi za nos twoja własna kłótność. Uparty jesteś jak muł, po prostu jak muł”.

“Ktoś musi robić takie rzeczy – powiedział posepnie. Inaczej nikt by nie pokazał Losowi języka i ludzkość wciąż jeszcze siedziałyby na drzewach”.

No i ma się rozumieć wziął białe gołębie i zadzierzyście czekał na ów smutek i śmierć, dopóki nie udowodnił swojej racji. I oto teraz praprawnuki tamtych ptaków gruchały tu o świcie i zrywały się do lotu, aby okrążyć wozownię jak falująca biała wstęga.

Gdy Dessie to wspominała, wróciły jej na pamięć rozmowy i cały dom zaludnił się nagle. “Smutek i śmierć – myślała. – Śmierć i smutek – i czuła, jak jej się to kołacze w obolałych wnętrznościach. – Trzeba tylko trochę poczekać, a przyjdą na pewno”.

Znowu słyszała syk powietrza wciąganego przez wielkie miechy w kuźni i brzęk próbnego uderzenia młotkiem o kowadło. Słyszała Lizę otwierającą drzwiczki pieca i plaśnięcie ugniecionego ciasta o posypaną mąką deskę. A potem ukazał jej się Joe,

który laził po domu, szukając trzewików w najnieprawdopodobniejszych miejscach i w końcu znajdował je pod łóżkiem, tam gdzie je sam postawił.

Usłyszała słodki, wysoki głos Mollie, odczytujący w kuchni poranny tekst z Biblii, i gardłowe, chrapliwe komentarze Uny.

A Tom podciął Mollie język scyzorykiem i serce w nim zamarło, gdy uświadomił sobie swoją odwagę.

– Och, Tom kochany – szepnęła i wargi jej się poruszyły.

Tchórzostwo Toma było równie wielkie jak jego odwaga – tak jak to się zdarza u ludzi dużej miary. Gwałtowność równoważyła w nim tkliwość; był rozoranym polem walki swoich wewnętrznych sił. Czuł się teraz zagubiony, ale Dessie potrafiła utrzymać go w cuglach i poprowadzić, podobnie jak trener naprowadza rasowego konia na przeszkodę, ażeby pokazać jego ułożenie i formę.

Dessie leżała, na wpół uzmysławiając sobie ból, a na wpół jeszcze zawieszona we śnie, tymczasem zaś poranek rozjaśniał się za oknem. Przypomniała sobie, że Mollie ma otworzyć tańce podczas święta czwartolipcowego, ni mniej, ni więcej, tylko z Harrym Forbesem, senatorem stanowym. A przecież jeszcze nie naszyła jej haftów na suknię! Próbowała się podnieść. Tyle jest tego szycia, a ona tu leży i drzemie.

Zawołała:

– Ja to zaraz zrobię, Mollie! Będzie gotowe.

Wstała z łóżka, zarzuciła na siebie szlafrok i boso ruszyła przed dom zaludniony Hamiltonami. W sieni stwierdziła, że widocznie rozeszli się po sypialniach, w sypialniach, gdzie łóżka były schludnie zasłane, że muszą być w kuchni, a w kuchni – że gdzieś się rozproszyli i że ich nie ma. Smutek i śmierć. Fala cofnęła się i pozostawiła ją na suszy przebudzenia.

W domu było schludnie, wszystko wyszorowane, niepokalane, firanki poprane, okna wymyte, ale tak, jak to robi mężczyzna: uprasowane firanki wisały nie całkiem prosto, na szybach zostały smugi, a na stole prostokąt, kiedy podniosło się książkę.

Piec kuchenny nagrzewał się; pomarańczowe światło błyskało wokół krawędzi fajerek, a buzujący płomień wyskakiwał hucząc przez otwarty szyber. Kuchenny zegar błyskał wahadłem za szybką i tykał niby drewniany młoteczek uderzający w puste drewniane pudełko.

Ze dworu doleciało gwizdanie rozgłośnie i chrapliwie jak dźwięk piszczałki, a nastrojone na dziwny, przenikliwy ton. Rozsiewało ono jakąś dziką melodię. Potem na

ganku rozległy się kroki Toma i wszedł on sam z naręczem dębiny porąbanej na szczapy tak długie, że nie było go zza nich widać. Zsypał je kaskadą do skrzyni.

– Już wstałaś – powiedział. – Tym miałem cię zbudzić, gdybyś jeszcze spała. –
Twarz promieniała mu radością. – Ranek jest lekki jak puch i w taki czas nie można wylegiwać się w łóżku.

– Mówisz zupełnie jak ojciec – powiedziała Dessie i zawtórowała mu śmiechem.

Radość jego okrzepła w zaciętość.

– Tak – odparł głośno. – I znowu wrócą tu dla nas te czasy. Grzęzłem w zgnębieniu jak wąż z przetrąconym grzbietem. Nic dziwnego, że Will myślał, że jestem stuknięty. Ale teraz wróciłaś i ja ci pokażę. Znowu tchnę życie w życie. Słyszysz? Ten dom ożyje.

– Cieszę się, że przyjechałam – odparła i pomyślała z rozpaczą, jak bardzo jest teraz krucha, jak łatwo może się załamać i jak będzie musiała się nim opiekować.

– Chyba pracowałeś dzień i noc, żeby ten dom tak wysprzątać – powiedziała.

– Gdzie tam – odparł Tom. – Tyle że ruszyłem palcem.

– Znam takie ruszanie – z kubłem, ścierką i na kolanach... chyba żeś wymyślił sposób zapędzania do roboty kur albo wiatru trzymanego w cuglach.

– Wymyślił... Właśnie dlatego brak mi czasu. Wymyśliłem takie urządzenie, żeby gładko wsuwać krawat w sztywny kołnierzyk.

– Przecież nie nosisz sztywnych kołnierzyków.

– Wczoraj miałem. Właśnie dlatego to wymyśliłem. A co do kur... będę ich hodował całe miliony... małe budki rozrzucone po ranczo, na daszku każdej kółko, żeby ją zanurzać w zbiorniku z wapnem. A jajka będą wylatywały na takiej małej taśmie konwejera. Czekaaj, zaraz ci to narysuję.

– Ja bym wolala narysować sobie śniadanie – odparła Dessie. – Jaki kształt ma sadzone jajko? Jak byś pokolorował tłuste i chude części kawałka boczku?

– Zaraz dostaniesz! – zawołał, zdjął fajerkę i zaczął żgać ogień haczykiem, aż osmalily mu się i skrzyły włosy na ręce. Dorzucił drzewa i znowu zaczął gwizdać donośnie. Dessie powiedziała:

– Przypominasz mi jakiegoś fauna z fujarką siedzącego w Grecji na wzgórzu.

– A tobie się zdaje, że co ja jestem?! – krzyknął.

Dessie myślała z przygnębieniem: “Jeżeli jemu naprawdę lekko na sercu, to dlaczego mnie nie jest źle? Dlaczego nie mogę wydostać się z mojego szarego worka? Wydostanę się! – jęknęła w duchu. – Jeżeli on potrafi, potrafię i ja”.

Powiedziała:

– Tom!

– Słucham.

– Ja chcę dziś fioletowe jajko!

ROZDZIAŁ XXXIII

1

Zieleń na wzgórzach przetrwała do drugiej połowy czerwca i dopiero wtedy trawy pożółkły. Kłosa dzikiego owsa były tak ciężkie od ziarna, że obwisały na łodygach. Małe źródelka były do późnego lata. Bydło potykało się pod brzemieniem tłuszczu, a skóra lśniła na nim od zdrowia. Był to taki rok, w którym mieszkańcy doliny Salinas zapominali o latach suchych. Farmerzy kupowali więcej ziemi, niż mogli sobie pozwolić, i obliczali zyski na okładkach książeczek czekowych.

Tom Hamilton pracował jak gigant nie tylko swymi silnymi ramionami i twardymi dłońmi, ale też całym sercem i duszą. W kuźni znowu dzwoniło kowadło. Odmalował stary dom na biało i pobielił budynki folwarczne. Pojechał do King City, przypatrzył się klozetom z rezerwuarami do spuszczenia wody, po czym zbudował taki u siebie ze zgrabnie powyginanej blachy i heblowanego drewna. Ponieważ woda napływała zbyt wolno ze źródła, umieścił przy domu zbiornik z sekwoi, do którego pompował ją za pomocą wiatraczka ręcznej roboty, tak pomysłowego, że obracał się przy najłżejszym powiewie. Sporządził także z metalu i drewna modele dwóch swoich wynalazków, które jesienią zamierzał posłać do urzędu patentowego.

Mało tego; pracował z humorem i pogodą. Dessie musiała wstawać bardzo wcześnie, ażeby zdążyć się przyłożyć do domowej roboty, zanim Tom ją w całości wykonał. Obserwowała jego ogromną, szaloną radość, która jednak nie była tak lotna jak radość Samuela. Nie wyrastała z niego, nie wypływała sama na powierzchnię. Tom wypracowywał ją najprzemysłniej jak umiał, nadawał jej kształt i formę.

Dessie mając tylu przyjaciół, co nikt w całej dolinie, nie miała żadnych powierników. Gdy przyszło na nią nieszczęście, nie wspomniała o tym nikomu. A boleści były też tajemnicą, którą chowała w sobie.

Kiedy Tom zastał ją zeszywniałą i napiętą z dławiącego bólu i wykrzyknął przerażony: "Dessie, co się stało?" – zapanowała nad własną twarzą i odrzekła: "Tylko mały kurcz, nic więcej. Tylko kurcz. Już teraz przeszło". I w chwilę potem śmiali się razem.

Śmiali się bardzo wiele, jak gdyby po to, żeby dodać sobie otuchy. Dopiero kiedy Dessie kładła się wieczorem do łóżka, nawiedzała ją dawna zgryzota, posępna i

nieznośna. A Tom leżał w ciemnościach swojego pokoju, zagubiony jak dziecko. Słuchał uderzeń własnego serca i lekkiego szmeru jego tętna. Mózg Toma bronił się przed myśleniem i szukał ochrony w drobnych projektach, w pomysłach i maszyneriach.

Niekiedy w letnie wieczory szli na wzgórze, aby popatrzeć na odbłask zachodu błakający się jeszcze na szczytach i poczuć powiew wciągany w dolinę przez unoszące się w górę, nagrzane za dnia powietrze. Zazwyczaj stali czas jakiś bez słowa i oddychali spokojem. Ponieważ oboje byli nieśmiali, więc nigdy nie rozmawiali o sobie. Jedno nie wiedziało nic o drugim.

Zaskoczeniem dla obojga było pytanie, które Dessie zadała pewnego wieczora na wzgórzu:

– Tom, dlaczego ty się nie żenisz?

Spojrzał szybko na nią i zaraz odwrócił wzrok. Powiedział:

– A kto by mnie chciał?

– Żartujesz czy mówisz serio?

– Kto by mnie chciał? – powtórzył. – Kto by chciał coś takiego jak ja?

– Wydaje mi się, że mówisz poważnie. – A potem pogwałciła ich niepisany kodeks. – Czy ty się kiedy w kimś kochałeś?

– Nie – odparł krótko.

– Chciałabym to wiedzieć – rzekła, jak gdyby jej nie odpowiedział.

Tom milczał, kiedy schodzili ze wzgórza. Ale na ganku odezwał się niespodziewanie:

– Tobie tu jest smutno. Nie chcesz tu zostać. – Odczekał chwilę. – Odpowiedz mi. Czy nie mam racji?

– Chcę tutaj być bardziej niż gdziekolwiek indziej. – I zapytała: – Czy ty czasem chodzisz do kobiet?

– Owszem – odrzekł.

– I to ci coś daje?

– Niewiele.

– Więc co masz zamiar robić?

– Nie wiem.

W milczeniu weszli do domu. Tom zapalił lampę w starej jadalni. Naprawiona przez niego sofa z końskiego włosia stała pod ścianą, rysując się na jej tle wygiętym

oparciem, a na zielonym dywanie była wydeptana od drzwi do drzwi jaśniejsza ścieżka.

Tom usiadł przy okrągłym stole pośrodku pokoju. Dessie usadowiła się na sofie; widziała, że jeszcze jest zakłopotany po tym swoim wyznaniu. Pomyślała: "Jakież on jest czysty, jak bardzo nie pasuje do świata, o którym nawet ja wiem więcej od niego! To pogromca smoków, obrońca uciśnionych dziewczeczek, a te jego malutkie grzechy wydają mu się tak wielkie, że uważa siebie za niegodnego, niecnego". Pożałowała, że nie ma już ojca. Ojciec wyczuwał w Tomie wielkość; może teraz by wiedział, jak ją wyzwolić z mroku, ażeby mogła wzlecieć swobodnie.

Popróbowwała innego sposobu, by się przekonać, czy zdoła wykrzesać w nim jakąś iskrę.

– Skoro już mówimy o sobie... czy przyszło ci do głowy, że cały nasz świat to tylko ta dolina i kilka wyjazdów do San Francisco? Czy byłeś kiedy dalej na południe niż San Luis Obispo? Bo ja nie.

– Ja też nie – odrzekł Tom.

– No, czy to nie głupie?

– Masę ludzi nie było.

– Ale to nie jest żadne prawo. Moglibyśmy pojechać do Paryża, do Rzymu albo do Jerozolimy. Strasznie bym chciała zobaczyć Koloseum.

Popatrzał na nią podejrzliwie, spodziewając się jakiegoś kawału.

– Jakże to możliwe? – zapytał. – Na to trzeba mieć kupę pieniędzy.

– Nie przypuszczam – odparła. – Nie musielibyśmy stawać w luksusowych hotelach. Można by pływać najtańszymi statkami w najniższej klasie. W ten sposób ojciec przyjechał tu z Irlandii. Moglibyśmy też odwiedzić Irlandię.

Przyglądał jej się nadal, ale oczy zaczynały mu płonąć. Dessie mówiła:

– Można by cały rok poświęcić tylko na pracę, odkładać każdy cent. Ja mogę dostać coś do szycia w King City. Will by nam dopomógł. A następnego lata sprzedałbyś cały inwentarz i moglibyśmy pojechać. Nie ma takiego prawa, które by nam zabraniało.

Tom wstał i wyszedł na dwór. Popatrzył na letnie gwiazdy, na błękitną Wenus i czerwonego Marsa. Przygiął ręce, zacisnął i rozwarł pięści. Potem zawrócił i wszedł do domu. Dessie nie ruszyła się z miejsca.

– Chcesz jechać, Dessie?

– Jak niczego na świecie.

- To pojedziemy!
- A ty chcesz?
- Jak niczego na świecie – powtórzył za nią, po czym spytał: – A Egipt...

Pomyślałaś o Egipcie?

- I Ateny – dodała.
- Konstantynopol!
- Betlejem!
- Tak, Betlejem... – A potem rzekł nagle: – Idź do łóżka. Mamy przed sobą rok pracy, cały rok. Musisz odpocząć. Pożyczę od Willa pieniądze na kupno setki wieprzków.

- Czym będziesz je karmił?
- Żołędziami – odparł Tom. – Zrobię maszynę do zbierania żołędzi.

Kiedy już poszedł do swego pokoju, usłyszała, że kołacze się tam i po cichu gada do siebie. Dessie patrzyła z okna sypialni na wygwieżdżoną noc i czuła w sobie radość. Zastanawiała się jednak, czy w gruncie rzeczy to ona chce jechać, czy też Tom. A gdy o tym myślała, w boku odezwał jej się szept bólu.

Kiedy nazajutrz wstała, Tom był już przy rysownicy, walił się pięścią w czoło i coś mamrotał do siebie. Dessie zajrzała mu przez ramię.

- Czy to ta maszyna do żołędzi?
- Powinno być całkiem proste – odparł. – Tylko jak odrzucać patyki i kamienie?
- Ja wiem, że to ty jesteś wynalazcą, ale wymyśliłam najlepszą na świecie maszynę do zbierania żołędzi, która jest już gotowa do użytku.

- Jaką?
- Dzieci – odpowiedziała. – Te ich ruchliwe małe rączki.
- Nie chciałyby tego robić nawet za zapłatą.
- Owszem, jeżeli by się wyznaczyło nagrody. Nagroda dla każdego, a największa dla zwycięzcy, choćby i sto dolarów. Wymiotłyby całą dolinę do czysta. Pozwolisz mi spróbować?

Podrapał się w głowę.

- Czemu nie? – powiedział. – Ale jak by się odbierało żołędzie?
- Dzieci by je same znosiły – odrzekła Dessie. – Tylko pozwól mi się tym zająć. Chyba masz dosyć miejsca na składowanie.

- A to nie byłoby wyzyskiem nieletnich?

– Na pewno – zgodziła się Dessie. – W moim zakładzie wyzyskiwałam dziewczyny, które chciały nauczyć się szycia, a one wyzyskiwały mnie. Myślę, że nazwę to Wielki Konkurs Żołędziowy Okręgu Monterey. I nie każdy będzie do niego dopuszczony. Można dać rowery jako nagrody... nie zbierałbyś żołędzi, Tomie, gdybyś miał w perspektywie rower?

– Pewnie, że tak – odparł. – Ale nie można by im też płacić?

– Pieniędzmi nie – oświadczyła Dessie. – To by się zrobiła praca najemna, a dzieci za nic nie chcą pracować, jeżeli tylko mogą tego uniknąć. To samo ja.

Tom odchylił się w tył i wybuchnął śmiechem.

– I ja też! – zawołał. – No, dobrze, bierzesz na siebie żołędzie, a ja wieprzki.

Dessie powiedziała:

– Tomie, czy to nie byłoby śmieszne, gdybyśmy zrobili pieniądze, właśnie my?

– Przecież ty robiłaś pieniądze w Salinas.

– Trochę... niewiele. Ale byłam za to bardzo bogata w obietnice! Gdyby mi popłacono wszystkie rachunki, nie potrzebowalibyśmy wieprzków. Moglibyśmy jechać do Paryża choćby jutro.

– Pojadę rozmówić się z Willem – oświadczył Tom. Odsunął krzesło od rysownicy. – Wybrałabyś się ze mną?

– Nie; zostanę i porobię sobie plany. Jutro rozpoczynam Wielki Konkurs Żołędziowy.

2

Wracając późnym popołudniem na ranczo Tom był przygnębiony i smutny. Jak zwykle, Will zdołał przeżuć i wypluć jego entuzjazm. Pociągał się za wargę, drapał w nos, przyglądał brwi, przecierał binokle, z wielkimi ceremoniami przycinał i zapalał cygaro. Projekt tuczenia wieprzków był pełen dziur, a Will potrafił wetknąć w każdą z nich palec.

Twierdził, że Konkurs Żołędziowy nie pójdzie, aczkolwiek nie wyjaśniał dlaczego. Cały ten pomysł jest ryzykowny, zwłaszcza w obecnych czasach. – Zgodził się co najwyżej to rozważyć.

W pewnej chwili podczas rozmowy Tomowi przyszło na myśl, żeby powiedzieć bratu o podróży do Europy, ale powstrzymał go jakiś odruch instynktu. Pomysł

włóczenia się po Europie – jeżeli oczywiście ktoś nie wycofał się z interesów i nie ulokował kapitału w dobrych papierach wartościowych – wydałby się Willowi szaleństwem, które z planu sprzedaży wieprzków uczyniłoby w jego oczach istne dziwo handlowego myślenia. Tom nie powiedział mu więc i wyjechał z tym, iż Will to sobie “przemyśli”, zarazem świadom, że orzeczenie brata będzie przeciwne wieprzkom i żołędziom.

Biedny Tom nie wiedział i nie mógł się nauczyć, że zrzeczne symulowanie jest jedną z twórczych radości człowieka interesu. Okazywanie entuzjazmu byłoby robieniem z siebie idioty. Will naprawdę miał zamiar przemyśleć tę sprawę. Niektóre elementy projektu zafrapowały go. Tom natrafił na rzecz bardzo interesującą. Jeżeliby się dało zakupić wieprze na kredyt, utuczyć je prawie za darmo, potem sprzedać, spłacić pożyczkę i zainkasować zyski – to działałoby się naprawdę coś istotnego. Will nie zamierzał okpić brata. Podzieliliby się zyskiem, tylko że Tom był marzycielem, któremu nie można powierzyć dobrego, sensownego planu. Tom na przykład nawet nie znał cen wieprzowiny ani ich prawdopodobnej tendencji. Jeżeliby to poszło, Will z całą pewnością dałby Tomowi bardzo cenny prezent – może nawet Forda. A gdyby tak wyznaczyć Forda jako pierwszą i jedyną nagrodę za te żołędzie? Wszyscy w dolinie by je zbierali.

Jadąc drogą wiodącą do domu Tom zastanawiał się, jak ma wyjawić Dessie, że ich plan jest do niczego. Najlepiej byłoby mieć jakiś inny na jego miejsce. Tylko jak tu zarobić w rok tyle pieniędzy, żeby pojechać do Europy? Nagle uświadomił sobie, że nawet nie wie, ile im byłoby potrzeba. Nie znał ceny biletu na statek. Mogli spędzić cały ten wieczór na obliczeniach.

Spodziewał się po trosze, że Dessie wybiegnie przed dom na jego spotkanie. Wtedy on zrobi jak najlepszą minę i powie jakiś dowcip. Ale Dessie nie wybiegła przed dom. “Pewnie ucina sobie drzemkę” – pomyślał. Napoił konie, zaprowadził je do stajni i narzucił siana do żłobu.

Kiedy wszedł do domu, zastał Dessie leżącą na sofie z wygiętym oparciem.

– Drzemiesz sobie? – zapytał i w tejże chwili zauważył kolor jej twarzy. – Dessie! – krzyknął. – Co ci jest?

Zebrała się w sobie, żeby przezwyciężyć cierpienie.

– To tylko bóle żołądkowe – odpowiedziała. – Dostyc ostre.

– Och! – odrzekł Tom. – Przestraszyłaś mnie. Potrafię dać radę bólom żołądka.

Wszedł do kuchni i przyniósł szklanekę perłowego płynu. Podał jej.

– Co to jest?

– Poczciwe, staroświeckie sole. Może cię trochę ściśnie, ale pomoże.

Wypiła posłusznie i skrzywiła się.

– Przypominam sobie ten smak – powiedziała. – Lekarstwo matki z pory zielonych jabłek.

– Teraz poleż trochę – rzekł Tom. – Ja upitraszę coś na obiad.

Słyszała, jak krzątał się po kuchni. Ból huczał w jej ciele. A oprócz bólu był strach. Czowała, jak lekarstwo pali ją w żołądku. Po chwili powlokła się do nowego klozetu domowej konstrukcji i spróbowała zwymiotować sole. Pot ciekł jej z czoła, zalewając oczy. Kiedy chciała się rozprostować, okazało się, że mięśnie brzucha chwycił kurcz i że nie sposób ich rozluźnić.

Nieco później Tom przyniósł jej jajecznicę. Z wolna potrząsnęła głową.

– Nie mogę – rzekła z uśmiechem. – Chyba pójdę do łóżka.

– Sole powinny już niedługo działać – zapewnił ją Tom. – Wtedy wszystko będzie dobrze. – Pomógł jej się położyć. – Jak myślisz, coś ty takiego zjadła?

Dessie leżała w swojej sypialni i siłą woli zwalczała bóle. Około dziesiątej wieczorem wola jej zaczęła przegrywać walkę. Dessie zawołała.

– Tom! Tom!

Otworzył drzwi. W rękę trzymał "World Almanac".

– Tom – powiedziała. – Przepraszam cię, ale jestem okropnie chora. Strasznie mi niedobrze.

W półmroku usiadł na brzegu łóżka.

– Bardzo cię boli?

– Tak, potwornie.

– Możesz teraz iść do klozetu?

– Nie, teraz nie.

– Przyniosę lampę i posiedzę przy tobie – rzekł. – Może trochę się prześpisz. Rano ci przejdzie. Sole to załatwią.

Znowu opanowała się siłą woli i leżała bez ruchu. Tom czytał jej dla uspokojenia urywki z pisma. Kiedy wydało mu się, że Dessie zasnęła, przestał czytać i zdrzemnął się w krześle przy lampie.

Zbudził go cienki krzyk. Przyskoczył do łóżka, na którym Dessie miotła się w pościeli. Oczy miała zasnute bielmem i błędne jak oczy oszalałego konia. Z kącików ust dobywały jej się banieczki gęstej piany, a cała twarz była w ogniu. Tom wsunął

rękę pod koldrę i wyczuł mięśnie stężałe jak żelazo. A potem szamotanie się ustało, głowa Dessie opadła w tył i światło zablęskotało na jej półprzymkniętych oczach.

Tom założył tylko uzdę koniowi i wskoczył nań na oklep. Namacał na sobie pas i zerwał go, by pognać spłoszonego konia niezdarnym cwałem po kamienistej, żłobionej koleinami drodze.

Duncanowie śpiący na górze w swoim piętrowym domku przy okręgowym trakcie nie usłyszeli wprawdzie dobijania się do wejścia, lecz usłyszeli trzask i łomot, gdy ich frontowe drzwi wyleciały z futryny razem z zamkiem i zawiasami. Zanim Red Duncan zszedł na dół ze strzelbą, Tom wrzeszczał już przez telefon ścienny do centrali w King City.

– Dajcie mi doktora Tilsona! Wszystko jedno, dawajcie go! Dawajcie, cholera jasna!

Zaspany Red Duncan jeszcze mierzył do niego ze strzelby. Doktor Tilson odezwał się w telefonie:

– Tak! Tak! Tak, słyszę: Tom Hamilton. A co jej się stało? Czy brzuch ma stwardniały? Coś jej dał? Sole? Durniu przeklęty!

Po chwili doktor pohamował gniew.

– Tom – powiedział. – Słuchaj mnie, chłopcze. Opanuj się. Wracaj i kładź jej zimne kompresy – najzimniejsze, jakie tylko możesz. Pewnie tam nie macie lodu. No to często zmieniaj okłady. Przyjadę, jak będę mógł najprędzej. Słyszysz mnie? Tom, słyszysz?

Odwiesił słuchawkę i ubrał się. Z gniewnym znużeniem otworzył ścienną szafeczkę i wyjął skalpele i klamerki, gąbki i tuby ze szwami i włożył wszystko do walizeczki. Potrząsnął swą benzynową latarką, by się upewnić, że jest napełniona, i naszykował obok niej na biurku flakon z eterem i maską. Do pokoju zajrzała jego żona w nocnym czepku i szlafroku. Doktor Tilson powiedział:

– Lecę teraz do garażu. Zadzwoń do Willa Hamiltona. Powiedz mu, że ma mnie zawieźć na folwark swojego ojca. Gdyby się opierał, powiedz, że jego siostra jest konająca.

Tom wracał konno na rancho w tydzień po pogrzebie Dessie. Jechał wyprężony jak struna, z wyprostowanymi ramionami i wciągniętą brodą, niczym gwardzista na paradzie. Zrobił wszystko bez pośpiechu, nienagannie. Konia wyczyścił zgrzeblem i wycesał, a stetsonowski kapelusz miał równo nasadzony na głowę. Nawet Samuel nie potrafiłby zachować większej godności niż Tom, kiedy tak wracał do rodzinnego domu. Ani się obrócił, gdy z wysoka spadł na kurę jastrzęb z zagiętymi szponami.

Przed stajnią zsiadł z konia, napoił go, przytrzymał chwilę przed wejściem, ażeby mu nałożyć kantar, po czym nasypał jęczmienia do skrzynki stojącej przy żłobie. Zdjął siodło i odwrócił derkę na drugą stronę, żeby przeszła. Kiedy kasztan zjadł wszystko, Tom wyprowadził go ze stajni i puścił wolno, by się pasł wszędzie, gdzie tylko znajdzie nie ogrodzone miejsce.

W domu wszystkie meble, krzesła i piec niejako odwróciły się od Toma z odrazą. Zydel usunął mu się z drogi, gdy szedł do bawialni. Zapalki rozmiękły i zamokły, więc z uczuciem zakłopotania wrócił do kuchni po inne. Lampa w bawialni stała samotna i opuszczona. Płomyk pierwszej potartej zapalki pobiegł szybko wokół roczesterskiego knota, po czym wystrzelił żółtym ogniem na pełny cal w górę.

Tom usiadł i rozejrzał się dokoła. Oczy jego omijały sofę wyściełaną końskim włosiem. Cichy chrobot myszy w kuchni sprawił, że obrócił się, zobaczył swój cień na ścianie i spostrzegł, że ma kapelusz na głowie. Zdjął go i położył obok siebie na stole.

Siedząc pod lampą snuł sobie leniwe, kojące myśli, ale wiedział, że już niedługo usłyszy wywołane swoje imię, a wtedy przyjdzie mu stanąć przed trybunałem, w którym sędzią będzie on sam, a ławnikami jego występki.

I oto rzeczywiście zabrzmiało mu w uszach wywołane przenikliwie jego imię. Umysł Toma wyszedł na spotkanie oskarżycielom: Próżności, która zarzucała mu, że jest niechlujnie ubrany, brudny i ordynarny; Żądzy podsuwającej mu pieniądze na rozpustę; Nieuczciwości, co kazała mu rościć sobie pretensje do talentu i myśli, których nie miał; Gnuśności i Łakomstwa kroczących ramię w ramię. Tom znajdował w nich pokrzepienie, albowiem przesłaniały sobą tamto wielkie Szare, co rozsiało się w głębi na ławie – tamtą szarą, potworną zbrodnię. Wyławiał pomniejsze sprawy, drobne grzeszki traktował nieledwie jak cnoty, byleby się ocalić. Było tam więc Pożądanie pieniędzy Willa, Zdrada wobec Boga Matki, Kradzież czasu i nadziei, mdłe Odtrącenie miłości.

Samuel przemówił cicho, ale głos jego wypełnił pokój:

“Bądź dobry, bądź czysty, bądź wielki, Tomie”.

Tom nie zwrócił uwagi na ojca. Odpowiedział: "Jestem zajęty witaniem moich starych znajomych" – i skinął głową Nieuprzejmości, Szpetocie, Złemu Postępowaniu wobec rodziców i Brudnym Paznokciom. A potem znowu powrócił do Próżności. Tamto Szare przepchnęło się tymczasem na front. Za późno było marudzić z dziecinnymi grzeszkami. To Szare było Morderstwem.

Dłoń Toma znowu poczuła chłód szkła i nagle zobaczył perłowy płyn, w którym jeszcze wirowały rozpuszczające się kryształki i wybiegały w górę świetliste banieczki powietrza. Powtórzył głośno w pustym, pustym pokoju:

– Sole to załatwią. Tylko zaczekaj do rana. Wtedy wszystko będzie dobrze.

Tak to brzmiało dokładnie, dokładnie tak; słyszały to ściany, fotele i lampa i mogły zaświadczyć. Na całym świecie nie było już miejsca, w którym Tom Hamilton mógłby żyć. Nie żeby nie próbował. Przerzucał w myśli możliwości jak karty. Londyn? Nie! Egipt... W Egipcie piramidy i Sfinks. Nie! Paryż? Nie! Chwileczkę... tam są o wiele bieglejsi we wszystkich tych grzechach. Nie! Odsuń się, a może do ciebie wrócimy. Betlejem? Nie, nie, Boże drogi! Smutno by tam było obcemu.

Tu wkradła się nowa myśl – tak trudno zapamiętać, jak się umiera i kiedy. Brew uniesiona albo szept – może to właśnie jest to; albo noc migocąca bryzgami światła, dopóki gnany prochem ołów nie namaca w nas tajemnicy i nie wypuści tej cieczy, którą mamy w sobie.

Tak, to prawda: Tom Hamilton już nie żyje i musi tylko wykonać parę stosownych rzeczy, by to się stało ostateczne.

Sofa skrzyknęła krytycznie, a Tom popatrzył na nią i na kopącą lampę, na którą zwracała mu uwagę.

– Dziękuję ci – powiedział do sofy. – Nie zauważyłem. – I przykręcił knot, a kopcenie ustało.

Umysł jego zadrzemał. Morderstwo potrząsnęło Tomem, przywracając mu świadomość. Czerwony Tom zanadto był teraz zmęczony, żeby się zabić. To wymaga pewnego zachodu, jest przy tym może ból, a może coś gorszego.

Przypomniał sobie, iż matka miała wielką odrazę do samobójstwa, uważając, że łączy ono w sobie trzy rzeczy, które surowo potępiała: złe obyczaje, tchórzostwo i grzech. Było prawie równie złe jak cudzołóstwo czy kradzież, może nawet tak samo. Musi być jakiś sposób, żeby uniknąć potępienia ze strony Lizy. Ona potrafi dać się we znaki, jeżeli coś potępia.

Samuel mu tego nie utrudniał, a zresztą nie sposób uniknąć Samuela, bo przecież jest wszędzie dokoła w powietrzu. Tom musiał przyznać się Samuelowi. Powiedział:

– Bardzo mi przykro, ojcze. Nie mam innej rady. Przecenileś mnie. To była pomyłka. Żałuję, że nie mogę usprawiedliwić tej miłości i dumy, którą na mnie strwonileś. Może ty byś znalazł jakieś wyjście, ale ja nie potrafię. Nie mogę żyć. Zabiłem Dessie i chcę zasnąć.

A jego umysł przemówił za nieobecnego ojca i powiedział: “No cóż, ja rozumiem, jak to było. Tyle jest dróg do wyboru na owym łuku między jednymi a drugimi narodzinami. Ale pomyślmy, co zrobić, żeby matka się z tym pogodziła. Czemu się tak niecierpliwisz, kochany mój?”

– Nie mogę czekać. Po prostu dlatego – odrzekł Tom. – Nie mogę czekać dłużej.

“Ależ możesz, możesz, synku drogi. Osiągnąłeś wielkość, tak jak się spodziewałem. Otwórz szufladę, a potem potrząśnij tą makówką, którą nazywasz głową”.

Tom otworzył szufladę i zobaczył blok listowego papieru, paczkę przynależnych do niego kopert i dwa połamane, wyszczerbione ołówki, a w głębi, w zakurzonej rogach, kilka znaczków pocztowych. Wyjął blok i zatemperował scyzorykiem ołówki. Napisał:

Kochana Mamo

Mam nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu. Chcę tak sobie wszystko ułożyć, żeby posiedzieć z Tobą dłużej. Oliwia poprosiła mnie na święto Dziękczynienia i na pewno przyjadę. Nasza mała Oliwia potrafi upiec indyka prawie tak dobrze, jak Ty, chociaż wiem, że nigdy w to nie uwierzysz. Ostatnio mi się poszczęściło. Kupiłem sobie konia za piętnaście dolarów – wałacha, który mi wygląda na rasowego. Dostałem go tanio, bo powziął odrazę do rodzaju ludzkiego. Jego poprzedni właściciel spędzał więcej czasu na własnym grzbiecie niż na grzbiecie swojego wierzchowca. Muszę przyznać, że to nie byle jaki okaz. Zrzucił mnie już dwa razy, ale go jeszcze okiełznam, a jeżeli uda mi się go ujeździć, będę miał jednego z najlepszych koni w całym okręgu. A możesz być pewna, że go ujeżdżę, choćby to

miało trwać całą zimę. Nie wiem, dlaczego tyle o tym piszę, ale ten, od którego go kupiłem, powiedział mi zabawną rzecz: “Ten koń jest taki złośliwy, że zżarłby człowieka z własnego grzbietu”. No, ale pamiętasz, co ojciec mówił, kiedyśmy szli na króliki? “Wracajcie z tarczą albo na tarczy”.

Do zobaczenia w święto. Twój syn

Tom

Zastanowił się, czy tak będzie dobrze, ale był zanadto zmęczony, żeby zaczynać od nowa. Dodał:

P.S. Zauważyłem, że Polly wcale się nie poprawiła. Rumienię się, kiedy słyszę tę papugę.

Na drugiej kartce napisał:

Kochany Willu

Niezależnie od tego, co sobie pomyślisz, proszę Cię teraz o pomoc. Proszę przez wzgląd na Matkę. Zabił mnie koń – zrzucił i kopnął w głowę – pamiętaj!

Twój brat

Tom

Nakleił znaczki na listy, wsunął je do kieszeni i zapytał Samuela:

– Czy tak będzie dobrze?

U siebie w sypialni rozerwał świeże pudełko naboju i jeden załadował do bębena swego dobrze naoliwionego Smith-Wessona kaliber 38, po czym nastawił nabitą komorę o jedną przedziałkę w lewo od iglicy.

Jego koń, który stał sennie nie opodal płotu, przybiegł na gwizdek i półdrzemiac pozwolił nałożyć sobie siodło.

Była trzecia nad ranem, kiedy Tom wrzucił listy do skrzynki pocztowej w King City, dosiadł konia i zawrócił na południe, ku jałowym wzgórzom rancza Hamiltonów.

Był dzielny i szlachetny człowiekiem.

CZEŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ XXXIV

1

Dziecko może zapytać: "O czym to jest historia świata?" A dorosły mężczyzna lub kobieta może się zastanowić: "Jaką drogę obierze świat? Jak się kończy, a skoro już o tym mowa, jaką ma treść jego historia?"

Sądzę, że na świecie istnieje jedna, tylko jedna historia – ta, która napawa nas lękiem i natchnieniem, tak że żyjemy jakby w pewnym seryjnym filmie nieustających myśli i roz-trząsań. Ludzie w swym życiu, w rozumowaniu, w pożądaniach i ambicjach, w swym skąpstwie i okrucieństwie, a także w dobroci i wspaniałomyślności – są uwikłani w matnię dobra i zła. Myślę, że to jest jedyna nasza historia i że rozgrywa się ona na wszystkich poziomach uczuć i inteligencji. Cnota i występki były wątkiem i osnową naszej najpierwszej świadomości i pozostaną tkaniną ostatniej, i to na przekór wszelkim przemianom, jakie możemy narzucić polom, rzekom i górom, ekonomii i obyczajom. Nie ma innej historii. Człowiekowi, który strząśnie już z siebie pył i śmieć życia, pozostaną tylko twarde, jasne pytania: czy to życie było dobre, czy złe? Czy postępowałem dobrze, czy źle?

Herodot w *Wojnach perskich* opowiada, jak Krezus, najbogatszy i najbardziej uprzywilejowany król swojej epoki, zadał Solonowi Ateńczykowi zasadnicze pytanie. Nie uczyniłby tego, gdyby go nie trapiła odpowiedź. Zapytał: "Kto jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie?" Musiały go zżerać wątpliwości i widać gorąco pragnął uspokojenia. Solon wymienił mu trzech szczęśliwych ludzi ze starodawnych czasów. A Krezus najprawdopodobniej nie słuchał, gdyż tak bardzo troskał się o siebie. Kiedy zaś Solon nie wspomniał jego imienia, Krezus chcąc nie chcąc musiał zapytać: "Czyż mnie nie uważasz za szczęśliwego?" Solon nie wahał się, jaką ma dać odpowiedź. Odrzekł: "Skądże mogę to wiedzieć? Wszak jeszcze nie umarłeś".

I ta odpowiedź musiała straszliwie nękać Krezusa, gdy szczęście go opuściło, a wraz z nim bogactwo i królestwo. A kiedy go palono na wyniosłym stosie, może

przypomniał to sobie i pomyślał, że lepiej było nie zadawać tamtego pytania albo nie otrzymać odpowiedzi.

A w naszych czasach, kiedy człowiek umrze – jeżeli, posiadał bogactwo, wpływy i władzę, i wszystkie atrybuty, które pobudzają zazdrość – wówczas po oszacowaniu jego osiągnięć, dzieł i pomników też pozostaje pytanie: “Czy jego życie było dobre, czy złe?”, co jest tylko innym sformułowaniem pytania Krezusa. Zawiesz już znikła – jedyną miarką jest: czy był kochany, czy znienawidzony? Czy jego śmierć odczuto jako stratę, czy też stała się powodem radości?

Pamiętam dokładnie zgony trzech ludzi. Jeden z nich, najbogatszy człowiek stulecia, który po trupach i po duszach ludzkich torował sobie drogę do bogactwa, strawił potem wiek lat na próbach odkupienia z powrotem miłości, którą utracił, i tym sposobem wyświadczył wielkie usługi światu, i kto wie, czy znacznie nie przeważał zła swego wyniesienia. Kiedy umarł, byłem właśnie na statku. Wiadomość o tym wywieszono na tablicy informacyjnej i prawie każdy przyjmował ją z satysfakcją. Kilku ludzi powiedziało: “Bogu dzięki, że ten drań zdechł”.

Drugim był człowiek przebiegły jak Szatan, który nie mając uczucia ludzkiej godności, a znając aż nadto dobrze ludzką nikczemność i słabość, obrócił tę swoją specjalną wiedzę na to, by wypaczać, kupować sobie i przepłacać ludzi, zastraszać ich i zniewalać, póki nie zdobył olbrzymiej władzy. Przystrajał swoje pobudki w imiona cnót i często zastanawiałem się, czy kiedykolwiek pomyślał, że żadnym darem nie kupi się miłości człowieka, jeśli odjęto mu miłość własną. Człowiek przekupny może tylko nienawidzić tego, kto go przekupił. Gdy tamten umarł, cały kraj rozbrzmiewał pochwałami, a po cichu radował się, że już nie żyje.

Był jeszcze trzeci, który zapewne popełnił wiele błędów w działaniu, ale w istocie rzeczy poświęcił życie temu, by ludzi uczynić dzielnymi, dobrymi, pełnymi godności w czasach, gdy żyli w nędzy i lęku i gdy na świecie rozpełtały się złe moce pragnące wykorzystać ich strach. Ten człowiek był znienawidzony przez nielicznych. Kiedy umarł, ludzie wybuchali płaczem na ulicach i jęczyli w duchu: “Co teraz pocznjemy? Jak damy sobie radę bez niego?”

Wśród całej niepewności pewien jestem, że pod wierzchnią warstwą swych przywar ludzie pragną być dobrzy i pragną być kochani. Zaiste większość ich wad jest próbą znalezienia skróconej drogi do miłości. Kiedy człowiek umiera nie kochany, wówczas bez względu na swoje talenty, wpływy i geniusz musi uznać własne życie za porażkę, a konanie za zimną potworność. Wydaje mi się, że jeśli wy czy ja mamy

wybierać pomiędzy dwoma sposobami myślenia czy postępowania, winniśmy pamiętać o śmierci i starać się żyć tak, aby nasz zgon nie przyniósł światu radości.

Mamy tylko jedną historię. Wszystkie powieści, cała poezja zbudowane są na nie kończącym się zmaganiu dobra ze złem w nas samych. I przychodzi mi na myśl, że zło musi się ustawicznie łęgnąć na nowo, podczas gdy dobro i cnota są nieśmiertelne. Występek ma wciąż nową, świeżą i młodą twarz, natomiast cnota jest czcigodna jak żadna inna rzecz na świecie.

ROZDZIAŁ XXXV

1

Li pomógł Adamowi i obu chłopcom przenieść się do Salinas, co oznacza, że sam wszystko zrobił, spakował rzeczy, które mieli zabrać, odwiózł ich na stację, załadował bagaże na tylne siedzenie Forda, a przyjechawszy do Salinas rozpakował je i zakwaterował ojca z synami w małym domku Dessie. Kiedy już zrobił wszystko, co tylko możliwe, ażeby im zapewnić wygodę, prócz tego zaś sporo rzeczy zbędnych, a ponadto jeszcze inne dla zyskania na czasie, zgłosił się oficjalnie do Adama pewnego wieczora, kiedy chłopcy już poszli spać. Adam musiał odgadnąć zamiary Li po jego chodzie i oficjalności. Powiedział:

– W porządku. Spodziewałem się tego. Mów.

To całkowicie sparaliżowało przemówienie, które Li ułożył sobie w głowie i które miał zacząć od słów: “Przez wiele lat służyłem panu wedle moich najlepszych umiejętności i teraz uważam...”

– Odkładałem to jak mogłem najdłużej – powiedział Li. – Mam nawet przygotowaną mowę. Chciałby pan ją usłyszeć?

– A ty masz chęć ją wygłosić?

– Nie – odpowiedział Li. – Nie wiem. A to wcale niezła mowa.

– Kiedy chcesz odejść? – zapytał Adam.

– Jak najprędzej. Obawiam się, że mogę stracić ochotę, jeżeli nie odejdę zaraz. Życzy pan sobie, żebym zaczekał, aż pan znajdzie sobie kogoś innego?

– Lepiej nie – odparł Adam. – Wiesz, jaki jestem powolny. To mogłoby potrwać. A może w ogóle się na to nie zdobędę.

– W takim razie odejdę jutro.

– Chłopaków to całkiem wykończy – rzekł Adam. – Nie mam pojęcia, co zrobią. Może lepiej wymknij się po cichu, a ja im powiem później.

– Wiem z obserwacji, że dzieci zawsze robią niespodzianki – rzekł Li.

I tak też się stało. Nazajutrz przy śniadaniu Adam oznajmił:

– Chłopcy, Li odchodzi.

– Tak? – spytał Kal. – Dziś po południu jest mecz koszykówki, wstęp dziesięć centów. Moglibyśmy pójść?

– Owszem. Ale słyszeliście, co powiedziałem?

– Jasne – odrzekł Aron. – Że Li odchodzi.

– Ale on już nie wróci.

Kal zapytał:

– A dokąd jedzie?

– Zamieszka w San Francisco.

– O! – zawołał Aron. – A wie ojciec, że tu na Głównej stoi na chodniku taki gość, co ma piecyk i gotuje parówki, i wkłada je w bułki. To kosztuje piąta. I można wziąć tyle musztardy, ile się chce.

Li stanął w kuchennych drzwiach, uśmiechając się do Adama.

Kiedy bliźniacy zebrali swoje książki, Li powiedział:

– Do widzenia, chłopcy.

– Do widzenia! – odkrzyknęli i wybiegli z domu.

Adam wpatrzył się w swoją filiżankę i powiedział przeproszającym tonem:

– Cóż to za zwierzęta! Ot i masz nagrodę za przeszło dziesięć lat służby.

– Wolę, że to się tak odbyło – rzekł Li. – Gdyby udawali smutek, byłiby kłamcami. Dla nich to nie ma znaczenia. Może czasem pomyślą o mnie... w duchu. Nie chcę, żeby się martwili. Mam nadzieję, że nie jestem tak małoduszny, aby czerpać satysfakcję z tego, że komuś mnie brak. – Położył pięćdziesiąt centów na stole przed Adamem. – Jak dziś będą szli na ten mecz koszykówki, niech pan im to da ode mnie i powie, żeby sobie kupili bułki z parówkami. Moim pożegnalnym darem może być równie dobrze ptomaina...

Adam spojrzał na rozkładany koszyk, który Li przyniósł do jadalni.

– To wszystkie twoje rzeczy, Li?

– Wszystkie prócz książek. Książki są w pakach w piwnicy. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, przyślę po nie kogoś albo sam przyjadę, jak już się zagospodaruję.

– Ależ oczywiście, Li. Brak mi ciebie będzie, czy tego chcesz, czy nie. Naprawdę otworzysz sobie księgarnię?

– Taki mam zamiar.

– Odezwiesz się do nas?

– Nie wiem. Muszę się nad tym zastanowić. Powiadają, że czyste cięcie najszybciej się goi. Dla mnie nie ma nic smutniejszego niż takie związki między

ludźmi, które trzyma jedynie klej znaczków pocztowych. Jeżeli nie można zobaczyć, usłyszeć czy dotknąć drugiego człowieka, najlepiej z nim zerwać.

Adam wstał od stołu.

– Odprowadzę cię na stację.

– Nie! – rzucił ostro Li. – Nie. Nie chcę tego. Do widzenia, panie Trask. Do widzenia, Adamie.

Wybiegł z domu tak prędko, że “do widzenia” Adama dopędziło go u dołu frontowych schodów, a “nie zapomnij napisać!” zabrzmiało jednocześnie z trzaśnięciem furtki wyjściowej.

2

Tegoż wieczora, po meczu koszykówki, Kal i Aron zjedli po pięć bułek z parówkami, co było o tyle wskazane, że Adam zapomniał przygotować coś na kolację. Wracając do domu chłopcy po raz pierwszy rozmawiali na temat Li.

– Ciekawe, dlaczego on odszedł? – rzekł Kal.

– Już dawno mówił, że odejdzie.

– Jak myślisz, co on bez nas zrobi?

– A bo ja wiem. Założę się, że wróci – odparł Aron.

– Gdzie tam. Ojciec mówił, że ma sobie otworzyć księgarnię. Śmieszne.

Chińska księgarnia.

– Wróci – powtórzył Aron. – Zateškni za nami. Zobaczysz.

– Załóż się o dziesięć centów, że nie.

– Do kiedy?

– Do nigdy.

– Dobra – rzekł Aron.

Aron nie mógł zainkasować wygranej przez miesiąc bez mała, ale wygrał w sześć dni później.

Li przyjechał pociągiem o dziesiątej czterdzieści i otworzył sobie drzwi własnym kluczem. W jadalni paliło się światło, ale Li zastał Adama w kuchni, wyskrobującego z patelni grubą, czarną skorupę nożykiem do otwierania konserw.

Li postawił koszyk na ziemi.

– Jeżeli pan to zaleje wodą, do rana samo odejdzie.

– Tak? Popaliłem wszystko, co gotowałem. Na podwórku leży cała rynka buraków. Śmierdziały tak, że nie mogłem ich trzymać w domu. Przypalone buraki są okropne... Li! – krzyknął nagle, a potem: – czy coś się stało?

Li odebrał mu szerniałą patelnię, włożył ją do zlewu i zalał wodą.

– Gdybyśmy mieli taki nowy piecyk gazowy, można by w parę minut ugotować kawę – powiedział. – Ano, trzeba rozpalić ogień.

– Piec nie chce się palić – rzekł Adam.

Li podniósł klapę.

– Czy pan w ogóle wyjmował popiół?

– Popiół?

– Ech, niech pan lepiej idzie do pokoju. Zrobię trochę kawy.

Adam niecierpliwie czekał w jadalni, ale zastosował się do jego polecenia. Wreszcie Li przyniósł dwie filiżanki kawy i postawił je na stole.

– Zrobiłem ją w rondelku – powiedział. – To dużo prędzej idzie.

Pochylił się nad swoim koszykiem i rozwiązał przytrzymujący go sznur. Wyciągnął kamionkową butelkę.

– Chiński absynt – rzekł. – Ta *ng-ka-pi* może starczyć jeszcze na dziesięć lat. Zapomniałem spytać, czy pan wziął sobie kogoś na moje miejsce.

– Wciąż tylko krążysz dookoła tematu – powiedział Adam.

– Wiem o tym, Wiem także, że najlepiej byłoby od razu wszystko powiedzieć i mieć to za sobą.

– Przegrałeś pieniądze w *fn-tan!*

– Nie. Wolałbym, żeby tak było. Nie; mam swoje pieniądze. Ten przeklęty korek się ułamał... muszę go wepchnąć do butelki. – Nalał czarnego trunku do kawy.

– Nigdy jeszcze nie piłem w ten sposób – rzekł. – O, ale to dobre!

– Smakuje jak zgniłe jabłka – powiedział Adam.

– Tak, ale niech pan pamięta, iż Sam Hamilton mówił, że jak dobre zgniłe jabłka.

Adam zapytał:

– Jak myślisz, kiedy nareszcie się zdecydujesz powiedzieć mi, co ci się przydarzyło?

– Nic mi się nie przydarzyło – odparł Li. – Poczuję się bardzo samotny. Nic więcej. Czy to nie wystarczy?

– A co z twoją księgarnią?

– Nie chcę żadnej księgarni. Zdaje się, że o tym wiedziałem, jeszcze zanim wsiadłem do pociągu, ale trzeba mi było całego tego czasu, żeby się upewnić.

– W takim razie rozwiało się twoje ostatnie marzenie.

– Tym lepiej. – Li był najwyraźniej bliski hysterii. – Pan Tlask, chinycki chłopak się chyba upije.

Adam zaniepokoił się.

– Co ci jest?

Li podniósł butelkę do ust, pociągnął duży łyk palącego trunku i chuchnął, żeby wyrzucić jego wyziewy ze spieczonego gardła.

– Adamie – powiedział. – Jestem nieporównanie, niewiarygodnie, przytłaczająco szczęśliwy, że wróciłem do domu. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak piekielnie samotny.

ROZDZIAŁ XXXVI

1

Salinas miało dwa gimnazja, masywne, żółte budynki o dużych oknach; okna te były posępne, a drzwi nieprzyjazne. Jedno gimnazjum nazywało się "Wschodnie", drugie "Zachodnie". Ponieważ "Wschodnie" znajdowało się gdzieś na przedpieklu, po drugiej stronie miasta, i uczęszczały do niego tylko dzieci mieszkające na wschód od ulicy Głównej, więc nie będę się nim zajmował.

"Zachodnie" – obszerny, piętrowy budynek, od frontu przesłonięty sękatymi topolami, rozdzielał dwa boiska zwane "stroną dziewczynek" i "stroną chłopców". Za szkołą przegradzał je wysoki parkan z desek, a z tyłu okalała sadzawka stojącej wody, w której rosło wysokie sitowie, a nawet pałki wodne. "Zachodnie" gimnazjum miało klasy od trzeciej do ósmej. Dzieci z pierwszej i drugiej chodziły do przedszkola mieszczącego się w pewnej odległości od gimnazjum.

W "Zachodnim" każda klasa miała osobny pokój; trzecia, czwarta i piąta na parterze, a szósta, siódma i ósma na piętrze. We wszystkich były normalne ławki z podniszczonej już dębiny, podium i kwadratowa katedra, wiszący zegar i jeden obrazek na ścianie. Po tych obrazkach rozróżniało się poszczególne klasy, a wszystkie one zdradzały przemożny wpływ prerafaelitów. Galahad w pełnej zbroi wskazywał drogę trzecioklasistom, pędząca Atalanta przynaglała klasę czwartą, wazon z bazylikiem⁷ zastanawiał piątą i tak dalej aż po oskarżenie Katyliny, które wyprawiało ósmoklasistów do szkoły wyższej z poczuciem wzniosłych cnót obywatelskich.

Kala i Arona przydzielono ze względu na wiek do klasy siódmej, gdzie nauczyli się na pamięć wszystkich szczegółów wiszącego tam obrazka: Laokoona od stóp do głów omotanego wężami.

Bliźniaków, którzy dotychczas znali tylko jednoizbową szkołkę wiejską, oszołomiły wspaniałości i ogrom "Zachodniego" gimnazjum. Luksus, jakim była osobna nauczycielka na każdą klasę, wywarł na nich giętkie wrażenie. Wydawało im się to marnotrawstwem. Jednakże, jak to zwykle bywa z ludźmi, czuli się oszołomieni

⁷ Aluzja do jednej z opowieści z *Decamerona* Boccaccia (przyp. tłum.)

przez pierwszy dzień, zachwyceni przez drugi, trzeciego zaś już niezbyt wyraźnie pamiętali, że w ogóle chodzili do jakiejś innej szkoły.

Nauczycielka była przystojną brunetką, a dzięki roztropnemu podnoszeniu albo niepodnoszeniu rąk bliźniacy nie mieli z nią kłopotów. Kal szybko opracował sobie tę metodę i wytłumaczył ją Aronowi.

– Patrz, jak jest przeważnie z chłopakami – powiedział. – Jeżeli znają odpowiedź, to podnoszą rękę, a jak nie, to się chowają pod ławkę. Wiesz, co my będziemy robili?

– Nie. A co?

– Ano, chybaś zauważył, że nauczycielka nie zawsze pyta tego, co trzyma rękę do góry. Wyrwa innych, a ci, rzecz jasna, nie wiedzą.

– Racja – rzekł Aron.

– No więc w pierwszym tygodniu weźmiemy się do roboty jak cholera, ale nie będziemy podnosili rąk. Ona nas wyrwie i okaże się, że umiemy. To ją zatka. Wobec tego w następnym tygodniu nie będziemy nic robili, ale za to podnosili ręce, i ona nas nie wyrwie. W trzecim tygodniu będziemy siedzieć cicho, a ona nie skapuje, czy się nauczyliśmy, czy nie. I niedługo zostawi nas w spokoju. Nie może marnować czasu na wywoływanie kogoś, kto umie.

Metoda Kala okazała się skuteczna. Po niedługim czasie bliźniacy nie tylko mieli spokój, ale nawet zyskali sobie opinię rozbawionych. W gruncie rzeczy jednak metoda ta była stratą czasu. Obaj chłopcy nie mieli trudności w nauce.

Kal mógł się doskonalić w grze w kulki i wkrótce zaczął kolekcjonować wszystkie wapienne, szklane i agatowe z całego szkolnego podwórka. Wymieniał je na stożki, kiedy kończył się sezon gry. W pewnej chwili posiadał i używał jako legalnego środka wymiany co, najmniej czterdziestu pięciu stożków rozmaitej wielkości i koloru, od grubych, niezdarnych i małych, aż po smukłe i niebezpiecznie ostro zakończone.

Każdy, kto tylko zobaczył bliźniaków, od razu dostrzegł różnicę w ich wyglądzie i był tym najwyraźniej zaskoczony.

Kal wyrastał na smagłego, ciemnowłosego młodzieniaszka. Był bystry, pewny siebie i skryty. Choćby chciał, nie mógłby utaić swego sprytu. Dorosłych uderzało w nim i zarazem trochę przstraszało coś, co mogliby określić jako przedwczesną dojrzałość. Nikt zbytnio nie lubił Kala, a jednak każdy odczuwał przed nim obawę, poprzez obawę zaś i pewien respekt. Wprawdzie nie miał przyjaciół, ale był mile

widziany przez nadskakujących mu kolegów i naturalną kolejną rzeczą zdobył sobie na szkolnym dziedzińcu chłodną pozycję przywódcy.

O ile ukrywał swoją przebiegłość, to taił też w sobie i doznawane przykrości. Uważano, że jest gruboskórny i niewrażliwy – nawet okrutny.

Aron zewsząd przyciągał ludzką miłość. Sprawiał wrażenie chłopca nieśmiałego i delikatnego. Jego białoróżowa cera, złote włosy i szeroko osadzone, błękitne oczy zwracały uwagę. Na szkolnym podwórku jego uroda przysparzała mir pewnych trudności, dopóki ci, co chcieli go wypróbować, nie przekonali się, że Aron jest uparty, zawzięty i całkowicie nieulekły w bitce, szczególnie kiedy płacze. Wieść o tym się rozeszła i zawodowi prześladowcy nowych kolegów nauczyli się go omijać.

Aron nie starał się ukrywać swojego usposobienia. Przesłaniał je natomiast fakt, że było przeciwieństwem jego zewnętrznego wyglądu. Aron raz obrawszy sobie jakąś linię postępowania, już z niej nie zbaczał. Charakter miał dość jednolity i bardzo mało zmienny. Ciało Arona było niewrażliwe na ból, podobnie jak umysł na subtelności.

Kal dobrze znał brata i umiał dać sobie z nim radę, wytrącając go z równowagi, ale to działało tylko do pewnego momentu. Kal nauczył się, kiedy uskakiwać w bok, a kiedy uciekać. Zmiana linii postępowania dezorientowała Arona, ale była też jedyną rzeczą, która go zbijała z tropu. Wytyczył sobie drogę, kroczył nią i ani nie dostrzegał, ani nie interesował się tym, co było obok niej. Wzruszenia jego były nieliczne i leniwe. Anielska twarz Arona przesłaniała jego osobowość i nie bardziej się o to troszczył czy poczuwał do odpowiedzialności za swoje cechy niż jelonek za cętki nakrapiające jego młodą sierść.

2

Pierwszego dnia w szkole Aron niecierpliwie wyczekiwał pauzy. Poszedł na "stronę dziewczyn", aby pomówić z Abką. Ciżba wrzeszczących pańienek nie zdołała go stamtąd przepłoszyć. Trzeba było interwencji dorosłej nauczycielki, aby go zmusić do powrotu na "stronę chłopców".

W południe rozminął się z Abką, gdyż ojciec przyjechał po nią swym powozikiem na wysokich kołach i zabrał do domu na obiad. Aron po szkole zaczął na nią przed bramą dziedzińca.

Wyszła otoczona koleżankami. Twarz miała opanowaną i niczym nie zdradziła, że go się spodziewa. Była bezspornie najładniejszą dziewczyną w gimnazjum, ale wątpliwe jest, czy Aron to zauważył.

Chmara dziewcząt nie chciała od niej odejść. Aron maszerował o trzy kroki za nimi, cierpliwy i nie zmieszany nawet wtedy, gdy zaczęły mu rzucać przez ramię piskliwe kolce zniewag. Stopniowo część porozchodziła się do domów i tylko trzy pozostały przy Abrze, kiedy skręciła w białą furtkę swego ogrodu. Dziewczynki przypatrywały się przez chwilę Aronowi, zachichotały i poszły w swoją drogę.

Aron przysiadł na brzegu chodnika. Po chwili klamka opuściła się, biała furtka odemknęła i ukazała się w niej Abra. Przeszła przez chodnik i stanęła nad Aronem.

– Czego ty chcesz?

Duże oczy Arona spojrzały na nią.

– Nie jesteś z nikim zaręczona?

– Niemądry! – odpowiedziała.

Dźwignął się z ziemi.

– Chyba dużo czasu upłynie, zanim będziemy mogli się pobrać – rzekł.

– A kto by chciał się pobrać?

Aron nie odpowiedział. Może w ogóle nie usłyszał. Szedł obok niej.

Abra stawiała mocne, zdecydowane kroki, patrząc prosto przed siebie. W wyrazie jej twarzy była mądrość i słodycz. Zdawała się zatopiona w myślach. Natomiast idący obok Aron nie odrywał od niej wzroku. Rzekłbyś, że jakaś napięta struna przyciągała jego uwagę do twarzy Abry.

W milczeniu minęli przedszkole; w tym miejscu kończył się chodnik. Abra skręciła w prawo i ruszyła pierwsza poprzez szczecinę letniego rżyska. Stopy ich rozgniatyły czarne grudki gliniastej ziemi.

Na skraju łąki stała budka, w której mieściła się pompa, a obok rosła wierzba karmiąca się rozlanym tu nadmiarem wody. Długi płaszcz liści sięgał prawie do samej ziemi.

Abra rozchyliła gałązki niby zasłonę i weszła do wnętrza owego domu z listowia utworzonego wokół pnia wierzby przez zwisające gałęzie. Spoza nich widziało się wszystko na zewnątrz, ale w środku było przytulnie, bezpiecznie i ciepło. Popołudniowe słońce żółto przeświecało przez więdnące listki.

Abra usiadła, a raczej jakby spłynęła na ziemię, suta spódnica zaś wydeła się wokół niej niby fala. Złożyła ręce na kolanach jak do modlitwy. Aron usiadł obok niej.

- Chyba dużo czasu upłynie, zanim będziemy mogli się pobrać – powtórzył.
- Nie tak dużo – odparła Abra.
- Chciałbym, żeby to było już.
- Nie potrwa długo – rzekła Abra.
- A myślisz, że twój ojciec się zgodzi? – zapytał. Było to dla niej coś nowego; obróciła się i spojrzała na Arona.
- Może go wcale nie zapytam.
- Ale matka?
- Nie zwracajmy im głowy – powiedziała. – Pomyślą, że to śmieszne albo złe.

Nie potrafisz dochować sekretu?

- O, tak. Lepiej niż kto inny. A mam niejednego.

Abra powiedziała:

- No to schowaj ten razem z tamtymi.

Aron podniósł gałązkę i nakreślił nią linię na ciemnej ziemi.

- Abro, czy ty wiesz, jak się rodzą dzieci?

– Wiem – odparła. – A tobie kto powiedział?

– Li. Wszystko mi wytłumaczył. Chyba jeszcze długo nie będziemy mogli mieć dzieci.

Kąciki ust Abry podniosły się z wyrozumiałą wyższością.

- Nie tak długo – powiedziała.

– Kiedyś będziemy mieli swój dom – ciągnął Aron zaskoczony. – Wejdziemy sobie do środka, zamkniemy drzwi i będzie nam przyjemnie. Ale to jeszcze nieprędko.

Abra wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Nie martw się o te wszystkie “nieprędko” – rzekła. – Tu też jest jakby dom. Póki co, możemy się bawić, że tu mieszkamy. Będiesz moim mężem i możesz nazywać mnie żoną.

Spróbował tego najpierw po cichu, a potem głośno:

- Żono – powiedział.

– To będzie tak dla wprawy – Odparła Abra.

Ręka Arona zadrżała pod jej dotknięciem. Abra cofnęła dłoń i położyła ją sobie na kolanach, wewnętrzną stroną do góry. Aron powiedział nagle:

- A póki się wprawiamy, może byśmy zrobili co innego?

– Co?

– Pewnie ci się nie spodoba.

- Ale co?
- Może moglibyśmy udawać, że niby jesteś moją matką.
- To łatwe – odrzekła.
- Zgodziłabyś się?
- Tak, chętnie. Chcesz już zacząć?
- Jasne – odparł Aron. – A jak to będziesz robiła?

– Zaraz ci pokażę – odrzekła Abra. Przybrała pieszczotliwy ton i powiedziała: – Chodź, dziecinko, połóż mamusi główkę na kolanach. Chodź do mnie, syneczku. Mamusia cię ulula.

Przyciągnęła jego głowę i Aron nagle się rozplakał. Nie mógł się pohamować; płakał cicho, a Abra gładziła go po policzku i brzegiem sukienki ocierała mu płynące łzy.

Słońce zniżało się ku miejscu, gdzie zachodziło za rzeką Salinas, a na złocistym rżysku zaczął prześlicznie śpiewać jakiś ptak. Pod gałęziami wierzby było tak cudownie jak nigdzie na świecie.

Powoli Aron przestał płakać; było mu teraz dobrze i ciepło.

– Moje kochane dzieciątko – mówiła Abra. – Chodź, to ci mamusia odgarnie włoski z czoła.

Aron usiadł prosto i powiedział nieledwie ze złością:

– Ja prawie nigdy nie płaczę, chyba że jestem wściekły. Nie wiem, dlaczego się pobeczałem.

– Czy ty pamiętasz swoją matkę? – spytała Abra.

– Nie. Umarła, jak byłem jeszcze malutki.

– A nie wiesz, jak wyglądała?

– Nie.

– Możeś widział jej zdjęcie?

– Mówię ci, że nie. Nie mamy żadnych zdjęć. Pytałem Li i powiedział, że nie ma... Nie, to, zdaje się, Kal go pytał.

– Kiedy umarła?

– Zaraz po urodzeniu moim i Kala.

– Jak miała na imię?

– Li mówi, że Cathy. Słuchaj, co ty się tak wypytyujesz?

Abra ciągnęła spokojnie:

– A jaką miała kompleksję?

- Co takiego?
- No, była jasna czy ciemna?
- Nie wiem.
- Ojciec wam nie mówił?
- Nigdyśmy nie pytali.

Abra zamilkła; po chwili Aron odezwał się:

- Co się stało? Kot odgryzł ci język?

Abra przypatrywała się zachodzącemu słońcu. Aron spytał niepewnie:

- Zła jesteś na mnie... – i dodał, nieśmiało: – ... żono?
- Nie, nie jestem zła. Tylko się zastanawiam.
- Nad czym?

– Nad czymś. – Stanowcza twarz Abry była napięta od jakiejś kipiącej, wewnętrznej rozterki. Spytała: – Jak to jest nie mieć matki?

- Czy ja wiem. Jakoś zwyczajnie.
- Ty byś pewno nawet nie zauważył różnicy.
- Chybabym zauważył. Może powiesz, o co ci idzie. Mówisz jakby zagadkami z “Biuletynu”.

Abra była nadal niewzruszona i pełna skupienia.

- Chcesz mieć matkę?
- Niemądre pytanie – odparł Aron. – Pewflie, że chcę. Każdy chce. Chyba nie masz zamiaru mnie urazić, co? Kal czasem próbuje, a potem się śmieje.

Abra oderwała wzrok od zachodzącego słońca. Trudno jej teraz było coś widzieć, bo światło pozostawiło fioletowe plamy w jej źrenicach.

- Powiedziałaś niedawno, że umiesz dochować tajemnicy.
- Umiem.
- No, a masz taki sekret, że byś go nie wydał, choćby cię krajali w kawałki?
- Pewnie, że mam.

Abra poprosiła cicho:

- Powiedz mi, Aronie. – Imię jego wymówiła pieszczotliwie.
- Co ci powiedzieć?
- Powiedz mi swój największy, najstraszniejszy sekret.

Aron odsunął się od niej z niepokojem.

– Kiedy nie chcę – odparł. Jakim prawem mnie pytasz? Nie powiedziałbym nikomu.

– No, dziecinko... powiedz mamusi – poprosiła czule. Łzy znowu cisnęły mu się do oczu, ale tym razem były to łzy gniewu.

– Nie wiem, czy chcę się z tobą ożenić – powiedział. – Chyba już pójdę do domu.

Abra położyła mu dłoń na przegubie ręki i przytrzymała go. Z głosu jej zniknęła kokieteria.

– Chciałam się tylko przekonać. Widzę, że naprawdę umiesz dochować tajemnicy.

– Dlaczegoś to zrobiła? Teraz jestem wściekły. Mam tego dość.

– Bo zdaje się, że ci powiem jeden sekret – odrzekła.

– Ho, ho! – zadrwił z niej. – Któż to teraz nie potrafi dochować tajemnicy?

– Musiałam się zdecydować – oświadczyła. – Ale pewnie ci powiem, bo to ci może dobrze zrobić. Może się ucieszysz.

– A kto ci zakazał mówić?

– Nikt. Sama sobie zakazałam.

– No, to trochę co innego. I jaki jest ten twój sekret?

Czerwone słońce dotknęło krawędzią kalenicy dachu domu Tollota przy drodze do Blanco i komin zarysował się na jego tle jak czarny paluch.

Abra powiedziała cicho:

– Słuchaj, pamiętasz, jak myśmy wtedy do was zajechali?

– Pewnie!

– No więc potem usnęłam w powozie, a jak się obudziłam, rodzice nic nie wiedzieli, że już nie śpię. Mówili, że twoja matka nie umarła. Że odjechała. Że musiało się z nią stać coś niedobrego i wtedy wyjechała.

Aron powiedział chrapliwie:

– Umarła.

– A nie byłoby miło, gdyby żyła?

– Ojciec mówi, że umarła. A on nie kłamie.

– Może naprawdę myśli, że umarła.

– Chybaby wiedział – odrzekł Aron, lecz w jego głosie zabrzmiała niepewność.

Abra spytała:

– Prawda, że byłoby świetnie, gdyby nam się udało ją znaleźć? Może straciła pamięć albo co. Czytałam o takich rzeczach. Moglibyśmy ją odszukać i wtedy wszystko by jej się przypomniało.

Wspaniałość tej romantycznej historii porwała ją i uniosła jak morska fala.

Aron rzekł:

– Zapytam ojca.

– Aronie – odparła surowo. – To, co ci mówiłam, to jest tajemnica.

– Kto tak powiedział?

– Ja. Teraz powtórz za mną:. Dam się pokrajać na drobne kawałki, jeżeli to zdradzę.

Zawahał się chwilę, po czym powtórzył:

– Dam się pokrajać na drobne kawałki, jeżeli to zdradzę.

Powiedziała:

– Teraz spluń sobie w rękę... o, tak, dobrze. I daj mi rękę, tak, widzisz? Rozmaż ślinę. A teraz wetrzyj ją we włosy.

Oboje wykonali rytuał, po czym Abra rzekła uroczyście:

– No, chciałabym teraz widzieć, co by było, jak byś się wygadał. Znałam jedną, co zdradziła sekret po takiej przysiędze, to się spaliła w stodole.

Słońce zaszło za dom Tollota, a wraz z nim zagasło złociste światło. Nad górą Toro zamigotała wieczorna gwiazda. Abra zawołała:

– Ojej! Ze skóry mnie żywcem obedrą. Chodź, lecimy! Założę się, że ojciec już wyciągnął gwizdek na psy. Dostanę lanie.

Aron spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Lanie? Chyba cię nie biją?

– Tak ci się zdaje!

Aron powiedział z pasją:

– Niech tylko spróbują. Jeżeliby chcieli cię uderzyć, powiedź im, że ich pozabijam. – Szeroko osadzone, błękitne oczy Arona były zmrużone i błyszczące. – Nikt nie tknie mojej żony – powiedział.

W półmroku pod wierzbą Abra zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go w rozchylone usta.

– Kocham cię, mężu – powiedziała i obróciwszy się na pięcie pognała zadarłszy spódnice nad kolana, tak że aż obszyte koronką białe majtki migwały, gdy pędziła w stronę domu.

Aron zawrócił do pnia wierzby, usiadł na ziemi i oparł się plecami o korę. W głowie miał szarość, a w piersiach kipiał mu ból. Popróbował rozłożyć sobie to uczucie na myśli i obrazy, ażeby ból jakoś przeszedł. Nie było to łatwe. Jego powolny, systematyczny umysł nie mógł przyswoić sobie od razu tylu myśli i wzruszeń. Zamknął się przed wszystkim prócz fizycznego cierpienia. Po jakiejś chwili drzwi uchyliły się nieco, by wpuścić i rozważyć najpierw jedno, potem drugie i trzecie, aż wreszcie wszystko zostało kolejno wchłonięte. Na zewnątrz zamkniętego umysłu Arona coś potężnego domagało się z krzykiem wstępu. Aron powstrzymywał to do ostatka.

Najpierw wpuścił Abreę, odtworzył sobie w myśli jej suknię, twarz, dotknięcie jej dłoni na swoim policzku, zapach, jaki się od niej rozchodził – trochę podobny do mleka, a trochę do zżętej trawy. Ujrzał ją znowu, wyczuł i usłyszał, wciągnął nozdrzami jej woń. Pomyślał o tym, jaka jest czysta, jakie czyste ma ręce i paznokcie, jak jest bardzo prostolinijna i niepodobna do tamtych śmieszek ze szkolnego dziedzińca.

A potem z kolei przypomniał sobie, jak tuliła jego głowę, jak płakał dziecinnie, tęsknie, pragnąc czegoś i w pewnym sensie czując, że to otrzymuje. Być może, właśnie otrzymanie tego sprawiło, że się rozplakał.

Następnie pomyślał o jej podstępnie – o tym, jak go poddała próbie. Zastanowił się, co też by zrobiła, gdyby jej był wyjawiał swoją tajemnicę. Tylko jakąż tajemnicę mógł jej wyjawić, nawet gdyby chciał? Nie przypominał sobie w tej chwili żadnej prócz tej, która kołatała do drzwi chcąc wtargnąć w jego myśli.

Najostrzejsze ze wszystkich pytań Abry – “Jak to jest nie mieć matki?” – zakradło mu się do mózgu. Jakże to jest? Nijak. Ach, ale w szkole, podczas ferii gwiazdkowych czy na zakończenie roku, kiedy matki innych dzieci przychodzą na uroczystości – wtedy odzywa się ten milczący krzyk i tęsknota bez słów. Więc to jest tak.

Salinas otaczały mokradła przenikające aż do samego miasta i stawy porośnięte sitowiem, a w każdym stawie leżały się tysiące żab. Wieczorami powietrze było tak wypełnione ich kumkaniem, że przemieniało się w jakąś huczącą ciszę. Sprawiała ona wrażenie woalu, tła, którego nagłe zniknięcie, rzekłbyś na trzask gromu, było czymś wstrząsającym. Bardzo możliwe, że gdyby rechot żab zamilkł wśród nocy, wszyscy w Salinas zbudziliby się jakby od ogromnego hałasu. Miliony kumkań zdawały się mieć

swój rytm i kadencję; kto wie, czy nie wynika to z właściwości ludzkiego ucha, podobnie jak migotanie gwiazd jest sprawą oka.

Pod wierzbą było teraz zupełnie ciemno. Aron zastanawiał się, czy jest już gotów na przyjęcie tamtej wielkiej rzeczy, i kiedy o tym rozmyślał, prześliznęła się sama i wkradła w jego myśli.

Matka żyje. Często wyobrażał ją sobie leżącą pod ziemią, nieruchomą, zimną, nie tkniętą rozkładem. Ale tak nie było. Gdzieś chodziła i rozmawiała, poruszała rękami, oczy miała otwarte. I oto wpośród tej fali radości spłynął na niego smutek i poczucie utraty, straszliwej utraty. Aron zdumiał się. Przypatrzył się uważnie tej chmurze smutku. Jeżeli matka żyje, to w takim razie ojciec jest kłamcą. Jeżeli jedno z nich żyje, to drugie umarło. Aron powiedział na głos tam, pod drzewem:

– Moja matka nie żyje. Jest pochowana gdzieś na wschodzie.

W mroku ujrzał twarz Li i usłyszał jego przyciszony głos. Li rozumował bardzo dobrze. Mając dla prawdy szacunek bliski czci, miał także i jego naturalne przeciwieństwo: odrazę do kłamstwa. Wytłumaczył chłopcom bardzo jasno i dokładnie, o co chodzi. Jeżeli coś jest nieprawdą, ale o tym nie wiesz, popełniasz omyłkę. Jeżeli jednak znasz prawdę i przemieniasz ją w fałsz – i ty, i on jesteście obrzydliwi.

Głos Li mówił: “Wiem, że czasami kłamie się z dobroci. Nie wierzę, żeby z tego mogło wyniknąć coś dobrego. Szybki ból prawdy może minąć, natomiast powolna żrąca męka kłamstwa nie przechodzi nigdy. Jest jątrzącą się raną”. I Li póty pracował nad tym cierpliwie, niespiesznie, aż udało mu się uczynić z Adama samo jądro, fundament, kwintesencję prawdy.

Aron potrząsnął w ciemności głową, potrząsnął nią mocno, z niedowierzaniem. “Jeżeli ojciec jest kłamcą, to Li jest także kłamcą”. Był zagubiony. Nie miał kogo zapytać. Kal jest kłamcą, ale zdemaskowanie Li uczyniło z Kala kłamcę mądrego. Aron czuł, że coś teraz musi umrzeć – albo jego matka, albo jego świat.

Rozwiązanie objawiło mu się nagle. Abra nie skłamała. Powtórzyła jedynie to, co usłyszała, a jej rodzice też tylko słyszeli. Podniósł się z ziemi i zepchnąwszy matkę na powrót w śmierć, zamknął przed nią swoje myśli.

Na kolację się spóźnił.

– Byłem z Abrą – wyjaśnił.

Kiedy Adam zasiadł po kolacji w swym nowym, wygodnym fotelu i wziął się do czytania “Salinas Indes”, poczuł delikatne dotknięcie ręki na ramieniu i podniósł oczy.

- Co tam, Aronie? – zapytał.
- Dobranoc, ojciec – odrzekł Aron.

ROZDZIAŁ XXXVII

1

Luty w Salinas bywa wilgotny, chłodny i smętny. Padają wtedy największe deszcze i jeśli rzeka ma wezbrać, wzbiera w tym miejscu. Luty roku tysiąc dziewięćset piętnastego był obfity w wodę.

Traskowie zagospodarowali się w Salinas. Li, porzuciwszy swoje księgarniane rojenia, zadomowił się w willi przy piekarni Reynauda. Na rancho nigdy właściwie nie rozpakowywał swojego dobytku, gdyż stale żył z tym nastawieniem, że się przeniesie gdzie indziej. Tutaj po raz pierwszy w życiu stworzył sobie dom wymoszczony komfortem i stałością.

Przypadła mu w udziale duża sypialnia przy wejściu od ulicy. Li sięgnął do swoich oszczędności. Dotąd nigdy nie wydawał bez potrzeby ani centa, bo wszystkie pieniądze przeznaczał na księgarnię. Teraz natomiast kupił niewielkie, twarde łóżko i biurko. Zrobił sobie półki i rozpakował książki, nabył puszysty dywan i poprzybijał sztychy na ścianach. Pod najlepszą lampą do czytania, jaką mógł znaleźć, ustawił głęboki, wygodny rozkładany fotel. Wreszcie kupił maszynę i zabrał się do nauki pisania na niej.

Zerwawszy samemu ze spartańskością, zreformował też i gospodarstwo domowe Trasków, przy czym Adam nie stawiał mu oporu. W domu zjawiał się piec, kable elektryczne i telefon. Li bez opamiętania wydawał pieniądze Adama; przybyły nowe meble, nowe dywany, piecyk gazowy w łazience i duża lodówka. Po krótkim czasie trudno byłoby znaleźć w Salinas dom równie dobrze wyposażony. Li bronił się przed Adamem mówiąc:

– Ma pan masę pieniędzy. Hańbą byłoby nie korzystać z nich.

– Ja się nie skarzę – oponował Adam. – Tylko też chciałbym coś kupić. No, co by tu kupić?

– Może pan by zaszedł do sklepu z instrumentami Logana i posłuchał tego nowego fonografu?

– Chyba tak zrobię – odrzekł Adam i kupił wiktriołę marki "Victor" – wysoki, gotycki instrument – po czym regularnie zaglądał do sklepu, ażeby sprawdzić, czy nie nadeszły nowe płyty.

Dojrzewające stulecie wyłuskiwało Adama z jego łupiny. Zaabonował „Atlantic Monthly” i “National Geographic”. Wstąpił do loży masońskiej i poważnie przemyślał o zapisaniu się do “Łosiów”⁸. Nowa lodówka urzekła go. Kupił sobie podręcznik traktujący o chłodzeniu i zaczął go studiować.

Rzecz polegała na tym, że Adamowi była potrzebna praca. Ocknął się ze swego długiego snu spragniony jakiejś roboty.

– Myślę, że wezmę się do interesów – powiedział kiedyś do Li.

– Nie musi pan. Ma pan z czego żyć.

– Ale ja chciałbym coś robić.

– To co innego – odparł Li. – A wie pan przynajmniej co? Nie sądzę, żeby pan był bardzo zręczny do interesów.

– Dlaczego?

– Tak sobie pomyślałem – rzekł Li.

– Słuchaj, Li, chciałbym, żebyś przeczytał jeden artykuł. Piszą tam, że na Syberii odkopali mastodonta. Tkwił w lodzie tysiące lat. I mięso jest jeszcze dobre.

Li uśmiechnął się do niego.

– Widać, że ta pszczołka kołaczę się panu pod czaszką – powiedział. – Co pan trzyma w tych słoiczkach w lodówce?

– Różne rzeczy.

– Czy to mają być te interesy? Niektóre słoiki już brzydtko pachną.

– Taki mi przyszedł pomysł – odparł Adam. – Nie mogę się od tego odczepić. Nie może mi wyjść z głowy, że dałoby się przechowywać różne rzeczy, gdyby je dostatecznie ochłodzić.

– Tylko aby nie trzymajmy w lodówce mięsa mastodonta – rzekł Li.

Gdyby Adam miał tysiące pomysłów tak jak Sam Hamilton, mogłyby się wszystkie rozwiać – ale on miał tylko ten jeden. Zamarznięty mastodont nie schodził mu z myśli. Słoiki z owocami, z puddingiem, z kawałkami mięsa, zarówno gotowanego, jak i surowego, nadal stały w lodówce. Zakupił wszelkie dostępne książki o bakteriach i zaczął zamawiać czasopisma, w których drukowano artykuły o popularnonaukowym charakterze. I jak to się zazwyczaj zdarza człowiekowi pochłoniętemu jedną myślą, dostał wreszcie obsesji na tym punkcie.

⁸ Łosie (Elks) – stowarzyszenie o charakterze świeckiego zakonu założonego w 1868 r. w Ameryce (przyp. tłum.).

Salinas posiadało jedno przedsiębiorstwo chłodnicze, niewielkie, ale wystarczające, ażeby wyposażyć nieliczne domy w lodówki i obsłużyć kilka lodziarni. Zaprzężone w konie wozy z lodem codziennie objeżdżały swoją trasę.

Adam zaczął odwiedzać chłodnię i wkrótce zaniósł tam swoje słoiki do zamrażalni. Całym sercem żałował, że nie żyje Sam Hamilton, z którym mógłby podyskutować o chłodzeniu. Czuł, że Sam bardzo szybko ogarnąłby to zagadnienie.

Pewnego deszczowego popołudnia Adam wracał z chłodni rozmyślając o Samuelu, gdy wtem zobaczył Willa Hamiltona, który właśnie skręcał do baru "Abbot House". Wszedł za nim i stanął obok przy bufecie.

– Może byś wpadł do nas na kolację?

– Bardzo chętnie – odparł Will. – Zaraz panu powiem... mam w tej chwili jeden interes, który chcę przepchać. Jeżeli skończę wcześniej, to zajadę do pana. Czy to coś ważnego?

– Sam nie wiem. Jedna rzecz chodzi mi po głowie i chciałbym poprosić cię o radę.

Nieledwie każdy projektowany w okręgu interes wcześniej czy później docierał do Willa Hamiltona. Will może by się i wymówił, gdyby nie to, iż pamiętał, że Adam jest człowiekiem bogatym. Pomysł to jedna rzecz, natomiast pomysł wsparty gotówką to coś zupełnie innego.

– Czy pan nie przyjąłby jakiejś rozsądnej oferty na kupno pańskiego rancza? – zapytał Will.

– Widzisz, chłopcy, a zwłaszcza Kal, są do niego przywiązani. Chyba go zatrzymam.

– Bo ja mógłbym panu znaleźć kupca.

– Dziękuję; jest teraz wydzierzawiony i sam pokrywa podatki. Myślę, że go zatrzymam.

– Jeżeli bym nie zdążył na kolację, to może wpadnę później – powiedział Will.

Will Hamilton był bardzo trzeźwym człowiekiem interesu. Nikt dokładnie nie wiedział, w ilu przedsięwzięciach maczał palce, ale miał opinię człowieka obrotnego i stosunkowo zamożnego. Interes, o którym wspominał Adamowi, w ogóle nie istniał. Do polityki Willa należało być zawsze czymś zajęтым i zapracowanym.

Zjadł kolację samotnie w barze. Po dobrze odmierzonym czasie skręcił w Aleję Centralną i zadzwonił do drzwi domu Adama Traska.

Chłopcy leżeli już w łóżkach. Li siedział z koszykiem przyborów do szycia i cerował długie czarne pończochy, które bliźniacy nosili w szkole. Adam czytał "Scientific American". Wprowadził Willa i podsunął mu fotel. Li przyniósł imbryk kawy i znowu wziął się do cerowania.

Will usadowił się w fotelu, wyjął grube, czarne cygaro i zapalił je. Czekał, by Adam otworzył rozgrywkę.

– Zrobiła się dla odmiany ładna pogoda – zaczął Adam. – Jak tam matka?

– A, doskonale. Wydaje się co dzień młodsza; A chłopcy pewnie rosną?

– O, tak. Kal ma występować w szkolnym przedstawieniu. Ma zdolności aktorskie. Aron uczy się naprawdę dobrze. Kal chce pracować na roli.

– Nic w tym złego, jeżeli odpowiednio wziąć się do rzeczy. Krajowi przydałoby się kilku rolników z otwartą głową.

Will czekał niespokojnie. Zastanawiał się, czy to aby nie przesada z tymi pieniędzmi Adama. Czyżby Adam zamierzał poprosić o pożyczkę? Will szybko obrachował sobie, ile by mógł pożyczyć na hipotekę rancza Traska i ile by można zażądać na nią kredytu. Cyfry ani stopa procentowa nie były tu identyczne. A Adam wciąż nie wysuwał żadnej propozycji. Will zaniepokoił się.

– Nie mogę długo zostać – powiedział. – Umówiłem się na wieczór z jednym facetem.

– Napij się jeszcze kawy – zaproponował Adam.

– Nie, dziękuję. Nie mogę potem zasnąć. Czy pan chciał się ze mną zobaczyć w jakiejś sprawie?

– Myślałem o twoim ojcu i przyszła mi chęć pogadać z którymś z Hamiltonów.

Will odprężył się trochę w fotelu.

– Wielki był z niego gawędziarz.

– Jakoś człowiek czuł się przy nim lepszy – rzekł Adam.

Li podniósł wzrok znad grzybka do cerowania.

– Może najlepszym gawędziarzem jest ten, kto dopomaga mówić innym.

Will powiedział:

– Wiesz, to zabawne słyszeć, że używasz tych wszystkich zwykłych słów. Przysiągłbym na Boga, żeś dawniej gadał chińskim bełkotem.

– Tak było – odparł Li. – Pewnie przez próżność. – Uśmiechnął się do Adama i rzekł do Willa: – Czy pan słyszał, że gdzieś na Syberii odgrzebali z lodu mastodonta? Leżał tam sto tysięcy lat, a mięso było jeszcze świeże.

– Mastodonta?

– No, taki rodzaj słonia, który już od dawna wymarł na ziemi.

– I mięso było świeże?

– Mięciutkie jak kotlet wieprzowy – odrzekł Li. Wetknął drewniany grzybek w rozdarte kolano czarnej pończochy.

– To bardzo ciekawe – powiedział Will.

Adam roześmiał się.

– Li na razie jeszcze mi nie wyciera nosa, ale to pewnie przyjdzie – rzekł. – Zdaje się, że wciąż kołuję dookoła głównego tematu. Otóż wszystko zaczęło się od tego, że mam już dość siedzenia beczynnym. Chcę sobie czymś wypełnić czas.

– Dlaczego pan nie gospodaruje u siebie?

– Nie. To mnie nie interesuje. Widzisz, Will, ze mną nie jest tak jak z kimś, kto szuka byle jakiego zajęcia. Ja szukam pracy. Zajęcie mi niepotrzebne.

Will na chwilę wyzbył się swej rezerwy.

– I czymże mogę panu służyć?

– Przyszło mi do głowy, żeby się z tobą podzielić pewnym pomysłem, to może powiedziałbyś mi swoje zdanie. Ty jesteś człowiekiem interesu.

– Proszę bardzo – odrzekł Will. – Co tylko w mojej mocy.

– Ostatnio zainteresowałem się sprawą chłodzenia – mówił dalej Adam. – Mam pewien pomysł i nie mogę się od niego odczepić. Nawet kiedy położę się spać, też mnie to prześladowuje. Jeszcze mnie nic tak nie mordowało. To niby jest wielka rewelacja. Pewnie pełna felerów.

Will zdjął nogę z nogi i podciągnął spodnie, które go uwierały.

– No, dobra, wal pan – rzekł. – Może cygaro?

Adam nie dosłyszał tej propozycji ani nie wyczuł sugestii.

– W całym kraju zachodzą zmiany – ciągnął. – Ludzie nie będą już żyli tak jak dawniej. Wiesz, gdzie jest w zimie najlepszy rynek na pomarańcze?

– Nie. Gdzie?

– W Nowym Jorku. Czytałem o tym. Otóż czy nie myślisz, że w chłodnych częściach kraju ludzie też chcieliby dostawać w zimie te wszystkie łatwo psujące się artykuły, takie jak groch, sałata czy kalafior? Spory kawał kraju nie ma tego całymi miesiącami. A tutaj, w dolinie Salinas, możemy to wszystko hodować przez cały okrągły rok.

– Co tutaj, to nie tam – odparł Will. – O co panu idzie?

– Ano, Li namówił mnie do kupna takiej dużej lodówki i to mnie jakoś zainteresowało. Wstawiłem do niej rozmaite jarzyny. Przygotowałem je na różne sposoby. Widzisz, Will, że jeżeli się dobrze potłucze lód, położy na nim główkę sałaty i zawinie w pergaminowy papier, to ona wytrzyma trzy tygodnie i potem będzie jeszcze świeża i dobra?

– No i co? – zapytał Will ostrożnie.

– Jak ci wiadomo, kolej robi teraz wagony do przewożenia owoców. Poszedłem je obejrzeć. Wcale niezłe. Czy wiesz, że moglibyśmy przewozić sałatę aż na wschodnie wybrzeże w samym środku zimy?

Will zapytał:

– A co pan ma z tym wspólnego?

– Zastanawiałem się, czy aby nie kupić tutejszej chłodni i nie zająć się przewozem pewnych towarów.

– To by kosztowało masę pieniędzy.

– Ja mam masę pieniędzy – odparł Adam.

Will Hamilton gniewnie pociągnął się za wargę.

– Nie wiem, po co się w to wdałem – rzekł. – Mam już przecież doświadczenie.

– Jak to?

– Słuchaj pan – zaczął Will. – Jeżeli ktoś do mnie przychodzi po radę na temat jakiegoś pomysłu, to z góry wiem, że wcale nie chce rady. Chce tylko, żebym się z nim zgodził. A jeżeli znowu ja chcę zachować z nim dobre stosunki, mówię, że pomysł jest świetny i żeby się brał do rzeczy. Ale ja pana lubię, pan jest przyjacielem mojej rodziny, więc w tym wypadku nadstawię karku.

Li odłożył cerowanie, postawił koszyk z szyciem na podłodze i zmienił okulary. Adam napomniał Willa:

– Czemu się tak denerwujesz?

– Pochodzę z całej cholerniej rodziny wynalazców – odparł Will. – Pomysły mieliśmy na śniadanie. Mieliśmy pomysły także i zamiast śniadania. Mieliśmy ich tyle, żeśmy zapominali zarobić pieniądze na jedzenie. Jakiś tylko trochę ruszyli z miejsca, mój ojciec albo Tom zaraz coś patentowali. Poza matką jestem jedyny z całej rodziny, który nie miał pomysłów, i jedynym, który zarobił trochę forsy. Tom miał różne pomysły, jak trzeba pomagać ludziom, i niektóre były już o krok od socjalizmu. Więc jeżeli pan mi powie, że pana nie obchodzi zysk, to cisnę panu ten imbryk prosto w głowę!

– Ano, nie bardzo mnie obchodzi.

– Daj pan spokój, panie Adamie. Proszę: nadstawiam teraz karku. Jeżeli pan chce raz, dwa wyrzucić czterdzieści albo pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to wal pan dalej z tą swoją kombinacją. Ale ja panu powiadam: pluń pan na ten cholerny pomysł. Przysyp go pan piaskiem.

– A co w nim jest niedobrego?

– Wszystko. Ludzie na Wschodzie nie są przyzwyczajeni do jarzyn w zimie. Nie będą ich kupować. Pańskie wagony utkną na jakiejś bocznicy i cały ładunek przepadnie. Rynek jest kontrolowany. O Chryste Jezu! Cholera mnie bierze, jak dzieci chcą wjeżdżać w interesy na pomysłach!

Adam westchnął.

– Z tego, co mówisz, wynikałoby, że Sam Hamilton był jakimś złoczyńcą – powiedział.

– Był moim ojcem i kochałem go, ale jak mi Bóg miły, żałuję, że nie dał spokoju z tymi pomysłami. – Will spojrział na Adama, dostrzegł w jego oczach zdumienie i nagle się zawstydził. Powoli potrząsnął głową z boku na bok. – Wcale nie chciałem obmawiać swoich – powiedział. – Uważam, że to byli zacni ludzie. Ale taka jest moja rada. Zostaw pan chłodzenie w spokoju.

– Adam z wolna obrócił się do Li.

– Jest jeszcze trochę tego cytrynowego placka, który mieliśmy na kolację? – zapytał.

– Chyba nie – odrzekł Li. – Zdawało mi się, że słyszałem w kuchni jakby myszy. Obawiam się, że na poduszkach chłopców znajdziemy resztki białka od jajka. Ale zostało jeszcze ze ćwierć galona whisky.

– Tak? Może byśmy się napili?

– Zdenerwowałem się – powiedział Will i popróbowował roześmiać się z samego siebie. – Łyczek dobrze by mi zrobił. – Twarz miał rozognioną i głos z trudnością dobywał mu się z gardła. – Zanadto tyję – dodał.

Jednakże po dwóch szklaneczkach wrócił do równowagi. Rozsiadł się wygodnie i zaczął pouczać Adama.

– Pewne rzeczy nigdy nie zmieniają swojej wartości – mówił. – Jeżeli pan chce w coś wsadzić pieniądze, niech pan się rozejrzy po świecie. Ta wojna w Europie potrwa jeszcze długo. A tam, gdzie jest wojna, muszą być głodni ludzie. Ja nic nie mówię, ale wcale bym się nie dziwił, gdybyśmy do niej przystąpili. Nie wierzę temu

Wilsonowi; wszystko, co gada, to tylko teoria i wielkie słowa. A jeżeli przystąpimy do wojny, to będzie można zrobić majątek na żywności, która się nie psuje. Weź pan ryż, zboże, pszenicę albo fasolę – im lodu nie potrzeba. Nie psują się, a ludzie mogą na nich wyżyć. Powiem panu, że gdyby pan obsiał całe te pańskie dolne grunty fasolą i tylko ją zmagazynował, no to pana chłopaki nie musiałyby się martwić o przyszłość. Fasola dochodzi teraz do trzech centów. Jak przystąpimy do wojny, nie zdziwię się, jeżeli podskoczy do dziesięciu. A można przechowywać suchą fasolę; będzie sobie leżała i czekała na rynek. Jeżeli pan chce mieć zysk, siej pan fasolę.

Wyszedł z dobrym samopoczuciem. Wstyd, który go ogarnął, ulotnił się, i Will czuł, że udzielił Adamowi rozsądnej rady.

Kiedy odszedł, Li wyciągnął jeszcze jedną trzecią cytrynowego placka i rozkrajał ją na dwoje.

– On zanedo tyje – wyjaśnił.

Adam był zamyślony.

– Przecież tylko powiedziałem, że chciałbym coś robić – zauważył.

– No, a co z tą chłodnią?

– Pewnie ją kupię.

– Mógłby pan też zasiać trochę fasoli – powiedział Li.

2

Późną jesienią Adam dokonał swej wielkiej próby, a stała się ona sensacją w roku pełnym sensacji zarówno krajowych, jak i międzynarodowych. Kiedy robił przygotowania, handlowcy mówili o nim jako o człowieku dalekowzrocznym, patrzącym w przyszłość, postępowym. Odjazdowi sześciu wagonów sałaty w lodzie nadano posmak sprawy publicznej. Odbyło się to w obecności Izby Handlowej. Wagony udekorowane były wielkimi transparentami z napisem "Sałata z doliny Salinas". Jednakże nikt nie kwapił się do inwestowania pieniędzy w to przedsięwzięcie.

Adam wykazał energię, której u siebie nie podejrzewał. Zbiór, oczyszczenie, zapakowanie do skrzynek, obłożenie lodem i załadowanie sałaty do wagonów było ogromną robotą. Nie miał do niej odpowiedniego wyposażenia. Musiał wszystko improwizować, nająć całą rzeszę pracowników i nauczyć ich, co mają robić. Każdy

udzielał mu rad, natomiast nikt nie pomagał. Oceniano, że Adam wydał na swój pomysł fortunę, ale nikt nie wiedział, jak wielką. Adam także nie wiedział, Wiedział tylko Li.

Pomysł wydawał się dobry. Sałatę przekazano do odsprzedaży nowojorskim kupcom po korzystnej cenie. Pociąg odjechał i wszyscy rozeszli się do domów, aby czekać na wynik. Jeżeliby okazał się sukcesem, sporo ludzi zamierzało sięgnąć do kabzy i wsadzić w to pieniądze. Nawet Will Hamilton zastanawiał się, czy nie pobłądził w swoich radach.

Gdyby bieg wydarzeń został uplanowany przez wszechmocnego i nieprzejednanego wroga, nie mógłby wypaść dotkliwiej. Kiedy pociąg dotarł do Sacramento, lawina śnieżna zamknęła na dwa dni Sierras i sześć wagonów z sałatą musiało stać na bocznicach, a lód tymczasem wyciekał. Trzeciego dnia pociąg przejechał przez góry i właśnie wtedy na całym Środkowym Zachodzie zrobiło się ciepło jak nigdy o tej porze roku. W Chicago wynikło zamieszanie w dyspozycjach – niczyja wina, po prostu rzecz, która się zdarza – i sześć wagonów Adama przeczekalo na torach dalsze pięć dni. To wystarczyło i nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły. Do Nowego Jorku przybyło sześć wagonów okropnej mazi, za której usunięcie trzeba było słono zapłacić.

Adam odczytał depezę nadaną przez dom handlowy i zagłębił się w fotel, a na twarzy pojawił mu się dziwny, nieugięty uśmiech, który nie zniknął.

Li nie zbliżał się do Adama, chcąc, żeby sam wziął się w garść. Chłopcy słyszeli, jaka była reakcja w Salinas. Uważano Adama za głupca. Ci przemądrzali marzyciele zawsze muszą wpaść. Kupcy wieszali sobie przezorności, która kazała im trzymać się od tego z daleka. Na to, żeby być biznesmenem, trzeba mieć doświadczenie. Ludzie, którzy dziedziczą pieniądze, zawsze popadają w kłopoty. Jeżeli ktoś chciał dowodu – wystarczy popatrzeć, jak Adam gospodarował na swoim ranczo. Głupiec szybko rozstaje się z pieniędzmi. Może to będzie dla niego nauką. A jeszcze podwoił produkcję chłodni.

Will Hamilton przypomniał sobie, że nie tylko odradzał to przedsięwzięcie, ale i przepowiedział ze szczegółami, co się stanie. Nie odczuwał żadnej satysfakcji, ale cóż można zrobić, jak ktoś nie chce słuchać rad rozsądnego kupca? A Bóg świadkiem, że Will miał dostateczne doświadczenie z różnymi postrzelonymi pomysłami. W sposób okrężny przypomniano sobie, że Sam Hamilton też był postrzeleńcem. No, a co do Toma Hamiltona – to już był zwykły wariat.

Kiedy Li uznał, że już upłynęło dość czasu, przystąpił do rzeczy prosto z mostu. Usiadł naprzeciw Adama, ażeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– No i jak pan się czuje? – zapytał.

– Dobrze.

– Chyba pan nie schowa się z powrotem do swojej nory, co?

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał Adam.

– A, bo pan znowu ma na twarzy ten wyraz co dawniej. I w oczach ten ogień lunatyka. Czy pana uraziłem?

– Nie – odrzekł Adam. – Zastanawiam się tylko, czy jestem już całkiem splukany.

– Niezupełnie – powiedział Li. – Zostało panu coś około dziewięciu tysięcy dolarów i ranczo.

– Jest jeszcze rachunek na dwa tysiące za usunięcie tych odpadków – rzekł Adam.

– Dziewięć tysięcy zostaje już po odtrąceniu tego.

– Jestem sporo winien za nowe urządzenie chłodni.

– To już zapłacone.

– Więc mam dziewięć tysięcy?

– I ranczo – dodał Li. – Może pan by sprzedał chłodnię?

Twarz Adama spoważniała; zniknął z niej ów otumaniony uśmiešek.

– Ja w dalszym ciągu wierzę, że z tego coś wyjdzie – powiedział. – Tym razem zdarzył się cały szereg przypadków. Zachowam chłodnię. Zimno konserwuje różne rzeczy, Oprócz tego chłodnia przynosi pewien dochód. Może coś jeszcze wymyślę.

– Tylko niech pan postara się nie wymyślać czegoś, co kosztuje pieniądze – rzekł Li. – Bardzo bym nie chciał pożegnać się z moim gazowym piecykiem.

3

Blizniacy głęboko odczuli niepowodzenie ojca. Mieli teraz po piętnaście lat i od tak dawna przywykli do myśli, iż są synami bogatego człowieka, że ciężko im było z nią się rozstać. Gdyby choć cała sprawa nie odbyła się z takimi ceremoniami, byłoby jeszcze pół biedy. Ze zgrozą wspominali ogromne transparenty na wagonach towarowych. O ile kupcy podkpiwali z Adama, to uczniowie w gimnazjum okazali

znacznie więcej okrucieństwa. Z dnia na dzień weszło w zwyczaj przezywanie chłopców "Aron i Kal Sałata" albo po prostu "Sałaciane Głowy".

Aron omówił z Abłą swoje problemy.

– Teraz wszystko się zmieni – oświadczył.

Abra wyrosła na piękną dziewczynę. Od zaczynu przybywających lat pęczniały jej piersi, a w twarzy miała spokój i ciepło piękności. Stała się więcej niż ładna. Była silna, zrównoważona i kobieca.

Spojrzała na jego stroskaną twarz i zapytała:

– Dlaczego ma się zmienić?

– Ano, po pierwsze, zdaje się, że jesteśmy biedni.

– Przecież i tak byś pracował.

– Wiesz, że chcę iść do college'u.

– I możesz to zrobić. Ja ci pomogę. Czy twój ojciec stracił wszystkie pieniądze?

– Nie wiem. Tak mówią.

– Kto mówi? – spytała Abra.

– A wszyscy. I pewnie twoi rodzice nie zgodzą się, żebyś za mnie wyszła.

– To im nic nie powiem – odparła Abra.

– Bardzo jesteś pewna siebie.

– Tak – odparła. – Jestem pewna siebie. Pocałuj mnie.

– Tu? Na środku ulicy?

– Czemu nie?

– Przecież wszyscy zobaczą.

– Tego właśnie chcę – odrzekła Abra.

Aron powiedział:

– Nie. Nie lubię robić z tego przedstawienia.

Zastąpiła mu drogę i zatrzymała go.

– Niech pan posłucha, łaskawy panie. Proszę mnie zaraz pocałować.

– Ale dlaczego?

Odpowiedziała powoli:

– Żeby każdy widział, że jestem pani Sałaciana Głowa.

Musnął ją ustami szybko, z zakłopotaniem, po czym zmusił do pójścia dalej obok niego.

– Może sam powinienem się wycofać? – powiedział.

– Jak to?

– A, bo teraz już nie jestem ciebie godny. Ot, jeszcze jeden ubogi smarkacz. Myślisz, że nie zauważyłem różnicy w zachowaniu twojego ojca?

– Zwariowałeś! – odparła Abra i lekko zmarszczyła brwi, bo i ona zauważyła tę różnicę.

Weszli do cukierni Bella i usiedli przy stoliku. Tego roku panował szal picia napojów z selerów. Rok przedtem były lody z wodą sodową i korzennym piwem.

Abra delikatnie trącała słomką banieczki powietrza w szklance i myślała o tym, jak ojciec się zmienił od czasu tamtej klęski z sałatą. Powiedział jej wtedy:

“Nie uważasz, że byłoby mądrzej widywać się teraz dla odmiany z kimś innym?”

“Kiedy ja jestem zaręczona z Aronem”.

“Zaręczona? – parsknął. – A odkądże to dzieci się zaręczają? Najpierw się trochę rozejrzyj. Są jeszcze inne ryby w morzu”.

Przypomniała sobie też, że ostatnio wypowiadał uwagi na temat dopasowania rodzin, a raz napomknął, że niektórym osobom nie uda się w nieskończoność ukrywać skandalu. To zdarzyło się dopiero wtedy, gdy ludzie zaczęli mówić, że Adam stracił wszystkie pieniądze.

Pochyliła się nad stołem.

– Wiesz, to, co moglibyśmy naprawdę zrobić, jest takie proste, że się uśmiejesz.

– A co?

– Moglibyśmy gospodarować na rancho twojego ojca. Mój tata mówi, że to piękny kawałek ziemi.

– Nie – odparł szybko Aron.

– Dlaczego?

– Ja nie będę farmerem, a ty nie będziesz żoną farmera.

– Będę żoną Arona, bez względu na to, kim on zostanie.

– Nie mam zamiaru wyrzekać się college'u.

– Ja ci pomogę – powtórzyła Abra.

– A skąd weźmiesz pieniądze?

– Ukradnę – odparła.

– Chciałbym się wynieść z tego miasta – powiedział. – Wszyscy się ze mnie nabijają. Już nie mogę wytrzymać.

– Niedługo zapomną.

– Nie zapomną. Nie chcę tu siedzieć jeszcze dwa lata, żeby skończyć gimnazjum.

– Więc chcesz się ze mną rozstać, Aronie?

– Nie. Ach, psiakrew, dlaczego on musiał się mieszać do rzeczy, o których nie ma pojęcia!

– Nie potępiaj ojca – napomniała Abra. -Gdyby to się udało, wszyscy by się mu, kłaniali.

– Ale się nie udało. Nie ma co, ładnie mnie urządził. Nie mogę ludziom spojrzeć w oczy. Nienawidzę go, jak Boga kocham!

Abra powiedziała surowo:

– Aronie! Przestań tak mówić.

– A skąd mogę wiedzieć, czy nie nakłamał o matce?

Abra poczerwieniała ze złości.

– Powinno się dać ci lanie – powiedziała. – Gdyby tu nie było ludzi, sama bym cię trzepnęła. – Spojrzała na jego piękną twarz, wykrzywioną teraz wściekłością i goryczą, i nagle zmieniła taktykę: – Dlaczego nie zapytasz o matkę? Idź wprost do ojca i spytaj.

– Nie mogę, ponieważ ci obiecałem.

– Obiecałeś tylko nie powtarzać, co ci powiedziałam.

– Dobrze, a jeżeli go spytam, będzie chciał wiedzieć, od kogo to słyszałem.

– W porządku! – zawołała. – Jesteś jak rozkapryszone dziecko. Zwalniam cię z przyrzeczenia. Idź do ojca i spytaj.

– Jeszcze nie wiem, czy to zrobię, czy nie.

– Czasem mam ochotę cię zabić – powiedziała. – Ale Aronie... ja cię tak kocham! Tak cię kocham...

Ze stołków stojących przed kontuarem, gdzie podawano napoje, doleciały chichoty. Aron i Abra mówili pod koniec głośniejszy i dosłyszeli to siedzący tam ich rówieśnicy. Aron zarumienił się i łzy wściekłości napłynęły mu do oczu. Wypadł z cukierni i pognał ulicą.

Abra spokojnie wzięła swoją torebkę, obciągnęła spódnicę i otrzepała ją ręką. Podeszła nie zmieszana do pana Bella i zapłaciła za napój z selerów. Idąc do drzwi zatrzymała się przy rozchichotanej grupce.

– Zostawcie go w spokoju – powiedziała zimno. Poszła dalej, a za nią pogonił falset:

– “Och, Aronie, tak cię kocham!”

Znalazszy się na ulicy zaczęła biec, ażeby dopędzić Arona, ale nie mogła go nigdzie dojrzeć. Zatelefonowała więc do jego domu. Li odpowiedział, że Aron jeszcze nie wrócił. Ale Aron leżał w swojej sypialni, pogrążony w rozgoryczeniu; Li widział, jak wśliznął się do pokoju i zamknął drzwi za sobą.

Abra chodziła tam i siam po ulicach Salinas, mając nadzieję, że gdzieś go zobaczy. Była na niego zła, ale czuła się też przytłaczająco samotna. Aron nigdy jeszcze od niej nie uciekał. Abra utraciła już zdolność przebywania w samotności.

Kal natomiast musiał się uczyć osamotnienia. Przez krótki czas próbował trzymać się Abry i Arona, ale go nie chcieli. Był zazdrosny, usiłował przyciągnąć dziewczynę do siebie, ale to mu się nie powiodło.

Nauka szła mu łatwo i nie wydawała się zbyt interesująca. Aron musiał pracować intensywniej, żeby się czegoś nauczyć, i dlatego miał potem większe poczucie osiągnięcia, a także respekt dla nauki zgoła nieproporcjonalny do jej jakości. Kal przemykał się przez studia. Nie kwapił się zbyt do uprawiania sportów w szkole ani do innych zajęć. Wzmagający się niepokój wyganiał go nocą z domu. Wyrastał na wysokiego, smukłego młodzieńca i po dawnemu była w nim jakaś chmurność.

ROZDZIAŁ XXXVIII

1

Odkąd Kal sięgnął pamięcią, zawsze pożałował ciepła i tkliwości, jak każdy człowiek. Gdyby był jedynakiem, albo gdyby Aron był inny, Kal mógłby to osiągnąć łatwo i w sposób normalny. Jednakże od samego początku przyciągała wszystkich do Arona jego uroda i prostota. Kal naturalną kolejną rzeczą ubiegał się o ludzką serdeczność i uwagę w jedyny znany mu sposób – próbując naśladować brata. Ale to, co było urocze w złotowłosej niewinności Arona, stawało się podejrzane i nieprzyjemne w smagłym, patrzącym spod przymrużonych powiek Kalu. Ponieważ zaś udawał, więc jego gra nie była przekonująca. Tam gdzie Arona przyjmowano z otwartymi rękami, odtrącano Kala, choć robił lub mówił dokładnie to samo.

I podobnie jak kilka uderzeń po nosie budzi w szczeniaku lękliwość, tak i kilkukrotne odtrącenie budzi lęk w chłopcu. Jednakże o ile pies odpełźnie albo przewróci się przymilnie na grzbiet, to chłopiec często pokrywa swą bojaźliwość nonszalancją, brawurą albo skrytością. A kiedy już raz spotka go odprawa, będzie się dopatrywał niechęci nawet tam, gdzie jej wcale nie ma – albo, co gorsza, wywoła ją po prostu tym, że jej oczekuje.

W Kalu proces ten przebiegał tak długo i tak powoli, że chłopiec nie widział w tym nic osobliwego. Otoczył się murem samowystarczalności, dość silnym, by go obronić przed światem. Jeżeli ten mur miał jakieś słabsze miejsca, to chyba od strony Arona i Li, a w szczególności Adama. Możliwe, iż Kal znajdował bezpieczeństwo właśnie w tym, że ojciec go nie dostrzegał. Lepiej pozostać w ogóle niezauważonym niż być zauważonym nieprzychylnie.

Jeszcze jako zupełnie mały chłopiec Kal odkrył pewien sekret. Jeżeli podsunął się cichutko do siedzącego ojca i bardzo lekko oparł się o jego kolano, ręka Adama podnosiła się automatycznie, a jego palce gładziły syna po ramieniu. Prawdopodobnie Adam nawet nie zdawał sobie sprawy, że to robi, ale owa pieczyta oblewała chłopca tak szaloną falą wzruszenia, że nie nadużywał tej specjalnej radości i chował ją sobie na takie chwile, gdy nie mógł się bez niej obejść. Było to niezawodne zaklęcie, uroczysty symbol wiernego uwielbienia.

Rzeczy się zmieniają razem ze zmianą tła. W Salinas Kal nie miał więcej przyjaciół niż w King City. Zyskał sobie popleczników, autorytet i niejaki podziw, ale przyjaciół nie miał. Żył w samotności i chodził własnymi drogami.

2

Jeżeli Li wiedział, że Kal wieczorami wychodzi z domu i wraca bardzo późno, to nie dawał tego poznać po sobie, gdyż nie mógł nic poradzić. Nocni konstable niekiedy widywali Kala wędrującego samotnie. Szef policji okręgowej Heiserman specjalnie rozmawiał na ten temat z kontrolerem szkolnym, który zapewnił go, że Kal nie tylko nie wagaruje, ale jest nawet bardzo dobrym uczniem. Szef oczywiście znał Adama, a ponieważ Kal nie wybijał nikomu szyb ani nie wywoływał burd, nakazał więc konstablom, aby mieli chłopca na oku, ale nie nagabywali go, dopóki nie wda się w jakąś awanturę.

Któregoś wieczora podszedł do Kala stary Tom Watson i zapytał:

– Dlaczego ty tyle łazisz po nocy?

– Nikomu nie przeszkadzam – odrzekł Kal, jakby chcąc się obronić.

– Wiem o tym. Ale powinieneś być teraz w domu i leżeć w łóżku.

– Nie chce mi się spać – odrzekł Kal, co wydało się całkiem bez sensu staremu Tomowi, który nie mógł przypomnieć sobie w całym swoim życiu takiego momentu, kiedy by nie był śpiący. Chłopak zachodził do chińskiej dzielnicy, żeby przypatrzeć się grze w *fan-tan*, ale sam nie grał. Było to niepojęte, ale też rzeczy stosunkowo proste wydawały się niepojęte Tomowi Watsonowi, więc wolał ich nie roztrząsać.

Podczas swoich wędrówek Kal często wspominał podsłuchaną niegdyś na ranczo rozmowę Adama z Li. Chciał dokopać się do prawdy. Toteż powoli gromadził wiadomości, to z uwag zasłyszanych na ulicy, to z szyderczych słów wypowiedzianych w pokoju bilardowym. Gdyby owe urywki rozmów usłyszał Aron, nie zwróciłby na nie uwagi, ale Kal zbierał sobie je wszystkie. Wiedział, że jego matka nie umarła. Wywnioskował też zarówno z owej pierwszej rozmowy, jak i z tego, co usłyszał później, że Aron nie byłby zachwycony, gdyby ją odnalazł.

Pewnego wieczora natknął się na "Królika" Holmana, który przyjechał z San Ardo na swoją copółroczną popijawę. Królik powitał Kala z wylaniem, jak to zwykle człowiek ze wsi wita znajomka w obcym miejscu. Pociągając z półlitrowej flaszki w

altanie za barem "Abbot House" opowiedział Kalowi wszelkie możliwe nowiny. Sprzedał kawałek ziemi za dobrą cenę i przyjechał do Salinas, żeby to oblać, a oblewanie pociągało za sobą większą rozróbkę. Zamierzał iść w Aleję i pokazać kurwom, co potrafi prawdziwy mężczyzna.

Kal siedział cicho obok niego i słuchał. Kiedy whisky opadła nisko w półlitrowce, Kal wymknął się i namówił Ludwika Schneidera, żeby mu zafundował jeszcze jedną. Toteż, kiedy Królik, odstawiwszy pustą flaszkę, sięgnął po nią za chwilę, natrafił na pełną.

– Śmieszne – powiedział. – Myślałem, że mam tylko jedną. Ano, to miła pomyłka.

W połowie drugiej flaszki Królik nie tylko zapomniał, kim jest Kal, ale też ile ma lat. Pamiętał jedynie, że jego towarzysz jest jakimś starym, kochanym kumplem.

– Coś ci powiem, Jerzy – odezwał się. – Zaczekaj, aż sobie jeszcze doładuję tego grafitu w ołówek, to obaj pójdziemy w Aleję. Tylko nie gadaj, że nie masz za co. Ja płacę za cały majdan. Mówiłem ci, że sprzedałem czterdzieści akrów? Ta ziemia i tak była do niczego.

Po chwili dodał:

– Harry, wiesz, co zrobimy? Nie będziemy ruszać tych tanich kurew. Pójdziemy do Kate. Kosztuje dużo, dziesięć dolarów, ale co, do cholery! Tam mają cyrk. Widziałeś ty kiedy cyrk, Harry? Mówię ci, palce lizać. Kate zna się na rzeczy. Pamiętasz, kto to jest Kate, co, Jerzy? Żona Adama Traska, matka tych cholernych bliźniaków. O rany, nie zapomnę, jak go strzeliła i zwiła. Kropnęła go w ramię i uciekła. Ano, była do niczego jako żona, ale kurwa z niej jak cholera. Śmieszna rzecz... wiesz, jak to ludzie powiadają, że z kurwy jest dobra żona. Bo dla takiej to już nie ma nic nowego. Podeprzyj mnie trochę, Harry. Com to mówił?

– O tym cyrku – podpowiedział cicho Kal.

– A tak. Więc jak zobaczysz ten cyrk Kate, to ci oko zbieleje. Wiesz, co tam wyrabiają?

Kal szedł nieco z tyłu, żeby tamten go nie widział. Królik powiedział mu, co tam wyrabiają. I nie to przyprawiło Kala o mdłości. To wydało mu się po prostu głupie. Ale ci, którzy się temu przypatrywali! Widząc twarz Królika w świetle ulicznych latarni, Kal wyobrażał sobie, jak muszą wyglądać widzowie z owego cyrku.

Minęli zarośnięty ogród i weszli na nie odmalowany ganek. Chociaż Kal był wysoki jak na swoje lata, jednakże stąpał na palcach. Odźwierny nie przyjrzał mu się

zbyt uważnie. W półmroku pokoju oświetlonego słabymi ukrytymi lampami obecność jego wśród nerwowo oczekujących mężczyzn pozostała nie zauważona.

3

Do tej pory Kal zawsze pragnął gromadzić sobie jakiś nieokreślony zbiór rzeczy widzianych i zasłyszanych – coś w rodzaju magazynu materiałów, które niby nie znane bliżej narzędzia mogły się kiedyś przydać – ale po wizycie w domu Kate uczuł rozpaczliwą potrzebę pomocy.

Pewnego wieczora Li wystukując coś na maszynie usłyszał ciche pukanie do drzwi. Był to Kal. Usiadł na brzegu łóżka, a Li opuścił swoje chude ciało na rozkładany fotel. Bawił go fakt, że fotel może dostarczać mu tyle przyjemności. Skrzyżował ręce na brzuchu, jakby miał chińskie rękawy, i czekał cierpliwie. Kal wpatrywał się w jakiś punkt tuż nad jego głową.

Wreszcie powiedział szybko i cicho:

– Wiem, gdzie jest moja matka i co robi. Widziałem ją.

Li konwulsyjnie odmówił w duchu krótką modlitwę o radę.

– A co chciałbyś wiedzieć? – zapytał cicho.

– Jeszcze się nie zastanowiłem. Próbuję pomyśleć. Powiedziałbyś mi prawdę?

– Oczywiście.

Pytania kłębiące się w głowie Kala tak go oszalały, że trudno mu było któreś wybrać.

– Czy ojciec wie?

– Tak.

– Dlaczego mówił, że umarła?

– Żeby wam oszczędzić bólu.

Kal zastanowił się.

– Co on takiego zrobił, że odeszła?

– Kochał ją całą duszą i sercem. Dawał jej wszystko, co tylko mógł wymyślić.

– Czy ona go postrzeliła?

– Tak.

- Dlaczego?
- Bo nie chciał jej puścić od siebie.
- A zrobił jej kiedyś jakąś krzywdę?
- Nic mi o tym nie wiadomo. To do niego niepodobne.
- Li, dlaczego ona to zrobiła?
- Nie wiem.
- Nie wiesz czy nie chcesz powiedzieć?
- Nie wiem.

Kal milczał tak długo, że Li poczuł lekkie mrówki w palcach, którymi trzymał się kurczowo za przeguby rąk. Doznał ulgi, kiedy Kal odezwał się znowu. Ton głosu chłopca się zmienił. Brzmiało w nim błaganie.

- Li, ty ją znałeś. Jaka ona była?

Li odetchnął i rozluźnił palce.

- Mogę tylko powiedzieć to, co mi się wydaje. Możliwe, że się mylę.

- No, a co ci się wydaje?

– Kal – rzekł Li. – Rozmyślałem o tym przez wiele godzin i nadal nie wiem. Ona jest tajemnicą. Mam wrażenie, że nie jest podobna do innych ludzi. Czegoś w niej brak. Może dobroci albo sumienia. Człowieka można zrozumieć tylko wtedy, gdy się go czuje w sobie. A ja jej nie mogę wyczuć. Jak tylko o niej pomyślę, moje wycucie natrafia na ciemność. Nie wiem, czego chciała ani do czego dążyła. Była pełna nienawiści, ale nie mam pojęcia z jakiej przyczyny ani wobec czego. To tajemnica. A jej nienawiść nie była zdrowa. Nie miała w sobie gniewu. Była bez serca. Nie wiem, czy to dobrze, że ci mówię takie rzeczy.

- Muszę wiedzieć.

- Dlaczego? Nie lepiej ci było przedtem, zanim się dowiedziałeś?

- Lepiej. Ale teraz już nie mogę się zatrzymać.

– Masz rację – odparł Li. – Kiedy odejdzie pierwsza niewinność, nie sposób już się zatrzymać... chyba że ktoś jest hipokrytą albo głupcem. Ale nie mogę ci powiedzieć nic więcej, bo nic więcej nie wiem.

Kal poprosił:

- W takim razie opowiedz mi o ojcu.

– To mogę zrobić – odparł Li. Przerwał. – Czy ktoś nas aby nie słyszy? Mów cicho.

- Opowiedz mi o nim – powtórzył Kal.

– Myślę, że twój ojciec ma wyolbrzymione te cechy, których brak jego żonie. Wydaje mi się, że jego dobroć i sumienie są tak wybujałe, że stają się niemal wadami. Pętają go i krępują.

– Co zrobił, kiedy odeszła?

– Umarł – odpowiedział Li. – Chodził i ruszał się, ale był martwy. I dopiero niedawno na poły wrócił do życia.

Li dostrzegł dziwny, nowy wyraz na twarzy Kala. Oczy chłopca rozwarły się szerzej, a usta, zazwyczaj zacięte i twarde, złagodniały. Li po raz pierwszy dojrzał w jego twarzy twarz Arona, pomimo odmiennej barwy skóry. Ramiona Kala drżały lekko jak mięśnie zbyt długo napięte.

– Co ci jest? – zapytał Li.

– Ja go kocham – odrzekł Kal.

– Ja też go kocham – powiedział Li. – Chyba nie mógłbym tu być tak długo, gdybym go nie kochał. Nie jest sprytny w życiowym sensie, ale to dobry człowiek. Może najlepszy jakiego w ogóle znałem.

Kal nagle wstał.

– Dobranoc, Li – powiedział.

– Zaczekaj chwilę. Mówiłeś o tym komuś?

– Nie.

– Ani Aronowi?... No, nie; jasne, że jemu byś nie powiedział.

– A jeżeli sam się dowie?

– Wtedy będziesz musiał mu pomóc. Nie idź jeszcze. Kiedy wyjdiesz z tego pokoju, może już nigdy nie potrafimy wrócić do tej sprawy. Pewno mnie nie lubisz, ponieważ wiem, że znasz prawdę. Powiedz mi jedno... nienawidzisz swojej matki?

– Tak – odparł Kal.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem – powiedział Li. – Nie zdaje mi się, żeby twój ojciec jej nienawidził. Miał tylko żal.

Kal z wolna, cicho podsunął się do drzwi. Wepchnął głęboko pięści w kieszenie.

– To jest to samo, co mówiłeś o znajomości ludzi. Nienawidzę jej, bo wiem, dlaczego uciekła. A wiem... bo mam ją w sobie.

Zwiesił głowę, a głos mu się załamał. Li zerwał się na równe nogi.

– Przestań! – krzyknął ostro. – Słyszysz? Uważaj, żeby cię więcej na tym nie przyłapał. Pewnie, że możesz to mieć w sobie. Każdy ma. Ale masz też i tamto drugie. Słuchaj... Podnieś głowę! Spójrz na mnie!

Kal podniósł głowę i zapytał ze znużeniem:

– Czego chcesz?

– Masz w sobie także i to drugie. Słuchaj mnie! W ogóle byś się nie zastanawiał, gdybyś nie miał. Nie waż się iść drogą najmniejszego oporu. Za łatwo jest usprawiedliwiać się dziedzictwem. Pilnuj się, żebym cię więcej na tym nie przyłapał! A teraz... patrz na mnie uważnie, żebyś to sobie zapamiętał. Cokolwiek zrobisz, zrobisz ty sam, nie twoja matka.

– Wierzysz w to, Li?

– Tak, wierzę, a ty lepiej także wierz, bo połamię ci wszystkie kości.

Kiedy Kal wyszedł, Li wrócił na fotel. Pomyślał żałośnie: "Ciekawe, co też się stało z moim orientalnym spokojem ducha?"

4

Dla Kala wykrycie matki było raczej potwierdzeniem przypuszczeń niż czymś nowym. Od dawna czuł, nie znając szczegółów, że ta chmura nad nim zawisła. Reakcja jego była dwojaka. Znajomość prawdy dawała mu nieomal przyjemne poczucie siły; mógł już oceniać czyny i wypowiedzi, tłumaczyć sobie niejasne aluzje, a nawet wyławiać i porządkować fakty z przeszłości. To jednak nie wynagradzało mu bólu poznania prawdy.

Ciało jego sposobilo się do wieku męskiego i miały nim zmienne poddmuchy dojrzałości. Raz bywał niejako uświęcony, czysty i żarliwy, to znów nurzał się w brudzie, a w następnej chwili wił się ze wstydu i wychodził z tego oczyszczony na nowo.

Odkrycie Kala wyostrzyło wszystkie jego doznania. Wydało mu się, że mając takie dziedzictwo jest wyjątkiem. Nie bardzo wierzył słowom Li i nie mógł sobie wyobrazić, że inni chłopcy przeżywają to samo.

Cyrk Kate nie schodził mu z myśli. To wspomnienie na przemian rozplómiętało mu ciało i umysł ogniem dojrzewania albo budziło w nim mdłości odrazy i wstrętu.

Ojca obserwował teraz uważniej i dopatrywał się w nim więcej smutku i zawodu, niż ich naprawdę było. I oto w Kalu zrodziła się namiętna miłość do ojca, pragnienie otoczenia go opieką, wynagrodzenia mu wszystkiego, co przecierpiał. Dla

wyczulonego umysłu Kala cierpienie to było czymś nieznośnym. Raz zaszedł do łazienki, kiedy Adam brał kąpiel, ujrzał złowieszczą bliznę od kuli i usłyszał swój własny głos pytający wbrew woli:

– Ojczy, co to za blizna?

Palce Adama poderwały się do blizny, jakby chcąc ją zasłonić. Powiedział:

– To stara rana, Kal. Walczyłem z Indianami. Opowiem ci kiedyś o tym.

Kal obserwując Adama widział, jak jego myśl skoczyła w przeszłość, szukając jakiegoś kłamstwa. Kalowi nie samo kłamstwo wydało się wstrętne, ale to, że trzeba je było powiedzieć. Kal kłamał dla takiej czy innej korzyści. Fakt, że ktoś jest zmuszony skłamać, wydawał mu się czymś wstydlwym. Chciał krzyknąć: "Ja wiem, skąd to masz, i wszystko jest w porządku!" Ale oczywiście nie zrobił tego.

– Chętnie bym posłuchał – powiedział.

Aronem także miotał wir przemian, ale jego reakcje były powolniejsze od Kala. Ciało Arona nie krzyczało tak donośnie. Jego namiętności przybrały kierunek religijny. Postanowił, że zostanie pastorem. Uczęszczał na wszystkie nabożeństwa w kościele episkopalnym, pomagał przy ozdabianiu go w święta kwiatami i zielenią, spędzał wiele godzin w towarzystwie młodego, kędzierzawego pastora, wielebnego Rolfa. Tak więc uświadomienia Arona w rzeczach tego świata dokonywał człowiek młody, nie mający żadnego doświadczenia, co Aronowi dało umiejętność generalizowania, którą mogą mieć tylko niedoświadczeni.

Aron odbył konfirmację w kościele episkopalnym i zajął miejsce na chórze podczas nabożeństw niedzielnych. Abra poszła za jego przykładem. Jej kobiecy umysł był świadom, że takie rzeczy są konieczne, ale nieważne.

Naturalnie neofita Aron zaczął nawracać Kala. Najpierw modlił się po cichu za brata, ale w końcu zwrócił się do niego bezpośrednio. Oskarżał go o bezbożność, domagał się poprawy.

Kal może by i poddał się temu, gdyby brat był roztropniejszy. Ale Aron osiągnął takie wyżyny namiętnej czystości, że wszyscy inni wydawali się mu zbrukani. Po kilku jego kazaniach Kal stwierdził, że Aron jest nieznośnie świętoszkowaty, i zaraz mu to powiedział. Obaj odczuli ulgę, kiedy Aron pozostawił brata na pastwę wiekuistego potępienia.

Religijność Arona przybrała nieuchronnie kierunek seksualny. Pouczał Abre o tym, że należy zachowywać czystość, i postanowił żyć w celibacie. Abra w swojej życiowej mądrości zgodziła się z nim, czując i ufając, że ta faza przeminie. Celibat był

jedynym znanym jej dotąd stanem. Chciała wyjść za Arona i urodzić mu dowolną liczbę dzieci, ale na razie o tym nie mówiła. Nigdy dotychczas nie była zazdrosna, lecz teraz wykryła w sobie instynktowną i kto wie, czy nie uzasadnioną nienawiść do walebnego Rolfa.

Kal obserwował tryumf brata nad nigdy nie popełnionymi grzechami. Przyszła mu złośliwa chęć, by opowiedzieć Aronowi o matce i zobaczyć, jak sobie z tym poradzi, ale szybko odrzucił tę myśl. Nie przypuszczał, żeby Aron potrafił poradzić sobie z czymś podobnym.

ROZDZIAŁ XXXIX

1

Salinas od czasu do czasu przechodziło łagodną erupcją moralności. Proces ten nigdy się zbyt nie zmieniał. Jeden wybuch przypominał drugi. Raz zaczynało się to na kazalnicy, kiedy indziej znów wraz z obiorem nowej, ambitnej przewodniczącej Obywatelskiego Klubu Kobiet. Grzechem, który należało wykorzenić, był niezmiennie hazard. Atakowanie hazardu miało pewne strony dodatnie. Mogło się o nim dyskutować w przeciwieństwie do prostytucji. Hazard był oczywistym złem, a większość domów gry prowadzili Chińczycy. Istniało więc małe prawdopodobieństwo nadeptnięcia przy tym na odcisk komuś z krewnych.

Z kościoła i klubu ogień przerzucił się na obie miejscowe gazety. Artykuły wstępne domagały się czystki. Policja wyrażała zgodę, ale wymawiała się brakiem personelu i ubiegała o zwiększenie budżetu, co jej się czasem udawało.

Kiedy sprawa wchodziła w stadium artykułów prasowych, wszyscy wiedzieli, że karty są już wyłożone. To, co teraz następowało, było starannie wyreżyserowane, niczym w balecie. Policja czekała w gotowości, czekały też w gotowości domy gry, a gazety z góry szykowały artykuły gratulacyjne. Potem następowała obława uplanowana i pewna. Dwudziestu albo więcej Chińczyków przybyłych z Parajo, kilku włóczęgów, sześciu lub ośmiu komiwojażerów, którzy jako nie miejscowi nie otrzymali w porę ostrzeżenia, wpadało w sieć zastawioną przez policję, po czym spisywano ich personalia, zamykano w areszcie, a nazajutrz wypuszczano po zapłaceniu grzywny. Miasto oddychało z ulgą w swej nowej nieskazitelności, domy gry zaś traciły tylko jedną noc obrotów plus grzywnę. Jednym z tryumfów człowieka jest fakt, że może o czymś wiedzieć, a jednak w to nie wierzyć.

Pewnego wieczora jesienią roku tysiąc dziewięćset szesnastego Kal przypatrywał się grze w *fan-tan* u Krótkiego Lima, gdy wygarnęła go obława. Po ciemku nikt nie zauważył chłopca i rano szef policji z zakłopotaniem znalazł go w kozie. Zatelefonował do Adama i oderwał go od śniadania. Adam poszedł do ratusza znajdującego się o dwie ulice dalej, zabrał Kala, wstąpił naprzeciwko, aby odebrać listy na pocztę, po czym obaj wrócili do domu.

Li miał ugotowane jajka dla Adama i zrobił jeszcze dwa dla Kala.

Aron przeszedł przez jadalnię wychodząc do szkoły.

– Chcesz, żebym na ciebie poczekał? – spytał Kala.

– Nie – odparł Kal. Jadł jajka nie podnosząc oczu.

Adam nie odzywał się, od chwili kiedy w ratuszu powiedział: “Idziemy!”, podziękowawszy szefowi policji.

Kal przełknął śniadanie, na które nie miał ochoty, zerkając spod rzęs na ojca. Nie mógł rozszyfrować wyrazu twarzy Adama. Wydawał mu się jednocześnie zakłopotany, gniewny, zamyślony i smutny.

Adam wpatrywał się w swoją filiżankę kawy. Milczenie narastało, aż wreszcie jego ciężar wydawał się trudny do udźwignięcia. Li zajrzał do pokoju.

– Może kawy? – zapytał.

Adam z wolna potrząsnął głową. Li cofnął się i tym razem zamknął drzwi od kuchni.

W tykającej zegarem ciszy Kala zaczął ogarniać strach. Czuł, że z ojca emanuje nie przeczuwana dotąd siła. Po nogach pełzały mu łaskotliwe, uprzykrzone mrówki, ale bał się poruszyć, żeby przywrócić krążenie. Trącił talerz widelcem, byleby zrobić jakiś hałas, ale to brzęknięcie wsiąkło w ciszę. Wsiąkło też w nią dziewięć miarowych uderzeń zegara.

Kiedy strach zaczął stygnąć, w jego miejsce pojawiło się oburzenie. Tak lis schwytny w potrzask wścieka się na własną łapę, która go przytrzymuje w pułapce.

Nagle Kal zerwał się z miejsca. Nie wiedział, że się poruszy. Krzyknął, a nie wiedział, że przemówi.

– Rób, co masz ze mną robić! – zawołał. – Proszę! Niech to się skończy!

I ten jego krzyk także wessało milczenie.

Adam wolno podniósł głowę. Co prawda, Kal nigdy dotąd nie patrzył w oczy ojca, i prawda też, że wielu ludzi, nigdy nie zagląda ojcom w oczy. Tęczówki Adama były jasnoniebieskie z ciemnymi kresczkami zbiegającymi się promieniście ku ośrodkowi źrenic, a w głębi jednej i drugiej źrenicy Kal dojrzał odbicie swojej twarzy, jak gdyby dwóch Kalów spoglądało na niego. Adam zapytał z wolna:

– Zawiodłeś się na mnie, prawda?

Było to gorsze niż napaść. Kal wyjąkał:

– Jak to?

– Złapali cię w szulerni. Nie wiem, jakeś się tam dostał, coś tam robił ani dlaczegoś tam poszedł.

Kal opadł bezwiednie na krzesło i wpatrzył się w swój talerz.

– Czy ty grasz, synu?

– Nie, proszę ojca. Tylko się przyglądałem.

– Byłeś tam już przedtem?

– Tak. Wiele razy.

– Po co tam chodzisz?

– Nie wiem. Wieczorem coś mnie nosi... całkiem jak ulicznicy. – Pomyślał o Kate i ten jego kiepski dowcip wydał mu się potworny. – Jak nie mogę zasnąć, to się wałęsam, żeby to stłamsić.

Adam starannie ważył słowa, dobierał każde z osobna.

– Czy twój brat też tak się wałęsa?

– O, nie, proszę ojca. Do głowy by mu nie przyszło. Jego... jego tak nie nosi.

– Bo, widzisz, ja nie wiem – ciągnął Adam. – Nie wiem nic o was.

Kal zapragnął zarzucić ojcu ręce na szyję, utulić go i paść mu w objęcia. Zapragnął jakiegoś szalonego uzewnętrznienia współczucia i miłości. Wziął swoje drewniane kółko od serwetki i wetknął w nie palec.

– Powiedziałbym ci, gdybyś zapytał – odrzekł cicho.

– A ja nie pytałem! Nie pytałem! Jestem równie złym ojcem jak mój własny.

Kal nigdy dotąd nie słyszał tego tonu w głosie Adama. Był jakiś chrapliwy, nabrzmiały ciepłem, i Kal zaczął szukać słów, szukać ich po omacku.

– Mój ojciec zrobił sobie formę i wtoczył mnie w nią siłą – mówił Adam. – Byłem kiepskim odlewem, ale nie udało się mnie przetopić. Nikogo nie można przetopić. Więc pozostałem już złym odlewem.

Kal powiedział:

– Nie martw się, ojcze. Za dużo miałeś zmartwień.

– Tak? Może... Ale chyba nie takich jak trzeba. Nie znam własnych synów.

Zastanawiam się, czy mógłbym się czegoś o was dowiedzieć.

– Powiem ci wszystko, co chcesz. Tylko zapytaj.

– Od czegoż mam zacząć? Od samego początku?

– Czy jesteś smutny, czy zły, że siedziałem w areszcie?

Ku zdziwieniu Kala Adam roześmiał się.

– No, przecież tylko tam byłeś, prawda? Nie zrobiłeś nic złego.

– Może złe jest to, że się tam w ogóle znalazłem. – Kal pragnął potępienia.

– Ja kiedyś też tylko gdzieś się znalazłem – odrzekł Adam. – I zamknęli mnie na rok bez mała tylko za to, że tam byłem.

Kal próbował oswoić się z tą herezją.

– Nie wierzę – powiedział.

– Czasem i ja nie wierzę, ale wiem, że kiedy uciekłem, włamałem się do jednego sklepu i ukradłem ubranie.

– Nie wierzę – powtórzył niepewnie Kal, ale to ciepło, ta bliskość były tak cudowne, że chciał je przytrzymać. Bał się odetchnąć głębiej, żeby nie spłoszyć tego ciepła.

Adam zapytał:

– Pamiętasz Sama Hamiltona? Na pewno tak. Kiedy byłeś malutki, powiedział mi, że jestem złym ojcem. Uderzył mnie, zwał mnie na ziemię, żeby mi to wbić do głowy.

– Ten starzec?

– To był krzepki starzec. A teraz rozumiem, o co mu chodziło. Jestem taki sam jak kiedyś mój ojciec. Nie pozwalał mi być sobą, a ja też nie widziałem ludzi w moich synach. To miał na myśli Samuel.

Spojrzał Kałowi prosto w oczy i uśmiechnął się, a Kal uczył dla niego tkliwość aż bolesną. Powiedział:

– My nie uważamy, żebyś był złym ojcem.

– Biedacy! – odparł Adam. – Cóż wy możecie wiedzieć? Nigdy nie mieliście innego.

– Cieszę się, że siedziałem w areszcie – powiedział Kal.

– Ja też, ja też. – Roześmiał się. – Obaj siedzieliśmy... to możemy się dogadać.

– Czuję wzrastającą wesołość. – Może potrafisz mi opowiedzieć, jaki z ciebie jest chłopak, co?

– Tak, ojcie.

– Powiesz?

– Tak jest.

– No, to mów. Widzisz, to odpowiedzialna rzecz być sobą. To coś więcej niż zajmowanie pewnej przestrzeni, w której mogłoby być powietrze. Jakież ty jesteś?

– Bez żartów? – spytał nieśmiało Kal.

– Bez żartów. O, pewnie, że bez. Opowiedz mi o sobie... jeżeli masz chęć, oczywiście.

Kal zaczął:

– Ano... ja jestem... – Urwał. – To nie takie łatwe, jak przyjdzie co do czego – dodał.

– Ja myślę. Może nawet niemożliwe. Opowiedz mi o swoim bracie.

– Co ojciec chce o nim wiedzieć?

– Ano to, co ty o nim myślisz. Przecież nic więcej nie możesz mi powiedzieć.

Kal odrzekł:

– On jest dobry. Nie robi złych rzeczy. Nie ma złych myśli.

– Teraz mi mówisz o sobie.

– Słucham?

– Mówisz, że ty robisz złe rzeczy i masz złe myśli.

Policzki Kala poczerwieniały.

– Ano, bo tak.

– Bardzo złe?

– Tak, ojcze. Chcesz, żebym opowiedział?

– Nie, Kal. Już powiedziałaś. Twój głos i twoje oczy mówią, że jesteś w wojnie z samym sobą. Ale nie powinieneś się wstydzić. Uczucie wstydu jest straszne. Czy Aron się kiedy wstydzi?

– Nie robi nic takiego, czego by miał się wstydzić.

Adam pochylił się do przodu.

– Jesteś pewny?

– Dość pewny.

– Powiedz mi, Kal... czy ty go osłaniasz?

– Co to znaczy?

– No, na przykład, gdybyś usłyszał coś złego czy okrutnego, czy szpetnego, zataiłbyś to przed nim?

– Chyba... chyba tak.

– Myślisz, że jest za słaby, żeby znieść rzeczy, które ty potrafisz znieść?

– To nie to, ojcze. On jest dobry. Naprawdę dobry. Nigdy nie robi nikomu krzywdy. Nigdy nie mówi o nikim źle. Nie jest złośliwy, nigdy się nie skarży i jest odważny. Nie lubi się bić, ale jak trzeba, to się bije.

– Kochasz swojego brata, prawda?

– Tak. A robię mu różne złe rzeczy. Oszukuję go i nabieram. Czasem dokuczam mu bez żadnego powodu.

– A potem się martwisz?

– Tak, ojcze.

– Czy Aron kiedy się martwi?

– Nie wiem. Jak nie chciałem wstąpić do kościoła, to było mu przykro. A raz, jak Abra się rozzłościła i powiedziała, że go nie cierpi, to strasznie się martwił. Pochorował się. Dostał gorączki. Nie pamiętasz? Li posłał wtedy po doktora.

Adam zawołał ze zdumieniem:

– I ja mogłem żyć przy was i nic o tym nie wiedzieć! Dlaczego Abra się rozzłościła?

– Nie wiem, czy powinienem to mówić.

– W takim razie nie mów.

– Kiedy to nic złego. Chyba mogę. Widzisz, ojcze, Aron chce zostać pastorem. Wielebny Rolf... no, jemu podoba się Wysoki Kościół i Aronowi też się podobał, i przyszło mu do głowy, że nigdy się nie ożeni i może pójdzie do takiego zakładu...

– To znaczy coś jak zakonnik, tak?

– Właśnie.

– I Abrze to się nie podobało?

– Nie podobało? Wściekła się jak diabli. Czasem potrafi się wściec. Złapała wieczne pióro Arona, rzuciła na chodnik i podeptała. Powiedziała, że już zmarnowała przez niego połowę życia.

Adam roześmiał się.

– Ileż ona ma lat?

– Prawie piętnaście. Ale... no, pod niektórymi względami jakby więcej.

– Pewnie, że tak. No i cóż Aron zrobił?

– Uspokoił się, ale mu było paskudnie.

Adam powiedział:

– Pewnie wtedy mogłeś mu ją odbić.

– To jest jego dziewczyna – odrzekł Kal.

Adam zajrzał mu głęboko w oczy. Potem zawołał:

– Li! – Nie było odpowiedzi. – Li! – zawołał raz jeszcze i dodał: – Nie słyszałem, żeby wychodził. Chcę świeżej kawy.

Kal zerwał się.

– Ja zaparzę.

– Słuchaj – powiedział Adam. – Ty powinieneś być teraz w szkole.

- Nie chcę iść.
- Powinieneś pójść. Aron poszedł.
- Kiedy mnie tak dobrze! – odparł Kal. – Chcę być z ojcem.

Adam spojrział na własne ręce.

- Zrób kawy – powiedział cicho, jakby wstydliwie.

Kiedy Kal wyszedł do kuchni, Adam wejrzał w siebie ze zdumieniem. W nerwach i mięśniach pulsował mu jakiś natarczywy głód. Palce jego chciały coś chwycić, nogi biec. Oczy chciwie wpatrywały się w pokój. Widzi krzesła, obrazy, czerwone róże na dywanie, nowe, ostro zarysowane przedmioty – nieledwie ucłowieczone, ale przyjazne. A w mózgu zrodziło mu się ostre pożądanie przyszłości – przyjemne, ciepłe przecucie, tak jakby nadchodzące minuty i tygodnie musiały mu przynieść radość. Czuł w sobie wzruszenie świtu przed pięknym dniem, który miał spłynąć na niego, złoty i spokojny. Zaplótł dłonie na karku i wyciągnął nogi przed siebie.

W kuchni Kal niecierpliwie grzał wodę w imbryku, a jednak przyjemnie mu było czekać. Cud, z którym się oswoimy, przestaje być cudem; Kala nie zdumiewał już ten pozłocisty stosunek z ojcem, ale przyjemność została. Uszła z niego trucizna samotności i żrąca zazdrość wobec tych, co nie są samotni; był oczyszczony i pełen słodczy, i czuł to wyraźnie. Usiłował wyłowić starą nienawiść, by siebie wypróbować, i przekonał się, że jej nie ma. Chciał służyć swemu ojcu, złożyć mu jakiś wielki dar, dokonać jakiegoś ogromnego, dobrego dzieła ku jego czci.

Kawa wykpiła i Kal spędził kilka minut na wycieraniu blachy do czysta. Pomyślał: "Jeszcze wczoraj bym tego nie zrobił".

Adam uśmiechnął się do niego, kiedy wniósł dymiący imbryk. Pociągnął nosem i rzekł:

- To jest zapach, który mógłby mnie podnieść z kamiennego grobu.
- Wykipiała mi – powiedział Kal.
- Musi wykipieć, żeby mieć dobry smak – odparł Adam. – Ciekaw jestem, gdzie się podział Li.
- Może jest u siebie. Mam zobaczyć?
- Nie. Przecież by się odezwał.
- Ojczy, czy pozwolisz mi gospodarować na ranczo, jak skończę szkołę?
- Wcześniej robisz sobie plany. A co będzie z Aronem?

– On chce iść do college'u. Nie mów mu, że ci powiedziałem. Niech sam z tym przyjdzie, a ty udaj zdziwionego.

– A, doskonale – rzekł Adam. – Ale czy ty nie chciałbyś też pójść do college'u?

– Założę się, że potrafię wyciągnąć pieniądze z rancza... tyle, żeby opłacić Aronowi studia.

Adam wypił łyk kawy.

– To bardzo szlachetne – powiedział. – Nie wiem, czy powinienem ci to mówić, ale... no, kiedy cię niedawno spytałem, jaki jest Aron, bronieś go tak kiepsko, że już myślałem, że go nie lubisz, a może nawet nienawidzisz.

– Nienawidziłem go – odparł Kal gwałtownie. – I nieraz go krzywdziłem. Ale czy mogę ci coś powiedzieć, ojcze? Teraz już go nie nienawidzę. I nigdy więcej nie będę. Chyba nie będę nienawidził nikogo, nawet matki...

Urwał zdumiony tym pośliznięciem i zamarł wewnątrz, napięty i bezradny.

Adam patrzył prosto przed siebie. Pocierał czoło dłonią. Wreszcie powiedział spokojnie:

– Wiesz o swojej matce.

Nie było to pytaniem.

– Tak... Tak, ojcze.

– Wszystko?

– Tak jest.

Adam odchylił się w tył.

– A Aron wie?

– Och, nie! Nie... nie, ojcze. Nie wie.

– Dlaczego to mówisz w ten sposób?

– Ja bym mu nie śmiało powiedzieć.

– Czemu?

Kal odrzekł przerywanym głosem:

– Bo on by chyba tego nie wytrzymał. Nie ma w sobie dość zła, żeby wytrzymać... – Chciał dodać: "Tak samo jak ty, ojcze", ale tego nie dodał.

Na twarzy Adama odmalowało się znużenie. Poruszył głową z boku na bok.

– Kal, posłuchaj mnie. Czy, twoim zdaniem, są jakieś szanse, żeby to do niego nie doszło? Zastanów się dobrze.

Kal odrzekł:

– On nie chodzi w takie miejsca. Nie jest taki jak ja.

– A jeżeli ktoś mu powie?
– Chyba nie uwierzy. Myślę, że znalazłby takiego, co by mu powiedział, i uważałby, że to kłamstwo.

– A ty tam byłeś?

– Tak, ojcie. Musiałem wiedzieć. – Po chwili Kal ciągnął z podnieceniem: – Gdyby poszedł do college'u i nigdy więcej nie mieszkał w tym mieście...

Adam kiwnął głową.

– Tak. To możliwe. Ale musi tu siedzieć jeszcze dwa lata.

– Może udałoby mi się go namówić, żeby się pospieszył i skończył w rok. Bystry jest.

– Ale ty jesteś bystrzejszy?

– Ja jestem bystry inaczej – odparł Kal.

Zdawało się, że Adam rośnie, że wypełnia sobą całą część pokoju. Twarz miał surową, niebieskie oczy ostre i przenikliwe.

– Kal! – powiedział szorstko.

– Słucham.

– Ufam ci, synu – rzekł Adam.

2

Uznanie Adama zrodziło w Kalu ferment szczęścia. Chodził jak na skrzydłach. Uśmiechał się częściej, niż marszczył brwi, a skryta posepność nawiedzała go teraz rzadko.

Li zauważył w nim tę zmianę, spytał kiedyś spokojnie:

– Czyżbyś sobie znalazł dziewczynę?

– Dziewczynę? Nie. Kto by tam chciał dziewczyny?

– Każdy – odrzekł Li.

Wobec tego Li spytał Adama:

– Czy panu wiadomo, co to się dzieje z Kalem?

– Wie o niej – odpowiedział Adam.

– Naprawdę? – Li wolał być ostrożny. – Ano, pewnie pan pamięta, że uważałem, że powinien pan być im powiedzieć.

– Nic mu nie mówiłem. Sam wiedział.

– No, proszę! – zawołał Li. – Ale to przecież nie jest taka wiadomość, żeby potem chłopiec podśpiewywał sobie przy nauce czy idąc podrzucał czapkę w górę. A co z Aronem?

– Tego się boję – odparł Adam. – Chyba wołałbym, żeby się nie dowiedział.

– Może już być za późno.

– Mógłbym porozmawiać z Aronem. Jakoś wybadać sytuację.

Li zastanowił się.

– Z panem też coś się stało.

– Myślisz? Zdaje się, że tak – rzekł Adam.

Jednakże podśpiewywanie, podrzucanie w górę czapki i szybkie przerabianie lekcji – były to jeszcze najmniej istotne czynności Kala. W swym nowym szczęściu ustanowił sobie strażników wewnętrznego spokoju ojca. Prawdę powiedział, że nie czuje nienawiści do matki. To jednak nie zmieniło faktu, że właśnie ona była przyczyną bólu i hańby Adama. Kal rozumował sobie, że matka może znowu uczynić to, co uczyniła niegdyś. Zabrał się do gromadzenia wszelkich możliwych o niej wiadomości. Rozpoznany nieprzyjaciel jest mniej niebezpieczny, mniej zdolny do zaskoczenia.

Nocą coś ciągnęło Kala do domu za torami. Czasem po południu leżał ukryty w wysokich chwastach po drugiej stronie Alei i obserwował go. Widział wychodzące dziewczyny, ubrane ciemno, nawet surowo. Opuszczały dom zawsze parami, a Kal odprowadzał je wzrokiem do rogu ulicy Castroville, gdzie skręcały w lewo, w stronę Głównej. Odkrył, że jeżeli się nie widziało, skąd wyszły, nie sposób było odgadnąć, kim są. Ale Kal czekał nie na dziewczyny. Chciał zobaczyć przy dziennym świetle swoją matkę. Ustalił, że Kate wychodzi w każdy poniedziałek o wpół do drugiej.

Kal tak sobie wszystko ułożył w gimnazjum, że doskonale wykonując dodatkową pracę nadrabiał swą nieobecność w poniedziałkowe popołudnia. Na pytania Arona odpowiadał, że szykuje pewną niespodziankę i jest związany tajemnicą. Arona zresztą nie bardzo to interesowało. Pograżony w sobie, wkrótce zapomniał o całej sprawie.

Kal po kilkakrotnym śledzeniu Kate poznał jej trasę. Stale zachodziła w te same miejsca – najpierw do Banku Okręgu Monterey, gdzie ją wpuszczano za lśniące kraty, które strzegły ulokowanych w podziemiu safesów depozytowych. Spędzała tam piętnaście do dwudziestu minut. Potem szła wolno ulicą Główną oglądając wystawy sklepów. Wstępowała do Portera i Irvine'a, oglądała tam suknie, czasem coś kupowała

– gumę na podwiązki, agrafki, woalkę, parę rękawiczek. Około drugiej piętnaście wchodziła do salonu kosmetycznego Minnie Franken, siedziała tam godzinę i wychodziła z włosami upiętymi w ciasno zwinięte loki, w zawiązanej pod brodę jedwabnej chustce na głowie.

O wpół do czwartej wstępowała na piętro nad składem rolniczym, do gabinetu przyjęć doktora Rosena. Wyszedłszy od doktora zatrzymywała się chwilę w cukierni Bella i kupowała dwufuntowe pudełko mieszanych czekoladek. Trasy tej nigdy nie zmieniała. Od Bella szła prosto do ulicy Castroville, a stamtąd do domu.

W stroju jej nie było nic szczególnego. Ubierała się dokładnie tak jak każda zamożna mieszkanka Salinas wychodząca po zakupy w poniedziałkowe popołudnie – tyle tylko, że zawsze nosiła rękawiczki, co w Salinas było rzeczą niezwykłą.

Dłonie w jej rękawiczkach wydawały się pękate i obrzmiałe. Poruszała się tak, jak by otaczał ją szklany klosz. Nie odzywała się do nikogo i zdawała się nikogo nie dostrzegać. Od czasu do czasu jakiś mężczyzna oglądał się za nią, po czym nerwowo podążał w swoją drogę. Ale najczęściej sunęła przed siebie, jak gdyby była niewidzialna.

Kal przez kilka tygodni chodził za nią trop w trop. Starał się nie zwracać na siebie jej uwagi. A ponieważ Kate zawsze szła patrząc prosto przed siebie, był więc przeświadczony, że go nie spostrzegła.

Kiedy wchodziła do swego ogrodu, Kal niedbałym krokiem mijał furtkę i wracał do domu inną drogą. Nie potrafiłby wytłumaczyć, po co właściwie ją śledzi, poza tym jedynie, że chciał wszystko o niej wiedzieć.

W ósmym tygodniu tej obserwacji Kate zakończyła jak zwykle swoją wędrówkę i weszła do zarośniętego ogrodu.

Kal odczekał chwilę, po czym wszedł przez zdezelowaną furtkę.

Kate stała za wysokim, postrzępionym ligustrem. Odezwała się do niego zimno:

– Czego ty chcesz?

Kal stanął jak wryty. Niejako zawisł w czasie, ledwie oddychając. Następnie uciekł się do praktyki, której nauczył się jeszcze w dzieciństwie. Zaczął obserwować i notować sobie w pamięci szczegóły nie mające związku z głównym przedmiotem jego zainteresowania. Zauważył, jak wiatr wiejący z południa przygina młode listki wysokiego krzaka ligustru. Widział błotnistą ścieżkę, rozdeptaną na czarną maź przez liczne stopy, a obok nogi Kate stojące z dala od błota. Słyszał lokomotywę na torach Kompanii Południowego Pacyfiku, buchającą parę z przenikliwym, suchym świstem.

Czuł, jak chłodne powietrze muska mu puch na policzkach. A przez cały ten czas wpatrywał się w Kate, ona zaś wpatrywała się w niego. I widział po oprawie i kolorze jej oczu i włosów, nawet po sposobie trzymania ramion – na w pół podniesionych, jak gdyby nimi wzruszała – że Aron jest bardzo do niej podobny. Własnej twarzy nie znał na tyle, aby rozpoznać usta Kate, jej drobne zęby i szerokie kości policzkowe jako swoje własne. Stali tak przez chwilę, między jednym a drugim podmuchem południowego wiatru. Kate powiedziała:

– Już nie pierwszy raz za mną chodzisz. Czego chcesz?

Spuścił głowę.

– Niczego – odpowiedział.

– Kto ci kazał to robić? – spytała.

– Nikt... proszę pani.

– Nie chcesz powiedzieć, co?

Kal ze zdumieniem usłyszał własną odpowiedź. Wymknęła mu się, nim zdążył ją powstrzymać.

– Pani jest moją matką i chciałem zobaczyć, jak pani wygląda.

Była to ścisła prawda i wyrwała się z niego jak wąż zadający cios żądłem.

– Co? Co to ma znaczyć? Kto ty jesteś?

– Jestem Kal Trask – odpowiedział.

Poczuł niedostrzegalne przesunięcie równowagi, jak wówczas, gdy przechyla się deska do huśtania. Był teraz na górnym końcu. Aczkolwiek wyraz twarzy Kate się nie zmienił, Kal wiedział, że przeszła do defensywy.

Przypatrzyła mu się uważnie, zbadła każdy rys jego twarzy. W myśli pojawił się raptem zapamiętany niejasno obraz Karola. Nagle powiedziała:

– Chodź ze mną!

Odwróciła się i ruszyła obok ścieżki, żeby nie wdepnąć w błoto.

Kal zawahał się tylko chwilę, po czym wszedł za nią na schodki. Pamiętał duży, mroczny salon, ale reszta domu była mu zupełnie nie znana. Kate poprowadziła go korytarzem do swego pokoju. Mijając wejście do kuchni zawołała:

– Herbaty! Dwie filiżanki.

Kiedy znaleźli się w jej pokoju, jakby o nim zapomniała. Zdjęła płaszcz pociągając za rękawy nieporadnymi zgrubiałymi palcami w rękawiczkach. Następnie podeszła do drzwi świeżo wybitych w tym końcu pokoju, gdzie stało łóżko. Otworzyła drzwi i weszła do nowej małej przybudówki.

– Chodź tutaj! – rozkazała. – Weź z sobą krzesło.

Wszedł za nią do małego jak pudełko pokoiku. Nie miał on okien ani żadnych ozdób. Ściany były pomalowane na ciemnoszary kolor. Jednolicie szary dywan pokrywał podłogę. Całe umeblowanie stanowił ogromny fotel wykoszczony popielatymi jedwabnymi poduszkami, pochyły stolik do czytania i stojąca lampa z głębokim abażurem. Kate pociągnęła za jej łańcuszek, ująwszy go głęboko w zagłębienie między dużym a wskazującym palcem, jak gdyby miała sztuczną rękę.

– Zamknij drzwi! – powiedziała.

Światło lampy padało kręgiem na stolik do czytania, rozpraszając się w mroku szarego pokoiku. Zdawało się, że szare ściany wsysają je i niweczą.

Kate usadowiła się ostrożnie wśród sutych puchowych poduszek i powoli zdjęła rękawiczki. Palce obu dłoni miała obandażowane. Powiedziała gniewnie:

– Nie gap się. To artretyzm. A... chcesz zobaczyć, tak? – Odwinęła przetłuszczony bandaż i podniosła do światła powykręcany palec wskazujący prawej ręki.

– Masz, przypatrz się – rzekła. – To artretyzm. – Syknęła z bólu, owijając palec luźno i delikatnie bandażem. – Boże, ale mnie boli od tych rękawiczek! – powiedziała.

– No, siadaj.

Kal przycupnął na krawędzi krzesła.

– Ty pewnie tego nie dostaniesz – mówiła Kate. – Moja cioteczna babka go miała i matce też już się zaczynał... – Umilkła. W pokoju było bardzo cicho.

Zapukano lekko do drzwi. Kate zawołała:

– To ty, Joe? Postaw tam tacę. Joe, jesteś jeszcze?

Przez drzwi dobiegło jakieś mruczenie. Kate powiedziała bezbarwnym głosem:

– W salonie jest śmietnik. Zrób tam porządek. Anna nie sprzątnęła w swoim pokoju. Daj jej jeszcze jedno ostrzeżenie. Powiedz, że to już ostatnie. Ewa znowu się wczoraj mądrzyła. Ja się nią zajmę. Aha, powiedz kucharzowi, że jeżeli poda marchew jeszcze raz w tym tygodniu, to może pakować manatki. Słyszałeś?

Znowu rozległo się mamrotanie za drzwiami.

– To wszystko – rzekła Kate. – Parszywe świnię! – mruknęła. – Zgnoilyby się, gdybym ich nie pilnowała. Teraz wyjdź i przynieś tu tacę z herbatą.

Pokój sypialny był pusty, kiedy Kal otworzył drzwi. Wniósł tacę do przybudówki i ostrożnie postawił ją na stoliku do czytania. Była to duża srebrna taca,

a na niej znajdował się cynowy imbryk, dwie cieniutkie jak papier filiżanki do herbaty, cukier, śmietanka i otwarte pudełko czekoladek.

– Nalej herbaty – powiedziała Kate. – Mnie bolą od tego ręce. – Włożyła do ust czekoladkę. – Widziałam, żeś się rozglądał po tym pokoju – ciągnęła połknąwszy ją. – Światło mnie razi. Przychodzę tu, żeby odpocząć. – Zauważyła, że Kal szybko zerknął na jej oczy, i powtórzyła, jakby zamykając dyskusję: – Światło mnie razi. – A potem spytała szorstko: – No, co? Nie chcesz herbaty?

– Nie, proszę pani – odrzekł Kal. – Nie lubię herbaty.

Podniosła cienką filiżankę obandażowanymi palcami.

– No, dobrze. Więc czego ty chcesz?

– Niczego, proszę pani.

– Chciałeś tylko na mnie popatrzeć?

– Tak, proszę pani.

– I jesteś zadowolony?

– Tak, proszę pani.

– No i jakże wyglądam? – Uśmiechnęła się do niego krzywo, ukazując drobne, ostre, białe zęby.

– Dobrze.

– Mogłam przewidzieć, że będziesz się wykręcał. Gdzie twój brat?

– Pewnie w szkole albo w domu.

– Jaki on jest?

– Podobniejszy do pani.

– Ach, tak? No, a czy jest taki sam jak ja?

– Chce zostać pastorem – odrzekł Kal.

– Pewnie tak powinno być: podobny do mnie, a chce pracować w kościele. W kościele człowiek może narobić dużo złego. Jak ktoś przychodzi tutaj, to się pilnuje. Ale w kościele całkiem się otwiera.

– On naprawdę chce – rzekł Kal.

Pochyliła się ku niemu; twarz jej ożywiło zaciekawienie.

– Nalej mi herbaty. Czy twój brat jest tępy?

– Bardzo miły – odparł Kal.

– Pytałam cię, czy tępy.

– Nie, proszę pani.

Cofnęła się i podniosła do ust filiżankę.

- A jak się ma ojciec?
- Nie chcę o nim mówić – rzekł Kal.
- Ach, nie? Ty go lubisz?
- Kocham go – powiedział Kal.

Kate przypatrzyła mu się bacznie i wstrząsnął nią osobliwy spazm – w piersiach uczuła bolesny ucisk. Ale zaraz wzięła się w karby i odzyskała panowanie nad sobą.

- Nie chcesz czekoladki? – spytała.
- Owszem, proszę. Dlaczego pani to zrobiła?
- Dlaczego co zrobiłam?
- Dlaczego pani strzeliła do ojca i uciekła od nas?
- On wam to opowiadał?
- Nie. Nic nam nie mówił.

Dłonie jej zetknęły się, a potem odskoczyły, jak gdyby to dotknięcie je parzyło.

Zapytała:

– Czy twój ojciec czasem sprowadza sobie do domu jakieś... dziewczyny albo młode kobiety?

– Nie – odparł Kal. – Dlaczego pani do niego strzeliła i odeszła?

Policzki jej stężały, a usta zacisnęły się, jak gdyby ściągnięte nagle siatką mięśni. Podniosła głowę, a oczy miała zimne i płytkie.

– Gadasz nie na swój wiek – powiedziała. – Ale jeszcze za mało dorośle. Może byś lepiej poleciał się pobawić... i wytrzeć sobie nos.

– Ja czasem dokuczam mojemu bratu – powiedział Kal. – Nieraz aż się skręca, aż płacze. Nie wie, jak to robię. Jestem od niego sprytniejszy. A nie chcę tego robić. Źle mi po tym.

Kate podjęła, jakby mówiąc do siebie:

– Zdawało im się, że są tacy sprytni. Patrzyli na mnie i myśleli, że mnie znają. A ja ich nabrałam. Nabrałam wszystkich po kolei. Kiedy im się zdawało, że mogą mnie kierować – o, wtedy nabrałam ich najlepiej! Karolu, naprawdę ich wtedy nabrałam.

– Ja mam na imię Kaleb – rzekł Kal. – Kaleb doszedł do Ziemi Obiecanej. Tak mówi Li i to jest w Biblii.

– A, ten Chińczyk – powiedziała Kate, po czym z pasją ciągnęła dalej: – Adam myślał, że już mnie ma. Kiedy byłam poharatana, cała poprzetrącana, wziął mnie do domu, pielęgnował, gotował dla mnie. Chciał mnie w ten sposób przykuć do siebie. Z

większością ludzi to się udaje. Są wdzięczni, czują się dłużni, a to jest najgorszy rodzaj kajdan. Ale mnie nikt nie utrzyma. Czekałam, czekałam, aż mi wróciły siły, i wtedy się wyrwałam. Nikt nie potrafi złapać mnie w pułapkę. Wiedziałam, co on robił. Czekałam.

W szarym pokoju zapanowała cisza; słychać było tylko podniecony, świszczący oddech Kate. Kal zapytał:

– Dlaczego pani do niego strzeliła?

– Bo próbował mnie zatrzymać. Mogłam go zabić, ale nie zabiłam. Chciałam tylko, żeby mnie puścił.

– Nigdy pani nie było żal, że pani nie została?

– Och, nie! Nawet jak byłam mała, potrafiłam robić, co mi się podobało. Nikt nigdy nie wiedział jak. Nigdy. Zawsze byli tacy pewni swego. A nigdy się nie połapali... nikt się nie połapał. – Nagle coś jakby sobie uświadomiła. – Jasne, ty jesteś do mnie podobny. Może nawet taki sam. Bo i dlaczego by nie?

Kal wstał i założył ręce za plecy. Zapytał:

– A jak pani była mała, to czy... – Przerwał, żeby sformułować myśl – ... czy pani miała kiedy uczucie, że jakby czegoś pani brak? Że inni jakby wiedzą coś, czego pani nie wie... no, jakąś tajemnicę, której nie chcą pani powiedzieć? Czuła pani kiedyś coś takiego?

Kiedy to mówił, jej twarz zaczęła się przed nim zamykać, a gdy skończył, Kate odgrodziła się już całkowicie i droga, która otwarła się między nimi, została zatarasowana. Kate powiedziała:

– Co też ja robię? Gadam z dzieciakiem!

Kal rozplótł ręce i wepchnął je w kieszenie.

– Gadam z zasmarkanym dzieciakiem – powtórzyła. – Chyba zwariowałam.

Twarcz Kala płonęła podnieceniem, oczy miał rozszerzone i zapatrzone przed siebie. Kate spytała:

– Co się z tobą dzieje?

Stał bez ruchu, czoło mu lśniło od potu, dłonie zacisnęły się w pięści.

Kate, jak to zawsze czyniła, pchnęła go ostrym, nieczułym nożem swego okrucieństwa. Zaśmiała się cicho:

– Mogłam ci przekazać różne interesujące rzeczy, jak na przykład to – podniosła powykęcane ręce. – Ale jeżeli to będzie epilepsja... no, wiesz, drgawki... toś jej nie dostał ode mnie.

Spojrzała na niego bystro, wypatrując wstrząsu i pierwszych oznak niepokoju. Ale Kal odpowiedział z pogodą:

– Już pójdę. Teraz już pójdę. Wszystko w porządku. Li mówił prawdę.

– A cóż to Li mówił?

Kal odpowiedział:

– Bałem się, że mam panią w sobie.

– I masz – odparła Kate.

– Nie, nie mam. Jestem sobą. Nie muszę być panią.

– A ty skąd to wiesz? – zapytała.

– Po prostu wiem. Właśnie zrozumiałem wszystko. Jeżeli jestem podły, to to jest moja własna podłość.

– Ten Chińczyk rzeczywiście nafaszerował cię niezłą papką. Dlaczego tak mi się przyglądasz?

Kal odpowiedział:

– Nie zdaje mi się, żeby panią raziło światło. Myślę, że pani się boi.

– Wynoś się! – krzyknęła. – Jazda, wynoś się stąd!

– Już idę. – Położył rękę na klamce. – Ja pani nie nienawidzę – rzekł. – Ale cieszę się, że pani się boi.

Popróbowwała krzyknąć: – Joe! – ale jej głos tylko zachrypiał skrzekotem.

Kal szarpnął drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Joe rozmawiał w salonie z jedną z dziewczyn. Usłyszeli tupot szybkich, lekkich kroków. Nim jednak podnieśli głowy, jakaś postać przemknęła do wyjścia, nacisnęła klamkę, wymknęła się na dwór i zatrzasnęła ciężkie, frontowe drzwi. Rozległo się tylko jedno stąpnięcie na ganku, a potem głuchy odgłos stóp uderzających po skoku o ziemię.

– Cóż to takiego, u licha? – spytała dziewczyna.

– A, Bóg wie – odparł Joe. – Czasem mi się zdaje, że mam przywidzenia.

– Mnie też – rzekła dziewczyna. – Czy ci mówiłam, że Klarę znowu zaczyna świerzbic?

– Pewnie jej się zwidziała strzykawka – odparł Joe. – Ano, mnie się zdaje, że im człowiek mniej wie, tym mu lepiej.

– Toś prawdę powiedział – zgodziła się dziewczyna.

ROZDZIAŁ XL

1

Kate siedziała w fotelu, oparta o grube, puchowe poduszki. Fale podniecenia krążyły po jej ciele, podnosząc drobne włoski i oblewając ją warem. Powiedziała cicho do siebie:

– Powoli. Uspokój się. Nie daj się temu. Nie myśl teraz przez chwilę. A to cholerny smarkacz!

Nagle przypomniała sobie jedyne go człowieka, który niegdyś obudził w niej tak oszalałą nienawiść. Był nim Samuel Hamilton ze swoją białą brodą, różowymi policzkami i roześmianymi oczyma, które jakby zaglądały jej pod skórę.

Obandażowanym palcem wydłubała cienki łańcuszek, który miała na szyi, i wyciągnęła zza stanika to, co było na nim zawieszane. Na łańcuszku znajdowały się dwa kluczyki od safesu bankowego, złoty zegareczek z broszką w kształcie lilii i mała stalowa tubka z kółeczkiem na zakrętce. Odkręciła ją bardzo ostrożnie i rozsunięty kolana wytrząsnęła z tubki żelatynową kapsułkę. Przyjrzała jej się pod światło i zobaczyła wewnątrz białe kryształki – sześć gramów morfiny – dobra, pewna dawka. Delikatnie wsunęła kapsułkę do tubki, zakręciła ją i wpuściła łańcuszek za stanik.

Ostatnie słowa Kala wciąż rozbrzmiewały jej w głowie. “Myślę, że pani się boi”. Powtórzyła je na głos, ażeby zdławić ich dźwięk. Rytm ucichł, ale w umyśle Kate uformował się wyraźny obraz; pozwoliła mu przybrać kształt, ażeby móc go obejrzeć raz jeszcze.

2

Zdarzyło się to przed postawieniem przybudówki. Kate podjęła pieniądze zapisane jej przez Karola. Czeka zamieniono na grube banknoty, te zaś, poukładane w paczki, leżały w kasetce depozytowej Banku Okręgu Monterey.

Mniej więcej wtedy pierwsze bóle zaczęły jej wykręcać ręce. Miała teraz dosyć pieniędzy, żeby wyjechać. Musiała jeszcze tylko wyciągnąć, ile się da, z domu. Ale znów lepiej było poczekać, aż zupełnie wydobrzeje.

Nigdy nie wydobrzała zupełnie. Nowy Jork wydawał się zimny i bardzo daleki.

Pewnego dnia przyszedł list podpisany "Etel". Co to za jakaś Etel, u diabła? Kimkolwiek była, musiała chyba zwariować, żeby żądać pieniędzy. Etel... są całe setki różnych Etel. Rosną na każdym krzaku. Ta gryzmoliła nieczytelnie na liniowanym papierze.

Niedługo potem Etel zjawiała się u Kate i Kate z trudem ją poznała.

Siedziała przy swoim biurku, czujna, podejrzliwa i pewna siebie.

– Dawno się nie widziałyśmy – rzekła.

Etel zachowywała się jak żołnierz spotykający w podeszłym wieku sierżanta, który go kiedyś musztrował.

– Biedowałam – odparła. Ciało jej się rozlało i obwisło. Strój cechowała przesadna schludność, która jest znamię ubóstwa.

– Gdzie się teraz... zaczepiłaś? – spytała Kate, zastanawiając się, jak prędko to stare pudło przejdzie do rzeczy.

– W hotelu "Południowego Pacyfiku". Mam tam pokój.

– A, to znaczy, że już nie pracujesz?

– Nigdy nie mogłam na nowo ruszyć z miejsca – odrzekła Etel. – Nie powinna pani była mnie stąd wysiudać. – Brzeźkiem bawełnianej rękawiczki starła wielkie łzy z kącików oczu. – Niedobrze jest – ciągnęła. – Najpierw miałam kłopoty, jak tu nastał ten nowy sędzia. Wlepił mi trzy miesiące, a przecież nie byłam karana... przynajmniej tutaj. Potem mnie puścili, to znów złapałam syfa. Nic nie wiedziałam, że mam. No i zaraziłam jednego stałego klienta... porządny gość, pracował przy torach. Cholera go wzięła i spuścił mi manto, nos mi rozkwasił, cztery zęby wybił, no i ten nowy sędzia łupnął mi sześć miesięcy. Psiakrew, pani wie; po pół roku traci się wszystkie kontakty. Ludzie zapominają, że człowiek żyje. No i ani rusz nie mogłam zacząć od nowa.

Kate pokiwała głową z zimnym i płytkim współczuciem. Wiedziała, że Etel gotuje się do ukąszenia. Na chwilę przed tym, jak ono nastąpiło, Kate zrobiła jedno posunięcie. Otworzyła szufladę biurka, wyjęła trochę pieniędzy i podała je Etel.

– Nigdy nie opuszczam przyjaciół w biedzie – powiedziała. – Dlaczego nie przeniesiesz się do jakiegoś innego miasta i nie zaczniesz od nowa? Może by ci się karta odwróciła?

Etel starała się powściągnąć palce, które chciwie ucapiły pieniądze. Rozsunęła banknoty jak karty pokerowe – cztery dziesięciodolarówki. Przygryzła usta z emocji. Powiedziała:

– Trochę się spodziewałam, że pani może coś skombinuje, żeby mi odpalić więcej niż czterdziestaka.

– Jak to?

– To pani nie dostała mojego listu?

– Jakiego listu?

– O! – powiedziała Etel. – Ano, może się zgubił na poczcie. Oni tam na nic nie mają uwazania. Tak czy owak, myślałam, że pani może się mną zajmie. Bo to i marnie się czuję. Coś mnie wciąż gniece w bebechach.

Westchnęła, po czym zaczęła mówić tak szybko, iż Kate nie miała wątpliwości, że wyuczyła się tego z góry.

– Może pani pamięta, że mam takie jakby przeczucie – zaczęła. – Zawsze przepowiadam to, co się potem spełnia. Zawsze mi się coś śni i potem tak to wychodzi. Jeden facet mówił, że powinnam wziąć się do tego fachu. Że jestem urodzone medium. Pamięta pani?

– Nie – odparła Kate. – Nie pamiętam.

– Nie? Ano, może pani nie zauważyła. Ale inni owszem. Przepowiadałam im kupę rzeczy i wszystko się sprawdzało.

– O co ci idzie?

– A bo miałam taki jeden sen. Pamiętam kiedy, bo to było tej nocy, co to Faye umarła. – Oczy jej przemknęły po zimnej twarzy Kate. Mówiła dalej z uporem: – Tamtej nocy padał deszcz i w moim śnie też padało... w każdym razie było mokro. No i w tym moim śnie zobaczyłam, jak pani wychodzi przez kuchenne drzwi. Nie było całkiem ciemno... księżyc ciut wyglądał. A śniła mi się pani. Że niby pani idzie na sam koniec ogródka i tak się pochyła. Nie widziałam, co pani tam robi. A potem pani chyłkiem wróciła. No i zanim się połapałam, co i jak... Faye umarła. – Zamilkła i czekała na jakiś komentarz, ale twarz Kate była nieprzenikniona.

Etel odczekała jeszcze chwilę, dopóki nie upewniła się, że Kate nie przemówi.

– Ano więc, jak powiadam, zawsze wierzę w swoje sny. Śmieszna rzecz; nic tam nie było, tylko trochę potłuczonych buteleczek od lekarstw i gumka od takiej pipetki do oczu.

Kate powiedziała leniwie:

– No i zaniósłś to do doktora. I cóż, jego zdaniem, było w tych buteleczkach?

– O, nie zrobiłam nic podobnego!

– Powinnaś była – rzekła Kate.

– Nie lubię, jak ktoś ma przykrości. Sama dosyć miałam. Wsadziłam to potłuczone szkło do koperty i schowałam.

Kate zapytała cicho:

– I przychodzisz do mnie po radę?

– Tak, proszę pani.

– Powiem ci, co myślę – rzekła Kate. – Myślę, że jesteś stara, zużyta kurwa i że cię za często walili po głowie.

– Tylko niech pani aby nie mówi, że mam fioła... – zaczęła Etel.

– Może i nie masz, ale jesteś zmęczona i chora. Powiedziałam ci, że nigdy nie opuszczam przyjaciół w potrzebie. Możesz tu wrócić. Pracować nie możesz, ale za to zajmować się domem, sprzątać, pomagać kucharzowi. Będziesz miała gdzie spać i co jeść. Co ty na to? No i jeszcze trochę pieniędzy na drobne wydatki.

Etel poruszyła się niespokojnie.

– Nie, proszę pani – powiedziała. – Chyba bym nie chciała... tu sypiać. Ja nie mam przy sobie tej koperty. Zostawiłam ją u znajomego.

– O co tobie właściwie idzie?

– Ano, myślałam, że gdyby pani mogła mi dawać ze sto dolarów miesięcznie, to jakoś bym się wygrzebała, a może i odzyskała zdrowie.

– Powiadasz, że zatrzymałaś się w hotelu "Południowego Pacyfiku"?

– Tak, proszę pani... Mam pokój przy hallu, zaraz obok portiera. Nocny portier to mój kumpel. Nigdy nie sypia, jak ma dyżur. Porządny facet.

Kate powiedziała:

– Nie ma co robić w majtki, Etel. Powinnaś się martwić tylko o jedno: ile ten "porządny facet" weźmie. Zaczekaj chwilę.

Odliczyła jeszcze sześć banknotów dziesięciodolarowych, które wyjęła z szuflady, i podała je Etel.

– Czy to będzie przychodziło co pierwszego, czy mam się tu sama zgłaszać?

– Będę ci przysyłała – odrzekła Kate. – Aha, i posłuchaj, Etel – dodała spokojnie. – W dalszym ciągu uważam, że powinnaś dać te buteleczki do analizy.

Etel mocno ścisnęła w rękę pieniądze. Cała musowała tryumfem i satysfakcją. Była to jedna z niewielu rzeczy, które jej się w życiu udały.

– Do głowy by mi nie przyszło coś podobnego – powiedziała. – Chyba żebym musiała.

Kiedy wyszła, Kate udała się na koniec ogródka za domem. Nawet po latach widać było po nierówności ziemi, że ktoś ją musiał przekopać tu dosyć gruntownie.

Następnego rana sędzia wysłuchiwał zwykłej kroniki pomniejszych gwałtów i nocnych grabieży. Czwartej z kolei sprawy słuchał tylko jednym uchem i po zakończeniu zwięzłych zeznań poszkodowanego zapytał:

– To ile pan stracił?

Ciemnowłosa mężczyzna odpowiedział:

– Coś około stu dolarów.

Sędzia zwrócił się do funkcjonariusza, który dokonywał aresztowań.

– Ile ona miała przy sobie?

– Dziewięćdziesiąt sześć dolarów. Dostała whisky, papierosy i kilka pism od portiera nocnego dzisiaj o szóstej z rana.

Etel krzyknęła:

– Ja tego gościa na oczy nie widziałam!

Sędzia podniósł wzrok znad papierów.

– Dwukrotnie karana za nierząd, a teraz znów kradzież. Za dużo kosztujesz. Do południa masz się wynieść z miasta. – Obrócił się do policjanta. – Powiedźcie szeryfowi, żeby ją odstawił do granicy okręgu. – A potem do Etel: – Jeżeliś tu wróciła, przekażę cię okręgowi, a wtedy będzie w robocie San Quentin, rozumiesz?

Etel powiedziała:

– Panie sędzio, muszę z panem pomówić w cztery oczy.

– Po co?

– Muszę coś panu powiedzieć – odparła Etel. – To jest zmowa.

– Zawsze jest zmowa – rzekł sędzia. – Następny.

Podczas gdy zastępca szeryfa konwojował Etel do granicy okręgu przebiegającej przez most na rzece Pajaro, poszkodowany kroczył z wolna ulicą Castroville ku domowi Kate. Rozmyślił się jednak i zawrócił do fryzjerni Keone'a, ażeby ostrzyć sobie włosy.

Wówczas wizyta Etel nie zaniepokoiła Kate zbyt. Wiedziała, jaką wagę przywiązywano by do słów rozżalonej kurwy, a także i to, że analiza potłuczonych flaszek nie wykazałaby nic, co można by rozpoznać jako truciznę. O Faye już prawie zapomniiała. To przymusowe przypomnienie było jedynie niemiłą reminiscencją.

Jednakże stopniowo zaczęła się nad tym zastanawiać. Pewnego wieczora, kiedy sprawdzała pozycje w rachunku ze sklepu spożywczego, objawiła jej się myśl świetlista i migotliwa jak meteor. Zabłysła i zgasła tak szybko, że Kate musiała przerwać swoje zajęcie, aby spróbować ją odnaleźć. Jakim sposobem z tą myślą wiązała się posępna twarz Karola? I zdziwione, wesole oczy Samuela Hamiltona? I dlaczego od tej przelotnej myśli ogarnął ją dreszcz strachu?

Poniechała tego i wzięła się znowu do roboty, ale twarz Karola była wciąż za nią, zaglądnąca jej przez ramię. Kate zaczęły boleć palce. Odłożyła rachunki i przeszła się po domu. Była gnuśna, ospała noc – noc wtorkowa. Nie zjawiono się nawet tylu klientów, żeby urządzić cyrk.

Kate zdawała sobie sprawę z tego, jaki jest stosunek dziewcząt do niej. Bały się jej rozpaczliwie. Utrzymywała je w tym nastroju. Bardzo możliwe, że jej nienawidziły, i to także było jej obojętne. Ale ufały jej, i to było ważne. Jeżeli stosowały się do przepisów ustanowionych przez Kate, jeżeli stosowały się do nich ściśle, Kate zapewniała im opiekę i ochronę. Miłość ani szacunek nie wchodziły tu w rachubę. Kate nigdy nie nagradzała dziewczyn, a winną jakiegoś przekroczenia karała tylko dwukrotnie przed wydaleniem. Dziewczyny miały jednak tę pewność, że nie zostaną ukarane bez powodu.

Na widok Kate chodzącej po domu zaczęły zachowywać się ze sztuczną swobodą. Kate znała to i spodziewała się, że tak będzie. Ale tego wieczora czuła, że nie jest sama. Karol szedł za nią krok w krok.

Minęła jadalnię, weszła do kuchni, otworzyła lodówkę i zajrzała do środka. Podniosła pokrywę puszek na odpadki i sprawdziła, czy nie ma w niej śladów jakiegoś marnotrawstwa. Robiła to co wieczór, ale tego dnia było w niej jakieś dodatkowe napięcie.

Kiedy wyszła z salonu, dziewczyny popatrzyły po sobie, a potem wzruszyły ze zdumieniem ramionami. Heloiza, która rozmawiała z ciemnowłosym Joe, zapytała:

- Czy coś się stało?
- Ja nic nie wiem. A bo co?
- Nie mam pojęcia. Jest jakby zdenerwowana.

- Ano, była jakaś draka.
- Ale co takiego?
- Chwileczkę – odparł Joe. – Ja nie wiem i ty nie wiesz.
- Rozumiem. Mam pilnować swego nosa.
- Właśnie, cholera – rzekł Joe. – Nie ruszajmy tego, dobra?
- Nie chcę nic wiedzieć – oświadczyła Heloiza.
- Teraz gadasz do rzeczy – powiedział Joe.

Kate wróciła ze swego obchodu.

- Idę się położyć – oznajmiła Joe'emu. – Nie wzywaj mnie bez potrzeby.
- Może coś przygotować?
- Owszem, zaparz mi herbaty. Czyś ty prasowała tę sukienkę, Heloizo?
- Tak p'sze pani.
- Nie bardzoś dobrze to zrobiła.
- Tak jest, p'sze pani.

Kate nie mogła sobie miejsca znaleźć. Powkładała starannie wszystkie papiery w przegródki biurka, a kiedy Joe przyniósł tacę z herbatą, kazała mu postawić ją przy łóżku.

Leżała obłożona poduszkami i popijając herbatę zaczęła znów szukać tamtej myśli. Co to było z Karolem? I nagle jej się objawiło.

Karol był sprytny. Samuel Hamilton też był sprytny na swój postrzelony sposób. Oto ta gnana strachem myśl: to byli ludzie sprytni. Samuel i Karol nie żyli, ale może zostali jacyś inni. Wypracowywała to sobie w myśli bardzo powoli.

“Przypuśćmy, że to ja wykopuję takie buteleczki. Co bym sobie pomyślała i co bym zrobiła?” W piersi zerwało jej się przerażenie. Dlaczego te buteleczki są potłuczone i zakopane? Więc to nie trucizna? W takim razie po co je zakopywać? Co ją wtedy podkusiło? Trzeba było wpuścić je do ścieku na ulicy Głównej albo też wrzucić do puszki na śmieci. Doktor Wilde już nie żył. Ale może prowadził jakieś notatki? Tego nie wiedziała. Przypuśćmy, że to nie ona znajduje szkło i dowiadyuje się, co w nim było? Czyż nie spytałaby kogoś, kto się na tym zna: “Co by się stało, gdyby dać człowiekowi olej krotonowy?”

“No, powiedzmy, że daje się przez dłuższy czas małe dawki?” I od razu by wiedziała. Może ktoś inny też wie?

“Przypuśćmy, że dowiadujesz się o bogatej szefowej, która zapisała wszystko nowej dziewczynie, a potem umarła?” Kate wiedziała doskonale, jaka byłaby jej

pierwsza myśl. Jakiż obłęd kazał jej wystarać się o wydalenie Etel z okręgu? Teraz nie mogła jej już odnaleźć. Trzeba ją było opłacić i wyciągnąć od niej to szkło. Gdzie ono teraz jest? W kopercie – ale gdzie? Jak można odszukać Etel?

Etel na pewno wie, jak i dlaczego ją przepędzono. Nie jest bystra, ale może powiedzieć komuś, kto jest bystry. Ten bełkotliwy głos może opowiedzieć całą historię – jak Faye zachorowała, jak wyglądała, no i o testamencie.

Kate oddychała ciężko, a małe igielki strachu zaczynały mrowić jej się po całym ciele. Powinna jechać do Nowego Jorku albo gdzieś – nie zawracać sobie głowy sprzedażą domu. Nie potrzeba jej pieniędzy. Ma ich dość. Nikt jej nie odnajdzie. No, tak; ale jeżeli ucieknie, a ten ktoś bystry dowie się od Etel o całej historii, to czy to nie wystarczy?

Kate wstała z łóżka i wzięła dużą dawkę bromu.

Od tego czasu nie opuszczał jej ani na chwilę przyczajony strach. Nieomal z radością dowiedziała się, że bóle w rękach są rozwijającym się artretyzmem. Jakiś zły głos szeptał jej, że to może być kara.

Nigdy nie wychodziła zbyt często do miasta, ale teraz powzięła niechęć do wychodzenia w ogóle. Zdawała sobie sprawę, że mężczyźni skrycie za nią zerkają, wiedząc, kim jest. A niech się okaże, że któryś z tych mężczyzn ma twarz Karola lub oczy Samuela? Musiała się zmuszać, żeby wyjść raz w tygodniu.

Wtedy to kazała postawić przybudówkę i pomalować ją na szaro. Twierdziła, iż to dlatego, że światło razi ją w oczy, i stopniowo zaczęła wierzyć, że razi ją istotnie. Oczy piekły ją po wyjściu do miasta. Coraz więcej czasu spędzała w swym pokoiku.

Dla niektórych ludzi jest możliwe – i było to także możliwe dla Kate – wierzyć jednocześnie w dwie przeciwstawne sobie rzeczy. Kate wierzyła, że światło ją razi, ale wiedziała też, że ten szary pokój jest jaskinią, w której może się ukryć, mroczną jamą w ziemi, miejscem, gdzie nie dojrzą jej niczyje oczy. Raz, siedząc w swym wyłożonym poduszkami fotelu, zastanowiła się, czyby nie wybić sekretnych drzwi, żeby mieć drogę ucieczki. A potem jakieś uczucie raczej niż rozumowanie odrzuciło ten projekt. Wtedy bowiem nie byłaby bezpieczna. Jeżeli mogłaby wyjść, coś mogłoby także dostać się do środka – to coś, co teraz czało się pod domem, nocą podpełzało do jego murów, wspinało się bezgłośnie, by zajrzeć przez okna. Kate musiała zdobywać się na coraz większy wysiłek woli, aby wychodzić z domu w poniedziałkowe popołudnia.

Kiedy Kal zaczął ją śledzić, targnął nią okropny lęk. A kiedy czekała na niego za ligustrem, była bardzo bliska panicznego przerażenia.

Teraz jednakże wtuliła głęboko głowę w miękkie poduszki, a na oczach poczuła łagodny ciężar bromu.

ROZDZIAŁ XLI

1

Kraj niepostrzeżenie osuwał się ku wojnie, pełen obaw, a jednocześnie zapału. Ludzie nie doświadczali wstrząsającej emocji wojny od lat bez mała sześćdziesięciu. Sprawa hiszpańska była raczej ekspedycją niż wojną. W listopadzie ponownie obrano Wilsona prezydentem na podstawie jego programowej obietnicy, że nie pozwoli nas wciągnąć w wojnę, ale jednocześnie poinstruowano go, że ma prowadzić politykę silnej ręki, co nieuchronnie oznaczało wojnę. Interesy ożywiły się, a ceny zaczęły rosnać. Brytyjscy agenci od zakupów krążyli po kraju, nabywając żywność, odzież, metale i chemikalia. Prąd podniecenia przeniknął cały kraj. Ludzie w gruncie rzeczy nie wierzyli w wojnę nawet wówczas, kiedy ją planowali. W dolinie Salinas życie toczyło się niemal tak, jak do tej pory.

2

Kal szedł do szkoły z Aronem.

– Masz zmęczoną minę – powiedział Aron.

– Tak?

– Słyszałem, jakieś wracał wczoraj w nocy. Czwarta nad ranem! Co ty robisz do tak późna?

– Chodziłem sobie... rozmyślałem. Co byś powiedział, gdyby tak rzucić szkołę i wrócić na ranczo?

– Po co?

– Moglibyśmy zarobić trochę pieniędzy dla ojca.

– Ja idę do college'u. Chciałbym pójść już teraz. Wszyscy się z nas nabijają. Muszę się wynieść z tego miasta.

– Wariat!

– Nie jestem wariat. Ale nie ja zmarnowałem te pieniądze. Nie ja miałem ten obłądny pomysł z sałatą. A ludzie i tak się ze mnie śmieją. I nawet nie wiem, czy nam starczy na moje studia.

– Ojciec przecież nie chciał zmarnować tych pieniędzy.

– Ale zmarnował.

Kal powiedział:

– Musisz jeszcze skończyć ten rok i następny, zanim będziesz mógł pójść do college'u.

– Myślisz, że nie wiem?

– Gdybyś się wziął ostro do roboty, może mógłbyś zdać egzamin wstępny w lecie i zacząć na jesieni.

Aron obrócił się gwałtownie.

– To niemożliwe.

– A ja myślę, że możliwe. Dlaczego nie pogadasz z kierownikiem? Założę się, że wolebny Rolf by ci pomógł.

– Chcę się wynieść z tego miasta – powiedział Aron. – Nie chcę tu wracać nigdy więcej. Wciąż nas wyzywają od Sałacianych Główn. Śmieją się z nas.

– A co z Abłą?

– Abra postąpi tak, jak będzie najlepiej.

Kal zapytał:

– Czy ona by chciała, żebyś wyjechał?

– Abra zrobi to, co ja zechcę.

Kal namyślał się chwilę.

– Coś ci powiem. Popróbowuję zarobić trochę pieniędzy. Jeżeli przysiądziesz fałdów i zdasz egzaminy o rok wcześniej, to pomogę ci w studiach.

– Naprawdę?

– Pewnie, że tak.

– No, to zaraz pójde porozmawiać z kierownikiem. – Przyspieszył kroku.

Kal zawołał:

– Aronie, poczekaj! Słuchaj! Jeżeli ci powie, że jego zdaniem, możesz to zrobić, nie mów nic ojcu.

– Dlaczego?

– Bo sobie pomyślałem, jak by to było miło, gdybyś do niego przyszedł i powiedział, że już zdałeś.

– Nie rozumiem; czy to nie wszystko jedno?

– Nie rozumiesz?

– Nie – odparł Aron. – Mnie się to wydaje niemądre.

Kal miał gwałtowną chęć krzyknąć: “Ja wiem, kim jest nasza matka! Mogę ci ją pokazać!” Może chociaż to przebiłoby się i dotarło do Arona.

Kal spotkał Abrę w hallu przed dzwonkiem na lekcję.

– Co się stało Aronowi? – zapytał.

– Nie wiem.

– Owszem, wiesz – powiedział.

– A, buja w obłokach. Zdaje się, że to robota tego pastora.

– Czy odprowadza cię do domu?

– Jasne. Ale ja go widzę jak na dłoni. Skrzydła mu wyrosły.

– Wciąż wstydzi się tej sałaty.

– Wiem – odparła Abra. – Próbuję mu to wyperswadować. Może mu z tym przyjemnie.

– Co to znaczy?

– Nic – odrzekła Abra.

Tego wieczora po kolacji Kal zapytał:

– Ojcie, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym w piątek po południu pojechał na ranczo?

Adam obrócił się na krześle.

– A po co?

– Tak sobie chciałem popatrzeć. Tylko się trochę rozejrzeć.

– Czy Aron też ma jechać?

– Nie. Chcę jechać sam.

– Nie mam nic przeciwko temu. Li, widzisz jakiś powód, żeby nie jechał?

– Nie – odrzekł Li. Przyjrzał się bacznie Kalowi. – Poważnie myślisz o tym, żeby się wziąć do gospodarowania?

– Możliwe. Gdyby ojciec mi pozwolił, to bym pogospodarował.

– Dzierżawa ma trwać jeszcze przeszło rok – powiedział Adam.

– A potem będę mógł?

– Ale co ze szkołą?

– Do tej pory skończę.

– Ano, zobaczymy – rzekł Adam. – Może ci jeszcze przyjdzie ochota zapisać się do college'u.

Kiedy Kal ruszył do drzwi, Li podążył za nim i wyszli razem przed dom.

– Możesz mi powiedzieć, o co to idzie? – spytał Li.

– Chciałem się tylko rozejrzeć.

– No, dobrze; widzę, że nie chcesz mi się zwierzać. – Li zawrócił do domu.

Potem zawołał: – Kal! – Chłopiec zatrzymał się. – Masz jakieś kłopoty?

– Nie.

– Bo gdyby ci kiedy było potrzeba, to ja mam pięć tysięcy dolarów.

– Na co miałbym tego potrzebować?

– Czy ja wiem? – odpowiedział Li.

3

Will Hamilton lubił szklaną klatkę swego kantoru w garażu. Interesy handlowe Willa nie ograniczały się bynajmniej do przedstawicielstwa sprzedaży samochodów, ale nie miał innego biura. Uwielbiał ciągły ruch za ściankami owej sześćciennej szklanej klatki. Wstawił tam podwójne szyby, ażeby stłumić hałas garażu.

Przesiadywał w swym dużym, obitym czerwoną skórą fotelu obrotowym i na ogół biorąc cieszył się życiem. Kiedy ludzie opowiadali, jak dobrze zarabia jego brat, Joe, w agencji reklamowej na Wschodzie, Will zawsze mówił o sobie, że jest dużą żabą w małej kałuży.

– Ja tam bym się bał jechać do wielkiego miasta – mawiał. – Jestem prosty chłopak ze wsi.

I miły mu był śmiech, którym zawsze to przyjmowano. Dowodził on, iż przyjaciele wiedzą, że mu na niczym nie zbywa.

Którejś soboty odwiedził go z rana Kal. Widząc zaskoczoną minę Willa przedstawił się.

– Jestem Kal Trask.

– Ano tak, oczywiście! Boże drogi, ale ty rośniesz! Ojciec tu jest?

– Nie. Przyszedłem sam.

– No to siadaj. Pewnie jeszcze nie palisz?

– Czasami. Papierosy.

Will posunął po biurku paczkę muradów. Kal otworzył pudełko, po czym je zamknął.

– Chwilowo dziękuję.

Will spojrzał na smagłego chłopca i poczuł do niego sympatię. Pomyślał: “To sprytny chłopak. Nie żaden frajer”.

– Pewnie niedługo weźmiesz się do interesów? – powiedział.

– Tak, proszę pana. Mam zamiar poprowadzić ranczo, jak skończę gimnazjum.

– To nie jest interes – odrzekł Will. – Farmer nie robi pieniędzy. Tylko ten, co od niego kupuje towar, a potem odprzedaje. Nigdy się nie dorobisz na roli.

Will czuł, że Kal go sonduje, bada i obserwuje, i to mu się podobało.

A Kal był już zdecydowany, ale najpierw zapytał:

– Proszę pana, pan nie ma dzieci, prawda?

– Ano nie. I bardzo tego żałuję. Chyba najbardziej ze wszystkiego. – A po chwili: – Dlaczego pytasz?

Kal puścił to pytanie mimo uszu.

– Czy pan dałby mi jedną radę?

Will poczuł ciepło zadowolenia.

– Chętnie, jeśli potrafię. A co byś chciał wiedzieć?

Wtedy Kal uczynił rzecz, która Willowi Hamiltonowi spodobała się jeszcze bardziej. Użył naiwności jako broni. Powiedział:

– Chcę zrobić duże pieniądze. I chcę, żeby pan mi powiedział jak.

Will pohamował śmiech. Choć oświadczenie to było naiwne, wcale nie miał Kala za naiwnego.

– Każdy tego chce – odpowiedział. – A co to są dla ciebie duże pieniądze?

– Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy dolarów.

– O rany! – zawołał Will i pochylił się do przodu z fotelem, który zaskrzypiał. Roześmiał się teraz, ale bynajmniej nie kpiąco. Kal uśmiechnął się także. Will spytał:

– Możesz mi powiedzieć, na co ci tyle potrzeba?

– Tak, proszę pana – odrzekł Kal. – Mogę. – Otworzył pudełko muradów, wyjął płaskiego papierosa z korkowym ustnikiem i zapalił go. – Zaraz panu powiem, na co – dodał.

Will odchylił się z fotelem do tyłu, słuchając z przyjemnością.

– Mój ojciec stracił masę pieniędzy.

– Wiem – powiedział Will. – Przestrzegałem go, żeby nie próbował wysłać sałaty na drugi koniec kraju.

– Przestrzegał pan? Dlaczego?

– Bo nie miał żadnego zabezpieczenia. Człowiek interesu musi się zabezpieczyć. Gdyby coś się stało, byłby wykończony. No i stało się. Mów dalej.

– Chcę zarobić tyle pieniędzy, żeby mu zwrócić to, co stracił.

Will rozdziawił usta.

– A dlaczego? – zapytał.

– Bo tak chcę.

Will zapytał:

– Kochasz go?

– Aha.

Nalana twarz Willa skurczyła się i nagle owionęły go wspomnienia jak mroźny wiatr. Nie osuwał się powoli w przeszłość; stanęła mu cała przed oczami w jednym przeblysku – tamte lata, pełny obraz, uczucie i rozpacz, a wszystko zatrzymane w bezruchu podobnie jak kamera o szybkiej migawce zatrzymuje świat. Ujrzał jasnego Samuela, pięknego jak brzask, obdarzonego fantazją lotną niby jaskółka, a potem ukazał mu się błyskotliwy, zamyślony Tom, który był wszystkim ciemnym płomieniem, Una, co ujeżdżała burze, śliczna Mollie, roześmiana Dessie, urodziwy Jerzy, którego słodycz wypełniała pokój niczym woń kwiatów, i wreszcie Joe – ten najmłodszy, najukochańszy. Wszyscy oni bez wysiłku przynosili coś w darze rodzinie.

Prawie każdy człowiek ma swą szkatułkę z utajonym bólem, którego z nikim nie dzieli. Will ukrywał swój dobrze; śmiał się rozgłośnie, wykorzystywał własne wymyślne uzdolnienia i nigdy nie popuszczał wodzy zazdrości. Uważał, że jest nieruchawy, przyziemny, zacofany i pozbawiony fantazji. Żadne wielkie marzenia nie wynosiły go wzwyż i żadne rozpacz nie narzucały mu myśli o samounicestwieniu. Pozostawał zawsze niejako na skraju, starając się trzymać rodzinnego koła, dzięki tym właśnie darom, które posiadał – rozwadze, rozsądkowi, zapobiegliwości. Prowadził obliczenia, umawiał się z adwokatami, najmował przedsiębiorcę pogrzebowego, a w końcu popłacił rachunki. Tamci nawet nie wiedzieli, że jest im potrzebny. Uważał, że Hamiltonowie pogardzają nim za tę jedyną umiejętność. Kochał ich wiernie, zawsze był pod ręką ze swymi pieniędzmi, gdy przyszło ich wyciągać z popełnionych błędów. Sądził, że się go wstydzą, i zaciekle walczył o ich uznanie. Wszystko to było w tym lodowatym wietrze, który go przewiał na wskroś.

Lekko wyłupiaste oczy Willa zwilgotniały, kiedy patrzył gdzieś poza Kala, i chłopiec zapytał:

– Co się stało, proszę pana? Czy panu niedobrze?

Will trafnie wyczuwał swoją rodzinę, ale jej nie rozumiał. Oni zaś brali go takim, jakim był, nie domyślając się, że w ogóle jest coś do rozumienia. A teraz zjawił się ten chłopiec. Will go rozumiał, wyczuwał, rozpoznawał. Takiego powinien był mieć syna albo brata, albo ojca. I ów zimny wiatr wspomnień przeobraził się w ciepłe uczucie do Kala, które ścisnęło go w głębi piersi, napierając na płuca.

Przemógł się i wrócił myślą do oszklonego kantoru. Kal siedział na krześle i czekał.

Will nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwało jego milczenie.

– Namyslałem się – powiedział nieporadnie, po czym nadał swemu głosowi ton surowości. – Prosiłeś mnie o coś. Ja jestem człowiek interesu. Nie dam nic za darmo. Mogę tylko sprzedać.

– Dobrze, proszę pana. – Kal miał się na baczności, ale czuł, że spodobał się Willowi Hamiltonowi.

– Chcę coś wiedzieć, ale żeby to była prawda. Powiesz mi prawdę?

– Nie wiem – odparł Kal.

– To lubię. Bo i skąd możesz wiedzieć, póki nie usłyszysz pytania? To mi się podoba. To jest bystre... i uczciwe. Posłuchaj... Ty masz brata. Czy ojciec woli go od ciebie?

– Każdy go woli – odrzekł spokojnie Kal. – Każdy kocha Arona.

– A ty?

– Też, proszę pana. Przynajmniej... tak, kocham.

– Co znaczyło to “przynajmniej”?

– Czasem mi się zdaje, że jest głupi, ale go lubię.

– No, a ojca?

– Ojca kocham – odrzekł Kal.

– A on bardziej kocha twojego brata.

– Nie wiem.

– No, więc mówisz, że chcesz zwrócić ojcu pieniądze, które stracił. Dlaczego?

Zazwyczaj oczy Kala były przymrużone i ostrożne, ale w tej chwili rozwarły się tak szeroko, iż zdawało się, że ogarniają całego Willa i widzą go na wskroś. Kal znalazł się tak blisko własnej duszy, jak to tylko możliwe.

– Ojciec jest dobry – powiedział. – Chcę odrobić tę jego stratę, bo sam nie jestem dobry.

– A jeżeli tak zrobisz, to też nie będziesz dobry?

– Nie – odrzekł Kal. – Ja mam złe myśli.

Will nigdy jeszcze nie spotkał kogoś, kto by przemawiał w sposób tak nagi. Owa nagość wprawiała go niemal w zakłopotanie, a jednocześnie czuł, jak bezpieczny jest Kal w swej obnażonej uczciwości.

– Jeszcze tylko jedno – powiedział Will. – I nie będę ci miał za złe, jeżeli nie odpowiesz. Wątpię, czy ja bym odpowiedział. Idzie mi o to: przypuśćmy, że dostałbyś te pieniądze i oddał je ojcu... czy nie przyszłoby ci do głowy, że chcesz w ten sposób kupić sobie jego miłość?

– Owszem. Przyszłoby. I to byłaby prawda.

– To jest wszystko, o co chciałem zapytać. Nic więcej.

Will pochylił się i przyłożył dłonie do spoconego, pulsującego czoła. Nie pamiętał, kiedy był tak wstrząśnięty. A w Kalu ostrożnie nabrzmiewał tryumf. Wiedział, że zwyciężył, i starał się nie dopuścić, by to się uwidocznilo na jego twarzy.

Will podniósł głowę, zdjął okulary i starł z nich wilgoć.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Przejedziemy się trochę.

Will miał teraz dużego Wintona z maską długą jak trumna, wydającego ze swoich wnętrzności potężne, sapiące pomruki. Jechał traktem okręgowym z King City na południe, wpośród wzbierających sił wiosny, a przed samochodem ulatywały szpaki i zachłystywały się śpiewem z drutów ogrodzeń. Szczyt Pico Blanco wznosił się na zachodzie, nakryty czapą śniegu, a rzędy eukaliptusów biegnące w poprzek doliny jako ochrona od wiatru, połśniewały srebrzyście nowymi liśćmi.

Kiedy dojechali do bocznej drogi, która skręcała do parowu Trasków, Will zatrzymał wóz z boku gościńca. Nie odezwał się ani słowem, odkąd Winton wytoczył się z King City. Potężny motor pulsował wolnym, głębokim szeptem.

Will patrząc prosto przed siebie zapytał:

– Kal... chcesz zostać moim wspólnikiem?

– Tak, proszę pana.

– Nie lubię brać wspólnika bez pieniędzy. Mógłbym ci coś pożyczyć, ale z tego są tylko kłopoty.

– Ja mogę dostać pieniądze – odrzekł Kal.

– Ile?

- Pięć tysięcy dolarów.
- Ty... nie, nie wierzę.
- Kal nie odpowiedział.
- Wierzę ci – rzekł Will. – Pożyczysz?
- Tak jest.
- Na jaki procent?
- Bez żadnego.
- To niezły interes. A skąd weźmiesz?
- Nie powiem panu.

Will potrząsnął głową i roześmiał się. Przepełniało go zadowolenie.

– Może robię z siebie durnia, ale ci wierzę... a durniem nie jestem. – Nacisnął gaz, a potem znów zwolnił obroty silnika. – Posłuchaj. Czytujesz gazety?

- Tak.
- Teraz już lada chwila przystąpimy do tej wojny.
- Na to wygląda.
- Ano, masa osób tak uważa. Otóż czy znasz obecną cenę fasoli? To znaczy, za ile można sprzedać sto worków w Salinas?
- Nie jestem pewien. Myślę, że za jakieś trzy, trzy i pół centa funt.
- Co to znaczy, nie jesteś pewien? Skąd to wiesz?
- A bo chciałem prosić ojca, żeby mi pozwolił gospodarować na ranczo.
- Rozumiem. Ale ty nie powinieneś pracować na roli. Jesteś za sprytny. Dzierżawca twojego ojca nazywa się Rantani. To jest szwajcarski Włoch, dobry rolnik. Wziął pod uprawę blisko pięćset akrów. Jeżeli potrafimy zagwarantować mu pięć centów od funta i damy pożyczkę na zakup nasion, zasieje fasolę. To samo robi każdy farmer w tych stronach. Moglibyśmy zakontraktować z pięć tysięcy akrów fasoli.

Kal zapytał:

– A co zrobimy z pięciocentową fasolą, jeżeli cena rynkowa jest trzy centy? Aha, no tak! Ale czy można mieć pewność?

- Jesteśmy współnikami? – spytał Will.
- Tak, proszę pana.
- Tak, Will!
- Tak, Will.
- Jak prędko możesz dostać te pięć tysięcy?
- Do następnej środy.

– Łapa!

Tęgi mężczyzna i szczupły, smagły chłopak uroczyście uścisnęli sobie dłonie.

Will nie wypuszczając ręki Kala powiedział:

– Teraz jesteśmy współnikami. Mam kontakt z Brytyjską Agencją Zakupów. I mam też przyjaciela w kwatermistrzostwie. Założę się, że będziemy mogli sprzedawać tyle suszonej fasoli, ile tylko uda nam się dostać, po dziesięć centów funt albo i więcej.

– A kiedy będzie można sprzedać?

– Sprzedam, zanim cokolwiek podpiszemy. A teraz chciałbyś pojechać na ranczo i pogadać z Rantanim?

– Tak jest – odrzekł Kal.

Will nacisnął sprzęgło Wintona i wielki zielony samochód wtoczył się niezdarnie na boczną drogę.

ROZDZIAŁ XLII

1

Wojna zawsze nawiedza kogoś innego. My w Salinas byliśmy przeświadczeni, że Stany Zjednoczone są największym i najpotężniejszym krajem świata. Każdy Amerykanin to urodzony strzelec, a w walce jeden jest wart dziesięciu albo dwudziestu cudzoziemców.

Ekspedycja Pershinga, wysłana do Meksyku przeciwko Villi, rozsadziła na pewien czas jeden z tych naszych mitów. Doprawdy wierzyliśmy, że Meksykanie nie potrafią celnie strzelać, a poza tym są leniwi i głupi. Kiedy nasza Formacja C przywlokła się z powrotem od granicy, żołnierze powiedzieli, że nie ma w tym ani słowa prawdy. Meksykanie umieli strzelać, psiakrew! A kawalerzyści Villi zajędzili i zagonili naszych chłopców. Dwa popołudnia przeszkolenia miesięcznie nie zahartowały ich zbytnio. Wreszcie Meksykanie najwyraźniej przechytrzyli i wciągnęli w zasadzkę "maczugę" Pershinga. Kiedy jeszcze przyłączył się do nich nowy sojusznik, dyzenteria, zrobił się z tego istny dopust boży. Niektórzy nasi chłopcy przez całe lata nie mogli przyjść do siebie.

Jednakże jakoś nie kojarzyliśmy sobie Niemców z Meksykanami. Znow wróciliśmy do naszych mitów. Jeden Amerykanin jest wart dwudziestu Niemców. A skoro tak, wystarczy nam postępować ostro, żeby usadzić kajzera. Nie ośmieli się zakłócić naszego handlu... co jednak zrobił. Nie nadstawi głowy i nie będzie zatapiał naszych statków... a jednak tak uczynił. Było to głupie, ale tak zrobił, wobec czego nie pozostało nic innego, jak tylko z nim walczyć.

Wojna, przynajmniej z początku, była dla innych. My – ja, moja rodzina i przyjaciele mieliśmy niejako miejsce na trybunie i wydawało nam się to ogromnie emocjonujące. I podobnie jak wojna dotyka zawsze kogoś innego, tak i zawsze ktoś inny ginie. Ale, Matko Boska! I to nie okazało się prawdą. Zaczęły wkradać się smutnie w nasze życie straszliwe telegramy i zawsze to był nasz brat. Oto tu siedzieliśmy, z górą sześć tysięcy mil od gniewu i zgiełku, ale to nas nie ratowało.

Wtedy przestało to być zabawne. Piękne dziewczyny mogły sobie paradować w propagandowych pochodach, wystrojone w białe czapki i białe sukienne uniformy. Nasz stryj mógł sobie przepisywać na nowo swoją czwartolipcową mowę i

wykorzystywać ją przy sprzedawaniu bonów wojennych. My z gimnazjum mogliśmy nosić oliwkowe mundury i furażerki i uczyć się chwytów bronią od profesora fizyki, ale – Jezu Chryste! – Marty Hopps zabity, młody Berges z przeciwka, ten przystojny, w którym nasza siostrzyczka kochała się od trzeciego roku życia – rozerwany na strzępy!

A chuderławi, niezdarni, nonszalancy chłopcy z kuferkami w rękach maszerowali beładnie ulicą Główną na dworzec Linii Południowego Pacyfiku. Szli nieporadnie, a przed nimi kroczyła orkiestra miejska, wygrywając *Gwiazdzisty Sztandar*, a idące obok rodziny popłakiwały i ta muzyka brzmiała jak marsz żałobny. Poborowi nie patrzyli na swoje matki. Nie mieli odwagi. Nie myśleliśmy nigdy, że wojna może nam się przydarzyć.

Byli tacy w Salinas, którzy zaczęli po cichu szeptać w pokojach bilardowych i barach. Mieli poufne wiadomości od żołnierzy: nie mówiono nam prawdy. Naszych ludzi wysyłano na front bez armat. Statki z wojskiem były zatapiane, a rząd nic nie chciał powiedzieć. Armia niemiecka przewyższa naszą tak dalece, że nie mamy żadnych szans. Ten kajzer to sprytny gość. Szykuje się do inwazji na Amerykę. A czy Wilson nam to powie? Na pewno nie. I zazwyczaj ci trupi gadacze byli tymi samymi, co przedtem mówili, że jeden Amerykanin jest w boju wart dwudziestu Niemców.

Niewielkie grupki Anglików w swoich dziwacznych mundurach (ale trzeba przyznać, że wyglądali sztywnie) krążyły po kraju, skupując wszystko, co tylko nie było przybite gwoździem, i płacąc za to, płacąc grubo. Sporo tych brytyjskich agentów od zakupów było kalekami, ale mimo to występowali zawsze w mundurach. Między innymi kupowali fasolę, bo fasola daje się łatwo przewozić, nie psuje się, a człowiek może świetnie na niej wyżyć. Fasola doszła do dwunastu i pół centa za funt i ciężko ją było znaleźć. A farmerzy nie mogli sobie darować, że przed sześcioma miesiącami zakontraktowali swoją fasolę za marne dwa centy powyżej ustalonej ceny.

Cały kraj i dolina Salinas odmieniły swoje pieśni. Z początku śpiewaliśmy o tym, jak rozłuczemy na miazgę Helgoland i powiesimy kajzera, i pomaszerujemy tam, i skończymy z bałaganem, którego narobili przekłeci cudzoziemcy. A potem nagle zaczęliśmy śpiewać: "Na czerwonej wojnie stoi sobie spokojnie siostra Czerwonego Krzyża...", i śpiewaliśmy: "Halo, centrala, poproszę niebo, bo mój tatuś tam jest...", i śpiewaliśmy: "Modli się dziecko o zmroku, gdy wszędzie światła gasną... Boże, każ tatusiowi, żeby uważał na siebie..."

Wydaje mi się, że byliśmy jak dziarski, ale niedoświadczony chłopiec, który w pierwszej bójce dostaje pięścią w nos i czuje ból, i pragnęliśmy, żeby to się skończyło.

ROZDZIAŁ XLIII

1

Któregoś dnia pod koniec lata Li wrócił z miasta, niosąc swój wielki koszyk do zakupów. Odkąd zamieszkał w Salinas, stał się amerykańskim konserwatystą pod względem ubrania. Wychodząc z domu niezmiennie nakładał czarny sajetowy garnitur. Nosił białe koszule, wysokie sztywne kołnierzyki i wąskie czarne krawatki, podobne do tych, które niegdyś były niejako odznaką senatorów z Południa. Kapelusze miał czarne, z okrągłym denkiem i prostym rondem, nie wgniatane z wierzchu, jak gdyby nadal zostawiał miejsce na zwinięty warkocz. Zawsze wyglądał nieskazitelnie.

Raz Adam napomknął coś o spokojnej świetności jego stroju, na co Li wyszczerzył zęby.

– Muszę to robić – powiedział. – Człowiek musi być bardzo bogaty, żeby ubierać się tak źle jak pan. Ubodzy są zmuszeni ubierać się dobrze.

– Ubodzy! – wybuchnął Adam. – Jeszcze nam będziesz pożyczał pieniądze, jak przyjdzie co do czego.

– To może się zdarzyć – odparł Li. Tego popołudnia postawił na podłodze swój ciężki koszyk.

– Spróbuję zrobić zupę z dyni – powiedział. – Chińska kuchnia. Mam kuzyna w chińskiej dzielnicy i on mi powiedział, jak to się przyrządza. Pracuje przy wyrobie petard i przy *fan-tanie*.

– Myślałem, że nie masz żadnych krewnych – powiedział Adam.

– Wszyscy Chińczycy są spokrewnieni, a ci, co noszą nazwisko Li, najbliżej. Mój kuzyn nazywa się Suei Dong. Niedawno wycofał się w zacisze ze względu na stan zdrowia i nauczył się gotować. Kładzie się dynię do garnka, i ostrożnie odcina wierzch, wsadza do środka całego kurczaka, grzyby, orzechy, pory i odrobinę imbiru. Potem przykrywa się na powrót tym ściętym wierzchem i przez dwa dni gotuje na bardzo wolnym ogniu. To powinno być smaczne.

Adam siedział rozparty w fotelu, ręce miał zaplecione na karku i uśmiechał się do sufitu.

– Dobrze, Li, dobrze – przytaknął.

– Pan nawet nie słuchał – rzekł Li.

Adam wyprostował się. Powiedział:

– Człowiekowi zdaje się, że zna własne dzieci, a potem nagle widzi, że nic o nich nie wie.

Li uśmiechnął się.

– Czyżby wymknął się panu jakiś szczegół z ich życia? – zapytał.

Adam parsknął śmiechem.

– Dowiedziałem się tylko przypadkiem – odrzekł. – Zauważyłem, że Aron tego lata mało przesiadywał w domu, ale myślałem, że chodzi gdzieś się pobawić.

– Pobawić! – powtórzył Li. – Od lat już się nie bawi.

– No to coś tam innego – ciągnął Adam. – A dzisiaj spotykam pana Kilkenny, wiesz, tego z gimnazjum. Myślał, że jestem o wszystkim powiadomiony. Wiesz, co ten chłopak robi?

– Nie.

– Odrabia całą robotę przyszłoroczną. Chce zdać egzamin do college'u i w ten sposób zyskać rok. A Kilkenny jest pewien, że zda. No i cóż ty na to?

– Niezwykłe – powiedział Li. – A po co on to robi?

– No, żeby zyskać cały rok!

– Na co mu to potrzebne?

– Psiakrew, Li, bo jest ambitny. Nie możesz tego zrozumieć?

– Nie – odparł Li. – I nigdy nie mogłem.

Adam powiedział:

– Nic mi o tym nie mówił. Ciekaw jestem, czy Kal wie.

– Przypuszczam, że Aron chce zrobić niespodziankę. Nie powinniśmy o tym wspominać, dopóki sam nie powie.

– Chyba masz rację. Wiesz co, Li? Jestem z niego dumny. Okropnie dumny. To mi sprawiło wielką przyjemność. Chciałbym, żeby Kal też miał jakieś ambicje.

– Może i ma – rzekł Li. – Może on także ma swoje sekrety.

– Możliwe. Bóg świadkiem, że jego też rzadko widuję ostatnio. Myślisz, że to dobrze dla niego tyle przebywać poza domem?

– Kal próbuje siebie odnaleźć – powiedział Li. – Wydaje mi się, że taka osobista zabawa w chowanego nie jest niczym niezwykłym. A niektórzy muszą "kryć" do końca życia bez żadnej nadziei.

– Tylko pomyśleć – ciągnął Adam. – O cały rok naprzód! Powinniśmy mieć dla niego jakiś prezent, kiedy nam powie.

– Złoty zegarek – zaproponował Li.

– Doskonale – odparł Adam. – Kupię go, każę wygrawerować napis i będę miał przygotowany. Co się powinno napisać?

– Jubiler panu powie – rzekł Li. – Po dwóch dniach wyjmuje się kuraka, oddziela mięso od kości i wkłada je z powrotem.

– Jakiego kuraka?

– No, ta zupa z dyni – odparł Li.

– Czy mamy dość pieniędzy, żeby go posłać do college'u?

– Jeżeli będziemy roztropni, a on nie nabierze kosztownych upodobań.

– Na pewno nie – rzekł Adam.

– Ja też nie myślałem, że ich nabiorę, a jednak tak się stało. – Li spojrzał z admiracją na rękaw swej marynarki.

2

Plebania episkopalnego kościoła Św. Pawła była duża i rozłożysta. Zbudowano ją dla pastorów z licznymi rodzinami. Wielebny Rolf, kawaler i człowiek skromnych wymagań, zamknął większą część domu, ale kiedy dowiedział się, że Aronowi potrzeba miejsca do nauki, oddał mu przestronny pokój i pomagał w studiach.

Rolf lubił Arona. Podobała mu się anielska piękność jego twarzy, gładkie policzki, wąskie biodra i długie, proste nogi. Lubiał siadywać w tym samym pokoju i patrzeć na twarz Arona skupioną od natężenia myśli. Rozumiał, dlaczego Aron nie może uczyć się w domu, gdzie panowała atmosfera nie sprzyjająca usilnemu, jasnemu myśleniu. Wielebny Rolf uważał Arona za swój wytwór, swojego duchowego syna, swój wkład w dzieło Kościoła. Wspierał go w udreć celibatu i czuł, że wyprowadza chłopca na spokojne wody.

Dyskusje ich były długie, poufne i osobiste.

– Wiem, że mnie krytykują – mówił Rolf. – Tak się składa, że wierzę w wyższy Kościół niż niektórzy ludzie. Nikt mnie nie przekona, że spowiedź nie jest równie doniosłym sakramentem jak komunია. Jeszcze wspomnisz moje słowa: ja ją przywrócę, ale ostrożnie, stopniowo.

– Jak ja będę miał swój kościół, także zrobię to samo.

– Rzecz wymaga wielkiego taktu – odparł pastor.

Aron powiedział:

– Szkoda, że nie mamy w naszym Kościele... no... właściwie mogę to powiedzieć. Szkoda, że nie mamy czegoś takiego jak augustianie czy franciszkanie. Jakiegoś miejsca, gdzie by można się zamknąć. Czasami czuję się brudny. Chcę uciec od brudu i oczyścić się.

– Rozumiem cię – odpowiedział poważnie wielebny Rolf. – Ale pod tym względem nie mogę się z tobą zgodzić. Nie wyobrażam sobie, żeby Pan Jezus pragnął widzieć swoich kapłanów odsuniętych od służby ludzkości. Przypomnij sobie, jak wzywał, abyśmy głosili Ewangelię, dopomagali chorym i ubogim, ba, nawet niżali się do brudu, byleby dźwignąć grzeszników z ich bagna. Musimy zawsze mieć przed sobą Jego przykład.

Oczy mu zapłonęły, a głos przybrał gardłowy ton, który stosował przy kazaniach.

– Być może, nie powinienem ci tego mówić. Ufam, że nie dopatrzysz się w moich słowach pychy. Wszelako jest w tym, co ci powiem, niejaka gloria. Od pięciu tygodni przychodzi na wieczorne nabożeństwa pewna niewiasta. Nie sędzę, byś ją mógł widzieć z chóru. Zawsze zasiada w ostatnim rzędzie po lewej... tak, właściwie możesz ją stamtąd zobaczyć. Siedzi tam z boku. Tam, możesz ją dojrzeć. Nosi woalkę i zawsze wychodzi, zanim powrócę po odśpiewaniu hymnu.

– Kto to taki? – zapytał Aron.

– No cóż; kiedyś będziesz musiał dowiedzieć się o tych rzeczach. Zasięgnąłem nader dyskretnie języka i nigdy byś nie odgadł, co to za jedna. Jest... no... właścicielką domu o złej sławie.

– Tutaj, w Salinas?

– Tak, w Salinas. – Wielebny Rolf pochylił się naprzód. – Aronie, widzę twoją odrazę. Winienes to przemoc. Nie przepominaj o Panu naszym i Marii Magdalenie. Bez pychy rzecz mogę, iż byłbym rad, gdyby udało mi się podnieść ją z upadku.

– A czego ona tu chce? – zapytał Aron.

– Może tego, co jej ofiarować możemy: zbawienia. Będzie to wymagało wielkiego taktu. Już widzę, jak to się stanie. I zapamiętaj sobie moje słowa: takie osoby są nieśmiałe. Któregoś dnia ozwie się kołatanie do moich drzwi i ta niewiasta poprosi, by ją wpuszczono. Modlę się, Aronie, bym wówczas był mądry i cierpliwy.

Musisz mi wierzyć: kiedy tak się zdarza, kiedy zbląkana duszyczka przybywa szukając światła, jest to najwznioślejsze i najpiękniejsze przeżycie, jakiego kapłan zaznać może. Po to jesteśmy, Aronie. Po to jesteśmy.

Wielebny Rolf z trudem zapanował nad swym oddechem.

– Błagam Boga, iżbym nie zawiódł – dokończył.

3

Adam Trask myślał o wojnie kategoriami swoich własnych, niejasno zapamiętanych walk z Indianami. Nikt nie miał żadnego wyobrażenia o wielkiej, powszechnej wojnie. Li zaczytywał się w historii Europy, usiłując z włókien przeszłych dziejów wysnuć jakiś zarys przyszłości.

Liza Hamilton umarła z kurczowym uśmiechem na ustach, a jej kości policzkowe wydały się okropnie sterczące, gdy znikła z nich różowość.

Adam wciąż niecierpliwie czekał, by Aron przyszedł do niego z wiadomością o egzaminie. Zegarek z masywnego złota leżał pod chusteczkami do nosa w górnej szufladzie jego komody i Adam stale go nakręcał oraz sprawdzał według swojego własnego.

Li otrzymał odpowiednie instrukcje. Wieczorem tego dnia, kiedy zostanie obwieszony wynik, miał upiec indyka i tort.

– Musimy zrobić z tego uroczystość – oświadczył Adam. – Co byś powiedział na szampana?

– Piękna myśl – odparł Li. – Czy pan kiedy czytał Clausewitza?

– Kto to taki?

– Nie bardzo uspokajająca lektura – rzekł Li. – Jedną butelkę szampana?

– Tak, wystarczy. Bo to, wiesz, tylko na toasty. Żeby temu nadać uroczysty charakter.

Adamowi w ogóle nie przyszło do głowy, że Aron może nie zdać.

Pewnego dnia Aron wrócił i spytał Li:

– Gdzie ojciec?

– Goli się.

– Nie będę dziś na kolacji – oznajmił Aron.

Poszedł do łazienki, stanął za ojcem i powiedział do obicia namydlonej twarzy w lustrze:

– Wielebny Rolf zaprosił mnie dzisiaj do siebie na kolację.

Adam otarł brzytwę o złożony kawałek papieru toaletowego.

– To miło – odrzekł.

– Mogę się wykąpać?

– Za chwilę wyjdę – odparł Adam.

Kiedy Aron przechodząc przez salon powiedział “dobranoc”, i zniknął za drzwiami, Kal i Adam popatrzyli za nim.

– Dobrał się do mojej wody kolońskiej – powiedział Kal. – Jeszcze czuję zapach.

– To musi być nie byle jakie przyjęcie – rzekł Adam.

– Nie dziwię mu się, że chce to uczcić. To była ciężka sprawa.

– Co uczcić?

– Egzamin. Nic ojcu nie mówił? Zdał.

– A, tak... egzamin... – powiedział Adam. – Owszem, mówił mi. Doskonale się spisał. Jestem z niego dumny. Chyba mu kupię złoty zegarek.

Kal rzekł ostro:

– On ojcu nie powiedział.

– A jakże... tak... mówił. Dziś rano.

– Dziś rano jeszcze nie wiedział – rzekł Kal, po czym wstał i wyszedł.

W gęstniejącym zmroku szedł szybkim krokiem przez Aleję Centralną, mijając park, potem dom Smarta, prosto ku miejscu, gdzie kończyły się latarnie, a ulica przechodziła w trakt, który zataczał łuk wokół farmy Tollota.

O dziesiątej Li wychodząc, by wrzucić list, zastał Kala siedzącego na najniższym schodku frontowego ganku.

– Co cię ugryzło? – spytał.

– Poszedłem na spacer.

– A co się stało Aronowi?

– Nie wiem.

– Ma jakby o coś urazę. Przejdiesz się ze mną na pocztę?

– Nie.

– Dlaczego tu siedzisz?

– Zleję go na kwaśne jabłko.

- Nie rób tego.
- Dlaczego?
- Bo chyba nie dasz rady. On by cię rozniósł.
- Pewnie masz rację – rzekł Kal. – A sukinsyn jeden!
- Nie wyrażaj się tak.

Kal roześmiał się.

- Chyba pójde z tobą.
- Czytałeś kiedy Clausewitza?
- Nigdy o takim nie słyszałem.

Kiedy Aron wrócił do domu, na najniższym schodku frontowego ganku oczekiwał go Li.

- Uratowałem cię od bicia – powiedział. – Siadaj.
- Idę się położyć.
- Siadaj! Chcę z tobą porozmawiać. Dlaczego nie powiedziałeś ojcu, żeś zdał egzamin?

- Bobby tego nie zrozumiał.
- Widzę, że masz muchy w dupie.
- Nie lubię takich słów.
- A co ty myślisz, że dlaczego to powiedziałem? Nie bywam wulgarny przypadkowo. Aronie, twój ojciec tym tylko żył.

- A skąd wiedział?
- Powinieneś był sam mu powiedzieć.
- To nie twoja sprawa.
- Proszę cię, żebyś zaraz poszedł i obudził go, jeżeli śpi, chociaż nie przypuszczam, żeby spał. I masz mu powiedzieć.

- Ja tego nie zrobię.

Li spytał zniżonym głosem:

- Aronie, czy musiałeś kiedy bić się z niskim człowiekiem, człowiekiem sięgającym ci do pasa?

- Jak to?
- To jest jedna z najkłopotliwszych rzeczy w świecie. Taki nie chce przestać i w końcu trzeba go uderzyć, co jest jeszcze gorsze. Wtedy dopiero wpadasz na całego.

- O czym ty mówisz?

– Jeżeli nie zrobisz tego, co ci powiedziałem, będę się z tobą bił. Czy to nie komiczne?

Aron próbował go wyminąć. Li zagroził mu drogę wysuwając przed siebie swoje niegroźne, drobne pięści, w pozycji tak nedorzecznej, że sam zaczął się śmiać.

– Nie wiem, jak to się robi, ale spróbuję – powiedział.

Aron cofnął się przed nim w zdenerwowaniu. Kiedy wreszcie usiadł na schodkach, Li odetchnął głęboko.

– Bogu dzięki, że już nie trzeba – rzekł. – To byłoby straszne. Słuchaj, Aronie, nie możesz mi powiedzieć, co się z tobą dzieje? Dawniej mi wszystko mówiłeś.

Nagle Aron załamał się.

– Chcę stąd wyjechać! To jest parszywe miasto.

– Wcale nie. Takie samo jak każde inne.

– Ja tu się czuję obcy. Żałuję, żeśmy w ogóle tu przyjechali. Nie wiem, co mi jest. Chcę stąd uciekać. – Głos jego przeszedł w jęk.

Li objął chłopca za szerokie ramiona, ażeby go pocieszyć.

– Dorastasz. Może w tym tkwi przyczyna – powiedział cicho. – Czasem myślę, że świat wtedy właśnie doświadcza nas najciężej, a my cofamy się w siebie i przypatrujemy samym sobie ze zgrozą. Ale to nie jest najgorsze. Myślimy, że każdy w nas zagłada. Brud jest wtedy bardzo brudny, a czystość olśniewająco biała. To minie, Aronie. Tylko trochę zaczekaj, a zobaczysz, że minie. Może nie uważasz tego za wielką ulgę, bo mi nie wierzysz, ale nie mogę zrobić dla ciebie nic więcej. Postaraj się uwierzyć, że żadna rzecz nie jest ani tak dobra, ani tak zła, jak ci się w tej chwili wydaje. Owszem, ja mogę ci dopomóc. Idź teraz do łóżka, a jutro wstań wcześniej i powiedz ojcu o egzaminie. Zrób to jak najserdeczniej. Ojciec jest bardziej samotny niż ty, bo nie ma przed sobą pięknej przyszłości, o której mógłby marzyć. Graj swoją rolę. To są słowa Sama Hamiltona. Udawaj, że to prawda, a może stanie się prawdą. Ja muszę upiec tort... na śniadanie. Aha, Aronie... Ojciec zostawił ci prezent na poduszce.

ROZDZIAŁ XLIV

1

Dopiero kiedy Aron wyjechał do college'u, Abra naprawdę poznała jego rodzinę. Aron i Abra odgradzili się sobą od innych. Nie mając Arona Abra Ignęła do obu pozostałych Trasków. Stwierdziła, że bardziej ufa Adamowi i bardziej kocha Li niż własnego ojca.

Co do Kala, nie mogła się zdecydować. Czasem budził w niej gniew, czasem żal, a czasem ciekawość. Zdawał się być w nieustającym z nią konflikcie. Nie wiedziała, czy ją lubi, czy nie, wobec czego sama go nie lubiła. Gdy zachodziła do domu Trasków, odczuwała ulgę, jeżeli nie było Kala, który by na nią ukradkiem popatrywał, osądzał ją, oceniał, obserwował i szybko odwracał wzrok, kiedy go na tym przyłapała.

Abra stała się smukłą, silną kobietą o pięknie rozwiniętych piersiach, dojrzałą i gotową na przyjęcie swojego sakramentu – ale oczekującą go nadal. Przywykła zachodzić po szkole do domu Trasków, przesiadywać z Li, odczytywać mu fragmenty codziennych listów Arona.

Aron czuł się osamotniony w Stanfordzie. Listy, które pisywał, były przesiąknięte smętną tęsknotą za swoją dziewczyną. Gdy przebywali razem, zachowywali się powściągliwie, ale z odległego o dziewięćdziesiąt mil uniwersytetu Aron począł wyznawać jej namiętą miłość, odgradziwszy się całkowicie od swego otoczenia. Studiował, jadł, spał i pisywał do Abry – i to było całe jego życie.

Po południu Abra siadywała z Li w kuchni i pomagała mu obierać włókna z fasoli albo łuskać groch. Niekiedy robiła słodki krem, a bardzo często zostawała na kolacji zamiast wracać do domu rodziców. Nie było tematu, którego nie mogłaby poruszyć z Li. Te nieliczne sprawy, o których potrafiła mówić z ojcem i matką, były mizerne, blade, wymęczone, a w większości wypadków nawet nieprawdziwe. Na tym polegała jeszcze jedna różnica, jeżeli idzie o Li: jemu Abra chciała mówić tylko prawdę, nawet wtedy, gdy nie była całkiem pewna, co nią jest.

Li siedział, uśmiechając się z lekka, a jego drobne, delikatne ręce migały przy robocie, jak gdyby miały własne, niezależne życie. Abra nie była świadoma, że mówi wyłącznie o sobie. I zdarzyło się, że gdy tak paplała, myśli Li gdzieś wędrowały,

wracały i odchodziły znowu niby wałęsające się psy, a Li od czasu do czasu kiwał głową i pomrukiwał z cicha.

Lubił Abreę, wyczuwał w niej siłę i dobroć, a także ciepło. Rysy jej twarzy odznaczały się tą śmiałą tężyzną, która może rozwinąć się w brzydotę lub większą jeszcze piękność. Li, słuchając w zadumie jej słów, rozmyślał o krągłych, gładkich twarzach swoich rodaków, kantończyków. Nawet chudzi mieli twarze jak księżyc w pełni. Li powinien był lubić najbardziej ten typ urody, jako że piękno musi zawsze po trosze przypominać nas samych – ale tak nie było. Kiedy myślał o chińskiej urodzie, pojawiały mu się w pamięci żelazne, drapieżne twarze Mandżurów, zuchwałe i nieugięte twarze plemienia, które dzierżyło władzę dzięki nie podawanemu w wątpliwość dziedzictwu.

Abra mówiła:

– Może to tak było przez cały czas. Nie wiem. Nigdy wiele nie mówił o ojcu. Zaczęło się po tym, jak pan Trask miał tamto... no, wiesz... z tą sałatą. Aron wpadł wtedy w złość.

– Dlaczego? – spytał Li.

– Bo ludzie się z niego śmiali.

Wszystkie myśli Li zawróciły nagle z drogi.

– Śmiali się z Arona? A niby to czemu? Przecież nie miał z tym nic wspólnego.

– Ano, tak przynajmniej uważał. Chcesz wiedzieć, co ja myślę?

– Oczywiście – rzekł Li.

– Zastanawiałam się nad tym i jeszcze nie skończyłam się zastanawiać. Przyszło mi do głowy, że on zawsze czuł się... bo ja wiem, jakby kaleki... czy może niepełny, bo nie miał matki.

Oczy Li rozwarły się szeroko, a potem przymknęły znowu. Kiwnął głową.

– Rozumiem. Myślisz, że Kal też tak czuje?

– Nie.

– No to dlaczego Aron?

– A, tego jeszcze nie rozgryzłam. Może niektórzy bardziej potrzebują pewnych rzeczy niż inni albo nienawidzą silniej. Mój ojciec nie cierpi rzepy. I zawsze nie cierpiał. Nie wiadomo, skąd to się wzięło. Rzepa wprawia go w pasję, w prawdziwą pasję. Otóż kiedyś mama się... no, zezłościła i zrobiła cały rondel siekanej rzepy z kupą pieprzu i sera i z wierzchu to przyrumieniła. Ojciec zjadł pół porcji, zanim spytał, co to

jest. Mama powiedziała, że to rzepa, a on cisnął talerz na podłogę, wstał i wyszedł. Chyba jej nigdy tego nie darował.

Li zachichotał.

– Może jej darować, bo przyznała się, że to rzepa. Ale przypuśćmy, żeby zapytał, matka powiedziałaby, że to coś innego, a jemu by to zasmakowało i zjadłby następną porcję. I potem się dowiedział. Przecież mógłby ją zamordować.

– No, pewnie. W każdym razie mam wrażenie, że Aronowi matka była bardziej potrzebna niż Kałowi. I wydaje mi się, że zawsze winił ojca.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Tak mi się zdaje.

– Robisz postępy, co?

– Czy nie powinnam?

– Jasne, że tak.

– Może ubić kremu?

– Dziś nie. Jeszcze trochę zostało.

– To co mogę zrobić?

– Możesz obtoczyć mąką wołowinę. Zjesz z nami obiad?

– Nie, dziękuję. Idę dziś na urodzinowe przyjęcie. Myślisz, że on zostanie pastorem?

– Skądże ja mogę wiedzieć? – odparł Li. – Może to tylko taki kaprys.

– Mam nadzieję, że tego nie robi – powiedziała Abra i ugryzła się w język, zdumiona, że jej się to wyrwało.

Li wstał, wyciągnął stolnicę, położył na niej czerwone mięso, a obok postawił puszkę do obsypywania mąką.

– Rób to odwrotną stroną noża – powiedział.

– Wiem.

Miała nadzieję, że nie usłyszał. Jednakże Li zapytał:

– Dlaczego nie chcesz, żeby został pastorem?

– Nie powinnam tego mówić.

– Powinnaś mówić wszystko, na co masz ochotę. Nie musisz się tłumaczyć.

Wrócił na krzesło, a Abra posypała mąką kotlet i zaczęła tłuc mięso dużym nożem. Łup – łup.

– Nie powinnam mówić takich rzeczy.

Łup – łup. Li odwrócił się, żeby jej nie peszyć.

– On jest taki jednokierunkowy – podjęła Abra, wciąż stukając nożem. – Jak już Kościół, to musi być Wysoki Kościół. Mówił, że duchowni nie powinni się żenić.

– Tego nie widać po jego ostatnim liście – zauważył Li.

– Wiem. To było przedtem. – Nóż przestał stukać. Na twarzy Abry odmalowała się młodzieńcza troska i ból. – Li, ja nie jestem odpowiednia dla niego.

– A cóż to znowu?

– Wcale nie żartuję. On nie o mnie myśli. Stworzył sobie kogoś i jakby naciągnął mu moją skórę. Ja nie jestem taka... taka jak tamta sztuczna.

– Jakaż ona jest?

– Czysta! – zawołała Abra. – Po prostu absolutnie czysta. Nic, tylko sama czystość; ani jednej złej rzeczy. Ja taka nie jestem.

– Nikt taki nie jest – rzekł Li.

– On mnie nie zna. Nawet nie chce poznać. Chce tego... białego ducha.

Li pokruszył kawałek suchara.

– Nie lubisz go? Jesteś jeszcze bardzo młoda, ale nie uważam, żeby to miało jakieś znaczenie.

– Pewnie, że lubię. Mam zostać jego żoną. Ale chcę, żeby i on mnie lubił. A jakże to możliwe, jeżeli nic o mnie nie wie? Dawniej myślałam, że mnie zna. Teraz nie jestem pewna, czy tak kiedykolwiek było.

– Może przechodzi jakiś ciężki okres, który wcale nie musi być trwały. Ty jesteś bystra, ogromnie bystra. Czy byłoby ci bardzo trudno spróbować upodobnić się do tamtej... tej, co jest w twojej skórze?

– Zawsze się boję, że zobaczy we mnie coś, czego nie ma w tej, którą sobie stworzył. Rozzłoszczę się albo będę mu brzydko pachniała... albo jeszcze co innego. Czegoś się dopatrzy.

– Może nie – powiedział Li. – Ale to chyba ciężka sprawa być jednocześnie Liliową Królową, Boginią-Dziewicą i jeszcze tamtą na dodatek. Ludzkie istoty czasami pachną brzydko.

Podeszła do stołu.

– Li, chciałabym...

– Nie rozsypuj mi mąki na podłogę – powiedział. – Czego byś chciała?

– Tak sobie myślałam... Wydaje mi się, że Aron nie mając matki... no, wyobraził ją sobie jako coś, co tylko może być najlepszego.

– Możliwe. A potem to wszystko przelał na ciebie, tak?

Patrzała na niego, a jej palce wędrowały delikatnie tam i z powrotem po ostrzu noża.

– I chciałabyś znaleźć taki sposób, żeby to z siebie zrzucić?

– Tak.

– A co będzie, jeżeli wtedy przestaniesz mu się podobać?

– Już wolę takie ryzyko – odparła. – Wolę być sobą.

Li powiedział:

– Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś był tak wplątywany w cudze sprawy jak ja. A jestem człowiekiem, który nie ma na nic ostatecznej odpowiedzi. Obtoczysz wreszcie to mięso czy też sam mam to zrobić?

Zabrała się na powrót do roboty.

– Myślisz, że to zabawne być taką poważną, kiedy nawet się jeszcze nie skończyło gimnazjum? – zapytała.

– Nie widzę sposobu, żeby było inaczej – odparł Li.

– Śmiech przychodzi później, tak jak zęby mądrości, a śmiech z samego siebie – na końcu, w szaleńczym wyścigu ze śmiercią. I bywa, że nie zdąży na czas.

Stukot noża stał się szybszy, a jego rytm nierówny i nerwowy. Li przesuwiał na stole pięć suszonych ziarenek bobu, układając je w różne wzory – w linię, w trójkąt, w koło.

Stukot ustał.

– Czy pani Trask żyje?

Wskazujący palec Li na chwilę zawisł nad ziarnkiem bobu, po czym z wolna opadł i popchnął je tak, że O przemieniło się w Q. Li wiedział, że Abra na niego patrzy. Wyobrażał sobie nawet wyraz przestachu na jej twarzy po zadaniu tego pytania. Myśl jego targała się jak szczur uwikłany w sidło. Westchnął i dał za wygraną. Obrócił się powoli, spojrzał na Abre i przekonał się, że jego domysł był słuszny. Powiedział bezbarwnym głosem:

– Tyle z sobą rozmawialiśmy, a nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek mówili o mnie. – Uśmiechnął się wstydliwie.

– Abro, pozwól, żebym ci opowiedział o sobie. Jestem służącym. Jestem stary. Jestem Chińczykiem. Te trzy rzeczy wiesz. Jestem już zmęczony i jestem tchórzliwy.

– Wcale nie... – zaczęła.

– Bądź cicho – przerwał jej. – Jestem bardzo tchórzliwy. Nie lubię kłaść palca między niczyje drzwi.

– Co to znaczy?

– Abro, czy twój ojciec nie cierpi jeszcze czegoś poza rzepą?

Na jej twarzy odmalował się upór.

– Ja ci zadałam jedno pytanie.

– Nie słyszałem żadnego pytania – powiedział łagodnie, a w jego głosie zabrzmiała stanowczość. – O nic mnie nie pytałaś, Abro.

– Pewnie uważasz, że jestem jeszcze za młoda... – zaczęła Abra.

Li przerwał jej:

– Kiedyś pracowałem u jednej trzydziestopięcioletniej kobiety, która z powodzeniem stawiała opór wszelkiemu doświadczeniu, wiedzy i pięknu. Gdyby miała lat sześć, byłaby utrapieniem rodziców. Ale w wieku trzydziestu pięciu lat wolno jej było rozporządzać pieniędzmi i życiem ludzi z jej otoczenia. Nie, Abro, wiek nie ma tu nic do rzeczy. Gdybym miał cokolwiek do powiedzenia, powiedziałbym ci to.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

– Podobno jestem bystra – powiedziała. – Czy mam być bystra?

– Boże drogi, nie! – zaprotestował Li.

– Więc nie chcesz, żebym spróbowała się domyślić?

– Wszystko mi jedno, co zrobisz, bylebym ja nie był w to wmieszany. Zdaje mi się, że bez względu na to, jak słaby i negatywny może być dobry człowiek, nosi on na sobie tyle grzechów, ile tylko zdoła udźwignąć. Ja mam dość grzechów na głowie. Może i nie są zbyt wyszukane w porównaniu do innych, ale wystarczające jak dla mnie. Proszę cię, wybacz mi.

Abra wyciągnęła rękę nad stołem i dotknęła jego dłoni umęczonymi palcami. Żółta skóra na niej była napięta i lśniąca. Li spojrzał na białe, pyłne smugi, pozostawione przez jej palce. Abra powiedziała:

– Mój ojciec chciał mieć syna. Zdaje się, że nie cierpi rzepy i dziewczynek. Wszystkim opowiada, jak mi nadał to moje zwariowane imię. “I Abra przyszła, chociaż nie jej chciałem”.

Li uśmiechnął się do niej.

– Ty jesteś taka miła – powiedział. – Kupię jutro rzepy, jeżeli przyjdiesz na kolację.

Abra spytała cicho:

– Czy ona żyje?

– Tak – odrzekł Li.

Frontowe drzwi trzasnęły i do kuchni wszedł Kal.

– Jak się masz, Abro. Li, ojciec w domu?

– Nie, jeszcze nie. Coś taki rozpromieniony?

Kal podał mu czek.

– Masz. To dla ciebie.

Li spojrział na papier.

– Ja nie chciałem procentu – powiedział.

– Tak będzie lepiej. Może jeszcze pożyczę z powrotem te pieniądze.

– Nie powiesz mi, skąd to wzięłeś?

– Nie. Na razie nie. Miałem byczy pomysł... – Jego oczy przeskoczyły na Abreę.

– Muszę już iść do domu – powiedziała.

Kal rzekł:

– Właściwie można ją dopuścić do sekretu. Postanowiłem to zrobić w święto Dziękczynienia, a Abra pewnie wtedy u nas będzie i Aron też przyjedzie.

– Co postanowiłeś zrobić? – zapytała.

– Mam prezent dla ojca.

– Jaki? – spytała Abra.

– Nie powiem. Dowiesz się wtedy.

– A Li wie?

– Tak, ale nie powie.

– Chyba jeszcze cię nie widziałam tak... wesołego – rzekła Abra. – W ogóle nigdy nie widziałam cię wesołego. – Odkryła nagle w sobie jakieś ciepło dla Kala.

Kiedy Abra wyszła, Kal usiadł na krześle.

– Nie wiem, czy mu to dać przed świąteczną kolacją, czy po – rzekł.

– Po kolacji – odparł Li. – Naprawdę masz pieniądze?

– Piętnaście tysięcy dolarów.

– Uczciwie?

– To znaczy, czy nie ukradłem?

– Tak.

– Uczciwie – odpowiedział Kal. – Pamiętasz, jak szykowaliśmy szampana dla Arona? Teraz też napijemy się szampana. I... bo ja wiem, może udekorujemy jadalnię. Abra pewnie by nam pomogła.

– Czy ty naprawdę myślisz, że ojciec chce pieniędzy?

– A dlaczego by miał nie chcieć?

- Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekł Li. – Jak ci idzie w szkole?
- Nie bardzo. Podgonię po święcie – odparł Kal.

2

Następnego dnia, po szkole, Abra przyspieszyła kroku i dopędziła Kala.

- Jak się masz, Abro – powiedział. – Robisz doskonały krem.
 - Ten ostatni był za suchy. Powinien być zawiesisty.
 - Li po prostu za tobą przepada. Coś ty mu zadała?
 - Lubię go – odrzekła, a potem: – Chcę cię o coś zapytać, Kal.
 - Słucham.
 - Co się stało Aronowi?
 - A bo co?
 - Wciąż tylko myśli o sobie.
 - Nie uważam, żeby to było coś bardzo nowego. Pokłóciliście się?
 - Nie. Jak go wtedy napadło, żeby iść na pastora i nie żenić się, próbowałam się z nim pokłócić, ale nie chciał.
 - Nie żenić się z tobą? Tego nie mogę sobie wyobrazić.
 - Kal, on mi teraz przysyła miłosne listy... tylko że one nie są do mnie.
 - A do kogo?
 - Tak jakby... do niego samego.
- Kal powiedział:
- Wiem, co było pod wierzbą.
- Nie wydała się zaskoczona.
- Tak? – zapytała.
 - Jesteś zła na Arona?
 - Nie, zła nie. Po prostu nie mogę go odnaleźć. Nie znam go.
 - Zaczekaj trochę – odparł Kal. – Może on teraz coś przechodzi.
 - Ciekawa jestem, czy dam sobie radę. Myślisz, że mogłam się mylić przez cały czas?
 - Skąd mogę wiedzieć?
 - Kal – powiedziała. – Czy to prawda, że ty chodzisz po nocy, a nawet... do... takich złych domów?

- Tak – odparł. – Prawda. Aron ci powiedział?
 - Nie, nie Aron. A dlaczego to robisz?
- Szedł obok niej nie odpowiadając.
- Powiedz mi – poprosiła.
 - Co cię to obchodzi?
 - Czy dlatego, że jesteś niedobry?
 - Jak ci się wydaje?
 - Ja też nie jestem dobra – rzekła.
 - Zwariowałaś – powiedział Kal. – Aron ci to wybije z głowy.
 - Tak myślisz?
 - No pewnie – odparł Kal. – Przecież musi.

ROZDZIAŁ XLV

1

Joe Valery przyjął w życiu za zasadę obserwować, słuchać i, jak sam powiadał, nie wychylać się. Swoje nienawiści budował po trochu – poczynając od matki, która go zanieczyściła, i ojca, który go na przemian chłostał i obślinał. Łatwo mu było przenieść ową rosnącą nienawiść na nauczyciela utrzymującego go w ryzach, na policjanta, który mu deptał po piętach, i na pastora, który udzielał mu nauk. Jeszcze zanim zwrócił na niego uwagę pierwszy przedstawiciel władzy, Joe uzbierał już sobie piękną kolekcję nienawiści do całego znanego mu świata.

Nienawiść nie może żyć sama. Musi mieć miłość jako cyngiel, bodziec czy podniecie. Joe wcześniej wyrobił w sobie tkliwą, opiekuńczą miłość do Joe'ego. Pocieszał go, pieścił i hołubił. Wznosił mury, które miały go chronić przed wrogim światem. I stopniowo zabezpieczył się od zła. Jeżeli spotykało go coś przykrego, to dlatego że ludzie w swojej złości sprzysięgali się przeciwko niemu. Jeśli zaś Joe atakował ludzi, była to zemsta, na którą setnie sobie zasłużyli – dranie jedne. Joe otaczał najtroskliwszą pieczę to swoje ukochanie i wypracował sobie ponury zespół prawideł, które mogłyby brzmieć jak następuje:

1. Nie wierz nikomu. Dranie na ciebie dybią.
2. Trzymaj język za zębami. Nie wychylaj się.
3. Miej uszy otwarte. Jak ktoś się pośliźnie, łap się za to i czekaj.
4. Wszyscy są łajdakami i cokolwiek im zrobisz, to im się należy.
5. Do każdej rzeczy podchodź okrężną drogą.
6. Nigdy w niczym nie ufaj żadnej babie.
7. Wiarę pokładaj w forsie. Każdy jej chce. Każdego można za nią kupić.

Miał jeszcze różne prawidła, ale to już były subtelności. Jego system zdał egzamin, a ponieważ Joe nie znał innego, nie miał więc podstawy do porównań z innymi systemami. Wiedział, że trzeba mieć spryt, i uważał siebie za sprytnego. Jeżeli coś mu się poszczęściło, zawdzięczał to sprytowi; jeśli się nie udało, był to pech. Joe'emu nie powodziło się zbyt dobrze, ale jakoś dawał sobie radę przy minimum

wysiłku. Kate trzymała go u siebie, ponieważ wiedziała, że Joe zrobi wszystko, jeżeli mu się za to zapłaci albo jeżeli będzie się bał tego nie zrobić. Nie miała co do niego żadnych złudzeń. W jej zawodzie tacy Joe'owie byli potrzebni.

Kiedy zaczął pracować u Kate, od razu popróbowwał odnaleźć w niej te słabostki, na których żerował: próżność, rozwiązłość, niepokój albo wyrzuty sumienia, chciwość, histerię. Wiedział, że Kate musi je mieć, ponieważ jest kobietą. Niemalym wstrząsem było dla niego odkrycie, że jeśli Kate je miała, nie mógł ich w żadnym razie wyłuskać. Ta baba rozumowała i postępowała jak mężczyzna – tyle że jeszcze twardziej, szybciej i sprytniej. Joe popełnił kilka błędów i Kate zaraz ubabrała w nich jego nos. Zrodził się w nim podziw dla niej, oparty na strachu.

Kiedy przekonał się, że pewne rzeczy nie ujdą mu płazem, zaczął wierzyć, że nic mu płazem nie ujdzie. Kate uczyniła z niego niewolnika, podobnie jak zawsze czyniła niewolnice ze swoich dziewczyn. Żywiła go, ubierała, dawała mu rozkazy i wymierzała kary.

Z chwilą gdy Joe raz uznał ją za sprytniejszą od siebie, pozostał mu już tylko mały krok do uwierzenia, że jest sprytniejsza od wszystkich w ogóle. Uważał, że posiada dwa wielkie dary: jest sprytna i ma szczęście – a przecież więcej nie można pragnąć. Chętnie wykonywał dla niej brudną robotę – i bał się odmówić. “Kate się nie myli” – powtarzał sobie. A jeżeli szło się z nią ręką w rękę, dawała człowiekowi opiekę. Przestało to u niego być rozumowaniem i przemieniło się w nawyk. Kiedy swoimi zeznaniami sprawił, że wydaloną Etel z okręgu, mieściło się to w jego codziennych obowiązkach. Było sprawą Kate, a Kate była sprytna.

2

Kate źle sypiała, kiedy bóle artretyczne były ostrzejsze. Nieledwie czuła, jak jej grubieją i gruzowacieją stawy. Czasami usiłowała myśleć o czymś innym, nawet o rzeczach nieprzyjemnych, byleby zapomnieć o bólu i powykęcanych palcach. Niekiedy próbowała przypomnieć sobie wszystkie szczegóły jakiegoś pokoju, którego nie widziała od dawna. Czasami patrzyła w sufit, wyobrażała sobie kolumny cyfr i dodawała je. To znów uciekała się do wspomnień. Odtwarzała sobie w myśli rysy pana Edwardsa, jego ubranie, słowo wytłoczone na metalowej sprzączce jego szelek. Nigdy nie zwróciła na niego uwagi, ale wiedziała, że była to marka “Excelsior”.

Często w nocy myślała o Faye, przypominała sobie jej oczy i włosy, dźwięk głosu i roztrzepotane dłonie, i małe zgrubienie przy paznokciu dużego palca lewej ręki, ślad po jakimś dawnym skaleczeniu. Kate analizowała swoje uczucia dla Faye. Czy ją nienawidziła, czy kochała? Czy jej współczuła? Czy żałuje, że ją zabiła? Pełzała po własnych myślach jak gąsienica.

Doszła do wniosku, że Faye była jej obojętna. Ani ją lubiła, ani nie lubiła jej czy też wspomnień o niej. Podczas agonii Faye przyszła chwila, kiedy jęki i zapach konającej wzbudziły w Kate taką złość, że już się namyślała, czy jej szybko nie dobić, aby z tym skończyć.

Kate przypomniała sobie Faye tak, jak ją widziała po raz ostatni, leżącą w fioletowej trumnie, ubraną na biało, ze zmajstrowanym przez przedsiębiorcę pogrzebowego uśmiechem na ustach, grubo upudrowaną i uróżowioną, ażeby nie było widać ziemistej barwy jej skóry.

Czyjś głos odezwał się wtedy za plecami Kate: "Nie wyglądała tak dobrze od lat". A drugi odpowiedział: "Może i mnie by się coś takiego przydało" – po czym rozległ się podwójny chichot. Pierwszy głos należał bodaj do Etel, a drugi do Trixie. Kate przypomniała sobie swoją na wpół żartobliwą reakcję. "Ano – pomyślała wtedy – martwa kurwa wygląda tak samo jak każdy".

Tak, ten pierwszy głos to musiała być Etel. Etel zawsze pojawiała się w owych nocnych rozmyślaniach i zawsze przynosiła z sobą dręczący strach – ta durna, niewydarzona, wścibska dziwka, to parszywe, stare pudło. I często zdarzało się wtedy, że Kate pytała siebie w duchu: "Zaraz, chwileczkę. Dlaczego ona jest takim parszywym, starym pudłem? Czy nie dlatego, że popełniłaś błąd? Po co kazałaś ją wysiudać? Gdybyś trochę ruszyła głową i zatrzymała ją tutaj..."

Kate zastanawiała się, gdzie teraz jest Etel. A może by zwrócić się do jakiejś agencji, żeby ją odszukali, a przynajmniej dowiedzieli się, dokąd pojechała? Tak, ale wtedy Etel opowie o tamtej nocy i pokaże szkło. I dwa nosy będą węszyć zamiast jednego. Dobrze, ale co to za różnica? Za każdym razem jak Etel wleje w siebie trochę piwa, na pewno komuś opowiada. Zgoda, ale wtedy ludzie myślą, że to po prostu zalany, stary kurwiszon. Natomiast taki gość z agencji... nie, żadnych agencji.

Kate spędzała z Etel wiele godzin. Czy sędzia w ogóle domyślał się, że to była zmowa – aż nadto prymitywna? Nie powinno było tam być równych stu dolarów, to jasne. A co szeryf? Joe mówił, że ją wyrzucili przez granicę do okręgu Santa Cruz. Co też mogła naopowiadać zastępcy szeryfa, który ją konwojował? Etel to stary leń. Może

od razu została w Watsonville? Najpierw jest Pajaro, potem odcinek toru kolejowego, dalej rzeka Pajaro i most prowadzący do Watsonville. Kupa robotników kolejowych wałęsa się tam i z powrotem – Meksykańczycy, paru Hindusów. Etel, ta tępa głowa, może sobie ubrdała, że coś od nich zarobi. Czy to nie byłoby śmieszne, gdyby w ogóle nie ruszyła się z Watsonville, o trzydzieści mil stąd? Mogła nawet przekradać się przez granicę okręgu i odwiedzać przyjaciół, jeżeli jej przyszła ochota. Może czasem zachodzi do Salinas. Kto wie, czy jej tu nie ma w tej chwili? Gliny na pewno zanadto się za nią nie rozglądają. Może warto by posłać Joe'ego do Watsonville, żeby sprawdził, czy jej tam nie ma? Mogła też pojechać do Santa Cruz. Niechby Joe i tam zajrzał. Nie zabrałoby mu to wiele czasu. Joe potrafi w parę godzin znaleźć każdą dziwkę w każdym mieście. Gdyby ją odszukał, można by ją jakoś ściągnąć z powrotem. Etel jest głupia. Ale może byłoby lepiej, gdyby wtedy Kate do niej pojechała. Trzeba by zamknąć dom. Zostawić na drzwiach napis: "Uprasza się nie przeszkadzać". Pojechać do Watsonville, załatwić sprawę i wrócić. Żadnych taksówek. Autobusem. W nocnym autobusie nikt nie zwraca na nikogo uwagi. Ludzie śpią ściągnawszy buty, ze zwiniętymi paltami pod głową. Nagle uświadomiła sobie, że bałaby się jechać do Watsonville. Ano, mogłaby się przymusić. W ten sposób skończyłyby się te wszystkie domysły. Dziwne, że jej wcześniej nie przyszło do głowy, aby posłać Joe'ego. To przecież najlepsze wyjście. Joe jest zręczny do niektórych rzeczy i dlatego głupi drań myśli, że jest sprytny. Z takimi najłatwiej dać sobie radę. Etel jest tępa. Przez to tak z nią trudno.

W miarę jak ręce i umysł Kate wykrzywiały się coraz bardziej, zaczęła tym częściej zdawać się na Joe'ego Valery jako na swego głównego zastępcę, pośrednika i oprawcę. W gruncie rzeczy lękała się swoich dziewczyn – nie dlatego żeby były mniej godne zaufania niż Joe, ale z tej przyczyny, że ich histeria, czająca się tuż pod powierzchnią, mogła w każdej chwili przebić się przez roztropność, unicestwić ich instynkt samozachowawczy i wstrząsnąć nie tylko nimi samymi, ale i otoczeniem. Kate zawsze dotąd umiała sobie radzić z tym stale obecnym niebezpieczeństwem, ale teraz powoli osadzające się wapno oraz stopniowo rosnący niepokój sprawiały, że potrzebowała pomocy i szukała jej u Joe'ego. Wiedziała, że mężczyźni mają nieco silniejszą ochronę przed samounicestwieniem niż ten rodzaj kobiet, który знаła.

Uważała, że może ufać Joe'emu, ponieważ w swoich aktach miała notatkę dotyczącą niejakiego Józefa Venuty, który zbiegł z przymusowych robót w San Quentin w czwartym roku odsiadania pięcioletniej kary za rabunek. Kate nigdy nie

wspominała o tym Joe'emu, ale myślała, że może to na niego wywrzeć kojący wpływ, gdyby wymykał jej się z ręki.

Joe co rano przynosił jej tacę ze śniadaniem – zieloną chińską herbatę, śmietankę i grzanki. Postawiwszy to na stoliku przy łóżku składał sprawozdanie i otrzymywał dyspozycje na dany dzień. Czuł, że Kate jest coraz bardziej od niego zależna. I Joe powoli i spokojnie badał możliwości całkowitego przejęcia rządów. Gdyby Kate się porządnie rozchorowała, mogłaby być jakaś szansa. Jednakże w głębi duszy Joe bał się Kate.

– Dzień dobry – powiedział.

– Nie będę siadała do śniadania, Joe. Daj mi tylko herbatę. Będziesz mi musiał przytrzymać filiżankę.

– Niedobrze z rączkami?

– Tak. Ale po ataku zawsze robi się lepiej.

– Coś mi wygląda, że kiepsko się pani spało.

– Nie – odrzekła Kate. – Spało mi się dobrze. Dostałam nowe lekarstwo.

Joe trzymał filiżankę przy jej ustach, a Kate popijała herbatę małymi łykami, dmuchając, by ją ostudzić.

– Dosyc – powiedziała opróżniwszy filiżankę ledwie do połowy. Jak była dzisiejsza noc?

– Wczoraj jużem chciał przyjść pani powiedzieć – odparł Joe. – Przyjechał jeden z King City. Akurat sprzedał zbiory. Cały dom wykupił. Zostawił siedem setek, nie licząc tego, co odpalił dziewczynom.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Ale mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś zjawi.

– Powinieneś zawsze dowiedzieć się o nazwisko. Już ci to mówiłam.

– To jakiś cwaniak.

– Tym bardziej trzeba znać jego nazwisko. Żadna go tam nie obrobiła?

– Nie wiem.

– To się dowiedz.

Joe wyczuł w niej jakąś łaskawość i to go dobrze usposobiło.

– Dowiem się – zapewnił. – Zrobiłem już początek.

Oczy Kate przesunęły się po nim badawczo, dociekliwie, i Joe poczuł, że coś się szykuje.

– Podoba ci się tutaj? – spytała cicho.

– No! Dobrze mi tu jest.

– Mógłbyś mieć jeszcze lepiej... albo gorzej – powiedziała.

– Mnie się tu bardzo podoba – odrzekł niepewnie, szukając w myśli, co przeskrobał. – Fajnie mi jest u pani.

Zwilżyła wargi ostrym jak grot językiem.

– My dwoje możemy z sobą popracować – rzekła.

– Co tylko pani chce – odparł przymilnie, czując, jak wzbiera w nim miła nadzieja. Czekał cierpliwie. Kate długo zwlekała. Wreszcie powiedziała:

– Joe, ja nie lubię, jak mi coś ukradną.

– Przecież nic nie wziąłem.

– Wcale nie mówię, że ty.

– A kto?

– Zaraz do tego dojdę. Pamiętasz tę starą złodziejkę, którąśmy musieli stąd wysiudać?

– Tę Etel jak – jej – tam?

– Właśnie. Tę samą. Ona coś mi ściągnęła. Wtedy nie zauważyłam.

– A co?

Chłód zakradł jej się do głosu.

– Nie twoja rzecz, Joe. Posłuchaj! Jesteś sprytny chłop. Gdzie byś jej szukał?

Umysł Joe'ego pracował szybko, nie dzięki bystrości, ale doświadczeniu i instynktowi.

– Dość była wypluta. Daleko by nie uszła. Takie stare dziwczysko daleko nie idzie.

– Masz olej w głowie. Myślisz, że może być w Watsonville?

– Tam albo w Santa Cruz. W każdym razie założę się, że nie dalej niż w San Jose.

Kate troskliwie pogładziła swoje palce.

– Chciałbyś zarobić pięć setek, Joe?

– Znaczący, żebym ją znalazł?

– Tak. Tylko znalazł. A jak znajdziesz, nic jej nie mów. Przywieź mi jej adres. Kapujesz? Tylko mi powiesz, gdzie jest.

– Fajno – odparł Joe. – Musiała nieźle panią wyrolować.

– To nie twój interes, Joe.

– Tak jest – odparł. – Mam zaraz zacząć?

- Tak. I pospiesz się.
- Może być trochę ciężko – zauważył. – Bo to już kawał czasu.
- To twoja głowa.
- Pojadę do Watsonville dziś po południu.
- Dobrze, Joe.

Zamyśliła się. Joe czuł, że na tym jeszcze nie koniec i że Kate zastanawia się, czy mówić dalej. Powzięła decyzję.

- Słuchaj, czy... ona zrobiła coś... no, szczególnego... wtedy w sądzie?
- Gdzie tam. Gadała, że się na nią zmówili, jak to ona zawsze.

A potem przypomniało mu się coś, na co wtedy nie zwrócił uwagi. W pamięci odezwał mu się głos Etel mówiącej: "Panie sędzio, muszę z panem pomówić sam na sam. Muszę coś panu powiedzieć". Popróbował zagrzebać to wspomnienie głęboko, aby go nie zdradziła jego twarz.

Kate zapytała:

- No, cóż to takiego?

Spóźnił się. Myśli jego skoczyły, szukając ochrony.

- Coś było – odpowiedział, żeby zyskać na czasie. – Muszę sobie przypomnieć.
- To przypomnij sobie! – Głos jej był ostry, niespokojny.
- Ano... – Już miał. – Ano, słyszałem, jak gadała glinom... zaraz, zaraz... pytała, dlaczego jej nie dadzą jechać na południe. Że niby ma krewnych w San Luis Obispo.

Kate pochyliła się szybko ku niemu.

- No i?
- I gliny powiedziały, że to, cholera, za daleko.
- Sprytny jesteś, Joe. Gdzie najpierw pojedziesz?
- Do Watsonville – odparł. – W San Luis mam kumpla. Rozejrzy się za mnie.

Zadzwoń do niego.

- Joe – powiedziała ostro. – To ma być zrobione bez hałasu.
- Za pięć setek będzie i bez hałasu, i prędko – odrzekł Joe. Był w pysznym humorze, choć oczy Kate znowu przymrużyły się badawczo. Jej następne słowa niejako oderwały mu żołądek od kręgosłupa.

- Joe, żeby nie zmieniać tematu... Czy mówi ci coś nazwisko Venuta?

Usiłował odpowiedzieć, nim kurcz ściśnie mu gardło.

- Nic a nic – odparł.

– Wracaj jak najprędzej – rzekła Kate. – Powiedz Helenie, żeby tu przyszła. Będzie cię zastępowała.

3

Joe spakował walizkę, poszedł na dworzec i kupił bilet do Watsonville. W Castroyille, na pierwszej stacji w kierunku północnym, wysiadł i czekał cztery godziny na ekspres z San Francisco do Monterey, które znajduje się przy końcu odnogi kolejowej. W Monterey udał się do Hotelu Centralnego, gdzie zameldował się jako Jan Vickers. Zszedł na dół, zjadł befsztyk w restauracji Ernsta, wziął sobie butelkę whisky i wrócił do swego pokoju.

Zdjął trzewiki, marynarkę i kamizelkę, kołnierzyk i krawat i położył się na łóżku. Whisky i szklankę postawił na stoliku obok mosiężnego łóżka. Górna lampa świecąca prosto w twarz nie przeszkadzała mu wcale. Nie zwracał na nią uwagi. Metodycznie naoliwił sobie umysł połową szklanki whisky, po czym założył ręce pod głowę, skrzyżował nogi w kostkach, wydobyl wszystkie myśli, wrażenia, doznania i instynktowne odruchy i zaczął je układać w głowie.

Szło mu dobrze i już myślał, że nabrał Kate. Ano, nie docenił jej. Ale jakim cudem, cholera, wyniuchala, że go szukają? Pomyślał, że mógłby wyjechać do Reno albo może do Seattle. Portowe miasta to zawsze jest dobre. A potem... chwileczkę. Trzeba się zastanowić.

Ta Etel nic nie ukradła. Ale coś ma. Kate jej się boi. Pięć setek to kupa forsy za wygrzebanie zużytej kurwy. To, co Etel chciała powiedzieć sędziemu, musiało być, po pierwsze, prawdą, a po drugie, Kate się tego bała. Można by to wykorzystać. Nie, cholera... bo przecież ma na niego tę ucieczkę z kryminału. Joe nie miał zamiaru odsiadywać reszty wyroku z karnym dodatkiem.

Ale nie szkodzi się zastanowić. Przypuśćmy, że zaryzykowałby cztery latka dla... no, powiedzmy, dziesięciu kawałków. To źle? Nie musi się zaraz decydować. Przecież wiedziała już przedtem, a nie sypnęła go. Może uważa, że z niego jest dobry pies.

– A może ta Etel to atutowa karta?

Zaraz... chwileczkę... najpierw trzeba pomyśleć. Może to jest i ta wielka szansa. Może powinien wyciągnąć tę kartę i zobaczyć. Tyle że Kate jest cholernie cwana. Joe zastanawiał się, czy mógłby z nią zagrać. Ale jak, jeżeli już zacznie grę?

Siadł na łóżku i dolał sobie do pełna. Zgasił światło i podniósł roletę. Popijając whisky przyglądał się chudej, drobnej kobiecie w płaszczu kąpielowym, piorącej pończochy w miednicy w pokoju po drugiej stronie wąskiego, wewnętrznego świetlika. Whisky szumiała mu w uszach.

Może to jest los na loterii? Bóg świadkiem, że dość długo czekał. Bóg świadkiem, że nienawidzi tej dziwki razem z jej ostrymi ząbkami. Nie musi się zaraz decydować.

Cicho otworzył okno i wzięwszy ze stolika obsadkę cisnął ją w szybę okna naprzeciwko. Z satysfakcją obserwował scenę strachu i niepokoju, nim chuda babka szarpnęła w dół swoją roletę.

Po trzeciej szklance butelka była pusta. Joe'emu zachciało się wyjść na ulicę i obejrzeć miasto. Ale wewnętrzna dyscyplina wzięła w nim górę. Przyjął za zasadę – i trzymał się tego – nigdy nie wychodzić z pokoju, kiedy pił. W ten sposób człowiek nie może się wplątać w żadną awanturę. Awantura to gliny, a gliny to sprawdzanie, co z pewnością skończyłoby się wycieczką na drugą stronę zatoki, do San Quentin, i już tym razem nie byłoby żadnych robót przy drogach w nagrodę za dobre sprawowanie. Wyrzucił ulicę z myśli.

Joe miał jeszcze inną przyjemność, którą odkładał na chwilę, gdy pozostawał sam, i nawet nie uświadamiał sobie, że to jest przyjemność. Teraz się nią uraczył. Leżąc na mosiężnym łóżku cofnął się w czasie do swego ponurego, nędznego dzieciństwa i niespokojnego, pełnego zepsucia wieku dojrzewania. Nie miał szczęścia; nigdy nie spotkała go życiowa szansa. Szansę zagarniali dla siebie lepsi goście. Udało mu się kilka dorywczych robót, ale co było z tą kolekcją scyzoryków? Gliny przylazły prosto do domu i zdjęły go. Wtedy już się dostał do rejestru i odtąd nie dawali mu spokoju. Facet w Daly City nie mógł wygruzić skrzynki truskawek z ciężarówki, żeby zaraz nie czepiali się Joe'ego. W szkole też nie miał szczęścia. Nalatywali na niego nauczyciele, nalatywał dyrektor. Człowiek nie mógł znieść takiego gówna. Musiał wiać.

Z tych wspomnień o własnym pechu zrodził się ciepły smutek, który Joe zaczął podsycać dalszymi wspomnieniami, aż wreszcie łzy napłynęły mu do oczu, a wargi jęły drgać ze współczucia dla tego opuszczonego, zagubionego chłopca, którym był niegdyś. A teraz... tylko spojrzeć – dostał wyrok i pracuje w burdelu, kiedy inni mają domy i samochody. Są bezpieczni, szczęśliwi, a wieczorami spuszczają żaluzje dla ochrony przed takimi jak on. Płakał cicho, póki nie zasnął. Wstał o dziesiątej rano i zjadł u Ernsta monstrualne śniadanie. Wczesnym popołudniem wsiadł do autobusu,

pojechał do Watsonville i rozegrał trzy partyjki bilardu ze znajomym, który przybył spotkać się z nim w odpowiedzi na telefoniczne wezwanie. Joe wygrał ostatnią partię i odstawił kij na stojak. Wręczył przyjacielowi dwa banknoty dziesięciodolarowe.

– Co za cholera? – odrzekł przyjaciel. – Nie chcę twojej forsy.

– Bierz – powiedział Joe.

– Przecież nic dla ciebie nie zrobił.

– Zrobiłeś, jeszcze jak. Mówisz, że jej tu nie ma, a tyś taki dzidzius, co na pewno wie.

– Nie możesz powiedzieć, na co ci ona potrzebna?

– Słuchaj, Wilson, jużem ci mówił na początku i powtarzam teraz, że nie wiem. Po prostu kazali mi to załatwić.

– No, tylko tyle mogę dla ciebie zrobić. Zdaje się, że właśnie wtedy urządzali ten zjazd... co to było? – dentyści czy coś. Już nie wiem, czy to ona powiedziała, że wyjeżdża, czy sam skombinowałem. Ale mi to zostało w głowie. Machnij się do Santa Cruz. Znasz tam kogo?

– Mam paru znajomych – odparł Joe.

– Zajrzyj do Mahlera. Hala Mahlera. On tam prowadzi salon bilardowy. Różną też w karty na tyłach.

– Dziękuję – powiedział Joe.

– Nie... słuchaj, Joe. Nie chcę twoich pieniędzy.

– To nie moje pieniądze. Kup sobie cygaro – rzekł Joe.

Wysiadł z autobusu o dwa domy od lokalu Hala. Była pora kolacji, ale poker wciąż jeszcze szedł. Minęła godzina, zanim Hal wstał, żeby pójść do ustępu, i wtedy Joe udał się za nim i nawiązał rozmowę. Hal przypatrzył mu się dużymi, bladymi oczyma, powiększonymi do ogromnych rozmiarów przez grube okulary. Powoli zapiął rozporek, poprawił czarne alpagowe zarękawki i zielony daszek celuloidowy.

– Zaczekaj pan, aż się gra skończy – powiedział. – Chciałbyś pan pograć za mnie?

– Ile gier?

– Tylko jedną.

– Dobra.

– Pięć dolarów godzina – rzekł Hal.

– I dziesięć procent dla mnie, jeżeli wygram?

– Dobra. Ten blondyn, Williams, trzyma bank.

O pierwszej w nocy Hal i Joe poszli do jadłodajni Barlowa.

– Dwa razy żeberka z frytkami po francusku. Chcesz pan zupę? – zapytał Hal Joe'ego.

– Nie. I frytek też nie. Zaparcia od nich dostaję.

– Ja to samo – odparł Hal. – Ale je jadam. Za mało mam ruchu.

Był człowiekiem małomównym, dopóki nie zaczął jeść. Rzadko się odzywał inaczej jak z pełnymi ustami.

– Co pan dajesz? – zapytał gryząc mięso.

– Prosta rzecz. Ja dostaję setkę, a pan dwadzieścia pięć – dobra?

– Musisz pan mieć jakiś dowód? Na przykład papiery?

– Nie. Dobrze by było, ale dam radę bez tego.

– No więc ona tu zachodziła i chciała, żebym ją sterował. Była do niczego. Nie miałem z niej i dwudziestaka tygodniowo. Nawet bym nie wiedział, co się z nią stało, tylko że Bill Primus widywał ją u mnie i jak ją znaleźli, przyszedł o nią popytać. Porządny gość ten Bill. Mamy tu przyzwoitą obsadę.

Etel nie była zła – leniwa, niechlujna, ale poczciwa. Chciała w życiu coś znaczyć i mieć trochę godności. Brakowało jej po prostu rozumu i urody i przez to nie miała szczęścia. Zmartwiłaby się, gdyby wiedziała, że kiedy ją wyciągnięto z piasku, w którym leżała na wpół zagrzebana przez fale, miała spódnicę zakasaną nad pośladki. Wolałaby wyglądać godniej.

Hal mówił:

– Mamy tu między tymi rybakami, co łowią sardynki, różnych kopniętych cudzoziemskich drani. Jak sobie podgazują, na mózg im się rzuca. Tak jak ja to kombinuję, któryś musiał ją wziąć do łodzi, a potem wypchnął za burzę. Nie wiem, jak inaczej mogła się znaleźć w wodzie.

– Może skoczyła z molo?

– Ona? – rzekł Hal żując kartofle. – Gdzie tam, cholera! Za leniwa była, żeby się zabić. Chcesz pan sprawdzić?

– Jak pan mówisz, że to ona, to znaczy, że ona – powiedział Joe i posunął po stole dwudziestkę i piątkę.

Hal zwinął banknoty w rurkę jak papierosa i wetknął je do kieszeni kamizelki. Ukrajał sobie trójkątny kawałek mięsa i włożył go do ust.

– Na pewno ona – rzekł. – Zjesz pan placka?

Joe zamierzał spać po południu, ale obudził się o siódmej i potem długo leżał w łóżku. Chciał wrócić do Salinas nie wcześniej niż po północy. Potrzebował więcej czasu do namysłu.

Kiedy wstał, przejrzał się w lustrze i przygotował sobie wyraz twarzy, z którym miał zamiar wystąpić. Chciał mieć minę zawiedzioną, ale nie zanadto. Kate jest cholernie cwana. Niech ona prowadzi. On tylko za nią krok w krok. Jest akurat tak samo otwarta jak pięść. Joe musiał przyznać w duchu, że się jej śmiertelnie boi.

Ostrożność mówiła mu: "Idź do niej, powiedz co i jak i weź te swoje pięć setek".

Ale na to odpowiadał zaciekle swojej ostrożności: "Mam teraz wielką szansę. Ile razy ją w życiu miałem? Kawałkiem szansy jest wiedzieć, kiedy się ona trafia. Mam już do śmierci być parszywym alfonsem? Trzeba tylko grać ostrożnie. Niech ona gada. To niczym nie grozi. Jeżeli mi tak nie pójdzie, zawsze mogę jej wmówić, że dopiero co się dowiedziałem".

"Ona może cię wsadzić do kryminału w ciągu sześciu godzin".

"Wcale nie, jeżeli będę grał ostrożnie. Co mam do stracenia? Jakże ja miałem szansę w życiu?"

4

Kate czuła się lepiej. Nowe lekarstwo najwyraźniej robiło jej dobrze. Bóle w rękach przycichły, miała wrażenie, że palce są jakby prostsze, knykie nie tak obrzmiałe. Po raz pierwszy od dawna wyspała się porządnie i czuła się doskonale, była nawet odrobinę podniecona. Postanowiła zjeść na śniadanie jajko na miękko. Wstała, narzuciła szlafrok i przyniosła sobie do łóżka ręczne lustro. Oparłszy się na wysoko spiętrzonych poduszkach przypatrzyła się swojej twarzy.

Odpoczynek działał cuda. Ból sprawia, że szczęki się zaciskają, oczy płoną niespokojnym, fałszywym blaskiem, a mięśnie na skroniach i policzkach, nawet te wiotkie, bliżej nosa, nabrzmiwiają nieco – i to jest obraz schorzenia i oporu stawianego cierpieniu.

Zmiana w jej wypoczętej twarzy była zdumiewająca. Wyglądała o dziesięć lat młodziej. Rozchyliła wargi i przyjrzała się swoim zębom. Czas już pójść do dentysty,

żeby je oczyścić. Kate dbała o zęby. Złoty mostek w miejscu, gdzie brakowało kilku trzonowych, był jedynym uzupełnieniem. "To nadzwyczajne, jak młodo wyglądam" – pomyślała Kate. Wystarczyła jej jedna przespana noc, żeby się odkuć. To także było coś, co wprowadzało ludzi w błąd. Myśleli, że jest wątpa i delikatna. Uśmiechnęła się do siebie: delikatna jak stalowy potrząsk. Ale też zawsze dbała o siebie: ani alkoholu, ani narkotyków, a ostatnio jeszcze rzuciła kawę. I to się opłacało. Miała twarz anielską. Podniosła nieco lusterko, żeby nie odbijały się w nim zmarszczki na szyi.

Myśl jej pobiegła ku tamtej drugiej anielskiej twarzy, tak do niej podobnej... jakże on ma na imię, no jak, psiakrew – Alek? Zobaczyła go, przechodzącego z wolna w białej komży obrzeżonej koronką; słodką twarz miał spuszczoną, włosy jaśniały mu w świetle świec. Niósł przed sobą lekko pochylony dębowy drążek z mosiężnym krzyżem. Było w nim jakieś chłodne piękno, coś nietkniętego i nietykalnego. Ale czy cokolwiek albo ktokolwiek dotknął kiedy naprawdę jej samej – naprawdę przeniknął do niej i potrafił ją zbrukać? Na pewno nie. Dotknięcia muskały tylko jej twardą, zewnętrzną pokrywą. Wewnątrz była nienaruszona – równie czysta i jasna jak ten chłopak, Alek... czy tak ma na imię?

Zachichotała... matka dwóch synów, a wygląda jak panienka. Gdyby ją ktoś zobaczył z tym blondasem – czy mógłby mieć jakiegokolwiek wątpliwości? Pomyślała, jak by to było, gdyby stanęła obok niego w dumie; niechby się wtedy sami przekonali. Co on by – Aron, tak miał na imię – co on by zrobił, gdyby się dowiedział? Jego brat wie. Ten cwany, mały skurwysyn – nie, to nie jest właściwe słowo, nie można go tak nazwać. Może być zanadto prawdziwe. Niektórzy w to wierzą. A przecież on nie jest żaden cholerny bękart – zrodzony został w uświęconym małżeństwie. Kate zaśmiała się głośno. Bawiła się wybornie.

Ten cwany – ten ciemny – niepokoił ją. Był podobny do Karola. Kate miała dla Karola szacunek, a Karol pewnie byłby ją zabił, gdyby tylko mógł.

Wspaniale jest to lekarstwo – nie tylko przerwało bóle artretyczne, ale i przywróciło jej odwagę. Niedługo będzie mogła wszystko tu sprzedać i wyjechać do Nowego Jorku, tak jak sobie zawsze planowała. Wspomniała swój lęk przed Etel. Musiała być porządnie chora – biedne, tępe stare pudło! A może by tak zamordować ją dobrocią? Jeżeli Joe ją znajdzie, może by... no, może by zabrać Etel do Nowego Jorku? Trzymać ją blisko siebie?

Przyszedł jej do głowy zabawny pomysł. To by dopiero było komiczne morderstwo – takie, którego nikt, w żadnych okolicznościach, nie mógłby rozwikłać

ani nawet podejrzewać. Czekoladki – całe pudła czekoladek, michy lukru, boczek – kruchutki, tłusty boczek, porto, no i masło, wszystko ociekające masłem i bitą śmietaną; żadnych jarzyn ani owoców – i żadnych rozrywek. Siedź w domu, kochana. Ja ci ufam. Pilnuj tu wszystkiego. Jesteś zmęczona. Połóż się do łóżka. Pozwól, to ci naleję coś do picia. A tu mam nowe cukierki dla ciebie. Chciałabyś wziąć sobie pudełko do poduszki? No, jeżeli źle się czujesz, to dlaczego nie zażyjesz lekarstwa? Prawda, że dobre te pastylki? W ten sposób stare dziwczysko rozpukłoby się w sześć miesięcy. Albo może by tak solitera? Czy ktoś kiedy stosował solitery? Co to za jeden nie mógł donieść wody do ust sitem? Tantal?

Usta Kate uśmiechały się słodko; ogarniała ją wesołość. Zanim odjedzie, mogłaby wydać przyjęcie dla swoich synów. Małe, skromne przyjęcie, a potem cyrk dla jej kochanecz-ków – jej brylancików. Nagle przypomniała sobie piękną twarz Arona, tak bardzo podobną do jej twarzy, i poczuła dziwny ból w piersiach – stłumiony, omdlewający ból. Aron nie jest cwany. Nie umie się bronić. Ten jego ciemny brat może być niebezpieczny. Poczula to na sobie. Kal ją pokonał. Zanim odjedzie, da mu nauczkę. Może by tak – no, przecież! – może by tak porcyjka syfa osadziła tego młodego człowieka?

Nagle poczuła, że nie chce, by Aron dowiedział się o niej. Może mogłby odwiedzić ją w Nowym Jorku. Wtedy pomyślałby, że zawsze mieszkała w eleganckim małym domku na East Side. Zabrałaby go do teatru, na operę, i ludzie widzieliby ich razem, dziwiliby się ich urodzie i domyślali, że są albo bratem i siostrą, albo matką i synem. Nikt by nie miał wątpliwości. Mogliby pójść razem na pogrzeb Etel. Potrzeba by dla niej specjalnie dużej trumny i sześciu osiłków, żeby ją unieść. Kate tak rozbawiły te myśli, że nie usłyszała pukania Joe'ego. Uchylił drzwi, zajrzał do pokoju i zobaczył jej wesołą, uśmiechniętą twarz.

– Śniadanko – oznajmił i popchnął drzwi rogiem przykrytej serwetką tacy. Zamknął je za sobą kolanem. – Tam zanieść? – spytał wskazując brodą szary pokój.

– Nie, zjem tutaj. I jeszcze chcę jajko na miękko i kawałek cytrynowego sucharka. A jajko trzymaj cztery i pół minuty na ogniu. Tylko dopilnuj. Nie chcę, żeby było za płynne.

– Musi pani być lepiej?

– A jakże – odparła. – To nowe lekarstwo jest wspaniałe. A ty wyglądasz, jak by cię pies wypluł. Źle się czujesz?

– Nic mi nie jest – odrzekł i postawił tacę na stole przed dużym, głębokim fotelem. – Cztery i pół minuty?

– Aha. A jeżeli gdzieś znajdziesz dobre, kruche jabłko, przynieś je też.

– Nie jadła pani tyle, odkąd panią znam.

Czekając w kuchni, aż kucharz ugotuje jajko, Joe zaniepokoił się. Może się skapowała? Trzeba będzie uważać. Ale przecież, do cholery, nie może mieć na niego zęba za to, czego on nie wie. To nie żadna zbrodnia.

Wróciwszy do pokoju powiedział:

– Jabłek nie ma. Ale kucharz mówi, że ta gruszka będzie dobra.

– Nawet wolę – odrzekła Kate.

Przyglądał się, jak obiera wierzch jajka i zanurza w nim łyżeczkę.

– No i jakie?

– Doskonale! – odparła Kate. – Po prostu doskonale.

– Dobrze pani wygląda – powiedział.

– Bo dobrze się czuję. A ty wyglądasz cholernie. Co ci jest?

Joe ostrożnie napoczął temat.

– Proszę pani, nie ma nikogo, co by tak był potrzebujący pięciu setek, jak ja.

Poprawiła go żartobliwie:

– Nie ma nikogo, kto by tak potrzebował...

– Co proszę?

– Mniejsza z tym. O co ci idzie? Nie mogłeś jej znaleźć, tak? No, ale jeżeli się dobrze przyłożył do szukania, to dostaniesz te swoje pięć setek. A teraz opowiedz, co było.

Wzięła solniczkę i wytrząsnęła kilka ziaren soli do otwartej skorupki jajka.

Joe przybrał twarz w wyraz sztucznej radości.

– Dziękuję – powiedział. – Przycisnęło mnie. Potrzeba mi forsy. No, wiecem zajrzał do Pajaro i do Watsonville. Dostałem o niej wink w Watsonville, ale już wyjechała do Santa Cruz. Tam ją także zwąchałem, ale też jej nie było.

Kate pokosztowała jajka i dodała jeszcze trochę soli.

– To wszystko?

– Nie – odrzekł Joe. – Posunąłem prosto tam. Wpadłem do San Luis, i też mi powiedzieli, że była, ale wyjechała.

– Żadnych śladów? Nikt nie wie, dokąd się wyniosła?

Joe bawił się swoimi palcami. Cała jego wygrana, a może i całe życie, zależy od następnych słów, i ociągał się z ich wypowiedzeniem.

– No, dalej – rozkazała wreszcie Kate. – Coś tam masz. Gadaj.

– Ano, niewiele. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

– Ty nie myśl. Tylko mów. Ja pomyślę – powiedziała ostro.

– Może to bujda?

– Na miłość boską! – zawołała gniewnie.

– Więc gadałem z tym, co ją ostatni widział. Gość miał na imię Joe, tak jak ja...

– A imienia babci też się dowiedziałeś? – spytała ironicznie.

– No i ten gość mówił, że jednego razu zaprawiła się piwem i opowiadała, jak to ona wróci do Salinas i przywaruje. A potem gdzieś wsiąkła. Ten Joe nic więcej nie wiedział.

Kate drgnęła mimo woli. Joe dostrzegł to szybkie drgnięcie, niepokój, a potem bezradny strach i zgnębienie. Cokolwiek to było, miał wreszcie coś. Na koniec przyszła jego wielka szansa.

Kate oderwała wzrok od swych kolan i powykręcanych palców.

– Machniemy ręką na tę starą pierdołę – powiedziała. – Dostaniesz swoje pięć setek, Joe.

Joe oddychał ostrożnie, bojąc się, że byle odgłos może ją wyrwać z zamyślenia. Uwierzyła mu. Więcej: wierzyła nawet w rzeczy, których wcale nie powiedział. Chciał jak najprędzej wyjść z tego pokoju. Rzekł: – Dziękuję pani – ale bardzo cicho, po czym milczkiem podsunął się do drzwi.

Już trzymał rękę na klamce, kiedy odezwała się z wymuszoną swobodą:

– Aha, Joe, jeszcze jedno...

– Słucham panią.

– Gdybyś się czegoś dowiedział... o niej, daj mi znać, dobrze?

– Na pewno. Mam to jeszcze rozrobić?

– Nie. Nie warto. To nie takie ważne.

Wróciwszy do swego pokoju Joe zamknął drzwi na klucz, usiadł i skrzyżował ręce na piersiach. Uśmiechnął się do siebie. I natychmiast zaczął opracowywać sobie dalszy plan działania. Zadecydował, że pozwoli jej o tym rozmyślać, powiedzmy, do następnego tygodnia. Da jej trochę odsapnąć, a potem znowu wyjedzie z tą Etel. Nie miał pojęcia, jaka jest jego broń ani jak jej użyje. Czuł natomiast, że jest bardzo ostra i aż go świerzbiło, by za nią chwycić. Uśmiełby się potężnie, gdyby wiedział, że Kate

poszła do szarego pokoju, przekręciła klucz w drzwiach i usiadła nieruchomo w wielkim fotelu, a oczy miała zamknięte.

ROZDZIAŁ XLVI

1

Czasami, choć niezbyt często, w dolinie Salinas pada w listopadzie deszcz. Jest to wypadek tak niezwykły, że "Journal" albo "Index", albo i obydwa, publikują artykuły wstępne na ten temat. Z dnia na dzień wzgórze pokrywają się delikatną zielenią, a powietrze pachnie przyjemnie. Deszcz w owej porze roku nie jest szczególnie pomyślny z rolniczego punktu widzenia, chyba że trwa dłużej, co zdarza się niesłychanie rzadko. Najczęściej wraca susza, puch trawy więdnie albo warzy go lekki przymrozek i wtedy cała ta masa nasion idzie na marne.

Lata wojny były wilgotne i wiele osób przypisywało tę dziwną, nieustępliwą pogodę strzelaniu z wielkich dział we Francji. Rozważano to na serio w artykułach i dyskusjach.

Tamtej pierwszej zimy nie mieliśmy jeszcze we Francji zbyt wiele wojska, ale szkolono i przygotowywano do wymarszu miliony.

Wojna, chociaż bolesna, była także emocjonująca. Niemców nie zatrzymano. Co więcej, znowu przejęli inicjatywę i systematycznie zbliżali się do Paryża, a Bóg jeden wiedział, kiedy się uda ich zatrzymać – o ile to w ogóle było możliwe. Generał Pershing ocali nas, jeżeli możemy być ocaleni. Jego dziarska, żołnierska postać, przybrana w piękny mundur, pojawiała się co dzień w gazetach. Szczęki miał jak z granitu, a na kurtce nie znalazłbyś ani jednej zmarszczki. Był kwintesencją doskonałego żołnierza. Nikt nie miał pojęcia, co myśli naprawdę.

Wiedzieliśmy, że przegrać nie możemy, a jednak wydawało się, że zmierzamy do przegranej. Nie sposób już było dostać mąkę, białą mąkę, nie kupując jednocześnie cztery razy tyle ciemnej. Ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, jadali chleb i sucharki z białą mąką, a z ciemnej robili mieszanek dla kur.

W dawnej zbrojowni Formacji C szkoliła się Straż Obywatelska – mężczyźni po pięćdziesiątce, nienajlepszy materiał na żołnierzy; mimo to urządzali dwa razy w tygodniu ćwiczenia, nosili guziki Straży i furażerki, wyrzaskiwali do siebie rozkazy i wiecznie użerali się o to, kto ma być oficerem. William C. Burt skonał na podłodze zbrojowni podczas zbiórki. Serce mu nie wytrzymało.

Byli też i "Minutowcy" nazywani tak dlatego, że wygłaszali jednonominutowe przemówienia na rzecz Ameryki w kinematografach i kościołach. I oni także nosili guziki.

Kobiety zwijały bandaż, chodziły w uniformach Czerwonego Krzyża i uważały siebie za anioły miłosierdzia. I każda robiła coś dla kogoś na drutach. A więc "napiętki" – krótkie rurki wełniane, które miały nie dopuścić, by wiatr gwizdał żołnierzom po rękawach, i "kominiarki" z jednym tylko otworem z przodu, przez który można było wyglądać. Miały one służyć do tego, by nowe żelazne hełmy nie przymarzały do głowy.

Każdy kawałek naprawdę pierwszorzędnej skóry brano na oficerskie buty i pasy "koalicyjne". Pasy te były ładne i mogli je nosić tylko oficerowie. Składały się z szerokiego pasa oraz rzemienia, który biegł przez piersi i przechodził pod prawym naramiennikiem. Skopiowaliśmy je od Anglików, a nawet Anglicy zapomnieli już o ich pierwotnym przeznaczeniu, którym prawdopodobnie było podtrzymywanie ciężkiego pałasza.

Pałasze noszono tylko na paradach, ale żaden oficer nie dopuściłby, aby go znaleziono poległego bez koalicyjnego pasa. Dobry pas tego rodzaju kosztował do dwudziestu pięciu dolarów.

Wiele nauczyliśmy się od Anglików, a nie zgodzilibyśmy się na to, gdyby nie byli pierwszorzędnymi żołnierzami. Ludzie zaczęli nosić chustki do nosa w rękawach, a niektórzy wymuskani oficerowie chodzili z trzcinkami pod pachą. Jednej tylko rzeczy opieraliśmy się długo. Zegarki na rękę wyglądały już zbyt głupio. Nie wydawało się prawdopodobne, abyśmy kiedykolwiek mieli wzorować się pod tym względem na "Tommies".

Mieliśmy także wewnętrznych wrogów i zachowywaliśmy czujność. W San Jose panowała mania na punkcie szpiegów, a Salinas nie mogło przecież pozostać w tyle – skoro się tak rozwijało.

Przez blisko dwadzieścia lat pan Fenchel pracował w Salinas jako krawiec. Był niski, okrągły i miał zabawny akcent. Całymi dniami przesiadywał po turecku na stole w swoim małym sklepiku przy ulicy Alisal, a wieczorem wracał do białego domku na końcu Alei Centralnej. Ustawicznie odmalowywał na nowo ten domek i sztachety białego płotka od frontu. Nikt nie zwracał uwagi na jego akcent, póki nie przyszła wojna, ale wtedy nagle zrozumieliśmy. Ten akcent był niemiecki. Mieliśmy więc

naszego własnego, osobistego Niemca. Nic mu nie pomogło rujnowanie się na bony wojenne. To przecież był zbyt łatwy sposób maskowania swoich zamiarów.

Nie przyjęli go do Straży Obywatelskiej. Nie chcieli, żeby szpieg poznał ich tajne plany obrony Salinas. A któż by życzył sobie nosić ubranie skrojone przez wroga? Pan Fen-chel wysiadywał po całych dniach na swoim stole, ale nie miał nic do roboty, więc fastrygował, pruł, zeszywał i znowu pruł bez końca ten sam kawałek materiału.

Odnosiliśmy się do pana Fenchela z najwymyślniejszym okrucieństwem. To był nasz Niemiec. Co dzień przechodził obok naszego domu i dawniej zagadywał do wszystkich mężczyzn i kobiet, dzieci i psów i każdy mu odpowiadał. Teraz nikt nie odzywał się do niego i jeszcze do dziś mam w oczach jego przysadzistą, zgnębiającą postać i twarz pełną zranionej dumy.

Moja mała siostrzyczka i ja przyłożyliśmy się także do tego, co robiono z panem Fenchelem, i jest to jedno z tych zawstydzających wspomnień, od których do tej chwili biją na mnie poty i coś ściska w gardle. Pewnego wieczora, stojąc na trawniku w naszym frontowym ogródku, spostrzegliśmy go zbliżającego się swymi drobnymi, tłustymi kroczkami. Czarny melonik miał wyszczotkowany i równo nasadzony na głowę. Nie przypominam sobie, czy omawialiśmy z góry nasz plan, ale chyba musieliśmy to zrobić, skoro wykonaliśmy go tak dobrze.

Gdy znalazł się blisko, oboje z siostrą ruszyliśmy powoli razem przez ulicę. Pan Fenchel podniósł głowę i zobaczył, że ku niemu idziemy. Gdy zrównał się z nami, przystanęliśmy przed rynsztokiem. Uśmiechnął się i powiedział:

– Topry fieczór, Czon. Topry fieczór, Mary.

Stojąc sztywno obok siebie zawołaliśmy chórem:

– Hoch der Kaiser!

Jeszcze widzę jego twarz i zaskoczenie w niewinnych, niebieskich oczach. Spróbował coś powiedzieć, a potem się rozplakał. Nawet nie usiłował tego ukryć. Po prostu stał przed nami i szlochał. I czy wiecie? – Mary i ja odwróciliśmy się i przeszedłszy sztywno przez ulicę weszliśmy do naszego ogródka. Czuliśmy się okropnie. Jest mi tak po dziś dzień, kiedy o tym pomyślę.

Byliśmy za młodzi, żeby dobrze się sprawić z panem Fenchelem. Na to trzeba było silnych mężczyzn – w liczbie około trzydziestu. Pewnego sobotniego wieczora zebrali się w barze i czwórkami pomaszerowali Aleją Centralną pokrzykując chóralnie: "Precz! Precz!" Rozwalili biały płótek pana Fenchela i podpalili front jego

domku. Nie przepuścimy żadnemu kajzerowskiemu sukinsynowi! Teraz Salinas mogło już śmiało spojrzeć w oczy San Jose.

To oczywiście spowodowało ruch w Watsonville. Unurzano tam w smole i wyturlano w pierzu pewnego Polaka, którego wzięto za Niemca. On także miał akcent.

My, z Salinas, robiliśmy wszystko, co nieuchronnie robi się podczas wojny, i mieliśmy wszystkie nieodłączne w tych warunkach myśli. Wrzeszczeliśmy z radości po każdej dobrej pogłosce i konaliśmy z przerażenia, gdy przyszła zła wiadomość. Każdy miał jakiś sekret, który musiał rozpowszechnić poufnie, żeby zachował charakter sekretu. Warunki naszego życia zmieniły się tak, jak to zwykle bywa. Płace i ceny poszły w górę. Szeptane plotki o braku różnych artykułów sprawiały, że wykupywaliśmy i magazynowaliśmy żywność. Wytworne, opanowane damy rzucały się na siebie z pazurami o puszkę pomidorów.

Nie wszystko jednak było złe, tanie czy histeryczne. Było także i bohaterstwo. Niektórzy mężczyźni mogący uniknąć służby wojskowej zaciągali się jednak, a inni opowiedziawszy się przeciwko wojnie z przyczyn natury moralnej czy religijnej, musieli wycierpieć ową Golgotę, z którą to zazwyczaj się wiąże. Inni znów oddali na cele wojenne wszystko, co posiadali, ponieważ ta wojna była już ostatnia i wygrawszy ją mieliśmy usunąć wojnę jak cierń z ciała świata i nie dopuścić, by kiedykolwiek powtórzył się tak potworny absurd.

W śmierci na polu bitwy nie ma dostojności. Najczęściej sprowadza się to do rozbryzania ludzkiego mięsa i cieczy, wynik zaś jest ohydny – natomiast wielkie, nieledwie słodkie dostojność tkwi w smutku, biernym i beznadziejnym smutku, który spływa na rodzinę wraz z telegramem. Nie można już nic zrobić, nic powiedzieć i tylko pozostaje jedna nadzieja: "Mam nadzieję, że nie cierpiał" – jakże żalosna, ostatnia, jaką mieć można. Co prawda, byli tacy, którzy z chwilą, gdy smutek ich zaczynał tracić ostrość, przemieniali go niepostrzeżenie w dumę i czuli się coraz godniejsi z powodu poniesionej straty. Niektórzy z nich wykorzystywali ją nawet po zakończeniu wojny. Jest to zupełnie naturalne, podobnie jak dla człowieka, którego życiowa funkcja polega na zbijaniu pieniędzy, jest rzeczą naturalną zbijać pieniądze na wojnie. Nikt nie miał tego za złe, oczekiwano tylko od takich ludzi, że część swego łupu będą inwestowali w bony wojenne. Wydawało się nam, że to my, w Salinas wymyśliliśmy wszystkie te rzeczy – nawet smutek.

ROZDZIAŁ XLVII

1

W domu Trasków obok piekarni Reynauda Adam i Li zawiesili mapę frontu zachodniego, na której wiły się z góry w dół linie kolorowych szpilek, i to im dawało poczucie współczestnictwa w wojnie. Potem umarł pan Kelly i Adam został mianowany na jego miejsce w komisji poborowej. Był odpowiednim człowiekiem na to stanowisko. Chłodnia nie zabierała mu wiele czasu, a swoją służbę w wojsku zakończył z dobrą opinią i pochwałą otrzymaną przy zwolnieniu.

Adam Trask widział już w życiu wojnę – małą wojenkę polegającą na manewrach i rzezi, ale przynajmniej był zaznajomiony z owym odwróceniem pojęć, które pozwala człowiekowi zabijać tylu bliźnich, ilu tylko zdoła. Wojny swej nie pamiętał zbyt dobrze. Niektóre ostro zarysowane obrazy odcinały mu się w pamięci: czyjaś twarz, stos palonych trupów, brzęk pochew szabel w szybkim kłusie, nierówny grzechot karabinów, cienki, zimny głos trąbki wśród nocy. Ale te obrazy były jakby zamrożone. Nie było w nich ruchu ani wzruszenia – ot, ilustracje z kart książki, i to niezbyt dobrze narysowane.

Adam pracował pilnie, sumiennie i ze smutkiem. Nie mógł się pogodzić ze świadomością, że nad młodymi ludźmi, których wciela do wojska, zawisł wyrok śmierci. A ponieważ wiedział, że jest słaby, więc stawał się coraz surowszy i bardziej skrupulatny, coraz mniej skłonny do uznania czyjegoś usprawiedliwienia czy niezdolności psychicznej. Zabierał spisy poborowych do domu, odwiedzał rodziców, wkładał w to znacznie więcej pracy, niż od niego wymagano. Czuł się jak skazujący na śmierć sędzia, który nienawidzi szubienicy.

Henryk Stanton zaobserwował, że Adam robi się coraz chudszy i bardziej milczący, a Henryk był człowiekiem, który lubił wesołość – wręcz jej potrzebował. Skwaszony współpracownik budził w nim niesmak.

– Odpręż się trochę – mówił Adamowi. – Chcesz dźwigać na sobie cały ciężar wojny. Słuchaj, przecież nie ty jesteś za to odpowiedzialny. Wsadzili cię tu i dali pewne przepisy. Masz je tylko wykonywać, i spokój. Nie ty prowadzisz wojnę.

Adam poprawił deszczułki żaluzji, żeby przedwieczorne słońce nie świeciło mu w oczy, i zapatrzył się w ostre równoległe linie światła, które padały na jego biurko.

– Wiem – odparł ze znużeniem. – Ach, wiem o tym! Ale, słuchaj, Henryku, najgorzej bywa, jak mam wybór i sam muszę zdecydować, czy ktoś jest zdolny do służby, czy nie. Zakwalifikowałem syna sędziego Kendala i zginął podczas przeszkolenia.

– To już nie twoja sprawa, Adamie. Dlaczego wieczorem nie popijesz sobie trochę? Idź do kina... prześpij się nad tym. – Henryk zatknął palce za pachy kamizelki i odchylił się w krzesło. – A skoro już o tym mowa, to nie wydaje mi się, żeby te twoje rozterki wychodziły na dobre poborowym. Bierzesz takich chłopaków, których ja bym zwolnił przy odrobinie perswazji.

– Wiem – odparł Adam. – Zastanawiam się, jak to długo potrwa.

Henryk przyjrzał mu się bystro, wyjął z kieszeni kamizelki ołówek i potarł swe duże, białe zęby gumką umocowaną na jego drugim końcu.

– Rozumiem, o co ci idzie – powiedział cicho.

Adam spojrzał na niego zaskoczony.

– O co ma mi iść? – spytał.

– Tylko się nie denerwuj. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się, jakie to szczęście, że mam same córki.

Adam wodził palcem po cieniu jednej z deszczulek żaluzji na swoim biurku.

– Tak – powiedział głosem cichym jak westchnienie.

– Jeszcze dużo wody upłynie, zanim wezmą twoich chłopaków.

– Tak. – Palec Adama wsunął się w linię światła i cofnął powoli. Henryk rzekł:

– Okropnie by mi było...

– Co okropnie?

– Ano, zastanawiam się, jak bym się czuł, gdybym musiał wziąć do wojska własnych synów.

– Ja bym się podał do dymisji – rzekł Adam.

– Tak. Rozumiem. Człowieka kusiłoby, żeby ich odrzucić... no, wiesz, swoich własnych.

– Nie – powiedział Adam. – Ja bym się podał do dymisji, bo nie mógłbym ich odrzucić. Człowiek nie może zwolnić własnych synów.

Henryk splótł palce składając obie dłonie w jedną wielką pięść i oparł ją przed sobą na biurku. Na twarzy malowało mu się rozdrażnienie.

– Ano nie – odparł. – Masz rację. Nie można. – Henryk lubił wesołość i unikał, jak tylko mógł wszelkich tematów poważnych i uroczystych, ponieważ były dlań równoznaczne ze smutkiem. – Jak tam idzie Aronowi w Stanfordzie?

– Świetnie. Pisze, że musi ciężko pracować, ale ma nadzieję, że da radę. Przyjedzie do domu na święto Dziękczynienia.

– Chciałbym się z nim zobaczyć. A wczoraj wieczorem spotkałem Kala na ulicy. To bystry chłopak.

– Kal nie zdał egzaminów do college'u o rok wcześniej – odparł Adam.

– No cóż, może nie do tego się rodził. Ja też nie chodziłem do college'u. A ty?

– Nie – odrzekł Adam. – Poszedłem do wojska.

– Ano, to i dobra praktyka. Założę się, że nie zamieniłbyś jej na co innego.

Adam wstał z wolna i zdjął kapelusz z jelenich rogów wiszących na ścianie.

– Dobranoc, Henryku – powiedział.

2

Wracając do domu Adam ważył w myśli swą odpowiedzialność. Kiedy mijał piekarnię Reynauda, wyszedł z niej Li, niosąc złocisty bochenek francuskiego chleba.

– Zachciało mi się czosnkowego pieczywa – powiedział.

– Ja to lubię do befsztyka – odrzekł Adam.

– Dziś mamy befsztyk. Była jakaś poczta?

– Zapomniałem zajrzeć do skrzynki.

Weszli do domu i Li udał się do kuchni. Po chwili Adam podążył za nim i usiadł przy kuchennym stole.

– Li – powiedział – jeżeli wysyłamy chłopca do wojska i on ginie, to czy jesteśmy za to odpowiedzialni?

– Niech pan mówi dalej – odrzekł Li. – Wolę usłyszeć wszystko od razu.

– Więc przypuścmy, że są pewne wątpliwości, czy dany chłopiec powinien iść do wojska, a my go wysyłamy i on ginie.

– Rozumiem. Czy pana trapi odpowiedzialność, czy wina?

– Nie myślę o winie.

– Czasem odpowiedzialność jest gorsza. Nie ma w niej nic z przyjemnego egotyzmu.

- Myślałem sobie o tym, jak kiedyś Sam Hamilton, ty i ja mieliśmy długą dyskusję o pewnym słowie – powiedział Adam. – Jakie to było słowo?
- Już teraz rozumiem. To było słowo timszel.
- Timszel... I ty powiedziałaś...
- Powiedziałem, że w tym słowie tkwi wielkość człowieka, jeżeli chce z niej skorzystać.
- Pamiętam, że Samowi bardzo przypadło to do serca.
- Bo mu dawało swobodę – odparł Li. – Dawało mu prawo do tego, żeby być człowiekiem odrębnym od wszystkich innych ludzi.
- W tym jest samotność.
- Wszystkie wielkie i cenne rzeczy mają ją w sobie.
- Powiedz mi jeszcze raz: jak brzmi to słowo?
- Timszel, możesz.

3

Adam wyglądał święta Dziękczynienia, na które Aron miał przyjechać z college'u. Choć nie było go w domu od tak niedawna, Adam już zapomniał syna i odmienił go sobie w myśli tak, jak człowiek odmienia kogoś, kogo kocha. Odkąd Aron wyjechał, wszystkie chwile milczenia były wynikiem jego nieobecności, a każda drobna przykrość jakoś się z nią wiązała. Adam przyłapał się na tym, że wciąż mówi o synu, chełpi się nim, rozpowiada ludziom, których to niezbyt interesowało, jaki jest bystry i jak przeskoczył cały rok w studiach. Uważał, iż dobrze byłoby urządzić w Dziękczynienie prawdziwą uroczystość, ażeby chłopak wiedział, że jego wysiłek jest doceniony.

Aron zamieszkał w PaLo Alto w umeblowanym pokoju i co dzień szedł piechotą milę do uniwersytetu i z powrotem. Był przygnębiony. To, co spodziewał się znaleźć na uniwersytecie, było mgliste i piękne. Na obraz, który sobie stworzył – nigdy właściwie bliżej nie analizowany – składali się młodzi ludzie o czystych oczach i niepokalane dziewczęta, wszyscy w akademickich togach, ściągający wieczorami do białej świątyni na szczycie zadrzewionego wzgórza. W twarzach mieli jasność i żarliwość, głosy ich wzbijały się chóralnie i zawsze działo się to tylko wieczorem. Nie

miał pojęcia, skąd wziął taki obraz życia akademickiego – może z ilustracji Gustawa Doré do *Inferna* Dantego, na którym widniały zastępy promiennych aniołów.

Uniwersytet Lelanda Stanforda nie był wcale taki; zimny sześcian burych bloków piaskowca stojący pośrodku pola, kościół z frontonem z włoskiej mozaiki, sale wykładowe o boazeriach z politurowanej sośniny i wielki świat zmagają i gniewu odtworzony we wzlotach i upadkach studenckich związków. A owymi jasnymi aniołami byli młodzieńcy w brudnych welwetowych spodniach, jedni znużeni studiami, inni uczący się pomniejszych grzeszków swoich ojców.

Aron, który dotąd w ogóle nie wiedział, że ma dom, teraz tęsknił do niego zawrotnie. Nie próbował poznawać życia, które go otaczało, ani się w nie włączać. Naturalna hałaśliwość, krzątanina i rozwydrzenie studentów wydawały mu się przerażające po jego rojeniach. Przeniósł się z uniwersyteckiego internatu do ponurego umeblowanego pokoju, gdzie mógł pielęgnować inne marzenie, które teraz dopiero w nim się zrodziło. W tej nowej neutralnej kryjówce odgradzał się od uniwersytetu; chodził na wykłady i uciekał stamtąd, jak mógł najprędzej, aby żyć wśród swych nowo odnalezionych wspomnień. Dom obok piekarni Reynauda stał się ciepły i drogi, Li był wzorem przyjaciela i doradcy, ojciec – spokojnym, budzącym ufność bóstwem, brat mądrym i przemiłym chłopcem, a Abra – cóż, właśnie z Abry uczynił to swoje niepokalane marzenie, a stworzywszy ją sobie, zakochał się w niej. Wieczorem, po skończeniu nauki, zanurzał się w swój codzienny list do niej tak, jak ktoś zanurza się w pachnącą kąpiel. I w miarę jak Abra stawała się coraz bardziej promienna, czysta i piękna, Aron znajdował coraz większą radość w roztrząsaniu swej własnej nikczemności. Jak szalony wylewał na papier radosne upokorzenie, by jej to potem przesłać, i kładł się do łóżka oczyszczony, podobnie jak mężczyzna po akcie płciowym. Wypisywał wszystkie swoje złe myśli i wyrzekał się ich. Z tego powstawały listy miłosne ociekające tęsknotą i wprawiające Abre swym wzniosłym tonem w niemałe zakłopotanie. Nie mogła wiedzieć, że erotyzm Arona znalazł sobie bynajmniej nie niezwykle ujście.

Aron popełnił błąd. Potrafił to wprawdzie uznać, ale jak dotąd nie mógł się odmienić. Zawarł sam z sobą pakt. Na Dziękczynienie pojedzie do domu i wtedy się upewni. Może potem już więcej tu nie wróci. Pamiętał, że Abra kiedyś proponowała, aby zamieszkali razem na ranczo, i to stało się jego marzeniem. Wspominał ogromne dęby i czyste, rześwe powietrze, świeży, pachnący bożydrzewem wiatr od gór i zawieruchę pożółkłych dębowych liści. Wyobrażał sobie Abre stojącą pod drzewem,

czekającą, aby powrócił z pracy. I był wtedy wieczór. Tam – po pracy, oczywiście – mógł żyć w czystości i w pokoju ze światem, odgradzony od niego małym parowem. Mógł skryć się przed szpetotą – wpośród wieczoru.

ROZDZIAŁ XLVIII

1

Pod koniec listopada umarła Murzynka i została pochowana z ponurym dostojeństwem, tak jak się tego domagał jej testament. Przez cały dzień leżała w kaplicy pogrzebowej Mullera w trumnie z mahoniu i srebra, a jej ściągły, surowy profil wydawał się jeszcze bardziej ascetyczny w świetle czterech wielkich gromnic ustawionych w rogach trumny.

Drobny czarny mąż zmarłej przycupnął jak kot nad jej prawym ramieniem i przez wiele godzin zdawał się równie nieruchomy jak ona. Zgodnie z jej wolą nie było żadnych kwiatów, ceremonii, kazań ani objawów żalu. Jednakże osobliwa i różnorodna rzesza obywateli zbliżała się na palcach do drzwi kaplicy, zerkąła do środka i odchodziła: adwokaci, rolnicy, urzędnicy, kasjerzy bankowi – większość już w starszym wieku. Dziewczyny Murzynki także zjawiały się jedna po drugiej, spoglądały na nią dla przyzwoitości i na szczęście, po czym odchodziły.

Z Salinas zniknęła instytucja – przybytek mrocznego, posępnego erotyzmu, tak beznadziejnego i do głębi bolesnego jak całopalna ofiara. Dom Jenny nadal rozbrzmiewał pijackimi wrzaskami i trzął się od ryków śmiechu. U Kate targała nerwy grzeszna ekstaza i człowiek wychodził stamtąd wstrząśnięty, osłabły i przerażony sobą. Natomiast posępne misterium spółkowania, podobne ofiarom murzyńskich czarowników, zniknęło na zawsze.

Pogrzeb odbył się również zgodnie z testamentem: karawan i tylko jeden samochód, w którym przycupnął w rogu czarny człowieczek. Dzień był pochmurny, a kiedy ludzie przedsiębiorcy pogrzebowego spuścili trumnę do grobu za pomocą naoliwionych i bezgłośnych korb, karawan odjechał i mąż sam przysypał mogiłę nowym szpadlem. Dozorca cmentarza, ścinający suche chwasty o sto kroków dalej, usłyszał niesione wiatrem łkanie.

Joe Valery napił się "Pod Sową" piwa z Butchem Beaversem i poszedł razem z nim rzucić okiem na Murzynkę. Butchowi się spieszyło, bo musiał jechać do Natividad, ażeby sprzedać na licytacji niewielkie stadko białogłowych wołów należących do Tavernettich.

Wychodząc z kostnicy Joe natknął się na idącego w tę stronę Alfa Nichelсона – zbzikowanego Alfa Nichelсона, zabytek minionej epoki. Alf był majstrem od wszystkiego – stolarzem, blacharzem, kowalem, elektrykiem, tynkarzem, ostrzycielem nożyczek i szewcem. Umiał zrobić każdą rzecz, a w wyniku tego był bankrutem, chociaż bez przerwy pracował. Wiedział wszystko o wszystkich aż po najdawniejsze czasy.

W przeszłości, w okresie jego powodzenia dwa typy ludzi miały dostęp do każdego domu i każdej plotki: szwaczka i taki właśnie majster-klepka. Alf mógł opowiedzieć dzieje wszystkich osób zamieszkałych po obu stronach ulicy Głównej. Był niepoprawnym plotkarzem o nienasyconej ciekawości, zajadłym, ale nie złośliwym.

Spojrzał na Joe'ego i popróbowwał go sobie umiejscowić.

– Ja pana znam – powiedział. – Tylko nic mi pan nie mów.

Joe odsunął się trochę. Miał się na baczności wobec ludzi, którzy go znali.

– Chwileczkę. Już mam. U Kate. Pan pracuje u Kate.

Joe odetchnął z ulgą. Już myślał, że Alf poznał go wcześniej.

– Zgadza się – odrzekł krótko.

– Nigdy nie zapominam niczyjej twarzy – powiedział Alf. – Widziałem pana, jakem stawiał tę zwariowaną przybudówkę dla Kate. Na co, u wielkiej cholery, ona jej była potrzebna? Nawet okien toto nie ma.

– Chciała tam mieć ciemno – odparł Joe. – Oczy jej nawalają.

Alf prychnął. Prawie nigdy nie wierzył w rzeczy proste czy dodatnie na czyjkolwiek temat. Alfowi wystarczyło powiedzieć: "Dzień dobry", żeby zaraz się w tym doszukał jakiegoś umówionego hasła. Był przeświadczony, że wszyscy prowadzą sekretne życie i że tylko on jeden potrafi przejrzeć ich na wylot.

Ruchem głowy wskazał kostnicę Mullera.

– No, to jest kamień milowy – powiedział. – Prawie wszyscy ludzie starej daty już odeszli. Jak jeszcze pójdzie Pierdząca Jenny, to będzie szlus. A Jenny się posunęła.

Joe kręcił się niespokojnie. Chciał odejść i Alf to czuł. Alf znał się na takich, co chcieli się od niego odczepić. Może właśnie dlatego nosił z sobą ów worek opowieści. Nikt w gruncie rzeczy nie odchodził, jeżeli mógł usłyszeć coś pikantnego o kimś innym. Każdy w głębi duszy jest plotkarzem. Alf nie był lubiany za ten swój dar, ale go chętnie słuchano. Wiedział, że Joe zaraz się czymś wymówi i zwieje. Przyszło mu na myśl, że nie bardzo wie, co się ostatnio działo u Kate. Może Joe da mu jakiś nowy materiał w zamian za stary.

– Dawniej to były czasy – powiedział. – No, jasne, pan jeszcze wtedy byłś szczeniakiem.

– Mam się zaraz spotkać z jednym gościem – wtrącił Joe. Alf udał, że nie słyszy.

– Weź pan choćby taką Faye – ciągnął. – To był ktoś. – A w nawiasie dorzucił: – Wiesz pan, ona prowadziła ten dom Kate. Nikt właściwie nie wie, jak Kate doszła do tego, żeby go dostać. Dosyć to było tajemnicze, a niektórzy nawet mieli swoje podejrzenia.

Zauważył z satysfakcją, że gość, z którym miał spotkać się Joe, poczeka teraz dosyć długo.

– A co takiego podejrzewali? – zapytał Joe.

– Cholera, wiesz pan, jak to ludzie gadają. Pewnie nic w tym nie było. Ale muszę przyznać, że wyglądało ciut zabawnie.

– Napijesz się pan piwa? – spytał Joe.

– To niezła myśl – odrzekł Alf. – Powiadają, że człowiek wali z pogrzebu prosto do sypialni. Ale ja już nie jestem taki młody jak kiedyś. Od pogrzebu zachciewa mi się pić. Ta Murzynka to była fajna obywatelka. Mógłbym o niej opowiadać różności. Znałem ją od trzydziestu pięciu, nie, trzydziestu siedmiu lat.

– A kto to była Faye? – zapytał Joe.

Weszli do baru Griffina. Pan Griffin nie mógł ścierpieć alkoholu i śmiertelnie nienawidził mocnych trunków. Prowadził swoją knajpę przy ulicy Głównej i potrafił w sobotni wieczór odmówić obsłużenia dwudziestu klientów, którzy, jego zdaniem, mieli już dosyć. Wynik był taki, że robił świetne interesy w swoim chłodnym, schludnym, spokojnym lokalu. W jego barze można było załatwić transakcję i pogadać spokojnie bez przeszkód.

Joe i Alf usiedli przy okrągłym stoliku w głębi i wypili po trzy piwa. Joe dowiedział się wszystkiego, co prawdziwe i nieprawdziwe, uzasadnione i nieuzasadnione – wszystkich szpetnych domysłów. Z tego powstał mu w głowie całkowity zamęt, ale i wyłoniło się kilka myśli. Coś, zdaje się, było niezupełnie w porządku ze śmiercią Faye. Kate mogła być żoną Adama Traska. Szybko to schował w pamięci – a nuż Trask zechce zapłacić za tę wiadomość? Sprawa Faye może być za gorąca, żeby jej dotykać. Joe musiał się nad tym zastanowić w samotności.

Po upływie paru godzin Alf się zbuntował. Joe nie odbijał mu piłki. Nie sprzedał mu ani jednej wiadomości czy domysłu. Alfa to zastanowiło. Taki małomówny gość musi coś ukrywać. Ciekawe, kto może mieć o nim jakiś wink?

Alf powiedział wreszcie:

– Rozumiesz pan, ja Kate lubię. Od czasu do czasu daje mi jakąś robotę, rękę ma szeroką i jest chybka do płacenia. Pewnie nic nie ma z prawdy w tej całej gadaninie. Ale jak się nad tym zastanowić, to ona jest kawał zimnego drania. Ma takie złe oko. Jak pan uważasz?

– Mnie tam jest dobrze – odparł Joe. Alfa zezłościła perfidia Joe'ego, więc postanowił go nacisnąć.

– Przyszła mi do głowy jedna śmieszna myśl – powiedział. – To było, jakem stawiał tę przybudówkę bez okien. Któregoś dnia wypięła na mnie to swoje zimne oko i wtedy tak mi się pomyślało. Gdyby wiedziała, co o niej słyszałem, a chciała mi postawić kielicha czy nawet tort, to bym powiedział: Nie, proszę pani, dziękuję.

– Ja z nią dobrze żyję – odparł Joe. – No, muszę już iść spotkać się z tym gościem.

Joe wrócił do swego pokoju, żeby to sobie przemyśleć. Czuł się nieswojo. Po chwili zerwał się, zajrzał do walizki i pootwierał wszystkie szuflady komody. Przywidziało mu się, że ktoś przetrząsał jego rzeczy. Tak mu raptem strzeliło do głowy. A przecież nie było nic do znalezienia. To go zdenerwowało. Próbował uporządkować sobie wszystko, co usłyszał.

Zapukano do drzwi i weszła Telma ze spuchniętymi oczami i zaczerwienionym nosem.

– Co ugryzło Kate?

– Chora była.

– Nie o to mi idzie. Siedziałam w kuchni i mieszałam sobie mleko z korzeniami w słoiku do owoców, a ta wpadła i z pyskiem na mnie.

– Możeś tam domieszała trochę whisky do tego mleka, co?

– Nic podobnego. Tylko ekstraktu waniliowego. Przecież jej nie wolno tak do mnie gadać.

– Ale gadała, nie?

– No, a ja tego nie przełknę.

– Przełkniesz, przełkniesz – rzekł Joe. – No, wynoś się, Telmo.

Telma spojrzała na niego swymi ciemnymi, zamyślonymi, ładnymi oczami i schroniła się na ową bezpieczną wyspę, na którą zawsze liczy kobieta.

– Joe – powiedziała. – Czy ty naprawdę jesteś taki skurwysyn, czy tylko udajesz?

– A co ciebie to obchodzi? – zapytał Joe.

– Nic – odparła Telma. – Oj, ty łobuzie!

2

Joe postanowił działać powoli, ostrożnie i tylko po długim namyśle. “Mam nareszcie szansę i muszę ją wykorzystać” – mówił do siebie.

Poszedł po wieczorne dyspozycje i wysłuchał ich od Kate obróconej do niego tyłem. Siedziała przy biurku opuściwszy zielony celuloidowy daszek nisko na oczy i nie odwróciła się w jego stronę. Skończyła wydawać zwięzłe zarządzenia i powiedziała:

– Joe, zastanawiam się, czyś dobrze tu wszystkiego pilnował. Byłam chora. Ale już przyszedłam do siebie albo prawie.

– A coś jest nie w porządku?

– Choćby taki fakt. Zdaje się, że Telma pija raczej whisky niż ekstrakt waniliowy, a ja sobie nie życzę, żeby pijała whisky. Mam wrażenie, żeś się opuścił.

Myśli Joe'ego skoczyły, szukając kryjówek.

– A, bo ja byłem zajęty – powiedział.

– Zajęty?

– No! Załatwiałem tamto dla pani.

– Co?

– Wie pani... z tą Etel.

– Daj sobie spokój z Etel!

– Okej – powiedział Joe. A potem wyrwało mu się niespodziewanie: – Spotkałem wczoraj jednego, co mówił, że ją widział.

Gdyby Joe nie znał Kate, nie zwróciłby należytej uwagi na tę krótką pauzę, te napięte dziesięć sekund milczenia. Po ich upływie Kate zapytała cicho:

– Gdzie?

– Tutaj.

Powoli okręciła się z obrotowym fotelem twarzą do niego.

– Nie powinnam była kazać ci działać na ślepo, Joe. Ciężko jest przyznać się do błędu, ale to ci się ode mnie należy. Nie potrzebuję ci przypominać, że to ja postarałam się, aby wyrzucili Etel z okręgu. Myślałam, że mi zrobiła jedną rzecz. – W jej głosie zabrzmiała melancholia. – Myliłam się. Przekonałam się później. Chcę ją teraz odszukać i jakoś jej to wynagrodzić. Pewnie się dziwisz, że tak do tego podchodzę.

– Nie, p'sze pani.

– Znajdź mi ją, Joe. Lżej mi będzie, jak jej to wynagrodzę... Biedne dziewczynisko!

– Spróbuję, p'sze pani.

– I słuchaj, Joe... gdyby ci było potrzeba pieniędzy, to mi powiedz. A jeżeli ją znajdziesz, powtórz jej tylko, co ci mówiłam. Gdyby nie chciała tu przyjść, dowiedz się, gdzie mogę do niej zatelefonować. Chcesz trochę pieniędzy?

– Na razie nie, proszę pani. Ale będę musiał częściej wychodzić z domu, niż bym powinien.

– Rób, jak uważasz. To wszystko, Joe.

Chciał sam siebie uściskać. Na korytarzu chwycił się oburącz za łokcie i poczuł, jak przepływa przez niego radość. I zaczął wierzyć, że sam to wszystko uplanował. Poszedł przez zaciemniony salon wypełniony szmerem wieczornych rozmów. Wyszedł na dwór i spojrzał na gwiazdy płynące ławicami poprzez gnane wiatrem obłoki.

Joe pomyślał o swym gderającym ojcu, gdyż przypomniał sobie coś, co stary mu kiedyś mówił. "Wystrzegaj się takich, co to cię częstują zupą – powiedział wtedy ojciec Joe'ego. – Taka baba, która zawsze podtyka człowiekowi zupkę, na pewno czegoś chce, i ty o tym nie zapominaj".

Joe powtórzył sobie pod wąsem: "Taka, co częstuje zupą... Jednak myślałem, że jest bardziej cwana". Odtworzył w pamięci jej ton i słowa, by się upewnić, czy niczego nie przeoczył. Nie... To jest taka, co częstuje zupą. I pomyślał o Alfie mówiącym: "Choćby mi chciała postawić kielicha czy nawet tort..."

Kate siedziała przy biurku. Słyszała wiatr szumiący w liściach wysokiego ligustru w ogrodzie, a ten wiatr i ciemność były pełne Etel – tłustej, niechlujnej Etel, oślizłej jak meduza. Ogarnęło ją tępe znużenie.

Weszła do przybudówki, do swego szarego pokoiku, zamknęła za sobą drzwi i usiadła w ciemnościach, wsłuchując się w ból, który znowu zaczynał jej pełznąć po palcach. W skroniach łomotała jej tętniąca krew. Kate sięgnęła po kapsułkę zawieszoną w tubce na łańcuszku u szyi, potarła o policzek metalową tubką, jeszcze ciepłą od jej piersi, i poczuła, że wraca jej odwaga. Obmyła twarz i umalowała się, zaczesła i ułożyła włosy w luźną "pompadurkę". Wysłała na korytarz i pod drzwiami salonu przystanąła jak zwykle, nasłuchując.

Na prawo od drzwi rozmawiały dwie dziewczyny i jakiś mężczyzna. Gdy tylko Kate weszła do salonu, rozmowa urwała się natychmiast. Kate powiedziała:

– Heleno, chciałabym z tobą pomówić, jeżeli nie jesteś w tej chwili zajęta.

Dziewczyna poszła za nią korytarzem do jej pokoju. Była jasną blondynką o cerze przypominającej oczyszczoną i wypolerowaną kość.

– Czy coś się stało, panno Kate? – zapytała lękliwie.

– Siadaj. Nie, nic się nie stało. Byłaś na pogrzebie Murzynki?

– A pani nie chciała, żebym poszła?

– To mi zupełnie obojętne. Ale poszłaś?

– Tak, proszę pani.

– Opowiedz mi o tym.

– Ale o czym?

– Powiedz to, co pamiętasz... jak tam było.

Helena odrzekła nerwowo:

– Ano, jakoś tak strasznie... i jakoś pięknie.

– Co to znaczy?

– Bo ja wiem. Ani kwiatów, ani nic, ale... no... jakby godnie. Murzynka leżała w czarnej drewnianej trumnie z takimi wielgachnymi srebrnymi uchwytami. Człowiekowi robiło się... nie umiem pani określić. Nie wiem, jak to powiedzieć.

– Możesz już powiedzieć. Co miała na sobie?

– Na sobie, p'sze pani?

– No tak, na sobie. Przecież jej nie chowali nago.

Na twarzy Heleny odmalował się wysiłek.

– Nie wiem – odpowiedziała wreszcie. – Nie pamiętam.

- Poszłaś na cmentarz?
- Nie, p'sze pani. Nikt nie poszedł... oprócz niego.
- Kogo?
- Jej chłopca.

Kate zapytała szybko, nieomal za szybko:

- Masz dzisiaj jakichś stałych klientów?
- Nie, p'sze pani. Jutro jest Dziękczynienie. Nie będzie ruchu.
- Zapomniałam – rzekła Kate. – To już wracaj.

Popatrzyła za wychodzącą dziewczyną i nerwowo zawróciła do biurka. I kiedy przeglądała szczegółowy rachunek za roboty instalacyjne, jej lewa ręka powędrowała do szyi i dotknęła łańcuszka. Był on pokrzepieniem i uspokojeniem.

ROZDZIAŁ XLIX

1

Zarówno Li, jak Kal usiłowali wyperswadować Adamowi pomysł pójścia na stację, na spotkanie nocnego pociągu pospiesznego z San Francisco do Los Angeles. Kal mówił:

– Dlaczego nie pozwolisz Abrze, żeby poszła sama? Aroja będzie chciał najpierw z nią porozmawiać.

– Myślę, że nawet nie zauważy nikogo innego – powiedział Li. – Więc właściwie wszystko jedno, czy pójdziemy, czy nie.

– Chcę go widzieć wysiadającego z pociągu – rzekł Adam.

– Na pewno się zmienił. Muszę zobaczyć, co się w nim zmieniło.

Li odpowiedział:

– Nie było go ledwie parę miesięcy. Nie mógł się tak bardzo zmienić ani postarzeć.

– Na pewno się zmienił. Doświadczenie robi swoje.

– Jeżeli ojciec pójdzie, musimy iść wszyscy – rzekł Kal.

– To nie chcesz zobaczyć brata? – zapytał Adam surowo.

– Jasne, że chcę, ale on nie będzie chciał widzieć mnie, przynajmniej w pierwszej chwili.

– Będzie chciał – odparł Adam. – Nie doceniasz Arona.

Li wyrzucił ręce w górę.

– No, to już chyba chodźmy wszyscy – powiedział.

– Wyobrażasz sobie, ile nowych rzeczy musi wiedzieć? – pytał Adam. – Ciekaw jestem, czy będzie mówił inaczej. Wiesz, Li, na Wschodzie chłopak przejmuje sposób mówienia swojej uczelni. Można odróżnić harvardczyka od takiego, co był w Princetonie. Przynajmniej tak powiadają.

– Przysłucham się – rzekł Li. – Ciekawe, jakim dialektem mówią w Stanfordzie. – Uśmiechnął się do Kala.

Adam nie widział w tym nic zabawnego.

– Naszykowałeś mu w pokoju trochę owoców? – zapytał. – On uwielbia owoce.

– Gruszki, jabłka i muszkatoowe winogrona – odpowiedział Li.

– A, tak, strasznie lubi te muszkatowe. Pamiętam, że za nimi przepada.

Przynaglani przez Adama zjawili się na dworcu Linii Południowego Pacyfiku na pół godziny przed przyjazdem pociągu. Abra już tam czekała.

– Nie mogę jutro przyjść na kolację, Li – powiedziała.

– Ojciec chce, żebym była w domu. Przyjdę potem, jak tylko będę mogła najprędzej.

– Jesteś trochę zemocjonowana – rzekł Li.

– A ty nie?

– Chyba też. – odparł Li. – Wyjrzyj na tory i zobacz, czy już jest zielony sygnał.

Rozkłady jazdy pociągów są przedmiotem dumy i obaw nieledwie dla każdego. Kiedy daleko na torach sygnał przeskoczył z czerwonego na zielony, a długa, ostra sonda reflektorów lokomotywy obiegła zakręt i rozświetliła stację, ludzie spojrzeli na zegarki i powiedzieli: "Punktualnie".

Była w tym duma, a także ulga. Ułamek sekundy staje się dla nas ostatnio coraz ważniejszy. W miarę jak ludzkie czynności będą się zazębiały i stapiały bardziej i bardziej, wypłynie jedna dziesiąta sekundy, potem przyjdzie wynaleźć nową nazwę na jedną setną, aż wreszcie któregoś dnia – choć nie przypuszczam, żeby do tego doszło – powiemy: "Ach, do diabła z tym wszystkim! A godzina to zła?" Jednakże takie troszczenie się o drobne jednostki czasu nie jest wcale głupie. Jakaś rzecz spóźniona albo zrobiona za wcześnie może rozsadzić wszystko, co się z nią wiąże, a to zakłócenie rozchodzi się kręgami niby fale powstałe po ciśnięciu kamienia do spokojnej sadzawki.

Pospieszny wpadł na stację, jak gdyby nie miał zamiaru się zatrzymać. I dopiero kiedy już przejechała lokomotywa oraz wagony bagażowe, hamulce powietrzne wydały swój przeraźliwy syk i rozpędzona masa żelaza ze zgrzytem protestu zatrzymała się w miejscu.

Pociąg wyrzucił z siebie w Salinas spory tłum pasażerów – krewnych zjeżdżających do rodzin na święto Dziękczynienia, z rękami uwikłanymi w pudełka kartonowe i zawinięte w ozdobny papier paczki prezentów. Minęła dłuższa chwila, zanim rodzina Arona zdołała go wypatrzeć. Zobaczyli go nagle i wydał im się roślejszy niż dawniej.

Miał modny kapelusz z płaskim denkiem i wąskim rondem, i kiedy ich dojrzał, puścił się biegiem, zrywając go z głowy, a oni zauważyli, że jasne włosy ma

przystrzyżone na krótką, sterczącą "szczotkę". Oczy błyszczały mu tak, że roześmieli się z radości na jego widok.

Aron szybko postawił walizkę i porwał Abre z ziemi, zamykając ją w potężnym uścisku. Puściwszy ją wreszcie, podał obie ręce Adamowi i Kalowi. Na koniec objął Li za ramiona tak mocno, że go o mało nie udusił.

W drodze do domu wszyscy mówili naraz:

– No, jak się masz? – Świetnie wyglądasz! – Abro, jakaś ty śliczna!

– Wcale nie. Dlaczegoś ostrzygł włosy?

– A, bo wszyscy tak noszą.

– Ale ty miałaś takie ładne!

Szli spiesznie ulicą Główną; potem jeszcze jedna przecznica, i za róg na Centralną, dalej obok piekarni Reynauda z piramidami francuskich bułek na wystawie i panią Reynaud machającą im ubieloną od mąki ręką – i już byli w domu.

Adam zapytał:

– Kawa jest, Li?

– Zrobiłem jeszcze przed wyjściem. Już się zagotowała.

Filiżanki też miał przyszykowane. I oto nagle wszyscy znaleźli się razem – Aron z Abką na kanapie, Adam w swoim fotelu pod lampą, Li, który roznosił kawę, i Kal oparty w drzwiach od korytarza. I milczeli, bo już było za późno się witać, a jeszcze za wcześnie mówić o innych rzeczach.

Wreszcie Adam odezwał się:

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. Będziesz miał dobre stopnie?

– Końcowe egzaminy wypadają dopiero za miesiąc.

– Ach, tak. No, ale z pewnością dostaniesz dobre stopnie. Jestem przekonany.

Po twarzy Arona przemknął mimowolny grymas zniecierpliwienia.

– Na pewno jesteś zmęczony – rzekł Adam. – Możemy sobie porozmawiać jutro.

Li powiedział:

– A ja myślę, że na pewno nie jest. Założę się, że chciałby zostać sam.

Adam spojrzał na niego i powiedział:

– Ależ oczywiście... oczywiście. Może się wszyscy położymy spać?

Abra rozwiązała za nich ten problem.

– Nie mogę tu długo zostać – rzekła. – Aronie, mógłbyś mnie odprowadzić do domu? Zobaczymy się jutro.

Kiedy szli razem, Aron trzymał ją mocno pod rękę. Zadrżał.

- Będzie przymrozek – powiedział.
- Cieszysz się, że wróciłeś?
- Tak, cieszę się. Mam ci masę rzeczy do powiedzenia.
- Coś dobrego?
- Może. Mam nadzieję, że będziesz tak uważała.
- Mówisz bardzo poważnie.
- Bo to jest poważne.
- Kiedy musisz wyjechać?
- Dopiero w niedzielę wieczorem.
- To będziemy mieli masę czasu. Ja też chcę ci powiedzieć różne rzeczy. Mamy jutro, i piątek, i sobotę, i całą niedzielę. Mógłbyś dziś do nas nie zachodzić?
- Dlaczego?
- Powiem ci później.
- Chcę wiedzieć teraz.
- A, bo ojciec znowu ma swoje humory.
- W związku ze mną?
- Tak. Jutro nie będę mogła przyjść do ciebie na obiad, ale nie będę dużo jadła w domu, więc możesz powiedzieć Li, żeby coś dla mnie zostawił.

Arona ogarniało zmieszanie. Abra wyczuwała to w rozluźniającym się uścisku jego ręki i w jego milczeniu, widziała to w jego podniesionej twarzy.

- Nie powinnam była mówić ci tego dzisiaj.
- Owszem, powinnaś była – odrzekł z wolna. – Powiedz mi prawdę. Czy w dalszym ciągu chcesz... być ze mną?
- Tak, chcę.
- No, to dobrze. Teraz już pójdę. Porozmawiamy jutro.

Odszedł, a ona została na ganku, czując na ustach lekkie muśnięcie jego pocałunku. Była dotknięta, że zgodził się tak łatwo, i roześmiała się gorzko sama z siebie na myśl, że może o coś prosić, a potem była urażona, kiedy to otrzymuje. Patrzyła na jego smukłą sylwetkę przechodzącą szybkim krokiem przez rozjarzony krąg światła narożnej latarni. Pomyślała: “Chyba zwariowałam. Coś mi się przywidziało”.

Powiedziawszy wszystkim dobranoc Aron usiadł w sypialni na brzegu łóżka i popatrzył na swoje dłonie splecione między kolanami. Czuł się opuszczony i bezradny, omotany jak ptasie jajko watą ambicji swojego ojca. Do tego wieczora nie zdawał sobie sprawy z jej siły i teraz zastanawiał się, czy zdoła się uwolnić od tej miękkiej, nieustępliwej przemocy. Myśli nie chciały mu okrzepnąć. Dom wydawał się nasiąknięty chłodną wilgocią, która przejmowała go dreszczem. Wstał i cicho otworzył drzwi. Spod drzwi pokoju Kala dobywało się światło. Zapukał i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

Kal siedział przy swym nowym biurku. Owijał coś w bibułkę i wiązał czerwoną wstążką, a kiedy Aron wszedł, czym prędzej przykrył to dużą suszką.

Aron uśmiechnął się.

– Prezenty?

– Tak – odrzekł Kal i nie dodał nic więcej.

– Mogę z tobą porozmawiać?

– Jasne! Chodźże. Tylko mów cicho, bo przyjdzie ojciec. Nie chcę stracić ani chwili.

Aron usiadł na łóżku. Milczał tak długo, że Kal zapytał:

– Co się stało? Masz jakieś kłopoty?

– Nie, kłopotów nie. Tylko chciałem z tobą pomówić. Kal, ja nie mam chęci dalej studiować.

Kal gwałtownie obrócił głowę.

– Nie? A dlaczego?

– Po prostu to mi nie odpowiada.

– Chyba nie powiedziałaś ojcu, co? Będzie zawiedziony. I tak jest już źle, że ja nie chcę iść na studia. A co masz zamiar robić?

– Myślałem, żeby pogospodarować na ranczo.

– A co będzie z Abłą?

– Już dawno mi mówiła, że tego właśnie chciała.

Kal przyjrzał mu się uważnie.

– Ranczo jest jeszcze w dzierżawie.

– Ano, tak sobie tylko myślałem.

Kal powiedział:

- Na gospodarowaniu nie można zrobić pieniędzy.
- Nie potrzeba mi dużo pieniędzy. Tyle, żeby jakoś żyć.
- Mnie by to nie wystarczyło – odparł Kal. – Ja chcę mieć kupę pieniędzy i

będę miał.

- W jaki sposób?

Kal czuł się starszy i bardziej pewny siebie od brata. Był pełen opiekuńczych uczuć wobec niego.

– Jeżeli będziesz dalej studiował, to ja przez ten czas coś zacznę i stworzę jakąś podstawę. A potem, jak skończysz, możemy zostać wspólnikami. Ja wezmę na siebie jedne rzeczy, a ty znów inne. Z tego może coś wyjść.

- Kiedy ja nie chcę tam wracać. Dlaczego mam wracać?
- Bo ojciec sobie tego życzy.
- To dla mnie nie powód.

Kal spojrzał zaciekle na brata, na jego jasne włosy, szeroko osadzone oczy, i nagle pojął, czemu ojciec kocha Arona, pojął to ponad wszelką wątpliwość.

– Prześpij się nad tym – powiedział szybko. – Byłoby lepiej, gdybyś skończył przynajmniej ten rok. Teraz nic jeszcze nie rób.

Aron wstał i ruszył do drzwi.

- Dla kogo ten prezent? – zapytał.
- Dla ojca. Zobaczysz jutro... po kolacji.
- Przecież to nie Gwiazdka.
- Nie – odparł Kal. – Coś lepszego.

Kiedy Aron wrócił do swego pokoju, Kal odsłonił ów prezent. Przeliczył raz jeszcze piętnaście banknotów, które były tak nowiutkie, iż szeleściły sucho. Bank Okręgu Monterey musiał po nie posyłać aż do San Francisco, a zrobił to dopiero wtedy, kiedy mu wyjaśniono przyczyny. Dla banku było rzeczą szokującą i niewiarygodną, że siedemnastoletni chłopak, po pierwsze, ma takie pieniądze, a po wtóre, zamierza gdzieś je nosić. Bankierzy nie lubią, jak ktoś się bawi pieniędzmi, nawet jeżeli to wynika z przyczyn sentymentalnych. Trzeba było poświadczenia Willa Hamiltona, ażeby bank uwierzył, że pieniądze należą do Kala, że zostały uczciwie zarobione i że Kal może z nimi robić, co mu się podoba.

Kal zawiązał banknoty w bibułkę i przewiązał je czerwoną wstążką zakończoną supłem, w którym tylko z trudnością można było rozeznąć kokardkę. Pacuszka ta mogła zawierać chustkę do nosa. Schował ją pod koszulami w komodzie i położył się

do łóżka. Jednakże nie mógł zasnąć. Był podniecony, a jednocześnie niespokojny. Chciał, żeby to już się skończyło, żeby podarunek już został wręczony. Powtarzał sobie w myśli słowa, które zamierzał powiedzieć.

“To dla ciebie”.

“A co to jest?”

“Prezent”.

Nie wiedział, co będzie się działo poczynając od tego momentu. Rzucił się i przewracał na łóżku, a o świcie wstał, ubrał się i wymknął z domu.

Na Głównej zobaczył starego Martina, który zamiatał ulicę miotłą stajenną. Rada miejska rozważała sprawę zakupu mechanicznej zamiataczki. Stary Martin miał nadzieję, że mu pozwolą nią jeździć, ale nie robił sobie zbyt dużych złudzeń. To młodzi zbierają śmietankę ze wszystkiego. Przejechał wóz do śmieci, własność Bacigalupiego, i Martin popatrzał za nim zawiście. To dopiero jest interes! Ci makaroniarze się bogacą.

Ulica Główna była pusta; tylko nieliczne psy węszyły pod zamkniętymi bramami, a przed pasztecziarnią “San Francisco” rozpoczynała się senna krzątanina. Stała tam nowa taksówka Peta Bulene, którego zamówiono poprzedniego wieczora, żeby odwiózł panny Williams na poranny pociąg do San Francisco.

Stary Martin zawołał do Kala:

– Masz papierosa, młodziaku?

Kal przystanął i wyjął tekturowe pudełko muradów.

– O, takie frymuśne! – powiedział Martin. – Zapalek też nie mam.

Kal zapalił Martinowi papierosa, uważając, by nie osmalić siwej szczeciny wokół jego ust. Martin oparł się na trzonku miotły i ze strapioną miną zaciągnął się dymem.

– Młodzi zawsze zbierają śmietankę – powiedział. – Nie dadzą mi na tym jeździć.

– Na czym? – spytał Kal.

– No, na tej nowej zamiataczce. Toś nie słyszał? Gdzieżeś się podziewał, chłopaku?

Dla Martina było nie do wiary, żeby jako tako oświecona ludzka istota nie wiedziała o zamiataczce. Zapomniał o Kalu. Może Bacigalupi da mu posadę. Przecież zbija pieniądze. Trzy wozy i nowa platforma.

Kal skręcił w ulicę Alisal, zaszedł na pocztę i zajrzał przez szybkę do skrzynki 632. Była pusta. Powędrował do domu i zastał Li już na nogach, zajętego nadziewaniem ogromnego indyka.

– Nie kładłeś się przez całą noc? – zapytał Li.

– Nie. Tylko wyszedłem się przejść.

– Nerwy?

– Aha.

– Nie dziwię ci się. Ja bym też był zdenerwowany. Ciężko jest dawać komuś podarunki, chociaż może jeszcze ciężiej je dostawać. To wydaje się głupie, nie? Chcesz kawy?

– Proszę bardzo.

Li otarł ręce i nalał kawy sobie i Kalowi.

– Jak, twoim zdaniem, wygląda Aron?

– Chyba dobrze.

– Miałeś sposobność z nim porozmawiać?

– Nie – odparł Kal.

Tak było prościej. Li zaraz chciałby się dowiedzieć, co Aron mówił. A to nie był dzień Arona. To był dzień Kala. Sam go sobie wyrzeźbił i wyczekiwał go. Chciał mieć ten dzień dla siebie.

Wszedł Aron z oczami jeszcze zamglonymi od snu.

– O której chcesz dać obiad, Li?

– A bo ja wiem... o wpół do czwartej albo o czwartej.

– Nie mógłbyś około piątej?

– Chyba tak, jeżeli ojciec się zgodzi. A bo co?

– Bo Abra nie może przyjść wcześniej. Mam pewien projekt, który chcę przedstawić ojcu, i chciałbym, żeby przy tym była.

– Myślę, że to da się zrobić – rzekł Li.

Kal wstał szybko i poszedł do swego pokoju. Usiadł przy biurku i zapalił lampę, czując, jak się burzy w nim niepokój i podniecenie. Aron bez wysiłku odbierał mu jego dzień. Okaze się, że to jest dzień Arona. A potem nagle Kal zawstydził się gorzko. Zasłonił dłońmi oczy i powiedział:

– To tylko zazdrość. Jestem zazdrosny. Nic więcej. Jestem zazdrosny. Nie chcę być zazdrosny. – I zaczął powtarzać: – Zazdrosny... zazdrosny... zazdrosny – jakby wydobyć na jaw tej zazdrości mogło ją zniweczyć. A posunąwszy się tak daleko,

ciągnął to samopotępienie. – Dlaczego daję ojcu te pieniądze? Dla jego dobra? Nie. Dla swojego własnego. Will Hamilton to powiedział... chcę go sobie kupić. Nie ma w tym nic szlachetnego. We mnie całym nie ma nic szlachetnego. Siedzę tu i nurzam się w zazdrości o brata. Dlaczego nie nazwać rzeczy po imieniu?

Szeptał chrapliwie do siebie:

– Dlaczego nie być uczciwym? Wiem, czemu ojciec kocha Arona. Bo on jest podobny do niej. Ojciec nigdy jej nie zapomniał. Może nawet tego nie wie, ale tak jest. Ciekawe, czy wie. Przez to jestem zazdrosny i o nią. Może by zabrać te pieniądze i wyjechać? Nie tęskniliby za mną. Po krótkim czasie zapomnieliby, że w ogóle istniałem, wszyscy oprócz Li. I to jeszcze pytanie, czy on mnie lubi. Może też nie. – Przyłożył pięści do czoła. – Czy Aron też musi tak z sobą walczyć? Chyba nie, ale czy ja wiem? Mógłbym go zapytać. Tylko że mi nie powie.

Myślami Kala targał gniew i jednocześnie współczucie dla samego siebie. A potem wmieszał się w to głos mówiący chłodno i wzgardliwie: "Jeżeli chcesz być uczciwy, dlaczego nie przyznasz, że sprawia ci przyjemność ta chłosta, którą sam sobie wymierzasz? To byłaby prawda. Dlaczego nie chcesz być po prostu tym, kim jesteś, i robić tego, co robisz?"

Kal był wstrząśnięty tą myślą. Przyjemność? Oczywiście. Chłoszcząc siebie bronił się przed chłostaniem przez kogo innego. Zastanawiał się w napięciu. Dać pieniądze, ale dać je od niechcenia. Nie spodziewać się niczego. Niczego nie przewidywać. Po prostu dać i wyrzucić to z pamięci. Zapomnieć już teraz. Dać... dać. I odstąpić ten dzień Aronowi. Czemu nie? Zerwał się i wybiegł do kuchni.

Aron oburącz rozciągał wypatroszonego indyka, a Li wpychał do środka nadzienie. Piec trzeszczał i strzelał rozpalającym się ogniem.

Li mówił:

– Zaraz, zaraz; osiemnaście funtów, po dwadzieścia minut na funt, to jest osiemnaście razy dwadzieścia, trzysta sześćdziesiąt minut, czyli równo sześć godzin... Od jedenastej do dwunastej, od dwunastej do pierwszej... – obliczał sobie na palcach.

Kal powiedział:

– Jak skończysz, Aronie, chodź się przejść.

– Dokąd? – zapytał Aron.

– A, po mieście. Chcę cię o coś zapytać.

Kal poprowadził brata na drugą stronę ulicy, do Bergesa i Garrisiere'a, którzy importowali wysokogatunkowe wina i inne trunki. Powiedział:

– Mam trochę pieniędzy. Myślałem, że może będziesz chciał kupić wina na kolację. Dam ci forszę.

– Jakiego wina?

– Zrobmy sobie prawdziwą uroczystość. Kupmy szampana... To może być prezent od ciebie.

Joe Garrisiere powiedział:

– Jesteście jeszcze za młodzi.

– Na kolację? Na pewno nie.

– Nie mogę wam sprzedać. Bardzo mi przykro.

Kal rzekł:

– Już wiem, co pan może zrobić. My zapłacimy, a pan odeśle ojcu.

– To i owszem – odparł Joe Garrisiere. – Mamy Oeil de Perdrix – ściągnął wargi, jak gdyby go kosztował.

– Co to takiego? – zapytał Kal.

– Szampan... ale pierwszorzędny, tego samego koloru, co oko kuropatwy... różowy, właściwie trochę ciemniejszy niż różowy, no i wytrawny. Cztery pięćdziesiąt flaszka.

– Czy to nie dużo? – spytał Aron.

– Pewnie, że dużo! – roześmiał się Kal. – Przyślij pan trzy butelki. – A do Arona powiedział: – To będzie od ciebie.

3

Dla Kala dzień ten ciągnął się bez końca. Chciał uciec z domu i nie mógł. O jedenastej Adam poszedł do zamkniętego biura komisji poborowej pośłęczyć nad aktami nowej partii chłopców, która miała się stawić.

Aron wydawał się zupełnie spokojny. Siedział w salonie, przeglądając ilustracje w starych pismach. Dom zaczynały wypełniać dochodzące z kuchni zapachy soków wyciekających z pieczonego indyka.

Kal poszedł do swego pokoju, wyjął przygotowany prezent i położył go na biurku. Spróbował napisać karteczkę, którą chciał do niego dołączyć. "Ojcu od Kala"... "Adamowi Traskowi od Kaleba Traska". Podarł kartki na drobne kawałeczki, wyrzucił je do klozetu i spuścił wodę. Pomyślał: "Dlaczego dawać mu to dzisiaj? Może jutro

mógłbym pójść spokojnie do niego, powiedzieć: To dla ciebie, i odejść. Tak byłoby łatwiej".

– Nie – odezwał się na głos. – Chcę, żeby tamci widzieli.

Tak musiało być. Ale coś mu jakby ścisnęło płuca, a dłonie miał wilgotne z tremy. Potem przypomniał sobie ów ranek, kiedy ojciec wyciągnął go z aresztu. Tamto ciepło i bliskość – o tym trzeba pamiętać... i o zaufaniu ojca. Ba, przecież nawet powiedział: "Ufam ci". Kala bardzo to pokrzepiło na duchu.

Około trzeciej usłyszał wchodzącego Adama, a potem przyciszoną rozmowę w salonie. Poszedł tam i zastał ojca z Aronem. Adam mówił:

– Czasy się zmieniły. Młody człowiek musi dziś mieć jakąś specjalność, bo inaczej do niczego nie dojdzie. Pewnie dlatego tak się cieszę, że jesteś w college'u.

Aron odrzekł:

– Właśnie o tym myślałem i zastanawiam się...

– To nie myśl więcej. Twój pierwszy wybór był słuszny. Weź choćby mnie. Wiem coś niecoś o wielu rzeczach, ale za mało o którejs z nich, żeby w dzisiejszych czasach zarobić na życie.

Kal usiadł cicho. Adam go nie zauważył. Na twarzy miał wyraz skupienia.

– To całkiem naturalne, że człowiek chce, żeby synowi powiodło się w życiu – ciągnął Adam. – Może ja lepiej od ciebie dostrzegam pewne rzeczy.

Li zajrzał do pokoju.

– Waga kuchenna musi być zepsuta – powiedział. – Indyk będzie gotów prędzej, niż wypada z obliczenia. Założę się, że nie waży osiemnastu funtów.

Adam odparł:

– No, to go tylko trzymaj w cieple – po czym mówił dalej: – Sam Hamilton to przewidywał. Twierdził, że już nie będzie uniwersalnych filozofów. Ciężar wiedzy jest za wielki, aby ją mógł wchłonąć pojedynczy umysł. Przepowiadał, że przyjdzie taka chwila, kiedy jeden człowiek będzie znał tylko jakąś małą część, ale za to dobrze.

– Tak – odezwał się Li z progu. – I ubolewał nad tym. Miał do tego niechęć.

– Czyżby? – zapytał Adam.

Li wszedł do pokoju. W prawej ręce trzymał wielką warzachew, a zwiniętą lewą dłoń podstawił pod nią z obawy, by sos nie kapnął na dywan. Wszedłszy zapomniał o tym, machnął warzachwią i parę kropel indyczego tłuszczu spadło na podłogę.

– Teraz, kiedy pan to podał w wątpliwość, to już sam nie wiem – rzekł. – Nie wiem, czy on miał do tego niechęć, czy też ja za niego.

– Nie podniecaj się tak – odparł Adam. – Ostatnio mam wrażenie, że o niczym nie możemy z sobą dyskutować, żebyś zaraz nie uważał tego za osobistą obrazę.

– Może wiedza jest za wielka, a może ludzie stają się za mali – ciągnął Li. – Może od klękania przed atomami dusze kurczą im się do rozmiarów atomu. Może specjalista jest po prostu tchórzem, który boi się wyrzeć ze swojej klateczki. A tylko pomyśleć, co traci każdy specjalista: cały szeroki świat za swoim opłotkiem.

– My tutaj mówimy tylko o zarabianiu na życie.

– O zarabianiu... czyli o pieniądzach – powiedział Li z podnieceniem. – Pieniądze łatwo zrobić, jeżeli się chce pieniędzy. Ale poza nielicznymi wyjątkami ludzie nie chcą pieniędzy. Chcą luksusu, chcą miłości i chcą podziwu.

– No dobrze, ale czy masz jakieś zastrzeżenia co do wyższych studiów? Bo o tym mówiliśmy.

– Przepraszam – rzekł Li. – Pan ma rację. Zanadto się podniecam. Nie, nie mam zastrzeżeń, jeżeli uniwersytet jest miejscem, do którego człowiek może się udać, żeby poznać swój stosunek do świata. Ale czy jest nim? Jest nim, Aronie?

– Nie wiem – odparł Aron.

Z kuchni doleciało syczenie. Li zawołał: – Te przekłete podróbki mi wykopiały! – i wypadł za drzwi.

Adam popatrzył za nim czule.

– Jakież to zacny człowiek! Jaki dobry przyjaciel!

Aron rzekł:

– Daj mu, Boże, sto lat życia.

Jego ojciec roześmiał się:

– Skąd wiesz, czy już nie ma setki?

Kal spytał:

– Jak tam chłodnia, ojczy?

– A dobrze. Pokrywa koszty własne i daje niewielkie zyski. A bo co?

– Przyszły mi do głowy pewne rzeczy, żeby ją zrobić naprawdę opłacalną.

– Tylko nie dzisiaj – odparł szybko Adam. – W poniedziałek, jeżeli nie zapomnisz, ale dziś nie. Wiesz, nie pamiętam, kiedy mi było tak dobrze. Czuję w sobie... czy ja wiem, można by to nazwać jakimś spełnieniem. Może to tylko dobrze przespana noc i dobra kąpiel. A może to dlatego, że jesteśmy wszyscy razem i w harmonii ze sobą. – Uśmiechnął się do Arona. – Nie wiedzieliśmy, czym dla nas jesteś, dopóki nie wyjechałeś.

– Tęskniłem do domu – wyznał Aron. – Przez pierwsze dni myślałem, że umrę z tęsknoty.

Do salonu wpadła z impetem Abra. Policzki miała zaróżowione i była rozradowana.

– Widzieliście, że na górze Toro jest już śnieg?! – zawołała.

– Tak, widziałem – odrzekł Adam. – Mówią, że to zapowiedź dobrego roku. A przydałby nam się bardzo.

– Ja tylko coś przegryzłam – oznajmiła Abra. – Chciałam mieć u was apetyt.

Li przeproszał za obiad jak stary głupiec. Obwinił piec gazowy, który nie grzeje jak porządny piec na drewno. Obwinił nową rasę indyków, której brakuje czegoś tam, co dawniej miały indyki. Ale roześmiał się razem ze wszystkimi, kiedy mu powiedzieli, że postępuje jaka stara kobieta polująca na komplementy.

Przy plumpuddingu Adam odkorkował szampana i wszyscy zaczęli go ceremonialnie kosztować. Przy stole zapanował uroczysty nastrój. Wznoszono toasty. Po kolei wypito zdrowie obecnych, a Adam przy toaście na cześć Abry palnął do niej mówkę.

Abrze błyszczały oczy, a Aron trzymał ją pod stołem za rękę. Wino stępiło zdenerwowanie Kala; przestał się niepokoić swoim prezentem.

Adam skończywszy jeść plumpudding powiedział:

– Chyba jeszcze nigdy nie mieliśmy tak wspaniałego Dziękczynienia.

Kal sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął przewiązany czerwoną wstążką pakiecik i posunął go po stole przed ojca.

– Co to jest? – zapytał Adam.

– Prezent.

Adam był ucieszony.

– Jeszcze nie Gwiazdka, a już mamy prezenty. Ciekawe, co to może być!

– Chusteczka – powiedziała Abra.

Adam zsunął niezdarną kokardę i rozwinął bibułę. Wpatrzył się w pieniądze. Abra spytała:

– Co to? – i wstała, żeby zobaczyć. Aron pochylił się w przód. Li stojąc w progu usiłował nie pokazać po sobie niepokoju. Rzucił spojrzenie na Kala i dostrzegł w jego oczach błysk radości i tryumfu.

Bardzo powoli Adam rozsunał palcami banknoty. Głos jego doleciał jakby z oddalenia:

– Co to jest? Co... – Urwał.

Kal przełknął ślinę.

– To jest... ja to zarobiłem... żeby ojcu dać... żeby wyrównać tę stratę na sałacie.

Adam wolno podniósł głowę.

– Tyś to zarobił? Jak?

– Z panem Hamiltonem... myśmy to zarobili... na fasoli. – Zaczął mówić prędko. – Kupiliśmy na pniu po pięć centów, a jak ceny skoczyły... To jest dla ojca, piętnaście tysięcy dolarów. Dla ojca.

Adam złożył równo nowiutkie banknoty, owinął je w bibułkę i zagiął jej końce. Popatrzał bezradnie na Li. Kal wyczuł coś – jakby katastrofę, jakby zniszczenie wiszące w powietrzu, i przytłoczyło go uczucie dławienia. Usłyszał głos ojca:

– Będziesz musiał to zwrócić.

Nieledwie z równego oddalenia odezwał się jego własny głos:

– Zwrócić? Komu zwrócić?

– Tym, od których to wzięłeś.

– Brytyjskiej Agencji Zakupów? Nie mogą tego przyjąć z powrotem. W całym kraju płacą za fasolę dwanaście i pół centa.

– To oddaj te pieniądze rolnikom, których okradłeś.

– Okradłem?! – krzyknął Kal. – Przecież im płaciliśmy za funt o dwa centy wyżej od ceny rynkowej! Wcaleśmy ich nie okradli.

Kalowi wydawało się, że zawisł w przestrzeni, a czas zwolnił biegu. Ojciec długo zwlekał z odpowiedzią. Słowa jego były jakby poprzedzielane pauzami.

– Ja wysyłam chłopców na front – mówił. – Podpisuję moje nazwisko i wtedy jadą. Niektórzy zginą, inni będą leżeli jak kłody bez rąk czy nóg. Ani jeden nie wróci nietknięty. Synu, czy myślisz, że mógłbym z tego czerpać zyski?

– Zrobiłem to dla ojca – odparł Kal. – Chciałem dać ojcu pieniądze, żeby wyrównać tę stratę.

– Nie chcę tych pieniędzy, Kal. A co do sałaty... nie zdaje mi się, żebym to wtedy robił dla zysku. Był to rodzaj gry, żeby przekonać się, czy zdołam dowieźć sałatę na miejsce, no i przegrałem. Nie chcę tych pieniędzy.

Kal patrzył prosto przed siebie. Czuł pełzające mu po policzkach spojrzenia Li, Arona i Abry. Nie spuszczał oczu z warg ojca.

– Miła mi jest twoja myśl, żeby mi zrobić prezent – mówił Adam. – Dziękuję ci za tę myśl...

– Ja to odłożę. Schowam dla ojca – przerwał Kal.

– Nie. Nigdy tego nie wezmę. Byłbym szczęśliwy, gdybyś mi mógł dać... no, choćby to, co twój brat: dumę z tego, co robi, radość z jego postępów. Pieniądze, nawet czyste pieniądze, temu nie dorównają. – Oczy rozszerzyły mu się nieco i powiedział: – Czy rozgniewałem cię, synu? Nie gniewaj się. Jeżeli chcesz dać mi prezent, ofiaruj mi swoje uczciwe życie. To będzie coś, co potrafię ocenić.

Kal czuł, że się dławi. Miał złane potem czoło i słony smak na języku. Wstał raptownie, wywracając krzesło. Wybiegł z pokoju, powstrzymując oddech.

Adam zawołał za nim:

– Nie gniewaj się, synu!

Zostawili go samego. Usiadł w swoim pokoju, łokciami oparł się o biurko. Myślał, że się rozpłacze, ale nie płakał. Próbował się zmusić, lecz łzy nie mogły przeniknąć przez rozpalone żelazo, które miał pod czaszką.

Po jakimś czasie oddech jego stał się równiejszy, a mózg zaczął pracować trzeźwo, spokojnie. Kal pasował się z tym nienawistnym, spokojnym mózgiem, lecz ten uchylał się i dalej robił swoje. Kal walczył z nim coraz słabiej, bo nienawiść przesiąkała mu w całe ciało, zatruwała każdy nerw. Czuł, że traci nad tym panowanie.

Potem zaś przysłała taka chwila, kiedy i opanowanie i strach prysnęły, a mózg Kala rozbrzmiał krzykiem bolesnego tryumfu. Kal sięgnął po ołówek i zaczął rysować na bibule biurkowej jedną po drugiej małe, kręte spirale. Kiedy w godzinę później Li wszedł do pokoju, na bibule były już setki spirali, które stawały się coraz mniejsze i mniejsze. Kal nie podniósł głowy.

Li delikatnie zamknął drzwi.

– Przyniosłem ci trochę kawy – powiedział.

– Nie chcę kawy... albo nie, proszę. Dziękuję ci, Li. Ładnie z twojej strony, że o tym pomyślałeś.

Li zawołał:

– Przestań! Przestań, mówię ci!

– Co przestań? Co mam przestać?

Li odrzekł nieswoim głosem:

– Powiedziałem ci kiedyś, jakieś mnie spytał, że wszystko jest w tobie. Powiedziałem ci, że możesz nad tym panować... jeżeli zechcesz.

– Nad czym panować? Nie wiem, o co ci idzie.

Li odrzekł:

– Czy ty mnie nie słyszysz? Czy nie mam sposobu, żeby do ciebie dotrzeć? Kal, nie rozumiesz, co mówię?

– Słyszę cię, Li. Więc co mówisz?

– On nie miał na to rady, Kal. Taka jest jego natura. Nie znał innej drogi. Nie miał wyboru. Ale ty masz. Słyszysz? Masz wybór.

Spirale stały się tak drobne, że ołówkowe kreski zbiegły się w jeden błyszczący, czarny punkt. Kal odpowiedział spokojnie:

– Czy ty aby nie robisz wielkiego hałasu o nic? Chyba się pomyliłeś. Słyszac twój ton, można by pomyśleć, że co najmniej kogoś zabiłem. Zostaw to, Li. Zostaw to.

W pokoju zaległa cisza. Po chwili Kal obejrzał się, ale już nie było nikogo. Filiżanka kawy parowała na biurku. Kal wypił gorącą kawę, nie czekając, aż ostygnie, i poszedł do salonu.

Ojciec spojrzał na niego przepraszająco. Kal powiedział:

– Bardzo mi przykro, ojcze. Nie wiedziałem, że tak się na to zapatrujesz. – Wziął z kominka paczkę banknotów i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki, z której ją przedtem wyjął. – Zobaczą, co się da z tym zrobić. – Niedbale zapytał: – A gdzie tamci?

– Abra musiała już iść. Aron ją odprowadził. Li wyszedł.

– Chyba się trochę przejdę – powiedział Kal.

4

Listopadowa noc zapadła już na dobre. Kal uchylił z lekka drzwi frontowe i zobaczył ramiona i głowę Li zarysowane na tle białej ściany Pralni Francuskiej naprzeciwko. Li siedział na schodkach ganku jakiś pękaty w swoim grubym palcie.

Kal cicho zamknął drzwi i zawrócił przez salon.

– Suszy człowieka po szampanie – powiedział. Ojciec nie podniósł wzroku.

Kal wymknął się przez kuchnię i minął wędnący ogródek Li. Przelazł przez wysoki płot, odszukał grubą, dwucalową deskę, która służyła jako mostek przerzucony przez koryto bagnistej, ciemnej wody, i wydostał się na ulicę Castroville pomiędzy piekarnią Langa a warsztatem blacharskim.

Doszedł do ulicy Kamiennej, przy której jest kościół katolicki, skręcił w lewo, minął domy Carriagów, Wilsonów i Zabali i przy domu Steinbecków znów skręcił w

lewo, w Aleję Centralną. Minąwszy dwie przecznice zaszedł za gimnazjum "Zachodnie".

Topole rosnące przed szkolnym dziedzińcem były już prawie nagie, ale nieliczne pożółkłe liście opadały jeszcze, wirując na wieczornym wietrze.

Umysł Kala był odrętwiały. Nie czuł nawet, że powietrze jest zimne, a od gór idzie przymrozek. O trzy domy przed sobą dojrzał brata, który przechodził pod latarnią zmierzając w jego stronę. Poznał go po chodzie i po sylwetce i dlatego iż po prostu wiedział, że to on.

Kal zwolnił kroku, a kiedy Aron znalazł się blisko, powiedział:

– Sie masz! Wyszędłem cię poszukać.

Aron rzekł:

– Przykro mi z powodu dzisiejszego popołudnia.

– Co mogłeś poradzić?... Daj spokój! – Zawrócił i obaj poszli razem przed siebie. – Chodź ze mną – rzekł Kal. – Chcę ci coś pokazać.

– A co?

– O, to niespodzianka. Ale bardzo ciekawa. Zainteresuje cię.

– A to długo potrwa?

– Nie, nie bardzo. Wcale niedługo.

Minęli Aleję Centralną, kierując się w stronę ulicy Castroville.

5

Sierżant Axel Dane zazwyczaj otwierał biuro werbunkowe w San Jose o godzinie ósmej rano, ale jeżeli się trochę spóźnił, robił to kapral Kemp, a Kemp nigdy się nie uskarżał. Kariera Axela nie była niezwykła. Służba w armii amerykańskiej, w czasie pokoju między wojną hiszpańską a niemiecką, uczyniła go całkowicie niezdolnym do mdłego, nie uregulowanego cywilnego życia. Jeden miesiąc dzielący dwa okresy służby przekonał go o tym ostatecznie. Natomiast dwa okresy służby podczas pokoju uczyniły go całkowicie niezdolnym do wojny, a przy tym nauczyły dostatecznie metody jej unikania. Biuro werbunkowe w San Jose było dowodem, że wie, jak sobie radzić. Podflirtowywał z najmłodszą córką Riccich, a ta mieszkała właśnie w San Jose.

Kemp służył od niedawna, ale uczył się już podstawowej zasady. Dobrze żyć ze starszym sierżantem i unikać jak ognia wszystkich oficerów. Nie miał za złe łagodnego objeżdżania, które mu aplikował sierżant Dane.

O ósmej trzydzieści Dane wszedł do biura i zastał śpiącego przy stole kaprała Kempa oraz jakiegoś wyraźnie zmęczonego chłopca, który tam siedział i czekał. Dane zerknął na chłopaka, po czym wszedł za przegrodkę i położył Kempowi rękę na ramieniu.

– Kochaneczku – powiedział. – Skowronki już śpiewają, a jutrzienka na niebie.

Kemp dźwignął głowę ze skrzyżowanych na stole ramion, otarł nos wierzchem dłoni i kichnął.

– Tak, mój słodziutki – powiedział sierżant. – Powstań; mamy klienta.

Kemp zmrużył zaropiałe oczy.

– Wojna może poczekać – oświadczył.

Dane przyjrzał się uważnie chłopcu.

– O rany, jaki śliczny! Mam nadzieję, że się nim dobrze zaopiekują. Kapralu, pewnie myślicie, że on chce chwycić za broń przeciwko wrogowi, ale mnie się widzi, że wieje od ukochanej kobiety.

Kemp z ulgą stwierdził, że sierżant nie jest całkiem trzeźwy.

– Pan myśli, że jakaś babka go skrzywdziła? – Zawsze grał tak, jak sobie życzył jego szef. – Że to coś niby Legia Cudzoziemska?

– Może ucieka sam od siebie.

Kemp rzekł:

– Znam ten obrazek. Jest na nim jeden drań sierżant.

– Nie wierzę w to – powiedział Dane. Podejdz no, młody człowieku. Osiemnaście latek, prawda?

– Tak jest.

Dane obrócił się do swojego zastępcy.

– Co ty na to?

– Cholera! – zaklął Kemp. – Jak ma wzrost, to ma i lata.

Sierżant rzekł:

– Umawiamy się, że masz osiemnaście. I będziemy się tego trzymać, dobra?

– Tak jest.

– No, to weź ten formularz i wypełnij. A wymyśl sobie rok urodzenia, wpisz tutaj i zapamiętaj.

ROZDZIAŁ L

1

Joe nie lubił, jak Kate siadywała bez ruchu i patrzyła prosto przed siebie całymi godzinami. Znaczyło to, że rozmyśla, a ponieważ jej twarz była pozbawiona wszelkiego wyrazu, Joe nie miał dostępu do jej myśli. To go niepokoiło. Nie chciał, żeby mu się wymknęła jego pierwsza prawdziwa szansa.

Miał tylko jeden plan: trzymać Kate w niepewności, dopóki się sama nie zdradzi. Wtedy mógłby podskoczyć w odpowiednim kierunku. Ale co robić, jeżeli będzie tylko siedziała i patrzyła w ścianę? Czy rzeczywiście jest podkręcona, czy nie?

Joe wiedział, że nie kładła się do łóżka, a kiedy zapytał, czy chce śniadanie, zaprzeczyła ruchem głowy tak powolnym, że trudno było rozeznaczyć, czy dosłyszała, czy nie.

Doradzał sobie roztropnie: "Aby nic nie rób! Tylko czekaj i mniej oczy i uszy otwarte". Dziewczyny czuły, że coś się święci, ale każdy z tych zatraconych ptasich mózdków podejrzewał co innego.

Kate jednak nie rozmyślała. Jej umysł unosił się wpośród rozmaitych doznań na podobieństwo nietoperza, który lata i krąży o zmierzchu. Ciągłe widziała przed sobą twarz złotowłosego, pięknego chłopca, jego oczy oszalałe od wstrząsu. Jeszcze słyszała grube słowa, które wymierzał nie tyle przeciwko niej, co przeciw sobie samemu. I widziała jego smagłego brata, jak śmiał się oparty o drzwi.

Kate śmiała się wtedy także – była to najprostsza i najlepsza samoobrona. Co też zrobi jej syn? Co zrobił, kiedy wreszcie odszedł w milczeniu?

Myślała o oczach Kala pełnych gnuśnego, nasyconego okrucieństwa, wpatrzonych w nią, gdy z wolna zamykał drzwi.

Czemu przyprowadził tu brata? Czego chciał? Do czego dążył? Gdyby chociaż wiedziała, mogłaby się zabezpieczyć. Ale nie wiedziała.

Ból znowu pełzał jej po rękach i odzywał się w nowym miejscu. Przy każdym ruchu ostro bolało ją biodro. Pomyślała: "Więc to będzie się tak zbliżało ku środkowi i wcześniej czy później wszystkie bóle spotkają się tam i zbiegną jak gromada szczurów".

Na przekór udzielanym sobie samemu radom Joe nie mógł tego tak zostawić. Przyniósł imbryk herbaty pod jej drzwi, zapukał lekko, otworzył i wszedł do środka. O ile mógł się zorientować, Kate przez cały ten czas nie zmieniła pozycji. Powiedział:

– Przyniosłem pani herbatę.

– Postaw na stole – odrzekła, a potem, jak gdyby sobie przypomniała: – Dziękuję ci, Joe.

– Niedobrze się pani czuje?

– Bóle znowu wróciły. To lekarstwo mnie zawiodło.

– Może mógłbym coś zrobić?

Podniosła obie ręce.

– Obetnij je... u napięstków. – Wykrzywiła się z bólu, który spotęgował się przez podniesienie rąk. – To całkiem beznadziejne – powiedziała żałośnie.

Joe nigdy dotąd nie słyszał u niej tonu słabości i instynkt podszeptał mu, że czas działać. Powiedział:

– Może pani woli, żebym pani nie zawracał głowy, ale dowiedziałem się czegoś o tamtej.

Po krótkiej pauzie, która poprzedziła jej odpowiedź, poznał, że Kate stężała wewnątrz.

– Jakiej tamtej? – zapytała cicho.

– Tej babie, proszę pani.

– A, idzie ci o Etel?

– Tak p'sze pani.

– To mnie już nudzi. No i cóż tam znowu?

– Ano, opowiem pani, jak to było. Nic nie mogę z tego skombinować. Akurat jestem w tym sklepie z cygarami Kelloga, a tu podchodzi do mnie jeden facet. “Pan jesteś Joe?”, pyta, a ja na to: “A bo co?” “Pan kogoś szukałeś”, on mówi. “No, słucham”, mówię ja. A nigdy tego gościa nie widziałem. “Ta osoba powiedziała mi, że chciałaby z panem pogadać”, on wtedy, a ja mu na to: “Proszę bardzo”. Przyjrzał mi się i powiada: “Możesz pan już zapomniał, co mówił sędzia”. Skapowałem się, że mu szło o to, że jej nie wolno tu wrócić.

Spojrzał na twarz Kate, bladą i nieruchomą, z oczami zapatrzonymi prosto przed siebie. Kate zapytała:

– I wtedy zażądał od ciebie pieniędzy?

– Nie, proszę pani. Skąd. Powiedział tak jakoś bez sensu: “Czy panu coś mówi imię Faye?” “Nic a nic”, ja na to, a on: “Pogadaj pan z nią o tym”. “Ano można”, powiedziałem i wyszedłem. Nie mogę nic z tego skombinować. Pomyślałem sobie, że spytam pani.

Kate zapytała:

– No, a mówi ci coś imię Faye?

– Nic a nic.

Głos jej stał się bardzo cichy.

– Czyżbyś rzeczywiście nigdy nie słyszał, że była dawniej właścicielką tego domu?

Joe uczył mdlący ucisk w dołku. Co za cholerny bałwan! Nie mógł trzymać gęby na kłódkę! Myśli targnęły mu się w popłochu.

– Ano... jak się tak zastanowię, to może i słyszałem... tylko mi się uwidziało, że na imię miała jakoś podobnie do Faith.

Nagły niepokój dobrze zrobił Kate. Uwolnił ją od obrazu tamtej złotowłosej głowy i od bólu. Dawał jej coś do roboty. Odpowiedziała na to wyzwanie nieledwie z przyjemnością. Zaśmiała się cicho.

– Faith... – mruknęła pod nosem. – Nalej mi herbaty, Joe.

Udała, iż nie zauważyła, że ręka mu drży, a dziobek imbryka dzwoni o krawędź filiżanki. Nie spojrzała na Joe'ego, nawet kiedy stawiał przed nią filiżankę i wycofywał się z zasięgu jej wzroku. Joe trząśł się z niepokoju. Kate zapytała błagalnym głosem:

– Joe, jak myślisz, mógłbyś mi pomóc? Gdybym ci dała dziesięć tysięcy dolarów, załatwiłbyś wszystko, co trzeba?

Odczekała sekundę, po czym obróciła się raptownie i spojrzała mu prosto w twarz.

Oczy Joe'ego były wilgotne. Przyłapała go w momencie, kiedy przesuwiał językiem po wargach. Na jej gwałtowny ruch odskoczył, jakby go uderzyła. Jednakże oczy Kate nie chciały go puścić.

– Czyżbym cię nakryła, Joe?

– Nie wiem, o co pani chodzi.

– Idź teraz i namyśl się, a potem przyjdź do mnie i powiedz. Umiesz wymyślać różne rzeczy. I przyślij mi tu Teresę, dobrze?

Chciał uciec z tego pokoju, gdzie został wypunktowany i pokonany. Spaprał całą robotę. Zastanowił się, czy przetrząną swoją szansę. I to babsko jeszcze miało czelność powiedzieć:

– Dziękuję, żeś mi przyniósł herbaty. Poczciwy z ciebie chłopak.

Przyszła mu ochota trzasnąć drzwiami, ale nie miał odwagi.

Kate wstała sztywno, usiłując nie poruszać biodrem, aby uniknąć bólu. Podeszła do biurka i wyjęła arkusik papieru. Trudno jej było utrzymać pióro.

Napisała, wodząc całą ręką od ramienia:

Drogi Ralfie,

Powiedz szeryfowi, że nie zawadziłoby sprawdzić odcisków palców Joe'ego Valery. Pomiętasz Joe'ego. Pracuje u mnie.

Twoja Kate

Składała papier, kiedy weszła Teresa z wystraszoną miną.

– Pani mnie wołała? Czy coś zrobiłam? Staram się, jak mogę, proszę pani, ale ostatnio nie czuję się dobrze.

– Chodź tu – powiedziała Kate i kiedy dziewczyna stanęła obok biurka, powoli zaadresowała kopertę i nakleiła znaczek.

– Chcę, żebyś mi załatwiła mały sprawunek – rzekła. – Idź do cukierni Bella i kup pięcioletowe pudełko mieszanych czekoladek i drugie, jednolite. Duże będzie dla was, dziewczynki. Po drodze zajdź do sklepu aptecznego Krougha i weź dwie średnie szczotki do zębów i puszkę proszku, wiesz, taką z dziobkiem.

– Dobrze, p'sze pani. – Teresa uczuła olbrzymią ulgę.

– Jesteś porządna dziewczyna – ciągnęła Kate. – Obserwowałam cię. Ja się źle czuję, Tereso. Jeżeli zobaczę, żeś mi to dobrze załatwiła, zastanowię się poważnie, czy cię nie zrobić moją zastępczynią, kiedy pójdę do szpitala.

– Pani... pójdzie... pójdzie do szpitala?

– Jeszcze nie wiem, moja droga. Ale będzie mi potrzeba twojej pomocy. Masz tu pieniądze na czekoladki. Szczoteczki średniej wielkości, pamiętaj.

– Dobrze, proszę pani. Dziękuję bardzo. Czy mam już iść?

– Tak. I jakoś się wymknij z domu, dobrze? Żeby inne nie dowiedziały się, co ci mówiłam.

– Wyjdę przez kuchnię. – Pospiesznie ruszyła do drzwi.

Kate powiedziała:

- Byłabym zapomniała. Możesz to wrzucić do skrzynki?
- Jasne, p'sze pani. Wrzucę na pewno. Załatwić coś jeszcze?
- Nie, to wszystko, moja droga.

Kiedy dziewczyna wyszła, Kate złożyła na biurku ręce i dłonie, tak żeby każdy powykręcany palec miał jakieś oparcie. No, więc stało się. Może i zawsze wiedziała, że tak będzie. Możliwe... ale nie trzeba teraz o tym myśleć. Jeszcze do tego wróci. Joe'ego załatwią, ale zjawi się ktoś inny, a zresztą zawsze będzie Etel. Prędzej czy później, prędzej czy później – ale teraz nie trzeba o tym myśleć. Ominęła ten temat ostrożnie, niejako na palcach, i wróciła do jakiejś nieuchwytniej rzeczy, która wychynęła na moment i zaraz się cofnęła. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, gdy rozmyślała o swoim złotowłosym synu. Sprawiała to jego twarz – zboląa, oszołomiona, zrozpaczona. Wtedy Kate przypomniała sobie tamto.

Była małą, bardzo małą dziewczynką o twarzyczce tak samo ślicznej i świeżej jak teraz twarz jej syna. Na ogół zdawała sobie sprawę, że jest sprytniejsza i ładniejsza od wszystkich innych. Ale od czasu do czasu spadał na nią przygnębiający strach i wydawało jej się, że jest otoczona ogromnym lasem wrogów. Wtedy każda myśl, każde słowo i spojrzenie były wymierzone przeciwko niej, a ona nie miała dokąd biec, nie miała gdzie się ukryć. I płakała z przestachu, bo nigdzie nie było ucieczki ani schronienia. A potem któregoś dnia zaczęła czytać pewną książkę. Umiała już czytać mając pięć lat. Pamiętała tę książkę – brązową ze srebrnym tytułem na popękany płótnie i grubą okładką. Była to *Alicja w krainie czarów*.

Kate powoli poruszyła rękami, unosząc z nich nieco ciężar ciała. Miała jeszcze w oczach ilustracje: Alicja z długimi, prostymi włosami. Ale to owa butelka mówiąca: "Wypij mnie", odmieniła jej życie. Tego ją nauczyła Alicja.

Kiedy otaczał ją las wrogów, Kate była przygotowana. W kieszeni miała flaszeczkę osłodzonej wody, a na nalepce z czerwoną ramką napisała: "Wypij mnie". Pociągnie łyk z flaszeczki i zacznie maleć i maleć. Niech jej wtedy szukają wrogowie! Cathy przycupnie pod liściem albo śmiejąc się wyjrzy z mrówczej norki. Nie uda im się jej znaleźć. Żadne drzwi nie będą przed nią zamknięte i żadne nie zdołają jej zatrzymać. Potrafi przejść wyprostowana pod drzwiami.

I zawsze była przy niej Alicja, z którą mogła się bawić, Alicja gotowa ją kochać i darzyć zaufaniem. Alicja stała się dla niej przyjaciółką, zawsze oczekującą, by ją powitać, gdy wreszcie zacznie maleć.

Wszystko to było takie dobre – takie dobre, iż niemal opłacało się pocierpieć. Ale choć było tak dobre, przecież trzymała w odwodzie jeszcze coś innego. Stanowiło to jej groźbę i jej ucieczkę. Wystarczyło jej wypić flaszkę do dna, a zaczęłyby się kurczyć i niknąć, aż w końcu przestałyby istnieć. A co najlepsze, kiedy przestałyby istnieć, byłoby tak, jakby nie istniała nigdy. W tym tkwiło jej najmilsze zabezpieczenie. Czasem w łóżku łykała tyle “Wypij mnie”, że stawała się ledwie kropeczką, małą jak najdrobniejszy komar. Ale nigdy jeszcze nie zniknęła całkowicie – bo nigdy nie musiała. To była jej rezerwa – strzeżona przed wszystkimi.

Kate smutnie potrząsnęła głową, wspominając tamtą samotną dziewczynkę. Zastanowiła się, czemu zapomniała o tej wspaniałej sztuczce. Przecież ratowała ją od tyłu klęsk! Światło przesączające się przez liść koniczyny było cudowne. Cathy i Alicja obejmując się wzajem szły wpośród olbrzymich traw – przyjaciółki najlepsze. I Cathy nigdy nie musiała łyknąć do dna “Wypij mnie”, ponieważ miała Alicję.

Kate złożyła głowę na bibule biurkowej między swymi powykręcanyimi dłońmi. Była odrętwiała i zgnębiona, samotna i pełna rozpaczy. Wszystko, co w życiu robiła, wynikało z jakiegoś musu. Różniła się od innych ludzi; miała coś więcej niż oni. Podniosła głowę, ale nie uczyniła żadnego ruchu, ażeby otrzeć łzy płynące jej z oczu. To prawda. Jest bystrzejsza i silniejsza od innych. Ma coś, czego im niedostaje.

I oto wpośród tych myśli zawisła przed nią w powietrzu ciemna twarz Kala. Wargi jego uśmiechały się z okrucieństwem. Ciężar ten przygniótł ją, wypierając dech z piersi.

Oni też mieli coś, czego jej niedostawało, i nie wiedziała, co to takiego. Kiedy się wreszcie dowie, będzie gotowa; a czuła, że gdy już będzie gotowa, okaże się, że była gotowa od dawna – może przez całe życie. Umysł jej pracował, jak gdyby był z drewna, ciało poruszało się opacznie jak źle kierowana marionetka, ale z uporem robiła dalej swoje.

Już popołudnie... poznała to po paplaninie dziewczyn w jadalni. Leniuchy dopiero teraz powstawały.

Kate miała trudności z klamką i w końcu otworzyła ją, naciskając obiema dłońmi.

Śmiech dziewczyn urwał się raptownie; popatrzyły na nią. Z kuchni wyszedł kucharz.

Kate wyglądała jak blady upiór; była skręcona i jakaś przerażająca. Oparła się o ścianę jadalni i uśmiechnęła do dziewczyn, a ten uśmiech przestraszył je bardziej jeszcze, bo był niby krzyk.

– Gdzie Joe? – spytała Kate.

– Wyszedł, p'sze pani.

– Słuchajcie – powiedziała. – Już od dawna się nie wyspałam. Wezmę teraz lekarstwo i pójdę spać. Macie mi nie przeszkadzać; kolacji nie będę jadła. Pośpię do jutra. Powiedzcie Joe'emu, że nikomu nie wolno do mnie przychodzić w żadnej sprawie aż do jutra rana. Zrozumieliście?

– Tak, p'sze pani – odpowiedziały.

– No, to dobranoc. Dopiero minęło południe, ale ja wam mówię dobranoc.

– Dobranoc pani – odpowiedziały posłusznie chórem.

Kate odwróciła się i popęzła jak krab do swego pokoju.

Zamknęła drzwi i stanęła rozglądając się, usiłując obmyślić sobie najprostszy plan działania. Zawróciła do biurka. Tym razem, pomimo bólu, przymusiła swoją rękę do napisania wyraźnie: "Pozostawiam wszystko, co posiadam, synowi mojemu Aronowi Traskowi". Postawiła datę i podpisała: "Katarzyna Trask". Chwilę wodziła palcami po papierze, następnie wstała i zostawiła swój testament na biurku, zapisaną stroną do góry.

Przy środkowym stole naląła sobie zimnej herbaty do filiżanki i zaniósła do szarego pokoju w przybudówce, gdzie postawiła ją na stoliku do czytania. Następnie usiadła przy toalecie, przyczesła włosy, natarła twarz odrobiną różu, upudrowała się lekko i umalowała sobie usta jasną pomadką, której zawsze używała. Na koniec opiłowała paznokcie i oczyściła je.

Kiedy zamknęła drzwi od szarego pokoju, zewnętrzne światło zostało odcięte i teraz tylko lampa do czytania rzucała stożek blasku na stół. Kate poprawiła poduszki, poklepała je, żeby były puszystsze, i usiadła. Na próbę przyłożyła głowę do puchowej poduszki. Było jej raczej wesoło, jak gdyby wybierała się na przyjęcie. Ostrożnie wyłowiła łańcuszek zza stanika, odkręciła pokrywkę małej tubki i wytrząsnęła na dłoń kapsułkę. Uśmiechnęła się do niej.

– "Zjedz mnie" – powiedziała i włożyła kapsułkę do ust. Wzięła ze stolika filiżankę.

– "Wypij mnie" – rzekła i popiła gorzką, zimną herbatę.

Zmusiła swoje myśli do zatrzymania się przy Alicji – tak maleńkiej, oczekującej. Z boków spoglądały inne twarze: ojciec i matka, Karol i Adam, i Samuel Hamilton, a potem Aron; widziała też uśmiechającego się do niej Kala.

Nie musiał się odzywać. Błysk jego oczu mówił: "Czegoś ci zabrakło. Tamci mieli coś, co ciebie ominęło".

Znów popchnęła swoje myśli ku Alicji. W szarej ścianie naprzeciw była dziura od gwoźdźca. Alicja pewnie tam siedzi. Obejmie wpół Cathy, a Cathy obejmie wpół Alicję i razem odejdą – najlepsze przyjaciółki – maleńkie jak łeppek szpilki.

Ciepła odrętwiałość zaczęła wkradać się w jej ręce i nogi. Z dłoni uchodził ból. Powieki jej ciążyły – ciążyły bardzo. Ziewnęła.

Pomyślała czy powiedziała, czy przeleciało jej przez głowę: "Alicja nic nie wie. Przejdę obok niej".

Oczy jej się przymknęły i targnęły nią odurzające mdłości. Podniosła powieki i rozejrzała się z przerażeniem. Szary pokój pociemniał, a stożek światła falował i marszczył się jak woda. A potem jej oczy zamknęły się znowu, palce zaś przygięły, jak gdyby ściskając czyjeś drobne piersi. Serce jej biło uroczyście, oddech stawał się coraz wolniejszy, w miarę jak malała i malała, aż wreszcie zniknęła zupełnie – i było tak, jakby nie istniała nigdy.

2

Kiedy Kate go odprawiła, Joe poszedł do fryzjera, co czynił zawsze, gdy był zdenerwowany. Kazał się ostrzyć, umyć sobie włosy szamponem jajecznym i pokropić wodą kwiatową. Poza tym zrobiono mu masaż twarzy i okład błotny, a jednocześnie wymanikowano paznokcie i wyczyszczono buty. Zazwyczaj te zabiegi oraz nowy krawat przywracały mu dobre samopoczucie, ale tym razem był nadal zgnębiony, gdy wyszedł od fryzjera, zostawiając mu pięćdziesiąt centów napiwku.

Kate przyskrzypiła go niczym szczura – przydybała, jak to się mówi, ze spuszczonej portkami. Szybkość jej orientacji sprawiła, że czuł się zgnębiony i bezradny. Nie mniej peszące było to pozostawianie człowiekowi do rozstrzygnięcia, czy jej słowa mają jakiś ukryty sens, czy nie.

Wieczór zaczął się nieciekawie, ale potem szesnastu członków i dwóch kandydatów do "Sigma Alfa Epsilon"⁹ ze Stanfordu przyjechało w wybornych humorach z fuksówki w San Juan. Byli okropnie rozhukani.

Florencja, która w "cyrku" paliła papierosa, cierpiała na ostry kaszel. Za każdą próbą kaszlała i przegrywała. A znowu "kucyk" miał biegunkę.

Studenci wrzeszczeli i walili się po plecach z rozbawienia. Poza tym pokradli wszystko, co nie było poprzybijane gwoździami.

Po ich wyjściu dwie dziewczyny wdały się w nużącą i monotonną sprzeczkę, a Teresa stwierdziła u siebie pierwsze objawy syfa. O rany, co za noc!

A tam, na końcu korytarza, owa posępna, groźna istota trwała w milczeniu za zamkniętymi drzwiami. Joe przystanął na chwilę pod nimi, zanim położył się do łóżka, lecz nie mógł nic dosłyszeć. Zamknął lokal o wpół do trzeciej, a o trzeciej już leżał – ale zasnąć nie mógł. Usiadł na łóżku, przeczytał siedem rozdziałów *Wypartej Barbary Worth*, a kiedy się rozwidniło, poszedł do pustej kuchni i zaparzył sobie kawy.

Oparł się łokciami o stół i trzymał kubek w obu dłoniach. Coś się popsulo, a Joe nie mógł dojść, co to takiego. Może się dowiedziała, że Etel już nie żyje? Trzeba będzie uważać. A potem nagle się zdecydował, zdecydował stanowczo. O dziewiątej pójdzie do niej i uszy będzie miał otwarte. Może źle zrozumiał? Najlepiej byłoby postawić swoją cenę, ale nie być zachłannym. Po prostu powiedzieć, że weźmie jeden kawałek, i wynieść się stąd do cholery, a jak by się nie zgodziła, to wynieść się i tak. Miał dosyć pracy z babami. Mógłby dostać zajęcie w domu gry w Reno – ustalone godziny i żadnych bab. Może by sobie wziął mieszkanie i jakoś je urządził – głębokie fotele, biureczko... Nie ma co mordować się w tym parszywym mieście. A w ogóle lepiej drapnąć z tego stanu. Zastanowił się, czyby nie wiać od razu; wystarczyłoby wstać od stołu, pójść na górę, w dwie minuty spakować walizkę i jazda! Trzy albo cztery minuty najwyżej. Nikomu nic nie gadać. Pomysł mu się spodobał. Ta jego szansa z Etel może i nie jest taka świetna, jak myślał z początku, ale znów tysiąc dolarów piechotą nie chodzi. Lepiej zaczekać.

Kucharz w złym humorze przyszedł do kuchni. Na karku robił mu się czyrak, wobec czego zalepił go wewnętrzną błoną skorupki jajka, ażeby się zebrał. W takim nastroju niechętnie widział kogokolwiek u siebie w kuchni.

⁹ Jedno z półtajnych stowarzyszeń studenckich, zakładanych na uniwersytetach amerykańskich (przyp. tłum.).

Joe powrócił do swego pokoju, przeczytał jeszcze trochę i spakował walizkę. Miał zamiar wynieść się tak czy owak.

O dziewiątej zapukał delikatnie do drzwi Kate i pchnął je lekko. Łóżko było nietknięte. Postawił tacę, podszedł do drzwi przybudówki, zapukał raz, potem drugi, wreszcie zawołał. W końcu otworzył drzwi.

Stożek światła padał na stolik do czytania. Głowa Kate była głęboko wtulona w poduszkę.

– Musiała pani tu przespać całą noc – odezwał się Joe. Obszedł fotel dookoła, stanął przed nią, ujrzał bezkrwiste wargi i oczy połyskujące matowo między półprzymkniętymi powiekami i wiedział już, że Kate nie żyje.

Poruszył głową z boku na bok i szybko wyszedł do drugiego pokoju, ażeby sprawdzić, czy drzwi od korytarza są zamknięte. Błyskawicznie przeszukał komodę szuflada po szufladzie, zajrzał do torebek Kate, do małego puzderka przy łóżku i stanął jak wryty. Nie miała nic, psiakrew – nawet oprawnej w srebro szczotki do włosów.

Wsunął się do przybudówki i stanął przed Kate. Ani pierścionka, ani broszki. A potem spostrzegł łańcuszek na jej szyi, wy dobył go i rozpiął. Mały złoty zegareczek, tubka i dwa klucze od safesów bankowych, numery 27 i 29.

– To tam wszystko trzymałaś, ty kurwo – powiedział.

Zsunął zegarek z cienkiego łańcuszka i wpuścił go do kieszeni. Miał ochotę trzasnąć Kate w nos. A potem przypomniał sobie o biurku.

Dwuliniowy testament odręczny zwrócił jego uwagę. Ktoś może za to zapłacić. Włożył go do kieszeni. Wyjął garść papierów z przegródki – rachunki i pokwitowania. W następnej przegródce – ubezpieczenia, w trzeciej – mała książeczka z danymi o każdej dziewczynie. To także schował do kieszeni. Zdjął gumową opaskę z paczki brunatnych kopert, otworzył jedną z nich i wyjął ze środka fotografię. Na odwrocie nazwisko, adres i tytuł wykaligrafowane kancjastym pismem Kate.

Joe roześmiał się głośno. To dopiero jest prawdziwa szansa! Zajrzał do następnej koperty i jeszcze jednej. Istna kopalnia złota – człowiek może z tego żyć całe lata! Patrzajcie na tego radcę z tłustą dupą! Założył opaskę z powrotem. W górnej szufladzie osiem banknotów dziesięciodolarowych i pęk kluczy. Pieniądze też wsadził do kieszeni. Kiedy wyciągnął drugą szufladę na tyle, że dojrzał wewnątrz papier listowy, lak i atrament, zapukano do drzwi. Podszedł do nich i uchylił je na cal.

Kucharz powiedział:

- Jakiś gość do ciebie.
- Co za jeden?
- A ja skąd mam wiedzieć, do cholery?

Joe obejrzał się na pokój, po czym wyszedł, wyjął klucz z wewnętrznej strony drzwi, zamknął je od korytarza, a klucz schował do kieszeni. Mógł przecież coś przeoczyć.

Oskar Noble stał w dużym frontowym pokoju, w kapeluszu na głowie, w grubej sukiennej kurtce zapiętej pod szyję. Oczy miał bladoszare – tej samej barwy, co krótko przystrzyżone wąsy. Pokój był pogrążony w półmroku. Nikt jeszcze nie podciągnął żaluzji.

Joe nadszedł lekkim krokiem przez korytarz, a Oskar zapytał:

- Wy jesteście Joe?
- A kto pan?
- Szeryf chciałby z wami pogadać.

Joe poczuł lód wślizgujący mu się do żołądka.

- Do mamra? – zapytał. – Nakaz pan masz?
- Ale skąd! – odparł Oskar. – Nic na was nie mamy. Tylko do sprawdzenia.

Pójdziemy?

- Jasne – rzekł Joe. – Czemu nie?

Wyszli razem. Joe zadrżał.

- Trzeba mi było wziąć płaszcz.
- Chcecie się wrócić?
- Nie warto – odpowiedział Joe.

Szli w stronę ulicy Castroville. Oskar zapytał:

- Robili wam kiedy zdjęcie albo brali odciski palców?

Joe milczał przez chwilę.

- Tak – powiedział wreszcie.
- Za co?
- Spilem się – odparł Joe. – Uderzyłem władzę.
- Ano, zaraz się dowiemy – rzekł Oskar i skręcił za róg.

Joe pognał jak zając przez ulicę i przez tory ku składom i zaułkom chińskiej dzielnicy.

Oskar musiał ściągnąć rękawiczkę i odpiąć kurtkę, żeby wydobyć pistolet. Spróbował strzelić z rzutu i chybił.

Joe zaczął biec zygzakami. Odsądził się już z pięćdziesiąt jardów i zbliżał się do luki między budynkami.

Oskar stanął pod słupem telegraficznym u krawężnika, oparł się o niego lewym łokciem, przytrzymał lewą dłońią prawy napięstek i wziął na cel wejście do małego zaułka. Strzelił w chwili, gdy Joe znalazł się na muszce.

Joe piasnął na twarz i z rozpędu poszorował po ziemi jeszcze o stopę.

Oskar wszedł do salonu bilardowego, żeby zatelefonować, a kiedy stamtąd wychodził, wokoło trupa stał już spory tłum ludzi.

ROZDZIAŁ LI

1

W roku tysiąc dziewięćset trzecim Horacy Quinn pokonał R. Keefa w wyborach na szeryfa. Otrzymał dobrą zaprawę, pełniąc obowiązki pierwszego zastępcy. Większość wyborców uznała, że skoro Quinn wykonuje lwią część roboty, może równie dobrze mieć i tytuł. Szeryf Quinn pozostał na urzędzie do roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego. Był szeryfem tak długo, iż my wszyscy, dorastający w okręgu Monterey, uważaliśmy, iż słowa "szeryf i "Quinn" łączą się w sposób naturalny. Nie mogliśmy sobie wyobrazić nikogo innego jako szeryfa. Quinn postarzał się na swoim urzędzie. Kulał po jakimś dziwnym wypadku. Wiedzieliśmy, że jest nieustraszony, bo dowiódł tego w niejednej strzelaninie, a poza tym wyglądał na szeryfa – jedyny typ szeryfa, jakiśmy znali. Twarz miał szeroką i różową, siwy wąs podkrecony jak rogi hiszpańskiego wołu. Był barczysty, a z wiekiem stał się dość korpulentny, co tylko przydawało mu powagi. Chodził w pięknym stetsonie i kurcie norfolkskiej, a w późniejszych latach nosił pistolet w kaburze zawieszony na piersi pod kurtką. Stara kabura na pasie zanadto mu objęła żołądek. Poznał dobrze swój okręg już w tysiąc dziewięćset trzecim roku, a znał go i panował nad nim jeszcze lepiej w dziewięćset siedemnastym. Był instytucją; stanowił równie nieodłączną część doliny Salinas jak otaczające ją góry.

Przez te wszystkie lata, które minęły od postrzelenia Adama, szeryf Quinn miał Kate na oku. Kiedy Faye umarła, wyczuł instynktownie, iż Kate zapewne maczała w tym palce, lecz jednocześnie wiedział, że ma niewielkie szanse udowodnienia jej tego, a roztropny szeryf nie rzuca się głową naprzód na niepodobieństwo. Ostatecznie to były tylko kurwy.

W następnych latach Kate postępowała wobec niego lojalnie, toteż stopniowo nabrał do niej pewnego szacunku. Skoro już muszą istnieć takie domy, lepiej żeby prowadziły je osoby odpowiedzialne. Od czasu do czasu Kate wykrywała kogoś poszukiwanego i donosiła o nim policji. Prowadziła dom, który nie powodował żadnych awantur. Szeryf Quinn i Kate żyli z sobą w zgodzie.

W sobotę po święcie Dziękczynienia, około południa, szeryf Quinn przeglądał papiery znalezione w kieszeni Joe'ego Valery. Pocisk kalibru 38 rozwaliał Joe'emu

połowę serca, rozplaszczyl się na żebrach i wyrwał kawał ciała wielkości pięści. Brunatne koperty były posklejane szerniałą krwią. Szeryf zwilżył papier mokrą chustką, żeby je porozdzielać. Przeczytał testament, który był złożony we czworo, tak że krew powalala go tylko od zewnątrz. Odłożył go, przejrzał fotografie znajdujące się w kopertach i westchnął głęboko.

Każda z tych kopert zawierała czyjś honor i spokój ducha. Skutecznie użyte, zdjęcia te mogłyby spowodować z pół tuzina samobójstw. Kate już leżała na stole u Mullera i formalina sączyła się w jej żyły, a żołądek stał w słoju, w biurze coronera.

Przejrzawszy wszystkie fotografie Quinn połączył się telefonicznie z pewnym numerem. Powiedział w tubę:

– Możesz teraz wpaść do mnie? No, to odłóż obiad, dobrze? Tak, chyba sam uznasz, że to ważne. Będę czekał na ciebie.

Kiedy w kilku minut później ów bezimienny mężczyzna stanął przed jego biurkiem w frontowym gabinecie w starym, czerwonym budynku więzienia okręgowego na tyłach sądu, szeryf Quinn rozłożył przed nim testament.

– Czy jako prawnik uważasz, że to ma jakąś wartość?

Przybyły odczytał dwie linijki i odetchnął głęboko przez nos.

– Czy to jest ta osoba, o której myślę?

– Tak.

– Ano, jeżeli nazywa się Katarzyna Trask, a to jest jej własnoręczne pismo, i jeżeli Aron Trask jest jej synem, to ten papier jest dobry jak złoto.

Quinn wierzchem palca nastroszył końce swych pięknych, sumiastych wąsów.

– Tyś ją znał, co?

– No, trudno powiedzieć, że znałem. Wiem, kto to był.

Quinn oparł się łokciami o biurko i pochylił się do przodu.

– Siadaj. Chcę z tobą pogadać.

Gość przysunął sobie krzesło. Skubał palcami guzik marynarki. Szeryf zapytał:

– Czy Kate cię szantażowała?

– Skądże znowu? Dlaczego by miała mnie szantażować?

– Pytam cię jak przyjaciel. Przecież wiesz, że nie żyje. Możesz mi powiedzieć.

– Nie rozumiem, o co ci idzie... nikt mnie nie szantażował.

Quinn wyciągnął z jednej z kopert fotografię, obrócił ją w palcach jak kartę do góry i przesunął w jego stronę po blacie biurka.

Jego rozmówca poprawił okulary i oddech zaświszczał mu w nosie.

– Jezu Chryste! – powiedział cicho.

– Nie wiedziałeś, że ona to ma?

– Och, wiedziałem... Dała mi znać. Na imię boskie, Horacy... co ty masz zamiar z tym zrobić?

Quinn wyjął mu z ręki fotografię.

– Horacy, co ty z tym zrobisz?

– Spalę. – Szeryf wypuścił spod dużego palca brzezi trzymanych razem kopert.

– Tu jest cała paczka piekła – rzekł. – To by mogło rozwalić w drzazgi ten okrąg.

Quinn spisał na kawałku papieru listę nazwisk. Potem dźwignął się na swojej chromej nodze i podszedł do żelaznego piecyka stojącego pod północną ścianą gabinetu. Zmiał poranną gazetę, zapalił ją i wrzucił do piecyka, a kiedy rozgorzała, wpuścił w ogień kartonowe koperty, nastawił szyber i zamknął piecyk. Płomień huczał i migotał żółto za małymi szybkami z miki, wprawionymi w przednią ściankę piecyka. Quinn otrzepał dłonie, jak gdyby były brudne.

– Negatywy są w kopertach – powiedział. – Przejrzałem jej biurko. Nie było żadnych innych odbitek.

Gość popróbowował przemówić, ale wydobył z siebie tylko chrapliwy szept.

– Dziękuję ci, Horacy.

Szeryf pokuśtykał do biurka i wziął spisaną przez siebie listę.

– Chcę cię o coś poprosić. Tutaj jest lista nazwisk. Powiedz wszystkim tym ludziom, że spaliłem fotografie. Bóg świadkiem, że ich znasz co do jednego. Od ciebie to przyjmą. Nikt nie jest święty. Weź każdego na osobność i opowiedz dokładnie, jak było. Patrz! – Otworzył drzwiczki piecyka i pogrzebaczem rozgniół czarne płyty. – Powiedz im o tym.

Gość patrzył na szeryfa, a Quinn wiedział, że nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby powstrzymać tego człowieka od zniechęcenia go. Odtąd już do końca życia miał ich rozdzielać mur, a żaden z nich nie mógł się do tego przyznać.

– Horacy, nie wiem, jak ci dziękować.

Szeryf odpowiedział ze smutkiem:

– Nie ma za co. Ja też spodziewałbym się tego samego po moich przyjaciółach.

– Przekłeta dziwka! – szepnął tamten cicho, a Horacy Quinn wiedział, że część tego przekleństwa jest przeznaczona dla niego.

Wiedział też, że nie będzie już wiele dłużej szeryfem. Ci świadomi swej winy ludzie potrafią go wygryźć i będą musieli to zrobić. Westchnął i usiadł.

– A teraz idź na obiad – rzekł. – Mam coś do roboty.

Za kwadrans pierwsza szeryf Quinn skręcił z ulicy Głównej w Aleję Centralną. W piekarni Reynauda kupił bochenek francuskiego chleba, jeszcze ciepły i smakowicie pachnący dobrze wyrośniętym ciastem.

Przytrzymując się poręczy, wszedł na ganek domu Trasków.

Otworzył mu Li, przepasany ścierką do wycierania naczyń.

– Pana Traska nie ma – powiedział.

– Już jest w drodze. Dzwoniłem do komisji poborowej. Zaczekam na niego.

Li usunął się, wpuścił go do środka i zaprowadził do salonu.

– Napije się pan dobrej, gorącej kawy? – zapytał.

– Bardzo chętnie.

– Świeżo zrobiona – powiedział Li i wyszedł do kuchni.

Quinn rozejrzał się po przytulnym, małym saloniku. Poczul, że nie ma ochoty pozostawać długo na urzędzie. Przypomniał sobie słowa pewnego lekarza: “Uwielbiam odbierać dziecko przy porodzie, bo jeżeli dobrze wykonam swoją pracę, na jej końcu jest radość”. Często myślał o tym powiedzeniu.

Przychodziło mu do głowy, że jeśli on dobrze wykona swoją pracę, na jej końcu jest dla kogoś zmartwienie. Fakt, że była to praca konieczna, tracił dla niego wagę. Niedługo zresztą będzie musiał się z tego wycofać, czy chce, czy nie chce.

Każdy człowiek ma jakiś obraz swej emerytury, kiedy to robi wszystkie te rzeczy, na które nigdy nie miał czasu – podróżuje, czyta zaległe książki, których znajomość dotąd tylko udawał. Przez wiele lat szeryf marzył o spędzeniu tego wspaniałego okresu na polowaniach i łowieniu ryb – na wędrówkach po górach Santa Lucia, obozowaniu nad brzegami niejasno zapamiętanych potoków. A teraz, kiedy już prawie przyszła pora, czuł, że stracił na to ochotę. Od spania na ziemi bolałaby go noga. Pamiętał, jak ciężki jest jeleni i jak trudno dźwigać jego bezwładny, dyndający zewłok z miejsca strzału.

A szczerze mówiąc, w ogóle nie lubił jeleniny. Madame Reynaud wprawdzie potrafiła namoczyć ją w winie i przyprawić korzeniami, no ale, psiakrew, nawet stary trzewik smakowałby dobrze po takim zabiegu.

Li kupił maszynkę do kawy. Quinn słyszał wodę bulgocącą pod szklanym kloszem i jego z dawna wytrenowany umysł podszeptał mu, iż Li nie powiedział prawdy, wspominając, że już ma świeżo zrobioną kawę.

Stary Quinn miał dobry umysł – wyostrzony przy pracy. Potrafił przywołać na pamięć i wyraźnie dojrzeć dawne twarze, a także różne sceny i rozmowy. Potrafił puszczać je sobie od nowa jak płytę albo film. Kiedy rozmyślał o jeleniu, jego umysł jednocześnie notował wszystkie szczegóły salonu i jakby trącał go mówiąc: “Patrz, tu jest coś nie w porządku – coś dziwnego”.

Szeryf usłuchał tego głosu i spojrział na pokój: kwieciste kretony, koronkowe firanki, biała мереżkowana serweta na stole, a na kanapie poduszki pokryte jaskrawym, krzykliwym wzorem. Był to pokój kobiecy w domu, w którym mieszkali sami mężczyźni.

Przypomniał sobie swój własny salonik. Pani Quinn wybrała, kupiła i czyściła wszystko, co tam było, z wyjątkiem stojaka na fajki. Chociaż właściwie stojak kupiła również ona. Tamto też jest pokój kobiecy. Ale ten tutaj jest sfalszowany. Zanadto kobiecy – pokój kobiety zaprojektowany przez mężczyznę – i przesadzony, już zbyt niewieści. To pewnie robota Li. Adam prawdopodobnie w ogóle nic nie zauważył, nie mówiąc już o tym, że sam by go nie urządził... Li starał się, żeby tu było przytulnie, a Adam tego nawet nie dostrzegał.

Horacy Quinn wspomniał, jak przesłuchiwał Adama dawno, dawno temu – przypomniał go sobie jako człowieka w męce. Jeszcze teraz widział jego nieprzytomne, przerażone oczy. Uważał wtedy Adama za człowieka takiej uczciwości, że nie było w nim miejsca na nic innego. Z biegiem lat często go widywał. Obaj należeli do masonerii. Razem przeszli przez kolejne stopnie. Horacy objął po Adamie godność Mistrza Łoży i obaj nosili odznaki Byłych Mistrzów. Adam był zawsze jakby odgradzony – niewidzialny mur oddzielał go od świata. Nie mogłeś się do niego przedostać, a on nie mógł wydostać się do ciebie. Ale póki trwała tamta dawna męka – muru nie było.

Poprzez swą żonę Adam zetknął się z żywym światem. Horacy pomyślał o tym, co się z nią działo teraz: leżała szara, obmyta, z igłami tkwiącymi w gardle, a gumowe rurki od formaliny zwisały nad nią z sufitu.

Adam nie był zdolny do nieuczciwości. Niczego nie pragnął. A trzeba czegoś pożądać, żeby być nieuczciwym. Szeryf zastanawiał się, co też się działo za jego murem; jakie napięcia, jakie radości i cierpienia.

Poprawił się na siedzeniu, żeby ulżyć swej nodze. W domu panowała cisza i tylko bulgotała kawa. Adam jakoś długo nie wracał z komisji. Szeryfowi przyszła do głowy rozbawiona myśl: “Starzeję się i właściwie mi z tym dobrze”.

W tej chwili dosłyszał Adama wchodzącego frontowymi drzwiami. Li usłyszał także i wybiegł do hallu.

– Jest tutaj szeryf – powiedział, może, aby go ostrzec.

Adam wszedł uśmiechnięty i wyciągnął rękę.

– Jak się masz, Horacy. Przyszedłeś z nakazem aresztowania? – Była to nie najlepsza próba żartu.

– Sie masz – odrzekł Quinn. – Twój służący szykuje mi filiżankę kawy.

Li wyszedł do kuchni i zaczął brząkać naczyniami. Adam zeszywniał.

– Coś niedobrego, Horacy?

– W moim zawodzie wszystko jest zawsze niedobre. Zaczekam, aż przyjdzie kawa.

– Nie zważaj na Li. On i tak słucha. Potrafi dosłyszeć przez zamknięte drzwi. Nic przed nim nie ukrywam, bo nie mogę.

Li wszedł niosąc kawę. Uśmiechnął się w zamyśleniu do siebie, a kiedy nalał im kawy i wyszedł, Adam zapytał znowu:

– Czy stało się coś złego, Horacy?

– Nie, chyba nie. Adamie, czy ta kobieta była w dalszym ciągu twoją żoną?

Adam zeszywniał.

– Tak – powiedział. – A co się stało?

– Wczoraj wieczorem odebrała sobie życie.

Twarz Adama wykrzywiła się, a oczy wezbrały i zalśniły łzami. Przygryzł wargi, wreszcie dał za wygraną, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się.

– O, moje biedne kochanie! – wyszeptał.

Quinn siedział w milczeniu, czekając, aż Adam się uspokoi; ten po chwili odzyskał panowanie nad sobą i podniósł głowę.

– Przepraszam cię, Horacy.

Z kuchni przyszedł Li i wetknął mu w rękę wilgotnawy ręcznik, a Adam otarł oczy i zwrócił mu go.

– Nie spodziewałem się tego – rzekł z zawstydzoną miną. – Co mam robić? Chyba poproszę o wydanie ciała i pochowam ją.

– Ja bym tego nie robił – odparł Horacy. – Oczywiście jeżeli nie uważasz, że musisz. Nie w tej sprawie tutaj przyszedłem.

Wyjął z kieszeni złożony testament i podał go Adamowi. Ten cofnął się.

– Czy... czy to jej krew?

– Nie, nie jej. Wcale nie jej. Przeczytaj.

Adam odczytał te dwie linijki, wpatrzył się w papier i gdzieś poza niego.

– On nie wie... że to jego matka.

– Nigdyś mu nie mówił?

– Nie.

– Chryste Panie! – stęknął szeryf.

Adam rzekł z powagą:

– Jestem pewien, że nie chciałby nic od niej. Po prostu to podrzujemy, i koniec.

Gdyby Aron wiedział, na pewno nie przyjąłby od niej niczego.

– Obawiam się, że tak nie można – odparł Quinn. – Czasem robimy różne nielegalne rzeczy. Ona miała safes w banku. Nie muszę ci mówić, skąd wzięłem ten testament albo klucz. Poszedłem do banku. Nie czekałem na nakaz sądowy. Uważałem, że to może dać pewne informacje. – Nie powiedział Adamowi, iż przypuszczał, że tam mogą być dalsze fotografie. – No i stary Bob pozwolił mi otworzyć kasetę. Zawsze możemy temu zaprzeczyć. Jest tam z górą sto tysięcy dolarów w bonach skarbowych. Całe fury pieniędzy – nic a nic poza pieniędzmi.

– Nic?

– Tylko jedna rzecz: świadectwo ślubu.

Adam odchylił się w fotelu. Powracało mu znowu uczucie oddalenia, miękka ochronna zasłona dzieląca go od świata. Spostrzegł przed sobą kawę i napił się trochę.

– Jak uważasz, co powinienem zrobić? – zapytał cicho i spokojnie.

– Mogę ci tylko powiedzieć, co ja bym zrobił – odparł szeryf Quinn. – Nie musisz iść za moją radą. Ja bym zaraz wezwał tutaj tego chłopca. Powiedziałbym mu wszystko – co do joty. Powiedziałbym nawet, dlaczego mu nie mówiłem przedtem. On ma... ile lat?

– Siedemnaście.

– To już mężczyzna. Musi się kiedyś dowiedzieć. Lepiej, żeby usłyszał wszystko za jednym zamachem.

– Kal wie – rzekł Adam. – Ciekawe, dlaczego ona to zapisała Aronowi.

– Bóg wie. No, jakie jest twoje zdanie?

– Nie mam pojęcia, więc zrobię tak, jak mówisz. Mógłbyś być przy tym?

– Jasne.

– Li – zawołał Adam. – Powiedz Aronowi, że chcę z nim pomówić. Już wrócił, prawda?

Li stanął w progu. Jego ciężkie powieki przymknęły się na chwilę, a potem podniosły znowu.

– Jeszcze nie. Może odjechał do college'u.

– Byłby mi powiedział. Wiesz, Horacy, wypiliśmy masę szampana w święto. A gdzie Kal?

– U siebie w pokoju – odrzekł Li.

– To go zawołaj. Kal będzie wiedział.

Kal miał zmęczoną minę, ramiona obwisłe z wyczerpania, ale twarz jego była ściągnięta, zamknięta, przebiegła i chytra.

Adam zapytał:

– Czy wiesz, gdzie jest twój brat?

– Nie, nie wiem – odrzekł Kal.

– W ogóle z nim nie byłeś?

– Nie.

– Od dwóch dni nie wraca na noc do domu. Gdzież on się podziewa?

– Skąd mogę wiedzieć? – zapytał Kal. – Czy mam obowiązek go pilnować?

Głowa Adama opadła, po ciele przeleciało mu mrowie, jak gdyby lekki dreszcz. Gdzieś w głębi oczu zabłysnął mały, ostry, błękitny płomyk, niewiarygodnie jaskrawy. Powiedział stłumionym głosem:

– Może wyjechał do college'u. – Wargi miał ociężałe i wymamrotał jak człowiek, który mówi przez sen: – Nie myślisz, że mógł wrócić do college'u?

Szeryf Quinn wstał.

– To, co jest do załatwienia, mogę załatwić później. Odsapnij trochę, Adamie. Przeżyłeś wstrząs.

Adam podniósł na niego wzrok.

– Wstrząs... a, tak. Dziękuję ci, Jerzy. Bardzo dziękuję.

– Jerzy?

– Dziękuję ci bardzo.

Kiedy szeryf wyszedł, Kal wrócił do swego pokoju. Adam oparł się w fotelu i wprędce zasnął, a usta mu się otworzyły i oddychał, pochrapując gardłowo.

Li przypatrywał mu się chwilę, nim wrócił do kuchni. Podniósł wieko pudła na chleb i wyjął mały, oprawny w skórę tomik, którego połączane litery były prawie zupełnie starte – Rozmyślenia Marka Aureliusza w przekładzie angielskim.

Li przetarł ścierką od naczyń stalowe okulary. Otworzył książkę i zaczął przerzucać jej kartki. Uśmiechnął się do siebie, świadomie szukając uspokojenia.

Przeczytał wolno, poruszając wargami: *Wszystko jednodniowe – i co wspomina, i co jest wspominane.*

Uważaj pilnie, jak to wszystko dzieje się za pomocą przemian i przyzwyczaj się do myśli, że niczego tak nie lubi natura wszechrzeczy, jak zmieniać to, co jest, i stwarzać rzeczy nowe a podobne. Wszystko bowiem, co jest, jest jakby nasieniem tego, co zeń powstanie...

Li spojrział na dół stronicy. *Wnet umrzesz, a jeszcze nie jesteś ani prosty, ani spokojny, ani wolny od podejrzenia, że coś zewnętrznego może ci szkodę wyrządzić, ani życzliwy dla wszystkich, ani nie pojmujesz, że rozum polega jedynie na postępowaniu sprawiedliwym.*¹⁰

Li podniósł wzrok znad stronicy i odpowiedział książce tak, jak by opowiadał któremuś ze swoich sędziwych krewnych.

– To prawda – rzekł. – Ciężka to sprawa. Przepraszam. Ale nie zapominaj, że mówisz także: *Zawsze obieraj drogę najkrótszą, albowiem krótka droga jest naturalna.* Nie zapominaj o tym.

Wypuścił kartki spod palców, aż do pierwszej, na której wypisane było grubym ciesielskim ołówkiem: *Samuel Hamilton.*

Nagle Li poweselał. Zastanowił się chwilę, czy Samuel Hamilton kiedykolwiek zauważył brak tej książki albo dowiedział się, kto ją ukradł. Li uważał wówczas, że jedynym czystym, uczciwym sposobem będzie przywłaszczyć ją sobie. I nadal był z tego zadowolony. Palce jego gładziły śliską skórę oprawy, gdy wkładał książkę na powrót do pudła na chleb. Rzekł do siebie: “To przecież jasne, że wiedział, kto ją zabrał. Któż inny ukradłby Marka Aureliusza?”

Poszedł do salonu i przysunął sobie krzesło do śpiącego Adama.

2

W swoim pokoju Kal siedział przy biurku, oparty o nie łokciami, trzymając oburącz rozbolałą głowę, ściskając dłońmi skronie. W żołądku coś mu się kotłowało, a

¹⁰ Marek Aureliusz, *Rozmyślania*, ks. IV, 35, 36, 37. Tłum. Marian Reiter.

kwaśnośladki zapach whisky był na nim i w nim, żył w porach jego ciała, w jego ubraniu, pulsował mu leniwie w skroniach.

Kal nigdy dotąd nie pił, nigdy tego nie potrzebował. A pójście do Kate nie przyniosło mu ulgi od bólu, a zemsta nie okazała się tryumfem. Wspomnienia jego były niby skłębiony opar, potłuczone okruchy odgłosów, rzeczy widzianych i odczuć. Nie mógł oddzielić tego, co było prawdą, od swoich wyobrażeń. Gdy wychodzili od Kate, dotknął szlochającego brata i wtedy Aron zwałił go pięścią jak biczem. Stał chwilę nad Kalem w ciemnościach, a potem nagle obrócił się i uciekł, krzycząc jak zrozpaczone dziecko. Kal jeszcze miał w uszach ten jego chrapliwy krzyk i tupot biegnących stóp.

Kal leżał bez ruchu tam, gdzie upadł, pod wysokim ligustrem w ogrodzie Kate. Słyszał lokomotywy sapiące i fukające koło parowozowni i chrzęst popychanych wagonów towarowych. Potem przymknął oczy, ale kiedy usłyszał lekkie kroki i wyczuł przy sobie czyjąś obecność, uniósł powieki. Ktoś pochylił się nad nim i wydało mu się, że to Kate. Postać oddaliła się cicho.

Po jakimś czasie Kal wstał, otrzepał się i poszedł w kierunku ulicy Głównej. Dziwił się własnej obojętności. Nucił sobie pod nosem: "Rośnie róża przed okopem, miło na nią spojrzeć..."

W piątek spędził cały dzień na rozmyślaniach. Wieczorem Joe Laguna kupił mu ćwiartkę whisky. Kalowi nie sprzedaliby jej, bo był za młody. Joe chciał popić z nim razem, ale zadowolili się dolarem, który dostał od Kala, i zawrócił na półkwaterek grappy.

Kal dotarł do zaułka za "Abbot House" i odnalazł zacienione miejsce pod słupem, gdzie przesiedział tamtą noc, kiedy po raz pierwszy zobaczył matkę. Usiadł po turecku na ziemi i pomimo odrazy i mdłości wmusił w siebie whisky. Dwa razy zwymiotował, ale pił dalej, dopóki ziemia nie zaczęła przechylać się i kołysać, a uliczna latarnia wirować majestatycznie.

Wreszcie butelka wypadła Kałowi z ręki i stracił przytomność, ale nawet wtedy wymiotował jeszcze resztkami sił. Poważny, krótkowłosy pies – miejski bywalec – wbiegł z zadartym ogonem w zaułek, przystając tu i ówdzie po drodze, ale zwietrzył Kala i okrążył go z daleka. Joe Laguna także odnalazł go i zwąchał. Potrząsnął butelką, która stała oparta o nogę Kala, obejrzał ją pod światło i stwierdził, że została w niej jedna trzecia. Poszukał korka, ale nigdzie nie mógł znaleźć. Odszedł zatykając otwór szyjki dużym palcem, ażeby whisky się nie wylała.

Kiedy o chłodnym świcie zbudził zmalretowanego Kala przymrozek, chłopak powlókł się do domu jak przetrącony robak. Nie musiał iść daleko: tylko do wyjścia z zaułka, a potem na drugą stronę ulicy.

Li usłyszał go pod drzwiami i poczuł jego odór, kiedy Kal zataczając się szedł korytarzem do swego pokoju, aby tam zwalić się na łóżko. Głowa pękała mu z bólu; był już zupełnie rozbudzony. Nie miał odporności na zmartwienie ani żadnego sposobu obronienia się przed wstydem. Po pewnej chwili zrobił to, co mu się wydało najlepsze: wziął lodowatą kąpiel, wyszorował i oskrobał sobie całe ciało kawałkiem pumeksu, a ból od tego tarcia wydał mu się przyjemny.

Wiedział, że musi przyznać się ojcu do winy i prosić go o przebaczenie. I że przyjdzie mu ukorzyć się przed Aronem, nie tylko teraz, ale już na zawsze. Bez tego nie mógłby żyć. A jednak kiedy go zawołano i znalazł się w pokoju z szeryfem Quinnem i ojcem, był rozeźlony i gniewny jak kąśliwy pies, a nienawiść do samego siebie zwróciła się na zewnątrz, ku wszystkim – stał tam jak złe szczenię, nie kochane i nie kochające.

Potem, gdy wrócił do swego pokoju, osaczyło go poczucie winy, a nie miał żadnej broni, by je odeprzeć.

Zbudził się w nim paniczny strach o Arona. Może mu się coś stało, może coś mu grozi? Przecież nie potrafi dać sobie rady. Kal poczuł, że musi sprowadzić Arona z powrotem, odnaleźć go i zrobić wszystko, żeby znowu był taki jak dawniej. I trzeba to uczynić, nawet choćby kosztem jakiejś ofiary. Myśl o ofierze owładnęła Kalem tak, jak to bywa z tymi, co czują się winni. Ofiara może dotrzeć do Arona i skłonić go do powrotu.

Kal podszedł do komody i spod chustek leżących w szufladzie wyjął płaską paczuszkę. Rozejrzał się po pokoju, wziął porcelanową tackę i postawił ją na biurku. Odetchnął głęboko, czując świeżość chłodnego powietrza. Wyciągnął jeden z szeleszczących banknotów, zgiał go w połowie pod kątem, potarł zapalną o spód biurka i podpalił. Gruby papier zwinął się i poczerniał, płomień pobiegł do góry i dopiero kiedy dotknął palców Kala, ten opuścił zwęglony ogarek na tackę. Wyciągnął następny banknot i zapalił go.

Kiedy spalił już sześć, Li wszedł bez pukania.

– Poczulem swąd – zaczął, a potem zobaczył, co Kal robi. – O! – powiedział. Kal już się nastawił na atak, który jednak nie nastąpił. Li skrzyżował ręce na piersiach i stał w milczeniu, czekając. Kal uparcie zapalał banknot za banknotem, dopóki nie

spłonęły wszystkie, a wtedy rozgniół czarne strzępki na proch i czekał na uwagi Li, ale ten nie odezwał się ani nie poruszył. Wreszcie Kal powiedział:

– No, dalej... Przecież chcesz ze mną mówić. Proszę!

– Nie – odrzekł Li. – Nie chcę. A jeżeli ty nie czujesz potrzeby porozmawiania ze mną... to zostanę tu chwilę, a potem pójdę. Usiądę sobie o, tutaj.

Przycupnął na krześle, skrzyżował ręce i czekał. Uśmiechał się do siebie, a twarz jego miała wyraz, który nazywa się nieprzenikniony.

Kal odwrócił się od niego.

– Potrafię cię przetrzymać – rzekł.

– W jakichś zawodach może i tak – odparł Li. – Ale w takim siedzeniu dzień za dniem, rok za rokiem... a kto wie? – może stulecie za stuleciem, to nie, Kal. Przegrałbyś.

Po chwili Kal powiedział z rozdrażnieniem:

– Czekam na dalszy ciąg kazania.

– Ja ci nie mówię kazania.

– No to po coś tu przyszedł, psiakrew? Przecież wiesz, co zrobiłem, a wczoraj wieczorem się urznąłem.

– Domyślałem się pierwszego, a drugie mogę wyczuć nosem.

– Nosem?

– Jeszcze teraz cuchniesz – odparł Li.

– Pierwszy raz mi się zdarzyło – rzekł Kal. – Nie smakuje mi to.

– Mnie też nie – odpowiedział Li. – Mój żołądek nie trawi wódki. Poza tym to mnie wprawia w nastrój swawolny; intelektualny, ale swawolny.

– Jak to, Li?

– Mogę ci tylko dać przykład. Za młodych lat grywałem w tenisa. Lubiłem tę grę, a poza tym to było korzystne dla służącego. W debłu mógł łapać piłki puszczone przez swego pana i dostawać za to wprawdzie nie podziękowanie, ale parę dolarów. I otóż raz – chyba to wtedy było po sherry – doszedłem do wniosku, że najszybszymi i najbardziej nieuchwytnymi stworzeniami na świecie są nietoperze. Zostałem przytrzymany w środku nocy na dzwonnicy kościoła metodystów w San Leandro. Miałem w ręku rakietę i podobno wyjaśniłem aresztującemu mnie policjantowi, że trenowałem sobie backhand na nietoperzach.

Kal roześmiał się z takim rozbawieniem, iż Li nieledwie pożałował, że nie zrobił tego naprawdę. Kal powiedział:

– Po prostu usiadłem sobie za słupem i spałem się jak świnia.
– Zawsze te zwierzęta...
– Bałem się, że jeśli się nie upiję, to strzelę sobie w łeb – przerwał mu Kal.
– Tego byś nigdy nie zrobił. Jesteś za małostkowy – rzekł Li. – Ale słuchaj: gdzie się podział Aron?

– Uciekł. Nie wiem dokąd.
– On nie jest za małostkowy – powiedział Li nerwowo.
– Wiem. O tym właśnie myślałem. Chyba nie przypuszczasz, że mógłby to zrobić, prawda, Li?

Li odrzekł z rozdrażnieniem:

– Psiakrew, jak tylko ktoś chce uspokojenia, każe przyjacielowi myśleć, że jest tak, jak sam by chciał, żeby było. To zupełnie to samo, co pytać kelnera, jakie są dobre potrawy danego dnia. Skądże ja mogę wiedzieć, do diaska?

Kal krzyknął:

– Dlaczego ja to zrobiłem! Dlaczego to zrobiłem!
– Nie udawaj, że to takie skomplikowane – rzekł Li.
– Dobrze wiesz, dlaczego to zrobiłeś. Byłeś na niego wściekły, a wściekły byłeś dlatego, że ojciec zranił twoje uczucia. To wcale nietrudne. Najzwyczajniej okazałeś się podły.

– Nad tym się właśnie zastanawiam... dlaczego jestem podły. Li, ja nie chcę być podły. Pomóż mi, Li!

– Chwileczkę – powiedział Li. – Zdawało mi się, że słyszę twojego ojca. – Wypadł za drzwi.

Kal przez chwilę słyszał jakieś głosy, a potem Li wrócił do pokoju.

– Idzie na pocztę. Po południu nigdy nie dostajemy korespondencji. Zresztą nikt nie dostaje. A jednak wszyscy w Salinas chodzą na pocztę po południu.

– Niektórzy wstępują po drodze na jednego.

– Zdaje się, że to rodzaj przyzwyczajenia i rodzaj odpoczynku. Ludzie spotykają się wtedy ze znajomymi. – Po chwili dodał: – Kal... twój ojciec mi się nie podoba. Chodzi jak otumaniony. Ach, zapomniałem. Przecież ty nic nie wiesz. Twoja matka popełniła samobójstwo wczoraj wieczorem.

Kal powiedział:

– Tak? – a potem warknął: – Mam nadzieję, że cierpiała. Nie... Nie chciałem tego powiedzieć. Nie chciałem tego pomyśleć. Znowu to samo. Znowu! Ja nie chcę... nie chcę... żeby tak było!

Li podrapał się w jedno miejsce na głowie, ale od tego zaczęła go swędzić wszędzie, więc jął się skrobać niespiesznie po całej czaszce. To nadawało mu pozór głębokiego zamyślenia. Zapytał:

– Czy spalenie pieniędzy sprawiło ci wielką przyjemność?

– Tak... Chyba tak.

– A czy znajdujesz przyjemność w tym samobiczowaniu? Czy rozkoszujesz się swoją rozpaczą?

– Li!

– Jesteś bardzo pochłonięty sobą. Dziwujesz się tragicznemu widowisku Kaleba Traska – Kaleba wspaniałego, jedyne na świecie. Kaleba, którego cierpienie winno by znaleźć swego Homera. Czy pomyślałeś kiedy, że jesteś zwykłym smarkaczem – czasem podłym, czasem niewiarygodnie szlachetnym? Brudnym w swoich nawykach, a dziwnie czystym w myślach. Może masz trochę więcej energii niż inni – tylko energii – ale poza tym jesteś bardzo podobny do wszystkich smarkaczy. Czy próbujesz przystrajać się w dostojność i tragiczność dlatego, że twoja matka była kurwą? A gdyby coś się stało twojemu bratu, czy będziesz zdolny domagać się godności mordercy, smarkaczu?

Kal powoli powrócił do biurka. Li nie spuszczał go z oka, wstrzymując oddech, podobnie jak lekarz obserwujący reakcję na zastrzyk. Li widział te reakcje zapalające się w Kalu – wściekłość wywołana zniewagami, wojowniczość, po niej zranione uczucia, a z tego wszystkiego – początek ulgi.

Li westchnął. Pracował tak usilnie, tak serdecznie, i jego praca najwyraźniej wydawała owoce. Powiedział cicho:

– Jesteśmy narodem gwałtownym, Kal. Wydaje ci się dziwne, że i siebie do niego zaliczam? Może to prawda, że wszyscy pochodzimy od ludzi niespokojnego ducha, nerwoców, złoczyńców, awanturników i zawadiaków – ale także dzielnych, niezawisłych i szlachetnych. Gdyby nasi pradiadowie nie byli tacy, siedzieliby na swoich ojczystych zagrodach w starym świecie i zdychaliby z głodu na wyciśniętej do ostatka ziemi.

Kal obrócił się ku niemu, a z jego twarzy zniknął wyraz napięcia. Uśmiechnął się, i Li pojął, że nie zwiódł go całkowicie. Kal wiedział, że to było zamierzone – i wykonane dobrze – i czuł dla niego wdzięczność. Li mówił dalej:

– Dlatego i siebie tu zaliczam. Wszyscy mamy to samo dziedzictwo niezależnie od tego, który stary kraj porzucili nasi ojcowie. Amerykanie wszelkich odmian i kolorów skóry mają mniej więcej podobne skłonności. To jest odrębne plemię – dobrane przez przypadek. Dlatego jesteście przesadnie odważni i przesadnie lękliwi – dobrzy i okrutni jak dzieci. Zanadto lgniemy do każdego, a jednocześnie boimy się obcych. Chętni jesteśmy, a łatwo nam zaimponować. Jesteśmy nadmiernie sentymentalni, a zarazem praktyczni; światowi i materialistyczni – a czy znasz jakiś inny naród, który by robił wszystko dla ideałów? Jemy za wiele. Nie mamy gustu ani poczucia proporcji. Trwonimy bezpożytecznie naszą energię. W starych krajach mówią o nas, że przechodzimy od barbarzyństwa do dekadencji, nie stworzywszy między jednym a drugim kultury. Czyżby ci, co nas krytykują, nie znali klucza do naszej kultury ani jej języka? Tacy jesteśmy, Kal, my wszyscy. I ty niewiele od tego odbiegasz.

– Mów dalej – rzekł Kal, uśmiechnął się i powtórzył:

– Mów dalej.

– Więcej nie potrzeba – odparł Li. – Skończyłem. Chciałbym, żeby twój ojciec już wrócił. Martwię się nim. – I Li wyszedł nerwowym krokiem.

W sieni, przy drzwiach frontowych, zastał Adama opartego o ścianę, przygarbionego, w kapeluszu naciśniętym na oczy.

– Adamie, co ci się stało?

– Nie wiem. Jestem jakiś zmęczony... jakiś zmęczony.

Li ujął go pod ramię i musiał poprowadzić do salonu. Adam opadł ciężko na fotel, a Li zdjął mu kapelusz z głowy. Adam pocierał prawą ręką lewą dłoń. Oczy miał dziwne, bardzo czyste, lecz nieruchome. Wargi jego były suche i obrzmiałe, a głos przywodził na myśl człowieka mówiącego przez sen, dochodził powoli i jakby z oddalenia. Adam mocno potarł dłoń.

– Dziwna rzecz – powiedział. – Musiałem zemdleć... na poczcie. Nigdy nie mdleję. Pan Pioda pomógł mi wstać. To zdaje się trwało sekundę. A przecież nigdy nie mdleję.

Li zapytał:

– Były jakieś listy?

– Tak... tak... chyba były. – Wsunął lewą dłoń do kieszeni, ale po chwili ją wyjął. – Rękę mam jakby drętwą – powiedział tonem usprawiedliwienia, po czym sięgnął prawą i wydobyl z kieszeni żółtą pocztówkę urzędową.

– Zdaje się, że to czytałem – powiedział. – Musiałem czytać. – Podniósł kartę do oczu, a potem opuścił ją na kolana. – Li, muszę sobie sprawić okulary. Nigdy w życiu ich nie używałem. Ale nie mogę przeczytać. Litery mi skaczą.

– Może ja przeczytam?

– Zabawne... pierwsza rzecz, to kupię sobie okulary... No, co tam jest?

I Li odczytał:

– *Drogi Ojciec, jestem w wojsku. Powiedziałem, że mam osiemnaście lat. Nie mi nie będzie. Nie martwcie się o mnie. Aron.*

– Zabawne – powtórzył Adam. – Wydaje mi się, że już to czytałem. Ale chyba nie. – Znów roztarł rękę.

ROZDZIAŁ LII

1

Zima roku 1917-18 była okresem przygnębienia i lęku. Niemcy miażdżyli wszystko przed sobą. W ciągu trzech miesięcy Anglicy stracili trzysta tysięcy ludzi. Zbuntowało się wiele jednostek armii francuskiej. Rosja odpadła od wojny. Niemieckie dywizje ze wschodu, wypoczęte i wyposażone na nowo, rzucono na front zachodni. Sytuacja wydawała się beznadziejna.

Przyszedł maj, zanim zdołaliśmy wysłać w pole ledwie dwanaście dywizji, a dopiero w lecie wojska nasze zaczęły przepływać ocean w większej liczbie. Alianccy generałowie ścierali się między sobą. Łodzie podwodne czyniły rzeź wśród przepływających statków.

Zrozumieliśmy, że wojna nie jest szybką, heroiczną szarżą, ale powolną, niewiarygodnie skomplikowaną sprawą. Upadliśmy na duchu w tych zimowych miesiącach. Utraciliśmy płomień entuzjazmu, a nie nabraliśmy jeszcze uporczywego do prowadzenia długiej wojny.

Ludendorff był niepokonany. Nic go nie mogło zatrzymać. Przypuszczał atak za atakiem na rozbite armie Francji i Anglii. I przyszło nam na myśl, żeśmy się może spóźnili i że wkrótce zostaniemy sami naprzeciw niezwyciężonym Niemcom.

Pospolitym zjawiskiem było, że ludzie szukali ucieczki od wojny – jedni w fantazji, inni w rozpuście, jeszcze inni w rozpasanej wesołości. Panował wielki popyt na wróżów, a knajpy robiły kokosy. Ale ludzie szukali także w sobie samych, w swoich osobistych radościach czy tragediach, ucieczki od wszechobecnego lęku i zgnębienia. Czy nie jest dziwne, że dziś o tym zapomnieliśmy? Pamiętamy pierwszą wojnę światową, jako szybkie zwycięstwo, sztandary i orkiestry, parady i zabawy, powroty żołnierzy, bójki po barach z przekłętymi "Tommies", którym się zdawało, że to oni wygrali wojnę. Jakże szybko zapomnieliśmy, że owej zimy nie można było pokonać Ludendorffa i że wielu ludzi przygotowywało się w duchu i w myśli na przegraną!

Adam Trask był bardziej zaskoczony niż smutny. Nie musiał prosić o zwolnienie z komisji poborowej. Udzielono mu urlopu zdrowotnego. Godzinami przesiadywał, rozcierając wierzch lewej dłoni. Tarł ją też ostrą szczotką i moczył w gorącej wodzie.

– To jest coś z krążeniem – mówił. – Jak tylko poprawi się krążenie, wszystko będzie dobrze. Naprawdę to się martwię moimi oczami. Nigdy nic z nimi nie miałem. Chyba trzeba poprosić lekarza, żeby mi przepisał okulary. Ja w okularach! Trudno mi będzie się przyzwyczaić. Poszedłbym dzisiaj, ale jestem trochę otumaniony.

Był bardziej otumaniony, niż się przyznawał. Nie mógł chodzić po domu nie opierając się ręką o ścianę. Li często musiał pomagać mu przy wstawaniu z fotela czy rano z łóżka, a także sznurować trzewiki, ponieważ Adam nie mógł zawiązać kokardki zdrętwiałą lewą ręką.

Prawie co dzień wracał do sprawy Arona.

– Doskonale rozumiem, że młody człowiek może chcieć się zaciągnąć – mówił. – Gdyby Aron ze mną pomówił, mógłbym mu to odradzać, ale nie byłbym zabronił. Przecież wiesz, Li.

– Wiem.

– I tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego się wykradł z domu? Dlaczego nie pisze? Myślałem, że go lepiej znam. A do Abry pisał? Chyba musiał napisać.

– Zapytam jej.

– Koniecznie. Zrób to zaraz.

– Przeszkolenie jest bardzo ciężkie. Tak mi mówili. Może nie ma czasu.

– Nie trzeba wiele czasu, żeby napisać kartkę.

– A jak pan był w wojsku, to pan pisywał do ojca?

– Myślisz, żeś mnie przyłapał, co? Nie, nie pisywałem, ale miałem swoje powody. Ja nie chciałem się zaciągać. To ojciec mnie zmusił. Miałem do niego żal. Jak widzisz, powody były. Ale Aron... Tak dobrze mu szło w college'u. Przecież pisali, pytali się o niego. Czytałeś ten list. I nie wziął z sobą nic z ubrania. Nie wziął też złotego zegarka.

– W wojsku nie potrzeba mu ubrania ani złotych zegarków. Tam wszystko jest bure.

– Pewnie masz rację. Ale jednak tego nie rozumiem. Muszę coś zrobić z moimi oczami. Nie mogę cię prosić, żebyś mi każdą rzecz czytał. – Oczy naprawdę go niepokoiły. – List widzę – mówił – ale słowa mi się zamazują.

Z tuzin razy na dzień chwycił gazetę lub książkę, wpatrywał się w nią i odkładał.

Li czytywał mu gazety dla uspokojenia, i nieraz w środku lektury Adam zasypiał. Potem budził się i pytał:

– Li? Czy to ty, Kal? Wiesz, nigdy nic nie miałem z oczami. Pójdę jutro do doktora, żeby je zbadał.

Gdzieś około połowy lutego Kal wszedł do kuchni i powiedział:

– Li, on wciąż o tym mówi. Trzeba, żeby mu zbadali oczy.

Li dusił właśnie morele. Odszedł od pieca, zamknął drzwi i zawrócił.

– Nie chcę, żeby chodził do lekarza – odparł.

– Dlaczego?

– Bo nie przypuszczam, żeby to były oczy. Może się zmartwić, jak się dowie. Zostawmy go jakiś czas w spokoju. Przeżył paskudny wstrząs. Niech trochę przyjdzie do siebie. Będę mu czytał tyle, ile zechce.

– A ty przypuszczasz, że co to jest?

– Nie chcę nic mówić. Myślałem sobie, żeby może zajrzał tu doktor Edwards, ot tak, z przyjacielską wizytą... po prostu żeby się z nim zobaczyć.

– Niech będzie, jak uważasz – rzekł Kal.

Li powiedział:

– Kal, widziałeś się z Abłą?

– Owszem, widuję ją. Ale ucieka ode mnie.

– Nie mógłbyś jej kiedy złapać?

– Jasne... i mógłbym też przewrócić ją na ziemię, dać jej pięścią w nos i zmusić do rozmowy ze mną, ale tego nie zrobię.

– Gdybyś chociaż przełamał pierwsze lody... Czasami przegroda jest taka słaba, że rozpada się za lada dotknięciem. Przyłap ją kiedy. Powiedz, że chciałbym z nią pomówić.

– Nie zrobię tego.

– Czujesz się strasznie winny, co?

Kal nie odpowiedział.

– Nie lubisz jej?

Kal milczał.

– Jeżeli będziesz dalej to ciągnął, poczujesz się tylko gorzej, nie lepiej. Otwórz się trochę. Przestrzegam cię: lepiej się otwórz.

Kal krzyknął:

– Chcesz, żebym powiedział ojcu, co zrobiłem? Powiem, jeżeli mi każesz!

– Nie, Kal. Nie teraz. Ale będziesz musiał, jak ojciec wydobrzeje. Będziesz musiał to zrobić po prostu dla siebie. Nie możesz sam tego dźwigać. To cię w końcu zabije.

– Może zasługuję, żeby mnie zabiło.

– Skończ z tym! – rzekł zimno Li. – To może być najtańszy rodzaj samopobłażania. Skończ z tym!

– Jak się robi, żeby skończyć? – zapytał Kal.

Li zmienił temat.

– Nie rozumiem, dlaczego Abra tu nie była; ani razu.

– Teraz już nie ma powodu przychodzić.

– To do niej niepodobne. Coś tu jest nie w porządku. Widziałeś ją ostatnio?

Kal spojrział spode łba.

– Już ci mówiłem, że tak. Ty też dostajesz fioła. Trzy razy próbowałem z nią porozmawiać. Ucieka ode mnie.

– Coś tu jest nie w porządku. To dobra kobieta, prawdziwa kobieta.

– Dziewczyna – poprawił Kal. – Śmiesznie brzmi, jak ją nazywasz kobietą.

– Nie – odrzekł cicho Li. – Niektóre są kobietami od chwili przyjścia na świat. Abra ma urodę kobiety i dzielność, i siłę... i mądrość. Rozumie pewne rzeczy i godzi się z nimi. Założyłbym się, że nie potrafi być małostkowa ani podła, ani nawet próżna, chyba tylko wtedy, gdy ładnie jest być próżną.

– Masz o niej dobre zdanie, nie ma co mówić.

– Na tyle dobre, że nie wierzę, aby nas mogła opuścić. – Po chwili dodał: – Brak mi jej. Poproś, żeby do mnie przyszła.

– Mówiłem ci, że ucieka ode mnie.

– No to ją pogoń. Powiedz, że chcę się z nią zobaczyć. Brak mi jej.

Kal zapytał:

– Możemy teraz wrócić do sprawy oczu ojca?

– Nie – odparł Li.

– To może pomówmy o Aronie?

– Nie.

3

Przez cały następny dzień Kal próbował rozmówić się z Abra na osobności, ale dopiero po szkole zobaczył ją przed sobą, wracającą do domu. Skręcił za róg, przebiegł kawałek równoległą ulicą, potem z powrotem, a tak wyliczył czas i odległość, że trafił prosto na nią.

– Jak się masz – powiedział.

– Dzień dobry. Zdawało mi się, że cię widziałam za sobą.

– Słusznie. Obleciałem dookoła, żeby ci zejść drogę. Chcę z tobą pomówić.

Spojrzała na niego poważnie.

– Mogłeś to zrobić bez latania dookoła.

– Ano, próbowałem rozmówić się z tobą w szkole. Uciekałaś ode mnie.

– Bo byłeś wściekły. Nie chciałam z tobą rozmawiać, pókiś był wściekły.

– Skąd wiesz, że byłem?

– Widziałam to po twojej minie i chodzie. Teraz już nie jesteś.

– Nie, nie jestem.

– Poniesiesz mi książki? – Uśmiechnęła się.

Oblała go fala ciepła.

– Tak... tak, chętnie. – Wziął pod pachę podręczniki Abry i ruszył dalej obok niej. – Li chce się z tobą zobaczyć. Prosił, żeby ci powiedzieć.

To ją ucieszyło.

– Naprawdę? Powiedz mu, że przyjdę. Jak twój ojciec?

– Nie bardzo. Oczy mu dokuczają.

Szli jakiś czas w milczeniu, wreszcie Kal nie wytrzymał.

– Wiesz o Aronie?

– Tak. – Zamilkła. – Otwórz teczkę i zobacz, co jest przy pierwszej kartce.

Przerzucił książki. W teczce była pocztówka. *Kochana Abro – brzmiała. – Nie czuję się czysty. Nie jestem ciebie wart. Nie martw się. Jestem w wojsku. Nie chodź do mojego ojca. Do widzenia. Aron.*

Kal zatrzasnął książkę.

– Sukinsyn! – mruknął pod nosem.

– Co mówisz?

– Nic.

– Słyszałam, co powiedziałeś.

– Czy wiesz, dlaczego odjechał?

– Nie. Może i mogłabym się domyślić... składając ziarnko do ziarnka. Ale nie chcę. Nie mam na to ochoty... to jest... chyba że sam chciałbyś mi powiedzieć.

Nagle Kal zapytał:

– Abro... Czy ty mnie nienawidzisz?

– Nie, Kal; ale ty nienawidzisz mnie trochę. Dlaczego tak jest?

– Ja... ja się ciebie boję.

– Nie ma potrzeby.

– Skrzywdziłem cię bardziej, niż myślisz. A jesteś dziewczyną mojego brata.

– Niby czym mnie skrzywdziłeś? Poza tym nie jestem dziewczyną twojego brata.

– No dobrze – powiedział z goryczą. – Powiem ci... tylko nie zapominaj, że sama mnie o to prosiłaś. Nasza matka była kurwą. Prowadziła dom tu, w tym mieście. Dowiedziałem się już dawno. W wieczór Dziękczynienia zabrałem tam Arona i pokazałem mu. No i...

Abra przerwała mu z podnieceniem:

– I co on zrobił?

– Wściekł się... po prostu oszalał. Ryczał na nią. Jakiśmy wyszli, zwałił mnie na ziemię i uciekł. Nasza kochana mamunia zabiła się, a ojciec... on... coś z nim jest nie w porządku. Teraz już wszystko o mnie wiesz. Teraz przynajmniej masz powód, żeby ode mnie uciekać.

– Teraz wiem wszystko o nim – powiedziała spokojnie.

– O Aronie?

– Tak, o Aronie.

– On był dobry. Dlaczego powiedziałem: był? Jest dobry. Nie taki podły ani brudny jak ja.

Szli obok siebie bardzo powoli. Nagle Abra przystanąła; Kal też przystanął, a ona obróciła się do niego.

– Kal – powiedziała. – Wiedziałam o waszej matce od bardzo, bardzo dawna.

– Niemożliwe!

– Słyszałam, jak o niej rozmawiali moi rodzice, kiedy myśleli, że śpię. Chcę ci coś powiedzieć, a to jest ciężko mówić i dobrze jednocześnie.

– Ale chcesz?

– Muszę. Nie tak znów strasznie dawno temu dorastałam i przestałam być małą dziewczynką. Rozumiesz, o co mi idzie?

– Tak – odrzekł Kal.

– Na pewno?

– Tak.

– No to dobrze. Trudno mi to teraz mówić. Szkoda, że nie powiedziałam przedtem. Ja już nie kochałam Arona.

– Dlaczego?

– Próbowałam go rozgryźć. Póki byliśmy dziećmi, żyliśmy w bajce wymyślonej przez nas samych. A kiedy dorosłam, ta bajka przestała mi wystarczać. Musiałam mieć coś innego, bo już nie była prawdziwa.

– Ale...

– Zaczekaj... Pozwól mi skończyć. Aron nie dorósł. Może nie dorośnie nigdy. Chciał tamtej bajki i chciał, żeby układała się według jego woli. Nie znosił myśli, że mogłaby ułożyć się inaczej.

– A ty?

– Ja nie chcę wiedzieć, jak ona się ułoży. Chcę po prostu być przy tym. I słuchaj, Kal... ostatnio byliśmy dla siebie jak obcy. Ciągnęliśmy to, bośmy tak przywykli. Ale ja nie wierzyłam już w tę bajkę.

– A Aron?

– On chciał nią kierować po swojemu, choćby mu przyszło wywrócić świat do góry nogami.

Kal stał zapatrzony w ziemię. Abra zapytała:

– Wierzysz mi?

– Próbuję to zrozumieć.

– Kiedy się jest dzieckiem, jest się ośrodkiem wszystkiego. Wszystko dzieje się dla nas. Inni ludzie? To tylko duchy, które istnieją po to, żeby było do kogo mówić.

Ale gdy dorastamy, odnajdujemy swoje miejsce, swój własny wymiar i kształt. Coś idzie od nas do innych i od nich do nas. Tak jest gorzej, ale i o wiele lepiej. Cieszę się, żeś mi powiedział o Aronie.

– Dlaczego?

– Bo teraz wiem, że nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego. Nie mógł znieść wiadomości o matce, ponieważ nie tak układał sobie swoją bajkę, a nie mógł się zgodzić na żadną inną. Więc podeptał cały świat. Tak samo podeptał mnie, Abre, kiedy postanowił zostać duchownym.

Kal powiedział:

– Muszę nad tym pomyśleć.

– Oddaj mi moje książki – rzekła. – Powiedz Li, że przyjdę. Nareszcie czuję się wolna. Ja też chcę się zastanowić. Zdaje się, że cię kocham, Kal.

– Ja nie jestem dobry.

– Właśnie dlatego, że nie jesteś.

Kal szybko wrócił do domu.

– Ona przyjdzie jutro – powiedział do Li.

– Aleś ty podniecony! – zauważył Li.

4

Abra weszła do domu na palcach. Przez hall przemknęła się pod ścianą, gdzie nie skrzypiała podłoga. Postawiła nogę na pierwszym stopniu wyłożonych chodnikiem schodów, po czym zmieniła zamiar i zawróciła do kuchni.

– No, jesteś nareszcie – powiedziała jej matka. – Nie wróciłaś prosto do domu.

– Musiałam jeszcze zostać po lekcjach. Czy tatuś lepiej się czuje?

– Chyba tak.

– A co mówi doktor?

– To samo, co na początku: przepracowanie. Ojcu potrzebny jest tylko odpoczynek.

– Nie wyglądał na zmęczonego – rzekła Abra.

Matka otworzyła skrzynkę, wyjęła trzy kartofle i zaniósła je do zlewu.

– Ojciec jest bardzo dzielny, kochanie. Powinam była to przewidzieć. Tyle miał zajęć związanych z wojną, poza swą zwykłą pracą! Doktor mówi, że człowiek czasami tak się raptem załamuje.

– Mogę pójść do niego?

– Wiesz co, mam wrażenie, że on nie chce teraz nikogo widzieć. Sędzia Knudsen telefonował, a ojciec kazał mu powiedzieć, że śpi.

– Mogę ci w czymś pomóc?

– Idź się przebrać, kochanie. Nie możesz sobie walać tej ładnej sukienki.

Abra minęła na palcach drzwi ojca i poszła do swego pokoju. Cały lśnił od lakieru, ściany miał barwnie wytapetowane. Na komódce fotografie rodziców w ramkach, na ścianach oprawne w ramkach wiersze, w głębi kredensik – wszystko na swoim miejscu, podłoga wypastowana, buciki ustawione grzecznie, równiutko. Matka wszystko za nią robiła, obstawała przy tym – każdą rzecz obmyślała, sama ubierała córkę.

Abra od dawna zrezygnowała z posiadania w swoim pokoju jakichkolwiek naprawdę własnych rzeczy, nawet osobistych. Trwało to już tak długo, że przestała uważać ten pokój za swój kąt. Wszystko, co prawdziwie osobiste, istniało tylko w jej myślach. Nieliczne listy, jakie przechowywała, ukryte były w salonie włożone między kartki dwutomowych *Pamiętników Ulissesa S. Granta*, których, o ile wiedziała, nie otworzył nikt poza nią, odkąd wyszły spod prasy.

Abra była zadowolona, ale nie zastanawiała się nad przyczyną. Wiedziała bez pytań pewne rzeczy i o takich rzeczach nie mówiła nigdy. Wiedziała na przykład, że ojciec wcale nie jest chory. Ukrywał się przed czymś. Z taką samą pewnością wiedziała, że Adam Trask jest chory, bo kiedyś zobaczyła go idącego ulicą. Zastanawiała się, czy matka wie, że ojciec nie jest chory.

Zrzuciła sukienkę i nałożyła bawełniany fartuszek, przeznaczony do pracy domowej. Przyczesła włosy, znowu minęła na palcach pokój ojca i zeszła na dół. U stóp schodów otworzyła teczkę i wyjęła pocztówkę od Arona. W salonie wytrząsnęła jego listy z drugiego tomu *Pamiętników*, zwinęła je ciasno razem i podniósłszy spódniczkę zatknęła za gumkę majtek. Pakiecik odznaczał się nieco. W kuchni Abra przewiązała się obszernym fartuchem, aby to ukryć.

– Możesz oskrobać marchew – powiedziała jej matka. – Czy ta woda już gorąca?

– Zaraz się zagotuje.

– Wrzucić do filiżanki kostkę bulionu, dobrze, kochanie? Doktor mówi, że to ojca wzmocni.

Kiedy matka poszła na górę z dymiącą filiżanką, Abra otworzyła zbiornik do spalania śmieci umieszczony z boku piecyka gazowego, wrzuciła do środka listy i podpałała. Matka weszła mówiąc:

– Czuć tu spalenizną.

– Bo podpałałam śmieci. Już było pełno.

– Wolałabym, żebyś mnie spytała, jak chcesz zrobić coś takiego. Chowałam te śmieci, żeby rano rozgrzać nimi kuchnię.

– Przepraszam, mamo – rzekła Abra. – Nie pomyślałam o tym.

– Powinnaś się trochę zastanawiać. Mam wrażenie, że ostatnio robisz się bardzo bezmyślna.

– Przepraszam cię, mamo.

– Co zaoszczędzisz, to i zarobisz – powiedziała matka.

W jadalni zadzwonił telefon. Matka Abry poszła go odebrać. Abra usłyszała, jak mówi:

– Nie, nie może się pan z nim zobaczyć. Lekarz zabronił. Nie wolno mu nikogo przyjmować. Nie, nikogo.

Wróciła do kuchni.

– Znowu sędzia Knudsen – powiedziała.

ROZDZIAŁ LIII

1

Nazajutrz Abra przez cały czas w szkole cieszyła się, że zobaczy Li. Spotkała Kala na korytarzu podczas pauzy.

– Powiedziałeś mi, że przyjdę?

– Już szykuje jakieś ciastka – odrzekł Kal. Był w mundurze: wysoki kołnierz ciasno zapięty pod szyją, źle dopasowana kurtka i owijacze na nogach.

– Masz dziś przysposobienie wojskowe – powiedziała Abra. – Ja tam będę pierwsza. A jakie to ciastka?

– Nie wiem. Ale zostaw mi parę, dobrze? Pachniało jakby truskawkami. Wystarczą mi ze dwa.

– Chcesz zobaczyć, jaki mam prezent dla Li? Patrz! – Otworzyła niewielkie kartonowe pudełko. – Nowy rodzaj obieraczki do kartofli. Zdejmuje tylko samą skórkę. Bardzo proste. Kupiłam to dla niego.

– Już po moich ciastkach – rzekł Kal, a po chwili: – Ale gdybym się trochę spóźnił, to nie wychodź, zanim przyjdę, dobrze?

– Chciałbyś ponieść mi książki do domu?

– Tak – odparł Kal.

Popatrzyła mu prosto w oczy, tak długo, że już chciał opuścić wzrok, po czym zawróciła do swojej klasy.

2

Adam nabrał zwyczaju sypiania do późna albo raczej przywykł sypiać bardzo często – krótkie drzemki w nocy i podczas dnia. Li kilka razy zaglądał do niego, zanim Adam wreszcie się zbudził.

– Świetnie się czuję od samego rana – rzekł Adam.

– Jeżeli to można nazwać ranem. Już prawie jedenasta.

– Boże kochany! Trzeba wstawać.

– A po co? – zapytał Li.

– Po co? No, tak; po co? Ale dobrze się czuję, Li. Może się przejdę do komisji. Jak dziś jest na dworze?

– Paskudnie – odparł Li.

Pomógł mu wstać. Zapinanie guzików, wiązanie sznurowadeł i wkładanie ubrania jak należy sprawiało Adamowi trudność. Kiedy Li mu pomagał, Adam rzekł:

– Miałem dziś sen... bardzo prawdziwy. Śnił mi się ojciec.

– Wspaniały starszy pan, z tego, co słyszałem – powiedział Li. – Przeczytałem całą tę teczkę wycinków, które przysłał adwokat pańskiego brata. To musiał być wspaniały stary dżentelmen.

Adam spojrzał na niego spokojnie.

– A wiedziałeś, że był złodziejem?

– Chyba coś się panu przyśniło – odparł Li. – Pochowany jest na Arlingtonie. W jednym z wycinków piszą, że na pogrzebie był wiceprezydent i sekretarz wojny. Wie pan, "Salinas Index" na pewno chętnie by coś o nim wydrukował... teraz, kiedy jest wojna, i w ogóle. Może by pan przejrzał te materiały.

– On był złodziejem – powtórzył Adam. – Dawniej tak nie myślałem, ale teraz wiem. Okradał Wielką Armię.

– Nie wierzę w to – rzekł Li.

Adam miał łzy w oczach. Ostatnio bardzo często zbierało mu się na płacz. Li powiedział:

– Niech pan tu teraz posiedzi, a ja przyniosę śniadanie. Wie pan, kto ma przyjść do nas dziś po południu? Abra.

Adam powtórzył:

– Abra? – A po chwili: – A, tak, Abra. To miła dziewczyna.

– Ja ją kocham – powiedział Li po prostu. Posadził Adama przy stoliku do kart w jego sypialni. – Może pan sobie pouklada tu łamigłówkę, a ja przez ten czas pójdę po śniadanie.

– Nie, dziękuję ci. Dziś nie. Chcę się zastanowić nad tym snem, zanim mi wyleci z głowy.

Kiedy Li przyniósł tacę ze śniadaniem, Adam spał w fotelu. Li obudził go i podczas gdy Adam jadł, przeczytał mu "Salinas Journal", a potem zaprowadził do ubikacji.

W kuchni pachniało słodko ciastkami; kilka truskawek wykipiało w piecu i przypaliło się rozsiewając ostry, gorzko-słodki zapach, przyjemny i cierpki.

W Li wzbierała cicha radość. Była to radość odmiany. "Dobiega już czas Adama – myślał. – Pewnie dobiega i mój, ale tego nie czuję. Czuję się nieśmiertelny. Kiedyś, jak byłem bardzo młody, czułem się śmiertelny, ale teraz już nie. Śmierć się oddaliła". Zastanowił się, czy to jest normalny sposób myślenia.

Zastanowił się też, co miało znaczyć powiedzenie Adama, że jego ojciec był złodziejem. Może to coś z tego snu. A potem myśli Li zaczęły wędrować, co im się często zdarzało. Przypuśćmy, że to prawda: Adam, najbezwzględniej uczciwy człowiek, jakiego można sobie wyobrazić, żyjący przez całe życie z kradzionych pieniędzy. Li zaśmiał się do siebie; teraz jeszcze ten drugi testament – i Aron, którego czystość zatęczała nieco o samopobłażanie, żyć będzie przez całe życie z dochodów z burdelu. Czy to jakaś kpina, czy też wszystko jest tak wyważone, że jeśli jedna rzecz przechyla się zanadto w pewnym kierunku, na szalach przesuwają się jakiś automatyczny suwak i równowaga zostaje przywrócona?

Pomyślał o Samie Hamiltonie. Ten człowiek pukał do tyłu drzwi! Miał najwięcej zamierzeń i planów, a nikt nie chciał dać mu pieniędzy. No, ale oczywiście i tak miał tyle, był taki bogaty! Nie można mu było dać nic więcej. Bogactwa najwyraźniej przypadają w udziale tym, co są ubodzy duchem, ubodzy w zainteresowania i radość. Mówiąc po prostu, ludzie bardzo bogaci to garść biednych durniów. Zastanowił się, czy to prawda. Tak w każdym razie czasem postępują.

Pomyślał o Kalu, który palił pieniądze, aby siebie ukarać. A tymczasem ta kara nie zabolowała go tak mocno jak sam występki. Li powiedział do siebie: "Jeżeliby się okazało, że istnieje takie miejsce, w którym kiedyś spotkam się z Samem Hamiltonem, to będę miał mu do opowiedzenia sporo niezłych historii". A jego umysł dokończył: "Ale i on także".

Li poszedł do Adama i zastał go próbującego otworzyć pudełko, w którym były wycinki o ojcu.

3

Tego popołudnia wiał zimny wiatr. Adam uparł się, że pójdzie zajrzeć do komisji poborowej. Li opatulił go w płaszcz i wyprowadził przed dom.

– Gdyby panu zrobiło się słabo, niech pan od razu siada tam, gdzie pan będzie – powiedział.

– Dobrze – zgodził się Adam. – Ale przez cały dzień nie czułem się osłabiony. Może po drodze wstąpię do Wiktora, żeby mi obejrzał oczy.

– Niech pan zaczeka do jutra. Pójdę z panem.

– Zobaczymy – odrzekł Adam i ruszył przed siebie, machając zawadiacko rękami.

Abra weszła z błyszczącymi oczyma, z nosem zaczerwienionym od mroźnego wiatru, a wniosła z sobą tyle radości, że Li zachichotał cicho, gdy ją zobaczył.

– Gdzie ciastka? – zapytała. – Schowajmy je przed Kalem.

– Usiadła w kuchni. – Och, tak się cieszę, że znów tu jestem!

Li już otwierał usta, ale słowa uwięzły mu w gardle; jednakże potem pomyślał, że warto jest to powiedzieć – byle tylko rozważnie. Pochylił się nad nią.

– Wiesz, niewiele rzeczy w życiu pragnąłem – zaczął. – Bardzo wcześnie nauczyłem się nie pragnąć niczego. Bo pragnienia przynosiły mi tylko zasłużony zawód.

Abra odpowiedziała wesoło:

– Ale przecież teraz czegoś pragniesz. Co to takiego?

– Chciałbym, żebyś była moją córką! – wyrzucił z siebie. Przestraszył się tego, co powiedział, podszedł do piecyka, zamknął gaz pod czajnikiem z herbatą, a potem zapalił go znowu.

Abra powiedziała cicho:

– A ja bym chciała, żebyś ty był moim ojcem.

Rzucił na nią okiem i zaraz odwrócił wzrok.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę.

– Dlaczego?

– Bo cię kocham.

Li szybko wyszedł z kuchni. Usiadł u siebie w pokoju i póty zaciskał mocno dłonie, póki mu nie przeszło dławienie w gardle. Wstał i z górnej szuflady komody wyjął niewielkie, rzeźbione puzderko hebanowe. Na jego wieczku pełzał ku niebu smok. Li zaniósł puzderko do kuchni i postawił je na stole między dłońmi Abry.

– To dla ciebie – powiedział, a jego głos nie miał żadnego odcienia.

Otworzyła puzderko i ujrzała w nim mały, ciemnozielony guz z nefrytu, na którym wyrzeźbiona była prawa dłoń, dłoń piękna, spokojna, o lekko przygiętych palcach. Abra wyjęła go, obejrzała, zwilżyła czubkiem języka i przesunęła delikatnie po swoich pełnych wargach, po czym przytuliła chłodny kamień do policzka. Li powiedział:

– To była jedyna ozdoba mojej matki.

Abra wstała, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w policzek – a był to jedyny taki wypadek w całym jego życiu. Li roześmiał się.

– Mój orientalny spokój najwyraźniej mnie opuścił – powiedział. – Pozwól mi zrobić herbatę, kochanie. W ten sposób wezmę się trochę w karby. – Stojąc przy piecu kuchennym powiedział: – Nigdy jeszcze nie użyłem tego słowa... nigdy do nikogo na świecie.

Abra rzekła:

– Dziś rano obudziłam się z radością.

– Ja też – odparł Li. – Wiem, co mnie tak cieszyło. Miałas przyjść.

– Ja także się z tego cieszyłam, ale...

– Zmieniłaś się – rzekł Li. – Nie jesteś już wcale a wcale małą dziewczynką.

Możesz mi to wytłumaczyć?

– Spaliłam wszystkie listy Arona.

– Czy zrobił ci coś złego?

– Nie. Chyba nie. Ostatnimi czasy nie czułam się dostatecznie dobra. Zawsze chciałam mu wytłumaczyć, że nie jestem dobra.

– A teraz, kiedy już nie musisz być doskonała, możesz być dobra. Czy o to idzie?

– Chyba tak. Możliwe, że to na tym polega.

– Czy ty wiesz o matce chłopców?

– Tak. A czy wiesz, że jeszcze nie spróbowałam ani jednego z tych ciastek? – odpowiedziała Abra. – I w ustach mi zaschło.

– Napij się herbaty, Abro. Czy lubisz Kala?

– Tak.

Li rzekł:

– On jest aż po czubek głowy naładowany wszystkim, co dobre i co złe. Myślałem sobie, że jedna jedyna osoba mogłaby niemal poruszeniem palca...

Abra pochyliła się nad herbatą.

– Prosił mnie, żebym wybrała się z nim do Alisalu, kiedy zakwitną dzikie azalie.
Li oparł się dłońmi o stół i pochylił nad nim.
– Nie chcę cię pytać, czy pojedziesz – rzekł.
– Nie potrzebujesz – odparła Abra. – Pojadę.
Li usiadł naprzeciw niej przy stole.
– Nie omijaj zbyt długo tego domu.
– Moi rodzice nie życzą sobie, żebym tu bywała.
– Widziałem ich tylko raz – zaczął Li cynicznie. – Wydało mi się, że to poczciwi ludzie. Czasami, Abro, skuteczne bywają najdziwniejsze lekarstwa. Ciekaw jestem, czy to by coś pomogło, gdyby twoi rodzice dowiedzieli się, że Aron dopiero co odziedziczył z górą sto tysięcy dolarów.
Abra poważnie kiwnęła głową i popróbowwała powściągnąć uśmiech.
– Myślę, że by pomogło – powiedziała. – Ciekawe, jak by ich można o tym powiadomić.
– Moja miła – odrzekł Li – gdybym ja usłyszał taką wiadomość, pewnie moim pierwszym odruchem byłoby zatelefonować i powiadomić o tym kogoś. Może byś dostała złe połączenie...
Abra kiwnęła głową.
– A powiedziałabyś, skąd pochodzą te pieniądze?
– Tego bym nie zrobił – odparł Li.
Spojrzała na budzik wiszący na ścianie.
– Już prawie piąta – rzekła. – Muszę iść. Ojciec niedobrze się czuje. Myślałam, że Kal wróci z tej swojej musztry.
– Przyjdź znowu jak najprędzej – powiedział Li.

4

Wyszędłszy spotkała na ganku Kala.
– Zaczekaj chwilę – poprosił, po czym wbiegł do domu i zostawił swoje podręczniki.
– Uważaj na książki Abry! – zawołał Li z kuchni.
Zimowy wieczór dmuchał mroźnym wiatrem i uliczne latarnie, w których skwiercząc płonęły węgielki, chwiały się niespokojnie, a cienie miały się na

wszystkie strony niby gracze w baseball. Ludzie, którzy wracali z pracy do domu, wtulali brody w kołnierze palt i spieszyli ku ciepłu. O kilka ulic dalej rozbrzmiewała wśród cichego wieczora monotonna muzyka z toru do jazdy na wrotkach. Kal zapytał:

– Możesz chwilę potrzymać książki, Abro? Muszę rozpiąć sobie kołnierz. Mało mi głowy nie odetnie. – Rozpiął haftki i odetchnął z ulgą. – Obtarł mi szyję – powiedział i odebrał jej podręczniki.

Liście ogromnej palmy rosnącej w ogrodzie Bergesa trzepotały z suchym szelestem, a pod zamkniętymi drzwiami jakiejś kuchni miauczał i miauczał przeciągle kot. Abra odezwała się:

– Nie przypuszczam, żeby z ciebie był dobry żołnierz. Jesteś za bardzo niezależny.

– Mógłbym być – odrzekł Kal. – Musztra z tymi starymi Krag-Jorgensenami wydaje mi się głupia. Jak przyjdzie pora, a to mnie zainteresuje, może i będę dobry.

– Ciastka były wyborne – rzekła Abra. – Zostawiłam jedno dla ciebie.

– Dziękuję. Założę się, że z Arona jest dobry żołnierz.

– Tak, pewnie... i najprzystojniejszy w całej armii. Kiedy się wybierzemy na te azalie?

– Dopiero na wiosnę.

– Wyjedziemy wcześniej i zabierzemy z sobą obiad.

– Może wtedy padać.

– Jedziemy tak czy owak; czy będzie deszcz czy słońce. Odebrała z jego rąk książki i weszła do swego ogrodu.

– Zobaczmy się jutro – powiedziała.

Kal nie zawrócił do domu. Poszedł dalej wpośród niespokojnego zmroku, minął gimnazjum i tor do jazdy na wrotkach – parkiet pod wielkim namiotem i rozbrzmiewającą głośno mechaniczną orkiestrę. Na parkiecie nie było żywej duszy. Staruszek właściciel siedział osowiały w swojej budce i wskazującym palcem pstrykał w koniec rolki biletów.

Ulica Główna była wyludniona. Wiatr miótł papierami po chodniku. Z cukierni Bella wyszedł konstabl, Tom Meek, i przyłączył się do Kala.

– Lepiej zapnij sobie kurtkę pod szyją, żołnierzu – powiedział cicho.

– Jak się masz, Tom. Ta cholera jest ciasna.

– Mało cię ostatnio widuję na mieście.

– Ano rzeczywiście.

– Nie gadaj mi, żeś się ustatkował.

– Kto wie.

Tom szczyił się swoją umiejętnością podkpiwania z ludzi tak, że brali to na serio. Powiedział:

– Coś mi wygląda, że masz dziewczynę.

Kal nic nie odpowiedział.

– Słyszałem, że twój brat podał fałszywy wiek i zaciągnął się do wojska. Wzięłeś sobie jego dziewczynę?

– Aha... Właśnie – odparł Kal.

Ciekawość Toma się zaostrzyła.

– Byłbym zapomniał – rzekł. – Podobno Will Hamilton rozpowiada, żeś zarobił piętnaście tysięcy na fasoli. To prawda?

– Jasne – odparł Kal.

– Jeszcześ dzieciak. Co ty zrobisz z taką forszą?

Kal wyszczerzył do niego zęby.

– Spaliłem ją.

– Jak to?

– Ano, zwyczajnie: przyłożyłem zapałkę i spaliłem.

Tom spojrział mu w twarz.

– Taaa... Dobra. Mądrześ zrobił. No, muszę tu wstąpić. Dobranoc.

Tom nie lubił, jak ludzie z niego kpili. "A to gówniarz, psiakrew! – powiedział do siebie. – Za cwany się robi".

Kal szedł powoli ulicą Główną, spoglądając na wystawy sklepów. Zastanawiał się, gdzie jest pochowana Kate. Pomyślał, że gdyby mógł się dowiedzieć, zaniósłby na jej grób kwiaty, ale roześmiał się z tego odruchu. Czy to jest coś dobrego, czy też sam siebie zwodzi? Ten wiatr mógłby zdmuchnąć kamień nagrobny, a cóż dopiero bukiet goździków. Nie wiadomo czemu przypomniał sobie meksykańską nazwę goździków. Ktoś musiał mu powiedzieć kiedy jeszcze był dzieckiem. Nazywały się "Gwoździe Miłości", a nagietki – "Gwoździe Śmierci". To słowo było jak gwoździe – claveles. Może lepiej położyć nagietki na grobie matki? "Zaczynam myśleć zupełnie jak Aron" – powiedział do siebie.

ROZDZIAŁ LIV

1

Zima niechętnie rozluźniła swój uścisk. Wciąż jeszcze trwała, chłodna, wilgotna i wietrzna, choć pora jej dawno minęła. A ludzie powtarzali: "To te przekłete wielkie armaty, z których strzelają we Francji, psują na całym świecie pogodę".

Żyto powolnie wschodziło w dolinie Salinas, a dzikie kwiaty pojawiały się tak późno, iż niektórzy myśleli, że nie zakwitną w ogóle.

Wiedzieliśmy – a przynajmniej ufaliśmy – że w dzień Święta Majowego, kiedy wszystkie szkoły niedzielne urządzą wycieczki do Alisalu, rozkwitną dzikie azalie rosnące przy brzegach potoku. Stanowiły one nieodłączną część tego święta.

Święto Majowe było jednak zimne. Wycieczki udaremnił lodowaty deszcz, a na krzewach azalii nie znalazłbyś ani jednego otwartego pąka. W dwa tygodnie później też jeszcze się nie rozwinęły.

Kal nie wiedział, że tak będzie, kiedy uczynił z azalii hasło do swojej własnej wycieczki, ale raz ustanowiwszy ten symbol nie można go już było pogwałcić.

Ford stał w szopie, z napompowanymi dętkami i dwoma nowymi, suchymi ogniwami, żeby go łatwiej było rozruszać na "Bat". Li czekał w pogotowiu, by przyszykować kanapki, kiedy nadejdzie oznaczony dzień, ale w końcu znudziło go to ciągle oczekiwanie i przestał co dwa dni kupować bułkę na sandwicze.

– Dlaczego nie pojedziecie tak czy owak? – zapytał.

– Nie mogę – odparł Kal. – Powiedziałem, że jak zakwitną azalie.

– A skąd będziesz wiedział?

– Tam mieszkają młodzi Silacci i co dzień przyjeżdżają do szkoły. Mówią, że już za tydzień albo dziesięć dni.

– O Boże! – jęknął Li. – Tylko aby nie odkładaj za długo tej swojej wycieczki.

Zdrowie Adama powoli się poprawiło. Z ręki ustępowała drętwota. Mógł trochę czytać – z każdym dniem coraz więcej.

– Litery zaczynają mi skakać, tylko jak się zmęcę – mówił. – Dobrze, że nie kupiłem sobie okularów, bo to by mi popsuło wzrok. Wiedziałem, że oczy mam w porządku.

Li kiwał głową i był rad. Pojechał do San Francisco po potrzebne mu książki i zamówił cały szereg rozprawek. Zapoznał się nieledwie ze wszystkim, co było wiadome na temat anatomii mózgu oraz objawów i dolegliwości związanych ze zmianami chorobowymi i skrzepami. Studiował to i zadawał pytania z taką samą niezachwianą energią, jak wówczas, gdy ułowił, obskubywał i przyprawiał hebrajski czasownik. Doktor H. C. Murphy poznał go w końcu doskonale i od profesjonalnego zniecierpliwienia, które w nim budził chiński służący, przeszedł do szczerego podziwu dla uczonego. Pożyczył nawet od Li niektóre nowe artykuły i sprawozdania na temat diagnozy i praktyki. Powiedział do doktora Edwardsa: "Ten Chiniec więcej wie o patologii krwotoku mózgowego niż ja, a założyłbym się, że nie mniej od pana". Mówił o tym z czymś w rodzaju czulego zagniewania. Zawodowych lekarzy podświadomie irytuje wiedza laików. Li donosząc mu o poprawie zdrowia Adama oświadczył:

- Wydaje mi się, że absorpcja jest w toku...
- Miałem kiedyś pacjenta – zaczął doktor Murphy i opowiedział pocieszającą historię.
- Zawsze się boję nawrotu – rzekł Li.
- To już trzeba zostawić Panu Bogu – odparł doktor Murphy. – Nie możemy załatać arterii jak dętki samochodowej. Ale, ale... jakim sposobem on daje ci się namówić do mierzenia ciśnienia?
- Ja zakładam się o jego ciśnienie, a on o moje. To lepsze niż totalizator.
- A kto wygrywa?
- Ano, mógłbym ja – odrzekł Li. – Ale nie chcę. To by zepsuło zabawę... i wykresy.
- A co robisz, żeby nie wpadł w zdenerwowanie?
- To już jest mój własny pomysł – powiedział Li. – Nazywam to terapią konwersacyjną.
- Musi zabierać ci cały twój czas?
- I owszem – odparł Li.

2

Dnia 28 maja 1918 roku wojska amerykańskie przeprowadziły pierwszą swoją poważną akcję podczas wojny światowej. Pierwsza dywizja pod dowództwem generała

Bullarda otrzymała rozkaz zdobycia wsi Cantigny. Wieś ta, położona na wzniesieniu, panowała nad doliną rzeki Avre. Broniona była przez okopy, ciężkie karabiny maszynowe i artylerię. Front rozciągał się na długości nieco powyżej mili.

O godzinie szóstej czterdzieści pięć rano dnia 28 maja 1918 roku rozpoczęto natarcie po godzinnym przygotowaniu artyleryjskim. Użyto następujących oddziałów: 28 pułku piechoty (płk. Ely), jednego batalionu 18 pułku piechoty (Parker), kompanii saperów, artylerii dywizyjnej (Summerall) oraz wsparcia francuskich czołgów i miotaczy płomieni.

Natarcie zakończyło się pełnym powodzeniem. Oddziały amerykańskie okopały się na nowej linii i odparły dwa potężne przeciwuderzenia niemieckie.

Pierwsza dywizja otrzymała gratulacje od Clemenceau, Focha i Petaina.

3

Przyszedł koniec maja, zanim młodzi Silacci przywieźli wiadomość, że rozwijają się wreszcie łososioworóżowe pąki azalii. Powiedzieli o tym Kalowi pewnej środy, w chwili gdy rozległ się dzwonek na dziewiątą.

Kal skoczył do klasy, gdzie rozpoczynała się lekcja angielskiego, i w chwili gdy panna Norris zasiadała na swoim małym podium, wyciągnął z rozmachem chustkę i głośno wytarł nos. Później poszedł do ustępu dla chłopców i zczekał tam, dopóki nie usłyszał przez ścianę spuszczonej wody po stronie dziewczynek. Wymknął się przez sutereny, przeszedł tuż pod murem z czerwonych cegieł, prześliznął się obok drzewa pieprzowego i kiedy już nikt nie mógł go dojrzeć ze szkoły, ruszył dalej wolnym krokiem, dopóki nie dopędziła go Abra.

– Kiedy rozkwitły? – zapytała.

– Dziś rano.

– Będziemy czekać do jutra?

Popatrzał na wesołe, złote słońce – pierwsze rozgrzewające ziemię słońce tego roku.

– A chcesz czekać?

– Nie – odpowiedziała.

– Ja też nie.

Puścili się biegiem, kupili bułkę u Reynauda i zapędzili Li do roboty. Adam dosłyszał podniesione głosy i zajrzał do kuchni.

– Co to za rejwach? – zapytał.

– Jedziemy na wycieczkę – odrzekł Kal.

– A to dziś nie ma szkoły?

Abra odparła:

– Pewnie, że jest. Ale także i święto.

Adam uśmiechnął się do niej.

– Rumiana jesteś jak różyczka – powiedział.

Abra zawołała:

– Może pan z nami pojedzie? Wybieramy się do Alisalu na azalie.

– O, bardzo chętnie! – odparł Adam, a po chwili: – Chociaż nie, nie mogę. Obiecałem zajrzeć do chłodni. Zakładamy nowe orurowanie. A piękny dziś dzień.

– Przywieziemy panu azalie – rzekła Abra.

– Bardzo je lubię. No, to bawcie się dobrze.

Kiedy wyszedł, Kal powiedział:

– Li, a może ty byś z nami pojechał?

Li popatrzał na niego ostro.

– Nie myślałem, że jesteś osioł – powiedział.

– Jedź z nami! – zawołała Abra.

– Nie bądź śmieszna – odparł Li.

4

Przyjemny jest ten mały strumień, który chlupocząc przepływa przez Alisal u stóp Gabilanów, po wschodniej stronie doliny Salinas. Woda szemrze po krągłych kamieniach i obmywa wygładzone korzenie obrzeżających ją drzew.

Powietrze przepelniała woń azalii i senny zapach wytwarzającego chlorofil słońca. Na brzegu stał Ford, jeszcze lekko dyszący po przegrzaniu. Na tylnym siedzeniu piętrzyły się kiście azalii.

Kal i Abra siedzieli na brzegu wpośród papierów porozrzucanych po drugim śniadaniu. Dyndali nogami w powietrzu.

– Te kwiaty zawsze opadają, zanim się dojedzie do domu – rzekł Kal.

– Ale są taką świetną wymówką, Kal – odpowiedziała.

– Jeżeli ty nie... to chyba ja będę musiała...

– Co?

Pochyliła się i wzięła go za rękę.

– To – odrzekła.

– Bałem się.

– Czemu?

– Nie wiem.

– A ja nie.

– Zdaje się, że dziewczyny boją się o wiele mniej.

– Chyba nie.

– A ty się czasem boisz?

– Jasne – odparła. – Bałam się ciebie po tym, jak mi powiedział, że posiusiałam się w majtki.

– To było paskudne – rzekł. – Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłem. – Nagle zamilkł.

Palce Abry zacisnęły się na jego dłoni.

– Wiem, co teraz myślisz. Nie chcę, żebyś o tym myślał.

Kal patrzył na kłębiącą się wodę i obracał palcem stopy krągły brunatny kamień. Abra powiedziała:

– Myślisz, że masz to w sobie, prawda? Myślisz, że przyciągasz złe rzeczy...

– Ano...

– To ci coś powiem. Mój ojciec jest w opałach.

– Jak to, w opałach?

– Nie podsłuchiwałam pod drzwiami, ale usłyszałam dość. Wcale nie jest chory. Boi się. Coś zrobił.

Kal obrócił głowę.

– Ale co?

– Zdaje się, że wziął sobie pieniądze z firmy. Nie wie, czy wspólnicy wsadzą go do więzienia, czy pozwolą mu to jakoś spłacić.

– A skąd się dowiedziałas?

– Słyszałam, jak wrzeszczeli w jego sypialni, gdzie leży chory. A mama puściła gramofon, żeby to zagłuszyć.

Kal zapytał:

– Nie bujasz?

– Nie. Nie bujam.

Przysunął się bliżej, położył jej głowę na ramieniu, a jego ręka popęzła nieśmiało, obejmując ją wpół.

– Widzisz, nie jesteś jeden... – Spojrzała bokiem na jego twarz. – Teraz się boję – wyszeptała cicho.

5

O trzeciej tegoż popołudnia Li siedział przy biurku przewracając kartki katalogu nasion. Były tam kolorowe ilustracje przedstawiające pachnący groszek.

– Ładnie by wyglądał na płocie za domem. Zasłoniłby ten błotny kanał. Tylko czy tam aby jest dosyć słońca?

Podniósł głowę na dźwięk własnego głosu i uśmiechnął się do siebie. Coraz częściej przyłapywał się na tym, że mówił głośno, kiedy w domu nie było nikogo.

– To starość – powiedział na głos. – Zwolnione myśli i...

– Przerwał i zeszywniał na chwilę. – Zabawne... czegoś nasłuchuję. Czy aby nie zostawiłem czajnika z herbatą na gazie? Nie, przecież pamiętam. – Znowu nadstawił ucha.

– Bogu dzięki, nie jestem przesądny. Zacząlbym słyszeć duchy, gdybym sobie pofolgował. Mógłbym...

Dzwonek od frontu zadzwonił.

– Otóż właśnie. Tego nasłuchiwałem. Niech dzwoni. Nie dam się wodzić za nos takim uczuciom. Niech dzwoni.

Ale dzwonek nie odezwał się więcej.

Spadło na Li czarne znużenie, jakaś beznadziejność, która przygięła mu ramiona. Roześmiał się do siebie.

– Mogę pójść i przekonać się, że pod drzwiami leży jakieś ogłoszenie, albo mogę tu dalej siedzieć i słuchać, jak mój głupi stary mózg mówi mi, że na progu jest śmierć. Ano, trzeba zobaczyć to ogłoszenie.

Li siedział w salonie i wpatrywał się w kopertę, która leżała na jego kolanach. I nagle splunął na nią.

– Dobrze – powiedział. – Przychodzę... niech cię licho! Rozerwał kopertę i po chwili położył ją na stole i obrócił pismem do dołu. Zapatrzył się pomiędzy kolanami w podłogę.

– Nie – powiedział. – Nie mam prawa. Nikt nie ma prawa odjąć komukolwiek choćby jednego doświadczenia. Życie i śmierć są przyrzeczone. Mamy prawo do bólu.
– Coś go ścisnęło w dołku. – Brak mi odwagi. Jestem parszywy tchórz. Nie potrafiłbym tego wytrzymać.

Poszedł do łazienki, odmierzył trzy łyżki eliksiru bromowego do szklanki i dodał wody, aż czerwone lekarstwo zrózowiało. Zaniósł szklankę do salonu i postawił ją na stoliku. Złożył telegram i wetknął go do kieszeni. Powiedział głośno:

– Nienawidzę tchórzów! Boże, jakże ja nienawidzę tchórzów!

Ręce mu dygotały, a czoło zwilżał zimny pot.

O czwartej usłyszał Adama majstrującego przy klamce drzwi frontowych. Przesunął językiem po wargach. Wstał i z wolna wyszedł do hallu. Niósł szklankę różowego płynu, a ręka mu drżała.

ROZDZIAŁ LV

1

W domu Trasków paliły się wszystkie światła. Drzwi frontowe były uchylone, wewnątrz panował chłód. W salonie siedział Li, skulony w fotelu pod lampą jak zeschnięty liść. Drzwi do pokoju Adama stały otworem i dochodził stamtąd szmer głosów.

Kal wszedłszy zapytał:

– Co się tu dzieje?

Li spojrział na niego i głową wskazał stół, na którym leżał otwarty telegram.

– Twój brat nie żyje – powiedział. – Ojciec miał atak.

Kal wybiegł na korytarz. Li rzekł:

– Wróć się. Tam jest doktor Edwards i doktor Murphy. Nie przeszkadzaj im.

Kal stanął przed nim.

– Czy jest bardzo źle? Czy jest źle, Li, czy jest źle?

– Nie wiem. – Zaczął mówić tak, jakby przypominał sobie coś, co zdarzyło się bardzo dawno temu. – Wrócił do domu zmęczony. Ale musiałem przeczytać mu ten telegram. To było jego prawo. Przez jakieś pięć minut powtarzał to sobie na głos. A potem jak by dotarło mu do mózgu i wybuchło.

– Jest przytomny?

Li odpowiedział ze znużeniem:

– Usiądź i zaczekaj, Kal. Siądź i czekaj. Musisz się z tym oswoić. Ja też próbuję.

Kal wziął telegram i odczytał zawarte w nim ponure i godne oznajmienie.

Doktor Edwards wyszedł z sypialni z walizką w ręce. Skinął im krótko głową i delikatnie zamknął za sobą drzwi od ulicy.

Doktor Murphy postawił swoją walizkę na stole i usiadł. Westchnął.

– Doktor Edwards prosił mnie, żeby wam wszystko powiedzieć.

– Jak ojciec? – spytał Kal.

– Powiem ci tyle, ile wiemy. Teraz jesteś głową rodziny, Kal. Czy wiesz, co to jest wylew? – Nie czekał na odpowiedź Kala. – Jest to rozlanie się krwi w mózgu. Pewne części mózgu są zaatakowane. Już przedtem były drobne przecieki. Li o tym wie.

– Tak – powiedział Li.

Doktor Murphy zerknął na niego i znowu popatrzał na Kala.

– Lewa strona jest sparaliżowana. Prawa częściowo. Prawdopodobnie nie widzi na lewe oko, ale tego nie możemy ustalić. Innymi słowy, twój ojciec jest prawie bezwładny.

– Czy może mówić?

– Trochę... Z trudnością. Nie męcz go.

Kal z wysiłkiem szukał słów.

– A czy może wyzdrowieć?

– Słyszałem, że czasem zdarza się resorpcja w tak ciężkich przypadkach, ale sam nigdy tego nie widziałem.

– To znaczy, że umrze?

– Nie wiemy. Może żyć tydzień, miesiąc, rok, nawet dwa. A może umrzeć dzisiaj.

– Czy mnie pozna?

– Musisz się sam przekonać. Jeszcze dziś przyślę pielęgniarkę, a potem trzeba będzie nająć kogoś na stałe. – Podniósł się z krzesła. – Bardzo mi przykro, Kal. Trzymaj się! Musisz się trzymać. – I dodał: – Zawsze mnie zaskakuje to, jak ludzie się trzymają. Bo trzymają się zawsze. Edwards będzie tu jutro. Dobranoc.

Wyciągnął rękę, by dotknąć ramienia Kala, ale ten już zawrócił i odszedł do pokoju ojca.

Głowa Adama spoczywała na poduszkach. Twarz miał spokojną, bladą, usta złożone równo, ani uśmiechnięte, ani karcące. Oczy były otwarte, pełne jakiejś wielkiej głębi i klarowności; zdawało się, że można w nie zajrzeć do dna i że one mogą zajrzeć głęboko we wszystko dokoła. Były spokojne, świadome, ale obojętne. Wolno skierowały się na Kala, gdy wszedł do pokoju, natrafiły na jego pierś, a potem podniosły się ku twarzy i pozostały przy niej.

Kal usiadł na krześle obok łóżka. Powiedział:

– Tak mi przykro, tatusiu.

Oczy zamrugały powoli, podobnie, jak mruga żaba.

– Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię?

Oczy nie zmieniły się ani nie poruszyły.

– To moja wina! – krzyknął Kal. – Ja jestem winny śmierci Arona i twojej choroby. Zaprowadziłem go do Kate. Pokazałem mu matkę. Dlatego odjechał. Ja nie chcę robić złych rzeczy... a robię!

Złożył głowę na brzegu łóżka, by uciec od tych strasznych oczu, lecz mimo to wciąż je widział. Czuł, że będą przy nim, przy jakiejś części jego samego, już do końca życia.

Zadzwoił dzwonek. Po chwili wszedł do sypialni Li, prowadząc pielęgniarkę – silną, rozłożystą kobietę o gęstych, czarnych brwiach. Otwierając swą walizeczkę otworzyła zarazem upusty swojej werwy.

– Gdzież to mój pacjent? A, tutaj! No, przecież pan świetnie wygląda! Na co ja jestem potrzebna? Lepiej by pan wstał i zaopiekował się mną, bo pan wygląda doskonale. No, zająłby się pan mną, wspomniały, przystojny mężczyzno?

Wepchnęła muskularną rękę pod ramiona Adama, bez najmniejszego wysiłku podciągnęła go ku wezłowi łóżka, podtrzymała prawą ręką, jednocześnie poprawiając lewą poduszki i wreszcie położyła go z powrotem.

– Chłodne poduszeczki – rzekła. – Prawda, że pan lubi chłodne poduszki? No, a teraz gdzie łazienka? Macie "kaczkę" i basen? Można tu będzie wstawić dla mnie składane łóżko?

– Niech pani to wszystko spisze – odparł Li. – A jak by pani coś było trzeba pomóc... przy nim...

– A na co mi pomoc? Świetnie damy sobie radę sami, prawda, cukiereczku?

Li i Kal wycofali się do kuchni. Li powiedział:

– Zanim przyszła, miałem cię namawiać, żebyś coś zjadł na kolację... no, wiesz, jak ci ludzie, co to stosują jedzenie na wszelkie okazje, dobre czy złe. Założyłbym się, że ona jest właśnie taka. Możesz zjeść albo nie, jak chcesz.

Kal uśmiechnął się do niego.

– Gdybyś mnie próbował namawiać, pewno by mnie zemdliło. Ale ponieważ tak stawiasz sprawę, myślę, że zrobię sobie kanapkę.

– Nie ma z czego zrobić kanapki.

– Kiedy mam chęć.

– Wszystko się dzieje według najgorszych prawideł – rzekł Li. – Jest coś obraźliwego w tym, że każdy reaguje mniej więcej tak samo.

– Nie chcę kanapki – powiedział Kal. – Zostały jeszcze ciastka?

– Ile chcesz... w pudełku od chleba. Możliwe, że trochę zwilgotniały.

– Lubię takie – odparł Kal. Przyniósł ich cały talerz i postawił przed sobą na stole.

Pielęgniarka zajrzała do kuchni.

– To smakowicie wygląda – oświadczyła, wzięła ciastko, nadgryzła je i mówiła dalej z pełnymi ustami: – Mogę zadzwonić do apteki Krougha po to, co mi potrzeba? Gdzie jest telefon? A gdzie trzymacie bieliznę? Gdzie to składane łóżko dla mnie? Ta gazeta już przeczytana? Jak mówicie, że gdzie jest telefon? – Wzięła sobie jeszcze jedno ciastko i wyszła.

Li zapytał cicho:

– Rozmawiał z tobą?

Kal zaczął potrząsać głową w lewo i w prawo, jak gdyby nie mógł przestać.

– To będzie straszne. Ale doktor ma rację. Można wytrzymać wszystko. Pod tym względem jesteśmy wspaniałymi zwierzętami.

– Ja nie – głos Kala był matowy i głuchy. – Ja nie mogę tego wytrzymać. Nie, nie mogę. Nie potrafię. Będę musiał... będę musiał...

Li chwycił go zaciekle za przegub ręki.

– Ach, ty szczurze... ty kundlu paskudny! Ze wszystkich stron otoczony dobrocią... Nie waz się wspominać o czymś podobnym! Dlaczego to twój smutek ma być bardziej wy-subtelniejszy od mojego?

– To nie jest smutek. Powiedziałem mu, co zrobiłem. Zabiłem swojego brata. Jestem mordercą. On wie.

– Czy sam ci tak powiedział? Mów prawdę... On to powiedział?

– Nie musiał. To było w jego oczach. Powiedział to oczami. Nie mam już gdzie uciekać... nie ma dla mnie miejsca.

Li westchnął i puścił jego rękę.

– Kal – powiedział cierpliwie. – Posłuchaj mnie. Ośrodki mózgu Adama są zaatakowane. Cokolwiek widzisz w jego oczach, może być wynikiem ucisku na tę część mózgu, która zawiaduje jego wzrokiem. Nie przypominasz sobie? Przecież nie mógł czytać. To nie przez oczy, ale przez ten ucisk. Nie możesz wiedzieć, czy cię oskarżył. Tego nie wiesz.

– Oskarżył mnie. Ja to wiem. Powiedział, że jestem mordercą.

– W takim razie przebaczy ci. Przyrzekam.

W progu stanęła pielęgniarka.

– Co tam przyrzekasz, koteczku? Mnie przyrzekłeś filiżankę kawy.

– Zaraz zrobię. Jak chory?
– Śpi jak dzieciątko. Macie w tym domu coś do czytania?
– A co by pani chciała?
– Coś takiego, żebym zapomniała o swoich bolących nogach.
– Przyniosę pani kawy. Mam różne sprośne historyjki napisane przez jedną francuską królową. Może będą zanadto...

– Przyniesie je razem z kawą – przerwała mu. – A ty, synku, może byś sobie kimnął? Ja z tym koteczkiem będziemy trzymali fort. A nie zapomnij o książce, koteczku.

Li postawił maszynkę do kawy nad palnikiem gazowym. Podszedł do stołu i powiedział:

- Kal!
- Czego chcesz?
- Idź do Abry.

2

Kal stał na schludnym ganeczku i przyciskał palcem dzwonek, dopóki nie zabłysło ostre światło nad drzwiami i nie zgrzytnęła zasuwka. Zza drzwi wyjrzała pani Bacon.

- Chcę się zobaczyć z Abką – powiedział Kal.
- Usta rozwarły jej się ze zdumienia.
- Że czego chcesz?
- Chcę się zobaczyć z Abką.
- To niemożliwe. Abka już poszła spać. Idź stąd.
- Mówię pani, że chcę się z nią zobaczyć! – krzyknął Kal.
- Odejdź, bo wezwę policję.

Pani Bacon zawołała:

- Co to takiego? Kto tam jest?
- Mniejsza z tym... Wróć do łóżka. Jesteś chory. Ja to załatwię.

Obróciła się do Kala.

– Teraz zejdziesz z ganku. A jeżeli jeszcze raz zadzwonisz, zatelefonuję po policję.
No, już!

Drzwi zatrzasnęły się, zgrzytnęła zasuwka, a ostre światło zgasło.

Kal stał uśmiechając się w mroku, bo pomyślał, że może się przywlec Tom Meek i zapytać: "Jak się masz, Kal? Co tu kombinujesz?"

Pani Bacon krzyknęła zza drzwi:

– Ja cię widzę! Odejdź stąd! Zejdź z ganku!

Odszedł wolno ścieżką i skręcił w stronę domu, ale nie minął jeszcze pierwszej przecznicy, gdy dopędziła go Abra. Była zdyszana od biegu.

– Wymknęłam się przez kuchnię – powiedziała.

– Zobaczą, że cię nie ma.

– Wszystko mi jedno.

– Naprawdę?

– Tak.

Kal powiedział:

– Abro, zabiłem swojego brata, a ojciec jest sparaliżowany przeze mnie.

Ujęła go pod ramię i ścisnęła je oburącz. Kal zapytał:

– Nie słyszałaś, co powiedziałem?

– Słyszałam.

– Abro, moja matka była kurwą.

– Wiem. Mówiłeś mi. Mój ojciec jest złodziejem.

– Mam w sobie jej krew, Abro. Nie rozumiesz?

– A ja mam jego – odparła.

Szli dalej w milczeniu. Kal próbował odzyskać równowagę. Wiatr był zimny, więc przyspieszyli kroku, żeby się rozgrzać. Minęli ostatnią latarnię na samym skraju Salinas i ujrzeli przed sobą ciemność; droga była tam nie brukowana i lepka od czarnej, gliniastej mazi.

Doszli do końca chodnika, do miejsca, gdzie urywały się latarnie. Ziemia pod stopami była śliska od wiosennego błota, a trawa, która ocierała im się o nogi, mokra od rosy. Abra zapytała:

– Dokąd idziemy?

– Chciałem uciec od oczu ojca. Ciągłe je widzę przed sobą. Kiedy, zamknę powieki, widzę je także. Już zawsze będę je widział. Mój ojciec teraz umrze, ale jego oczy wciąż będą na mnie patrzyły i mówiły, że zabiłem swojego brata.

– Nie zabiłeś go.

– Tak, zabiłem. I mówią mi to oczy ojca.

– Nie mów tak. Dokąd idziemy?
– Jeszcze trochę dalej. Tam jest rów, budka z pompą... i wierzba. Pamiętasz tę wierzbę?

– Pamiętam.

Powiedział:

– Gałęzie zwisają jak namiot i czubkami dotykają ziemi.

– Wiem.

– Czasem po południu... w słoneczne popołudnia... ty i Aron rozsuwaliście te gałęzie i wchodziliście do środka... i nikt was nie mógł zobaczyć.

– Podpatrywałeś?

– Jasne. Podpatrywałem. – I dodał: – Chcę, żebyś wszk pod tę wierzbę ze mną. Tego właśnie chcę.

Przystanęła i zatrzymała go ręką.

– Nie – powiedziała. – To nie byłoby ładnie.

– Nie chcesz tam wejść ze mną?

– Nie chcę, jeżeli od czegoś uciekasz... nie, nie chcę.

Kal powiedział:

– To już nie wiem, co robić. Co mam zrobić? Powiedz mi.

– A usłuchasz?

– Nie wiem.

– Wracamy – rzekła.

– Wracamy? Dokąd?

– Do domu twojego ojca – powiedziała Abra.

3

Oblało ich światło kuchni. Li rozpałił w piecu, by ogrzać chłodne powietrze.

– Namówiła mnie, żeby tu przyjść – rzekł Kal.

– Oczywiście. Wiedziałem, że tak zrobi.

Abra odezwała się:

– Sam byłby przyszedł.

– Tego się nigdy nie dowiemy – odparł Li. Wyszedł z kuchni i po chwili wrócił.

– Jeszcze śpi. – Postawił na stole kamienną butelkę i trzy przezroczyste czarki z porcelany.

– Pamiętam to – rzekł Kal.

– Bo i powinienes. – Li nalał ciemnego trunku. – Popijajcie małymi łykami, tak żeby wam spływało po języku.

Abra oparła się łokciami o stół kuchenny.

– Pomóż mu – powiedziała. – Ty umiesz się ze wszystkim pogodzić, Li. Pomóż mu.

– Nie wiem, czy umiem, czy nie – odrzekł Li. – Nigdy nie miałem okazji spróbować. Zawsze stawałem wobec czegoś... i nie byłem przez to mniej niepewny, ale mniej zdolny do opanowania swojej niepewności. Musiałem płakać... samotnie.

– Płakać? Ty?

Odpowiedział:

– Kiedy umarł Samuel Hamilton, świat zgasł jak świeca. Zapaliłem go sobie na nowo, żeby obejrzeć jego piękne twory, i zobaczyłem jego dzieci miotane, szarpane i niszczone niczym przez jakąś mściwą moc. Pijcie *ng-ka-pi* tak, żeby wam spływała po języku.

Po chwili mówił dalej.

– Musiałem sam odnaleźć własną głupotę. A oto moja głupota: myślałem, że dobrzy są niszczeni, podczas gdy źli ostają się i kwitną. Myślałem, że niegdyś gniewny i zniechęcony Bóg wylał z tygła płynny ogień, ażeby zniszczyć czy oczyścić swoje pomniejsze twory, które ulepił z błota. Myślałem, że odziedziczyłem zarówno blizny od ognia, jak i tę nieczystość, która sprawiła, że ogień stał się konieczny... myślałem, że to wszystko jest odziedziczone. Wszystko odziedziczone. Ty tak nie uważasz?

– Chyba tak – odrzekł Kal.

– Ja nie wiem – powiedziała Abra.

Li potrząsnął głową.

– To nie jest właściwe. To nie jest właściwe myślenie. Może... – Zamilkł.

Kal poczuł w żołądku ciepło od wypitego trunku.

– Co “może”, Li?

– Może jeszcze się dowiesz, że każdy człowiek, w każdym pokoleniu, jest wypalany na nowo. Czy rękodzielnik, nawet na starość, traci żądzę stworzenia doskonałej czarki, cienkiej, mocnej, przezroczystej? – Podniósł swoją do światła. – Wszystkie nieczystości wypalone, wszystko gotowe do wspaniałego wytopu, a na to

trzeba... jeszcze więcej ognia. Potem zaś będzie albo garstka żużlu, albo coś, czego nikt na świecie nie wyrzeka się całkowicie: doskonałość. – Wychylił trunek do dna i powiedział głośno: – Kal, posłuchaj mnie. Czy myślisz, że to coś, co nas stworzyło... kiedykolwiek zaprzestanie próbować?

– Ja tego nie chwytam – odrzekł Kal. – Teraz nie mogę.

W salonie rozległy się ciężkie kroki pielęgniarki. Wtargnęła do kuchni i popatrzyła na Abre opartą łokciami o stół, trzymającą twarz w dłoniach. Zapytała:

– Nie macie jakiegoś dzbanka? Im się zawsze chce pić. Lubię mieć pod ręką dzbanek z wodą. Bo widzicie – wyjaśniła – oni oddychają ustami.

– Czy on nie śpi? – zapytał Li. – Proszę, tu jest dzbanek.

– Ale skąd, nie śpi i jest wypoczęty. Obmyłam mu twarz i uczesałam włosy. To dobry pacjent. Próbował się do mnie uśmiechnąć.

Li wstał.

– Chodź, Kal. I ty też, Abro. Musisz pójść.

Pielęgniarka napełniła dzbanek w zlewie i podreptała przed nimi.

Kiedy wszyscy razem weszli do sypialni, Adam siedział podparty wysoko poduszkami. Jego białe ręce leżały wyciągnięte wzdłuż boków, a ścięga biegnące od kostek dłoni do napiętków były naprężone. Twarz miał woskową, a ostre rysy zaostrzyły się jeszcze bardziej. Wolno oddychał rozchylonymi, bladymi ustami. W niebieskich oczach odbijała się lampa nocna, rzucająca wiązkę światła na jego głowę. Li, Kal i Abra stanęli w nogach łóżka; oczy Adama przesunęły się z wolna po ich twarzach, wargi zaś poruszyły się lekko na powitanie. Pielęgniarka powiedziała:

– No i proszę. Prawda, jak ładniutko wygląda? To mój pieszczonek. Mój cukiereczek.

– Cicho! – szepnął Li.

– Nie pozwolę, żebyście mi męczyli pacjenta.

– Proszę wyjść – rzekł Li.

– Będę musiała zameldować o tym doktorowi.

Li gwałtownie odwrócił się do niej.

– Proszę wyjść z pokoju i zamknąć drzwi. Niech pani idzie pisać ten swój meldunek.

– Nie mam zwyczaju przyjmować rozkazów od Chińczyków.

Kal powiedział:

– Niech pani zaraz wyjdzie i zamknie drzwi.

Trzasnęła drzwiami dość głośno, by zaakcentować swój gniew. Adam drgnął na ten hałas. Li powiedział:

– Adamie!

Szeroko otwarte, niebieskie oczy poszukały tego głosu i wreszcie natrafiły na piwne, błyszczące oczy Li. Ten mówił:

– Adamie nie wiem, co możesz dosłyszeć czy zrozumieć. Kiedy drętwiała ci ręka, a oczy odmawiały posłuszeństwa, dowiedziałem się o tym wszystkiego, co zdołałem. Ale pewne rzeczy wiesz tylko ty jeden. Możliwe, że tam, za swoimi oczami, jesteś w tej chwili czujny i bystry, a możliwe też, że żyjesz w zmętniętym, szarym śnie. Może jak nowo narodzone dziecko, dostrzegasz tylko światło i ruch.

Mózg twój jest uszkodzony i kto wie, czy nie stałeś się teraz czymś nowym na tym świecie. Twoja dobroć może przemieniła się w małość, a twoja posepna prawość nie jest już taka spokojna i bezwzględna. Nikt tego nie wie prócz ciebie, Adamie! Czy słyszysz mnie?

Niebieskie oczy drgnęły, przymknęły się powoli i otworzyły. Li mówił dalej:

– Dziękuję ci, Adamie. Wiem, jakie to jest trudne. Ale poproszę cię o rzecz znacznie trudniejszą. Tu jest twój syn, Kaleb... twój jedyny syn. Spójrz na niego, Adamie!

Blade oczy zaczęły szukać, aż znalazły Kala. Zasnęte wargi Kala poruszyły się, nie wydając żadnego dźwięku. Głos Li zabrzmiał:

– Nie wiem, jak długo jeszcze pożyjesz, Adamie. Może długo. Może godzinę. Ale twój syn będzie żył. Ożeni się, a jego dzieci będą jedynym śladem pozostałym po tobie.

Li otarł oczy palcami.

– Uczynił pewną rzecz w gniewie, ponieważ myślał, że go odtrąciłeś. Skutek owego gniewu jest taki, że jego brat, a twój syn nie żyje.

Kal powiedział:

– Li... nie możesz tego mówić.

– Muszę – odparł Li. – Muszę, choćby go to zabiło. Mam prawo wyboru. – Uśmiechnął się smutnie i zacytował: – “Jeśli jest wina, to moja wina”. – Ramiona mu się wyprostowały. Powiedział ostrym głosem: – Twój syn jest napiętnowany winą przez siebie samego... przez siebie samego... tak że to, nieomal przekracza jego wytrzymałość. Nie miażdż go odtrąceniem. Nie miażdż go, Adamie.

Oddech zaświszczał mu w gardle.

– Adamie, daj mu swoje błogosławieństwo. Nie zostawiaj go sam na sam z winą. Adamie, czy mnie słyszysz? Daj mu swoje błogosławieństwo!

W oczach Adama zabłyśło straszliwe światło; przymknął powieki i nie otwierał ich. Między brwiami utworzyła mu się zmarszczka. Li mówił:

– Pomóż mu, Adamie... pomóż mu. Daj mu ostatnią szansę. Pozwól mu być wolnym. To jest jedyna wyższość, jaką człowiek ma nad zwierzętami. Uwolnij go! Pobłogosław mu!

Łóżko, rzekłbyś, zadrżało od napięcia. Oddech Adama stał się teraz szybki z wysiłku, a potem prawa dłoń uniosła się powoli – uniosła na cał i opadła.

Li miał twarz półprzytomną. Podsunął się do wezgłowia i skrajem prześcieradła otarł wilgotne czoło chorego. Popatrzał na zamknięte oczy. Wyszeptał:

– Dziękuję ci, Adamie... dziękuję, mój przyjacielu. Czy możesz poruszyć wargami? Złóż wargi tak, żeby wymówiły jego imię.

Adam otworzył oczy i spojrzał ze śmiertelnym znużeniem. Usta rozchyliły mu się, przymknęły i popróbowwały raz jeszcze. A potem nabrał powietrza w płuca. Westchnienie musnęło jego wargi cichym dźwiękiem. Wyszeptane słowo jak by zawisło w powietrzu.

– *Timszel!*

Oczy zamknęły mu się i zasnął.